

Kathleen E. Woodiwiss
POPIOŁY NA WIETRZE

*Z miłością dedykuję pamięci moich rodziców,
Gladys i Charlesa*

K E W

CZEŚĆ
PIERWSZA
Lament

O mój domu!
Moja ziemia pełna słońca,
ludzi serdecznych
i dni spokojnych.
Zginęłaś!
Podeptała cię WOJNA
butami swych żołnierzy.
Ten potwór, co pełźnie
milionem nóg
bezdusznie przez mój kraj
i pozostawia za sobą
porwane na strzępy ludzkie życia
i zastygłe ciała.

Osierocona i samotna,
jak liść rzucony na łaskę fali,
gdziekolwiek skieruję oczy,
widzę rozpacz.
Wszystko stracone,
moja dusza rozdarta.
Nie mam już ciebie,
a wokół nienawistny zapach WOJNY -
gryząca woń spalenizny,
unoszonych przez wiatr popiołów.
Popiołów na wietrze!

23 września 1863 roku

Nowy Orlean

Szeroka, mulista rzeka, pluszcząc, toczyła swe na pozór leniwe wody u stóp wysokiego nabrzeża. Przeładowany statek z trudem torował sobie drogę pomiędzy grupą okrętów wojennych Unii. Dwieście jardów dalej, zacumowany na środku rzeki z dala od miasta i jego wrogo usposobionych mieszkańców, stał główny korpus floty północnej. Brzydkie, przysadziste kanonierki, z pokładami zalanymi wodą, pławiły się obok strzelistomasztych, zgrabniej szych w kształtach fregat mórz otwartych. Kilka okrętów każdego typu stało w gotowości pod parą, by w razie potrzeby w każdej chwili wyruszyć w bojowy rejs.

Nad miastem zawisły brunatne opary. Wilgotne, upalne powietrze przygniatało swym ciężarem oddział żołnierzy w niebieskich mundurach, oczekujących na portowym moło na przybycie parostatku. Niegdyś w żywych, czerwono-zielonych barwach, dziś wypłowiwały i odrapany statek przypominał poszarzałego wiekiem stwora, który sunął ociężale ku brzegowi, dymiąc i iskrząc swymi wielkimi czarnymi kominami. Podpłynął tak blisko, że delikatnie stuknął o niską keję. Tutaj rzeka Missisipi stykała się z miastem. Przybiwszy do pomostu, statek rozwinął cumy jak gigantyczne czułki. Pokrzykiwaniom ludzi przy linach towarzyszyło skrzypienie bloczków i kołowrotów.

Rejs dobiegł końca. Pasażerowie zbierali bagaże i w pełnym napięcia oczekiwaniu ustawiali się do wyjścia. Każdy skupiał się w myślach na celu własnej podróży, choć w tak gęstym tłumie nie sposób było z ludzkich twarzy coś wyczytać. Zapewne było wśród nich wielu szubrawców i oszustów żądnych wzbogacenia się cudzym kosztem, jacy w ostatnich czasach zjeżdżali do Nowego Orleanu, by wycisnąć dla siebie maksimum zysków z jego zubożałych mieszkańców, a także z jankeskich najeźdźców. Gdy tylko opuszczony trap połączył statek z lądem, zwarta ludzka masa ruszyła pośpiesznie ku wyjściu, przepychając się i potracając łokciami. Nagle potok wysiadających wstrzymany został przez żołnierzy Unii, którzy ustawili się w dwuszeregu. Oba szeregi rozdzieliły się, formując przejście z kładki do mola przeładunkowego. Gniewne pomruki przeszły w pełne furii wycia i gwizdy, gdy tak utworzonym korytarzem ze statku zaczęła schodzić gęsiego grupa wychudzonych, brudnych i obdartych żołnierzy Konfederacji. Szli równym krokiem, ograniczonym łańcuchami kajdan.

W połowie niegdyś eleganckich schodów z pokładu spacerowego, pośród zatrzymanych pasażerów, stał szczupły chłopiec. Z usmolonej twarzy, schowanej pod wciśniętym głęboko na uszy, zniszczonym kapeluszem z szerokim rondem, zerkały nieufnie szare oczy. Za duże ubranie podkreślało drobną sylwetkę; zbyt szerokie spodnie związane były ciasno w pasie zwykłym sznurkiem. Na obszerną koszulę nałożoną miał luźną marynarkę, której za długie rękawy, choć kilka razy podwinięte, nadal za bardzo opadały na szczupłe ręce. Przy nogach w za dużych butach, o zawijających się do góry noskach, stał wiklinowy kuferek. Na szczupłej twarzy, umazanej sadzą z pokładu, zwłaszcza na nosie, prześwitywały ślady pierwszej opalenizny. Na oko nie miał więcej niż dwanaście lat, lecz spokój i rezerwa w jego zachowaniu trochę nie pasowały do tak młodego wieku. W odróżnieniu od innych podróżnych, obserwując swych pokonanych pobratymców opuszczających statek, w zamyśleniu marszczył młode czoło.

Na brzegu więźniów przejął oczekujący tam oddział, a żołnierze federalni, eskortujący ich na statku, uformowali szereg z oficerami na czele i zeszli na brzeg, pozwalając wreszcie zrobić to samo innym pasażerom.

Pożegnawszy spojrzeniem umęczonych konfederatów, chłopiec podniósł kuferek i ruszył w dół po schodach. Nieporęczny bagaż nieustannie obijał się o jego nogi i zaczepiał o ubrania innych schodzących. Unikając rzucających mu spojrzeń, z całej siły starał się utrzymać w ręce swój dobytek, jednocześnie posuwając się do przodu. Idący za nim mężczyzna, z uwieszoną u ramienia krzykliwie ubraną i wymalowaną kobietą, zniecierpliwiony nazbyt powolnym przesuwaniem się młodzieńca, usiłując go wyminąć, spowodował, że chłopiec się potknął, a ciężki kuferek odbił się od balustrady i z impetem uderzył w nogę niecierpliwego. Mężczyzna zaklął szpetnie, błyskawicznie się odwrócił i przykucnął. W jego ręce błysnął sztylet. Chłopiec przywarł do balustrady i popatrzył na groźne, wąskie ostrze okrągłymi ze strachu oczami.

- *Gauche cou rouge!* - zacharczał tamten z wściekłością gardłową francuszczyzną z naleciałościami dialektu Cajunów*. Złe i niespokojne czarne oczka w ogorzałej twarzy obrzuciły chłopaka pogardliwym spojrzeniem. Zaraz jednak się opanował, nie znajdując w przestraszonym wyrostku najmniejszego zgoła zagrożenia. Z szyderym uśmiechem wyprostował się, demonstrując swą przewagę wzrostem, choć był zaledwie o głowę wyższy niż chłopiec, i ukrył sztylet pod płaszczem. - Uważaj na swoje hupiecie, *buisson poulain*. Omal mnie nie wysłałeś do chihuhga.

Czyste, szare oczy zapłonęły na tę zniewagę, a usta młodzika zacisnęły się i pobiełały. Dobrze zrozumiał obelgę dotyczącą swojego pochodzenia i chętnie by ją odparował, rzucając podobną zniewagę w twarz temu człowiekowi. Jednak ścisnął tylko mocniej w ręce swój bagaż i zlustrował nieznaną parę z pogardą. Status kobiety nie budził wątpliwości. Strój mężczyzny - płaszcz z drogiego brokatu, jaskrawa, wzorzysta koszula i czerwona chustka wokół szyi - wskazywał na jednego z typowych przedstawicieli zaściankowej hołoty, często pojawiającej się w mieście i w niewiadomy sposób nagle wzbogaconej.

Dama lekkiego prowadzenia, urażona wżgardliwym spojrzeniem chłopca, pełnym oburzenia gestem chwyciła rękę swego towarzysza i przycisnęła ją do obfitej piersi.

- Daj mu nauczkę, Jack - nalegała. - Naucz tego niedorostka szanować lepszych od siebie.

Mężczyzna ze złością wyrwał rękę i poirytowanym głosem zgromił panienkę:

- Jestem Jacques! Jacques DuBonné! Zapamiętaj to sobie! Pewnego dnia to miasto będzie moje. Ale bez nauczek, *ma douceur*. Za dużo tu świadków... - wskazał w górę, gdzie na rufie pokładu oparty o poręcz stał jankeski kapitan parowca - którzy mają dobną pamięć. *Chérie*, nie będziemy nikogo napastować w obecności Jankesów, naszych gospodarzy. Gdyby ten szczeniak był stahszy, pokazałbym mu, co pothafię, ale on ma jeszcze mleko pod nosem. Nie wahto sobie nim zawhacać głowy. Chodźmy już i nie whacajmy do tej sphawy.

Obdartus o usmolonej twarzy odprowadził schodzącą na brzeg parę nienawistnym wzrokiem. Dla niego byli oni jeszcze gorsi niż Jankesi. To zdrajcy Południa i wszystkiego, co kochał.

Wyczuwając na sobie wzrok kapitana statku, chłopak popatrzył w górę na pokład. W oczach siwowłosego kapitana znalazł więcej współczucia, niż był w stanie zaakceptować u Jankesa, toteż nie udało mu się zmusić siebie do wykonania choćby najmniejszego gestu wdzięczności. Widok oficera przypomniawszy mu sromotną klęskę konfederatów w delcie rzeki. Nie mogąc dłużej znieść objawów sympatii ze strony kapitana, z determinacją zacisnął dłoń na uchwycie kufereka i pospieszył w dół pokładowych schodków.

Wzdłuż nabrzeża biegł pomost wyładunkowy dla dolnych pokładów parowców rzecznych - kilka jardów płaskiej nawierzchni służącej do wyładunku i załadunku. Dalej nabrzeże wznosiło się gwałtownie do poziomu

* Cajun - uciekinier z Kanady Francuskiej.

głównych magazynów. Strome, kamienne zbocze miało schody dla ludzi i rampy dla pojazdów kołowych. Chłopiec z kuferkiem skierował się ku najbliższym schodom, gdy rampą obok zjechało z turkotem kilka wozów armii federalnej. Spocony sierżant wydał krótką komendę i wysiadła z nich grupka żołnierzy, zmierzając w stronę statku.

Młodzik zerknął nerwowo na zbliżających się Jankesów, po czym opuścił wzrok i skupił się na tym, by iść wolnym, zdecydowanym krokiem. Jednak w miarę, gdy się przybliżali, jego trwoga rosła. Wyglądało, że idą po niego. Czyżby wszystko wiedzieli?

W gardle chłopiec czuł wzrastający ucisk. Uspokoił się dopiero, gdy pierwszy z żołnierzy minął go i wszedł na kładkę, wiodąc za sobą pozostałych. Chłopiec rozejrzał się ukradkiem. Żołnierze po dwóch zaczęli znosić do wozów ciężkie skrzynki stojące na pokładzie.

Najlepiej będzie - pomyślał chłopiec - jeśli jak najszybciej usunę się z oczu tych Jankesów.

Znalazszy się na górze nabrzeża, ujrzał olbrzymi stos beczek. Czym prędzej je minął, pozostawiając statek z drugiej strony, i pospieszył, by skryć się w czeluści magazynów. Na bruku widniały czarne smugi. Magazyny były jeszcze osmalone ogniem, a niektóre fragmenty ze świeżego drewna świadczyły o niedawnej reperacji. Były to pozostałości po podpaleniu przez mieszkańców Nowego Orleanu tysięcy bel bawełny i beczek melasy, aby uniemożliwić niebieskobarwnym najeźdźcom zdobycie miasta. Od czasu, gdy musiało się ono ugiąć pod naporem floty Farraguta, minął już rok. Myśl, że będzie teraz musiał żyć pośród wrogów, nie była dla chłopca przyjemna.

Piskliwy śmiech zwrócił jego uwagę na powóz wynajęty przez Jacques'a DuBonnego, który właśnie pomagał wsiąść do niego swej energicznej kompanie. Kiedy bryczka pomknęła szybko z portu, młodzik poczuł ukłucie zazdrości. Nie miał grosza, by zapłacić za podwiezienie, a do domu wujka był kawał drogi, w dodatku pełnej Jankesów.

Wszędzie dawała się odczuć ich przytłaczająca obecność. Wszędzie niebieskie mundury. Nie był w Nowym Orleanie od czasu jego kapitulacji. Teraz poczuł się tu bardzo obco. Nieustanna krzątania na nabrzeżu przekraczała wszystko, co widział tu kiedykolwiek przedtem. Żołnierze przenosili dostawy na statki lub do magazynów. Liczne grupy czarnoskórych robotników wyciskały z siebie strumienie potu, pracując w straszliwym upale. Usłyszawszy nagle ordynarne przekleństwo, chłopak odskoczył na bok, ustępując z drogi toczącej się po portowym bruku dużej platformie wyładowanej stosem skrzyń z prochem, ciągniętej przez sześć masywnych koni pociągowych, zarzucających spoconymi z wysiłku bokami. Okrutny woźnica znów zaklął i z całej siły zaciął batem po zadach koni. Zwierzęta zerwały się resztką sił, ciężkimi podkowami krzesając z bruku iskry.

Pragnąc zejść z drogi zaprzęgowi, chłopiec nieuważnie odskoczył w tył, prosto w luźną gromadkę żołnierzy Unii. Ich obecność zmanifestowała się bełkotliwym okrzykiem:

- Hej, zobaczcie! Ale wsiowy smark przyjechał do miasta.

Młody południowiec odwrócił się i patrzył, na poły ze zdziwieniem, na poły z nienawiścią, na czwórkę żołnierzy, z których najstarszego z trudem można by nazwać mężczyzną, a policzki najmłodszego pokrywał jeszcze młodzieńczy meszek. Ten, który się odezwał, podał koledze prawie pustą butelkę, a sam wysunął się do przodu na szeroko rozstawionych nogach, zatknąwszy kciuki za pas. Stał, górując nad drobnym chłopcem, który spoglądał nań z lękiem.

- Co tu robisz, kmiotku? - rzucił wyzywająco. - Przyjechałeś obejrzeć wielkich i niedobrych Jankesów?

- N-nie, proszę pana - wyjąkał nerwowo chłopiec cienkim, załamującym się głosem. Powiódł po nich

niespokojnym wzrokiem, niepewny i wystraszony tą niespodziewaną konfrontacją. Mieli już dość mocno w czubie. Ta grupka żołnierzy w rozchełstanych mundurach najwyraźniej szukała okazji, by czymś przerwać nudę. Musiał być w stosunku do nich wyjątkowo ostrożny.

- Przyjechałem do wujka. Miał tu być... - Zawiesił głos, gdyż nieco naciągał prawdę, i rozejrzał się wokół, niby szukając wzrokiem swego krewniaka.

- Rety! - Szeregowiec jankeski odwrócił się do swych kompanów z szyderczym uśmiechem. - Ten bachor ma tu gdzieś wujka. - Boleśnie dźgnął go palcem w ramię i wskazał na stojący w pobliżu zaprzęg mułów. - Hej, chłopcze, może to któryś z nich?

Cała czwórka ryknęła śmiechem. Chłopak jeszcze bardziej zsunął opadające rondo kapelusza. Ogarnęła go złość, ale wolał dłużej nie pozostawać obiektem żartów pijanych Jankesów, toteż odwracając się od nich, mruknął:

- Wybaczcie, panowie...

W następnej sekundzie porwano mu z głowy kapelusz, odsłaniając wiecheć niechlujnie przystrzyżonych rudobrazowych włosów. Chłopak zasłonił głowę rękami, wstydząc się swej strzechy, i już otworzył usta, by dać upust złości, ale z jakiegoś powodu powstrzymał się i mocno zacisnął szczękę. Gniewnym ruchem sięgnął po swoją własność, ale kapelusz pofrunął wysoko w powietrze.

- Och ty w życiu! - Żołnierz zanosił się od śmiechu. - Ale kapelusik!

Drugi żołnierz złapał go i zaczął oglądać.

- Hej, wiara, widziałem w dole rzeki starego muła w lepszym kapeluszu niż ten. Może to właśnie był jego kuzyn.

Zanim chłopiec zdołał chwycić swoje nakrycie głowy, znowu pofrunęło do góry, a on stał rozwścieczony, zaciskając drobne pięści i w furii odsłaniając białe zęby.

- Ty niebieskobrzechy dzikusie! - przeciął powietrze jego piskliwy głos. - Oddaj mi kapelusz!

Ale kapelusz złapał właśnie pierwszy z żołnierzy, który śmiejąc się w głos, przekręcił kuferek chłopca na bok i usiadł na nim, tak że boki niebezpiecznie się rozchyliły. Jego śmiech zmienił się nagle w okrzyk bólu i wściekłości, gdy dobrze wymierzony cios buta trafił go w kościstą goleń, a potem w kolano. Z rykiem skoczył na równe nogi i brutalnie chwycił niepozornego młodzika za ramiona.

- Czekaj no, zasmarkańcu! - warknął i potrząsnął nim, kiwając się i chuchając wstrętym odorem whisky. - Zaraz cię zaprowadzę na...

- Baczość!

Chłopiec został puszczonej tak gwałtownie, że wpadł na własny kuferek. Zobaczył lądujący obok na ziemi kapelusz i pospieszył, by go podnieść. Wcisnął kapelusz natychmiast na głowę i nastawił pięści, gotów podjąć walkę. Ale na widok czterech żołnierzy, wyprostowanych jak druty, szczęką opadła mu ze zdziwienia. Butelka whisky rozbiła się o bruk, a gdy wybrzmiał brzęk szkła, zapanowała martwa cisza. Na scenę wkroczył wysoki osobnik w eleganckim niebieskim mundurze z błyszczącymi mosiężnymi guzikami i jasnymi galonami na mankietach. Na szerokich ramionach widniały złote epolety z oznaką rangi kapitańskiej. Szczupła talia pod szerokim czarnym pasem na broń przewiązana była czerwono-białą szarfą, a zachmurzone czoło przykrywał nisko nasadzony wojskowy kapelusz. Kiedy podchodził, żółte lampasy na spodniach lśniły na tle błękitu munduru.

- Panowie! - warknął ostro. - Jestem pewien, że podoficer dyżurny znajdzie dla was ambitniejsze zadanie niż znęcanie się nad dziećmi. Natychmiast zameldować się w kwaterze! - Surowym wzrokiem obserwował ich wysiłki,

by utrzymać wyprostowane pozycje, a następnie szorstko wydał rozkaz: - Rozejść się!

Odprowadziwszy wzrokiem czmychających żołnierzy, oficer zwrócił się w stronę chłopca, którego natychmiast uderzył jasny, lazurowy błękit oczu Jankesa w opalonej twarzy. Długie, jasnobrązowe, równo przycięte bokobrody podkreślały szczupłe policzki i mocną, nieco kanciastą szczękę. Nos miał wąski i kształtny, odrobinę orli, a wydatne wargi pozbawione były uśmiechu. Sprawiał wrażenie zawodowego wojskowego, co uwidaczniało się w jego zdecydowanych manierach, przesadnie schludnym wyglądzie i raczej skromnej postawie. Rysy przystojnej twarzy pasowałyby zgoła do jakiegoś arystokraty, a oczy w ciemnej oprawie zdawały się przenikać najtajniejsze sekrety chłopca, który poczuł, jak na wskroś przechodzi go dreszcz.

Surowe spojrzenie kapitana stopniowo łagodniało, gdy patrzył na urwisa w łachmanach. Lecz gdy w kącikach ust zadrżał uśmiech, szybko go stłumił.

- Tak mi przykro, chłopcze. Ci mężczyźni, tak bardzo oddaleni od swych domów, nie potrafią zachować dobrych manier.

Chłopak, onieśmielony obecnością oficera federalnego, nie był w stanie nic powiedzieć. Uciekł oczami w bok, czując, jak wzrok kapitana lustruje go od stóp do głów.

- A ty czekasz tu na kogoś? - usłyszał pytanie. - Czy uciekasz z domu?

Młodziak poruszył się niespokojnie pod badawczym spojrzeniem mężczyzny, ale milczał dalej i patrzył uporczywie przed siebie, ostentacyjnie ignorując zadawane mu pytania. Jego obdarte, nie dopasowane przyodziewek i wykrzywione buty świadczyły jednak o poważnych kłopotach finansowych, co pozwoliło kapitanowi wyciągnąć odpowiednie wnioski.

- Jeśli szukasz pracy, akurat przydałaby nam się pomoc w szpitalu.

Chłopak wytarł nos o brudny rękaw i obrzucił drwiącym spojrzeniem ciemnoniebieski mundur.

- Nie mam ochoty pracować dla jakiegoś Jankesa.

Oficer uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie każemy ci przecież nikogo zabijać.

Szare oczy zmatowiały i zmrużyły się z nienawiścią.

- Ja nie lokaj do czyszczenia jankeskich butów. Znajdź pan sobie kogo innego.

- Jeśli się tak upierasz. - Mężczyzna niedbałym ruchem wyjął krótkie cygaro i przez chwilę zajmował się jego zapalaniem. - Ale ciekaw jestem, czy ta twoja duma napelni ci brzuch.

Młodziak spuścił oczy. Zbyt boleśnie doskwierał mu głód, by mógł zaprzeczyć.

- Kiedy ostatni raz jadłeś? - dopytywał się kapitan.

Wyrostek rzucił gwałtowną odpowiedź wraz z przeszywającym spojrzeniem.

- Nie sądzę, żeby to pana interesowało, niebieskonogi.

- Czy twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś? - Mężczyzna obserwował chłopca w skupieniu.

- Jakby wiedzieli, przewróciliby się w grobie.

- Rozumiem. - Oficer zaczynał pojmować sytuację. Rozejrzał się wokół i zatrzymał wzrok na małej jadłodajni w bezpośrednim sąsiedztwie portu, po czym znów spojrzął na chłopca.

- Właśnie zamierzałem coś zjeść. Czy zechciałbyś się do mnie przyłączyć?

Chłopak podniósł na górującego nad nim wzrostem kapitana zimne, jasne oczy.

- Nie potrzeba mi jałmużny.

Jankes wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, potraktuj to jako pożyczkę. Zwrócisz mi dług, kiedy twój stan majątkowy się poprawi.

- Mama nie pozwalała mi się zadawać z żadnymi obcymi ani Jankesami.

Oficer zachichotał z lekkim rozbawieniem.

- No cóż, nie mogę się wyprzeć tego ostatniego, ale przynajmniej się przedstawię. Kapitan Cole Latimer, na stanowisku chirurga w szpitalu.

Teraz dopiero czyste szare oczy chłopca wypełniła nieufność.

- Nigdy nie widziałem, żeby któryś z tych rzeźników był poniżej pięćdziesiątki. Założę się, że robi pan ze mnie durnia.

- Zapewniam cię, że jestem lekarzem, a co do mego wieku, to przypuszczam, że mógłbym być twoim ojcem.

- O, na szczęście nie jest pan moim papą! - zachrypiał gniewnie chłopak. - Ani żaden inny przeklęty jankeski konował!

Długi, szczupły palec wymierzony w twarz chłopca niemal dotknął czubka jego małego, zawadiackiego nosa.

- Posłuchaj, chłopaczk. Jest tu trochę takich, którym nie spodobałyby się twoje epitety. Na pewno nie omieszkaliby dać ci nauczki. Wyciągnąłem cię już z jednych tarapatów, ale nie mam zamiaru bawić się w niańkę jakiegoś nieokrzesanego wyrostka. Uważaj więc na swoje zachowanie.

Budne policzki nadeły się ze złości.

- Poradzę sobie sam.

Kapitan Latimer zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Sądząc po twoim wyglądzie, ktoś powinien się tobą zająć. Kiedy ty się właściwie ostatni raz myłeś?

- Jest pan najbardziej natarczywym niebieskobruchem, jakiego w życiu spotkałem!

- Ty uparty mały włóczęgo - mruknął Cole Latimer i ze zdecydowanym gestem rozkazał: - Bierz swój bagaż i chodź ze mną. - Odwrócił się od oniemiałego z zaskoczenia bezdomnego chłopca i ruszył w kierunku upatrzonej wcześniej jadłodajni. Po zrobieniu kilku kroków, nie oglądając się, jeszcze ostrzejszym tonem ponaglił: - Żwawiej, mały! Nie stój i nie gap się.

Chłopak podążył za oficerem, nasadzając kapelusz jeszcze mocniej na głowę i taszcząc z trudem swój ciężki kuferek. Cole Latimer zatrzymał się przed drewnianą framugą wejścia. Młokos szedł tuż za nim, prawie depcząc po lśniących czarnych butach oficera, lecz na widok odwracających się ku niemu przenikliwych błękitnych oczu zatrzymał się gwałtownie.

- Masz jakieś imię? - Chłopiec rozejrzał się wokół niespokojnie. - Chyba masz, co? - nalegał Cole Latimer ze zniecierpliwieniem.

W odpowiedzi zobaczył pośpieszne, niechętne skinienie głowy.

- Ee... Al! Al, proszę pana - kiwnął głową bardziej dobitnie.

Kapitan wyrzucił cygaro i spojrzał na chłopca, marszcząc czoło.

- Masz jakiś problem z mówieniem?

- N-nie, proszę pana - wyjąkał Al.

Obrzucając krytycznym spojrzeniem sfatygowany kapelusz chłopca. Cole sięgnął ręką, by otworzyć drzwi.

- Pamiętaj o dobrych manierach, Al, i odłóż gdzieś to, co masz na głowie.

Spróbował się zmusić do uśmiechu, Al smętnie podążył za jankeskimi plecami do środka lokalu. Pulchna

gospodyni aż przerwała pracę z wrażenia, gdy ujrzała tę parę wchodzącą do izby i zasiadającą przy małym stoliku pod oknem. Patrząc na świeżutki, czysty mundur Jankesa oraz niedopasowane ubranie chłopca, próbowała nie okazywać żadnych emocji, lecz gdy wróciła do krojenia warzyw, po jej czole przemknęła zmarszczka zdziwienia.

Z niechęcią naśladowując kapitana Latimera, Al zdjął kapelusz i przysiadł na wskazanym krześle. Cole z ironicznym niedowierzaniem i współczuciem lustrował nierówno wystrzyżoną szopę włosów w kolorze mahoni.

- Kto cię tak ostrzygł, chłopie? - spytał. Nie zauważył, jak zadrżały wargi, zanim wykrztusiły odpowiedź:

- Ja sam.

Cole roześmiał się.

- Twoje talenty musiały chyba pójść w innym kierunku.

Zapadła cisza. Chłopiec odwrócił do okna szczupłą twarz, a w szarych oczach niebezpiecznie zaszkliły się łzy. Cole nie dostrzegł, że Ałowi jest przykro. Skinął na gospodynię, która podeszła do ich stolika i stanęła, podparwszy się pod boki.

- Dla wszystkich dziś krewetki - oznajmiła szorstko przeciągłym południowym akcentem. - Bisque lub po kreolsku. Do tego piwo, kawa, herbata lub mleko. Co podać panu? - spytała, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Cole zignorował jej uszczypliwy ton, zdążył się już bowiem przyzwyczaić do niechęci okazywanej przez południowców żołnierzom w niebieskich mundurach. Przybył do Nowego Orleanu za rządów generała Butlera, kiedy nienawiść mieszkańców była jeszcze większa. Generał usiłował rządzić miastem jak garnizonem wojska. Każdy problem rozwiązywał jedynie za pomocą wydawanych rozkazów i przydzielanych zadań. Nie udało mu się, bo nie potrafił zrozumieć zawziętej dumy tutejszej społeczności i zbyt ją lekceważył. Miasto właściwie było już w stanie buntu, kiedy go odwołano. Równie surowy był generał wobec własnego wojska. Powiesił nawet kilku żołnierzy przyłapanych na okradaniu ludności cywilnej. Nowy Orlean nie był miastem łatwym do rządzenia, wymagał nieugiętej woli. Butler był wyjątkowo niepopularny nie tylko z powodu stosowanych surowych metod. Sytuację pogłębiał fakt, że tu, na Południu, znenawidzony był każdy Jankes sprawujący tę funkcję.

- Dla mnie bisque i zimne piwo - zdecydował Cole - a dla chłopca może być wszystko, co zechce, z wyjątkiem piwa.

Kiedy kobieta odeszła, kapitan znów zaczął się przyglądać swemu młodemu kompanowi.

- Nowy Orlean wydaje się dziwnym celem podróży dla chłopca tak nienawidzącego Jankesów jak ty. Masz tutaj jakąś rodzinę, masz się gdzie zatrzymać?

- Mam wujka.

- A, to dobrze. Już się obawiałem, że będę cię musiał wziąć do siebie.

Al zakrztusił się.

- Nie mam zamiaru mieszkać z żadnym Jankesem, to na pewno.

Kapitan westchnął z niecierpliwością.

- Przypuszczam, że potrzebujesz jakiegoś źródła dochodu. U cywilów jest o to bardzo trudno. Pracę możesz dostać tylko w wojsku Unii, a szpital to chyba dobry wybór dla kogoś takiego jak ty. Oczywiście, możesz jeszcze dołączyć do brygad oczyszczania miasta i zamiatać ulice.

Al z trudem panował nad swym spojrzeniem.

- Umiesz pisać i rachować?

- Trochę.

- To znaczy ile? Pisziesz tylko swoje nazwisko czy coś więcej?

Chłopak popatrzył gniewnie na oficera i rzucił beznamiętnie:

- Więcej, jak potrzeba.

- Mieliśmy w szpitalu paru Murzynów do sprzątnia, ale zgłosili się do wojska - oznajmił Cole. - Z korpusu inwalidów specjalnie nie korzystamy, bo gdy tylko ranni odzyskują jaką taką sprawność, wracają do swych oddziałów lub są wysyłani na wschód na rekonwalescencję.

- Nie mam zamiaru pomagać w leczeniu Jankesów! - zaprotestował z emfazą chłopak. W zamglonych oczach załśniły łzy. - To wy zabiliście mi papę i brata i wpędziliście mamę do grobu swoim piekielnym złodziejstwem.

Cole poczuł fale współczucia dla obdartego wyrostka.

- Przykro mi, Al. Moim zadaniem jest ratowanie życia i zdrowia ludzi bez względu na to, jaki noszą mundur.

- Aaa... Jeszcze nie spotkałem Jankesa, który by nie wolał raczej grasować po naszej ziemi, pałac i rabując...

- A skąd ty pochodzisz, że masz o nas tak wysokie mniemanie? - przerwał mu ostro kapitan.

- Z góry rzeki.

- Z góry rzeki? - W głosie kapitana dominował sarkazm. - Chyba nie z Chancellorsville ani Gettysburga? Słyszałeś o tych miejscach, prawda?! - Nie przestawał kpić, pomimo iż szczeka jego towarzysza coraz bardziej się zaciskała. - No bo z twojej odpowiedzi można wywnioskować, że jesteś takim samym niebieskobrzuchem jak ja i widziałeś, jak ci rebelianci zalewają naszą ziemię. No więc jak daleko w górę rzeki? Baton Rouge? Vicksburg? A może Minnesota?

Szare oczy przeszły go gromem, któremu towarzyszyły błyski gniewu.

- Tylko jakiś dumy osioł może pochodzić z Minnesoty!

Do perkatego nosa ponownie zbliżył się groźący palec.

- Czy nie ostrzegałem cię, żebyś uważał na swoje maniery?

- Moje maniery są w porządku, Jankesie. - Odważnym ruchem odtrącił rękę kapitana. - To pańskie mnie rozdrażniły. Czy mamusia nie nauczyła pana, że niegrzecznie jest komuś wygrażać palcem?!

- Uważaj - ostrzegł go nad wyraz spokojnie oficer. - Bo ściagnę ci spodnie i przetrzepię tyłek.

Dysząc z wściekłości, Al uniósł się do połowy z krzesła i przyjął pozycję przygotowanego do ataku zwierzęcia. W głębi nieprzeniknionych oczu zaiskrzyło się dziko. Porwał swój kapelusz i wcisnął na niechlujną czuprynę.

- Spróbuj mnie dotknąć, Jankesie - wycedził przez zęby niskim, chrapliwym głosem - a zetnę cię na miazgę. Nie będę wysłuchiwał głupich pogrózek przeklętego niebieskonoga...

W obliczu tak strasznej groźby Cole Latimer wstał i pochylił się nad chłopcem, przybliżając swoją twarz do jego twarzy. Błękitne oczy przeszły szare spojrzeniem twardym jak stal. Ale głos kapitana był cichy i spokojny.

- Ty mi grozisz, młodziku? - Zanim Al zdążył się poruszyć, ściągnięty z jego głowy kapelusz wylądował na stole. W szarych oczach nagle pojawił się cień. Cole mówił dalej tym samym tonem: - Siadaj i ucisz się, bo zrobię to tu i teraz.

Chłopak przełknął ślinę, czując, że opuszcza go odwaga. Usiadł szybko i popatrzył na Jankesa czujnie, ale ze znacznie większym szacunkiem.

Cole także opadł na krzesło i widząc upokorzenie chłopca, powiedział już nieco cieplej:

- Nigdy nie uderzyłem dziecka ani kobiety - spięty i czujny chłopak nie spuszczał wzroku z twarzy kapitana -

ale jeśli będziesz mnie prowokował, zmusisz mnie do tego.

Chłopak najwidoczniej stracił pewność siebie, bo jego zachowanie uległo diametralnej zmianie. Spuścił oczy, położył ręce na kolanach i siedział cicho jak trusia.

- Tak lepiej. - Cole kiwnął głową z aprobatą. - No więc jak daleko w górę rzeki?

- Kilka mil na północ od Baton Rouge - padła ledwo dosłyszalna odpowiedź.

Kapitan patrzył z pobłażliwym uśmiechem na unikającego jego wzroku chłopca.

- Mam nadzieję, że kiedyś zrewidujesz swoje zdanie na mój temat, Al. - Chłopak podniósł wzrok i spojrzał nieco zdezorientowany, zanim usłyszał wyjaśnienie. - Mój dom znajduje się jeszcze bardziej w górę rzeki, w Minnesocie.

Na twarzy młodzika oprócz niepewności pojawiło się zakłopotanie. Z opresji wybawiło go nadejście korpulentnej gospodyni, zręcznie balansującej trzymaną w jednej ręce wielką tacą. Bez entuzjazmu postawiła przed nimi duże, dymiące miski pikantnej zupy. Obok nich stanął talerz gorących biskwitów i drugi z przyrumienioną na złotawy brąz rybą panierowaną w mące kukurydzianej. Kobieta jeszcze nie zdążyła odejść od ich stolika, a Al już złapał kawałek ryby i błyskawicznie zaczął wiosłować łyżką w pożywnym rosolu. Cole przez dłuższą chwilę z rozbawieniem przyglądał się wygłodniałemu chłopcu. Gdy ten zauważył jego spojrzenie, nagle speszył się, odłożył rybę i zwolnił tempo jedzenia. Kapitan Latimer zachichotał, po czym skierował uwagę na smakowicie wyglądające potrawy.

Chociaż chłopak początkowo jadł łapczywie, dość szybko zaspokoił apetyt i resztę posiłku jadł już nieco z musu. Cole natomiast spożywał swoją porcję powoli, rozkoszując się każdym kęsem. Kiedy skończył, wyprostował się na krześle i wytarł usta serwetką.

- Wiesz, gdzie twój wujek mieszka?

Odpowiedzią było szybkie skinięcie głową. Cole wstał, rzucił na stół kilka banknotów i wziął swój kapelusz. Skinął na chłopca, żeby szedł z nim.

- Chodź. Jeśli na zewnątrz jest jeszcze mój koń, spróbuję cię zawieźć do wujka.

Młodzik z ochotą podniósł kuferek i pośpieszył do wyjścia za wysokim mężczyzną. Nie był w stanie odmówić kapitanowi, a poza tym jechać było znacznie wygodniej niż iść. Zmagając się z ciężkim bagażem i za dużymi butami, niepewnie kroczył za swym opiekunem. Dziwaczny korowód, złożony z nienagannie schludnego oficera i nie domytego włóczęgi, skierował się prosto ku uwiązanej w cieniu długonogiemu dereszowi. Biorąc lejce. Cole odwrócił się, by zdecydować, jak przewieźć szczupłego chłopca i jego bagaż.

- Czy myślisz, że dasz radę, siedząc za mną, utrzymać swoje rzeczy?

- Jasne - odparł chłopak nieco chełpliwie. - Od dziecka jeżdżę na koniu.

- No to wsiadaj. Podam ci kuferek.

Cole przytrzymał konia, podczas gdy Al próbował dosięgnąć wysokiego strzemięcia. Kiedy już umieścił w nim nogę, nie mógł przerzucić drugiej nad siodłem.

- Od dziecka, powiadasz?

Niespodziewanie Al poczuł pod pośladkami szeroką dłoń, która podciągnęła go do góry i posadziła w siodle. Przez chwilę na twarzy chłopca malowało się zmieszanie i złość. Zamierzał coś warknąć do Jankesa, ale kapitan już podnosił kuferek, kładąc go przed chłopcem.

- Zdaje się, że miałeś do tej pory łatwe życie - zauważył obcesowo. - Jesteś delikatny jak kobieta.

Bez dalszych komentarzy chwycił lejce i wskoczył na konia, przerzucając nogę nad rogami siodła. Jeszcze przez chwilę się poprawiali, wreszcie kapitan spytał zza ramienia:

- Gotowy?

Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, Cole łukiem wyprowadził konia z doku. Był to doskonały, dobrze ułożony wierzchowiec, ale nie przyzwyczajony do dodatkowego obciążenia, nawet przez takiego chuderlaka. Ten zaś nie tylko musiał walczyć z trzymanym w rękach bagażem i śliskim grzbietem konia, ale jeszcze duma nie pozwalała mu uchwycić się kapitana. To wszystko bardzo irytowało wrażliwe zwierzę. W końcu Cole stracił cierpliwość i rzucił przez ramię:

- Al, usadź wreszcie tyłek i nie kręć się, bo obaj wylądujemy na ziemi. - Sięgnął do tyłu, chwycił drobną dłoń i przycisnął ją mocno do swego boku. - O tak, złap się za moją kurtkę obiema rękami i siedź spokojnie.

Młodziak z odrazą uchwycił się wskazanej części garderoby i usadowił się wygodniej. Koń szedł teraz spokojniej i podróż postępowała sprawniej. Wiklinowy kuferek stał bokiem pomiędzy nimi, utrzymywany ramionami chłopca. Przynajmniej to było dobre, że oddzielał go od zniechęconego munduru.

2

Z bitwy o miasto ono samo wyszło względnie całe. Ślady walki można było dostrzec wzdłuż rzeki, ale gdy opuszczali port, życie zdawało się toczyć tak samo jak zawsze, pomimo obecności żołnierzy Unii. Wąskie budynki sklepów i domów mieszkalnych, zdobione balkonami o misternych żelaznych balustradach, stały ściśnięte obok siebie. W podwórkach za wspaniałymi bramami z kutego żelaza widać było dobrze utrzymane ogródki; wszędzie rosły drzewa. Gdy zgodnie z instrukcją chłopca skręcili z Vieux Carre, jechali coraz szerszymi alejami, obok których pojawiły się małe trawniki. Rosły na nich drzewa magnolii obsypane wielkim, woskowobiałym kwieciami, a ich odurzający zapach mieszał się z wonią jaśminu i kolcowoju. Dalej trawniki były coraz większe i przestronniejsze, a ganki okazałych domów chroniły się pod koronami olbrzymich, omszałych dębów.

Cole spojrział przez ramię i zapytał z powątpiewaniem:

- Al, jesteś pewien, że dobrze nas prowadzisz? Tu mieszkają bogaci ludzie.

- Uhm. O ile Jankesi im coś zostawili. - Chłopak wzruszył ramionami i dodał: - Bywałem tu przedtem. To już niedaleko. W tamtą stronę.

Po chwili wskazał na alejkę przecinającą wysoki żywopłot, za którym wznosił się dość okazałych rozmiarów dom z cegły. Parter krył się w cieniu ceglanych arkad, a po jednej stronie krężanka żelazne kręcone schody prowadziły do misternie zdobionego balkonu, ciągnącego się wzdłuż całego frontonu. Potężne, dorodne dęby osłaniały dom przed upalnym słońcem. Zza ich konarów można było dostrzec powozownię, usytuowaną za żelazną bramą o wymyślnych kształtach, prowadzącą na teren posiadłości.

Kiedy Cole skierował rumaka w zakręcaną alejkę wyłożoną ceglany brukiem, wyczuł wzrastające podniecenie chłopca. Zatrzymał konia przed szerokim krężankiem, zsiadł i przywiązał lejce do metalowego kółka przy słupku, po czym sięgnął po kuferek. Pozbywszy się go, Al zeskoczył na ziemię, niemal pofrunął do drzwi i energicznie pociągnął za dzwonek. Kapitan został z tyłu, by jak dobry służący zająć się bagażem.

Kiedy Cole dołączył do Ala, ten rzucił w tył spojrzenie pełne obawy i jeszcze raz niecierpliwie zadzwonił. Wewnątrz dały się słyszeć kroki i drzwi otworzyła młodziutka, odrobinę wyższa od Ala panienska. Patrzyła na nich zmieszana. Cole zdjął kapelusz i wetknął go pod ramię. Dziewczynę wprawiła w konsternację obecność Jankesa na

ganku, ale jeszcze bardziej błagalny grymas na twarzy chłopaka.

- Szanowna pani... - Cole nie zauważył na pięknej twarzyczce żadnych objawów, by rozpoznawała chłopca, zaczynał więc wątpić w jego wiarygodność. - Ten młodzian twierdzi, że panią zna. Czy to prawda?

Młoda kobieta ponownie zlustrowała młodszego przybysza zdumionym wzrokiem i to, co zobaczyła, najwyraźniej przejęło ją odrazą. Zmarszczywszy nos, sieknęła:

- Boże drogi! Nigdy bym się nie spodziewała... Toż to Al... Al...

Widząc przerażone oczy chłopaka, zacięła się. Jej zdenerwowanie było ewidentne. Nerwowo przenosiła wzrok to na kapitana, to na chłopca.

- Al? - spróbowała niepewnie i zachęcona jego pełnym aprobaty uśmiechem, ciągnęła: - To ty, Al! Nie... nie spodziewaliśmy się ciebie. Ach, mój Boże! Mama będzie zaskoczona, jak cię zobaczy. Chyba dozna szoku! - Czarnowłosa piękność znów spojrzała na Cole'a i posłała mu czarujący uśmiech. - Panie pułkowniku, mam nadzieję, że Al nie zrobił nic strasznego. Mama zawsze powtarza, że on robi wszystko po swojemu i nigdy nie wiadomo, co wymyśli w następnej kolejności.

- Kapitanie - grzecznie poprawił Cole. - Jestem kapitan Cole Latimer.

Chłopak pokazał na niego kciukiem przez ramię i wyjaśnił opryskliwie:

- Ten tutaj, doktor, podwiózł mnie od przystani.

Przenosząc wzrok z oficera Unii na uwięzowanego przy słupku wierzchowca, dziewczyna na koniec utkwiała w nich zdumione oczy.

- Mój Boże, chyba nie jechaliście razem...

Al zakaszał głośnie i zwrócił się w stronę Jankesa:

- To moja kuzynka, Roberta. Roberta Craighugh.

Cole zdążył już zwrócić uwagę na jej czarne włosy i ciemne oczy, a także na letnią suknię z brzoskwiniowego muślinu w kwiaty, z odważnym dekoltem na pełnych piersiach. Z galanterią dżentelmena stuknął obcasami i uklonił się.

- Jestem zaszczycony, mogąc panią poznać, panno Craighugh.

Matka Roberty była Francuzką. Domieszka tej krwi obdarzyła dziewczynę romansową naturą, którą teraz obudził męski czar przystojnego jankeskiego oficera. Wojna znacznie ograniczyła jej życiowe przyjemności, podczas gdy ona zbliżała się już do krytycznego dla panny wieku dwudziestu dwóch lat. Była święcie przekonana, że bez towarzysza życia kobieta się marnuje. Miała też wrażenie, że minęły już całe wieki, odkąd odwiedził ją jakiś dżentelmen, i jej życie jest beznadziejnie nudne. Toteż bardzo ożywiła ją myśl o rysującej się możliwości kolejnego podboju. Dodatkowo intrygujący był fakt, że jego obiekt należał do sfer zakazanych - znieawidzonych Jankesów.

- Nie mogę się pochwalić, bym gościła zbyt wielu żołnierzy z Północy, kapitanie - zauważyła dowcipnie. - Słyszałam o was tyle okropnych historii. Chociaż - w zadumie skubała koniuszek palca - pan akurat nie wygląda na takiego, co grasuje po okolicy, strasząc biedne, bezbronne kobiety.

Białe zęby Cole'a zaślniły w brawurowym uśmiechu.

- Bardzo się staram takim nie być, pani.

Roberta splonęła rumieńcem emocji, a wszystkie jej myśli skupiły się na przybyszu. Był o wiele bardziej męski i pewny siebie niż ci głupkowaci chłopcy, którzy gorączkowo jej się oświadczały przed wyjazdem na wojnę

z armią konfederacką. Nie czuła żadnej podniety, zdobywając ich serca. Ten Jankes mógł stanowić lepsze wyzwanie.

Nagle przypominając sobie o kuzynie, Roberta zwróciła się do niego:

- Al, dlaczego nie wchodzisz do środka? Z pewnością Dulcie będzie zachwycona, gdy cię zobaczy.

Tak odprawiony, choć niezbyt chętny, by się oddalić, Al popatrzył zafrasowanym wzrokiem na kuzynkę i na Jankesa. Zauważył już podczas poprzednich wizyt ten szczególny błysk w oczach Roberty na widok niektórych gości. Wiedział, że nie wróży to nic dobrego ani jemu, ani kapitanowi. Flirt wroga z Roberta to tak jakby zaglądać do lufy karabinu od niewłaściwej strony. Lepiej nie być po tej stronie, kiedy karabin wystrzeli.

Wytarłszy brudną rękę o równie brudne spodnie, Al wyciągnął ją do Jankesa.

- Dzięki serdeczne za podwiezienie, kapitanie. Mam nadzieję, że trafi pan z powrotem - Al wskazał na niebo, na którym przez gałęzie drzew przeświecało słońce. - Chyba się zanosi na deszcz. Lepiej niech pan wraca, zanim...

- To bez sensu, Al - przerwała Roberta. - Musimy choć odrobinę odwdziżyć się temu miłemu dżentelmenowi za jego uprzejmość. Na pewno chętnie odpocznie chwilę po tak długiej jeździe w tym upale. - Uśmiechnęła się do Cole'a ciepło. - Panie kapitanie, proszę bardzo do środka, tam jest chłodniej. - Kompletnie ignorując irytację kuzyna, otworzyła drzwi szerzej, zachęcając: - Tędy proszę.

Patrząc, jak oboje wchodzi do domu, Al zacisnął zęby ze złości, a w jego szarych oczach zamigotały płomienie. Podniósł ciężki kuferek i przetoczył się z nim przez drzwi. Po drodze uderzył się w łokieć i wymamrotał kilka wyrazów, które nie spotkałyby się z aprobatą kapitana. Na szczęście był zajęty Roberta, która prowadziła go do skąpo umeblowanego salonu.

- Kapitanie, proszę nam wybaczyć wygląd tego pokoju. Przed wojną prezentował się o wiele okazalej. - Posadziwszy gościa na krześle, sama przysiadła przed nim skromnie na brzeżku sofy pokrytej wyblakłym jedwabiem, wygładzając fałdy swej szerokiej krynoliny. - Byliśmy bogaci. Ale teraz mojemu ojcu został tylko mały sklep z różnościami, co ledwie pozwala związać koniec z końcem. Mało kogo stać na te ceny, jakich musi żądać. Proszę sobie wyobrazić, kostka mydła kosztuje całego dolara, a ja tak uwielbiam paryskie zapachy. Nie mogę już patrzeć na te prymitywne namiastki produkowane przez Dulcie.

- Tak, wojna odbiera ludziom wszystko, co najlepsze - skomentował ironicznie Cole.

- Nie była taka ciężka do zniesienia, póki nie nastał ten okropny generał Butler. Proszę mi wybaczyć bezceremonialność, kapitanie, ale strasznie go nienawidziłam.

- Jak większość południowców, panno Craighugh.

- Tak, lecz niewielu musiało przejść to, co my. Ten potwór zarekwirował magazyny mojego taty. Skonfiskował nawet nasze meble i kosztowności, bo tata nie chciał podpisać tej nieszczęsnej przysięgi wierności. Zabraliby nam nawet i dom, ale tata ustąpił dla bezpieczeństwa mojego i mamy. A potem ten straszny afront, gdy Butler wydał rozkaz, żeby traktować kobiety z naszego miasta mniej uprzejmie niż mężczyźni. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, by taki dżentelmen jak pan wydał taki rozkaz.

Cole znał na pamięć „Rozkaz ogólny nr 28”, który narobił tyle szumu wśród cywilów. Butler wydał go w celu uchronienia swych żołnierzy przed ich znieważaniem przez kobiety nowoorleańskie. Jednak posunięcie to przyniosło odwrotny skutek, jeszcze bardziej bowiem wzrosło współczucie dla Południa.

- A ja, panno Craighugh, nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł tak traktować panią.

- Muszę przyznać, że bałam się wystawić nos za próg domu, by nie narazić się na zaczepki. Naprawdę

poczułam ulgę, gdy armia Unii zmieniła Butlera na obecnego, sympatycznego generała. Słyszałam, że Banks wydaje wytworne bale i jest o wiele bardziej życzliwy dla ludzi. Czy był pan na którymś z tych balów, kapitanie?

- Niestety, jestem zbyt zajęty w szpitalu, panno Craighugh. Rzadko miewam wolny dzień dla siebie. Dziś miałem wyjątkowe szczęście. Po obchodzie porannym mogłem wziąć wolne popołudnie. Teraz wiem, że wygrałem los na loterii.

Al stał z boku, słuchając trajkotania Roberty i uprzejmych wypowiedzi kapitana. Usiłował ściągnąć wzrok kuzynki, jednocześnie nie zwracając na siebie uwagi jej rozmówcy. Ale szybko się zorientował, że jest ona zbyt pochłonięta zabawianiem oficera Unii. Postanowił więc przypomnieć jej o dobrym wychowaniu i z łoskotem upuścił swój kuferek na marmurową posadzkę. Roberta zerwała się.

- Och, Al, dziecko, ty musisz umierać z głodu, a do kolacji jeszcze mnóstwo czasu. Idź do Dulcie, niech ci na razie da coś przekąsić. - Uśmiechnęła się do Cole'a promiennie. - Dobry Boże, tak dawno nie przyjmowaliśmy gości, że niemal zapomniałam o dobrych manierach. Kapitanie Latimer, czy zechciałby pan zostać u nas na kolacji? Dulcie jest jedną z najlepszych kucharek w Nowym Orleanie.

Al przewrócił oczami z niedowierzaniem. Co ta Roberta wyczynia?

Zaskoczony propozycją, Cole zwlekał z odpowiedzią. Zazwyczaj tylko kobiety lekkiego prowadzenia zniżały się do znajomości z wrogami, a i one nie zawsze były dla nich miłe. Chociaż to oznaczało długie miesiące życia w celibacie, on sam wolał raczej nie zadawać się z żadną ślicznotką chowającą w zanadrzu nóż i popierającą konfederatów. Nie pociągało go też przespanie się z którąś z dam wypróbowanych przez liczne rzesze szeregowców Unii. Nie miał nic przeciw spędzaniu czasu z taką ładną panną, ale sprawę należało przemyśleć. Na przykład reakcję jej ojca. Wolałby raczej uniknąć zaplątania się w przymusowe małżeństwo.

- Nie chcę w ogóle słyszeć o odrzuceniu mego zaproszenia, panie kapitanie. - Roberta wyduła zmysłowo wargi, pewna, że nie odmówi. Przecież nigdy jeszcze nikt jej nie odmówił. - Podejrzewam, że tu, w Nowym Orleanie, nie zaznał pan wiele życzliwości.

- Trudno jej oczekiwać w naszej sytuacji - uśmiechnął się Cole.

- A więc postanowione - odparła Roberta radośnie. - Musi pan zostać. W końcu przywiózł pan Alę i mamy wobec pana dług wdzięczności.

Nie mogąc ponownie zwrócić na siebie uwagi Roberty, Al westchnął ciężko i udał się na tyły domu. Za duże buty stuknęły głośno o podłogę, manifestując upiornym echem jego przejście przez ogołocone ze sprzętów pomieszczenia. Z dawnej wspaniałości domu pozostał zaledwie cień. Al zwolnił kroku. Z bólem serca patrzył na puste ściany i kąty, kiedyś wypełnione kosztownymi drobiazgami. Nie było też słyhać zwykłej krzątaniny służby. Prawdopodobnie odeszli wszyscy niewolnicy z wyjątkiem Dulcie i jej rodziny.

Otworzył drzwi do kuchni i ujrzał czarnoskórą kobietę. Przygotowywała właśnie gulasz na wieczorny posiłek. Dulcie była potężna i grubokoścista, ale nie otyła. Co najmniej o głowę przewyższała Alę. Zauważywszy kątem oka wyrostka ze zmierzwioną czupryną, przerwała skrobanie marchwi i przetarła czoło wierzchem dłoni. Marszcząc czoło, zapytała podejrzliwie:

- Co ty tu robisz, chłopcze? - Odłożyła marchewkę i wstała, ze złością wycierając ręce w duży biały fartuch. - Chcesz dostać coś do jedzenia, to podejdź do tylnych drzwi, ale nie włóż się po domu pana Angusa jak jakiś wszechwładny Jankes.

Obawiając się, by ta przemowa nie dotarła do salonu, Al usiłował dać jej do zrozumienia, żeby była cicho,

wskazując na migi na fronton domu. Widząc jednak jej osłupiałą twarz, podszedł bliżej i dotknął jej ręki.

- Dulcie, to ja, Al...

- Do liiicha! - Pisk radości przeszył cały budynek i ścichł nagle, kiedy przerażony chłopak zakrył ręką usta kobiety.

W salonie Roberta spojrziała z niepokojem w kierunku kuchni, a Cole zrobił zdziwioną minę. Dziewczyna wyjaśniła nieśmiało, kryjąc się za wachlarzem:

- Al zawsze miał szczególne podejście do Dulcie.

Żeby uniknąć jakichkolwiek pytań, zajęła gościa ożywioną rozmową. Kolor jego munduru uznała już za nieistotny. Był mężczyzną w każdym calu. Widać to było w jego chodzie, mowie i gestach. Głęboki i miękki tembr głosu mężczyzny przyprawiał ją o miły dreszcz przebiegający po plecach. Miał gładkie i wytworne maniery, lecz wyczuwała, że nie tolerowałby żadnej zniewagi. Zachowywał się wobec niej swobodnie, ale przypuszczalnie tak samo zrelaksowany byłby w grupie mężczyzn. Dopiero co się poznali, a jego obecność już rozgrzewała jej krew w żyłach i ekscytowała ją myśl, że znów może być przez kogoś adorowana.

Biorąc pod opiekę małego włóczęgę. Cole zdążył już spisać ten dzień na straty. A tak rzadko się zdarzało, by obowiązki szpitalne pozwoliły mu choćby na wolne popołudnie. Teraz zaś nie mógł uwierzyć w tak wspaniałą obrót rzeczy. Oto siedział w chłodzie salonu, rozkoszując się miłą pogawędką z powabną kobietą. Takiej nagrody nie spodziewał się nawet za udzielenie pomocy napotkanemu sierocie. Relaksował się coraz bardziej, słuchając beztroskiej paplaniny Roberty. Jednak nie dane jej było trwać długo. Przerwał ją nagle odgłos zatrzymującego się przed domem powozu. Roberta zmarszczyła czoło z z troskaniem i zerwała się nerwowo, najwyraźniej przestraszona.

- Przepraszam pana, kapitanie. Zdaje się, że rodzice wrócili do domu. - Zamierzała pośpieszyć i przywitać ich w holu, ale drzwi rozwarły się z impetem i do środka wtargnął Angus Craighugh, a za nim jego małżonka. Angus, z pochodzenia Szkot, był niskim, krępy mężczyzną o ciemnych, siwiejących włosach i szerokiej, rumianej twarzy. Leala Craighugh, niskiego wzrostu, z wiekiem coraz bardziej pulchna, miała ciemne włosy lekko przyprószone siwizną i duże, ciemne, pełne lęku oczy. Była znerwicowaną kobietą. Zdenerwowanie wypisane na twarzach starszych państwa świadczyło, że oboje zauważyli wierzchowca z oznakami armii federalnej. Spodziewali się więc najgorszego.

Roberta nie miała już możliwości, by zatrzymać rodziców poza zasięgiem słuchu kapitana i wyjaśnić im jego obecność. On również podniósł się ostentacyjnie i stanął twarzą w twarz z oszołomionymi gospodarzami.

- Coś się stało? - zapytał Angus Craighugh. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku córki, ale nie dał jej czasu na odpowiedź, tylko ze wzburzeniem zwrócił się do oficera Unii. Zaciskając swą zawziętą, kanciastą szczękę, oświadczył gniewnie: - Drogi panie, moja córka nie ma zwyczaju przyjmowania młodych mężczyzn, a zwłaszcza Jankesów, bez należytej opieki. Jeśli ma pan jakąś sprawę do mnie, przejdźmy do mego gabinetu, gdzie nie będziemy przeszkadzać damom.

Cole zamierzał rozproszyć obawy pana domu, gdy wtrąciła się Roberta:

- Tatusiu, to jest kapitan Latimer. Spotkał w porcie Ala i był tak dobry, że go tu przywiózł.

Całkowicie zdezorientowany, Angus spojrział ponuro na swą jedynaczkę. Wyraz oburzenia na jego zarumienionej twarzy ustąpił konsternacji.

- Ala? Co to znaczy, Roberto? Jakieś twoje nowe błazeństwo?

- Tato, proszę cię. - Ujęła rękę ojca i wbiła w niego swe czarne błyszczące oczy. - On jest w kuchni, poszedł coś zjeść. Dlaczego nie pójdziecie z mamą go przywitać?

Dalej nic nie rozumiejąc, pan Craighugh zgodził się jednak z sugestią córki. Znalazłszy się znów sam na sam z Cole'em, Roberta odetchnęła. Posłała mu czarujący uśmiech i miała powiedzieć coś na temat upalnej pogody, gdy z tyłu domu dobiegł ich piskliwy okrzyk, a zaraz po nim wylał się potok bezładnej francuszczyzny. Roberta podskoczyła jak oparzona, ale szybko się opanowała, widząc, że kapitan biegnie w tamtą stronę.

- Nie, proszę! - jęknęła, chwytając go za rękę. Od konieczności dalszej interwencji wybawiło ją wejście ojca podtrzymującego żonę w stanie szoku i klepiącego ją po policzku. Matka dalej bełkotała coś niezrozumiale. Angus pośpiesznie złożył swój słodki ciężar na sofę i udało mu się jakoś powstrzymać potok jej wymowy.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zapytał Cole, podchodząc bliżej. - Jestem lekarzem.

- Nie! - padła krótka i zdecydowana odpowiedź. Odrzuciwszy pomoc, Angus opanował się nieco i ciągnął już spokojniej: - Nie, dziękuję. Proszę jej wybaczyć, przestraszyła się myszy. - Niezbyt przekonująco wzruszył ramionami.

Cole zdawał się akceptować to wyjaśnienie, dopóki nie spojrzał w stronę drzwi, w których stanął Al, opierając się o sztukaterię.

- A, już rozumiem - powiedział.

Roberta wykręcała nerwowo ręce i niespokojnie patrzyła na młodzieńca.

- Al tak się zmienił, że każdy by się przestraszył...

Tymczasem Leala wróciła nieco do siebie i starała się usiąść prosto. Unikając wzrokiem Ala, robiła wszystko, by się choć trochę opanować.

- Kapitanie, musi pan nam wybaczyć - odezwał się Angus z ociąganiem. Był wyraźnie spięty w obecności lekarza federalnego. - Nieczęsto tu gościimy oficerów Unii. Sądziliśmy, że szykuje się jakiś kłopot, a potem zaraz zobaczyliśmy tego... chłopca... Ala.

Młodzik wszedł niedbale do pokoju, powłócząc wielkimi butami po wytartym dywanie i uśmiechnął się, błyskając zębami w usmolonej twarzy. Wzruszając ramionami, począł się tłumaczyć:

- Przepraszam, wujku Angusie, ale nigdy nie byłem mocny w pisaniu listów, a zresztą jak bym go wysłał?

Angus lekko się wzdrygnął, słuchając chłopca, a Leala nie spuszczała z niego wciąż zdumionego wzroku.

- W porządku, Al - wykrztusił Angus. - Mamy ciężkie czasy.

Roberta uśmiechnęła się do Cole'a trochę niepewnie.

- Mam nadzieję, panie kapitanie, że nie bierze nas pan za bandę głupków z powodu tego przedstawienia.

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją uprzejmie Cole, choć podnosząc wzrok na szczupłego wyrostka, nie potrafił ukryć rozbawienia.

Angus stanął pomiędzy nimi, zasłaniając widok chłopca.

- Jesteśmy panu nadzwyczaj wdzięczni za przywiezienie Ala. Gdyby nie pan, nie wiadomo, jak mogłby skończyć.

Al ruszył rażno przez pokój, prowokując Jankesa do skomentowania. Cole uśmiechnął się szeroko i rzekł:

- Święta prawda. Osobiście przerwałem mu sprzeczkę z kilkoma żołnierzami.

- Ooch! - westchnęła Leala i zaczęła się energicznie wachlować.

Angus natychmiast zapytał ją troskliwie:

- Wszystko w porządku, mateczko?

- *Oui* - wykrztusiła i sztywno skinęła głową. - W porządku.

Zwrócił się więc do chłopca:

- Miałeś jakieś problemy? Nic ci się nie stało?

- Jasne, że nie! - Al zamarkował walkę na pięści. - W razie czego dałbym popalić tym niebieszczakom.

Wujek popatrzył na niego dziwnie.

- No tak - westchnął. - W każdym razie cieszę się, że jesteś tu cały i zdrowy. I że już po wszystkim.

Al uśmiechnął się chytrze.

- Jeszcze nie po wszystkim. - Oczy zebranych zwróciły się ku niemu i prócz kapitana pozostali wstrzymali oddech. Trzpiot uśmiechał się szeroko. - Roberta zaprosiła doktora na kolację.

Wachlarz Leali spadł z łoskotem na podłogę, a ona sama opadła z żalonym jękiem na sofę. Z niemą rozpaczą i niedowierzaniem patrzyła na swoje dziecko. Twarz Angusa także pociemniała z gniewu. Zapadła długa i nieprzyjemna cisza.

Cole zdecydował się rozładować tę przykrą sytuację.

- Dziś mam nocny dyżur w szpitalu, zatem obawiam się, iż nie mogę przyjąć zaproszenia.

- Och, kapitanie - zaprotestowała miaukliwie Roberta, nie zwracając uwagi na reakcję rodziców. - Musi pan przyjąć nasze podziękowanie za przywiezienie Ala. Kiedy znów będzie pan miał wolne?

Jej upór i determinacja bawiły Cole'a.

- Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, będę miał wolny wieczór w następny piątek.

- Więc musi pan przyjść do nas na kolację w następny piątek - słodkim głosem nalegała Roberta, nie bacząc na chmurne oblicze ojca.

Cole naturalnie widział niechęć jej rodziców, toteż zwrócił się do gospodarza:

- Tylko za pańskim pozwoleniem.

Ten zganił córkę spojrzeniem, ale nie chcąc się okazać nieuprzejmy, mógł tylko ustąpić.

- Oczywiście, kapitanie. Doceniamy przysługę oddaną przez pana chłopcu.

- Zrobiłem, co mogłem - odparł grzecznie Cole. - Zdawało mi się, że młodzikowi potrzebna jest czyjaś kuratela. Cieszy mnie, że jest już wśród rodziny.

- Aha - wtrącił Al ironicznie - o jednego bachora mniej na sumieniu. Was, niebieskobruchy, obciąża wystarczająco dużo krzywd sierot, i jeszcze macie czelność się puszyć w salonach, które opustoszyli wasi złodzieje...

Leala jęknęła drżącym ze strachu głosem i załamała ręce, patrząc rozpaczliwie na męża. Angus pospieszył, by nalać jej mocnej sherry i załagodzić szok. Wcisnął kieliszek w jej roztrzęsioną dłoń i poczekał, aż upije solidny łyk. Potem zganił wzrokiem Ala.

- Jestem przekonany, że kapitan Latimer nie miał do czynienia z takimi sprawami.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła Roberta, zerkając ukradkiem na Ala. Kapitan był najbardziej frapującą osobą, jaką spotkała od czasu zajęcia Nowego Orleanu przez Jankesów. Nie zamierzała pozwolić nikomu na odebranie sobie tej najlepszej pojawiającej się szansy w czasie, gdy ta nudna wojna zmuszała ją do staropanieńskiej egzystencji. Mało tego, postanowiła użyć wszelkich sztuczek, by ta znajomość przyniosła jej jak najpełniejszą korzyść. Opuściła kokietyjnie swe ciemne rzęsy i posłała Cole'owi uśmiech. Z przyjemnością zauważyła w jego

spojrzeniu owo ponadczasowe zainteresowanie mężczyzny mającego przed sobą ładną kobietę. Tak, ten już dojrzał do złowienia.

Obserwując rozwój sytuacji, Angus sztywniał i coraz bardziej czerwieniał ze złości. Patrząc mu prosto w oczy, Cole rzekł z uśmiechem:

- Ma pan piękną córkę. Już od bardzo dawna nie miałem szczęścia znaleźć się w tak uroczym towarzystwie.

Przez głośne pomrukiwanie Angusa przebiło się niezadowolone parsknięcie Ala, budząc zdziwienie kapitana. Cole był w stanie zrozumieć niechęć ojca Roberta, ale zachowanie chłopaka go zaskakiwało. Ich oczy spotkały się na długi moment: szare, zimne i drwiące, niebieskie, badawcze. Aroganckim ruchem chudzielec podszedł do sofy, na której siedziała Leala. Kieliszek z sherry stał obok na stoliku. Al uniósł go i pogardliwie wznosił toast do kapitana, po czym z wściekłością wypił całą zawartość.

- Al... - Głos Cole'a był przytłumiony i tylko chłopak wyczuł w nim groźbę. - Sprawiasz przykrość swojej cioci. Byłoby dobrze, gdybyś uważał na swe zachowanie. Poza tym w obecności dam należy zdjąć kapelusz.

Leala zaciskała nerwowo dłonie i patrzyła z przerażeniem na męża. Była o krok od ponownego wybuchu hysterii.

- Ależ nam to nie przeszkadza, kapitanie - wtrącił pospiesznie Angus, lecz Al już sięgał ręką do sfatygowanego kapelusza. Szare oczy przeszły Jankesa jak sztylety, po czym zerwany ze złością z głowy kapelusz przefrunął przez pokój. Roberta westchnęła. Angus zmartwiał z przerażenia, aż na chwilę zaniemówił, a potem wrzasnął:

- Co ci się stało, do licha?

Jego żona wydała ciężki jęk, przechodzący w zawodzenie. Rozłożyła szeroko ręce i złożyła je w geście błagalnym do niebios.

- Och, Angusie, Angusie, co ona zrobiła? Oooch!

Angus szybko nalał drugi kieliszek sherry i podał go żonie.

- Masz, Lealo, pij - rozkazał i z rzadko spotykaną bystrością umysłu dodał: - Roberta nic nie zrobiła. Tylko ten dumy chłopak znowu wyskubał sobie włosy.

Zgromiwszy młokosa spojrzeniem, rzekł do kapitana:

- Al zawsze miał obsesję, że inni biorą go za dziewczynę.

Siostrzeniec zakrztusił się nagle i odwrócił od nich. Angus powiedział doń szorstko:

- Alu, chyba powinienes się wykapać. Zajmij ten sam pokój co zwykle. I - wskazał na wiklinowy kuferek - weź ze sobą ten bagaż.

Po odejściu chłopca Angus pokręcił głową z dezaprobatą.

- Ta dzisiejsza młodzież! Do czego to doprowadzi? Nie znają żadnej dyscypliny - uniósł ręce w dramatycznym geście. - Robią, co im się podoba!

Cole próbował złagodzić nieco jego obawy.

- Ależ, proszę pana, on wygląda na dobrego chłopca. Owszem, jest trochę uparty i zawzięty. I nie domyty. To wszystko prawda. Ale na pewno wyrośnie z niego wspaniały mężczyzna.

Wiele miesięcy upłynęło, zanim Cole był w stanie zrozumieć, dlaczego Angus Craighugh zmarszczył wówczas czoło z tak głębokim zafrasowaniem.

Al położył swój wiklinowy kufer na łóżku i sam opadł bezwładnie obok. Na statku za posłanie służyła mu bela bawełny i nie mógł się nadziwić, jakim cudem coś, co z natury jest miękkie i puszyste, można zmienić w rzecz tak twardą i niewygodną. Nie zaznał na tym czymś zbyt wiele snu, jedynie krótkie i przerywane drzemki. Chwile wytchnienia przychodziły tylko o chłodzie wczesnego poranka. Potem robiło się coraz bardziej gorąco i parno, i musiał zachować nieustanną czujność, by jakimś nieostrożnym posunięciem nie zepsuć swego przemyślnego planu. Jak dotąd, dobrze mu szło. Nawet Roberta zdała egzamin.

Al wstał i zbliżył się do okna, by wyjrzeć. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i dwie córki Dulcie wciągnęły do pokoju niewielką mosiężną wannę. Nie wiedział, czy zostały o wszystkim uprzedzone, ale na wszelki wypadek nie odwracał się, bo Jankes był jeszcze na dole. Dziewczęta nie mogły się pohamować od ciekawskiego zerkania na szczupłą sylwetkę gościa, dla którego przygotowały letnią kąpiel. Nie padło jednak ani słowo. Zostawiły ręczniki, mydło i wyszły, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Brudne ręce zanurzyły się w wodzie i obmyły usmoloną twarz. Zmęczone wargi wydały głębokie westchnienie ulgi. Słabnący duch zaczynał odżywać. Szare oczy jakby wyraźniej ujrzały wnętrze pokoju. Zauważyły brak kilku mebli, ale to, co zostało, znały dobrze. Pokój zdawał się witać przybysza jak starego przyjaciela, przywołując miłe wspomnienia z dawnych lat. Były teraz potrzebne, by wymazać z pamięci te przykre z ostatniego czasu. I choć nie był to własny dom, stanowił najlepsze schronienie spośród tych, z którymi miał do czynienia w ostatnich dwóch tygodniach.

Szczupła postać powoli zbliżyła się do pękniętego lustra stojącego za wanną. Na zamyślanej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Ręce podniosły się mimowolnie i drobne palce rozgarnęły sterczące kosmyki rdzawych włosów. Buty pofrunęły w kąt, luźne spodnie szybko podzieliły ich los, a na nich spoczęła marynarka. Koszula sięgała prawie do kolan. Zwinne palce błyskawicznie uporały się z guzikami i ona też poszybowała na stertę.

Przed lustrem stała Alaina MacGaren w zwykłych, prostych pantalonach i obcisłej dziecięcej koszulce, która niemal zupełnie spłaszczyła jej młode piersi. Przeupocona i brudna bielizna dołączyła do reszty ubrań i dziewczyna mogła wreszcie odetchnąć swobodnie. Jej odbicie w lustrze demonstrowało, jak ostatni, trudny rok straszliwie ją odchudził. Nie lubiła wprawdzie przypominać sobie o tym, że wygląda na zagłodzoną, ale i nie martwiła się, bo właśnie to pomagało jej się maskować. Siedemnastoletnia dziewczyna paradowała w przebraniu wyrostka tuż przed nosem Jankesów. Nawet kapitan Latimer niczego nie podejrzewał.

Alaina z odrobiną irytacji przypominała sobie ciepłe i zyczliwe przyjęcie, jakie zgotowała kapitanowi Roberta. Zalotność jej kuzynki gwarantowała jego ponowne odwiedziny w domu Craighughów, a dla Alainy oznaczało to tylko kłopot. Będzie musiała wcielać się raz po raz w swą rolę bez żadnego uprzedzenia.

Poza tym należało rozważyć kwestię pracy. Widząc, że Craighughowie są na skraju nędzy, nie mogła pozostawać na ich utrzymaniu. Alaina postanowiła zarobić na siebie. Kapitan miał rację. Bardzo niewielu cywilów byłoby w stanie zapewnić jej płacę. Zresztą czy istniała lepsza kryjówka dla kobiety ściganej niż praca w szpitalu Unii w chłopcym przebraniu? Raz zaszczepiony pomysł przemawiał do jej wyobraźni.

Alaina przyjrzała się dokładniej swemu odbiciu. Jak długo będzie mogła udawać chłopca w tym jankeskim szpitalu? Czy nie zdradzi jej żaden szczegół urody? Wąski, zadarty i opalony przez słońce nos przyklejony do nieco zbyt kwadratowej twarzy czy wysoko osadzone kości policzkowe, choć filigranowe, mogły od biedy uchodzić za chłopcę? Nie stanowiły też problemu duże, nieco skośne, tryskające energią szare oczy, w oprawie jedwabistych czarnych rzęs. Ale usta! Były stanowczo za miękkie, zbyt różowe i delikatne. Zupełnie nie chłopcę!

Ze skupieniem wykrzywiła je na różne sposoby, aż uśmiechnęła się ze ściśniętymi ustami. Mam! - pomyślała. Jeśli będę mocno zaciskała wargi, powinno się udać.

Alaina studiowała rysy twarzy wyłącznie pod kątem możliwości zamaskowania swej płci. Pomimo najlepszych starań matki przez całe dzieciństwo zachowywała się jak chłopak. Potem przedwczesne obciążenie obowiązkami, skąpa dieta i ciężka praca zwolniły tempo jej przemiany w kobietę. Uśpiona kobiecość cierpliwie czekała, aż nadejdzie jej pora. Teraz ważne było, by przetrwać. Dziewczęce marzenia Alaina odłożyła na później. Kierując się potrzebą sytuacji, z żelazną konsekwencją zajmowała się tylko tym, jak najlepiej odegrać przybraną rolę. Nie zaprzętała sobie głowy myślą, że kiedyś te same, dziś niewygodne rysy jej twarzy mogą zawrócić w głowie jakiemuś mężczyźnie.

Rozmyślenia Alainy przerwał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych. Podeszła do żaluzji w oszklonych drzwiach balkonowych, by dyskretnie wyjrzeć na trawnik przed domem. Pojawił się na nim kapitan Latimer. Szedł w kierunku swego konia, zakładając kapelusz. Alaina musiała przyznać, aczkolwiek niechętnie, że prezentował się wspaniale i wyjątkowo męsko. Wysoki, szczupły, wyprostowany i muskularny, wyglądał w mundurze postawnie i dostojnie jak mało który mężczyzna. Była nawet skłonna przyznać, że jest całkiem przystojny. Miał zdecydowane, wyraźne rysy i żywe niebieskie oczy. Ale był Jankesem, a to w mniemaniu dziewczyny było niewybaczalnym grzechem. Dała więc sobie z nim spokój i wróciła do przerwanej kąpieli. Może Roberta była nim zauroczona, ale ona na pewno nie. Nie akceptowała go tak samo jak aroganckiego porucznika, który przed kilkoma miesiącami w Briar Hill groził, że ją powiesi za szpiegowanie. Zresztą, gdyby kapitan Latimer znał prawdę, pewnie postarałby się dla niej o taki sam koniec.

Zanurzywszy się w wodzie, posługując się domowej produkcji mydłem, Alaina przystąpiła ochoczo do szorowania skóry i mycia skołtunionych włosów. Ich obcięcie było w tym wszystkim najtrudniejsze, ale pozostawienie na głowie długich, miękko opadających loków byłoby zbyt wielkim ryzykiem. Poszła więc do starej stodoły nad rzeką i obcięła je jak najkrócej, tak żeby jej nie zdradziły, gdyby podmuch wiatru zerwał jej przypadkiem z głowy kapelusz.

Jakże niewinnie to wszystko się zaczęło! Na początku żołnierze Konfederacji prosili tylko o jedzenie i dach nad głową. Zatrzymywali się czasem na jedną lub dwie noce, by wypocząć przed dalszym marszem. Matka przyjmowała ich wszystkich serdecznie, a po śmierci Glynis MacGaren robiła to dalej Alaina w nadziei, że gdzieś tam jakaś inna kobieta może tak samo pomaga jej bratu Jasonowi, jedynemu, który jeszcze ocalał z luizjańskiej rodziny MacGarenów. Po przejściu Banksa i jego hien przez Alexandrię niewiele tam pozostało. Jednak w zdewastowanym przez Jankesów Briar Hill Alaina nadal dzieliła się czym tylko mogła. Z górą dwa tygodnie wcześniej w stodole umarł młody żołnierz, powierzając jej list dla generała Richarda Taylora. Dostarczenie go do obozu konfederatów wydawało jej się całkiem proste. A jednak okazało się dla niej nieszczęściem. Potraktowany przez nią nieco uszczypliwie najstarszy syn mieszkającej po sąsiedzku jednej z rodzin spośród białej biedoty śledził ją przez całą drogę do obozu i z powrotem. Przyszedł potem z propozycją: skoro została sama bez żadnej opieki, on ożeni się z nią i zostanie panem domu MacGarenów. Musiał rejterować w popłochu, gdyż Alaina wyciągnęła pistolet ojca i wycelowała prosto w niego. Jednak odrażony zalotnik nie tracił czasu i natychmiast doniósł Jankesom o jej wyprawie, otrzymując niezłą sumkę za swą lojalność.

Jeszcze większą goryczą wypełniało serce Alainy wspomnienie jankeskiego porucznika, który nawiedził ją w Briar Hill w towarzystwie kilku czarnoskórych żołnierzy na koniach. Siedział wyprostowany w siodle i z

rozbawieniem patrzył, jak tamci ją otoczyli, płosząc prowadzoną przez nią mleczną krowę. Kiedy porucznik miał już dość jej buntowniczego spojrzenia, polecił oschle swoim ludziom sprawdzić, czy w zabudowaniach gospodarczych nie ukrywają się żołnierze konfederacy. Sam zaś ostrzegawczo rozpiął kaburę pistoletu i kazał się prowadzić do środka domu, gdzie zaryglował drzwi i uczynił jej nader obraźliwą propozycję.

Alaina odparła szorstko i pogardliwie, że zgodzić się może tylko w dzień na tyle zimny, by to jego pewne miejsce zamarzło mu na kość. Bojowy porucznik zapomniał o swej wrodzonej delikatności i próbował ją wziąć siłą. Słyszając jej krzyki, służący Saul włamał się do domu przez tylne drzwi. Na widok olbrzymiego Murzyna tchórzliwy amant uciekł jak pies z podkulonym ogonem, wołając swych ludzi i odgrazając się, że pośle ją razem z tym przeklętym czarnuchem na szubienicę. Wyraźnie i dobitnie porucznik zapowiedział, że jeszcze tu wróca. Na koniec, zanim odjechał alejką, wyjął pistolet i strzelił krowie między oczy. I jeśli nawet jego groźby nie przstraszyły zbytnio Alainy, to widząc takie nieuzasadnione okrucieństwo, aż zamarła z przerażenia. Tak bezwzględnie i małostkowo się zemścić to wprost nieludzkie.

Alaina do tej pory czuła ból na myśl o opuszczeniu domu. Zdawało jej się, że minęły już całe wieki od chwili, gdy wrzuciła, co się dało, do starego kuferka i przebrana za chłopca usiadła za Saulem na grzbiecie jedyne pozostałego w Briar Hill konia. Ponad tydzień włóczyli się po okolicy, ukrywając się przed oddziałami Unii. Raz tylko odważyli się wrócić do domu wczesnym rankiem po żywność. Potem, w Baton Rouge, Saul niosący chlebak z cennym jedzeniem miał właśnie przejść przez ulicę i douczyć do niej, gdy zatrzymał go czyjś okrzyk. Alaina rozejrzała się i dojrzała biegnącego w jego stronę porucznika, przywołującego na gwałt innych żołnierzy, by złapali Murzyna. Niewielu było zdolnych złapać i utrzymać takiego siłacza, zdołał więc im umknąć, znikając gdzieś w drugim końcu ulicy. Alaina cofnęła się w boczną uliczkę i dopiero gdy miała pewność, że nikt jej nie ściga, wsiadła na konia i szybko się oddaliła. Przez całą noc czuwała, przemierzając ulice w poszukiwaniu Saula, wreszcie wyjechała za miasto. Nie znalazła go. Po dwóch dniach przeszukiwania okolic, żywiąc się jedynie kilkoma garstkami ziarna z opuszczonego pola, sprzedała konia i kupiła bilet na statek płynący do Nowego Orleanu.

Wspomnienia potęgowały tęsknotę za domem, toteż Alaina świadomie skierowała myśli na mniej przykre sprawy. Pospiesznie dokończyła kąpiel i założyła z powrotem wytarty przyodziewek, po czym wypakowała swój skromny dobytek. Czarna suknia, którą nosiła w dniu pogrzebu mamy, była najlepsza, jaką miała. Pozostałe dwie, muślinowe, były już bardzo połatane. Przypomniała sobie ze zgrozą, jak ten dumy żołnierz w porcie omal nie otworzył kuferka i jak się bała, żeby jej nie spadł, gdy siedziała na koniu za kapitanem Latimerem. Trudno byłoby wytłumaczyć, skąd u młodego chłopca waliza pełna damskich ubrań. Kapitan był tak pewien, że pomaga małemu, osieroconemu chłopcu. A tymczasem ocalił młodą kobietę uważaną przez przedstawicieli jego własnej armii za szpiega i ściganą jak niebezpieczne zwierzę.

Rozległo się lekkie stukanie do drzwi i gdy powiedziała: „Proszę”, do pokoju wkroczyła Leala, a tuż za nią Angus i Roberta.

- Alaina, dziecko! Ale mnie przstraszyłaś! - zbesztła ją czule starsza pani i ucałowała w czoło, gdzie kosmyki włosów już skręcały się, wysychając. - I twoje włosy! Twoje piękne włosy! Gdzie się podziały?!

- Dlaczego wyjechałaś z Briar Hill? - dopytywał się Angus. - Kiedy byliśmy na pogrzebie mamy, mówiłaś, że chcesz tam zostać. To już prawie rok od śmierci Glynis. Cóż tak zmieniło twoje plany? Chyba Jason nie...

- Nie! - Alaina nie dopuszczała myśli, by najstarszy brat mógł zginąć, tak jak ojciec i drugi brat, Gavin. - Nie - powtórzyła już spokojniej. - Tylko gdy Jankesi zajęli Alexandrię, zniszczyli nam pola i zburzyli szopy, naszych

niewolników wcielili do armii, zarekwirowali bydło i konie, tak że nic już nie zostało, by się utrzymać. Saul zdołał ukryć przed nimi jednego konia, ale musiałam go sprzedać, żeby tu dojechać. Ach, zabrali nam nawet muły, nie wiem, czy do jazdy, czy na rzeź - opowiadała, chodząc po pokoju i gestykulując, czasem zaciskając szczupłe dłonie, gdy wspomnienie było szczególnie przykre. - Nie wiem, co się stało z Saulem. Jeśli złapał go ten porucznik, to albo już nie żyje, albo siedzi w więzieniu.

- Ale co zamierzasz robić dalej, moja droga Lainie? - spytała Roberta z szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

Angus odchrząknął i, nie widząc innego wyjścia, oświadczył wielkodusznie:

- Oczywiście zostanie tu z nami. Co innego może zrobić?

- Ale, tatku - zauważyła Roberta błagalnym tonem. - Kapitan Latimer z pewnością tu jeszcze przyjdzie. Co sobie pomyśli, gdy okaże się, że Al jest w rzeczywistości dziewczyną?

- Nie powinnaś go była zapraszać, Roberto - mruknął ojciec z dezaprobatą.

- Och, tatku. - Roberta uśmiechnęła się i z czułością uszczypnęła go w policzek. - Pomyśl o tym wszystkim, co on może dla nas zrobić. Czyż nie pora, żebyśmy zaczęli brać od Jankesów, zamiast oddawać im wszystko, co mamy? Czy nie dość u nas nakradli? Jak zdołamy się utrzymać, jeśli funt masła kosztuje cztery dolary, a tuzin jajek pięć dolarów? Dulcie coraz rzadziej chodzi na targ francuski, a twoi klienci coraz mniej kupują i coraz skąpiej płacą. Od miesięcy nie dostałam nowej sukni, prawda, a teraz jeszcze dochodzi nam jedna gęba do wyżywienia.

- Roberto! - wykrztusiła jej matka.

Jeśli Alaina miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do konieczności znalezienia pracy, bezceremonialność Roberty umocniła ją w tej decyzji.

- Nie zamierzam być dla was ciężarem - oznajmiła. - Kapitan Latimer szuka chłopaka do pracy w szpitalu, a ja mam zamiar przyjąć jego propozycję jako Al.

- Nie zrobisz czegoś takiego! - Leala była przerażona. - Nie słyszałam jeszcze nigdy o czymś tak absurdalnym! Żeby młoda, niewinna dziewczyna pracowała dla brudnych Jankesów! Ach, twoja droga mama straszylaby mnie po nocach, gdybym się na to zgodziła. Biedna Glynis, tak wierzyła, że wychowa cię na damę. A teraz, spójrz na siebie! *Ma petite*, do czego to cię doprowadziło? - Kobieta zalała się łzami, nie mogąc znieść tego, co ta straszna wojna zrobiła z jej siostrzenicą.

- No, mamó - uspokajała Lealę Roberta, klepiąc ją po ramieniu.

Choć zawsze raczej chuda i koścista, Alaina swym wdziękiem i inteligencją nieustannie przyciągała do siebie tłum młodych mężczyzn, a Roberta nie zniosłaby rywalizacji ze swą kuzynką o męskie względy. Natomiast Alaina przebrana za chłopca to dla niej żadna konkurencja. Byłaby to nawet dość zabawna sytuacja. I tak jak na kuzynkę ze wsi Alaina była zawsze trochę zbyt zarozumiała. - Jankesi nie poznają Lainie. Będą ją brali za chłopca, Ala, i już. Ona tak dobrze gra tę rolę, że nikt się nie zorientuje. A jakie to świetne oszustwo wobec tych obrzydliwych Jankesów!

Angus milczał, choć w duchu zgadzał się z żoną. Jego siostra, Glynis, często skarżyła się, że Alaina jest za mało delikatna. Zawsze wolała dokazywać z braćmi. Angus nie miał żadnych wątpliwości, że w jeździe konno i strzelaniu dorównuje większości mężczyzn. Jeśli zatem komuś miała się udać taka maskarada, to tylko Alainie.

Alaina patrzyła melancholijnie na spływające po szybach długie strumyki deszczu. Już samo znalezienie właściwego szpitala było wystarczająco czasochłonne, ale czekanie na kapitana Latimera ciągnęło się w nieskończoność. Zaczynała wątpić, czy ktoś w ogóle powiadomił doktora, że przyszedł Al w sprawie pracy. Ale czego może oczekiwać wyrostek z usmoloną twarzą, usiłujący skontaktować się z obciążonym pracą chirurgiem? Gdybym przyjechała ubrana w krynolinę i dopasowany do niej kapelusz - pomyślała Alaina - poszłoby mi znacznie lepiej.

Pokój, do którego ją poproszono, służył zapewne lekarzom do wypoczynku. Wąskie łóżko polowe i nieliczne, proste meble świadczyły jednak, że spędzali tu niewiele czasu.

Wreszcie w holu na zewnątrz dały się słyszeć energiczne kroki, które nagle ucichły pod drzwiami pokoju. Alaina szybko zeszła z wysokiego stołka, na którym przysiadła, i stanęła z kapeluszem w ręce na wprost wchodzącego kapitana Latimera. Widząc jego chmurną minę i zmarszczone brwi, nagle zdała sobie sprawę, jaką głupotą było przyjście tutaj. Mogła myśleć różne rzeczy o kapitanie Latimerze, ale na pewno nie był głupcem. Jak długo uda jej się ukrywać przed nim prawdziwą płęć pod maską niedomytego wyrostka?

Lecz gdy kapitan rozpoznał chłopca, złość z powodu oderwania go od obowiązków znacznie zmalęła. Podeszedł do umywalki, zdjął długi, zakrwawiony biały fartuch i wrzucił go do kosza na brudy. Dopiero wtedy spojrzał na chłopca.

- Przynajmniej nauczyłeś się paru dobrych manier od naszego ostatniego spotkania - stwierdził lakonicznie. Widząc zmieszanie przybysza, wskazał na jego sfatygowany kapelusz.

- Ja sobie myślałem o tej tam pracy, co pan obiecywał - zaczęła uprzejmie Alaina, choć gotowało się w niej, że musi o coś prosić Jankesa. - Mój wujek rzeczywiście nie da rady nakarmić jeszcze jednej gęby. No to chyba tak powinienem zrobić. Znaczący, jeśli jeszcze mnie tu potrzebujecie, psze pana.

- Oczywiście, że cię potrzebujemy. Jeśli możesz, zaczynaj natychmiast. - Kapitan uśmiechnął się przelotnie, widząc błyskawiczne kiwnięcie głową. - Dobrze, więc pokażę ci, co trzeba robić, i muszę wracać do pracy. Kilka mil w górę rzeki doszło do zasadzki na statek i właśnie przywożą rannych. Zdaje się, że twoi ziomkowie mają trudności z odróżnieniem naszych mundurów. Razem z żołnierzami przywieziono kilku cywilnych pasażerów.

Alaina wzdrygnęła się i parsknęła.

- Ci jak-im-tam cywile to zwykli rabusie! Jadą w górę rzeki, żeby kraść bawełnę z plantacji, a wy, niebieskobrzechy, siedzicie i patrzycie na to.

Cole nalał wody do porcelanowej miski i spojrzał z ukosa na brudnego młodzika.

- Są, jacy są, ale to też ludzie.

- Uhm! Powiedzmy! - burknęła Alaina ze wzgardą. - Ja tam nie będę nad nimi płakał.

- Więc może nie powinienem ci ufać - stwierdził Cole, zdejmując koszulę i ochlapując chłodną wodą twarz i ramiona. Błysnął zawieszony na długim łańcuszku na szyi mały złoty medalion, aż plamy światła zatańczyły na ścianie. - Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wyrządzisz jakiejś krzywdy naszym żołnierzom.

Szare oczy zwęziły się.

- Jeśli tylko nie będę musiał żadnego z nich niańczyć, zrobię, co do mnie należy, i to dobrze - zapewniła ochoczo dziewczyna. - O to niech się pan nie martwi. Oczywiście... - wyrzucając z siebie ostatnie słowo, przeszła kapitana zjadliwym wzrokiem. Gdyby nie jej nastawienie, nawet podobałby jej się ten mężczyzna o owłosionej klatce piersiowej i wspaniałej grze mięśni na piersiach i ramionach. Ale ona nienawidziła Jankesów z całego serca.

- Jeśli pan uważa, że pana ludziom może zagrażać biedna sierota, no to lepiej niech mnie pan nie zatrudnia.

Cole roześmiał się w głos z zuchwałości chłopca. Już dawno doszedł do wniosku, że Al jest prostoduszny i uczciwy, choć znacznie brudniejszy od przeciętnego chłopca w tym wieku.

- Zdawało mi się, że wujek kazał ci się umyć.

Alaina zacisnęła zęby ze złości.

- Pokaż mi, niebieskobruchu, co mam tutaj umyć, to umyję, ale mnie zostaw w spokoju. Trochę brudu jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Cole mruknął szyderczo:

- Spod tego brudu nie widać nawet, jak wyglądasz.

- Nie musisz wiedzieć, Jankesie. Że sam uwielbiasz wodę i kąpiel, nie znaczy, że ja muszę naśladować twoje wady. - Alainie wcale nie podobał się sposób, w jaki kapitan lustrował jej umorusaną twarz oraz umywalkę. Zapytała oschle: - To co mam tutaj robić?! Mówił pan, że musi wracać do pracy, no nie?!

Cole założył z powrotem koszulę i zarzucił na nią czysty biały fartuch. Oprowadził Ala po ośmiu oddziałach szpitala. W każdym zatrzymywał się na chwilę, by udzielić zwięzłych instrukcji, czego od niego oczekuje. Oddziały znajdowały się w dużych salach, przepelnionych łózkami, na których leżeli obandażowani mężczyźni. Pod łózkami zebrała się gruba warstwa kurzu, a na podłodze walały się stare, brudne opatrunki.

- Jeszcze nie ustaliliśmy pensji - zauważyła Alaina. - Ile mi pan będzie płacił?

- Tyle, co każdemu żołnierzowi Unii - odparł Cole. - Jeden dolar dziennie plus utrzymanie.

- Będę tu jadł - oświadczył Al stanowczo - ale nie będę nocował, więc da pan dolar dziesięć i interes ubity.

- W porządku, niech będzie - zgodził się Cole, nieco rozbawiony. - Ale radzę ci się starać.

Alaina tylko wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru płaszczyć się przed cholernym Jankesem. Gdy kapitan wyszedł, nie zwlekając napełniła wiadro wodą ze zbiornika i zeszkrobała do niej trochę płatków z kostki ługowego mydła. Gęstą szczotką wygarniała sterty brudu i śmieci z każdego kąta, spod każdego łóżka, stolika i krzesła. Pochłonięci swym cierpieniem żołnierze przeważnie nie zwracali uwagi na krzątającego się w pobliżu chłopaka o zaciśniętych ustach. Bardzo rzadko któryś próbował zamienić z nim parę słów, jednak Al wcale nie był skłonny do nawiązywania kontaktu, toteż ich wysiłki kwitowało na ogół milczenie i pospieszne wyjście chłopca do innej sali.

Po całym dniu pracy dwa oddziały były czyste. Brud zbierał się w nich od kilku tygodni, nawet się już do niego przyzwyczajono. Zbliżał się zmierzch, gdy Alaina zmęczonym wzrokiem ogarnęła dokładnie wyszorowane podłogi. Kolana miała poobcierane, ręce poparzone od żrącego mydła. Przed nią zaś pozostawała ponura perspektywa wysprzątania pozostałych sześciu oddziałów. Ale te, postanowiła twardo, muszą poczekać do jutra. Nawet jak na chłopca był już czas wracać do domu, a nie chciała przemierzać ulic po ciemku.

Lekko zmordowana wlokła się korytarzem w swych za dużych butach. Ale przynajmniej wyraźnie widać było efekty jej ciężkiej pracy. Dwa oddziały wprost lśniły czystością. Umyte podłogi i okna, odkurzone stoły. Nawet kapitan Latimer nie miałby się chyba do czego przyczepić. Nie widziała go od samego rana, ale może to i lepiej. O ile dwa oddziały szpitalne były czyste, o tyle nie dało się tego powiedzieć o niej samej, a jemu najwyraźniej nie odpowiadał jej brak schludności.

Powrót do domu na kościstym grzbiecie staruszka Tara, pożyczonego od wujka, nie dał jej ani trochę odpoczynku. Kiedy przyjechała, tylne drzwi otworzyła jej Roberta, elegancko uczesana, w muślinowej sukni koloru mięty. Alainę przykro ukłuł kontrast pomiędzy nimi. Ona, by zatuszować swe błyszczące, kręcone włosy,

rano przed wyjściem z domu wtarła w nie błotnistą maź z ziemi, tłuszczu i wody. Marzyła o zmyciu z głowy tej ohydnej skorupy. Mijając Robertę, ukryła zaczerwienione dłonie z połamanymi paznokciami i pospieszyła, by zamknąć się w małej spiżarni obok kuchni. Ze względu na znacznie uszczuplona ilość domowych zapasów w tym sporym pomieszczeniu urządzono łazienkę dla całej rodziny. Było to bardzo wygodne, bliskość kuchennego paleniska ułatwiała bowiem przygotowanie gorącej kąpieli. Tu właśnie Alaina spędzała większą część wieczoru, podczas gdy rodzina jadła kolację. Tu nie musiała się spieszyć. Myła głowę, czyściła paznokcie, wcierała w spracowane dłonie kojącą maść. Tu mogła sobie pozwolić na odrobinę relaksu. Po całodziennym udawaniu chłopca dla ocalenia wolności powrót do dziewczyny sprawiał jej wielką przyjemność. I tu, gdzie zawiodły starania jej matki, przymusowe oblekanie się w chłopięce szatki zrobiło swoje. Alaina teraz marzyła o tym, żeby móc stać się damą.

Piątego dnia pracy w szpitalu Alaina zaczęła od nowa sprzątać pierwszych dwóch oddziałów. Teraz już szło jej szybciej, bo nie były zapuszczone. Żołnierze nauczyli się wyrzucać śmiecie do rozstawionych przez nią pustych puszek. Kilku z nich, straszliwie znudzonych szpitalną egzystencją, zaczęło jej nawet pomagać.

Ku jej niezadowoleniu podczas południowego posiłku kapitan Latimer wziął swój talerz z jedzeniem i przysiadł się do niej. Zmierzyła go złym spojrzeniem i widząc, że wszystkie pozostałe stoliki w kantynie są wolne, a oni są tam tylko we dwoje, spytała:

- Co jest, niebieskobruchu, nie ma miejsca gdzie indziej?

- Wybacz mi, Al, nie wiedziałem, że wolisz jadać w samotności - przeprosił oschle kapitan, ale nie zmienił stolika.

- A po co bym tu przychodził tak późno? - padło impertynenckie pytanie. - Uważam, z jakim stworzeniem jem. Mój żołądek nie znosi na przykład tchórzy.

- Przestań pyskować i jedz - rozkazał Cole krótko. - Jeśli nie będziesz jadł z należytą uwagą, nie urośniesz zbyt wiele. - Cole wskazał na skórzaną sakwę leżącą na stole obok talerza Ala. - Co w tym nosisz?

- A co panu do tego?

Kapitan niedbale wzruszył ramionami.

- Tak tylko jestem ciekaw. Nie jest to, jak sędzę, ubranie na zmianę, bo nie widziałem cię nigdy w innym niż to, co masz na sobie.

- Jeśli chce pan wiedzieć, to wiktuały - mruknął Al. - Czego nie zjem tu, zabieram do domu - zerknął na doktora i potarł nos końcem szczupłego palca. - Ma pan coś przeciwko?

Cole zaprzeczył i upił łyk kawy, po czym sięgnął pod poły fartucha i wyjął cienką brązową kopertę z oficjalną pieczęcią w miejscu jej zaklejenia. Rzucił ją na stół. Na kopercie było napisane „Al Craighugh”.

- Co to? - spytała podejrzliwie Alaina.

- Twoja tygodniówka.

Otworzyła kopertę.

- Ale tu jest siedem dolarów - zauważyła po przeliczeniu.

- Skarbnik zdecydował się zaokrąglić sumę. Zasłużyłeś. - Patrzył, jak chłopak ostrożnie zawiązuje pieniądze w spraną chusteczkę. Przez dłuższą chwilę kapitan jadł w zadumie, po czym zapytał: - Co zrobisz z tym bogactwem? Kupisz sobie nowe ubranie?

- Połowa idzie dla wujka Angusa za mieszkanie, z reszty oszczędzę ile się da - objaśniła sucho Alaina.

- Gdybyś chciał zarobić trochę pieniędzy dodatkowo, mam kwatery w apartamentach Pontalba i przydałby mi się ktoś do sprzątnięcia w tygodniu, kiedy jestem na dyżurze.

- Na pewno mi pan ufa, Jankesie? - rzuciła Alaina zaczepnie.

- Chcesz tę pracę czy nie? - zniecierpliwiał się Cole.

- Jak daleko do tych, jak im tam?

- Apartamentów - odpowiedział Cole. - To przy placu Jacksona. Wiesz, gdzie to jest, prawda?

- Tak jest. - Alaina skinęła głową. - Jak mam wejść do środka?

- Dam ci klucz - odparł kapitan z nutą pokpiwania, sięgnął do wewnętrznej kieszeni po wymieniony przedmiot i podał go chłopcu. - Ja wezmę drugi od właściciela, więc możesz ten zatrzymać. Chciałbym, żebyś tam zaprowadził taką czystość jak w szpitalu, i zapłacę ci za to trzy dolary tygodniowo.

- Trzy dolary na tydzień? - powtórzyła zdumiona Alaina. - To pan jakiś bogacz czy co?

- Stać mnie na ciebie.

Alaina wzruszyła ramionami.

- Co za różnica, bogaty czy nie. Wysprzątam panu mieszkanie i nic nie ukradnę.

- Nie podejrzewam cię o to. Chcesz zaliczkę?

- Poczekam. Poza tym lepiej niech pan trzyma, ile się da, na wypadek gdyby generał Taylor zdobył Nowy Orlean. Przyda się na wykupienie miejsca na cmentarzu, jak pana złapią południowcy.

- Będę się martwił, jeśli przyjdzie taki czas, o ile w ogóle przyjdzie - odparował kapitan.

Alaina wstała i podciągnęła spodnie.

- Wracam do pracy, Jankesie. Nie powiem, żeby mi się z panem miło rozmawiało.

Patrząc za wychodzącym powoli chłopcem. Cole mimo woli się uśmiechnął. Ten wyrostek potrafił być czasem nieznośny, ale było w nim coś sympatycznego. Jednak trudno było określić, co.

Mijał dzień za dniem i Roberta z rosnącą niecierpliwością wyczekiwała umówionego wieczoru, kiedy to ją i jej rodziców miał odwiedzić Cole Latimer. Wielokrotnie sprawdzała, czy jej najlepsza suknia jest bez skazy i nie zepsuje niczym jej wspaniałej prezencji. Nie tylko sama Roberta musiała być wypielegnowana i wymuskana, ale i dom. W przeddzień zapowiedzianej wizyty kapitana zbesztala Dulcie za to, że jadalnia i salon nie były sprzątnięte od dwóch dni.

- Jakby nie było ważniejszych spraw - utyskiwała Murzynka - tylko szykowanie domu na przyjęcie Jankesa.

Czas mijał i jak można było się spodziewać, ku wielkiemu niezadowoleniu Alainy, nadszedł wreszcie dzień wyzwania dla Roberty. Podczas gdy starsza kuzynka spała jeszcze smacznie za starannie zsuniętymi zasłonami, młodsza wyprowadziła z boksu protestującego staruszką Tara, wsiadła na jego ostry jak brzytwa grzbiet i cierpliwymi kuksańcami zmuszała go do niechętnego człapania w stronę szpitala. Kiedy oporne konisko rozpoznało kierunek, przeszło do regularnego truchtu, trzęsąc, aż kości grzechotały, sapiąc i chrząkając. Trwało to tak długo, aż zwierzę wreszcie zrozumiało, że żadnymi sztuczkami nie wymusi powrotu do wygodnej stajni.

Choć był jeszcze wczesny ranek, gdy Alaina dotarła do szpitala, przed wejściem stał już rząd ambulansów, z których sanitariusze wyciągali dziesiątki rannych. Alaina domyślała się przyczyny. Wprawdzie od połowy lipca żegluga na Missisipi była otwarta dla statków federalnych i Baton Rouge uchodziło za bezpieczne, ale generał

Taylor rekrutował konfederatów w Luizjanie i właśnie dawał o sobie znać, nękając zewnętrzne skrzydła armii jankeskiej nieustanną partyzantką.

Nie mogąc znieść wszechobecnego widoku krwi, Alaina usunęła się z przepełnionych rannymi korytarzy. Kapitana Latimera widziała ostatni raz tego rana, gdy przeglądał rannych i decydował, kto może poczekać jeszcze kilka godzin lub nawet dni. Tych ostatnich było bardzo niewielu, gdyż do szpitala odwożono tylko najciężej rannych. Resztę opatrywano w szpitalach polowych bliżej frontu.

Mijały poranne godziny. Alaina unikała skrzydła chirurgicznego, w którym z godziny na godzinę gęstniał odór chloroformu. Jak kapitan będzie w stanie zablysnąć dziś wieczór w roli gościa Roberty, Alaina sobie nie wyobrażała. Nie miała zamiaru uczestniczyć w tej kolacji, więc będzie musiała nieco poczekać na informacje o jej przebiegu.

Po południu było jej coraz trudniej unikać widoku nowo przybyłych rannych, bo wypełniali oni już prawie wszystkie oddziały. Mogła tylko przestać pracować. Kontynuowała jednak swe obowiązki i często odwracała wzrok, gdy właśnie odsłaniano otwartą, krwawiącą ranę. Od odoru gnijącego ciała jej żołądek ścisnęła konwulsje. Ale widoku krwawiącego kikuta kończyny nie wytrzymała. Wybiegła na zewnątrz najbliższymi drzwiami, ręką przytrzymując usta, wstrząsana torsjami. Pechowo się złożyło, bo akurat kapitan wyszedł na chwilę z budynku, żeby odetchnąć, i siłą rzeczy był świadkiem, jak w upokarzający sposób zwracała lunch pod krzakiem. Zbyt zażenowana, by spojrzeć mu w oczy, przyjęła ofiarowaną chusteczkę, którą zmoczył w korycie z wodą. Trzęsącą się ręką otarła czoło i twarz wilgotnym, chłodnym materiałem. Potem na moment zebrała się na odwagę i popatrzyła na kapitana.

- Już lepiej? - zapytał z przejęciem.

Zraniona duma nie pozwoliła Alainie wybaczyć kapitanowi, że musiał się akurat napatoczyć, by zobaczyć jej poniżenie.

- Jest mi pan winien trzy dolary, Jankesie.

- Naturalnie. - Nie mogąc pohamować uśmiechu. Cole oduczył banknoty i wręczył jej, dodając żartobliwie: - Powiedziałbym, że masz większą żyłkę do sprzątnania niż do pielęgniarstwa. Nie widziałem jeszcze nikogo tak przewrażliwionego jak ty.

- Ma pan coś do powiedzenia na temat tego, jak sprzątnąłem pana mieszkanie?! - spytała gniewnie Alaina.

- Nie - pokręcił głową Cole.

- No to niech pan zatrzyma dla siebie swoje komentarze, dobrze?! - Mówiąc to, Alaina ciężkim krokiem weszła z powrotem do szpitala, jakby dawała mu do zrozumienia, że może sobie poszukać kogoś innego do sprzątnania swego apartamentu. Ale przecież były to chyba najlżej zdobyte przez nią kiedykolwiek pieniądze, bo kapitan Cole Latimer mieszkał tak samo czysto, jak wyglądał. A trzy dolary to trochę za dużo, by je stracić z powodu nadmiaru dumy. Na razie zadowolili się unikaniem kapitana przez resztę dnia. Kiepska to zemsta, ale zawsze jakaś.

Wieczorny powrót do domu na wąskim grzbiecie Tara był dokończeniem testu na wytrzymałość. Na szczęście w kierunku stajni koń szedł bez oporu i zarżał cicho, gdy Alaina wprowadziła go do przegrody. W przyćmionym świetle latami zawieszanej na belce u sufitu zauważyła, że mąż Dulcie, Jedediah, woźnica Craighughów, pamiętał o koniu i zostawił w żłobie świeże siano, a obok wiadro czystej wody. Co za ulga, że oszczędził jej tyle pracy! Żeby tylko nie zapomniała mu podziękować! Tar zdążył już zapaść w drzemkę, ale wrzuciła mu jeszcze garść owsa

do karmidła, wiedząc, że wujek Angus zgromiłby ją za takie marnotrawienie cennego ziarna.

Do tej pory wujek używał Tara wyłącznie wtedy, gdy jechał do Jankesów. Chcąc pokazać swoje ubóstwo, zaprzęgał wtedy zwierzę do rozklekotanego wozu. Może na tym polegała mądrość Angusa, bo udało mu się zachować dwa konie - dobrego, spokojnego wałacha, którego używał do kabrioletu na wysokich kołach, oraz starego Tara. Ten ostatni wyglądał jak składanka przypadkowych kości połączonych ścięgnami i przykrytych mocno zużytą i porysowaną powłoką końskiej skóry. Znał dwa chody. Normalnie powłóczył nogami w tempie nieco szybszym niż zwykły chód. Lecz gdy ujrzał wyjątkowo pociągającą klacz, krew zaczynała w nim wrzeć, prężył kościstą szyję, unosił wyskubany ogon i z wielkim wysiłkiem naprawdę odrywał kopyta od ziemi. Jeśli siedział wtedy na nim jeździec, odczuwał to jako zgoła karkołomny trucht.

W swych brudnych łachmanach Alaina czuła się trochę jak ten koń. Dlatego od czasu do czasu rzucała staruszkowi na osłodę garść Angusowego ziarna. Sama starała się nie nadwierać spizami wujostwa. Stołowała się w szpitalu, lepsze kąski odkładając do skórzanej sakwy. Przynosiła je potem do kuchni, czasem coś jeszcze zjadała wieczorem. Wujkowi płaciła regularnie pod koniec każdego tygodnia. Nieco zażenowanym głosem przebąkiwał zawsze o ciężkich, wojennych czasach, lecz jak prawdziwie oszczędny Szkot skrzętnie chował pieniądze do kiesy. Alaina była w pełni świadoma, że ilość dostępnych dla sklepu towarów drastycznie spadła od czasu zajęcia miasta, a księgi handlowe wujka pękają od udzielonych i nie spłaconych kredytów. Fakt, że nie obciążała finansowo swych krewnych, dawał jej poczucie wewnętrznej wolności.

Zgasiwszy lampę, Alaina przeszła po ciemku kamiennym chodnikiem ze stajni do domu. Dulcie też pomyślała o zapóźnionym domowniku. W kuchni paliła się resztką świecy, a na palenisku szumiała wrząca woda na kąpiel. Alaina miała nadzieję, że tak przedłużona praca nie będzie się zdarzać często, ale dziś był taki natłok rannych, że nie mogła jej skończyć. Nie było nawet komu się wyzalić. Lekarze nie zwracali w ogóle uwagi na osoby zdrowe i sprawne.

W spizarni-łazience chłopięcy strój wylądował na podłodze, szybko zapomniany przez jego właścicielkę, która powoli zanurzała zmęczone ciało w wodzie, wydając przy tym cichy jęk rozkoszy. Pod koniec długiego, męczącego dnia pracy myśl o wieczornej kąpieli dodawała jej sił. Teraz chciała się nią upajać bez granic. Położyła się w wannie i zamknęła oczy, pozwalając gorącej wodzie koić jej utrudzone członki.

Ale już po chwili jej sielanka została przerwana, ktoś bowiem poruszył gałką u drzwi. Alaina usiadła i sięgnęła po ręcznik. Zupełnie bez pukania do środka weszła Roberta, ubrana w piękny czerwony szlafrok z krepdeszynu. Stała i zasłoniła oczy od światła lampy, a szeroki rękaw opadł, ukazując wspaniałą, marszczoną białą koronkę na mankietach.

- Słyszałam, że wróciłaś.

Alaina owinęła skromnie lniany ręcznik wokół tułowia, z zazdrością patrząc na zgrabną sylwetkę Roberty. Kuzynka mówiła płaczliwie i zaczęła spacerować, co było trudnym zadaniem, zważywszy na skąpą przestrzeń pozostałą obok wanny.

- Nie masz pojęcia, co za dzień dziś miałam - kwiliła Roberta. - Okropny był! Okropny! Och, kochana Lainie, do czego to już dochodzi na tym świecie!

Zanosilo się na dłuższe wywody i choć Alaina burzyła się wewnątrz przeciwko jej nagłemu wtargnięciu, odezwała się beztrąsko:

- Mówisz, jakby stało się coś strasznego, Robbie. Myślałam, że miałaś dziś wieczorem gościa.

- Nie miałam! - zawołała ogromnie poruszona Roberta. - Do licha! Mogliby ci przekłęci Jankesi już skończyć tę wojnę!

- Starają się jak mogą - odparowała jej nieco już zirytowana Alaina. Zastanawiała się czasem, po czyjej stronie właściwie jest Roberta. Choć i tak wkład Roberty w wojnę ograniczał się wyłącznie do ciągłych żalów i skarg na związane z nią jej własne niewygody.

- Im szybciej, tym lepiej, o! - Naindyczona dziewczyna złożyła ręce na piersiach. - Wtedy my wszyscy będziemy mogli wrócić do dawnego życia!

- Zdaje mi się, że pan Lincoln ma inne plany - sprowadziła ją na ziemię Alaina.

- Ten prostak ze wsi! - Roberta z szyderczą miną odwróciła się w stronę wanny. - Mierzi mnie jego nazwisko! Mam już dosyć tego całego... zabijania!

Alaina patrzyła na kuzynkę z uniesionymi brwiami. Roberta rzadko, jeśli w ogóle, przejmowała się ofiarami wojny.

- Musiało być straszne to, co cię tak zdenerwowało.

- Zaraz ci powiem, co mnie zdenerwowało! Spójrz na to! - Roberta wyciągnęła z kieszeni szlafroka zmiętą kartkę i wymachiwała nią przed nosem Alainy, nie dając jej żadnej szansy na przeczytanie. - Z jakiegoś przekłętego powodu kapitan Latimer nie mógł dziś przyjść! Przysłał tylko to. - Ze złością machała liścikiem nad głową, aż płomień lampy stojącej wysoko na półce zaczął migotać. - Doskonała wymówka! Nadzwyczajne pogotowie! Ha! Wszystko, co robią tu Jankesi, to przemarsze wokół placu Jacksona lub przemierzanie ulic konno, żeby nastraszyć ludzi. Czy grozi im jakiegokolwiek zranienie?! A generał Banks tylko kradnie bawełnę i inne rzeczy! Nikogo tu nie zabito od czasu, gdy ten szaleniec Butler powiesił Williama Mumforda, i nikt nie zachorował na żółtą febrę od czasu, jak ten okropny stary Jankes wpadł w panikę, że sam ją złapie. Wyobraź sobie, wszystkich tych mężczyzn zagonił do sprząwania ulic! Nowy Orlean chyba nigdy nie był tak czysty! A my już mieliśmy nadzieję, że Jankesi zachorują i powymierają.

Kąpiel Alainy robiła się coraz chłodniejsza, nie mówiąc już o tym, że jej skóra trochę za bardzo namiękła. Obrona Jankesa i wyjaśnianie powodów, dla których się nie zjawił, zupełnie jej się nie uśmiechały, ale dziewczyna zaczynała się obawiać o własny spokój. Niechętnie, ale zaczęła tłumaczyć:

- Roberto, w górze rzeki była potyczka. Rannych przywieziono do nas i lekarze musieli ich ratować. Całe popołudnie wygarniałam zakrwawione bandaże i zabłocone ubrania, żeby w ogóle można było przejść.

- Zabłocone ubrania! - Roberta uczepliła się tej informacji jak pijany płotu. - Lainie! Chyba nie jesteś obecna przy rozbieraniu mężczyzn!

Urażona tą uwagą, Alaina wycedziła:

- Nie widziałam jeszcze nagiego mężczyzny! I nie mów do mnie Lainie. Wiesz, że tego nienawidzę.

- Tak, chyba zawsze wolałaś być Alem. - Roberta uśmiechnęła się jadowniczo i nie zważając na zagniewaną minę kuzynki, opadła na niski stołeczek przy wannie. - I dlaczego właściwie Cole był tam tak strasznie potrzebny? Chyba są jeszcze inni lekarze do bandażowania żołnierzy.

- Są inni - potwierdziła Alaina - ale dziś byli wszyscy potrzebni.

Roberta wyczuła, że kuzynka zaraz wybuchnie gniewem, i zmieniła temat, choć niezbyt zręcznie.

- Pewnie dowiedziałaś się już dużo o kapitanie Latimerze.

- Słyszę, co o nim mówią inni lekarze.

- Podsluchujesz ich? - dopytywała się Roberta, pochylając się ku niej.

- Nie! Po prostu nie jestem głucha, i to wszystko! Oni nie przejmują się, kto słucha.

- Powiedz mi coś więcej o Cole'u - prosiła Roberta.

- O Cole'u? - Alaina spojrzała zdziwiona na swą rozmówczynię.

- Czy jest bogaty? - pytała z podnieceniem starsza kuzynka. - Naprawdę bogaty?

- Skąd mam wiedzieć? - Alaina traciła cierpliwość. - Wiem tylko, że stać go na płacenie mi trzech dolarów tygodniowo za sprzątanie jego mieszkania i nie wygląda na to, żeby był bez pieniędzy.

- Nie mówiłaś mi, że sprzątasz jego mieszkanie! - Roberta nadeła policzki. - Tato pewnie też o tym nie wie.

- Nie mogę sobie pozwolić na zrezygnowanie z trzech dolarów za kilka godzin pracy - odezwała się Alaina cierpko. - I nie widzę w tym nic złego, bo kapitana Latimera tam nie ma, kiedy sprzątam.

- Czy to znaczy, że powierza ci swoje mieszkanie?

- A dlaczego nie? Nigdy w życiu niczego nie ukradłam.

- Ale skąd on ma pewność?

- Ufa mi na tyle, że dał mi klucz.

- Klucz? Do mieszkania kapitana Latimera? - Ciekawość Roberty rosła z każdą minutą. - Jak ty dajesz sobie z tym radę, pracujesz cały tydzień w szpitalu i jeszcze sprzątasz jego mieszkanie?

- Robię to po pracy, kiedy on ma dyżur. Mieszka niedaleko od szpitala, więc nie tracę dużo czasu na dojeżdżenie.

- A gdzie kapitan mieszka? - spytała Roberta słodko. Alaina spojrzała na nią podejrzliwie. Z czarującym uśmiechem Roberta ostrzegła: - Lainie, jeśli mi nie powiesz, ja powiem tacie, że sprzątasz jego mieszkanie. Myślę, że tego nie pochwalą. A może nawet w ogóle zabroni ci pracować.

- Nie wiem, co ty knujesz, Roberto - młodszą kuzynka traciła już panowanie nad sobą - ale nic mnie to nie obchodzi. Jeśli tak bardzo pragniesz kapitana Latimera, to bierz go sobie.

- Gdzie on mieszka? - nie ustępowała Robbie.

Alaina wzruszyła ramionami.

- Apartamenty Pontalba. Reszty już musisz się dowiedzieć od samego uroczego kapitana.

- Jesteś zawistna, Lainie. - Roberta wydeła wargi. - Zawsze lubiłaś się ze mną droczyć z taką zawiścią. Masz za to dokładnie to, na co zasługujesz.

- Tak mówisz? - Alaina odcięła się, naśladowując szkocki akcent jej ojca. - Mnie prawda nigdy nie rani, ale ty nie usłyszysz już nic z tych oto ust o tamtym dżentelmenie!

Roberta dąsała się przez dłuższą chwilę, ale widząc, że żadne miny nie robią wrażenia na kuzynce, zmieniła taktykę.

- Zapytam kapitana Latimera, jak przyjdzie.

- Przyjdzie? - Alaina aż usiadła prosto i omal nie spadł z niej ręcznik. - To znaczy, że kapitan Latimer tu przyjdzie... mimo dzisiejszego wieczoru?

Roberta dla odmiany wcieliła się teraz w uosobienie anielskiej łagodności.

- Nie mówiłam ci, Lainie? Napisał, że postara się przyjść w następnym tygodniu, jeśli nasze zaproszenie jest aktualne. - I dodała głosem bardziej rozkazującym: - A więc powiedz mu, tylko na pewno, że odpowiada nam następny piątek. Tato tak powiedział.

Alaina zmarszczyła się, jakby jadła coś kwaśnego.

- Co ty właściwie widzisz w tym Jankesie?

- Wszystko - zaśmiała się wesoło Roberta. - Ale przede wszystkim szansę na wyrwanie się z tej nędznej dziury! - Pochyliła się do przodu i mówiła z błyskiem w oczach, jakby powierzała jej najgłębszą tajemnicę. - Wiesz, że zaadresował list do mnie i podpisał po prostu Cole? - Objęła kolana i kołysała się w euforii.

- Teraz już wiem - mruknęła Alaina. Oparła łokieć na brzegu wanny i wsparła policzek na dłoni. Mogła się spodziewać, co będzie dalej.

- Jak on na mnie patrzy! - westchnęła Roberta, przymykając oczy z rozmarzeniem. - I to przy tacie. Sama widziałas, prawda? - Nie zważając na widoczne rozdrażnienie kuzynki, ciągnęła dalej: - Ach, taki dzielny mężczyzna! I mówię ci, Lainie, mam zamiar owinąć sobie tego długonogiego Jankesa wokół małego palca.

Wstała, chichocząc z zachwytu, i tanecznym krokiem wybiegła z klitki, niedbale odgarniając stopą marszczoną koronkę u dołu szlafroka.

- Czy możesz zamknąć drzwi?! - zawołała całkiem rozdrażniona Alaina.

Uśmiechnięta twarz Roberty ukazała się jeszcze raz w środku.

- Wokół tego małego palca! - zanuciła, zginając go wymownie. Pomachała ręką na dobranoc i zamknęła drzwi, zostawiając Alainę nareszcie samą.

Ta jednak musiała już wyjść z dawno wystygłej wody. Smętnie popatrzyła na pomarszczone od wody palce.

- „Wokół tego małego palca! Wokół tego...” - przedrzeźniała kuzynkę. Nagle wykrzywiła się i tupnęła bosą nogą. - Głupi Jankes!

5

Unikanie zapracowanego doktora nie sprawiało Alainie trudności, ale i tak za często narażona była na jego towarzystwo, by zachować wewnętrzny spokój. Między chłopcem Alem a mężczyzną Cole'em wytworzyła się dziwna animozja. Nieraz Alaina czuła gorycz, słuchając nagany kapitana. Chociaż to upewniało ją, że nie odkrył jeszcze jej sekretu, zastanawiała się, czy on dostrzega wyłącznie brud na jej twarzy, tak często go krytykował. Naturalnie, nie wiedział nic o jej codziennych zabiegach, by usmolić twarz i włosy. Brudna maź okazała się doskonała zamiast starego, zniszczonego kapelusza, którego kapitan zabronił jej nosić w szpitalu, lecz potęgowała w doktorze ambicję, by kiedyś zobaczyć czystego Ala.

- Którego dnia - groził - nauczę cię, jak się porządnie umyć. Spójrz na te włosy! Tak sztywne, że można nimi stukać o ścianę.

- Pan się chyba urodził z kawałkiem mydła w ustach - odcięła się Alaina równie złośliwie. - Jeszcze nie spotkałam kogoś tak przywiązanego do mycia.

- I tu powstaje pytanie, z czym ty się urodziłeś - ironicznie zripostował Cole i oddalił się, odprowadzany jej piorunującym wzrokiem.

Wieczorem, w dniu, gdy kapitan przyjechał z wizytą do Roberty, Alaina wyszła z domu na daleki spacer. Nie miała ochoty jeść z nimi kolacji. Jako niechlujny chłopak naraziłaby się jedynie na krytykę ze strony Jankesa. Jeśli w ogóle nie wzbudziłoby to jego podejrzeń, że Angus pozwala siadać do stołu tak brudnemu chłopcu.

O ile Alaina zdołała umknąć samej imprezy, o tyle usłyszeć o niej od Roberty musiała. Starsza kuzynka przybiegła do niej natychmiast, jak tylko mogła. Wpadła do jej pokoju, nie bacząc na to, że Alaina już zasypiała.

- Och, Lainie, to był najwspanialszy wieczór w moim życiu! Wiesz, że ojciec Cole'a też jest lekarzem i owdowiał tuż po urodzeniu się syna. Jestem pewna, że są bogaci.

- Pytałaś go? - Alaina ziewnęła, układając się wygodniej na miękkim łóżku.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. To byłoby niegrzeczne. Ale jestem o tym przekonana. - Roberta uśmiechnęła się przebiegle. - Cole bywał za granicą i kształcił się na wschodzie, gdzie mają wraz z ojcem inne posiadłości, oprócz, oczywiście, domu w Minnesocie. Kiedy starszy pan umrze. Cole pewnie odziedziczy cały jego majątek. Już teraz ma własne posiadłości. Powiedz sama, czy człowiek bez pieniędzy może się czymś takim pochwalić?

- A on się chwali? - Alaina patrzyła wymownie na sufit.

- Ach, Lainie, co ty opowiadasz! - obruszyła się Roberta. - Jasne, że nie. Ale ja potrafię tak zadawać pytania, żeby się dowiedzieć.

- Myślę, za sama go spytam, czy jest bogaty - stwierdziła Alaina. - Bo to cię najbardziej interesuje, prawda?

- A dlaczego nie? - broniła się Roberta. - W dzisiejszych czasach dziewczyna musi pilnować swych żywotnych interesów. A ja już mam dosyć noszenia tych szmat z powodu wojny. Zamierzam znaleźć bogatego mężczyznę, który będzie mi mógł kupić wszystko, czego zapragnę.

Alaina stłumiła kolejne ziewnięcie.

- Już późno, Roberto, jestem zmęczona. Prawie zasnąłam nad rozlewiskiem, czekając, aż ten jegomość sobie pójdzie. Może porozmawiamy o tym kiedy indziej? Muszę wstać o wschodzie słońca.

Roberta westchnęła współczująco.

- Biedny Alu, ciężkie masz życie. Ale w końcu...

- Wiem! Na takie sobie zasłużyłam! - Ze złością wstrząsnęła poduszkę i uderzyła w nią drobną pięścią. - A kapitan Latimer najwyraźniej został tu przysłany w specjalnej misji, by nie pozwolić mi zasnąć!

Alaina zaliczała już wszystkie oddziały w dwa dni. Czyściła, szorowała i pucowała, choćby po to, żeby pokazać kapitanowi Latimerowi, iż warta jest każdego centa swej pensji pomimo własnej niechlujności. Dla rannych żołnierzy też była to jakaś odmiana w beznadziejnej monotonii. Alaina zaczynała z nimi wymieniać dowcipne uwagi. Czasem jeszcze burknęła coś ze złością, ale im bardziej poznawała tych żołnierzy jako odrębnych ludzi, a nie tłum wrogów, tym bardziej łagodniał jej ton.

Rozmawiali o swych domach i rodzinach, o pochodzeniu i przekonaniach - politycznych i innych. Niektórzy żołnierze usiłowali wnieść trochę humoru w to okropne miejsce. Z tymi Alaina nieraz się przekomarzała. Inni byli przerażeni swymi ranami, załamani cierpieniem, jakie przyniosło im życie. Tym dodawała animuszu i odwagi do przetrwania. Ciężko rannym zaś próbowała okazać litość i współczucie, a nawet czułość, choć z domieszką goryczy. Nie mogącym chodzić załatwiała różne sprawy - kupowała grzebienie, pędzle do golenia czy wodę toaletową dla dziewczyny tam w domu. Codziennie wysyłała stos listów. Doszło do tego, że pojawienie się młodego chłopca z wiadrami, szczotkami i mopami wyczekiwane było niecierpliwie przez unieruchomionych na oddziałach żołnierzy. Rozjaśniało im trochę dzień, było maleńką iskierką radości i nadziei. Posępną atmosferę sal szpitalnych ożywiał buńczuczny uśmiech młodości. Mdła stęchlizna panująca w budynku ustępowała ostremu zapachowi ługowego mydła i olejku sosnowego. Już nie tylko jęki bólu dawały się słyszeć, ale i stłumione śmiechy oraz ciche rozmowy.

Dla Alainy początkowo była to tylko praca, sposób zarabiania pieniędzy. Wkrótce jednak zaczęła w niej wywoływać konflikt wewnętrzny. Była przecież po stronie Konfederacji, a wbrew swej woli polubiła tych mężczyzn. Niektórzy byli starsi od niej tylko o rok lub dwa, było i kilku znacznie młodszych. Szli na wojnę z

odwagą i tupetem, tak samo jak jej ojciec i bracia, żeby się teraz znaleźć na łożu boleści i bezradnie czekać albo na wyleczenie, albo... śmierć.

W Briar Hill wydawało jej się, że każdy Jankes zasługuje tylko na śmierć. Teraz cierpiała, patrząc, jak któryś z nich męczy się w ostatnich chwilach swego życia. Znała ich! Byli także ludźmi! Czuli ból i cierpieli! Umierali! Nieraz oddalała się w jakieś odosobnione miejsce, bo drżące ręce przyłożone z rozpaczą do ust nie zdołały powstrzymać szlochu, a łzy spływały po policzkach. Nie umiała stępić emocji, a nawet robiła się coraz bardziej wrażliwa na ból i cierpienie towarzyszące umieraniu.

Tego dnia w początkach listopada Alaina postanowiła trzymać się z dala od takich widoków. Dużo o tym myślała i doszła do wniosku, że jedyną metodą uchronienia się od tak przykrych przeżyć jest ich unikanie.

Był ciepły, miły poranek. Do szpitala podjechała tramwajem konnym, gdyż Roberta ubłagała ojca, by jej pożyczył swój powóz z koniem, a on z kolei musiał zaprząć Tara do rozklekotanej bryki, żeby dojechać do sklepu, dokąd również podwiózł Alainę. Stamtąd doszła pieszo do kościoła św. Augustyna, gdzie wsiadła do tramwaju. W końcu dotarła do szpitala.

- Spóźniłeś się - zauważył bezceremonialnie Cole, przechodzący właśnie korytarzem.

- Ano, niełatwo opłacić przejazd za te wasze jankeskie drobne! - zawołała za oddalającym się szybkim krokiem kapitanem. Chciała jeszcze coś dodać i już otwierała usta, ale szybko je zamknęła, bo z jednego z oddziałów wyszedł nagle naczelny chirurg Mitchell. Spojrzał na chłopca, który oblał się rumieńcem, i marszcząc się, kiwnął głową w stronę obojętnie idącego dalej kapitana.

- Czy masz jakiś problem, synku? - zapytał grzecznie siwowłosy oficer.

Alaina powstrzymała złość.

- Nie, proszę pana.

- No to zabierz się do swoich obowiązków. W nocy przyjechało kilka ambulansów, jest trochę sprzątanina. Kapitan Latimer jest teraz zbyt zajęty, żeby dyskutować o twoich zarobkach.

- Tak, proszę pana - wymamrotała Alaina.

Generał Clay Mitchell był jedynym Jankesem, któremu nie ośmieliła się przeciwstawić. Był to wysoki Irlandczyk o pękatej klatce piersiowej. Chociaż budził powszechny respekt w szpitalu, było w nim coś dobrotliwego. Wobec takiego dżentelmena nie potrafiła być nieuprzejma, nawet jeśli był to Jankes.

Blżej sal operacyjnych ustawiono łóżka dla nowo przywiezionych, którzy wili się z bólu, jęczeli lub cicho płakali. Jeden z nich, nieco na uboczu, leżał tak spokojnie, że wyglądało to, jakby już nie żył. Bandaż zasłaniał mu oczy, a w kąciку ust widać było zaschniętą strużkę krwi. Brzuch miał przykryty prześcieradłem, żeby ochronić przed muchami ranę, która powoli zmieniała biel materiału w makabryczną czerwień. Był już w takim stanie, że lekarze postanowili na razie go pominąć, by zająć się najpierw tymi, którzy mieli większą szansę na przeżycie.

Alaina nie mogła znieść tego widoku i odwróciła się. Dość, za dużo już widziałam! - pomyślała. Pobiegnęła do schowka na sprzęt. Postanowiła solennie szorować podłogi tylko tam, gdzie na pewno nie leży żaden umierający żołnierz.

Nie udało jej się, niestety, dotrzymać danej sobie obietnicy. Nawet w tej wydawałoby się bezpiecznej przystani, w jakiej się zaszyla, usłyszała słaby głos błagający o pomoc. Przez jakiś czas próbowała go ignorować. Na pewno pomocy udzieli ktoś inny. W końcu to drobiazg przynieść żołnierzowi wodę. Ale ona nie ma takiego obowiązku. Nie i koniec!

Po jakimś czasie słyszała już tylko to wołanie i jakoś nikt nie przynosił mu wody. Ale postanowienie postanowieniem. Zanurzyła szczotkę w mętnej cieczy i szorowała jeszcze mocniej. Jednak nic nie było w stanie zagłuszyć bezsilnego błagania.

- Do licha z tym wszystkim! - zakląła pod nosem i wyprostowała się. Szybko przemierzyła korytarz do miejsca, gdzie leżał żołnierz, nadal przeraźliwie nieruchomy. Dostrzegła, że usiłuje oblizywać językiem suche, spękane wargi.

- Zaczekaj - pochyliła się nad jego uchem, domyślając się, że ból może mu wszystko zagłuszać. - Przyniosę ci wody.

Dotknęła opiekuńczo wychudzonej dłoni i pobiegła do kantyny po szklankę. Kiedy wróciła, ostrożnie wsunęła rękę pod jego głowę i uniosła ją na tyle, żeby mógł się napić. Wtem jednak ktoś złapał ją za nadgarstek.

- Nie rób tego! - rozkazał ostro Cole, zabrał jej szklankę i odstawił. - Zrobisz mu więcej krzywdy niż przysługi. - Widząc zdziwienie w usmolonej twarzy, dodał łagodniej: - Nigdy nie daję się rannemu człowiekowi pić. Chodź, pokażę ci.

Z gabinetu obok przyniósł czystą szmatkę, zmoczył ją w wodzie i delikatnie przetarł suche wargi. Ponownie zmoczył szmatkę i kapnął kilka kropli do ust żołnierza. Alaina patrzyła w milczeniu, jak Cole przemówił do niego zdecydowanie, lecz uspokajająco:

- To jest Al. Poczeka tu chwilę z tobą. - Widząc, że chłopak rozpaczliwie kręci głową i nie chce tu zostać. Cole zmarszczył brwi i wzrokiem nakazał mu być cicho. - Leż spokojnie. Już zaraz zajmiemy się twoimi ranami. Właśnie szykujemy salę operacyjną.

Cole wstał, wziął szczupłą dłoń Ala w swoją dużą dłoń i podał mu zmoczoną szmatkę.

- Bądź tutaj, jak wrócę. Jeśli ktoś spyta, robisz to na mój rozkaz.

Alaina posłusznie kiwnęła głową.

- Spróbuj mu trochę ulżyć. To nie potrwa długo.

Skinęła ponownie i gdy tylko kapitan się odwrócił, sięgnęła do toaletki i nalała z dzbana wody do miski. Bardzo delikatnie zmyła rannemu z policzków zastygłą krew i powoli przetarła zimną wodą czoło. Oczyszczyła spadający na oczy bandaż i odpędziła natrętne muchy.

- Al? - usłyszała słaby, chrypiący głos i pochyliła się nad nim.

- Tak, jestem - wyszeptała.

Z wielkim trudem żołnierz wypowiedział jeszcze jedno słowo:

- Dzięki.

Alaina poczuła nagły przypływ zadowolenia, że okazała komuś pomoc. Przygryzając drżące wargi, by je uspokoić, odpowiedziała swym przybranym chłopięcym żargonem:

- Nie ma sprawy, Jankesie.

Cole zatrzymał się w drzwiach pokoju oficerskiego, słysząc, że woła go sierżant służb sanitarnych Grissom. Sierżant podbiegł szybko.

- Kapitanie, przyszła do pana jakaś młoda dama. Czeka w przedsiionku.

- Nie mam czasu - uciął Cole.

- Mówi, że to pilne, że nie może czekać.

Cole zmarszczył czoło. Bardzo go intrygowało to wezwanie, ale był zajęty.

- Czy jest ranna?

Sierżant Grissom uśmiechnął się szeroko.

- Rzekłbym, panie kapitanie, że zdecydowanie nie.

- Więc ktoś inny jest ranny?

- Nic takiego nie mówiła.

- Proszę zobaczyć, czy któryś z innych lekarzy nie mógłby się nią zająć.

Sierżant uniósł krzaczaste brwi.

- Mówi, że musi się widzieć z panem, kapitanie. I czeka już chyba z godzinę.

Cole westchnął i wyjął z kieszeni zegarek.

- Mam tylko chwilę. Powiedz tej damie, że zaraz zejść.

Cole szybko ściągnął zakrwawiony kitel. Mundur miał też ciemne plamy. Nie był to odpowiedni strój, by przyjmować damę, ale nie było na to rady. Nie miał czasu, by się przebierać. Dopinając górę bluzy, pospieszył wzdłuż korytarza.

Roberta podniosła się z ławki w przedsionku szpitala i posłała idącemu ku niej kapitanowi Latimerowi promienny uśmiech.

- Wygląda pan na zaskoczonego moim widokiem, kapitanie - spuściła skromnie rzęsy. - Może to zbyt odważnie z mojej strony tak tu przyjść.

- Ależ nie, panno Craighugh. - Cole z troskliwością ujął jej dłoń. - Powiedziano mi właśnie, że czeka na mnie jakaś dama. Gdyby sierżant Grissom wspomniał, jaka jest piękna, poświęciłbym jeszcze chwilę, żeby się lepiej zaprezentować. Ale musi pani zrozumieć, jestem bardzo zajęty.

- Nie trzeba mi tłumaczyć powagi sprawy, panie kapitanie. - Roberta nie starała się specjalnie powstrzymać uroczego zmarszczenia noska, gdy delikatnie odwracała wzrok od jego poplamionej krwią bluzy. Dobrze znała swoją mimikę, spędziła wiele godzin przed lustrem na jej trenowaniu. - Jadąc tu, miałam nadzieję, że zdobędę się na odwagę.

- Proszę mówić dalej, panno Craighugh. - Cole uśmiechnął się przyzwalająco. - To najśłodszy głos, jaki dziś słyszę od rana, a takich uśmiechów fortuny nie należy płoszyć.

- Jest pan wyjątkowo uprzejmy, kapitanie. - Roberta odchyliła nieco szerokie rondo kapelusza, żeby kapitan mógł podziwiać jej piękny, arystokratyczny profil. Była świadoma swego kształtnego nosa, wysokich kości policzkowych i namiętnego wygięcia czerwonych warg. - Właśnie przejeżdżałam obok powozem i pomyślałam o tym, jak ciężko pan pracuje. Ani chwili odpoczynku, ani nawet spokojnego posiłku. Mężczyzna musi jeść, prawda, kapitanie? I ma pan prawo przeznaczyć na to parę chwil. Znam wspaniałe małe lokalik, gdzie podają najsmaczniejsze krewetki. Nie zechciałby pan zjeść ze mną, kapitanie? - Cała w uśmiechach i nieśmiałyach spojrzaniach, aż wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź. Planowała to w sekrecie przez cały tydzień i byłaby zdruzgotana, gdyby jej odmówił.

- Najmocniej przepraszam, panno Craighugh. Muszę się zająć rannymi. Choć z wielką ochotą dotrzymałbym pani towarzystwa.

Roberta ukryła złość. W końcu to nie był jakiś uczeń, którego można wodzić na smyczy i który wykona każde polecenie. Spróbowała z innej beczki.

- A nie byłoby dla pana zbyt uciążliwe, by przyjechać do nas dziś na kolację?

Cole'a ubawił jej upór.

- Ale co by na to powiedział pani ojciec, panno Craighugh? Mam przecucie, że wolałby, aby jego córka nie zadawała się z Jankesem.

Roberta uniosła kąciki ust zalotnie do góry.

- Ależ, kapitanie Latimer, nie wygląda pan na mężczyznę przejmującego się tym, co myślą ojcowie.

Cole roześmiał się i oczy mu rozbliły, gdy na nią popatrzył.

- Przeciwnie, panno Craighugh. Bardzo się troszczę o to, co myślą ojcowie. Co do zaproszenia, wolałbym uniknąć robienia niespodzianki, przychodząc bez zapowiedzi.

- Ależ proszę się o to nie martwić. Dam sobie radę z tatkiem. Dulcie gotuje dziś pyszne bouillabaisse, szkoda byłoby nie zjeść.

Uśmiech rozpromienił przystojną twarz kapitana, a jej serce urosło.

- Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, dziś wieczorem powinienem być wolny.

Mimo rozsadzającej ją radości Roberta potrafiła się opanować.

- Zatem będę czekała na dzisiejszy wieczór, kapitanie. Teraz już naprawdę muszę pana zwolnić do obowiązków. - Przez chwilę czekała, spodziewając się usłyszeć jego protest, ale znów spotkało ją rozczarowanie, bo on tylko spojrzał na duży zegar stojący w przedsionku. Czule położyła dłoń na jego szczupłym nadgarstku, gdy odprowadzał ją do wyjścia. - Już wystarczająco długo pana odciągałam od pracy. Wybacz mi pan, prawda, kapitanie? Pewnie za mało wiem o pracy lekarza, skoro wydawało mi się, że może pan sobie wychodzić, kiedy chce.

- Jestem dziś wykończony - oznajmił Cole, idąc z nią od drzwi do powozu. - Lecz zapewniam, że pani uczyniła ten dzień jaśniejszym.

- A więc do wieczoru, kapitanie? - powiedziała cicho.

- Do wieczoru. - Cole uśmiechnął się i zasalutował, po czym odwrócił się na pięcie i nie oglądając się, pognął z powrotem do szpitala.

Roberta odprowadziła go wzrokiem i w wyobraźni już widziała jego szczupłą sylwetkę obok siebie na sali balowej. No i te pieniądze! Na samą myśl przeszedł ją dreszcz rozkoszy. Stuknęła parasolką w tył siedzenia woźnicy.

- Jedediah, zanim pojedziemy do domu, objeżdż wokół plac Jacksona. Tak dawno już nie jeździłam powozem.

Gdy powóz ruszył, Roberta uniosła parasolkę i osłoniła swą wypielegnowaną twarz przed słońcem, jednak tylko na tyle, by żołnierze, którzy przystanęli i patrzyli, mogli podziwiać jej urodę.

6

Major Magruder czekał na Cole'a na górze schodów. Stał z rękami założonymi do tyłu i rozstawionymi nogami. Było oczywiste, że wszystkiemu się przyglądał.

- Niezłą panienkę pan poderwał, kapitanie Latimer.

- To panna Craighugh - poinformował Cole, zdziwiony jego zainteresowaniem.

- Jakaś południowa dziwka, co?

- Południowa tak, dziwka raczej nie. To kuzynka Ala i radziłbym ostrożniej dobierać określenia w jego obecności. On potrafi tak odpowiedzieć, że aż idzie w pięty. - Cole uśmiechnął się w duszy, wyobrażając sobie

konfrontację niskiego, krępego majora z drobnym, energicznym Alem.

- Hm! Ten mały arogancki żebrak z tutejszej białej biedoty.

- Nie, majorze, nie pochodzi z biedoty - poprawił Cole. - Mieszkał na farmie gdzieś w górze rzeki. Wojna zabrała mu rodziców.

- Łatwo panu przychodzi bronić rebeliantów - zadrwił major. - Jeszcze trochę i będzie pan się rozczulał nad samym Lee.

Cole spojrzał mu odważnie w oczy.

- Współczuję każdemu człowiekowi, który cierpi. Dlatego właśnie zostałem lekarzem. I moja przysięga jest dla mnie święta.

- Hm! - rzucił tylko Magruder i poszedł za Cole'em do pokoju rekreacyjnego, gdzie jego młodszy kolega nalał wody do miski i zaczął myć ręce. Major polał dłonie wodą z dzbana i patrząc w lustro, zaczesał mokrymi palcami siwiejące włosy, mówiąc jednocześnie: - Powinieneś trochę poznać walkę, drogi synu. Ja spędziłem czternaście lat w boju. Razem z armią doszedłem do Meksyku. Przez osiem lat jako porucznik - rzucił okiem na rangę Cole'a. - A pan po dwóch już jest kapitanem - oparł się o komodę i złożył ręce jak kaznodzieja. - Pańskie śmieszne przysięgi stają się nic niewarte w ogniu walki, gdy wokół giną ludzie. Wybiera pan tych, dla których może pan coś zrobić, a całą etykę diabli biorą. Pozostałym aplikuje pan laudanum i zostają na boku. Jeśli jeszcze żyją, gdy pan do nich wróci, wtedy próbuje ich pan załatać.

Cole pokręcił głową z dezaprobatą. Owszem, nie miał doświadczenia polowego, ale nie potrafiłby zaakceptować tak bezdusznego podejścia, nawet gdyby się znalazł na froncie.

Magruder wyprostował się.

- Ale ja właściwie mam dla pana zaproszenie. - Obrzucony przez kapitana zdziwionym wzrokiem, major wzruszył ramionami: - To był pomysł Mitchella, nie mój. Reszta lekarzy wybiera się do Sazeraca na drobny bankieciak. Słyszał pan o porażce konfederatów pod Broad Run, prawda?

- Porażce? Uhm! Słyszałem też o wyczynach staruszka Rosencransa nad Chickamaugą. Jak to nazywacie? Taktycznym wycofaniem wojsk?

- Świątujemy tylko zwycięstwa - obruszył się major. - Zanim się skończy wojna, odpłacimy tym draniom dziesięciokrotnie.

- Jedno jest pewne - Cole mówił, oplukując wodą twarz. - Bez względu na to, kto wygra, przeleje się jeszcze dużo krwi.

- Taki pan wrażliwy? - Magruder uśmiechnął się pobłaźliwie i uniół brew.

Cole sięgnął po ręcznik.

- Nie, majorze. Po prostu według mnie to niepotrzebne straty.

- Więc nie idzie pan z nami świętować? - Magruder czekał jak jastrząb na odpowiedź kapitana.

- W tej chwili biorę na operację tego chłopca, co stracił wzrok, i zobaczę, czy mogę mu pomóc. Potem, jeśli zostanie jeszcze trochę czasu, zamierzam się udać na kolację do panny Craighugh i jej rodziców.

- Zmarnuje pan tylko czas przy tym chłopcu - krytykował go Magruder. - On nie przeżyje kolejnego dnia. Równie dobrze może pan wyjść wcześniej i cieszyć się towarzystwem tej damy.

Cole powiesił ręcznik i wziął świeży kitel.

- Być może, majorze, ale mnie i tak obowiązuje przysięga. Muszę przynajmniej spróbować.

- Jak pan uważa, kapitanie, ale doda mu pan tylko cierpienia, zanim umrze. Poza tym do tego potrzeba co najmniej dwóch lekarzy.

Drzwi otworzyły się i zajrzał sanitariusz.

- Panie kapitanie, przewieźliśmy ostatniego do sali operacyjnej i zaczęliśmy narkozę.

Cole skinął głową i gdy drzwi się zamknęły, oznajmił Magruderowi:

- Doktor Brooks zgodził się asystować.

- Brooks! Ten stary rebeliant? Musi go pan dobrze pilnować, żeby nie podciął temu chłopcu gardła.

- Składał tę samą przysięgę co ja - rzekł Cole zdecydowanym tonem. - I podchodzi do tego tak samo poważnie jak ja. - Oparł dłoń o uchwyt drzwi i dodał z przekonaniem: - Nie jest też żadnym rebeliantem. A nawet stracił kilku przyjaciół, opowiadając się przeciwko secesji. - Kapitan otworzył drzwi. - A teraz już przepraszam, majorze, ale muszę tam iść.

Magruder szedł za nim niezbyt zadowolony. Zawsze go denerwowało, gdy ci młodzi dumie nie słuchali jego rad. Przez otwarte drzwi oddziału chirurgicznego dojrzał chłopca do sprzątanania z mokrą szmatką w ręce i zafrasowaną twarzą. Widząc to, pomyślał, że cenne dolary Unii tylko się marnują na jakiegoś nieodpowiedzialnego, małego brudasza, co jeszcze spotęgowało jego rozdrażnienie.

- Idź do swojej pracy - rozkazał mu szorstko. - Dostyc się już dziś objąłeś.

Cole spojrział przez ramię na zagniewanego majora, ale powstrzymał się od komentarza. Pytającemu go wzrokiem Ałowi kiwnął głową i chłopak pospiesznie wyszedł.

- Doprawdy ma pan dar wynajdywania jakichś włóczęgów - strofował Cole'a Magruder. - Niech pan już więcej takich do nas nie przyprowadza. Temu małemu żebrakowi nie można ufać.

Cole uśmiechnął się dobrotliwie.

- Nie sędzę, majorze. Nigdy nie bałem się odwrócić do niego plecami - wzruszył ramionami. - Cóż on mógłby zrobić, nawet gdyby chciał? To przecież chuchro.

- Aha! - drwił Magruder. - Najmniejsi robią największą szkodę. Uderzają tam, gdzie najbardziej boli.

Cole roześmiał się.

- Dobrze, będę o tym pamiętał.

Minęły prawie trzy godziny, zanim z sali operacyjnej wyniesiono nosze z ociemniałym żołnierzem.

- Ostrożnie - prosił Cole sanitariuszy. - Ma więcej szwów niż patchworkowa kołdra i jest o wiele bardziej delikatny.

Doktor Brooks osuszył ręce ręcznikiem.

- Myśli pan, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe?

Cole westchnął i ściągnął zakrwawiony fartuch.

- Wkrótce się dowiemy. W tej chwili możemy tylko mieć nadzieję i błagać Boga, żeby się nie wdało zapalenie otrzewnej.

- Ten chłopak miał dużo szczęścia, że trafił na pana. Widziałem w życiu mniej cierpliwych i mniej zdolnych lekarzy.

Cole zignorował komplement.

- Jeśli chce się coś zrobić, trzeba dać z siebie wszystko.

Doktor Brooks wyjął zegarek i sprawdził czas.

- Dochodzi szósta. Rzucę jeszcze raz okiem na oddział na górze, a potem pójdę kupić coś do jedzenia. Nie sądzę, żeby taki młody człowiek jak pan miał ochotę zjeść kolację ze starym durniem.

- Obiecałem już ten wieczór pewnej młodej damie - uśmiechnął się Cole.

Brooks zaśmiał się.

- To dla pana znacznie lepsze towarzystwo niż moja skromna osoba. - Starszy mężczyzna doszedł do schodów i odwrócił się jeszcze na chwilę. - A ten chłopiec do sprzątanía, co się tu kręci, nie mógłby też trochę popracować u mnie?

- Chodzi panu o Ala?

- Nie wiem, jak mu na imię. Nie wiem nawet, jak wygląda. Zawsze widzę go, jak na czworakach szoruje podłogę. Jeśli byłbym w stanie rozpoznać jakąś jego część, to wyłącznie tylną.

- Nie jestem pewien, ale pomyślę o tym - zapewnił go Cole.

Stary lekarz pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Gdyby pan się zdecydował, proszę go przyprowadzić.

Kiedy Cole wyszedł ze szpitala i poszedł odwiązać konia, zobaczył Ala, który przycupnął na belce. Kapitan zdziwił się.

- Myślałem, że już dawno pojechałeś. Co tu robisz tak późno? - Cole zlustrował wzrokiem grzbiety koni przywiązanych do belki. - A gdzie ta szkap, którą nazywasz koniem? Tylko nie mów, że cię zrzucił ze swego kościstego grzbietu.

- Nie mam go dziś - padła krótka odpowiedź. Alaina połamała na kawałki gałązkę i rzuciła ją na ziemię. - Roberta zabrała powóz i wujek Angus musiał sobie zaprząć staruszka Tara.

- Musisz więc wracać na piechotę?

- Nie jest tak źle. Miałem zamiar złapać następny tramwaj i podjechać do sklepu. Wujek powinien jeszcze tam być.

- A jeśli go nie będzie? - Cole przyglądał się chłopcu badawczo.

- Na pewno nie czekam tu, żeby pana prosić o podwiezienie - dobitnie zapewniła Alaina na wszelki wypadek, gdyby kapitan jej to zaproponował. Wzdragała się na samą myśl o tym. Jazda za plecami kapitana bez dzielącego ich kuferka z wikliny mogła jej tylko dostarczyć nowych kłopotów. Dobrze sobie zdawała sprawę, że bez przebrania coraz bardziej przypomina wyglądem dorosłą kobietę.

- To po co tutaj czekasz? - dopytywał się Cole.

- Ciekaw jestem... - Niełatwo było Alainie przyznać się, że martwi się o Jankesa. - Ciekaw jestem, czy... czy ten ostatni żołnierz przeżył.

Cole wyprowadził konia i stanął, wpatrując się w zaniebanego chłopaka. W końcu Al przełamał wstyd.

- Też mam swoje słabe chwile, jak każdy.

Cole zaśmiał się.

- Zaskakujesz mnie, Al.

- Przeżył, tak? - Alaina zasłoniła oczy przed zachodzącym słońcem, chcąc dojrzeć twarz kapitana.

- Bobby Johnson przeżył - odparł Cole. - Jeśli przetrzyma kilka następnych dni, ma szansę wrócić do domu.

- Tylko to chciałem wiedzieć. - Alaina wyprostowała się, żeby zjechać po słupku, ale gdy to robiła, ciężkie

buty zaczęły jej się zsuwać z nóg, więc żeby ich nie zgubić, uniosła nogi do góry. Z pewnością nie był to najefektowniejszy zjazd w jej życiu, ale chyba najszybszy. Łądując bezwładnie siedzeniem na ziemi, wydała krzyk bólu, który wystraszył konia kapitana. Widząc nagle, że potężne zwierzę może ją podeptać, zapomniała o bólu i błyskawicznie się podniosła, zapominając całkiem o butach. Tego było już za wiele, by Cole zdołał utrzymać powagę. Wybuch jego szczerego śmiechu skwitowany został wściekłym spojrzeniem Ala. - Ty pożałowania godny Jankesie! Ty byś zwyczajnie pozwolił temu mułowi mnie stratować!

- Zaraz, zaraz, Al. - Cole chichotał, usiłując jednak pohamować wesołość. - Ja tylko patrzyłem, jak schodzisz z barierek. To ty przestraszyłeś Sarga i nie możesz mnie winić.

Alaina z ponurą miną rozcierała posiniaczone pośladki. Najchętniej jęczałaby teraz z bólu swym naturalnym głosem.

- Może trochę boleć. - Cole postanowił służyć za darmo swą wiedzą. - Jeśli przyjmiesz pomoc jankeskiego lekarza, mam w pokoju rekreacyjnym odpowiednie mazidło, mogę ci posmarować...

- Nie, nigdy! - Alaina z determinacją potrząsnęła głową. - Na pewno nie zdejmę spodni przy Jankesie!

Cole czuł, że głos Ala niesie się po całej ulicy. Westchnął ciężko i przymknął oczy.

- Teraz, gdy już wszyscy na nas patrzą i myślą Bóg wie co, jesteś zadowolony?

Al zarechotał z radości, zatknąwszy kciuki za swój sznurkowy pasek.

- Mam cię, co, Jankesie?! Nareszcie cię mam. I wiesz co? - Zawadiacko przysunął się bliżej. - Uśmieję się, gdy cię powieszą.

- Major Magruder ostrzegał mnie przed tobą - zauważył Cole z przekąsem. - Powinienem go posłuchać.

- Tak, tak, ja też go nie lubię.

- Jeśli chcesz, żebym cię podwiózł do domu - powiedział sucho Cole, sam się sobie dziwiąc, że w ogóle to mówi - niedługo tam jadę. Możesz poczekać koło mego domu, tylko zmienię mundur...

Alaina obrzuciła go krótkim spojrzeniem.

- Jedzie pan odwiedzić Robertę?

- Zaprosiła mnie na kolację. - Cole uniósł brew znacząco. - Nie pytam, czy masz coś przeciwko temu, bo twoje uczucia widać jak na dłoni.

Alaina ze złością złożyła ręce na piersiach.

- Nie wtykam nosa w to, jakich łotrów sprasza sobie Roberta na kolację. Zawsze miała ciągoty do różnych podejrzanych typów. Ale to w końcu nie moja sprawa. Byle pan nie nalegał, żebym ja się do was przysiadł. Nie jadam z Jankesami i koniec.

- Czy chcesz ze mną jechać? - spytał zniecierpliwiony Cole.

- Nie mam ochoty tłuc się na grzbiecie tej szkapy aż do samego domu - odparła Alaina, masując siedzenie.

- Planowałem wziąć powóz - wyjaśnił Cole. - Ale jak chcesz. Wiesz co, taki delikatny chłopiec jak ty powinien chyba nosić sukienki. A jeśli chodzi o to - wskazał ręką na szczupłe, gołe stopy - widziałem damskie pantofelki większe od twojej nogi.

Alaina ze skrzepowaniem skurczyła palce stóp.

- Miał pan zamiar wziąć powóz?

Cole przytaknął.

- Chcesz się ze mną zabrać?

- Może przyjdę pod pana apartament - powiedziała zmieszana Alaina. Nie lubiła korzystać z przysług Jankesów, ale to pozwoliłoby jej zaoszczędzić parę groszy, a dziś każdy grosz się liczył.

- Jeśli cię tam nie będzie, gdy będę wyjeżdżał - oznajmił Cole, wskakując na konia - nie zaczekam.

Alaina podniosła z ziemi buty.

- Będę tam, Jankesie.

No i była, tak wcześnie, że musiała jeszcze na niego poczekać. Przechadzała się wokół placu, obserwując okno jego mieszkania, dopóki nie została zepchnięta na bok przez przechodzącą hałaśliwą grupkę żołnierzy. Popatrzyła zagniewana, jak się oddalają, a potem ze złością przeczytała słowa dodane przez generała Butlera do inskrypcji na cokole pomnika Andrew Jacksona: UNIA MUSI BYĆ I BĘDZIE UTRZYMANA.

Typowe dla Jankesów - obruszyła się.

Słyszac rytmiczne stukanie końskich podków i turkot kół powozu, odwróciła się i rozpoznała na koźle kapitana. Zamachała i pospieszyła w jego stronę, a on zatrzymał powóz.

- Ciekaw byłem, czy przyjdiesz.

Jego twarz tonęła w cieniach zapadającego zmierzchu, a żółtawe guziki munduru połyskiwały radośnie w świetle okien domów. Czasem zdumiewało ją, jak jest przystojny.

- Czy to aby na pewno za darmo? - spytała.

Cole wyjął z kieszeni bluzy długie, wąskie cygareto i leniwie zapalił z powrotem guziki.

- Mam wrażenie, Al - powiedział, zapalając zapałką cygareto - że powinienes wiedzieć, kiedy pohamować swój ostry język, zwłaszcza gdy możesz coś przez to stracić.

Al zaprzeczył z oburzeniem:

- To pan zaproponował! Czy ja o coś prosiłem? Co?!

Cole uniósł lejce, by zaciąć konia.

- Jeśli nie chcesz jechać...

- Niech pan zaczeka! - Alaina przygryzła wargi, a Cole odchylił się na koźle, uśmiechając się szeroko. Musiała się poddać. - Chętnie pojedę.

Odrzucił głowę do tyłu:

- Wskakuj!

Ruszyła na tył powozu, chcąc wejść do części bagażowej, ale zatrzymało ją wołanie Cole'a:

- Dokąd idziesz?

Niezdecydowanym gestem pokazała na tył powozu, ale on klepnął ręką w miejsce obok siebie na koźle.

- Tutaj będę cię miał na oku. Myślę, że od dziś pójdę za radą Magruderera.

Alaina z wahaniem usiadła obok kapitana. Nie miała ochoty siedzieć tak blisko niego, zwłaszcza że on pachniał czystością, a ona miała na włosach ohydny zjełczały tłuszcz. Skrępowana tym dziewczyna zsunęła jak najniżej rondo kapelusza i siedziała cichutko prawie przez całą drogę. Kontrast między nimi stawał się dla niej bardziej bolesny, gdy pozwoliwszy sobie zapomnieć, że to Jankes, myślała tylko o tym, że on jest mężczyzną, a ona młodą kobietą.

7

Wieczór rozbrzmiewał kumkaniem rzekotek i cykaniem świerszczy, mieszaniną głosów dochodzących z dołu z salonu oraz męskim śmiechem, głębokim i pełnym. Chłodny, leniwy wiatr delikatnie bujał gałęzie olbrzymich

dębów, szeleścił liśćmi i niósł słodki zapach kwitnących krzewów aż do sypialni Alainy. Łagodna, srebrna poświata księżycowej nocy delikatnie rozjaśniała zamyśloną twarz dziewczyny stojącej w otwartych drzwiach balkonu. Z powodu obecnego na dole Jankesa była uwięziona we własnym pokoju. Czuła się straszliwie opuszczona, a ból osamotnienia rozdzierał jej serce. Nigdy jeszcze nie była skazana na taką izolację. Perlisty śmiech Roberty sprawiał, że ściany pokoju zaczynały ją dusić. Jego ostry dźwięk przeszywał jej czaszkę, czuła się jak na torturach.

Alaina oparła głowę o sztukaterię drzwi i z melancholią popatrzyła w wysokie lustro stojące w pokoju. Nie była zachwycona tym, co w nim widziała. Mimo obecności kapitana Latimera w domu udało jej się wziąć kąpiel. Potem przemknęła pośród okalających dom krzewów i ukradkiem schodkami przy galerii weszła na górę do swego pokoju. Samotna postać w srebrnym zwierciadle bardziej niż co dzień w przebraniu przypominała młodą kobietę, ale ciemne, miękkie i kręcone włosy były nazbyt krótkie, a luźnej, znoszonej koszuli nocnej nie można było nazwać twarzą.

Wzrok Alainy pobiegł ku ozdobnej szafie, w której trzymała swoją mamą garderobę. Nagle zatęskniła do pięknych kobiecych sukni, do tego, by być radosną i zalotnie uśmiechniętą kobietą, by być traktowaną jak kobieta, by już nie ukrywać swej delikatnej urody i sztucznie zniżać głosu, aż do bólu gardła.

Wciąż jednak musiała grać rolę wyrostka, choć coraz trudniej przychodziło jej zakładanie tego obrzydliwego ubrania i przybieranie z każdym dniem coraz bardziej dla niej odrażającej maski. Cała ta maskarada stopniowo odzierała ją z poczucia kobiecości.

W dodatku zaczynał ją prześladować wymagany obraz wysokiej, szczupłej postaci kapitana Latimera z uwieszoną u jego ramienia kobietą w czerwonej jedwabnej sukni. On z wielkim przejęciem i ożywieniem na przystojnej twarzy adoruje damę i na kolanach wyznaje jej miłość. Ona wyciąga rękę, jakby chciała go pasować na rycerza, a on dotyka jej palców ustami i wędruje nimi dalej, w górę białego ramienia. Potem widać już tylko, jak całuje jej pełne czerwone usta, które okazują się ustami Roberty.

Alaina wyszła na balkon, by ochłodzić się wieczornym powiewem i uciec od wizji, w której nie mógł wziąć udziału Al. Jej wiara w siebie waliła się w gruzy, w głowie kłębiły się wątpliwości. Pewnie nie ma już co marzyć, że będzie taką kobietą jak Roberta, zawsze atrakcyjną dla mężczyzn. Jest skazana na pozostanie nieładnym, chudym i kościstym Alem. Ciężko jej było zaakceptować to, że jej przyszłością jest szorowanie podłóg, podczas gdy Roberta nie musi robić nic. Wystarczy jeden bezradny uśmiech i już ma wszystko.

Zeszła powoli kręconymi schodami do miejsca, skąd mogła obserwować dolne piętro. Dolną część schodków oświetlało wylewające się z salonu rześiste światło. Tam już nie miała odwagi zejść, żeby jej ktoś nie zobaczył. Na drugim końcu krużganka stała ławka i krzesła, gdzie podczas dawnych, nieczęstych zresztą wizyt w mieście ona bawiła się razem ze swymi braćmi, a Roberta niezmordowanie przebierała porcelanowe lalki w wymyślne suknie i falbaniaste czepki.

W ciszę wieczoru wdarł się nagle śmiech Roberty, a do niego dołączył radosny głos kapitana i stłumiony rechot Angusa.

- Kapitanie, pan chyba był wszędzie - szczebiotała Roberta. - Oprócz pańskiego domu jakie jest pana ulubione miejsce? Może Paryż?

Alaina pochyliła się niżej. Przez okno salonu zobaczyła Cole'a odpowiadającego na pytanie komplementem.

- W całym Paryżu nie było piękniejszej osoby niż ta, która teraz stoi przede mną, panno Craighugh.

Alaina uniosła wzrok do nieba. Powinna się chyba modlić za jego duszę. Dość znaczące chrząknięcie Angusa

zerwało kapitana na nogi.

- Pani urocze towarzystwo sprawiło mi ogromnie dużo radości - z galanterią ujął dłoń Roberty - lecz godzina już późna. Pora na mnie. Kiedy składał lekki pocałunek na białej gładkiej rączce, Alaina odruchowo schowała swe zaczerwienione od fizycznej pracy ręce między kolana. Była tak pochłonięta przyglądaniem się, jak kapitan Latimer wychodzi, że zapomniała się ukryć.

- Mam nadzieję, że znów pan przyjdzie - zagadnęła nieśmiało Roberta, biorąc Cole'a pod rękę i odprowadzając do wyjścia. Na widok wychodzącego z domu kapitana Alaina skuliła się w sobie. Nie było jeszcze tak ciemno, więc widziała, jak idąca za nim Roberta dotyka do jego klatki piersiowej i pochyla się ku niemu zalotnie, przysuwając się coraz bliżej do jego munduru. - Przyjdzie pan, prawda, panie Cole?

Policzki Alainy zapłonęły, gdy w następnej sekundzie stała się mimowolnym świadkiem namiętnej reakcji kapitana. Przycisnął Robertę do swej mocnej piersi i pocałował jej karminowe usta z taką gorliwością, że samo patrzenie na to odebrało Alainie oddech. Nigdy w życiu nie widziała jeszcze tak całującego mężczyzny. Czuła się intruzem, lecz zarazem krew zaczęła szybciej pulsować w jej żyłach. Nagle wyobraziła sobie, że to ją całuje Cole Latimer. Poczwała ciepło i zawrót głowy. Kiedy Cole dotknął piersi Roberty, jej własne naprężyły się z podniecenia, aż sutki uniosły się pod koszulą.

- Przyjdiesz jutro. Cole? - wyszeptala Roberta. - Nie pozwolisz mi tu siedzieć w samotności, prawda?

- Mam dyżur - szepnął, muskając ustami jej policzek.

- Dyżur? - Miękkim, przytłumionym głosem Roberta kusila: - Cole, nie możesz sobie darować tego dyżuru? Będę tu jutro zupełnie sama. Mama jedzie do sklepu, a Dulcie na targ. Przyjdź, proszę. - Śnieżnobiałą dłonią przykryła jego rękę, obejmującą łakomie jej prawie odsłoniętą dekoltem pierś. - Będziemy mieli całe popołudnie dla siebie.

Alaina była zdumiona opanowaniem Roberty pomimo jego pieszczot. Ona, patrząc tylko, drżała jak liść na wietrze. Fala ciepła i dziwnego, nie znanego dotąd pragnienia pulsowała w jej lędźwiach. Niechętnie, lecz musiała przyznać przed sobą samą, że gdyby to ona znalazła się w jego ramionach, byłaby już bliska omdlenia.

Przerwały im kroki w holu. Roberta uwolniła się z objęć Cole'a i przyglądziła włosy.

- Muszę już iść - szepnął. - Twój ojciec się denerwuje.

- Czekam jutro... - Roberta uśmiechnęła się czule. Już odchodząc.

Cole jeszcze raz się zatrzymał.

- Przykro mi, Roberto, ale naprawdę mam dyżur.

I oddalił się, zostawiając Robertę patrzącą z nadaśaną miną, jak wsiada na konia i odjeżdża. A byłaby to taka wspaniała okazja, żeby zostali przyłapani sam na sam. Tak ostre zaloty musiałyby się w błyskawicznym tempie zakończyć małżeństwem. Z pewnością nakryłaby ich mama, bo mówiła, że wybiera się tylko na godzinę czy dwie.

- Tatusiu! - zawołała w stronę domu. - Potrzebna mi nowa suknia. Naprawdę piękna.

- Nie ma mowy, Roberto! - W drzwiach stanął Angus. - Wiesz, jak ciężko teraz zdobyć nawet te kilka groszy, które zarabiam w sklepie. Nie mogę ci kupić.

- Och, tato, nie udawaj takiego biedactwa. Jutro ci zapłaci Alaina, a madame Henri na pewno poczeka na resztę pieniędzy, jeśli obiecasz jej płacić co tydzień.

- Nie, Roberto, tak nie można robić!

- Tato, mam zamiar złapać bogatego męża - oznajmiła rzeczowo dziewczyna. - I musisz mi w tym pomóc.

Jeśli będę się ubierać w szmaty, pomyśli, że chodzi mi o jego pieniądze.

- Jeśli masz na myśli tego Jankesa... - Angus wpadł w prawdziwą wściekłość - bogaty czy nie, nie chcę go więcej widzieć w tym domu! Twoja matka jest rozbita z powodu dzisiejszego wieczoru. Poza tym co powiedzą nasi sąsiedzi?

- A co mnie obchodzi ta zgraja nudziarzy?

- Powinnaś ich bardziej szanować, Roberto - zbeształ ją ojciec.

- Wiem, tatusiu - westchnęła ciężko. - Ale mam już dość tej zebraniny.

- Wracaj do domu i idź spać, moje dziecko. Nie frasuj zbytnio swej pięknej główki.

- Zaraz przyjdę, tato. Tu jest tak przyjemnie. Zostanę jeszcze chwilę, by nacieszyć się wieczorem.

- Dobrze, ale nie za długo.

Nucąc cicho, Roberta tańczyła z radości walca na krużganku. Już sobie wyobrażała, że jest na wielkim balu wojskowym, takim jakie podobno wydawał Banks, ubrana w najpiękniejszą suknię na całej sali i w towarzystwie najprzystojniejszego mężczyzny.

Nagle zatrzymała się gwałtownie i wydała z siebie przerażony, zdławiony jęk, ujrawszy na schodach bladą ludzką postać.

- Al! - wycedziła, rozpoznając drobną sylwetkę. - Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś u siebie w pokoju.

- Mam na imię Alaina - poprawiła ją kuzynka i odwróciła się na bosych stopach, by wejść po schodkach. - Mogłabyś się tak do mnie zwracać?

Rozzłoszczona tym, że była podsłuchiwana, Roberta syknęła jadownicie:

- Zawsze bardziej przypominałaś Ala niż jakąś Alainę.

Na tę złośliwą uwagę młodsza kuzynka aż się zachwiała. Niewidząc wykrzywionej złością twarzy Roberty, ruszyła do góry, mówiąc na odchodnym:

- Przynajmniej nie gonię za Jankesem.

- Jesteś zazdrosna! - rzuciła oskarżenie tamta. - Bo ty nigdy nie złapiesz takiego mężczyzny jak Cole Latimer. Jesteś tak koścista, że w łóżku dostałby ataku śmiechu!

Alaina aż wzdrygnęła się na tę ohydną uwagę, choć w duchu wiedziała, że Roberta ma rację.

- I powiem ci coś jeszcze, Alaino MacGaren - ciągnęła Roberta z emfazą. - Zmuszę Cole'a Latimera, żeby się ze mną ożenił.

Alaina stała na wpół odwrócona, a Roberta uśmiechała się triumfalnie, po czym młodsza z dziewcząt zapytała spokojnie:

- A co mu powiesz, gdy zauważy, że nie jesteś dziewicą?

Robertę zatkalo z wrażenia.

- Skąd wiesz? - Ścisząc głos do szeptu, domagała się odpowiedzi. - Jak się dowiedziałaś?

Alaina niedbale wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, jak Chad Williamson chwalił się tym braciom Shatlerom. Oczywiście, oni wszyscy już nie żyją, a więc tylko ja o tym wiem.

W obliczu takiego zagrożenia Roberta pogroziła jej zaciśniętą pięścią.

- Jeśli coś powiesz Cole'owi, przysięgam, że dowie się o twojej małej tajemnicy! - Roberta ochłonęła nieco, gdy poczuła, że odzyskuje przewagę. - Zresztą to było dawno temu. Miałam tylko piętnaście lat i to się zdarzyło

zaledwie jeden raz - skrzywiła się. - I wcale mi się nie podobało. Całe to obmacywanie i sapanie. Byłam po tym wycieńczona i przez tydzień nie mogłam siedzieć.

- Kapitan Latimer jest lekarzem. Może się zorientować...

- Coś wymyślę, żeby mu to wytłumaczyć. I uwierzy mi! - ucięła Roberta.

- Nie sądzę, żeby nie miał doświadczenia z kobietami - rzuciła przez ramię Alaina, wchodząc do swego pokoju.

Roberta nie dała się zbić z tropu.

- Już ja się postaram, żeby mi uwierzył!

Alaina spojrzała na nią i zauważyła spokojnie:

- Ale najpierw musisz go przekonać, żeby się z tobą ożenił.

Roberta zaśmiała się.

- To dla mnie równie łatwe jak pstryknięcie palcami. Prawdę mówiąc, już jest na dobrej drodze...

Alaina pokiwała filozoficznie głową.

- Może zrealizujesz swój plan. Może nawet go oszukasz w łóżku. Ale ciekawa jestem, Roberto, czy będziesz kiedykolwiek szczęśliwa... tak naprawdę szczęśliwa.

- Nie bądź śmieszna! Oczywiście, że będę. On ma pieniądze...

Śmiejąc się pogardliwie, Alaina rzekła:

- Myślisz, że to daje prawdziwe szczęście. Żona powinna czuć radość, dzieląc łożę z mężem, rodzić mu dzieci...

- Dzieci! Nie mam zamiaru rujnować figury dla czyjegoś bachora!

Alaina spojrzała na kuzynkę z politowaniem.

- Gdybyś naprawdę kochała mężczyznę, chciałabyś mieć jego dzieci.

- To ty tak czujesz! Bo ty, biedne, brzydkie kaczątko, będziesz miała szczęście, jeśli ktoś w ogóle cię zauważy!

- Jeżeli już skończyłaś mnie obrażać - mruknęła Alaina dość niepewnym głosem - chciałabym się położyć. Jutro muszę być wcześniej w szpitalu.

- Naturalnie! Musisz dużo odpoczywać, żeby mieć siłę do wyszorowania wszystkich podłóg. Cole mówił, że idzie ci to wyjątkowo dobrze.

Widząc, że celnie wymierzyła, Roberta z gracją weszła do domu, zamykając za sobą drzwi. Z oczu Alainy, dotkniętej do żywego zniewagami Roberty, popłynęły łzy bezsilnej złości. Zgasiwszy lampę, stała w ciemności, patrząc na wdzierający się do pokoju promień księżyca. Czuła się tym bardziej zraniona, że podobne przygnębiające myśli trapiły już od pewnego czasu jej biedną głowę.

8

Piątkowy ranek zaczął się dla Alainy od pośpiechu i chaosu. Zasnęła i musiała potem w szaleńczym tempie nadrabiać stracony czas. I nic jej się nie udawało. Sprzątanie szło jak po grudzie. Raz nawet wpadła na wiadro pełne brudnej wody, przewróciła się i rozlała całą jego zawartość na podłogę. Gdy wstawała, rozcierając stłuczony łokieć i złorzeczając pod nosem, zauważyła kątem oka kapitana Latimera. Aż wyszedł na korytarz zobaczyć, co to za hałas, i nie omieszkał ostro i dobitnie wytknąć jej niezdarność. Chętnie by go za to zdzieliła wiadrem po głowie.

Gdy poszedł, Alaina z szyderczym uśmiechem wycisnęła część wody ze swego luźnego ubrania. Obejdzie się bez jego ojcowskich nauk.

Dopiero o późniejszej porze tego poranka zdołała znaleźć czas, żeby zajrzeć do Bobby'ego Johnsona. Wciąż był pod wpływem dużej dawki morfiny, która łagodziła ból i pozwalała mu leżeć spokojnie, żeby rany się goiły. Alaina ucieszyła się, że w ogóle żyje.

Wczesnym popołudniem znów stała się celem obserwacji kapitana. Właśnie kończyła myć okno, gdy spostrzegła, że się jej bacznie przygląda. To oczywiście jeszcze o niczym nie świadczyło. Inny Jankes może przejrzałby jej maskę i odkrył sekret, ale kapitan Latimer z pewnością po raz kolejny kontemlował jej niechlujny wygląd.

Celowo przedłużała wycieranie szyby, gdy podchodził, i nie odwracała się, dopóki nie znalazł się o krok od niej. Wtedy odwróciła się i zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem, jakby od niego spodziewała się tylko najgorszych rzeczy.

- Nie stłukę cię - zapewnił lakonicznie. - Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Alaina wytarła nos o rękaw, prychając głośno dla zwiększenia efektu.

- Tata ostrzegał mnie, żeby nigdy nie odwracać się tyłem do niebieskobruchów. - Zmierzyła go drwiącym wzrokiem od czubków wypastowanych butów aż po kształtną głowę. - Jankesie!

- Musi ci być bardzo trudno przebywać wśród tyłu żołnierzy Unii - rzekł Cole z przekąsem.

- Ty to powiedziałaś, Jankesie, nie ja. - Alaina włożyła rękę do tylnej kieszeni, wyciągnęła podartą chustkę i głośno wytarła nos. - Rzeczywiście, nie ma tu miejsca, gdzie nie stałbym tyłem do cudzoziemca.

- Jeśli już skończyłeś - powiedział Cole niecierpliwie - mam dla ciebie jeszcze jedną pracę, choć nie wiem, czy dobrze robię.

- Powiniennem się domyślić. - Alaina udała jęk rozpacz. - Pan tylko albo biadoli nad moim wyglądem, albo ma coś dla mnie do zrobienia. Co to takiego, niebieszczaku?! Jeszcze więcej jankeskich rzygów?! - Jakże nienawidziła tego słowa!

Cole uśmiechnął się sardonicznie. Ta wiecznie najeżona przekorność Ala była trochę denerwująca, lecz znając przewrażliwioną naturę chłopaka. Cole odbierał to po prostu jako buńczuczność. Al świadomie prowokował jakieś napomnienie lub karę, a skoro tego chciał, była to ostatnia rzecz, jaką był mu skłonny dać Cole. Opanował się więc i odpowiedział na impertynenckie pytanie.

- Coś gorszego, jak sądzę.

Alaina zeszytniała. Nie odebrała tego jako żartobliwej pogroźki i przysięgła sobie, że jeśli będzie to sprzątanie sali, gdzie robiono amputacje, nie zgodzi się. Takiej jatki jej żołądek nie zniesie.

- Chodź ze mną. - Cole ruszył do drzwi, a gdy odwróciwszy się zobaczył niezdecydowaną minę Ala, ponaglił tonem rozkazu: - No, ruszaj!

Alaina zirytowała się. Ten człowiek wiedział, jak ją rozdrażnić.

- Myślałem, że dziś po południu wybiera się pan do Roberty. Co pan tu jeszcze robi?

Cole uniósł brwi ze zdziwienia.

- Chyba jesteś źle poinformowany.

Alaina wzruszyła ramionami.

- Sądząc po tym, jak pan się wczoraj palił, by jechać do Craighughów, spodziewałem się, że będzie ją pan jak

najczęściej odwiedzał.

- Przysłano mnie tutaj przede wszystkim po to, żebym się troszczył o rannych, a nie zalecał do dam, choćby mi się to nie wiem jak podobało. A ty - niebieskie oczy spoczęły na szarych - jesteś tu, żeby sprzątać. Więc chodź.

Alaina znacznie się uspokoiła, gdy okazało się, że podążają na trzecie piętro, gdzie dotąd jej nie pozwalano wchodzić. Dzień był gorący i upał dawał się tam bardziej we znaki. Pociła się obficie, aż koszula z surowej bawełny oblepiała jej plecy i ramiona, a krople potu spływały między piersiami. Z trudem powstrzymywała się od drapania. Nawet Cole, idąc tam korytarzem w lśniących butach i nienagannym ubraniu, nie uniknął skutków gorąca. Na jego bluzie na środku pleców pokazała się ciemna, mokra plama.

Alaina szurała swymi wielkimi butami, chcąc dotrzymać kroku długonogiemu kapitanowi. Szli głównym korytarzem, potem skręcili w drugi, gdzie za niewielkim biurkiem siedział sierżant. Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się uchylone drzwi, przez które było widać cały oddział żołnierzy Unii odpoczywających i grających w karty. Za sierżantem, przed innymi drzwiami, stał na warcie żołnierz. Było tu potwornie duszno i bluzy żołnierzy były całe mokre. Sierżant na widok nadchodzącej dwójki wytarł czoło czerwoną chustką, skłonił się przed Cole'em i podniósł się, by otworzyć strzeżone drzwi. Wtedy wszystko się wyjaśniło. Oczom Alainy odsłonił się oddział szpitalny dwa razy większy niż na dole. Tutaj jednak na łóżkach leżeli żołnierze Konfederacji. Wielu z nich miało na sobie różne części szarego munduru. Niektórzy leżeli cicho i spokojnie, oszołomionymi oczami patrząc w sufit. Kilku jęczało z bólu. Młody żołnierz leżący obok drzwi straszliwie chrząkał. Gdy wchodzili, usiłował właśnie obrócić głowę na poduszce i dostał napadu kaszlu, od którego skręcał się z bólu. Alaina wiedziała dobrze, że byli to jeńcy. Podleczano ich tutaj, a potem wysyłano do Fortu Jackson lub na Ship Island.

- To jest Al - objaśnił mężczyznom Cole. - Będzie sprzątał waszą salę - sięgnął ręką w tył, żeby przesunąć bardziej do przodu niepozorną osóbkę, lecz Alaina cofnęła się z gniewem.

- Zabierz te łapy, Jankesie! - warknęła. - Trzymaj je przy sobie, to jakoś się zgodzimy.

Wysoki, tyczkowaty południowiec parsknął śmiechem.

- Uch, kapitanie, ale pan znalazł ciętego chłopaczka. Skąd go pan wytrzasnął?

- Bił się z paroma naszymi żołnierzami - odparł sucho Cole. - A ja błędnie sądziłem, że to za dużo jak na jednego. Teraz wiem, że ocaliłem tamtych od pewnego nieszczęścia.

Krzepki mężczyzna z końca sali burknął:

- Hej, mały, dlaczego pracujesz dla Jankesów? Matka nie wychowała cię jak należy?

Al wzruszył ramionami.

- Próbowała, ale muszę coś jeść.

Mężczyzna odchylił się na łóżku, jakby się namyślał.

- Wyglądasz, jakby cię kiepsko żywili. Taka mała mizerota jak ty powinna jeszcze siedzieć u mamy na kolanach. Może jesteś jeszcze za mały, by wiedzieć, że szanujący się ludzie wolą raczej umrzeć z głodu niż usługiwać niebieskobruchom.

Al podszedł powoli do łóżka żołnierza, oceniając wzrokiem zebrane wszędzie pokłady brudu.

- Tu nie ma niebieskobruchów, proszę pana. Sami rebelianci.

Żołnierz obrzucił go gniewnym wzrokiem, ale jasnoszare oczy nawet nie mrugnęły. Z innych łóżek rozległ się przytłumiony śmiech. Czerwony ze wstydu mężczyzna rzucił szorstko:

- Bierz się do roboty, zanim połamię kij od szczotki na twych kościstych plecach.

Alaina zlustrowała go jakby od niechcenia. Jedną nogę miał zdrową, do drugiej przymocowana była długa drewniana szyna.

- Spróbuj, Johnny, a będziesz potrzebował desek do drugiej nogi.

Wszelkie obawy Cole'a co do bezpieczeństwa chłopca przysły, gdy obserwował tę wymianę zdań. Al zachowywał się jak mały, waleczny kogucik, równie bojowy co łatwy do udobruchania.

Alaina obejrzała się, gdy z małego pokoju na tyłach oddziału wyszedł starszy, białowłosy, solidnej budowy mężczyzna. Z ogromnym zaniepokojeniem rozpoznała w nim doktora Brooksa, lekarza rodzinnego i przyjaciela Craighughów.

- Kapitanie Latimer! - zawołał. - Jeśli ma pan chwilę czasu, chciałbym zasięgnąć pana opinii. - Lekarz podszedł do łóżka jednego z żołnierzy, coś do niego cicho powiedział i zaczął ściągać przykrywające go prześcieradło. Alaina nie czekała, aż przekona się, czy żołnierz ma na sobie coś więcej prócz bandaży. Ale cofając się w pośpiechu, zachwiała się i wpadła na kapitana.

- Al! - wybuchnął ten, przytrzymując ją. - Co się z tobą dzieje?

Alaina szukała jakiegoś wytłumaczenia.

- To chyba ten upał.

- To zdejmij tę kretyńską marynarkę. Wyglądasz, jakbyś się miał zaraz usmażyć - sięgnął w stronę zapiecia i nagle jego ręka odskoczyła uderzona z głośnym plaśnięciem przez Alę.

- Mówiłem, żeby mnie pan nie dotykał! - rozległ się przenikliwy pisk.

W korytarzu stuknęło odsuwane krzesło i do sali wpadł wartownik, a za nim sierżant, obaj gotowi stłumić natychmiast każdą rebelię. Cole przeszył chłopca gniewnym spojrzeniem, rozcierając obolałe przedramię.

- Któregoś dnia, Al - zazgrzytał zębami - któregoś dnia...

- Uprzedzałem pana, prawda? Proszę mnie nie dotykać! Mówiłem! Pan nie słuchał! Sam pan jest sobie winien.

- Al! - Cole mówił z zaciśniętymi szczękami i zwężonymi oczami. - Czy wiesz, że potrafisz doprowadzić człowieka do furii?!

Szczupłe ramiona drgnęły obojętnie, a Cole na koniec uspokoił sierżanta.

- Wszystko w porządku. Niech pan tylko uważa na tego porywczego chłopca, kiedy tu będzie sprzątał. Gotów wywołać kolejną wojnę.

Posyłając mu ostatnie, ostrzegawcze spojrzenie. Cole odszedł, by porozmawiać z doktorem Brooksem. Alaina uważała, by nie spojrzeć na chude, nagie ciało rannego, którego oglądał Cole. Zająła się sprzątaniem sali. W pewnej chwili pod łóżkiem przy drzwiach spostrzegła kilka tomów poezji rozrzuconych na podłodze.

- Hej, ty - stęknął ich właściciel, zbyt słaby, by unieść głowę znad poduszki. - Jesteś z tych stron?

- Bardziej w górę rzeki - odparł Al, zbierając książki z podłogi. - Niedaleko Czerwonej.

- Założę się, że ze wsi - rzucił z przekąsem krzepki mężczyzna.

Alaina nastroszyła się, ale nie spojrzała w jego stronę. Ułożyła równo książki i wstała.

- Nie znasz przypadkiem młodej damy mieszkającej około dziesięciu mil od Alexandrii? - wysapał z trudem żołnierz obok, a oczy mu przy tym rozblęsnęły. - Śliczna, mała panna. Twojego wzrostu. Kiedyś przyniosła nam jedzenie - przełknął ciężko ślinę. - I przenocowała nas w stodole. Nie poznałem nigdy... jej imienia ani nazwiska, ale był przy niej... wielki Murzyn, który stale pilnował... żebyśmy się do niej odnosili z szacunkiem. Mówiła na niego Saul...

Alaina odwróciła się w bok i wymamrotała przez ramię:

- Wszyscy stamtąd puciekali. Pewnie ona też.

- Wielka szkoda. - Żołnierz zakasłał. - Myślałem, że... być może, jak ta wojna się skończy... i odzyskam wolność... pojedę tam jeszcze. To była prawdziwa dama... dzieliła się z nami tą odrobiną, co miała... Chciałbym jej się jakoś odwdziżyć.

Drząc cała, Alaina odłożyła książki. Oto młodzieniec z głową pełną marzeń, które wkrótce zginą za ścianami więzienia. Jak miała mu powiedzieć, że chuderlawy, potargany młodzik to wszystko, co pozostało z tamtej dziewczyny?

Wtem poczuła na ramieniu czyjaś, dłoń. Odwróciła się z lękiem. Był to doktor Brooks.

- To ty jesteś tym chłopakiem, przed którym ostrzegał mnie kapitan Latimer? - zapytał ze śmiechem. - Po moich długich staraniach w końcu przyprowadził cię, żebyś mi trochę pomógł. - Błękitne, dobrotliwe oczy skrzyły się radością. Lecz gdy Alaina podniosła wzrok, jego twarz nagle zastygła, a usta powoli otworzyły się ze zdumienia. - Mój Boże!

Widząc, że ją poznał, Alaina zaczęła robić znaczące miny. Doktor Brooks był częstym gościem w domu Craighughów, podczas gdy ich rodzina przebywała tam z wizytą. Czasem drażnił się z nią, że tak lubi towarzystwo chłopców, jakby była jednym z nich.

Doktor Brooks gwałtownie odchrząknął i wrócił do Cole'a, biorąc młodszego kolegę za ramię i prowadząc do drzwi.

- Kapitanie, jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałem z panem porozmawiać. Kończy nam się morfina...

Obaj lekarze wyszli na korytarz i Alaina mogła odetchnąć. Doktor Brooks na pewno będzie strzegł jej tajemnicy tak samo pilnie, jak chroni życie tych mężczyzn wypełniających oddział konfederacki.

Delikatny podmuch wiatru przywołał ją do rzeczywistości. Uprzytomniła sobie nagle, że w tej sali jest znacznie chłodniej niż w którejkolwiek innej części szpitala. Podniosła oczy w górę i zobaczyła nad głową otwarty świetlik. Gorące powietrze uciekało tędy na zewnątrz, a z dworu wpadała do środka chłodna bryza.

- Głupi Jankesi, jeszcze się nie zorientowali - zachichotał tyczkowaty konfederat, zauważywszy, że chłopak ogląda wywietrznik. - Umieścili nas tutaj, żebyśmy nie puciekali przez okna, a nie wiedzą, że to najchłodniejsze miejsce w całym budynku.

Alaina uśmiechnęła się, szczerze ubawiona, zwłaszcza gdy przypomniała sobie widok spoconego sierżanta w dusznym kącie korytarza. Niewiele było ostatnio okazji, by odnieść choćby maleńkie zwycięstwo nad Jankesami.

Kiedy doktor Brooks wrócił do sali, spojrzął jej w oczy i powiedział:

- Al, chciałbym zamienić z tobą słówko, jak skończysz sprzątanie.

W sobotę Alaina pracowała w sklepie wujka razem z Roberta. W szpitalu jako Al zrobiła wszystko już w piątek wieczorem, więc kapitan dał chłopcu dzień wolny. Kiedy odkryła to Roberta, którą już wcześniej poproszono o pomoc w sklepie, zrobiła wszystko, żeby Alaina też się zgłosiła. Przez większą część dnia Roberta starała się trzymać swą kuzynkę na dystans. Ona sama zasiadła za ogromną ladą sklepu i zaprzęgnęła cały potencjał swego umysłu do porządkowania ksiąg handlowych, podczas gdy obdarty Al zamiatał, mył i czyścił sklep. Roberta miała wielką satysfakcję z tego, że zagląający do sklepu jankescy żołnierze wyraźnie interesowali się nią, a na sprzątającego chłopca nie zwracali najmniejszej uwagi.

Niedzielę wypełniała zwykle jazda do kościoła i wizyty towarzyskie. Dla Alainy, która nie mogła przecież umyć się i ubrać czysto, by towarzyszyć rodzinie, było to kilka godzin spokoju, wolnych od obserwacji i nieustannych złośliwości Roberty. Dulcie udała się ze swoją rodziną do ich kościoła, co zabierało im zwykle cały dzień. Alaina miała więc dom dla siebie. Relaksowała się wówczas w długiej kąpieli, perfumowała, zakładała sfa-tygowaną, najlepszą, jaką miała, suknię z muślinu i przez ten krótki czas mogła wreszcie być kobietą.

Było wczesne popołudnie, gdy wyjrzawszy przez frontowe okno, ze zgrozą zobaczyła jadącego alejką kapitana Latimera. W panice popędziła do swojego pokoju. Nie miała chwili do stracenia! Zrzuciła suknię i pantofle i wciągnęła na siebie znieawidzone spodnie i koszulę. Sięgające do kolan buty ukryły pończochy. Wtarła w twarz trochę zawsze gotowego brudu, a czyste włosy przykryła miękko opadającym kapeluszem. Nie było już czasu, żeby je ubłocić, ani nie miała serca, by to robić.

Przy drzwiach zabrzączał dzwonek, po krótkiej chwili rozległ się ponownie. Alaina wstrzymała oddech, mając jeszcze nadzieję, że gość sobie pójdzie. Wreszcie usłyszała kroki na krużganku. Czekwała, niespokojnie odliczając minuty. Przez oszklone drzwi nie widać było ani Jankesa, ani jego konia. Zeszła kręconymi schodkami, uważając, by nie stukać luźnymi butami. Aby uniknąć spotkania, pobiegła przez wysokie krzaki na tył domu. Następnie rzuciła się w stronę powozowni, przeskakując niskie krzewy i pędząc ku otwartym drzwiom. Zamierzała osiodłać Tara i uciec nad rzekę, gdzie będzie miała spokój. Rzuciła jeszcze okiem do tyłu i wpadła do środka, prosto na odwróconego tyłem kapitana Cole'a Latimera. Uderzyła w niego z takim rozpędem, że od pompy, przy której stał, zwalony z nóg przejechał po pełnej kurzu i piachu podłodze stajni.

Alaina zamarła z przerażenia, widząc, jak Cole podnosi się, urągając wściekle. Gdy rozpoznał swego napastnika i sięgnął ręką, żeby złapać za szczupłe ramię, Alaina próbowała uciekać.

- Ty mały zabijako! Co ty wyprawiasz? - krzyknął kapitan, boleśnie wbijając palce w ramię Alainy.

Jej strach powrócił z pełną mocą, uprzytomniła sobie bowiem, że w pośpiechu nie zdjęła gorsetu i damskiej bielizny. Mięka koszulka i gorset uwypuklały jej kobiece okrągłości, a przede wszystkim wcięcie w talii. Jeśli ją tam dotknie, wszystko się wyda. Ramię rozboleło ją od mocnego uścisku. Sytuacja stawała się dla niej nie do zniesienia. Górę wziął czupurny temperament.

- Zabierz te łapy, Jankesie! - wrzasnęła. - Nie masz prawa mnie dotknąć!

Rozwścieczona do maksimum, Alaina wyszarpnęła swoje ramię i natychmiast poczuła ogień bólu. Resztką świadomości skuliła barki pod obszerną koszulą i skrzyżowała ręce, rozcierając nadwerżone ramię. Odsunęła się od niego w ciemny kąt.

Cole chyba zawstydził się swej porywczosci.

- Przepraszam - powiedział, otrzepując się z kurzu. - To było na pewno niechcący, a... - Nagle jakaś wątpliwość kazała mu popatrzeć surowo. - To było niechcący, prawda?

- Taak... - Alaina trochę się zawahała. - Nie zauważyłem pana w ciemności.

- A od czego właściwie tak uciekałeś?

Po chwili Cole się roześmiał.

- Założę się, że mnie zobaczyłeś i przestraszyłeś się, że przyszedłem cię zabrać do dodatkowej pracy.

- Pracy się nie boję - burknęła gniewnie Alaina.

- No tak, tu masz rację - przyznał Cole. Rozpiął bluzę do połowy, podwinął kołnierz, po czym opłukał twarz i ręce pod pompą. - Przyszedłem tu, żeby przed odjazdem napić konia. Dostałem właśnie kilka wolnych godzin i

pomyślałem, że złożę wizytę twojej kuzynce. - Polewając wodą kark i wycierając się chusteczką do nosa, nie zauważył, jak Alaina skrzywiła się z obrzydzeniem. Podniósł rękawice i rozejrzał się za kapeluszem. Leżał na piasku tuż za drzwiami. Wytrzeptał go i wrócił do Alainy. - Skoro nikogo więcej nie ma w domu, będę już wracał. Powiedz Robercie, że tu byłem. - Patrzył, jak chłopak wychodzi dziwnie przygarbiony. - Co się stało?

- Uraził mnie pan w ramię - wyrzuciła z siebie Alaina, z wyrzutem zwiężając szare oczy.

- Przepraszę cię, jeśli ty przeprosisz za to, że mnie przewróciłeś. - Czekał, spoglądając wesoło swymi jasnoniebieskimi oczami.

- Dobra. - Alaina była w stanie ustąpić tylko odrobinę. Wolałaby go dosięgnąć swym ciężkim butem.

Nagle na twarzy Cole'a pojawił się grymas zdziwienia. Pochylił się w stronę Alainy i wachając coś, uniósł znacząco brwi.

- Co u licha? Zabawiasz się w kobietę? - Alainie serce podskoczyło do gardła, a on ciągnął: - Pachniesz, jakbyś się wykąpał w perfumach.

- No, bo... - Alaina jąkała się, usiłując znaleźć wytłumaczenie, a wreszcie lekko wzruszyła ramionami. - To Roberty. Powiedziała, że za bardzo cuchnę, i wylała na mnie trochę wody różanej.

Cole zachichotał.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego przede mną uciekałeś. - Zawadiacko osadził na głowie kapelusz, zapiał bluzę i chwycił lejce konia. - Bądź spokojny, Al, nie zdradzę twego sekretu. Jednak na twoim miejscu nie przychodziłbym tak wyperfumowany do szpitala.

Alaina obrzuciła go niezbyt wdzięcznym spojrzeniem. Szła za nim przed dom, ale tylko dlatego, by mieć pewność, że już pojechał. Tymczasem, gdy wyszli z za rogu budynku, przed tarasem zatrzymał się powóz Craighughów.

- Ależ to kapitan Latimer! - zawołała radośnie Roberta, machając do niego. - Co pana tu dziś sprowadza? - Uśmiech zastygł na jej ustach, gdy zobaczyła podążającą za nim Alainę. - Nie powie mi pan chyba, że przyjechał aż tutaj odwiedzić naszego małego Ala?

Cole podał jej szarmancko rękę przy wysiadaniu.

- Mam kilka godzin wolnych i pomyślałem, że zastanę panią w domu.

- Uhm! - chrząknął głośno Angus i wysiadł, podając rękę żonie. - Panie kapitanie, obawiam się, że córka musi nam dziś po południu towarzyszyć.

- Ale, tato! - jęknęła Roberta, zamierzając polemizować, lecz gniewny wzrok ojca ją uciszył. Nie odważyła się nic powiedzieć, żeby uniknąć przykrej sceny, mogącej odstraszyć kapitana na zawsze.

- Wybieramy się do przyjaciół, którzy specjalnie prosili, żeby Roberta z nami przyjechała. - Było to wierutne kłamstwo, ale Angus nie miał nastroju na uleganie kolejnym kaprysom córki. Nie mógł pozwolić, by ten człowiek został w końcu jego zięciem. Zgadzał się prawie na wszystko, o co Roberta prosiła, ale oddanie jej ręki Jankesowi to już zupełnie co innego.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan zbyt długo, kapitanie. - Roberta zmusiła się do promiennego uśmiechu. Zawsze radziła sobie z ojcem. Nie przedstawiało to dla niej większego problemu. Potrzebowała tylko czasu.

- Al zabawiał mnie jak mógł - zaśmiał się Cole - dopóty, dopóki już nie mogłem dłużej wytrzymać w jego towarzystwie.

- Al? - Roberta cisnęła w stronę chłopca podejrzliwe, piorunujące spojrzenie. - Cóż on panu... opowiadał?

- Na pewno z rozkoszą sam to wyjaśni, pozostawiam więc jemu tę przyjemność. - Cole przerwał i spojrzał na stojącego sztywno Angusa. Starszy pan odznaczał się dziś nad wyraz ograniczoną gościnnością. Nie chcąc wywołać swą obecnością rodzinnej sprzeczki. Cole oznajmił smutno: - Obawiam się jednak, że muszę wracać. Jestem tu już chyba za długo.

Roberta z żalem patrzyła, jak wsiada na konia, i uśmiechnęła się skromnie, gdy dotknął ręką brzegu kapelusza.

- Panno Craighugh, życzę miłego dnia - powiedział, a spoglądając na Ala, dodał: - Do zobaczenia jutro.

Rozległ się stukot podkół i już go nie było. Roberta poczekała, aż rodzice wejdą do domu, i rzuciła się z furią do Alainy. Ton jej głosu, choć go nie podnosiła, był ostry i natarczywy.

- No więc jak zabawiałaś kapitana Latimera? Ty mała suko, jeśli mu powiedziałaś o mnie...

- Mój Boże! Nie wiem, co we mnie wstąpiło. - Alaina udawała niewiniątko. Wiedząc dobrze, czego boi się kuzynka, mściła się, zwlekając z odpowiedzią.

- Alaino MacGaren! Bo zaraz zedrę ci z głowy ten wiecheć razem ze skórą!

Alaina wzruszyła ramionami.

- Nie chodzi o to, co powiedziałam, ale co zrobiłam.

Brwi Roberty uniosły się gwałtownie, przez głowę przeleciały najgorsze myśli.

- Szamotaliśmy się trochę w stajni. - Alaina oblizwała wargi, jakby delectowała się zadawanymi kuzynce torturami. - Nawet podobały mu się moje perfumy.

- Lainie! - zapiszczała Roberta. - Ty się znów ze mną drażnisz! Czuję to! Jeśli mi nie powiesz, co się naprawdę wydarzyło, pożałujesz.

- Och, uspokój się - złażała ją Alaina. - Bo zaraz pęknieš ze złości. Przewróciłam go tylko na twarz.

- Lepiej, żeby to było wszystko, lepiej, żeby to było wszystko! - odgrażała się jeszcze Roberta.

9

Było już chłodniej. Minęły potworne, późnojesienne upały. Włosy Alainy urosły i ich długość budziła niezadowolenie Cole'a Latimera. Z niechęcią musiała więc powierzyć je talentom fryzjerskim cioci Leali. Okazało się, że krótka i schludna fryzura bardzo pasuje do jej małej twarzy i podkreśla urodę jej dużych szarych oczu, delikatnych rysów i wysoko osadzonych kości policzkowych. Skutkiem lepszego wyżywienia szczupła sylwetka Alainy zaczęła się zaokrąglać, choć nadal skrywał ją luźny chłopięcy ubiór. Przebranie to stawało się już niewygodne, ale nie mogła z niego zrezygnować.

Był poniedziałek, i jak to było w zwyczaju, wczesnym rankiem na oddziałach odbywał się obchód chirurgów. Był to również czas, gdy pacjenci mogli się na coś poskarżyć czy zgłosić dolegliwości. Major Magruder jak zwykle szedł tuż obok generała z piórem w ręce, ostrzegając spojrzeniem tych, którzy skłonni byli za bardzo krytykować personel. Podczas obchodu lekarze decydowali także, który żołnierz jest już na tyle zdrow, żeby zwolnić łóżko i wrócić do jednostek służby ograniczonej.

Alaina dopiero zaczynała sprzątanie, gdy po schodach, szurając nogami, zeszła krótka kolumna ubranych na szaro żołnierzy, znów skutych łańcuchami. Doktor Brooks nieustannie walczył o to, by trzymano ich tu jak najdłużej, dopóki całkiem nie wyzdrowieją. Wiedział dobrze, że wysłanie osłabionych jeńców do więzienia równa się wyrokowi śmierci. Patrząc na nich, Alaina czuła w sercu ból. Dla większości wojna była już zakończona, chyba że uda im się uciec z dobrze strzeżonych jankeskich więzień. W przeciwnym razie nie zobaczą już żadnej bitwy,

lecz będą spędzali swe dni w nędzy i odosobnieniu. Kilku przechodzących jeńców uśmiechnęło się lub odezwało do niej. Krzepki sierżant, z którym zadarła na początku, uniósł pięść.

- Uszy do góry, mały! - Uśmiechnął się do umorusanego chłopca salowego. - Wojna się jeszcze nie skończyła. - Słowa te zabrzmiały jednak nikło i słabo, jakby usiłował sam siebie pocieszyć.

Alaina zastanawiała się, co powiedzieć, ale oni już wyszli i korytarz opustoszał, choć słychać było jeszcze rytmiczny brzęk łańcuchów. A jeszcze rok temu czy dwa szli na wojnę z taką wielką nadzieją. W gardle ją ścisnęło i łzy napłynęły do oczu. Otarła je szybko i w tym momencie napotkała wzrok Cole'a. Złe spojrzenie, jakie mu rzuciła, nawet w połowie nie oddawało przepelniającej ją goryczy. W tej chwili nienawiść do Jankesów wprost ją rozsadała. Patrzyła na idących jeńców tak, jakby widziała swego brata w łańcuchach. Jakże nienawidziła tej wojny! I wroga! A najbardziej Cole'a Latimera!

Cole taktownie odwrócił się i zajął swoimi czynnościami. Niech czas leczy rany biednego chłopaka. Cokolwiek teraz powie, pogłębi tylko nienawiść Ala.

Jeszcze tego samego ranka Alaina ze smutkiem witała nową partię jeńców, przybyłych na miejsce tamtych. Kilku wniesiono na noszach od razu na oddział chirurgiczny. Był wśród nich młody kawalerzysta Konfederacji, któremu utkwiał w nodze pocisk. Wielka, głęboka rana ciągnęła się makabryczną szczeliną od kolana do połowy uda. Generał Mitchell opuścił szpital po porannym obchodzie, a jego obowiązki pełnił major Magruder. To on, razem z majorem Forbesem, podjął decyzję o amputacji nogi od biodra, gdyż nie dali rady usunąć tkwiącego w stawie ołowianego naboju. Cole dowiedział się o tym przypadkowo od sanitariusza i pospieszył na salę operacyjną.

- Trzeba ją obciąć! - oznajmił Magruder ze złością, gdy młodszy kolega wyraził swą opinię.

- Do licha, majorze! - Cole przez chwilę zmagął się z własnym rosnącym gniewem i udało mu się mówić dalej spokojnie. - To jest ludzka noga, a nie udziec barani! Nie ma żadnej infekcji.

- Pocisk siedzi bardzo głęboko i to tylko kwestia czasu, żeby wywiązało się zatrucie ołowiem. Nie da się go wyjąć. Próbowaliśmy już z majorem Forbesem.

- Więc spróbujcie jeszcze raz - nalegał Cole. - Przynajmniej tyle możecie zrobić.

- Mamy innych rannych - ostro zareagował Magruder. - Nasi ludzie czekają. Nie możemy marnować czasu.

Cole był już rozwścieczony.

- Nie ma już nikogo, kto nie mógłby poczekać. Zostały same drobne rany. Panowie, ten człowiek może bardzo potrzebować swojej nogi po wojnie. Czy wy jesteście rzeźnikami?! Dlaczego do tego podchodzicie tak bezdusznie?

- Rzeźnikami! - Magruder poczerwieniał ze złości. Nigdy nie lubił tego waśniaka, który uważa się za mądrzejszego od starszych rangą i doświadczeniem. Ten człowiek najwyraźniej nie jest świadom, ile jest spraw w szpitalu niecierpiących zwłoki, choćby ogrom obowiązków administracyjnych. Jad nienawiści do kapitana zalał go całkowicie. Nie pozwoli mu się wtrącać i kwestionować jego opinii. - Kapitanie, jeśli pan nie ustąpi, zamelduję o pana niesubordynacji - zagroził. - I to współczucie dla wroga będzie końcem pana kariery. A teraz niech pan stąd wyjdzie. To rozkaz. Musimy pracować.

Cole wybiegł z sali, niemal przewracając Alainę, która szorowała właśnie podłogę w korytarzu. Siłą rzeczy słyszała ich kłótnię i po raz drugi rzuciła kapitanowi spojrzenie pełne wyrzutu.

- Będzie pan stał i patrzył, jak to robią, co?!

- Idź po doktora Brooksa - gorączkowo rzucił Cole. - Szybko!

Alainie nie trzeba było powtarzać. Mimo ciężkich butów pomknęła korytarzem i po schodach na górę, by po

chwili wrócić razem z sapiącym z wysiłku doktorem. Cole złapał starszego kolegę za ramię i pociągnął do środka sali, gdzie Magruder stał już gotowy do rozpoczęcia amputacji.

- Panowie, jeśli tego nie przerwiecie - oświadczył ostro - będziecie musieli się wytłumaczyć przed doktorem Brooksem i odpowiecie za niehumanitarne potraktowanie jeńca.

Major Magruder położył skalpel i odezwał się z niedowierzaniem:

- Kapitanie Latimer, pan mi grozi?

- Nie, majorze - odparł uprzejmie Cole. - Ale nie wierzę też, żeby naczelny chirurg tolerował takie podejście do jeńca wojennego.

- Za dużo pan na siebie bierze, kapitanie - ostrzegł go major Forbes.

Cole spokojnie założył ręce do tyłu.

- Możliwe, majorze, ale mam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek podobna decyzja miałaby dotyczyć mojej osoby, ktoś weźmie pod uwagę, że bardzo cenię swoje nogi.

- Jeśli tak panu żal tego rebelianta, kapitanie, może pan razem ze swoim przyjacielem z Południa spróbuje uratować mu tę cholerną nogę, choć równie dobrze może przy tym stracić życie - warknął Magruder.

Cole Latimer podjął wyzwanie. W asyście doktora Brooksa kontynuował operację. Alaina co jakiś czas podchodziła do drzwi, za którymi pracowali, pragnąc się dowiedzieć, czy żołnierz przeżyje. Kiedy wreszcie z sali wyszedł Cole, obdarty chłopak był w pobliżu. Czyste, szare oczy spjrzały pytająco i po dłuższej, pełnej napięcia chwili Cole powiedział:

- Będzie żył.

- A noga? - spytała Alaina, obawiając się najgorszego.

Cole odrzekł powoli z uśmiechem:

- Także ocalona.

Na krótki moment białe zęby błysnęły w radosnym uśmiechu i Cole był pewien, że chłopiec zrobił krok w jego stronę, lecz zaraz zrobił zwykłą, nachmurzoną minę. Al kiwnął głową w pomieszczeniu i pospieszył do swych zajęć. Cole patrzył zdezorientowany. Najwyraźniej chłopak nie chciał okazać nikomu żadnych cieplejszych uczuć, choćby nawet czuł wdzięczność, i emocje ukrywał pod maską przesadnej wojowniczości.

Poprawił się też nieco stan Bobby'ego Johnsona. Stopniowo zmniejszano mu dawki morfiny. Lecz gdy Alaina zatrzymywała się przy jego łóżku i próbowała zagadać, tylko odwracał głowę i milczał.

Pewnego deszczowego poranka zauważyła, jak zмага się z papierem i piórem, próbując napisać list. Odkurzając salę, obserwowała efekty jego wysiłków. Papier był już cały zachlapany atramentem, a linijki to wznosiły się, to opadały.

- Nikt tego nie przeczyta - stwierdziła Alaina.

Bobby nagle przestał pisać i zmiął papier. Z gwałtownym szlochem cisnął zwitek o ścianę.

- Hej, Jankesie! Ty bałaganisz, a ja muszę robić porządek.

Odpowiedź była cierpka i ostra.

- Wy, południowcy, nabałaganiliście tak, że nikt nie potrafi ze mną zrobić porządku.

- Cmentarze są pełne bardziej zabałaganionych niż ty i nie tylko w niebieskich mundurach - prychnęła Alaina.

Żołnierz apatycznie zakołysał głową na poduszce.

- Wolałbym umrzeć. Teraz wrócę do domu i żona będzie na mnie do końca życia pracować. Nie mogę tego wymagać od Jeannie! Która kobieta chce mieć ślepcę za męża?

- Myślę sobie, Jankesie, że ona może być szczęśliwa, bo w ogóle wrócisz do domu.

- Nie mam na imię Jankes! - warknął.

- Tak, wiem. Jesteś Bobby Johnson. Spotkaliśmy się już przed salą operacyjną.

Nastąpiła długa cisza.

- Ty jesteś Al?

- Aha!

Bobby Johnson westchnął przeciągle.

- Chyba miałem za dużo czasu, żeby się nad sobą rozczulać.

Alaina patrzyła na młodego mężczyznę. Bardzo pragnęła go jakoś pocieszyć, ale bała się angażować. Wpadła jednak na pomysł.

- Nie jestem zbyt za czytaniem, ale czasem nie ma nic lepszego do roboty. Może chciałbyś, żebym ci czasem poczytał?

- Bardzo chętnie.

W ciągu kilku następnych dni Alaina spieszyła się z pracą, żeby zostało jeszcze trochę czasu na poczytanie młodemu żołnierzowi. Swym ciętym dowcipem udawało jej się czasem poprawić jego nastrój. Postanowił nawet podyktować jej listy do matki i do żony. Kiedy jednak Alaina przeczytała ostatnią stronę opowiadania, zamknęła książkę i podniosła wzrok na Bobby'ego Johnsona, zobaczyła na jego twarzy zakłopotanie.

- O co chodzi? Nie podobało ci się? - zapytała nieco zbita z tropu.

- Podobało mi się - odparł powoli. - Ale zauważyłem, że gdy czytałeś, twój głos zmieknął. I widać, że odebrałeś dobre wykształcenie, choć usiłujesz to ukryć.

Alaina poczuła ciarki na plecach i wstrzymała oddech, czując, że straszliwie wpadła.

- Wiem też, że nie jesteś Alem. - Sięgnął ręką i namacał jej nadgarstek. - Ta drobna ręka to ręka kobieca. Tak! Tak! Jesteś dziewczyną! Skąd się wzięło to imię Al?

- Od Alainy - szepnęła.

- Jesteś młoda? - Przesunął palcami po kształtnej, szczupłej dłoni. Choć zniszczona pracą, nie była to dłoń starszej osoby.

- Mam siedemnaście lat. - Alaina przygryzła wargi i zapytała nieśmiało: - Nie powiesz nikomu?

- Wyjaśnij mi, dlaczego chcesz, żeby uważano cię za chłopca, a wtedy ja to ocenię.

Nie bez obawy, jednak Alaina opowiedziała mu wszystko o sobie.

- Nie szpiegowałam - podsumowała cicho. - Ale jak mówisz, sam to ocenisz. Od twojej decyzji zależy moja wolność.

Minęła potwornie długa, pełna napięcia chwila, a potem:

- Zawsze lubiłem opowieść o Oliwerze Twiście. Przeczytasz mi?

Łzy ulgi zaszklily się w oczach Alainy i zaczęła z roztargnieniem poprawiać jego prześcieradła.

- Mój wujek ma tę książkę. Przyniosę jutro.

Zamierzała już iść, ale zatrzymała się jeszcze.

- Nie powiesz nic kapitanowi Latimerowi, co?

- Jeśli nie będzie takiej potrzeby, to nie - zapewnił ją.

Deszcz padał dalej i w sobotę, gdy już wydawało się, że zacznie się przejaśniać, ciężkie poranne mgły przekształciły się w ulewę. Ołowiane chmury wisiały tuż nad dachami domów, a wybrukowanymi ulicami płynęły błotniste potoki. Al miał wolne popołudnie. Przez cały tydzień sprzątnął wszystko na wysoki połysk i nawet dokładnie szukając, nie mógł znaleźć zajęcia na żadnym oddziale. Lecz gdy wyszedł z ostatniego, zauważył, że marmurowa posadzka foyer tuż przy drzwiach wejściowych jest cała zabłocona. A więc jeszcze jedno wyzwanie. Doprowadzenie marmuru w jasne żyłki do pięknego wyglądu wymagało nie lada zdolności. W jakiś czas potem Alaina mogła już z zadowoleniem oglądać starannie wyczyszczonej podłogi.

Jeszcze tylko raz przetrę czystą wodą i mogę iść do domu - pomyślała.

Już prawie kończyła, po raz ostatni wyzymając mop, gdy z zewnątrz dobiegły jakieś głosy, drzwi się otworzyły i weszło kilku oficerów, a z nimi dwóch służalczko wyglądających cywilów. Przeszli, zostawiając błotniste ślady i nie zwracając uwagi na odprowadzające ich gniewne spojrzenie.

Al złowrogo uniósł mop i zanurzył go z powrotem w wiadrze. Jeszcze raz od nowa zmył brud, często splukując myjkę. Nie zdążył umyć do końca, gdy drzwi znów się otworzyły i przez środek przeszła kolejna para ubłoconych butów.

Mop zastygł mu w rękach, a z ust wyrwało się głośno:

- Hej, Jankesie, nie możesz wytrzeć...

- Z dhogi, mały duhniu! - Odepchnięta brutalnie Alaina zaplątała się w mop i upadła. Jacques DuBonné przeszedł arogancko obok, nie przejmując się brudnym szlamem zostawianym przez jego buty na czystej posadzce. Po kilku krokach zatrzymał się i nieco odwracając, rzucił rozkazującym tonem: - Gdzie tu jest jakiś dok...?

Przerwane w połowie ostatnie słowo zmieniło się w plaśnięcie, gdy ociekający brudną wodą mop wylądował na jego twarzy. DuBonné wymachiwał ręką, żeby zgarnąć z siebie paskudztwo, które zmoczyło go od stóp do głów, i ciężko dyszał. Parskając i prychnając, z furią wyciągnął spod płaszcza swój cienki, ostry sztylet, który połyskiwał groźnie nawet w przyćmionym świetle szpitala.

Alaina odsunęła się, wciąż trzymając wiadro, i zaczęła chichotać na widok ociekającego wodą Cajuna. Wtem znalazła się w kleszczach ogromnych czarnych rąk, które wyłoniły się gdzieś z tyłu, oplotły ją i unieruchomiły. Usiłując się wyrwać, wypuściła w eter serię przekleństw, jakie zdziwiłyby nawet wozaka. Kopała i wierzgała rozpaczliwie, widząc wykrzywioną nienawiścią twarz Jacques'a. Niski mężczyzna przysuwał się coraz bliżej, obracając złowrogo sztylet w rękę.

- A co to! Co tu się dzieje? - rozległ się ze schodów krzyk Cole'a, biegnącego w ich stronę. Wychodził już, ubrany w przepisowy mundur i kapelusz zachodzący na czoło.

Jacques ukradkiem schował nóż, ale Murzyn nie wypuszczał Alainy ze swego bezlitosnego uścisku, od którego ręce jej już drętwiały. Wypuszczone z zeszywniałych palców wiadro upadło na podłogę i potoczyło się z brzękiem.

Cole zatrzymał się o krok od nich.

- Puść chłopca - rozkazał Murzynowi. - Jeśli potrzeba, sam go ukarzę - a gdy wielkolud nie posłuchał, kapitan podniósł głos. - Puść go, słyszysz!

Ponieważ Murzyn nawet nie drgnął. Cole otworzył kaburę i położył dłoń na kolbie rewolweru. Jacques

powiedział coś do czarnoskórego w nie znanym Alainie języku. Ten uśmiechnął się i rozluźnił uścisk, zrzucając ją na podłogę. Jęknęła z bólu i usiadła, z trudem łapiąc oddech.

Oczy Jacques'a nagle się zweziły, gdy przyjrzał jej się uważniej.

- Znam cię ze statku! - warknął. - Masz u mnie dług. Następnym razem wszystko odbioję.

Podczas gdy Alaina usiłowała wstać, Jacques zdjął przemoczoną marynarkę i odwrócił się z wściekłością do kapitana.

- Widzi pan? - pokazał przesiąknięty krwią rękaw. Jestem hanny. Przyszedłem tu po pomoc lekarską, a ten mały... nieopierzony chłystek...

Zaciskając szczęki z szewską pasją, Alaina rzuciła się na niego z pięściami, lecz Cole złapał ją za spodnie, aż jęknęła z bólu, bo była już cała posiniaczona. Choć z całej siły próbowała się wyrwać, trzymał ją mocno.

Obserwując z rezerwą ten atak wściekłości, Jacques mówił dalej:

- Rzucił we mnie mopem i wiadłem! - Z odrazą przejechał ręką po zachlapanej brokatowej kamizelce. - Phoszę zobaczyć! Całe moje ubhanie zhujnowane!

Alaina uwolniła się wreszcie z uchwytu Cole'a i parsknęła śmiechem.

- Potrzebowało prania.

- Ten szczeniak za to zapłaci! - pomstował Jacques, wygrażając Alainie.

Cole odgrodził ich od siebie i powstrzymał rękę mężczyzny wyciągającą się ku chłopcu.

- Nie miałby na odkupienie panu chustki, a cóż dopiero reszty. Mogę pana zapewnić, że zostanie ukarany. - Alaina rzuciła mu piorunujące spojrzenie, gdy dalej mówił: - Jesteś tu po to, żeby sprzątać, a nie robić bałagan.

- No, właśnie sprzątałem, a ten baran wlaź tu jak do stajni. Nie nauczyli go, tępego muła, że trzeba wytrzeć nogi.

Rozejrzawszy się po holu. Cole częściowo zrozumiał irytację chłopaka, ale obowiązkiem lekarza było zająć się rannym. Przerwał więc sprzeczkę, nie dając Cajunowi szansy na odpowiedź.

- Niech no to zobaczę - odchylił zakrwawiony rękaw i szybko obejrzał ranę, po czym ze zdziwieniem popatrzył w dół na niskiego mężczyznę. - Wygląda jak cięcie szablą. Jak się to stało?

- Ba! - Jacques machnął zdrową ręką. - Wziąłem dom na wsi za splatę długu. Szehyf, ten jest z miasta. Nie pójdzie z papierami. Musiałem sam. Uch, madame Hawthohne! To szalona stahucha! Nie chciała na nie patrzeć. Za spódnicą miała schowaną szablę i kiedy chciałem jej dać papieru, to... - z oburzeniem pokazał rękę - zamierzyła się na mnie. Śmignęła! - Zaśmiał się szyderczo. - Tehaz szehyf musi ją ahesztować. Już ja pokażę tej stahej babie!

- Ty czarny charakterze! - krzyknęła Alaina, lecz Cole uciszył ją spojrzeniem ostrym jak brzytwa. Cofnęła się wzburzona.

- Właśnie wychodziłem - oznajmił ostro Cole - ale myślę, że mogę jeszcze chwilę zostać. - Na wpół odwrócony do chłopaka, obiecał mu złowieszczo: - Z tobą porozmawiam później. Teraz zrób tutaj porządek.

Najeżona do granic możliwości, Alaina chwyciła mop i złym wzrokiem odprowadziła kapitana i Jacques'a w głąb korytarza. Murzyn poszedł za nimi, na odchodne wyszczerzając się do niej w uśmiechu.

- Wyczyścimy ranę i przemyjemy karbolem - doleciał ją głos Cole'a. - Nie jest głęboka. Wystarczy zwykły okład.

Alaina posprzątała raz-dwa i pospiesznie schowała narzędzia. Nie miała ochoty czekać na dalsze reprymendy, więc złapała kapelusze i czym prędzej wyszła. Kapitan Latimer już zbyt długo się odgrażał. Tym razem mógłby

dotrzymać obietnicy.

Gdy przyszła do domu, usta jeszcze miała zaciśnięte z oburzenia. Z większą energią, niż można by się spodziewać po kimś tak niedużym, trzasnęła drzwiami kuchennymi, nie zważając na brzęk szyb w drewnianych ramach. Zupełnie nie miała nastroju do codziennej wymiany banałów z Roberta, która od czasu pamiętnej kłótni miała zwyczaj czekać na jej powrót przy tylnych drzwiach. Jako że Angus spędzał całe dni w sklepie, a Leala mu często pomagała, Roberta nie miała nic innego do roboty, jak tylko zajmować się głupstwami. Wstawała późno, całymi godzinami pielęgnowała swą urodę, a na długo przed kolacją zaczynała się ubierać, dbając o najmniejsze szczegóły. Gdy Alaina wracała do domu, włosy Roberty były pięknie zakręcone, długie paznokcie starannie pomalowane, a na sobie miała świeżą, ładną suknię. Tak samo było i tego popołudnia.

- Słowo daję, Al - Roberta znajdowała coraz większą przyjemność w używaniu tego męskiego przezwiska - nigdy nie wiem, czy to ty, czy jakiś włóczęga podchodzi do drzwi. Tak dobrze grasz swoją rolę!

- A jak! I będę jeszcze nosić spluwę! - odparowała zjadliwie młodsza kuzynka, przechodząc na chłopięcy żargon, co podkreślało jej wściekły nastrój. - Rozwalę paru tchórzy, zanim mnie dopadną.

Robertę na moment zamurowało. Dulcie natomiast odwróciła się od paleniska, gdzie właśnie mieszała gulasz z wiewiórek, i wyrzuciła z siebie:

- Dziecko, co ty chcesz zrobić?! Mało masz kłopotów i bez zabijania jakichś jankeskich nikczemników?!

Alaina zrzuciła ciężkie buty i kopnęła je po ceglanej podłodze w kierunku spiżarni.

- Jestem poturbowana, posiniaczona i sterroryzowana. Przez cały dzień szorowałam podłogi po to, żeby jakiś brudny, podejrzany typ wlaź ubłoconymi buciorami. Całe plecy mam poobijane i sponiewierane przez tego długonogiego Jankesa...

Roberta była tak zgorzozna, że z trudem łapała powietrze.

- On będzie pierwszym, którego przedziurawię! - ostrzegła Alaina, wymachując palcem przed Roberta. - Zobaczysz. A potem wyceluję w tego degenerata Jacques'a DuBonného i zmuszę go, żeby się zachołgał do pani Hawthorne, a wtedy ona dokończy swego dzieła!

Roberta była przerażona. Nigdy nie widziała kuzynki w takiej furii.

- Alaina! Co w ciebie wstąpiło?

- Prawdziwy gniew, oto co we mnie wstąpiło! Słuszny! Wiesz, co to znaczy, Roberto?! - zwróciła się do kuzynki z groźnie wysuniętą szczęką.

Mamrocząc coś niezrozumiale i potrząsając głową, Roberta opadła na krzesło z drabiniastym oparciem i siedziała bez ruchu, wpatrzona z lękiem w szare oczy rzucające gromy.

- To znaczy, że mam słuszny powód! - wygarnęła kuzynce Alaina. Potem wyprostowała się i przeszła demonstracyjnie po kuchni. - Tak, słuszny! I mogę go bronić na swoim procesie! - rzuciła, wyciągając rękę do góry w dramatycznym geście.

- Na jakim procesie?! - sieknęła Dulcie, mocno opierając ręce na biodrach i podając brodę do przodu. - Co zrobiłaś, panienko Alaino?! Powiedz mi zaraz.

- Jeszcze nic - odparła dumnie Alaina. Wzięła do ręki obraną rzepę i ugryzła kawałek, a potem żuła, wymachując jarzyną, i dopiero po dokładnym przełknięciu mówiła dalej: - Ale mam zamiar zrobić. Póki żyję, Jacques DuBonné - wymówiła to nazwisko ze wstrętem - będzie żałował, że kiedykolwiek ośmielił się spojrzeć na panią Hawthorne.

- Chodzi ci o tę starszą panią, co przychodzi do sklepu taty? - dopytywała się Roberta.

- Znasz ją? - Alaina się ożywiła.

- No, właściwie, kiedy ja tam jestem, nie przychodzi tak często. - Roberta ubezpieczała się na wszelki wypadek, nie mając pewności, ile może powiedzieć Alainie. W końcu kuzynka może popsuć jej obiecującą znajomość z Cole'em.

- Ale wiesz, gdzie mieszka - nalegała Alaina.

- Niedokładnie. - Roberta wzruszyła bezradnie ramionami. - Gdzieś w kierunku północnym, przy starej drodze wzdłuż rzeki...

Dziewczyna założyła z powrotem buty.

- Znajdę, choćbym szukała całą noc!

- Lainie, nie rób tego! Nie zrób nic głupiego! - błagała wystraszona kuzynka.

Alaina wcisnęła na głowę swój opadający kapelusz i uśmiechnęła się, ukazując małe, śnieżnobiałe zęby.

- To zależy, Robbie, co uważasz za głupie. Ja na przykład nie uważam zastrzelenia paru szkodników i czarnych typów za rzecz głupią - wzruszyła ramionami z nonszalancją. - Zresztą to tylko od nich zależy.

Przed wyjściem z domu Alaina poszła do swego pokoju i wyjęła z szafy pistolet wojskowy swego ojca. Nikt z Craighughów nie wiedział, że go ma. Przywiozła go w kuferku. Był to colt z długą lufą, trochę dla niej za ciężki, ale wiedziała dokładnie, jak się nim posługiwać. Włożyła go ostrożnie do skórzanej torby i przełożyła jej pas przez głowę i ramię. Chociaż się odgrażała, wcale nie miała zamiaru użyć broni, ale na wszelki wypadek włożyła jeszcze do torby puszkę z prochem, spłonki i pudełko z nabojami. Ciężar tego bagażu, spoczywający na biodrze, dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Alaina wyciągnęła ze stajni starego Tara i odjechała na jego grzbiecie. Ponad godzinę później w progu domu Craighughów stanął Cole Latimer.

- Ooo, kapitan Latimer... - Roberta rozpromieniła się. Na szczęście zdążyła już dojść do siebie po tyradzie Alainy. - Byłam już pewna, że pan zapomniał o mojej skromnej osobie.

- Obawiam się, Roberto, że nie przyjechałem w celach towarzyskich - powiedział najuprzejmiej, jak potrafił. - Chciałbym porozmawiać z Alem, jeśli jest w domu.

- Z Alem? - Roberta była zdruzgotana. Wiedziała, że Alaina w przebraniu chłopca nie będzie dla niej żadną konkurencją w zabiegach o Cole'a, ale nie sądziła nigdy, żeby konflikt pomiędzy nimi mógł odciągnąć uwagę Cole'a od jej osoby. Żeby ukryć złość, wydeła usta zalotnie i zatrzepotała rzesami. - Och, kapitanie, czy to znaczy, że przyszedł pan wyłącznie zobaczyć się z tym cherlakiem? A ja myślałam, że przyszedł pan mnie odwiedzić. Jestem okropnie rozczarowana.

- Przykro mi - tłumaczył się Cole - ale on dziś w szpitalu rzucił wiadrem pełnym pomyj w rannego człowieka. - Roberta wydała jęk autentycznego przerażenia. - Nie zabierze mi to dużo czasu. Czy mogę z nim porozmawiać?

- Ale, kapitanie, jego nie ma. - Roberta uśmiechnęła się niepewnie. - Przyszedł, ale znów wyszedł. Już jakiś czas temu.

- Czy powiedział, dokąd? Muszę to załatwić, zanim przyjdzie do pracy w poniedziałek. Nie mogę pozwolić, żeby w szpitalu dochodziło do takich rzeczy.

Roberta ważyła przez chwilę w myślach, czy lepiej szczerze mu wszystko wyznać, by pozostać w jego oczach osobą niewinną, czy udać, że nie ma pojęcia, gdzie jest kuzynka. Problem z kłamstwem był taki, że mogło się

wydać.

- Mówię panu, kapitanie, jaki on był dzisiaj wściekły. - Roberta zawahała się nieco, myśląc o możliwej reakcji Alaina, lecz ciągnęła dalej dzielnie: - Obie z Dulcie umierałyśmy ze strachu. Groził, że zastrzeli jakiegoś szkodnika o imieniu Jacques, i mogę przysiąc, że wyruszył, by szukać guza.

Wbrew sobie samemu Cole poczuł się odpowiedzialny za chłopca.

- W którą stronę pojechał?

- Tam, drogą wzdłuż rzeki. - Roberta wyszła na ganek i pokazała kierunek, w którym udała się Alaina. - Cały czas prosto około mili, potem milę czy dwie na północ. Trudno przeoczyć. To duży, stary dom drewniany ze stromym dachem i pojedynczym gankiem od frontu. Żelazny słupek do wiązania koni ma kształt czarnego chłopca, trzymającego w ręce kółko.

Cole natychmiast się odwrócił, ale ona przytrzymała go za ramię.

- Niech pan będzie ostrożny, dobrze, kapitanie? Al całkiem niezłe strzela, a wspominał również coś o podziurawieniu pana.

- Mały łobuziak, w gorącej wodzie kąpany! - mruknął Cole pod nosem.

Jacques powiedział, że ma zamiar wrócić do pani Hawthorne z szeryfem. To było bardzo podobne do Alaina - wplątać się w kłopoty przerastające jego możliwości.

10

Deszcz już przestał padać, ale na ulicach i drogach pozostało mnóstwo błota. Powłócząc kopytami, staruszek Tar bryzgał błotem i posuwał się w żółwym tempie, co wystawiało cierpliwość Alaina na straszliwą próbę. Nie była dziś w nastroju, by walczyć z koniem, którego jedynym celem był powrót do stajni. Niecierpliwe szturchańce tylko sporadycznie owocowały chwilowym przejściem w pokraczny kłus. W nadziei, że to coś przyspieszy, smagała konia po zadzie grubą wierzbową witką. Ale najgorsze przypuszczenia sprawdziły się, gdy dojechała do końca błotnistej drogi. Wysokie krzaki zasłaniały co prawda widok samego domu ze szpiczastym dachem, ale pod gałęziami rosnących przy drodze wielkich dębów widać było wyraźnie stojące tam dwa puste powozy: ozdobne lando i zwykłą bryczkę. Alaina mogła się tylko domyślać, że Jacques ją uprzedził i, tak jak groził, przyjechał z szeryfem.

Zjechała z alejki i zsunęła się z kościstego grzbietu konia. Zostawiła buty za krzewami, do których przywiązała Tara, i przeszła ukradkiem wzdłuż wysokiego żywopłotu, czując pod stopami chłód mokrej trawy. Stała za rozgałęzionym pnączem glicynii, przez którą widziała podwórze przed domem. Od razu dojrzała Jacques'a DuBonnego i zauważyła z satysfakcją, że musiał się całkowicie przebrać, co z pewnością zabrało mu trochę czasu. Ogromny Murzyn leniwie opierał się o tył landa. Jeszcze jeden mężczyzna, też bardzo wysoki, stał obok Jacques'a przed schodami domu.

Naprzeciwko nich, na krawędzi długiego, podwyższonego ganku, stała wysoka, siwowłosa kobieta około sześćdziesiątki. Stała dumnie i wyniosłe, ze skrzyżowanymi rękami, opierając jedną z nich na rękojeści szabli, skierowanej lśniącem ostrzem w dół. Milczący przekaz był oczywisty: w razie potrzeby będzie użyta.

Alaina przeniknęła pośród krzaków i zaszła dom od tyłu, zatrzymując się w miejscu, skąd miała najlepszy widok. Wzdłuż domu rosły niskie krzaki, za którymi przykucnęła, słysząc każde słowo rozmowy.

Jacques wymachiwał ręką i domagał się od szeryfa zdecydowanego działania.

- Mówię panu, że mam papieża, któhoy mówi, że ja kupuję tę posiadłość od banku! - mówił, wyjmując spod

płaszczą pakiet dokumentów, i pukając weń grzbietami palców, ciągnął: - Tutaj mam wszystko, szehyfie. Domagam się ahesztowania tej kobiety!

Ociąganie się przedstawiciela prawa doprowadzało małego człowieczka do furii. Szeryf jedynie popatrzył na niego, żując leniwie prymkę tytoniu, a Francuz wiał się ze złości:

- Czy zhobi pan coś wheszcie?!

- Ooo taak - powiedział szeryf, przeciągając słowa. - Próbuję właśnie dowiedzieć się, co starsza pani ma sama do powiedzenia, ale pan, panie Bonny, nie daje jej na to zbyt wielkiej szansy.

- DuBonné! - poprawił gniewnym tonem Jacques. - A co ona może powiedzieć, żeby zaprzeczyć temu, szehyfie? - potrząsnął dokumentami przed nosem urzędnika. - Albo pan to zhobi, albo udam się do wyższych władz.

Zrzedząc coś, szeryf nieśmiało zdjął kapelusz i podszedł do ganku, na którym stała kobieta.

- Szanowna pani, przykro mi, ale muszę pełnić swoje obowiązki, tak jak ten człowiek powiedział.

- Naturalnie, szeryfie - odparła tamta nieco zachrypniętym, lecz zdecydowanym głosem. - Nie wiem tylko, czy pan DuBonné uświadomił panu, jak dobrze się posługuję szablą mego męża. Jak dotąd, nie miałam jeszcze okazji wypróbować jej na przedstawicielu prawa.

- Droga pani... - szeryf potrząsnął ponuro głową. - Z pewnością wolałbym to załatwić na drodze pokojowej.

Policzki starszej damy wydeły się dumnie.

- Z pełnym uszanowaniem, muszę odmówić. Dobrze znałam pańską matkę, szeryfie Bascombe. Była piękną kobietą - pani Hawthorne dla efektu zawiesiła głos, po czym złowróźnie zamarkowała pchnięcie szablą. - Gdyby jeszcze żyła, jestem pewna, że strasznie by ją zmartwiła wiadomość o bezprawnym pozbawieniu mnie przez pana mojej własności.

- Boo... uch, droga pani... ja... ja... - szeryf zaczął się jąkać i zamilkł, a twarz mu poczerwieniała.

- Niech pan egzekwuje phawo! - krzyczał Jacques, przysuwając się do nich. - Ja zapłaciłem dobhy ghosz do banku za ten dom! Nikt mnie go tehoz nie pozbawi! Phoszę ahesztować stahą wiedźmę!

- Dług, o którym pan tokuje, młody człowieku, został spłacony dobre sześć miesięcy temu - poinformowała dobitnie pani Hawthorne. - Mam pokwitowanie...

- Ba! Pokwitowanie! - powtórzył Jacques. - Pani twiehdzi, że jest taki papiech, ale ja go nie widziałem.

Kobieta ciągnęła spokojnie, nie zwracając nań uwagi:

- Pokwitowanie z banku, podpisane przez świadków.

- Nie ma nic takiego! - wykrzyknął Jacques i śmiało przysunął się bliżej.

- Tak czy inaczej, drogi panie, zostanie pan jeszcze bardziej uszkodzony, jeśli pan postawi nogę na tym schodku. - Pani Hawthorne uśmiechnęła się złowieszczo.

Potrząsając głową z wściekłością, Jacques wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa. Nie znaczyły one nic ani dla szeryfa, ani pani Hawthorne, lecz obudziły w pamięci Alainy jakiś sygnał. Podobne dźwięki wyartykułował w szpitalu, zanim puścił ją Murzyn. I, tak samo jak wtedy, czarnoskóry posłuchał komendy. Przemknął za powozami, by zniemacka zająć kobietę od tyłu. Alaina szybko sięgnęła do torby i wyciągnęła pistolet ojca. Trzęsącymi się palcami sprawdziła ładunek i wsunęła na miejsce świeże spłonki.

Murzyn był już prawie po drugiej stronie ganku i okrążał niespostrzeżenie powóz szeryfa, a Jacques zagadywał kobietę. Alaina wyszła zza krzaków, stanęła z nogami szeroko rozstawionymi naprzeciwko Murzyna i

trzymając oburącz pistolet, wycelowwała prosto w jego ogromną klatkę piersiową, po czym ostrożnie odwiódła kurek. Słyszając podwójny trzask, czarnoskóry poszukał wzrokiem i dostrzegłszy zagrożenie, zmartwiał. Na szerokim, błyszczącym od potu czole pokazały się głębokie bruzdy. Stał wpatrzony w małego chłopca z wielkim pistoletem i krople potu spływały mu po twarzy.

Alaina machnęła pistoletem, żeby podszedł do pozostałych. Kiedy posłusznie wykonał polecenie, sama wysunęła się do przodu. Jacques, początkowo nie zauważając nic prócz tego, że służący wrócił, rzucił gniewnie dalsze polecenia w nieznanym języku. Wtedy ukazał się obdarty chłopak i mężczyzna zaniemówił.

- To ty! - wrzasnął, odzyskawszy głos.

Szeryf odwrócił się i został przywitany przez Alę skinieniem głowy.

- Dzień dobry wszystkim.

- Co to ma znaczyć? - krzyknął szeryf. - Odłóż ten pistolet, chłopcze, zanim kogoś zranisz.

- To możliwe - Al wykrzywił usta znacząco - jeśli wszyscy odsuniecie się od ganku i dacie pani Hawthorne swobodnie oddychać.

Jacques szybko posłuchał rozkazu młodzika, bo już poznał na sobie jego zawzięty charakter. Ale szeryf zignorował skrzata w łachmanach i uniósł nogę, by ją postawić na najniższym schodku.

- No więc, pani Hawthorne...

Ogłuszył ich huk pistoletu i pod jego stopą odpadł kawał deski, pozostawiając szczelinę w świeżym drewnie. Szeryf cofnął się o kilka kroków, słysząc ponowne odwodzenie kurka, a Murzyn zatrzymał się w pół kroku, gdy lufa znów została wymierzona w jego pierś. Stał potulnie i nie ruszał się, szeryf zaś patrzył na chłopaka w przekonaniu, że ten postradał zmysły. Twarz mu pociemniała i wymachując pięścią, z furią złorzeczył:

- Ty mały włóczęgo, ty półgłówku! Połamię ci ten pistolet na plecach, zanim wtrącę cię do więzienia! Jestem oficjalnym przedstawicielem prawa i...

Potok jego słów przerwany został okrzykiem i głośnym stukotem kopyt końskich. Z rozpędzonego konia zeskoczył z pełną werwą oficera kawalerii Cole Latimer.

- Co tu się dzieje? - zażądał wyjaśnień, przywiązując lejce do kółka przy żelaznym słupku. Zdjął rękawice i postąpił w kierunku zebranej grupki.

- Nie sędzę, żeby to był pański interes. - Szeryf splunął czarnym sokiem na trawę i zmierzył Jankesa niezbyt przyjaznym wzrokiem.

Cole zatknął rękawice za pas i niedbale oparł dłoń o kaburę.

- Pragnę panu przypomnieć, że na całym zajęтым przez nas obszarze panuje stan wojenny. Z definicji zawieszona jest wszelka władza cywilna. Za wszystko, co się dzieje na pana terenie, odpowiada pan przed władzą wojskową.

Szeryf zaklął cicho, przypomniał sobie o tym, i wskazał na chłopca.

- Przyjechałem tutaj pełnić swe obowiązki jako przedstawiciel prawa, a ten smarkacz chce do mnie strzelać.

Kapitan spojrzał na niego i uniósł brwi. Alaina rzuciła niewinnie:

- Gdybym chciał, dawno bym już go zastrzelił. - I pokazując pistoletem Murzyna, ciągnęła: - Tak samo jak tego, kiedy chciał zaatakować tę biedną kobietę od tyłu.

- Al, odłóż broń - rozkazał Cole.

Alaina spokojnie położyła wciąż nabity pistolet na ganku, ale « oparła łokieć na deskach i nie odsunęła ręki

dalej niż kilka cali od jego zniszczonej rękojeści. Przynajmniej na moment pozwoliła kapitanowi przejąć kontrolę.

- Pytam jeszcze raz! - Cole lustrował ich groźnym wzrokiem. - Co tu się właściwie dzieje?!

Jacques w podnieceniu wyrzucił z siebie gwałtowny potok wyjaśnień.

- Ta staha kobieta, ona nie płaci długu. Bank wystawił dom na sprzedaż. Ja go kupiłem! Tu są papiery!

Wszystko legalnie!

- Czy mogę je zobaczyć? - zapytał Cole.

- Sam się pan przekona. - Jacques z widoczną satysfakcją wręczył mu dokumenty.

Cole przeglądał je przez chwilę, po czym odezwał się do starszej kobiety:

- Co pani na to?

- Ja płacę swoje długi - poinformowała wyniośle pani Hawthorne. - Wszystkie. Mam pokwitowanie!

- Ba! Mówi, że ma taki papier, ale nikt go nie widział!

- Drogi panie, nie mam zwyczaju kłamać - oznajmiła bez ogródek, patrząc mu śmiało w oczy. - Ani oszukiwać ludzi.

- Czy mógłbym zobaczyć to pokwitowanie? - zapytał Cole.

Pani Hawthorne posłała mu chłodne spojrzenie.

- A czy mogę zaufać Jankesowi?

Alaina zarechotała z radości, ściągając na siebie wzrok Cole'a.

- Niech pani im pokaże, że jest rozsądną kobietą.

Pani Hawthorne wdzięcznie się skłoniła, doceniając komplement.

- Dzięki ci, dziecko. Też tak uważam.

Al machnął ręką niedbale.

- Jeśli chodzi o Jankesów, to temu akurat można zaufać. - I dodał, czule głaszcząc rękojeść pistoletu: - W przeciwieństwie do reszty.

- Jestem ci wdzięczna za twą dobroć, dziecino, ale nadal nie mam pewności. Może nawet mam powód, żeby ci ufać, bo zatrzymałeś tę czarną niedorajdę, ale dlaczego mam wierzyć w to, co mówisz?

- Na pewno nie jestem przyjacielem tego tam - Al pokazał na Jacques'a - więc muszę być pani przyjacielem.

- Może to i brzmi rozsądnie - powiedziała pani Hawthorne z lekkim rozbawieniem w głosie. Uniosła nieco szablę, pokazując nią Cole'a. - Znasz go na tyle?

- Tak, znam - niechętnie przyznała Alaina. - To chirurg ze szpitala Unii.

Pani Hawthorne zastanawiała się przez moment, po czym najwidoczniej podjęła decyzję, sięgnęła za stanik sukni i podała Cole'owi kartkę papieru, tłumacząc się:

- Zważywszy na mój wiek, to najbezpieczniejsze miejsce, żeby je schować.

- Tak, proszę pani. - Cole włożył wiele wysiłku w to, żeby się nie roześmiać. Rozwinął pismo i studiował je przez chwilę. - Wygląda w porządku, szeryfie - stwierdził, jeszcze raz pobieżnie przeglądając. Zwrócił się do mężczyzny: - Być może bank jest w błędzie.

- Nie! - krzyknął Jacques, potrząsając swoimi dokumentami. - Ja kupiłem ten majątek!

- Jeśli to prawda, bank musi panu to zrefundować, bo pokwitowanie pani Hawthorne jest w całkowitym porządku. Zaświadcza, że majątek jest wolny od zadłużenia, a hipoteka czysta. Datowany jest znacznie wcześniej niż wszystkie pana dokumenty.

- Szeryfie! - Cole odwrócił się, ucinając dyskusję. - Istnieją wystarczające dowody, by uznać to za pomyłkę.

- Ty przeklęty Jankesie! - Jacques splunął jadownicę. - To wasza sphawka, twoja i tego małego wszarza! Weszliście w pahać Jacques'owi DuBonnému. - Francuz wygrażał im pięściami. - I Jacques obiecuje, że ten niebieski munduch przyniesie ci śmiech.

Kapitan zmroził Cajuna spojrzeniem.

- Wie pan, moim zadaniem jest zwykle ochrona życia - mówił niskim, łagodnym głosem, aż Alaina wstrzymała oddech. - Jednak w szczególnych wypadkach mógłbym zrobić wyjątek.

Jacques miotał się pomiędzy chęcią zemsty a świadomością, że jakkolwiek jej próba w tym momencie byłaby czystą głupotą. W końcu opanował się i poszedł z powrotem do powozu.

- Będę w banku w poniedziałek z samego hana, żeby to wyjaśnić - obiecał, uklonił się i wymamrotał coś do swego Murzyna, który zasiadał już na koźle. - Potem pohozmawiamy, monsieur *le capitaine*. - Usiadł i skinieniem ręki dał znak czarnoskóremu, by zabrał go z pola przegranej bitwy.

Cole zwrócił się do szeryfa Bascombe'a:

- Za pozwoleniem pani Hawthorne któregoś dnia w tygodniu pojedę z tym do banku i wyjaśnię całą sprawę.

- Niech podpisze ten papier! - Ostry, nosowy głos Ala wdarł się w spokojną już rozmowę. - Niech kapitan podpisze ten... jak się zwie, takie coś, co pani dostała z banku.

Cole odwrócił się gwałtownie i napotkał impertynencki wzrok chłopaka. Ostrzegł go najdelikatniej, jak umiał:

- Nie zmuszaj mnie...

Nadaşany Al oparł się o ganek.

- Niech pani mu da ten papier, pani Hawthorne. Ten cały Jacques mógłby jeszcze przyjść po odjeździe kapitana i zabrać go. - Al wzruszył ramionami. - Tak będzie bezpieczniej.

- Dziękuję za tę odrobinę zaufania - powiedział Cole z ironią.

- To nie zaufanie - zaprotestował Al - tylko wybór mniejszego zła.

- Rozumiem.

Al nigdy niczego nie ułatwiał, zwłaszcza gdy chodziło o wyciągnięcie jego samego z tarapatów. Cole spojrzał na zamyślonego szeryfa.

- Jako stróż sprawiedliwości z pewnością rozumie pan, szeryfie, że chłopiec tylko chciał chronić prawa tej damy. Nie miał zamiaru nikomu zrobić krzywdy.

- Cóż, nie wiem... - Szeryf podrapał się po głowie.

- Dobrze! - Cole podjął za niego decyzję. - Gdyby pan jeszcze potrzebował go przesłuchać, chłopiec pracuje u mnie w szpitalu.

Szeryf przeciągnął się ospale.

- Właściwie nikogo nie zranił - wskazał na odlupaną deskę i zmierzył Ala groźnym wzrokiem. - Lepiej uważaj z tym żelastwem. Jeszcze nigdy nie powiesiliśmy nikogo w twoim wieku, ośmiu czy dziesięciu lat - odwrócił się z uśmiechem i mrugnął do Cole'a, po czym skłonił się pani Hawthorne. - Będę zaglądał i sprawdzał, jak się mają sprawy. Obiecuję, że żaden pan DuBonné nie będzie nam już deptał po piętach. Do widzenia pani, do widzenia, doktorze!

Szeryf wsiadł do swej bryczki i cmoknął na konia.

- Kapitanie, proszę mi napisać pokwitowanie - powiedziała pani Hawthorne. - I będę z niecierpliwością

oczekiwać wiadomości, co też pan zdziałał w banku.

- Dobrze, proszę pani. Zrobię to jak najszybciej. - Podpisał stosowne zaświadczenie i rzekł do Ala: - Czy mogę cię odprowadzić do domu, zanim narobisz nowych kłopotów?

- A co pan się ma za mojego anioła stróża, czy co? Sam sobie poradzę. Nie potrzebuję, żeby mnie odwozić, mam Tara.

- Może zatem pojedę z powrotem do twego wuja i powiem mu, że wszystko jest w porządku. To trochę potrwa, zanim zdołasz w ogóle nakierować to zwierzę we właściwą stronę.

Al zmrużył oczy.

- Tak zrób, Jankesie.

Cole włożył rękawice.

- Cieszę się, że mam twoje pozwolenie. - Ze śmiechem wskoczył na siodło.

- Tylko niech pan nie robi czegoś, co pana zakotwiczy w mojej rodzinie! - zawołał Al.

Cole obrócił rumaka i odparł z kpiącym uśmiechem:

- Nie martw się, Al. Dam sobie radę.

- Uch! - Alaina prychnęła i skrzywiła się, patrząc, jak odjeżdża.

- Wejdz, dziecko - zgrzytliwy głos kobiety przerwał jej refleksje - i napij się herbaty przed jazdą. Ostatnio rzadko przychodzą do mnie goście, a już zwłaszcza w przyjaznych zamiarach.

Po raz pierwszy, odkąd się tu znalazła, Alaina mogła spokojnie przyjrzeć się pani Hawthorne. W starej, pomarszczonej twarzy nadal różowiły się policzki, a w łagodnych brązowych oczach widać było iskierki nie gasnące w żadnym wieku.

- Jak mam do ciebie mówić? - spytała kobieta.

- Al.

- Tylko Al? Nic więcej? - Na szlachetnej twarzy pojawiło się zdziwienie.

- Reszta nie ma znaczenia.

- To rzecz dyskusji, moje dziecko.

- Jak na teraz, wystarczy Al.

- Dobrze, Alu - powiedziała, szczególnie intonując imię i jednocześnie przyglądając się młodzikowi. - Powiedz mi teraz, w jakim celu przemierzałeś tę polną ścieżkę? Bo droga kończy się przy grobli, zatem musiałeś przyjechać do mnie?

- Tak, psze pani. Ten skunks Jacques ubłocił mi podłogę w szpitalu i wykrzykiwał, że pojedzie z szeryfem aresztować panią. Mam z nim porachunki. Zafundowała mu pani fajne cięcie w ramię, trzeba przyznać.

- Dziękuję, mój drogi - odparła z dumą pani Hawthorne. - Nie miałam ochoty kłaść szabli takim paskudztwem, ale Charles na pewno by to zrozumiał.

- Charles?

- Mój mąż. Jestem wdową. - Pokazała ręką na wypielegnowany ogródek pełen kwiatów za alejką. Tam jest pochowany, razem z naszą córką, Sarah. Umarli na żółtą febrę, zanim zaczęła się ta wojna.

- Bardzo pani współczuję - powiedziała Alaina.

- Niepotrzebnie. Oboje przeżyli dobre życie. Wierzę, że są teraz w lepszym miejscu - otworzyła szeroko drzwi. - Mam nadzieję, że lubisz herbatę. Nie znoszę tej cykorii, którą teraz sprzedają jako kawę.

Alaina weszła za nią do domu. Szły chłodnym korytarzem. Pani Hawthorne obejrzała się.

- Czy ktoś kiedykolwiek uczył cię zasad noszenia kapelusza?

Alaina przełknęła uwagę i ściągnęła z głowy kapelusz.

- Tak, psze pani.

- Ile masz lat?

- Wystarczająco dużo, by trochę wiedzieć, a reszty się domyślać.

- Wierzę ci - wskazała Alainie krzesło przy stole w salonie. - Siadaj tu, dziecino. Zajmie mi to minutkę. Woda jest gorąca. Właśnie robiłam herbatę, gdy przyszli ci okropni ludzie.

Alaina popatrzyła na wyścielane krzesło wskazane jej przez gospodynię i rozejrzała się za innym, którego nie zniszczyłoby jej zabłocone ubranie. Wymieniła krzesła i usiadła ostrożnie na brzegu, z uwagą studiując wnętrze. Wszystko tu było w porządku, na swoim miejscu, żadnych śladów po zdjętych obrazach. Meble w bardzo dobrym stanie. Do rzadkości należało w tych czasach zobaczyć salon nie zdewastowany przez Jankeśów.

Pani Hawthorne wróciła z tacą, na której niosła wyjątkowo piękny porcelanowy serwis do herbaty. Z brzękiem postawiła nakrycie przed Alaina i zaczęła napełniać filiżankę. Potem usiadła naprzeciwko na krześle z wysokim oparciem, wysypała łyżeczkę cukru do swojej filiżanki i zamieszała, cały czas bacznie przyglądając się oberwańcowi, który był jej gościem. Alaina popijała herbatę, nieco speszona tą obserwacją. Kiedy kolejny raz podniosła wzrok, napotkała to samo badawcze spojrzenie gospodyni.

- Dlaczego mam wciąż uczucie, że ty, dziecino, coś udajesz?

Alaina poczuła ucisk w gardle, ale zdołała spytać niewinnym tonem:

- Co, psze pani?

- Na przykład to ubranie! Po co chodzisz w przebraniu chłopaka?

Alaina otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale gdy dotarło do niej pełne znaczenie tych słów, przysło całe jej opanowanie. Poczuli się oszołomiona, nie mogła zebrać myśli.

Pani Hawthorne uśmiechnęła się i napiła herbaty.

- Pod tym względem mam pewną przewagę. Zanim wyszłam za mąż, uczyłam w szkole dla młodych panien. Żadna nie potrafiła mnie na długo zmylić - ponownie upiła herbaty i pokiwała głową. - Ty jesteś w tym dobra. Bardzo dobra. Ten brud, który sobie tak hojnie aplikujesz - skrzywiła nos z odrazą - zwdzi większość ludzi. Ale twój chód i cała postawa ma w sobie miękkość - zaśmiała się. - I nigdy nie spotkałam mężczyzny, który by się troszczył o czystość krzesła lub nie trzymał niezdarnie filiżanki. No więc - pochyliła się, świdrując Alainę błyszczącymi z ciekawości brązowymi oczami - powiesz mi, po co to wszystko?

Słońce było już bardzo nisko na niebie, gdy Alaina dotarła na tył domu Craighughów. Kiedy już doszła do siebie, bez wahania opowiedziała pani Hawthorne całą splątaną historię, która postawiła ją w obecnej sytuacji. Kobieta słuchała z uwagą. I tak dziewczyna spędziła w tym towarzystwie popołudnie znacznie przyjemniej niż z nieustannie dokuczającą jej Roberta, która zresztą czekała na nią w kuchni z zadowolonym uśmiechem.

- Gdzie byłaś tyle czasu, Lainie? Przegapiłaś wizytę kapitana Latimera.

- I dobrze - kiwnęła głową energicznie Alaina. - Wystarczy mi widoku niebieskich spodni jak na jeden dzień.

Roberta zaśmiała się i zaczęła drobiazgowo oglądać paznokcie.

- Wiesz, Lainie, w tobie nie ma nic kobiecego.

- Jeśli masz na myśli to, że sama ściele sobie łóżko, pierę i prasuję ubrania oraz pracuję na swoje utrzymanie, masz rację. Kiedy ty przyniosłaś do domu chociaż jednego dolara?

Roberta lekko pociągnęła nosem.

- Hm, dama ma inne zadania.

Dulcie przewróciła oczami i zaczęła jeszcze głośniej szczerkać garnkami.

- Tak - burknęła Alaina. - Na przykład leniuchowanie i tycie.

- Leniuchowanie! Tycie! Jak śmiesz! - Obfita pierś Roberty pod obcisłym gorsetem wezbrała ze zdumienia i gniewu. Lecz nim zdążyła wyrzucić z siebie złość, drzwi spiżarki trzasnęły, odcinając jej możliwość riposty. Dulcie chichotała nad garnkami. Obrażona i nadąsana Roberta wyszła z kuchni. Kiedy mijala drzwi salonu, ojciec opuścił czytana gazetę i spojrzął znad okularów.

- Kto to był?

Roberta zatrzymała się przy drzwiach.

- Ach, to Lainie wróciła do domu.

Leala spojrziała sponad swego haftu.

- Czasem wydaje mi się, Angusie, że Alaina zbyt ciężko pracuje. Znow jej nie było cały dzień. Biedna dziewczyna.

- Uhm! - Angus powrócił do swej gazety. - Praca jej dobrze robi. Nauczy ją odpowiedzialności.

Nieco urażona Roberta spytała:

- Tato, może ja też powinnam znaleźć jakąś pracę.

- Ty nie, moja droga. - Angus spojrział na córkę z uwielbieniem. - Ty jesteś zupełnie inną panną.

Zadowolona z wyrozumiałości ojca Roberta poszła do sypialni, by w spokoju ducha marzyć o swym przyszłym życiu, w którym widziała siebie jako żonę jankeskiego oficera. Alaina tymczasem zdążyła się nacieszyć gorącą kąpielą przez kilka cudownych chwil. Nagle drzwi łazienki się otworzyły. Odwróciła głowę z gotowym przekleństwem na ustach, ale widząc, że to jedynie Dulcie z czystym ręcznikiem w ręce, uspokoiła się. Murzynka położyła na stoliku obok wanny duży kawałek mydła domowej roboty i jeszcze przez chwilę krzątała się obok. Pozbierała rozrzucone ubranie Ala i wygładziła znoszoną koszulę nocną. Zachowanie kobiety wydało się Alainie dziwne i nie umiała go sobie wytłumaczyć, dopóki nie wzięła do ręki mydła i nie zaczęła się myć. Wydzielało dziwnie znajomy zapach, całkiem podobny do zazdrośnie strzeżonych perfum Roberty.

Alaina popatrzyła na Murzynkę ze zdumieniem.

- Dulcie! Nie zrobiłaś tego!

- Jasne, że zrobiłam. Panienska Roberta robi tyle hałasu o to moje mydło, że postanowiłam jej pokazać, jaka mała jest różnica między nim a tymi pachnącymi mydełkami, które jej przynosi papa.

Z żalem jednak Alaina odłożyła mydło i wzięła inny, mniejszy kawałek.

- Lepiej je schowaj dla Roberty. Al mógłby mieć problem z wytłumaczeniem Jankesom, dlaczego pachnie jak grządka kwiatowa. - Już raz przecież kapitan Latimer przyłapał ją na tym.

Dulcie głośno wyraziła swój sprzeciw.

- Według mnie to skandal, żeby panienska Roberta miała piękne ubrania i perfumy, a panienska nic, tylko ten brudny strój chłopaka. Pan Angus żałuje każdego grosza, a za te pieniądze, co dostaje od panienski, zarobione szorowaniem podłóg Jankesom, przeważnie kupuje swojemu dziecku materiały na nowe suknie.

- To, co mu daję - mruknęła Alaina - ledwo starcza na moje utrzymanie.

- Panienki tu prawie cały dzień nie ma, więc co jej utrzymanie może kosztować pana Angusa? - zaprotestowała Dulcie. - A wygląda jak jakaś sierota. Kiedy panienka przestanie nosić to chłopskie ubranie i zacznie być damą?

Alaina westchnęła ciężko.

- Nie wiem, Dulcie. Czasem myślę, że już nigdy.

Alaina odłożyła sprzątanie apartamentu Cole'a na niedzielę, wiedząc, że kapitan ma dyżur do późnego popołudnia. Starła się przebywać jak najwięcej poza domem Craighughów, żeby uniknąć dalszych konfrontacji z Roberta. Jednak była zmuszona odnaleźć w szpitalu Cole'a i zameldować mu, że zgubiła jego klucz.

- Nie musi pan mówić, co pan czuje - uprzedziła. - Widzę to po oczach.

- Po wczorajszym staram się powstrzymać od odzywiania się do ciebie - odparł, dając jej drugi klucz. - Bo gdy zacznę, mogę nie przestać.

- Może pan odwiedzić Robertę - przypomniała mu zjadliwie. - To poprawi panu humor.

- Najlepiej poprawiłoby go złożenie ci skóry.

Obrzuciła go złym spojrzeniem.

- Sprawdził pan już te papiery pani Hawthorne, Jankesie?

- Może masz lepsze informacje ode mnie, sądzę jednak, że w niedzielę banki są zamknięte.

- Nie mam tyle pieniędzy, żeby składać w banku - jątrzyła Alaina. - Skąd mam wiedzieć, kiedy jest otwarty?

Cole przymrużył oczy podejrzliwie i spojrzał w szare oczy chłopca.

- Znów się skarżysz?

- Tylko stwierdzam fakt - odrzekła Alaina ze wzgardą.

- A tak przy okazji, co ty robisz ze swymi pieniędzmi? Czy nie zarobiłeś już wystarczająco dużo, żeby sobie kupić ubranie na zmianę?

- Nie ma sensu, póki to się nie zedrze.

Cole chciał to skomentować, lecz Al przerwał mu gwałtownie:

- Muszę już iść, jeśli mam skończyć w pana mieszkaniu przed zmrokiem. Nie płaci mi pan za stanie tutaj i gadanie.

- Zaczekaj tam na mnie, żebym się dostał do mieszkania! - zawołał Cole do odchodzącego Ala. - Albo przynieś klucz tutaj.

- Tak, tak.

Podczas południowego posiłku Cole przeglądał stos listów, które mu doręczył sierżant Grissom. Dwa pachnące perfumami, od Xanthii Morgan i Carolyn Darvey, schował do kieszeni bluzy, żeby spokojnie przeczytać w domu. Był z lekka rozczarowany brakiem listu od ojca. Następnie zauważył staranne pismo Oswalda Jamesa, prawnika i przyjaciela rodziny. List miał datę sprzed dwóch tygodni. Postanowił natychmiast zaspokoić ciekawość i otworzył kopertę. Już pierwsze słowa listu przygniotły go straszliwym ciężarem:

Z przykrością donoszę, że dziś w nocy odszedł na wieki pański ojciec...

Roberta kazała czarnemu woźnicy Jedediahowi zatrzymać się przy placu Jacksona i poczekać. Sama poszła

dalej pieszo, defilując dumnie obok przypatrujących się jej żołnierzy Unii. Tego popołudnia miała ważniejsze plany niż flirtowanie z byle kim. Polowała na grubszą zwierzynę. Dokładniej, na jankeskiego doktora.

Zabrała klucz z kurtki Alaina. Ciężar zimnego kawałka metalu wewnątrz rękawiczki dodawał jej pewności, że wszystko się uda. Nawet przekonanie ojca, by pozwolił jej wziąć powóz na przejażdżkę w niedzielne popołudnie, okazało się dość proste. Zanim Cole Latimer wróci do mieszkania, ona przygotowuje się tak, że sam jej widok go zniewoli. Choć do tej pory nie zdradzał żadnych oznak buntu przeciwko temu, żeby dać się „złapać”, nigdy nie wiadomo, jak kawaler może zareagować na takie zabiegi.

Szybki stukot jej wąskich obcasów świadczył, że bardzo się spieszy. Skoro już zdecydowała się na coś takiego, chciała jak najszybciej do tego doprowadzić. Nie zniechęcała jej nawet odraza, jaką czuła, uciekając się do tak mało szlacheckiego sposobu, czyli wystawienia na próbę jego męskości. Jeśli choć raz ulegnie Cole'owi, może mu potem powiedzieć, że spodziewa się dziecka. Nawet gdyby nie był skłonny postąpić jak człowiek honoru, jej ojciec go przekona.

Już poprzedniego dnia zrobiła dyskretne rozeznanie, wpytując właścicieli pobliskich sklepów o mieszkanie Cole'a. Jego samego nie spotkała, najwyraźniej miał instynkt samozachowawczy.

Dochodziła już do drzwi jego apartamentu, gdy usłyszała z tyłu kroki. Czym prędzej schowała klucz i odwróciła się. Mina jej zrzędała, gdy poznała sylwetkę Cole'a Latimera, wysoką, o szerokich ramionach. Zbliżył się do niej z nieco sztywnym, niezbyt zachęcającym uśmiechem na twarzy i zdjął kapelusz. Zaraz jednak odzyskała tupet i zagała z nieśmiałym rozradowaniem:

- Kapitanie Latimer, nie uwierzy pan, ale właśnie miałam nadzieję pana zobaczyć.

- Nie przyszła tu pani do Ala? - Pamiętał dokładnie, że mówił jej o swym dzisiejszym całodniowym dyżurze. To, że znalazł się tu wcześniej, zawdzięczał naczelnemu chirurgowi, który dowiedziawszy się o zgonie jego ojca, kazał mu iść do domu. I tak nie było w szpitalu niczego pilnego do zrobienia.

- Do Ala? - spytała coraz bardziej zaniepokojona Roberta. Jej plany waliły się w szybszym tempie, niż była w stanie temu zapobiec. - Nie, myślałam, że ten mały urwis poszedł na ryby czy coś w tym rodzaju.

- Jest tutaj - rzekł Cole i sięgając przed nią, otworzył drzwi z klamki.

Wielkie buty Ala stały tuż przy wejściu, a z sąsiedniego pokoju dochodził odgłos szorowania podłogi szczotką ryżową.

Roberta znalazła się w środku, zanim Cole zdążył ją poprosić. Wszedł za nią i zamknął drzwi.

- Al?! - zawołał.

Pisk niezadowolenia poprzedził stąpanie bosych stóp.

- Miał pan pracować, Jankesie!

Nagle Alaina zatrzymała się w pół kroku na widok Roberty. Obie kobiety mierzyły się przez chwilę wzrokiem dalekim od uprzejmego, po czym Alaina oparła się o framugę drzwi, podrapała się w nos i zauważyła:

- Widzę, kapitanie, że ma pan towarzystwo. Pewnie wolałby pan, żebym już szybko skończył i poszedł, tak?!

- Nie, wcale nie. - Cole nachmurzył się i wyszedł na balkon. Ogarnął wzrokiem ulicę i dostrzegł czekający powóz z Jedediahem na koźle. Wrócił do środka i na pytające spojrzenie Roberty oznajmił: - Nie chciałbym zepsuć pani reputacji, więc niech Al odprowadzi panią do powozu. - Podniesioną ręką powstrzymał jej protest. - Proszę mi wybaczyć takie zachowanie, ale właśnie otrzymałem wiadomość o śmierci mego ojca. Obawiam się, że dziś moje towarzystwo nie byłoby ciekawe.

- Pański ojciec? Nie żyje? - pytała Roberta. Potwierdzające skinienie głowy uświadomiło jej fakt, że nikt już nie stoi pomiędzy Cole'em a wielkimi pieniędzmi.

Alaina trąciła delikatnie ramię kuzynki.

- Chodź, Robbie, myślę, że kapitan wolałby zostać sam. - Z wahaniem w głosie zwróciła się do niego: - Wróć i dokończę, co zacząłem, a potem pójdę do domu. Resztę zrobię jutro albo pojutrze.

Roberta była mocno rozzłoszczona tym, że jest wyprowadzana z budynku jak nieposłuszna dziewczynka. Alaina nic nie komentowała, a czarnoskóry woźnica przywitał ją entuzjastycznie.

- Panienska Al! - cieszył się. - Rety, jak to dobrze, że panienska Roberta przyjechała tu do panienski. Siedziałem tu i już dumałem, co powiem panu Angusowi, jeśli te łobuzy Jankesi zrobią jej jakąś krzywdę.

- Jedediah, zawieź ją do domu i nie zatrzymuj się nigdzie po drodze. Ja niedługo przyjadę.

- Tak jest. - Murzyn uśmiechnął się szeroko. - Nie będę się zatrzymywał. Słyszysz, paniensko Roberto?!

- Będiesz robił, co ja każę, Jedediahu - oświadczyła ponuro Roberta. - A teraz zawieź mnie do domu, i to szybko.

- Tak jest. Tak właśnie uczynię, paniensko Roberto.

11

Do Nowego Orleanu dotarła wieść o szampańskiej radości Granta, gdy dowództwo Lawa ponoć uciekło w panice przed stadem wystraszonych mułów armii federalnej, biorąc je za szarżę kawalerii w nocnej bitwie pod Wauhatchie w Tennessee. Konfederaci próbowali ratować swą godność, tłumacząc, że oddziały w szarych mundurach zostały odwołane przez Orlanda Smitha i Tyndale'a już wcześniej, przed szarżą mułów. Jednak, ku wielkiemu zmartwieniu południowców, Jankesi wydali postanowienie o rekwirowaniu mułów jako koni.

Miasto było ciche i przygaszone. Nieliczni mieszkańcy napotkani przez Alainę, gdy wczesnym rankiem posuwała się ulicami w ślimaczym tempie na grzbiecie Tara, szli z opuszczonymi głowami i twarzami ściągniętymi smutkiem po kolejnej porażce. Pospępnie będzie dla Południa tegoroczne Boże Narodzenie. Jak ten poniedziałek.

W szpitalnej stajni Alaina znalazła pustą przegrodę dla konia i po kryjomu podebrała dla niego kilka garści słodkiej koniczyny z pełnego żłobu obok. Na widok konia kapitana Latimera gwizdnęła jak chłopak i poszła do tylnego wejścia szpitala. Tam na wieszaku przy drzwiach powiesiła torbę i kapelusz i wyciągnęła swe mopy, szczotki i wiadra. Gdy wychodziła ze schowka z rękami pełnymi środków czystości, omal nie przewrócił jej sanitariusz pędzący ze stertą czystych bandaży. Nie zatrzymał się ani nie przeprosił, tylko pobiegł dalej korytarzem do jednej z sal operacyjnych.

Alaina odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął, mamrocząc coś na temat braku wychowania u Jankesów. Potem postawiła szczotki i mopy obok drzwi do schowka i niby od niechcenia poszła w kierunku oddziału numer pięć. Było jeszcze dość wcześnie, więc przed rozpoczęciem codziennych zajęć mogła odwiedzić Bobby'ego Johnsona.

Tego rana żołnierze Unii witali ją z dziwną rezerwą i zupełnie bez zwykłego, jowialnego humoru. Gdy weszła na oddział, panowała tam martwa cisza. Od razu zobaczyła puste łóżko i przykrytą prześcieradłem plamę krwi w przejściu. Znajomy kolor zasychającej krwi znaczył materiał w miejscu, gdzie prześcieradło dotykało podłogi. Nie patrząc na nikogo, Alaina odwróciła się na pięcie i wybiegła, tocząc wewnętrzną walkę z osaczającymi ją najczarniejszymi myślami. Trzasnęła drzwiami i pobiegła korytarzem ku sali operacyjnej. Nie mogła tam wejść, więc oparła się o ścianę przy drzwiach, oddychając głęboko, by zagłuszyć ból w piersiach. Ze środka dobiegł ją

gniewny głos Cole'a. Poczwała strach.

- Kto miał dyżur wczoraj wieczorem?

- Major Magruder - odpowiedział jakiś głos, którego Alaina nie umiała zidentyfikować.

- Nie pozwolę panu rzucić na mnie winy! - bronił się gorączkowo wymieniony. - Zrobiłem obchód i wszystko było w porządku. Zwłaszcza on!

Alaina wspięła się na palcach i zajrzała przez kawałek płaskiego szkła w trawionej szybie drzwi. Cole i doktor Brooks operowali okolice brzucha mężczyzny na stole, a sanitariusz krążył między nimi z białymi wacikami, które natychmiast robiły się jasnoczerwone. Widziała, jak pierś pacjenta wznosi się i opada w płytkim oddechu. Na wysokim stołku przy jego głowie siedział sierżant sanitariusz i co jakiś czas wylewał kroplę płynu z małej brązowej buteleczki na płócienną maseczkę zasłaniającą usta i nos, choć twarz i tak już była zawinięta bandażami.

- Wolniej! - upomniął sierżanta doktor Brooks.

- Dlaczego zwłaszcza on? - spytał Cole, szykując zakrzywioną igłę i katgut.

Magruder odpowiadał z kąta, gdzie stał niedbale oparty o szafkę, nawet nie usiłując im asystować.

- Kiedy robiłem obchód o dziesiątej, bełkotał coś o żonie i dziecku.

Cole przyglądał mu się przez chwilę, zaciskając usta.

- I co pan mu powiedział, majorze?

- Po prostu kazałem mu się zamknąć i zachowywać jak mężczyzna. - Magruder przerwał, ale po chwili dodał, jakby czuł potrzebę dalszych wyjaśnień: - Przeszkadzał innym na sali.

Dwaj operujący lekarze wyprostowali się. Doktor Brooks spojrział na Cole'a, a ten zmierzył Magruderę wzrokiem pełnym oskarżenia. Wówczas Alaina dojrzała długą, krwawiącą ranę z poszarpanymi brzegami w poprzek brzucha mężczyzny. W żołądku poczuła ucisk i zachwiała się. Stała wsparta o ścianę na nogach Jak z waty. Słyszała teraz głos Cole'a jakby z oddali. Był spokojny, ale gorzki i drwiący.

- Majorze, jak pan mógł oczekiwać od młodego chłopca, żeby się zachowywał jak mężczyzna?!

- Jest mężczyzną na tyle, by mieć żonę! - Magruder okazywał coraz większą złość, a może był to strach. - Zresztą mówiłem panu od początku, że z nim to tylko strata czasu.

W tym momencie Alaina chętnie usłyszałaby krzyki brutalnie katowanego jankeskiego majora, lecz ku jej rozczerwaniu usłyszała cichy i łagodny głos Cole'a, który znów pochylił się nad rannym.

- Kto go znalazł?

- Sierżant, który robił obchód o czwartej - poinformował skrupulatnie major.

- Kto robił obchód o drugiej?

I ponownie odpowiedział Magruder:

- Ja sprawdziłem pobieżnie wszystkie oddziały i nie zauważyłem nic niepokojącego.

- Jeden z pacjentów mówił, że tuż po północy obudziło go czyjeś wołanie. Łóżko Johnsona było puste, ale nic więcej nie usłyszał i zasnął z powrotem. Nie zauważył pan mężczyzny leżącego na podłodze pośrodku sali? - Cole cedził słowa przez zęby.

- Mówię panu, że nic nie widziałem! - upierał się Magruder.

Potem zapadła cisza, którą przerywały tylko pojedyncze słowa lub polecenia rzucone w toku dalej trwającej operacji. Alaina nie mogła odzyskać władzy w nogach. Gdyby znalazła choć odrobinę siły, już by stamtąd uciekła. W końcu drzwi się otworzyły i stanął w nich kapitan Latimer.

- Niech tu poleży, zanim go przeniesiecie - rozkazał sanitariuszowi.

Obok Cole'a stanął doktor Brooks.

- Zrobił pan wszystko, co pan mógł, Cole'u. Czy będzie żył, czy nie, zależy już tylko od Boga.

- Nie rozumiem, dlaczego... - Przerwał, widząc ostrzegawczą minę doktora Brooksa, wskazującego oczami na korytarz. Cole odwrócił się raptownie i napotkał przestraszone szare oczy. Od razu złagodniał, widząc ślady łez na chudych policzkach i roztrzęsione wargi.

- To Bobby Johnson - powiedział miękko, ze zrozumieniem. - Upadł. Popękały mu szwy. Wykrwawił się prawie na śmierć. - Wypowiadanie tych krótkich, nie powiązanych zdań najwyraźniej go zdenerwowało, aż niespokojnie potarł ręką czoło. - Zszyliśmy go, ale już sam nie wiem... - Sięgnął ręką, by pocieszyć chłopca, ale ten odsunął ją ze złością i zasłochał bezradnie. Na jego młodej twarzyczce malował się szczerzy ból.

- Weź resztę dnia...

- Nie! - padło na wpół zdławione, lecz kateryczne. Al zebrał się w sobie, odwrócił od lekarzy i powlókł korytarzem zgarbiony, jakby na swych wąskich barkach dźwigał ciężar całego świata. Po chwili w korytarzu zadźwięczały wiadra i odezwał się miarowy szcęk starej pompy.

Wszyscy na oddziale wiedzieli o przyjaźni, jaka wywiązała się między chłopcem do sprzątanania a oślepionym żołnierzem, choć nikt o tym głośno nie mówił. Toteż gdy robił coś na sali, zewsząd kierowały się ku niemu oczy pełne współczucia. A kiedy wyszedł i długo się nie pokazywał, nikt nie ośmielił się go szukać. Nikt też nie miał serca żartować z nim jak co dzień.

Z najwyższą ostrożnością przeniesiono szeregowego Bobby'ego Johnsona na jego łóżko. Doktor Latimer zaglądał do niego, gdy tylko mu pozwalały na to inne obowiązki. Młody żołnierz leżał blade, bez ruchu. Mijał dzień, a on nie odzyskiwał przytomności. Alaina czuła się rozdarta. Z jednej strony chciała być jak najdalej, gdyby stało się to najgorsze, a z drugiej pragnęła być przy nim, kiedy odzyska świadomość. Na wszelki wypadek nie oddalała się zbyt od oddziału numer pięć. Wynajdywała tysiące powodów, by znaleźć się w pobliżu ostatniego łóżka od strony okien, ale nie mogła znieść długo widoku nieruchomej postaci, więc jej wizyty były bardzo krótkie.

Cole po raz drugi usłyszał szept i stwierdził, że wargi Bobby'ego drgnęły i ułożyły się, jakby pytał:

- Kto?

- Doktor Latimer. - Cole wstał z krzesła i pochylił się nad nim. - Jak tam, Bobby?

- Boli! - padła krótka odpowiedź. - Jak ogień!

- Po co ty wstawiałeś? - spróbował dowiedzieć się Cole.

- Pić! - Bobby kontaktował. Oblizywał spieczone wargi. - Jak teraz! Nie chciałem prosić majora - szeptał z trudem. Cole zwilżył mu wysuszone usta. - Chciałem raz zrobić coś sam. Jak mężczyzna.

Cole dotknął jego ręki.

- Odpoczywaj teraz. Nie martw się. Będę przy tobie.

W zamian otrzymał wąty uśmiech, który zaraz znikł, gdy Bobby Johnson ponownie zapadł w błogosławiony niebyt snu.

Wściekły na swą bezradność Cole odwrócił się i zobaczył stojącego w nogach łóżka Ala. Wzrokiem pełnym wyrzutu patrzył na śmiertelnie bladego żołnierza.

- Mam nadzieję, że Magruder któreś ciemnej nocy potknie się i wpadnie głową do wychodka - zasyczał.

- Nie można go winić. - Cole poprawił się na krześle i próbował go tłumaczyć. - Nie mógł przewidzieć, co się

stanie.

Do Ala to jakby nie docierało. Jadowity uśmiezek wykrzywił mu usta, gdy dodał:

- I sam chętnie mu w tym pomogę!

- Zrobiłeś już wszystko na dziś? - zapytał Cole, obracając się do niepokornego chłopca.

- Raczej tak. - Szare oczy powoli przeniosły się na Cole'a.

- Chyba muszę ostrzec Magrudera, żeby uważał po ciemku.

Szare oczy nawet nie drgnęły.

- Wszyscy uważajcie, Jankesi. - Słowa były typowe dla Ala, lecz nie było w nich tej uszczypliwości co zawsze.

- Łagodniejsz, Al - zadrwił Cole. - Myślałem, że nienawidzisz wszystkich niebieskobrzuchów z Unii.

- Idź do diabła, Jankesie! - Tym razem Alowi wróciła cała dawna zjadliwość.

- Zostaję w szpitalu na całą noc! - zawołał Cole do odchodzącego chłopca.

Odwracając głowę, Al odparował głośno i dobitnie:

- To może ja wreszcie będę miał trochę spokoju. Po raz pierwszy tego dnia salą numer pięć wstrząsnęły salwy śmiechu.

Następny dzień minął podobnie jak poprzedni. Wszyscy żywili w sercach nadzieję, że młody żołnierz wydobrzeje. Alaina zauważyła, że jego wydęty brzuch utworzył pod kocem pagórek, a bandaż na ranie już nie barwiły się na czerwono, lecz na czarno, i wydzielały odór nie do zniesienia. Przeważnie leżał w stanie zamroczenia, częściowo na skutek dużych dawek laudanum. Momentami zwiąjał się z bólu i jęczał, jakby jakiś zwierz wyszarpywał mu wnętrzności. Alaina nie wytrzymała tego widoku, ale też nie była w stanie znieść myśli, że będzie gdzie indziej, kiedy on się obudzi. Czas włócił się jak kulawy koń, a stan Bobby'ego Johnsona nie ulegał żadnym zauważalnym zmianom. Po południu zaczęła się na dworze mżawka i Alainie zdawało się, że cały świat płacze ze smutku i żalu.

Gdy wracała do domu, było zimno i mokro. Potem długo jeszcze siedziała w stajni. Po pierwsze nie chciała spotkać Roberty, po drugie musiała uporządkować swe poplątane, pełne emocji myśli. Nie udało jej się ani jedno, ani drugie. Była już późna noc, gdy zrozpaczona młoda kobieta zapadła wreszcie w niespokojny sen.

Wyjątkowym wysiłkiem woli Alaina zwlekła się z ciepłego łóżka w zimną, ciemną godzinę przedświt. Jej umysł zaczął pracować dopiero wtedy, gdy przemyła twarz lodowato zimną wodą z dzbanka. Trzęsąc się z obrzydzenia, nałożyła codzienną porcję brudu, sadzy i tłuszczu. Nie było żadnym pocieszeniem nawet to, że Roberta jeszcze głośno chrapała, kiedy Alaina po cichutku schodziła na dół. Kolejnym sprawdzianem woli było wyciągnięcie Tara z przytulnego boksu na chłód i deszcz, który mżył przez całą noc.

Dopiero po upływie pełnej godziny pracy Alaina przestała się trząść z zimna, tak zmarzła po drodze do szpitala. Bobby Johnson leżał nieruchomo jak umarły, tylko od czasu do czasu jego ciałem wstrząsały drgawki. Cole był często w pobliżu, ale nie odpowiadał na żadne pytania i zżymał się, gdy Al nalegał. Dzień włócił się na ołowianych nogach aż do dwunastej, kiedy to Alaina bez apetytu przełknęła kilka kęsów jedzenia. Było już dobrze po południu, gdy schodząc po schodach z oddziału konfederatów, dostrzegła sanitariuszy wynoszących z oddziału piątego przykryte kocem nosze i kierujących się z nimi do posępnej, ceglanej krypty, nazywanej kostnicą. Nie trzeba jej było nic mówić. Jedno spojrzenie w głąb oddziału potwierdziło jej obawy. Doktor Latimer siedział

przygnębiony na krześle obok pustego łóżka Bobby'ego Johnsona. Choć Alaina poczuła dojmujący ból, jej oczy były, o dziwo, suche, gdy stanęła obok oficera w mundurze również obserwującego w milczeniu tę procesję. Chwilę później z oddziału wyszedł Cole Latimer z ponurym i złym wejrzeniem. Minał drobną figurkę, która zrobiła krok w jego stronę i uczyniła pytający gest ręką. Poszedł korytarzem w kierunku pokoju rekreacyjnego. Gdy zniknął jej z oczu, Alaina przygarbiła się pod ciężarem smutku, lecz zaraz się znów wyprostowała, bo poczuła na ramieniu czyjąś szeroką, ciężką dłoń.

- Przecież go uprzedzałem, że robi błąd - odezwał się oficer, którym okazał się Magruder.

- Nieprawda! - Alaina rzuciła mu gniewne spojrzenie i strząsnęła z siebie jego rękę. - Kapitan Latimer jest tu najlepszym chirurgiem.

- Co za lojalność! - drwił Magruder. - Jestem pewien, że kapitan by to docenił. Ale chodzi mi o to, że zbyt się zaangażował w przypadek, który i tak nie mógł się inaczej skończyć. - Wzruszył ramionami, jakby go to właściwie mało obchodziło. - Ostrzegałem go.

Alaina zacisnęła usta i wbiła wzrok w podłogę. Na pewno mniej by cierpiała, gdyby miała twardsze serce, ale wówczas byłaby podobna do Magrudera, pozbawionego wszelkich ciepłych uczuć, dla których warto żyć.

- Chłopcze, dlaczego nie weźmiesz sobie wolnego na resztę dnia? - wielkodusznie zaproponował major.

- Dziękuję, wolę się czymś zająć - padła zdecydowana odmowa.

- Jak chcesz. - Major Magruder z uśmiechem zadumy popatrzył w stronę pokoju rekreacyjnego. - Kapitan próbował tego samego po otrzymaniu wiadomości o śmierci ojca, ale posunął się za daleko. Przeliczył się w kosztach ratowania życia.

Odszedł, zanim Alaina zdążyła mu ostro odpowiedzieć, a może też i miał szczęście, że w pobliżu nie było żadnej latryny.

Przez resztę dnia Al zachowywał się niezwykle cicho. Nie mógł się przemóc, by wejść na piąty oddział, gdzie wolne łóżko wkrótce zajął inny żołnierz Unii. Zajął się więc sprzątaniami pokoju oficerów, bardzo zaniedbanego, gdyż lekarze nie mieli nigdy czasu, by porządnie go zagospodarować. Kapitana Latimera nie było widać od czasu, jak wybiegł z oddziału, a inni lekarze, zajęci ciągłą walką ze śmiercią, nie zwracali na chłopca uwagi.

Żaden z nich nie znał tajemnicy Alainy i żaden nie domyślał się nawet, jakie rozterki teraz przeżywa. Jej wrodzona niechęć do mieszkańców Północy na skutek wojny przeszła w szczerą nienawiść. Ale dziś już znała swych wrogów, ich nazwiska i twarze. Przestali być anonimowymi żołnierzami w niebieskich mundurach z galonami i błyszczącymi guzami. Byli to mężczyźni i młodzi chłopcy. Czuli radość i smutek, szczęście, gniew. Śmieli się, żartowali, cierpieli, płakali, umierali tak samo jak jej przyjaciele, którym machała ręką na pożegnanie, jak jej ukochany ojciec i bracia. Byli zwykłymi ludźmi, ich ciała tak samo bezlitośnie rozszarpywały odłamki metalu. Coraz trudniej było jej wykrzesać z siebie dawną nienawiść.

W roztargnieniu polerowała poręcz fotela, próbując uporządkować swe uczucia. Nie mogła pocieszyć matki ani żony Bobby'ego Johnsona, lecz gorąco wierzyła, że gdzieś, ktoś okazał choć trochę dobroci jej ojcu i bratu w ich ostatnich godzinach. Łzy napłynęły Alainie do oczu, ale przelknęła je, słysząc w korytarzu jakieś kroki. Młody szeregowiec najpierw minął drzwi, potem zatrzymał się i wrócił.

- Tu jesteś, Al. Doktor Brooks chciałby z tobą pomówić w swoim gabinecie, jak skończysz pracę.

Zanim zdążyła go o cokolwiek zapytać, już zniknął. Alaina szybko dokończyła odkurzać krzesło. Schowała ścierki, mopy i wiadra. I tak trzeba było już kończyć, więc mogła iść, by sprawdzić, czego chce od niej doktor.

Pierwszy raz się zdarzyło, że ją wezwał.

Teraz, gdy zrobiło się chłodniej, wspinaczka na trzecie piętro nie była już taka męcząca. Chcąc uwolnić się trochę od poczucia nielojalności, zatrzymała się na chwilę na oddziale konfederatów, by porozmawiać z żołnierzami. Dopiero potem ruszyła korytarzem do małego gabinetu doktora Brooksa. Drzwi były otwarte; wchodząc, Alaina uśmiechnęła się zawadiacko. Stary lekarz pospiesznie wstał z krzesła i wyszedł jej naprzeciw.

- Panie doktorze, chciał pan ze mną rozmawiać? - zapytała Alaina, naśladowując chłopięcy styl mówienia.

Nic nie powiedział, lecz minął ją, by zamknąć drzwi na zasuwę. Alaina uniosła brwi ze zdziwieniem. Doktor wrócił i ująwszy ją za ramię, podprowadził do krzesła.

- Alaino, daj sobie teraz spokój z tym żargonem. Jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy. Siadaj, dziecko.

Zrobiła, jak kazał, i patrzyła niepewnie, jak doktor nerwowo przemierza gabinet. Kilka razy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnował, coraz bardziej się denerwując. W końcu podszedł do biurka, wziął z niego gruby plik papierów i energicznie podał dziewczynie. Wyjaśnił przeproszającym tonem:

- Alaino, dostajemy to raz w tygodniu. Przywozi specjalny kurier.

Zdezorientowana, Alaina zaczęła czytać.

Skonfederowane Stany Ameryki

Sporządzone przez: personel sztabowy Armii Wirginii

p. dow. generała Lee

Dotyczy: meldunku o stratach

A. Pełna lista:

1. rannych

2. zabitych

3. zaginionych w walce

4. dezertersów

Uwaga: Ta część obejmuje obszar Luizjany, Missisipi i Alabamy.

Alaina poczuła w żołądku znajomy ucisk. Został jej jeszcze tylko jeden brat, Jason! A takie meldunki widziała już przedtem dwukrotnie. Podniosła wzrok na doktora Brooksa. Miał zafrasowaną twarz. Zaciśnęła szczęki, żeby się nie trzęsły, i zaczęła kartkować listę, aż znalazła literę M. Powiodła palcem w dół kolumny z lewej i zobaczyła to, czego się potwornie obawiała.

MACGAREN, JASON R., KAPITAN. ZAGINIONY W WALCE, PRZYPUSZCZALNIE POLEGŁ. 4 PAŹDZIERNIKA 1863.

Litery zamazały jej się przed oczami. Czwarty października! Ponad miesiąc temu! Jason! Jason! Najstarszy z rodzeństwa! Wysoki, silny Jason! Kochany starszy braciszek! Pamiętała jeszcze, jak młodszy o trzy lata Gavin włożył jej pod siodło rzepy, a Jason ściągnął ją z brykającego konia. Jason! Odważny braciszek! Teraz, biedny, nie żyje!

- Alaino! Alaino! - dotarło do niej jak przez mgłę. Doktor trzymał ją za ręce. - Jak się czujesz, dziecko? Jesteś taka blada!

Alaina kiwnęła słabo głową, dziwiąc się, że nie może płakać. Opadła na oparcie krzesła i straciła raport z kolan na podłogę jak coś wstrętnego, zbrukanego. Skrzywiła twarz z rozpaczy.

- Alaino, trzeba mieć nadzieję! - nakazał doktor Brooks. - Napisane jest, że zaginał, a nie poległ. Miej nadzieję, moje dziecko.

- To zupełnie tak samo. - Dziewczyna zaszlochała chrapliwie. - Tak samo jak poprzednio. Najpierw piszą: zaginał, a potem przychodzi list, że został już gdzieś tam pochowany.

Doktor Brooks nie mógł zaprzeczyć. Widział zbyt dużo tych meldunków. Zwykle sporządzano je, zanim pole bitwy zdążyło ostygnąć, kiedy nie dało się jeszcze potwierdzić wszystkich przypadków śmierci. Mógł tylko kiwać głową współczująco i próbować ją pocieszyć. Z piersi Alainy dobywał się suchy, udręczony szloch.

- On... nie chciał wcale... nas zostawiać. Ale to... był obowiązek... Wszyscy mężczyźni szli.

Alaina odchyliła głowę do tyłu i nagle łzy popłynęły jej strumieniami po twarzy. Płakała rozpaczliwie, przytłoczona ciężarem bólu.

- Aach! Ta przeklęta wojna! Przeklęta walka! Przeklęte zabijanie! Kiedy to się skończy? Och, Jason, Jason! - Opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach, łkając żałośnie. Doktor Brooks wcisnął jej do ręki chusteczkę i poklepywał delikatnie po ramieniu. Drugą dłonią otarł własny policzek.

- Gdy przyjdzie czas, Alaino - mówił cicho. - Kiedy ludzie skończą swe głupie gry i będą już mieli dość tej jatki, wtedy się skończy. Bóg daje nam wolny wybór, co zrobimy ze swoim życiem. Tak wybieramy. Dlatego przypadkiem nie wiń Boga za głupotę ludzką.

Alaina schyliła głowę na jego opiekuńcze ramię, dając upust rozpacz. Doktor Brooks podniósł ją delikatnie z krzesła i prawie niosąc, przeprowadził na małą leżankę. Tam ją położył i usiadł obok, trzymając dłoń na jej ramieniu i pozwalając się wypłakać. Kiedy w końcu przestała się trząść, zasnęła z wyczerpania.

Gdy Alaina znów otworzyła oczy, było już późno i ciemno za oknami. Doktor Brooks podniósł się z biurka i podszedł do niej.

- Chcesz już jechać do domu, drogie dziecko?

Alaina potarła czerwone, zapuchnięte oczy i skinęła ze znużeniem.

- Każę dla ciebie zaprząć mój powóz.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Nie, dziękuję, doktorze. Mam starego Tara. Poza tym - uśmiechnęła się niepewnie do starego przyjaciela - jak by taki łachmaniarz wyglądał w eleganckim powozie?

Doktor westchnął ciężko.

- Jak sobie życzysz, Alaino. - Obserwował ją przez dłuższą chwilę, zanim wyciągnął do niej rękę. - Alaino MacGaren, jesteś wyjątkową młodą kobietą. Wiele z nich nie zniosłoby tego, co ty, a już na pewno nie tak dzielnie. - Doktor się wyprostował. - Jednak nawet chłopak nie jest bezpieczny o tak późnej porze.

- Będę ostrożna - zapewniła go cicho. Zobaczyła w oknie swoje odbicie, z czerwonymi, podpuchniętymi oczami, i przeniosła wzrok na doktora. Zapytała nieśmiało: - Czy kapitan Latimer jeszcze jest?

- Nie, Cole wyszedł dziś wcześniej po południu - odparł doktor Brooks. - Magruder oskarżył go o to, że rozpacz po stracie ojca odebrała mu zdolność prawidłowej oceny. Zdaje się, że major ciągle nie przeboleł sprawy tamtej nogi. Tym razem otwarcie zarzucił Cole'owi lekkomyślne szafowanie życiem Bobby'ego Johnsona.

- Ależ to nieprawda! - oburzyła się Alaina. - To Magruder!

- Oczywiście, wiem o tym. Lecz Magruder musiał obwinie kogoś innego, żeby nie oskarżono jego samego. - Doktor machnął ręką z irytacją. - Kiedy ostatni raz rozmawiałem z Cole'em, powiedział, że wychodzi i ma gdzieś

to, kto ma słuszość.

Niedługo potem Alaina dosiadła Tara i skierowała go w stronę rzeki. Nie miała jeszcze ochoty wracać do domu wujostwa. Wujek Angus i ciocia Leala mieli dziś wieczorem uczestniczyć w spotkaniu natury politycznej. Nie pragnęła wysłuchiwać zjadliwych komentarzy Roberty. Włóczyła się więc samotnie wzdłuż brzegu rzeki. Leniwy plusk lekko pomarszczonej wody sprawiał, że Missisipi wydawała się bardzo spokojna. A przecież jej nurt miał siłę wodospadu i rzeka z dnia na dzień potrafiła zmienić swoje koryto, kierując się tam, gdzie nigdy dotąd jej nie było.

Deszcz przestał padać jakiś czas temu. Wysoko na niebie, ponad mknącymi chmurami, księżyc nieśmiało pokazywał trzy czwarte swej twarzy, wysyłając liczne delikatne promienie, które połyskiwały na powierzchni wody. Starła się nie zwracać uwagi na mokradła, równie mroczne jak kłębiące się w jej głowie myśli. Zeszła z konia i usiadła na brzegu, obejmując kolana rękami i opierając brodę na przedramieniu. Popatrzyła na czarne sylwetki okrętów Unii w oddali. Wezbrała w niej na nowo nienawiść i wściekłość, a do oczu napłynęły gorzkie łzy.

- Zdrajczyń! - splunęła do rzeki. - To ty przyniosłaś Jankeś pod nasze drzwi. Bezwstydnico! Nie ma w tobie ani honoru, ani lojalności!

Żadna odpowiedź nie przyszła z ciemnej toni. Tylko oczami wyobraźni Alaina ujrzała długą kolumnę maszerujących żołnierzy w niebieskich i szarych mundurach. Każdemu z nich czegoś brakowało, jak na nie dokończonym, koszmarnym obrazie. Jedni nie mieli rąk, inni nóg, czasem oka lub połowy twarzy. Ułomne karykatury ludzkie! Popłuczyny po wojnie! Straszliwy widok, jaki można było znaleźć w każdym szpitalu, i Unii, i Konfederacji.

O dziwo, z ciemności rzeki wyłonił się jakiś kształt. Alaina zamrugała oczami, aż rozpoznała dryfujące w jej kierunku duże drzewo. Kiedy zbliżyło się do cypla i natrafiło na płyuczny, zaczęło się obracać z prądem rzeki. Nagle w świetle księżyca Alaina zobaczyła ludzką rękę. Zerwała się, widząc, że to już nie wytwór jej wyobraźni. Jakiś nieszczęśnik rozpaczliwie zmagał się z żywiołem, usiłując mocniej uchwycić wymykającą mu się ostatnią deskę ratunku.

Alaina ogarnęła wzrokiem sytuację. Wkrótce człowiek ten odpłynie zbyt daleko, by można mu było pomóc, i niewiele już będzie mogła zrobić. Pień dostał się w wir i kręcił się niebezpiecznie. Jego pasażer mógł lada chwila znów zanurzyć się w wodzie. Mężczyzna zarzucił ręką i wydał bardzo słaby krzyk, po czym jego głowa zniknęła pod wodą. Nie zrozumiała słów, ale sam głos zmobilizował ją do działania.

Zrzuciła z siebie ciężką marynarkę, pobiegła na sam koniec cypla i wskoczyła do wody. Płynęła, zmagając się z silnym prądem, który znosił pień z mężczyzną prosto na nią. W ostatniej chwili wciągnęła głęboko powietrze i zanurkowała. Pień przepłynął nad nią, a wtedy wypłynęła na powierzchnię, sięgając rozpaczliwie, by złapać mężczyznę. Płynęła za nim, rozgarniając wodę.

Nie było czasu ani oddechu w płucach na prawienie grzeczności. Złapała go mocno za włosy i pociągnęła za sobą, płynąc wszystkimi siłami, jakie miała, i starając się nie walczyć z prądem, lecz z nim współpracować. Kiedy poczuła pod stopami błotniste dno, łapiąc cenne powietrze, dalej starała się przytrzymywać głowę mężczyzny nad wodą, aż dotarli do wody po pas. Podążyła resztką sił. Zdołała jeszcze tylko wyciągnąć topielca na brzeg, gdzie wrzuciła go na leżący tam inny pień tak, że głowa mężczyzny zwiślała po drugiej stronie.

Zakaszał i gwałtownie zwymiotował połkniętą wodę. To upewniło Alainę, że w bezwładnym ciele tli się jeszcze życie. Wyciągnęła rękę, uniosła zwisającą głowę i zdębiała. To był Cole Latimer! W głowie jej się

zakrećilo. Uratowała Jankesa, niebieskiego jak sójka, choć miał na sobie tylko długie gatki. Znów naszła ją wizja. Zobaczyła Jasona, jak leży z wykręconym ciałem i na zawsze nieruchomym spojrzeniem pod tym samym skąpo rozświetlonym nocnym niebem. Oczy jej zaszyły łzami. Łkając i trzęsąc się zarazem z bóleści i od chłodu przemoczonego ubrania, Alaina padła na kolana. Płakała i zawodziła, zaciskała zęby z rozpacz. Tak trudno było jej się pogodzić z tym, co powinna teraz zrobić. Z wysiłkiem opanowała się i wytarła mokre policzki, na których lży mieszały się z wodą ściekającą kroplami z jej krótkich włosów.

- Ty t-tępy Jankesie, przynęto dla k-krokodyli - wykrztusiła przez lzy. - Piekielnie z-zimną noc sobie wybrałaś na pływanię. - Ułożyła go tak, żeby siedział oparty o pień. Jęknął i głowa opadła mu z powrotem na mokre drzewo. Był odurzony. Po czole spod włosów zaczęła ściekać ciemna, lepka strużka. Macając palcami, Alaina znalazła na głowie wielki guz. - Ktoś ci nieźle przyłożył, Jankesie. Coś mi się zdaje, że wtoczyłeś się po lesie zalany w trupa. Czysta bezmyślność. A chwaliłeś się, że tak świetnie dajesz sobie radę.

Nie wiedziała, co z nim zrobić. Klucz do jego mieszkania zgubiła, a on też nic nie miał przy sobie. Zresztą nie mogła przecież paradować po placu Jacksona z oficerem Unii w samej bieliźnie. Dopiero by się skomplikowała sytuacja dla nich obojga.

Nie było wyjścia, musiała go zabrać do domu Craighughów. Wujek zazwyczaj przesiadywał na zebraniach politycznych do późna w nocy. Czasem wracał dopiero nad ranem. Jeśli dziś będzie tak samo, może uda jej się przemycić doktora tak, żeby Roberta nie zauważyła. Rano będzie trochę wyjaśnień, wujek Angus może wpaść w furję, ale Roberta z pewnością go ułagodzi, jest w tym przecież bardzo dobra.

Alaina pobiegła z powrotem do konia. Zawiązała sznurowadła butów, przerzuciła je przez kościsty grzbiet i podprowadziła zwierzę do kapitana. Ten trzął się z zimna w mokrych kalesonach. Jedyłą suchą rzeczą, jaką miała Alaina, była wielka, bawelniana marynarka. Założyła ją z trudem na niedoszłego topielca, choć tak samo jak on szcękala zębami.

Zarzuciła sobie jego ramię na bark i podniosła go na nogi, zataczając się pod ciężarem. Z ogromnym wysiłkiem utrzymywała Latimera w pozycji stojącej. Jeszcze trudniejsze było wciągnięcie go na grzbiet Tara, który parsknął z niezadowoleniem na taką zniewagę. Wszelkie szanse na odzyskanie godności Cole postradał natychmiast, gdy znajdując się już w siodle, opadł bezwładnie na końską szyję. Alaina jęknęła z przerażenia, gdy Tar szarpnął się, niemal gubiąc swego jeźdźca. Chwyciła za uzdę i pociągnęła go z powrotem do pnia, po którym chciała wspiąć się na konia.

- No, Jankesie, usiądź prosto!

Rozkaz jakoś trafił do jego oziępszej świadomości i Cole niezgrabnie uniósł się do pozycji siedzącej. Alaina celowo usiadła przed nim. Po chwili leżał już całym ciężarem na jej plecach. Ręką bezceremonialnie chwycił się za jej udo. Drażniło ją to, ale powstrzymała się od odepchnięcia ręki łokciem. Gdyby niechcący straciła Cole'a z konia, nie dałaby rady wsadzić go na Tara z powrotem.

Jechali bocznymi ścieżkami i nie używanymi drogami, aż dotarli do domu Craighughów. W domu nie paliły się żadne światła, tylko w stajni ćmiła się lampa. Alaina mogła śmiało przypuszczać, że Roberta już poszła spać, skoro nie miała żadnego towarzystwa oprócz służby. Skierowała Tara na trawnik, żeby nie stukał podkowami, i wjechała prosto do stajni. Zsunęła się z konia i z determinacją ściągnęła z jego grzbietu kapitana. Przestraszyła się, gdy Cole zaczął coś mamrotać, wlepiając w nią zaczerwienione oczy. Zatkąła mu usta dłonią i popchnęła do ściany przy drzwiach.

- Powinieneś się wstydzić. Upić się, pozwolić się pobić i okraść z ubrania. To już szczyt wszystkiego, Jankesie.

Zostawiła go opartego o ścianę i zaprowadziła Tara do przegrody. Za dzisiejsze trudy wyspała mu dodatkową miarkę cennego ziarna. Powozu wujka jeszcze nie było. Tu los okazał Alainie trochę łaskawości, za co była mu wdzięczna.

Kiedy wyszła z boksów, stanęła w osłupieniu. Kapitana nie było tam, gdzie go zostawiła. W ogóle nie było go widać. Alaina wpadła w panikę. Gdzie ten czort poszedł? Zawołała półgłosem, przechodząc akurat obok poidła z wodą, i nagle poczuła, że zatoczył się na jej plecy. Drobną dziewczyną nie była w stanie utrzymać mężczyzny i wpadli razem na łeb na szyję do poidła. Alaina pod spodem,omal się nie utopiła, zanim Cole się z niej nie zsunął. Uwolniona, dyszała i parskając, krztusząc się wodą, która dostała się do jej ust.

- Ty niebieskobruchu! - jęknęła i zatoczywszy ręką łuk, popchnęła go tak, że stracił równowagę. Z wściekłości zanurzyła mu głowę pod wodę, żeby wytrzeźwiał. Gdy ją wyciągnęła, teraz on się krztusił i łapał powietrze. Pochyliła się nad jego twarzą i z bojowo wysuniętą brodą ostrzegła: - Spróbuj jeszcze raz tak mnie skapać, Jankesie, to będziesz od razu uciekał. Nie utopiłem cię tym razem tylko dlatego, że jesteś zbyt pijany, żeby się ciebie bać.

- Z-zimno - wystękał, na potwierdzenie trzęsąc się przeraźliwie.

Alaina, również szczękając zębami, wykaraskała się z poidła i zaczęła wyciągać z niego kapitana. Udało jej się posadzić go na brzegu koryta, potem wyciągnęła jedną nogę, przekręciła go i wydobyła drugą. Z niepokojem popatrzyła w okna Roberty. Miała nadzieję, że hałasy w stajni nie obudziły kuzynki. Okna były zamknięte ze względu na chłód nocy. W mieszkaniu Dulcie nad powozownią też było ciemno.

Alaina zaholowała kapitana do domu. Ostrożnie uchyliła tylne drzwi, kuląc się ze strachu, gdy lekko zaskrzypiały. Znowu zarzuciła sobie jego ramię na plecy i zataczając się, wciągnęła go do środka. W połowie kuchni zorientowała się, że zostawiają mokre ślady. Trzeba coś z tym zrobić!

- Zaczekaj - szepnęła do Cole'a, sadzając go na krześle. - Przyniosę kocy. - Pobiegła do spiżarni, gdzie rano widziała wietrzącą się pościel, i przyniosła dwa. Po drodze przesunęła duży koc na palenisko i położyła na węglach kilka szczap drewna. Jeśli uda jej się wreszcie doholować kapitana do łóżka, to wróci tu i weźmie gorącą kąpiel.

Jednym ciepłym kocem owinęła Cole'a, drugim siebie. Ponownie uchwyciła jego ramię i podniosła z krzesła. Niezdarnie przesuwali się przez dom, aż dotarli do schodów. Po przejściu kilku stopni Alaina potknęła się o zwisający koniec swego koca, uderzyła się w gołeń i puściła Cole'a. W panice usiłowała chwycić się balustrady, nie zdołała jednak i zjechała na brzuchu w dół, objając się boleśnie o krawędzie stopni. Cole spadł tuż za nią. Zapanował kompletny chaos. W oczach miała łzy z bólu i z trudem powstrzymała się od głośnego jęku, gdy znalazła się na dole schodów znowu przygnieciona jego ciężarem. Wysupłała się spod niego i z desperacją zatkała mu usta, bo znowu coś zaczął mamrotać.

- Cicho bądź! - syknęła. - Jeśli zostawię cię w stajni, wujek Angus może cię wziąć za złodzieja i zastrzelić. Najbezpieczniejsze miejsce dla ciebie to pokój gościnny na górze. Ale nie możemy obudzić Roberty, rozumiesz? - Miała wątpliwości, czy jej słowa do niego docierały. Poprawiając mu koc na ramionach, wypominała jadowym szepem: - Nigdy bym nie pomyślał, że pan może się tak spać.

Drugie podejście schodami udało im się całkiem dobrze, zważywszy, że dziewczyna prawie niosła dwa razy

cięższego od siebie mężczyzną. Zaciągnęła go do pokoju gościnnego tuż obok swojej sypialni. Był w tym samym korytarzu co pokój Roberty, ale z dala od pokoju jej rodziców. Pomieszczenie oświecał trochę księżyc, więc nie było potrzeby zapalania lampki nocnej. Odsunęła przykrycie i zrzuciła Cole'a na łóżko z baldachimem. Dziękując w myślach względnym ciemnościom, ściągnęła z niego mokre kalesony, podniosła mu nogi na łóżko i przykryła.

- Nareszcie, Jankesie - rzekła z przekąsem - mam z tobą spokój.

Zostawiła go i cicho zamknęła za sobą drzwi. W niedługą chwilę potem była już w wannie. Gorąca woda zdjęła z niej zmęczenie i wprawiła w stan leniwego półzamroczenia. Z rozmysłem wzięła perfumowane mydło, którego zwykle unikała, i umyła nim całe ciało oraz włosy. Tej nocy miała już dość maskowania się i przestała myśleć o groźbie odkrycia jej tajemnicy. Westchnęła ciężko, oparła głowę o krawędź wanny i wpatrywała się w ruchome cienie rzucane na sufit przez płomień świecy. Czuła pustkę w środku, była wyzuta z sił i z jakichkolwiek uczuć. Było jej wszystko jedno, co przyniesie jutro. Od jutra dzieliła ją cała wieczność.

Jej myśli poszybowały w świat fantazji. Oto ma piękną suknię, długie, błyszczące włosy, tańczy w ramionach mężczyzny! Nagle przypomniała sobie silne, muskularne ramiona Cole'a, obejmują ją, gdy jechali na koniu, i to jego twarz ujrzała nad swoją, jego oczy czule w nią wpatrzone, jego ramiona obejmujące ją w tańcu.

Z furją potrząsnęła głową. To szaleństwo! Cole Latimer jest Jankesem!

Wstała ze złością, wytarła się szybko i włożyła nocną koszulę. Rozłożyła chłopięce ubranie przy kuchni, żeby schło, a sama usiadła blisko ognia i rozczesywała włosy. Po jakimś czasie zdołała uspokoić własne myśli i ruszyła przez cichy korytarz do sypialni. Gdy układała swe obolałe ciało do snu, w całym domu panowała grobowa cisza. Mogła być jedenasta lub dwunasta, co do tego nie miała pewności. Księżyc wędrował powoli po nocnym niebie, gdy wreszcie, znużona przeżyciami, zasnęła.

Zegar odmierzył ponad dwie godziny, kiedy wyrwał ją ze snu odgłos spadania i toczenia się czegoś po podłodze w pokoju obok. Słysząc też było, że ktoś się tam porusza i męski głos ciska przekleństwa.

Ten głupiec jeszcze obudzi Robertę! - pomyślała z lękiem, wyskakując z łóżka. Na cienką, spraną koszulę narzuciła szlafrok i ostrożnie uchyliła drzwi swej sypialni. Nie widząc nikogo, pobiegła boso przez korytarz i szybko weszła do pokoju gościnnego.

Już zamykając za sobą drzwi, przeklęła swoją głupotę, że przyszła tu w kobiecym stroju. Cole Latimer nie był wcale tak pijany, jak myślała. Stał obok łóżka, gmerając przy lampie, której szklany klosz leżał na dywanie koło jej stóp, gdzie się przeturlał. Najwyraźniej usiłował ją zapalić.

Przez rozsunięte zasłony wpadało światło księżycyca na tyle jasne, że wszystko w pokoju było widoczne. Choć umysł Cole'a był jeszcze zamglony od pozostałości nadużytych trunków, zauważył, że przy drzwiach stoi kobieta. Myśli płynęły w jego głowie wolno i apatycznie. Nie mógł sobie wytłumaczyć przyczyny tego, co widzi, ani swojej obecności w dziwnej sypialni, ani obecności tej kobiety. Czuł, że znajduje się w krańcowo niepewnej sytuacji. Mógł się w każdej chwili spodziewać konfrontacji z rozwścieczonym mężem albo rozgniewanym ojcem, broniącym honoru swej córki. Ta zaś wyglądała na młodą osóbkę.

- Pani - zaczął, zzymając się sztywnością swego języka. - Obawiam się, że jestem tu intruzem.

Alaina wiedziała, że już nie uda się jej salwować ucieczką i że musi jakoś z tego wybrnąć. Z drugiej strony dobrze, iż tu przyszła. Wujostwo mogli wrócić w każdej chwili. Gdyby ujrzeli szwendającego się po domu nagiego Jankesa, mogłoby się to dla wszystkich źle skończyć.

Cole wyglądał na zmieszanego i Alaina to wykorzystała, błyskawicznie układając w głowie plan. Z rozmów

żołnierzy w szpitalu dowiedziała się różnych rzeczy, od których czasem paliły ją uszy.

Przerwała ciszę łagodnym śmiechem.

- Chyba nie zamierza pan teraz nas opuszczać, kapitanie, skoro zdecydował pan zostać na noc? Taką krótką ma pan pamięć? - naśladowała swobodną poufalskość kurtyzan. Jej głos był dystyngowany i słodki jak miód. Okazało się to zupełnie proste i wychodziło jej tak samo dobrze jak graniu roli chłopaka. Cole na szczęście stał w cieniu, osłaniającym jego nagość, bo inaczej chyba zawstydziliby się i uciekła.

Choć nie mógł sobie przypomnieć, jak znalazł się w takim miejscu, jeszcze oszołomionym umysłem Cole zaakceptował tę oczywistą sytuację. Jeśli dotąd w trosce o własne zdrowie unikał burdeli, teraz miał przed sobą tak atrakcyjną damę, że nietrudno było go namówić, by został na noc. W końcu upłynęło już sporo czasu, odkąd zaznał przyjemności intymnego obcowania. Z jego strony z pewnością nie była konieczna wielka sprawność umysłu, żeby zaspokoić nagły głód, jaki poczuł. Jego rozum, choć nieco zamglony, działał bardzo praktycznie. Znalazłszy wyjaśnienie faktów, gorliwie zaakceptował sytuację.

Alaina pamiętała, że wujek trzyma schowaną w pokoju gościnnym kryształową karafkę z brandy. Zaczęła jej szukać w komodzie. To nie był odpowiedni moment, żeby kapitan wytrzeźwiał. Jeśli wypije jeszcze trochę i pójdzie z powrotem do łóżka, na pewno prześpi do rana. Gdy mijala okno, srebrne promienie księżycy prześwietliły jej garderobę. Szczupła, zgrabna sylwetka pobudziła jeszcze bardziej wyobraźnię i apetyt Cole'a. Fala pożądania ogaręła jego wygłodzone zmysły. W łędźwiach poczuł znajome napięcie.

- Proszę, kapitanie. - Kobieta podeszła z powrotem do niego i miękkim głosem namawiała: - Proszę jeszcze wypić. - Alaina wcisnęła mu do ręki dużą, napełnioną po brzegi szklanekę brandy, a sama umknęła, gdy sięgał w jej stronę. Przekomarzała się z nim ze śmiechem. - Najpierw niech się pan napije, kapitanie.

Cole uniósł szklanekę i pociągnął tęgiego łyka. Wysoko ocenił jego jakość, ale przyjął to jako rzecz naturalną. W okupowanym mieście jedynie burdele doskonale prosperowały, a ten najwyraźniej stał wyżej niż wszystkie, o jakich dotąd słyszał.

- A teraz, kapitanie... - położyła dłoń na jego owłosionej piersi i popchnęła go lekko. - Proszę wrócić do łóżka. Jest zimno, może się pan śmiertelnie rozchorować. - Cole usiłował zobaczyć twarz kobiety, ale nie mógł jej dojrzeć wyraźnie. - Mam coś do załatwienia na dole, ale nie zabierze mi to dużo czasu, zaraz wrócę.

Alaina była zadowolona ze swego sprytu. Nie miała oczywiście nic do załatwienia, ale tak pijany z pewnością zaśnie słodko natychmiast po jej wyjściu.

Ale Cole'owi nie podobał się taki pomysł. Już od bardzo dawna nie obcował z kimś tak atrakcyjnym. I choć nie widział wyraźnie twarzy, zapach tej kobiety i jej miły głos rozpały jego zmysły. Pospiesznym haustem dokończył brandy, nie czując prawie jej rozgrzewającej mocy, bo gorączka trawiła już jego trzewia, i odstawił szklanekę.

- Niech pan odpocznie chwilę, kapitanie - przekonywała go łagodnie Alaina. - Naprawdę mam pilną sprawę.

Przeklinając swój chwiejny krok. Cole zdołał jednak złapać ją za rękę, gdy była już przy drzwiach. Całkowicie zaskoczona, Alaina nie śmiała się odezwać. Serce rozpaczliwie tłukło się w jej piersiach. Był taki wysoki, potężny i groźny.

- Ale pocałuj mnie... - w jego głosie zabrzmiała namiętność - żeby mi osłodzić czekanie. Chodź - przyciągnął ją mocno do siebie. - Daj mi próbkę swych wdzięków, żebym czekał z tym większą ochotą.

Gdyby nie odbierający jej wszelką pewność siebie napór jego ciała, Alaina dałaby sobie radę. Lecz mężczyzna

był nazbyt śmiały w swych poczynaniach. Jeszcze parę minut wcześniej wydawało jej się, że wie dużo o mężczyznach, lecz teraz, gdy Cole trzymał ją za pośladek i przyciskał do siebie, uświadomiła sobie jasno własną pod tym względem niewinność. Przepelniała ją wyłącznie chęć wyrwania się z tych twardych męskich objęć. Ale przecież doświadczona córka Koryntu nie może reagować szokiem ani odmawiać klientowi pocałunku. Choć ta droga z pewnością nie prowadziła tam, dokąd pragnęła Alaina, nie było wyjścia.

Zdecydowanym ruchem wspięła się na palce, by sięgnąć do jego warg, i zobaczyła błękitne oczy, przejrzyste w świetle księżyca, wyraźną rzeźbę ostrych rysów na przystojnej twarzy. Ogarnęło ją nagle dziwne, dotąd nieznane uczucie, przez całe jej ciało przeszła gwałtowna fala podniecenia. Stłumiła ją z całą bezwzględnością. Szybko go pocałuje i wyjdzie.

Ale jej usta zostały obezwładnione przez jego wargi - miękkie i delikatne, płonące ogniem, który rozgrzewał jej ciało. Zamknęła oczy i chłoneła jego mocny uścisk, smak brandy w jego ustach, twardą siłę napierających bioder. Czowała w nim energiczną, zdrową męskość, a on traktował ją jak kobietę, pożądał jej. Odchyliła głowę do tyłu i zdawało się, że zaraz zemdleje. Przez chwilę trwali w ciszy, a ona próbowała opanować drżenie.

- Pan zniewala kobietę, kapitanie - oddychała jeszcze z wysiłkiem. - Ale teraz naprawdę muszę iść.

- Do... innego? - Zrobił gniewną minę.

Alaina patrzyła zmieszana, dopóki nie zrozumiała, o co chodzi. Oblała się rumieńcem, lecz udało jej się zwieść go czarującym uśmiechem:

- Oczywiście, że nie, kapitanie. Ale mam też inne obowiązki.

Cole rozchmurzył się i znów przygarnął ją niecierpliwie. Alaina nie wiedziała, co ma zrobić z rękami, aż wreszcie z wahaniem objęła jego nagą szyję.

- Jeszcze raz - zamruczał jej prosto do ucha i czułymi wargami musnął jej szyję. - Potem może cię puszczać.

Co za głupiec! - szdydziło z niego coś w głębi jej duszy. Przez minione tygodnie wciąż ją karcił i strofował, nie dostrzegając w niej odrobiny kobiety. Teraz musi mu dać nauczkę.

Przyłgnęła do niego całkowicie, nie zdając sobie sprawy, jak piorunująco na niego działa jej ciało spowite w cienką bieliznę. Cole przygarnął ją miażdżącym uściskiem i ustami poszukał jej warg. Był to pocałunek natarczywy i zachłanny, zmysłowy i przenikający ją na wskroś. Jedną ręką przytrzymując jej głowę, Cole chciwie pożerał jej wilgotne, uległe wargi. Podniecały go krótkie, jedwabiste włosy i miękkość okrągłych piersi. Pomimo swego zamroczenia pragnął dokładniej zakosztować tej kobiety.

Alainie kręciło się w głowie. Jego namiętny pocałunek był jak odurzający eliksir, o mocy którego świadczyła słabość i drżenie wszystkich jej członków. Unosząc nieco głowę. Cole powoli wsunął język między rozchylone wargi dziewczyny i miękko, leniwie penetrował nim jej usta. Zapach brandy zamroczył jej umysł i straciła poczucie rzeczywistości. Nie przeciwstawiała mu się. Wkrótce się nasyci i spokojnie prześpi do rana - rozumowała naiwnie. A tymczasem wtuliła się w te mocne, wytęsknione ramiona i tak długo ukrywana, drzemiąca w niej kobieta nareszcie mogła poznać radość przebywania w objęciach mężczyzny. Nie jakiegokolwiek mężczyzny, tylko Cole'a Latimera.

Gdy Cole rozluźnił żelazny uścisk, okazało się, że Alaina jest bez sił i musi się na nim oprzeć. Muskał wargami jej skroń i całował szyję. W pewnej chwili dziewczyna uprzytomniła sobie, że jego ręce są pod szlafrokiem, dawno już rozchylonym, z rozwiązaniem paskiem. Ich ciała dzieliła już tylko cienka batystowa koszula. Cole pocierał udem o jej udo, a rękoma pieścił wgłębienie w plecach.

Alainie nagle wrócił rozsądek. Obróciła się lekko i uwolniła jedną rękę, którą odsunęła jego ramię. Następnie odkręciła się w drugą stronę, barkiem do jego piersi, i uwolniła obie ręce. Ale wtedy jego dłoń powędrowała wyżej i objęła jej pierś, palce potarły miękki czubek pod materiałem i schylił do niego głowę.

Tłumiąc westchnienie, Alaina odsunęła się od niego, chwytając go jednocześnie za obie ręce, które położyła na jego piersiach i delikatnie poklepała, jakby chcąc, żeby tam pozostały.

- Kapitanie Latimer, pana pośpiech jest zdumiewający. Do łóżka, i jeszcze jedną brandy! Może pan być pewny, że przybiegnę tu znów za chwilę. Ale teraz muszę iść.

Twarz Cole'a była jednocześnie gniewna i uśmiechnięta.

- Nie wiem, co za obowiązki cię wzywają, dziewczyno, lecz stanowczo mogą poczekać. A teraz - jego oczy dosłownie krzeszały iskry - muszę cię mieć.

Porwał ją w ramiona i niemal jednym skokiem znaleźli się na łóżku. Alaina zerwała się gwałtownie, kiedy koszula podwinęła się do góry, i nagim udem otarła się o jego rozpaloną męskość. Przez chwilę się zmagali, aż wreszcie udało jej się przekoziółkować na kraniec łóżka i wstać. Miała szczerzy zamiar uciec, lecz powstrzymał ją od tego tak gwałtownie, że prawie straciła oddech, łapiąc dół szlafroka i okręcając go sobie wokół ręki tak, że aż góra wrzynała się jej w ramiona. W desperacji Alaina wyszarpnęła jedno ramię, zamierzając zostawić szlafrok w jego rękach. Ale drugi rękaw tak paskudnie uwięził jej rękę, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Teraz już wpadła w prawdziwą panikę i zapała się stopami, żeby nie mógł jej do siebie przyciągnąć. Cole leżał na plecach i trudno mu było manewrować. Z jednej strony dziewczyna gorączkowo szarpała skręcony materiał, by uwolnić drugą rękę, a z drugiej on usiłował wyplątać swoją z fałd prześcieradła.

- Kapitanie, proszę - błagała Alaina, starając się, by jej głos nie zdradzał niepokoju. - Później będzie dużo czasu. Niech mi pan pozwoli odejść chociaż na chwilę - rękę miała już prawie wyswobodzoną, co dodało jej odwagi. - Milordzie, niech pan będzie spokojny - przekonywała go najcieplejszym tonem. - Wróć do pana, jak tylko będę mogła.

Szlafrok zsunął się z ramion. Była wolna! Ale i on też! Błyskawicznie złapał ją za łokieć z siłą, jakiej nie podejrzewała w jego szczupłych, wypiełgnowanych dłoniach. Choć usiłowała odgiąć jego palce, nie mogła już się wyrwać. Znów przyciągnął ją do siebie. Zdradliwy szlafrok, wypełniwszy do końca swą rolę, spadł na podłogę. Alaina, pociągnięta w dół, znalazła się na Cole'u. Leżąc na nim, skręcała uda z napięciem, próbując umknąć przed śmiałym naporem tego sztyletu namiętności, który aż ją parzył przez pajęczynę koszuli. Przez cienki jak gaza materiał Cole chwycił ustami miękki wierzchołek jej piersi i obracał go w wygłodniałych wargach. Wiązało pod szyją pękło i góra się rozchyliła, odsłaniając przed nim całe piękno jej piersi. Gorące, wilgotne usta zaczęły błędzić po delikatnych, pełnych wzgórkach, język leniwie pieścił sutki, aż Alaina zaczynała tracić oddech. Dreszcz podniecenia przeszył jej ciało, a z jej członków nagle uszła wszelka siła. Opadła na niego bezwładnie, a on przekręcił się i był teraz na niej. Uniósł głowę, popatrzył jej w oczy i rzekł z uśmiechem:

- Pani, teraz będziesz moja.

Alaina rozpaczliwie kręciła głową. Czuła lęk pomieszany z niesamowitą przyjemnością, jaką znajdowała w dotyku jego mocnego, natarczywego ciała.

- Muszę iść - protestowała już prawie bez tchu, i jeszcze raz, pół szlochem, pół szeptem: - Muszę iść.

- Nie, dziewczyno. Teraz będziesz moja. Zapłaciłem za tę noc i mam do tego prawo.

Choć jej walka o zachowanie niewinności wydawała się już przegrana, Alaina uchwyciła się tych słów jak

nadziei. Spróbowała obciągnąć koszulę poniżej bioder, ale na przeszkodzie stanęła jego ręka, głaszcząca jej płaski brzuch, biodra i uda ze śmiałością, która przyprawiała ją o drżenie.

- Ale, kapitanie, to właśnie jest powód - wyszeptła gorliwie, wiedząc, że on nie ma przy sobie żadnych pieniędzy. - Pan nie zapłacił.

Cole zachnął się i spojrzął za siebie. Ani śladu ubrania. Jeśli ją teraz puści, ani chybi ucieknie. A pragnął jej wręcz nieprzytomnie. Wtedy przyszło mu coś do głowy. Ściągnął z szyi złoty łańcuszek z medalionem i pokazał jej.

- To jest warte co najmniej trzy razy więcej niż twoja cena. Niech to będzie mój zastaw.

- Nie, nie mogę! - Alaina westchnęła, lecz on już włożył jej łańcuszek przez głowę. Poczuła na piersiach ciepło medalionu. - Kapitanie, ja proszę... błagam.

- Jestem Cole - mruknął, prawie dotykając ustami jej ust.

- Proszę, kapitanie... ja nie mogę!

- Cole! - nalegał szeptem.

- Cole - powtórzyła z przerażeniem.

Uśmiechnął się i przysunął jeszcze bliżej do niej. Zdrętwiała ze strachu. Jego działania zmierzały już tylko do jednego celu. Kiedy zbliżył biodra do jej ud, z oczami rozszerzonymi jak talerze poczuła, jak jego rozogniona, twarda i obła męskość dotyka jej najintymniejszych miejsc, a wreszcie włamuje się do najskrytszego zakamarka jej miękkiego, kobiecego ciała.

- Och! - jęknęła zduszonym głosem, pełna lęku przed tym delikatnym, lecz nieustępliwym zdobywcą jej spiętego, opierającego się ciała. Poczuła się przytłoczona ciężarem mężczyzny, uwięziona w jego szerokich ramionach. - Cole, posłuchaj...

Nagle poczuła w kroczu piekący ból i on wypełnił ją głęboko, całkowicie. Alaina przycisnęła twarz do jego ramienia i przygryzła wargi do krwi. Z oczu trysnęły jej łzy bólu. Potem jego spragnione usta odnalazły jej wargi i całował ją długo, namiętnie, dopóki nie zapomniała o bolesnym wtargnięciu. Nie spieszył się. Smakował każdy moment rozkoszy. Stopniowo, całkiem nowa, rosnąca ekstaza zaczęła ogarniać również i Alainę jak coraz potężniejsze, niemożliwe do ugaszenia pragnienie. Jego zwlekanie rozbudzało jej zmysły, pulsujące ciepło rozgrzewało. Zaczęła reagować na jego dzikie, żarliwe pocałunki. Oplotła go rękami i pozwoliła swemu językowi nieśmiało przyłączyć się do pieszczot. Nie zauważyła nawet dokładnie momentu, gdy Cole zaczął się ruszać. Robił to jakby zupełnie bez wysiłku. Nagle zanikła gdzieś wszelka kontrola! Wygięła się ku niemu i całkiem zdała na instynkt. Ogień namiętności palący od tego mężczyzny coraz bardziej podsycił palący ją wewnątrz żar. Każdy jego ruch, teraz mocny i twardy, wznosił ją na coraz wyższe poziomy rozkoszy, choć za każdym razem zdawało się, że większej błogości już nie jest w stanie zaznać. A jednak wspinała się coraz wyżej i wyżej. Wyzwolona z wszelkiego skrępowania, unosiła się na wyżyny prawie niemożliwego do zniesienia szczęścia. Słyszała jego chrypliwy, urywany oddech i walące jak młot serce. Porwał ich oboje szalony, dziki zapał. Stopili się ze sobą w wirze nieokiełznanej namiętności, oddzieleni od reszty świata, unoszeni mistycznymi skrzydłami. Kiedy zaczął głośno jęczeć, poszukała ustami jego warg. Jej dziecinna niepewność i niewinność spaliły się w ogniu pożądania, w którego żarze dwa ciała zlały się ze sobą aż po głębię dusz, a sypiące się wokół iskry, zamienione w popiół, unosiły się jeszcze chwilę na wietrze, by powoli opaść na ziemię.

Po jakimś czasie wszystko powróciło do dawnego stanu. Cole zrelaksował się całkowicie. Gdy opadło

napięcie ciała i umysłu, opadł ze wszystkich sił. Mimo iż bardzo chciał zatrzymać ten oddalający się moment, nie zgubić go gdzieś we śnie, wyczerpanie stoczoną walką dało o sobie znać. Cole odpłynął w krainę nierzeczywistości.

Alaina próbowała pozbierać myśli rozsypane po krańcach wszechświata i odzyskawszy świadomość, stwierdziła, że leży przytulona do ciepłego, mocnego ciała mężczyzny, który obejmuje ją ramieniem, a jego oddech porusza kosmyki jej włosów na czole.

- Cole? - wymamrotała, na wpół śniąc. Ale w następnym ułamku sekundy Alaina MacGaren uświadomiła sobie w pełni, co zrobiła. Ona, wierna córka Konfederacji, bezwstydnie uległa jankeskiemu oficerowi!

Nim się zreflektowała, jej wargi wydały krzyk rozpacz. Odepchnęła ze złością otaczające ją ramię, ukłękła i uderzyła go w bark dłonią. Przekreślił się na plecy i mruknął coś niewyraźnie, nic więcej od niego nie uzyskała. Zapadł w głęboki sen, taki, do jakiego go wcześniej namawiała.

Dławiąc szloch, obciągnęła koszulę, złapała szlafrok i jeszcze raz popatrzyła oczami pełnymi łez na leżącego na łóżku nagiego mężczyznę. Potem, gorzko łkając, wybiegła z izby, nie troszcząc się o to, że zostawiła do połowy otwarte drzwi. W swoim pokoju poczuła się przytulnie i bezpiecznie. Zakopała się głęboko w pościel i zwinęła w kłębek, a głowę przykryła poduszką. Tak, zupełnie wyczerpana, wypłakiwała swą hańbę. Ale słodycz snu przyszła do niej szybciej, niż się spodziewała.

Robertę wyrwał ze snu jakiś krzyk. Szybko wstała i w oszołomieniu otworzyła drzwi właśnie w chwili, gdy Alaina wychodziła z pokoju gościnnego. Światło księżycy spowilo jej jasną koszulę, gdy na chwilę zatrzymała się w drzwiach. Potem młodsza kuzynka pobiegła z płaczem do swego pokoju. Echo jej tłumionych łkań niesło się korytarzem, wzbudzając wielką ciekawość Roberty.

Zapaliła więc lampę i udała się w kierunku pozostawionych przez Alainę otwartych drzwi. Na widok leżącego na łóżku mężczyzny aż złapała się ręką za gardło. Twarz miał odwróconą, owłosiona pierś unosiła się w regularnym oddechu. W pokoju cuchnęło brandy, a na stoliczku obok łóżka stała karafka i szklanka. Roberta cichutko podeszła bliżej i oświetliła lampą łóżko. Gdy dostrzegła smugi krwi na nieskazitelnej bieli prześcieradła, wszystko stało się jasne.

A więc ta mała dziwka przespała się z mężczyzną! Roberta zaśmiała się w duchu, lecz w tej samej chwili targnęła nią spazm przerażenia. Poznała śpiącego mężczyznę. Był to kapitan Cole Latimer!

Ogarnęła ją niepohamowana wściekłość. To bezwstydnica! Sprzątnęła mi go za plecami! To dziwka! Wzięła go sobie! A był mój! Mój!

Och, jakże pragnęła zemsty! Chętnie zorałaby jej twarz paznokciami, stłukła te chude policzki na miazgę. Była gotowa natychmiast pobiec do sypialni Alainy i wywlec ją z łóżka, ale zatrzymała ją jedna myśl. Spojrzała uważnie na ślady krwi i jej umysł zaczął gorączkowo pracować. To jest jej szansa na usidlenie kapitana. Jeśli był pijany, a musiał być, żeby się przespać z tą gęsią, może po przebudzeniu nie pamiętać wszystkiego, co się wydarzyło. A jeśli będzie pamiętał i zaprotestuje?

Nie szkodzi - uśmiechnęła się z wyższością. - Tata sobie z nim poradzi.

Zgasiła światło i rzuciła niedbale na podłogę nocną koszulę. Przysunęła się do Cole'a. Nie drgnął nawet i Roberta poczuła się dumna ze swej przebiegłości. Alaina rozwiązała wszystkie jej problemy, zostawiając nawet dowód utraty dziewictwa.

Sen Cole'a brutalnie przerwał potężny ryk wściekłości. Zamrugał czerwonymi z przepicia oczami i zobaczył słabo oświetlony pokój, a zaraz potem mięsiste pięści zaczęły go okładać po głowie. Oszołomiony tym atakiem i kompletnie zdezorientowany, zasłonił się rękami. I tak już głowa z bólu omal nie pękła mu na pół. A do tego sypał się na niego grad najgorszych określeń i przekleństw, którym towarzyszył zupełnie z nimi nie zharmonizowany, przenikliwy pisk kobiecy. Wszystko to mogło przyprawić go o rozstrój nerwów. Ale to jeszcze nie był koniec jego tortur, bo czyjeś palce chwyciły go za gardło i zaczęły się zaciskać.

- Tatusiu, nie! - zawodził coraz głośniejszym i przenikliwszym głosem kobiety. - Tato! Posłuchaj mnie, proszę!

Nagle Cole poczuł, że ma już tego dość. Ręką odepchnął napastnika. Angus, bynajmniej nie abstynent, na spotkaniu zdrowo pociągał z kieliszka. Teraz zatoczył się przez pół pokoju, zanim odzyskał równowagę. Z jego wzroku ziała szewska pasja, ale jakiś promyk rozsądku dotarł do mózgu, bo zrezygnował z zamiaru zabicia Jankesa gołymi rękami. Do diabła, przecież ma pistolet!

Cole poczekał, aż mężczyzna wybiegnie z pokoju, i opadł ciężko na poduszki, przyciskając dłonie do skroni, by zmniejszyć pulsujący tam ból. Ostrożnie pomacał wielki guz na głowie i skrzywił się, gdy dotknął szczególnie bolesnego miejsca. W oczach miał piasek. Kiedy uniósł powieki, napotkał wzrokiem Robertę. Jej nagość zasłaniała tylko koc. Dopiero po dłuższej chwili coś mu zaczęło świtać.

Międłąc w ustach przekleństwo, usiadł i rozejrzał się. Zauważył krew na prześcieradle i doznał wstrząsu. Czego on tu, do licha, narobił?!

Nie zdążył sobie tego logicznie wytłumaczyć, w drzwiach bowiem stanął Angus Craighugh, dzierżąc ogromnego kołta. Zatrzymał się o krok od łóżka i uchwyciwszy broń obiema rękami, zaczął odvodzić kurek.

- Módl się o swoją duszę! - krzyknął znad zwisającego podbródka. - Ty gwałcicielu dzieci!

- Zaraz, zaraz! - warknął Cole, coraz bardziej wściekły. Wstał, owijając biodra prześcieradłem. Zupełnie nie miał pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło, ale na pewno nie da się zastrzelić na leżąco. Właściwie nie mógł zaprzeczyć temu, co zrobił w nocy. Krew na prześcieradle była niezbitym dowodem. A w pamięci majaczyła mu wyraźnie żywa i ciepła postać leżącej pod nim kobiety. Ale coś się nie zgadzało. Tamta raczej nie przypominała Roberty. Tymczasem ciemne oczy Roberty opadły nieśmiało pod jego wzrokiem i nie sposób było podważyć dowodu jego przestępstwa.

- Angus, nie! Daj spokój! - prosiła Leala. - Pomyśl o reputacji twojej córki. Wieść rozniesie się natychmiast. A ciebie powieszają.

Na to odezwała się Roberta, cały czas usiłująca się skromnie zasłonić kocem:

- Tato, on obiecał się ze mną ożenić. A ja go kocham.

Cole obrzucił ją spojrzeniem, zastanawiając się, jakie głupstwa mógł pleść tej nocy, lecz Angus znów wpadł w szal.

- Jankesa!

- Angusie, uspokój się - błagała go Leala, choć to ona zazwyczaj była bardziej zdenerwowana. - Miej wzgląd na swoją niestrawność, bo będziesz przez tydzień leżał w łóżku.

- Jankesa! - jęknął Angus, machając groźnie pistoletem.

- Kocham go, tatusiu, i chcę za niego wyjść.

Obaj mężczyźni patrzyli na Robertę z równym niedowierzaniem. Lecz ojciec, który nigdy jeszcze jej nie

odmówił, uznał, że w tej sytuacji może przynajmniej dopilnować, by ślub odbył się jak najspieszniej.

- Niech pan założy ubranie - rozkazał ostro Cole'owi, mierząc weń pistoletem. - Tak, żeby porządnie wyglądać przed pastorem.

Cole spojrzął wokoło i chaos w jego głowie jeszcze się spotęgował. Nie było śladu jego munduru!

- Zdaje mi się, że nie mam odpowiedniego stroju.

Zaczerwieniona twarz Angusa zrobiła się purpurowa.

- Gdzie pan go schował?

- Niech pan zapyta swoją córkę - spokojnie odparł Cole.

Starszemu panu oczy mało nie wyszły z orbit, gdy dławił w ustach przekleństwa, lecz dzielnie powstrzymał się od skoczenia na Jankesa i zrobienia z niego miazgi. Przyczyniła się do tego głównie jego spora niepewność, czy byłby w stanie tego dokonać. Spojrzął gniewnie na córkę, która wzruszała ramionami i coś bąkała w pomieszczeniu.

- W spizarcie są spodnie Ala - zauważyła Leala, gdy mąż zwrócił się do niej po radę. - Poza tym są tylko twoje ubrania.

- Nigdy! - gwałtownie sprzeciwił się Angus, a w jego głosie dominowała obawa przed porównaniem obwodu jego brzucha i krótkich nóg ze szczupłym, wysokim Jankesem.

- Al nie będzie miał nic przeciwko temu - powiedziała Leala słodkim głosem, po czym pytająco spojrzała na kapitana. - Kiedy Jedediah zawiadomi już pastora, może się zatrzymać przy kwaterze kapitana i wziąć odpowiednie ubranie. Al potrzebuje swojego dopiero rano.

- Obawiam się, że jeśli nie mam ubrania, nie mam również klucza do swego mieszkania. - Cole nie miał nastroju do zbyt rychłych uprzejmości.

- Och, mamo, ja się tym zajmę - oznajmiła Roberta. - Ty przynieś spodnie Ala, a ja porozmawiam z Jedediahem.

Obserwując wychodzącą matkę, a za nią córkę. Cole zmarszczył czoło. Coś go niepokoiło w jej długich czarnych włosach opadających na ramiona. Pamiętał przepychanie się z kimś na dnie jakiegoś ciemnego dołka czy stawu z wodą... Al, w stajni! Cole potarł obolałą głowę. To wszystko nie trzymało się kupy. Była jakaś kobieta w ciemności, a potem chętne ciało, z pasją odwzajemniające jego pieszczoty, które dało mu wielką, niezapomnianą rozkosz. Dlaczego nie kojarzyło mu się z Roberta?!

Wróciła Leala i podała mu wilgotne spodnie Ala, które Cole wziął do ręki z odrazą.

- Proszę się ubrać - zażądał Angus.

Pomimo wymierzonego weń pistoletu, rwącego bólu głowy i mętliku w umyśle udało mu się założyć spodnie. Nie tylko były wilgotne, ale też za krótkie, obcisłe w biodrach i krępująco uwypuklały jego genitalia.

- Mogą być - stwierdził Angus i pomachał pistoletem, by rozwiać wątpliwości Cole'a. - Zapewniam pana, że nie będzie wielu świadków tego wydarzenia, już ja się o to postaram.

Jedediah, wysłany, by obudził pastora, zdołał wrócić przed nim, choć musiał jeszcze pojechać do apartamentów Pontalba. Ale pastor Lyman nigdy nie był szybki. Przeciwnie, zawsze się ze wszystkim ociągał i gdyby to Angus Craighugh po niego pojechał, pewnie musiałby mu dać więcej czasu na przygotowanie. Ale wiadomość przywiózł mu Jedediah, który, jak mu się wydawało, był w wielkiej rozterce, toteż pastor Lyman postanowił nie zwlekać. I tak, zanim dojechał na miejsce gotów do duchownej posługi, zaczynało już świtać. Przez ten czas Angus trzymał rękę na pulsie, a Cole ubrał się w przywieziony przez Jedediaha mundur. Było to jego

pełne umundurowanie, przeznaczone na oficjalne okazje i inspekcje. Tak czy inaczej, lepiej się w nim czuł niż w spodniach Ala, które powiesił na gałce u drzwi do jego pokoju.

Ceremoniał był chłodny i oficjalny dla wszystkich oprócz Roberty, która wpadła w radosną ekstazę. Gdy ostatnie słowa pastora przypieczętowały ich związek małżeński, to ona rzuciła się w ramiona Cole'a i wycisnęła na jego ustach pocałunek. Osiągnąwszy swój cel, natychmiast zapomniała, jakimi środkami do niego doszła. W doskonałym nastroju wzięła Cole'a pod ramię i stała przy jego boku.

Tę sielankę przerwało czyjeś walenie z całej siły pięścią w drzwi. Dulcie w szlafroku, pociągając nosem, poszła otworzyć i przyprowadziła do salonu sierżanta kawalerii. Mężczyzna skłonił się zdawkowo i zasalutował kapitanowi.

- Gdzie pański kapelusz, sierżancie? - upomniał go Cole. Głowa go wciąż bolała i rozpaczliwie potrzebował snu. - Tu są damy.

Sierżant zaczerwienił się na karku pod żółtą chustą, ale nie pozwalając sobie na obraźliwe uwagi, mówił dalej:

- Proszę wybaczyć, kapitanie, ale mamy rozkaz, by przeszukać każdy dom. Sympatycy Konfederacji przebrani w nasze mundury wdarli się dziś rano do szpitala i pomogli uciec kilkunastu rebeliantom. Nie wiemy, gdzie się ukrywają.

Cole gwałtownie uniósł brwi.

- Czy ktoś jest ranny?

- Sierżant kwatery dowodzenia i wartownik. Przywódca bandy był ubrany jak doktor i zabrali tylko tych jeńców, którzy mogli sami iść. Wygląda na to, że nam zniknęli, kapitanie.

- Byłem tutaj całą noc, sierżancie, i nie widziałem żadnych rebeliantów. Jednak radziłbym przeszukać stajnie i powozownię. Może się tam ktoś ukrywać.

- Tak jest! - Sierżant jednak nie odchodził i jakby coś jeszcze chciał powiedzieć.

- Tak? - spytał Cole.

- Wszyscy oficerowie i szeregowi mają się natychmiast stawić na swoich posterunkach.

- Proszę wykonywać swoją powinność, sierżancie - polecił Cole - a gdy pan skończy, pojedę z panem. Jestem tu bez konia.

Żołnierz zasalutował sztywno i odwrócił się. Gdy wychodził, pas szabli objął mu się o udo.

- Po prostu nie mam słów! - Roberta tupnęła ze złością. - Dopiero się pobraliśmy, a ty już pędzisz do tego starego, cuchnącego szpitala!

Cole spojrzał na nią w zdumieniu, ale nie powiedział tego, co mu się cisnęło na wargi. Rozumiał jej rozczarowanie i gniew. Lecz trwała wojna i ona musi to przyjąć do wiadomości, jak również pamiętać, że on nie jest wolnym człowiekiem.

- Mamo? - zwróciła się o wsparcie do Leali.

- Kapitan Latimer musi iść, Roberto - odrzekła zdecydowanie jej matka.

- Tato? - spróbowała żalnym głosem.

Angus odetchnąłby z ulgą, gdyby Jankes sobie poszedł, więc nie chciał w niczym pomóc swemu dziecku.

- Najpierw praca, potem przyjemności, moja droga - zaczął wesoło, ale ugryzł się w język na widok karcącego spojrzenia pastora. Zaczerwienił się i odkaslnął. - Niech kapitan idzie do swych obowiązków.

- Uuuch! - zawodziła Roberta. - Wszyscy jesteście przeciwko mnie! Odkręciła się i uciekła, łkając tak głośno,

że jeszcze z jej pokoju słychać było płacz.

Sen umęczonej Alainy został zakłócony przez szumy kuzynki. Zbudziła się gwałtownie. Po chwili dotarły do niej męskie głosy z podwórza. Podbiegła do okna, by wyjrzeć na dwór. Przed domem kilku jankeskich żołnierzy zsiadło już z koni, a sierżant wykrzykiwał polecenia, pokazując na teren wokół domu. Wystraszyła się na myśl, że Cole odkrył, kim ona jest, i wezwał oddział.

Ktoś wrzucił zniszczone ubrania Ala do jej pokoju, a na drzwiach powiesił spodnie. Ubrała się szybko i wtarła brud w twarz i włosy. Pospieszyła do schodów, lecz zatrzymała się, gdy wychodząca właśnie do przedpokoju Dulcie wzniosła oczy do nieba, pokazując głową na salon. Alaina przyjęła ostrzeżenie i wcisnąwszy na głowę kapelusz, zeszła cichutko na dół.

Podeszła do progu salonu i oparła się niedbale o framugę, starając się nie patrzeć na Cole'a. Wspaniale wyglądał w mundurze i był niezwykle przystojny mimo zmarszczonego czoła. Bardzo była ciekawa, skąd wziął ubranie.

- Co tu się dzieje? - zapytała z niewinną miną.

- Al! Czy ty się nigdy nie kąpiesz? - fuknął Cole z rozdrażnieniem.

- Żeby przyciągał takie robactwo jak wy? - odparowała Alaina.

- Miarkuj się! - warknął Angus, zdradzając podenerwowanie. - Dostyc nieszczęść już na nas spadło od rana, żeby prowokować następne.

- Nieszczęść? - Alaina zbadła wzrokiem twarze wszystkich obecnych i zatrzymała go na spiętych rysach Cole'a. - Jakich nieszczęść? Przecież tylko go przyprowadziłem po...

- Co takiego? - ryknął Angus, wstając z krzesła. - Ty? Ty przyprowadziłeś tego Jankesa? Do mojego domu? Czy wiesz, co zrobiłeś?

Alaina wzruszyła bezradnie ramionami, rzucając krótkie spojrzenie w stronę Cole'a. Jego sztywne i pełne dystansu zachowanie zbiło ją z tropu.

- Musiał się spić, ktoś go obrabował i wrzucił do rzeki. Ja go wyłowilem. Nie wiedziałem, dokąd mam go zawieźć, był tylko w majtkach. - Popatrzyła na Cola z wymówką w oczach. - Nie wie pan, że niektóre ulice są niebezpieczne? Nawet dla zadufanego w sobie jankeskiego kapitana?

Angus zawył z wściekłości i rzucił się w stronę Alainy, lecz powstrzymała go Leala, łapiąc za ramię.

- Spokojnie, Angus. Dziecko zrobiło tylko to, co my sami byśmy zrobili.

- Dla Jankesa? - jęczał Angus. - Lepiej by było, gdyby się utopił. - Angus znalazł źródło wszystkich swoich zmartwień. Oczy płonęły mu nienawiścią, gdy obrzucał gniewnym spojrzeniem Alainę, z pomieszaniem rysującą coś stopą na dywanie, i wyrzucał jej: - Za pierwszym razem też ty przyprowadziłeś tego Jankesa - podsycił jeszcze słuszne oburzenie. - Gdyby nie ty, mały włóczęgo, to małżeństwo nie miałyby...

- Angusie! - Leala sieknęła z przerażeniem, słysząc takie oskarżenie.

Angus mruknął coś z rozpaczliwą odrazą i wyszedł z pokoju, oddalając się ciężkim krokiem do swej sypialni.

- Małżeństwo?! - Z kolei Alaina wpadła w konsternację. - Jakie małżeństwo?! Czyje?! Pana?! - patrzyła na Cole'a z ogarniającym ją panicznym przerażeniem. Zapytała ostrożnie: - Wodził pan za sobą na sznurku jakąś pannę?

- Nie, dopiero od dzisiejszego ranka - mruknął Cole.

Policzki Leali spłonęły rumieńcem, gdy próbowała tłumaczyć.

- Kapitana Latimera i Robertę znaleziono dziś rano... ee... razem. Angus uważał za swój obowiązek wysłać po pastora Lymana.

- Chryste Panie!

Duchowny postawił głośno filiżankę na spodku. Ten chłopak jest za młody, żeby sobie pozwalać na taką swobodę języka. Musi niezwłocznie porozmawiać z panią Craighugh na temat jego wychowania.

W okamgnieniu Alainy nie było już w drzwiach i słychać było tylko, jak szybko wybiega.

- Co się stało chłopcu? Tak szybko wybiegł. - Pastor Lyman podniósł się. - Mam wrażenie, że był zaszokowany tym, co zaszło.

Cole znów zmarszczył czoło z zafrasowaniem. Mógłby przysiąc, że widział w szarych oczach łzy.

- Może już czas, żeby ktoś Ala wprowadził w życie - mruknął. - Zachowuje się strasznie naiwnie.

Pastor miał odmienne zdanie.

- Posługuje się takim językiem, że można by wywnioskować zupełnie co innego.

Leala nie mogła zaprzeczyć, lecz próbowała bronić Alainy.

- Trzeba go zrozumieć. Wczoraj wieczorem zajął doktor Brooks i powiedział nam, że... najstarszy brat Ala jest na liście zaginionych i prawdopodobnie nie żyje. Al stracił już oboje rodziców i drugiego brata, a teraz ten. Za dużo naraz nieszczęra i cierpienia dla tego biednego dziecka.

Cole pocierał czoło, jakby chcąc odegnać wciąż pulsujący tom ból. Teraz już rozumiał łzy chłopaka, Al miał do nich prawo. Chłopiec stracił już zbyt wielu bliskich.

Alaina siedziała w swoim pokoju i pogarszała jeszcze stan swego kapelusza, wykręcając go rozpaczliwie w rękach, żeby się nie rozplakać. Jej ciałem wstrząsał szloch, ale dzielnie go tłumiała. Zawodzenie rozczarowanej Roberty przenikało grube ściany domu i docierało aż tutaj. Alaina też chętnie wyrzuciłaby z siebie całą doznaną gorycz. Ale to wzbudziłoby za wiele podejrzeń.

Nie miała wątpliwości, co zaszło. Roberta solennie przyrzekała, że wyjdzie za Cole'a, i teraz Alaina z bólem serca rozumiała, jak bezmyślnie sama go wystawiła na jej łup.

Usłyszała głos Cole'a na podwórzu i podeszła do oszklonych drzwi. Słońce na wschodzie wzeszło już ponad czubki drzew, a niebo miało barwę fukcji. Śledziła wzrokiem Cole'a chodzącego w dole po podwórzu. Po krótkiej rozmowie z sierżantem wziął jego konia, wskoczył na siodło i odjechał z posiadłości Craighughów. Gdy już zniknął, Roberta przestała wyć i tylko skrzywienie łóżka zdradziło, gdzie spędzi resztę dnia. W końcu i Leala powlokła się ciężkim krokiem do sypialni i w domu zapanowała cisza. Tego dnia sklep Angusa pozostał zamknięty.

13

Koło dziewiątej Alaina była po kąpieli, której dziś nikt jej nie zakłócał, nawet Dulcie. Ze zrozumiałych przyczyn gospodyni była milcząca i bez humoru. Podobnie jak jej pan, nie zachwycała się wejściem Jankesa do rodziny. Dom był nienaturalnie cichy. Łatwo było się domyślić, że wydarzenia wczesnego ranka porządnie zmęczyły rodzinę.

Z ciężkim westchnieniem Alaina wyjęła z szafy czarną suknię, jak na jej wiek nazbyt często noszoną, a do tego kapelusz z czarnym welonem, pantofle na wysokich obcasach i gorset. Nie była w stanie iść dzisiaj do szpitala. Postanowiła pójść na pogrzeb Bobby'ego Johnsona, gdyż nie mógł tam być nikt z jego bliskich. Nad jego

grobem pomyśli o swoim bracie. Później, tak jak zawsze, zostawi smutek za sobą i będzie żyła dalej.

Odważyła się nawet polecić Jedediahowi, żeby zaprzął powóz Craighughów i lepszego konia, mała była bowiem szansa, żeby rodzina potrzebowała go przed południem. Kilka domów przed cmentarzem zostawiła powóz ze stangretem, opuściła welon i dalej poszła na piechotę. Na cmentarzu zobaczyła długi rząd ceglanych, pobielonych grobów, przypominających piece do wypalania cegły. Te trójpoziomowe konstrukcje czekały gotowe na przyjęcie nowych trumien.

Alaina zatrzymała się na końcu jednego z rzędów grobów i nagle serce zatrzepotało jej w piersiach. Wraz z oddziałem pogrzebowym był tu Cole Latimer. Na widok tej wysokiej, szczupłej postaci poczuła się słabo. Chociaż otaczali go tak samo ubrani mężczyźni, widziała tylko jego. Tylko on był jej przecież tak dobrze znany... Nie ma się czego bać - pocieszała się w duchu. Nawet jeśli w ogóle ją zauważy, dzięki żałobnemu welonowi nigdy nie skojarzy jej z Alem ani z kobietą, z którą kochał się tej nocy. Przecież myśli, że była to Roberta. Nie mogła jednak pohamować drżenia rąk.

Przygryzając roztrzęsione wargi, Alaina zebrała się na odwagę i wmiszała pośród inne kobiety w czerni, niektóre z małymi dziećmi przy spódnicy. Chciała podczas całej ceremonii nie rzucać się w oczy. Na pochowanie czekał rząd prostych trumien sosnowych, przykrytych flagami Unii. Dla niektórych zmarłych żołnierzy było to miejsce tymczasowego pochówku, bo po wojnie rodziny zabiorą ciała.

Kapelan skończył modlitwy nad pierwszą trumną i na rozkaz kapitana Latimera oddział wsunął trumnę do komory grobu. Przeszli do następnej. Przy obecnym zaostreniu dyscypliny jedynym sposobem, by Cole mógł uczestniczyć w pogrzebie Bobby'ego Johnsona, było zgłoszenie się na ochotnika, by prowadzić oddział pogrzebowy, co nie zaliczało się do najpopularniejszych zajęć.

Dzieliło ich jeszcze kilka trumien od trumny szeregowca Johnsona, gdy Cole spostrzegł, że zatrzymuje się przy niej niska, szczupła kobieta, ubrana w strój żałobny. Schyliła głowę w modlitwie, a potem z czułością położyła na fladze małe bukietki kwiatów. Cole patrzył nieco zaskoczony, jak jej drobna sylwetka szybko wycofuje się w cień wielkiego dębu, by tam pozostać, gdy orszak się przybliżył. Choć całą siłą woli natężył pamięć, nie mógł sobie przypomnieć ani twarzy, ani imienia tej kobiety. Jednak było w niej coś znajomego, coś w sposobie chodzenia, jakiś znany mu wdzięk.

Kiedy oddział szykował się do pochowania szeregowca Johnsona. Cole odwrócił się z zamiarem przemówienia do nieznanym. Lecz kapelan zauważył, jak wzrok kapitana wędruje w ślad za atrakcyjną kobietą, i pociągnął go za łokieć, by się pospieszył z ceremoniałem.

- Chodźmy, kapitanie - upomniął go. - Najpierw obowiązek. Ci ludzie potrzebują naszej posługi. Potem będzie czas na kondolencje.

Alaina odetchnęła z ulgą, gdy kapelan odciągnął Cole'a. Strój, który miała na sobie, maskował ją z daleka, lecz wołała, by kapitan nie miał okazji obejrzeć jej z bliska. Zdjęto flagę i złożono ją równo. Cole położył bukietki z powrotem na sosnowej trumnie i z tym skromnym przybraniem wsunięto ją do niszy. Cole przeprosił i ruszył w stronę czarno ubranej kobiety, ale zanim przedarł się przez tłum, oddaliła się szybko ścieżką. Wydłużał krok, by ją dogonić, sam nie wiedząc, dlaczego to robi. Alaina z niepokojem zerknęła do tyłu i serce jej znów zabiło, gdy zobaczyła, że za nią pospiesza. Doszła do bramy cmentarza, uniosła welon i zaczęła uciekać do powozu. Biegła z takim przejęciem, że nie zauważyła na swej drodze niskiego, ciemnowłosego mężczyzny, aż było za późno.

- *Mon Dieu!* - krzyknął z gniewem Jacques DuBonné, zatoczywszy się od zderzenia. - Phoszę uważać!

Nieco oszołomiona Alaina dotknęła drżącą ręką skołowanej głowy. I wtedy Jacques zwrócił uwagę na jej drobną, kształtną figurę w czerni i ujmującą twarz. Jeszcze raz zawołał: *Mon Dieu!* - tym razem tonem podziwu, a jego zaciekawienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy śmiałym spojrzeniem omiół jej kształty. Rzadko zdarzało się spotkać piękną kobietę o wzroście tak małym, że on sam poczuł się przy niej tak bardzo męski, potężny i atrakcyjny.

- Mademoiselle! - ukłonił się, zdejmując z czarnych włosów kapelusz z płaskim dnem. - Czy mógłbym się przedstawić?...

Zdażył powiedzieć tylko tyle. Spojrzawszy gorączkowo w tył, Alaina zobaczyła szybko przybliżającego się Cole'a. Nie było czasu na dyskusję z Jacques'em DuBonném. Wyminęła go szybko i zniknęła za rogiem. Wdrapała się czym prędzej do powozu i prawie bez tchu wydała polecenie Murzynowi:

- Szybko, Jedediahu! Jedziemy! Kapitan Latimer mnie goni!

Jedediah zaciął konia lejcami i krzyknął:

- Rusz się, mule! Jankes za nami!

Gdy Cole wybiegł zza rogu, powóz wtoczył się już w następną ulicę. Udało mu się zobaczyć tylko czarny kapelusz z powiewającym jak zwycięska flaga welonem.

Zawrócił z gniewem i zobaczył obserwującego go Jacques'a DuBonnégo. Dopiero po dłuższej chwili Cajun przemówił:

- Znów się spotykamy, co, doktorze? - Wysunął brodę w stronę odjeżdżającego powozu. - Zna pan la petite mademoiselle?

Cole uniósł brwi.

- A pan?

Francuz roześmiał się.

- Zdaje się, że zgadzamy się w jednym, monsieur? Niezła słodyczka, co?

- Jak sądzę, został pan poinformowany o bezspornym prawie pani Hawthorne do jej majątku. - Cole celowo zignorował uwagi swego rozmówcy, a widząc, jak mu czerwienieje twarz, wyjął z kieszeni bluzy cygaro. - Nikt w banku nie umiał wyjaśnić, jak to się stało. Przeoczenie, stwierdzili. - Zapalił zapałkę o paznokieć kciuka, przystawił płomyk do fajki i leniwie wciągał i wypuszczał tytoniowy dym. - Badając sprawę dokładniej, zauważyłem bardzo ciekawy zbieg okoliczności. W banku zdarzały się już podobne przypadki, zawsze z decyzją na korzyść niejakiego Jacques'a DuBonnégo, z braku innych roszczeń. Dziwne, prawda? - Cole popatrzył na niskiego mężczyznę. - Gdyby pani Hawthorne nie zaopatrzyła się przezornie w tamten dokument, pozbawiono by ją domu, a pan by go przejął za psie pieniądze. Oczywiście, nie mam na to dowodu, ale pewien jestem, że miał pan to wyjątkowe szczęście, iż znalazł w banku jakiegoś pomocnika.

Jacques uśmiechnął się szyderczo.

- Jak pan sam mówi, monsieur, nie ma pan dowodu.

Cole z uśmiechem patrzył, jak Francuz w pośpiechu dotknął brzegu kapelusza, odwrócił się i odszedł.

Rzucił jeszcze spojrzenie w stronę rogu, za którym zniknął powóz wdowy, po czym w zadumie wrócił na cmentarz. Z jakiegoś powodu ta szczupła postać nad wyraz go interesowała.

Kiedy niebezpieczeństwo pościgu minęło, Jedediah zwolnił tempo, a Alaina opadła na siedzenie, zamknęła

oczy i starała się uspokoić walące mocno serce. Odebrała dziś niespodziewaną lekcję. Z jakiegoś powodu z całą pewnością wzbudzała zainteresowanie Cole'a. W przyszłości musi być znacznie ostrożniejsza, wychodząc w stroju kobiecym.

- Dokąd teraz, panienko Alaino?

- Do szpitala. Skoro kapitana tam nie ma, może uda mi się chwilę porozmawiać z doktorem Brooksem.

Ale gdy zajechali przed szpital, wozy pogrzebowe wjeżdżały już do stajni i z daleka Alaina zobaczyła w bryczce Cole'a z kapelanem. Wiedziała, że zaraz wejdzie do szpitala, nie mogła więc ryzykować ponownego z nim spotkania.

Doktor Brooks miał jednak zwyczaj przyjeżdżać do domu w południe na posiłek, więc Alaina kazała stangretowi jechać do jego rezydencji. Tam otworzyła jej Murzynka o surowej twarzy i poprowadziła ją do gabinetu doktora, by zaczekała.

Kiedy zegar wybił dwunastą, na podwórko wjechał powóz doktora i siwowłosy starszek wszedł do domu z zafrasowaną miną. Doktor Brooks czuł lojalność wobec pacjentów swego oddziału i nie martwiło go zbytnio to, że kilku zbiegłych żołnierzy uniknie siedzenia w więzieniu federalnym do końca wojny. Ale niepokoiły go inne sprawy.

Na widok czekającej na niego młodej kobiety zatrzymał się i zapytał niepewnie:

- Alaina?

W odpowiedzi dziewczyna rozwiązała kokardę pod brodą i zdjęła z głowy kapelusz, potrząsając lśnącymi, ciemnymi włosami.

- Wielkie nieba, dziecko! - zaśmiał się doktor. - Tak dobrze grasz rolę tego Ala, że już zapomniałem, jaką piękną jesteś kobietą.

Alaina rzuciła kapelusz na krzesło i zdejmując rękawiczki, miała czas, by pomyśleć nad odpowiedzią.

- Bardzo miłe słowa, doktorze - oświadczyła z wdziękiem. - Lecz ostatnio mam ten sam problem. Męczy mnie już granie tej roli.

- Moje drogie dziecko! - Chciał ją pocieszyć, lecz Alaina spojrzała na niego z cierpieniem w oczach, mówiąc:

- Nie jestem dzieckiem! Jestem dojrzałą kobietą! - Wargi jej się trzęsły, wykręcała szczupłe dłonie i odwracała oczy. - I chciałabym, żeby pewien mężczyzna mnie tak traktował.

Nagle doktor Brooks zrozumiał i przyjrzał się bliżej zagniewanej twarzy.

- Kapitan Latimer, czy tak? Słyszałem, że dziś rano poślubił Robertę.

Szare oczy Alainy szybko spojrzały znów na doktora.

Ten wzruszył ramionami.

- Kapitan wspomniał mi o tym rano.

Na twarzy Alainy malowało się przygnębienie. Beznamiętnie podeszła do okna i patrzyła na zewnątrz. Piersi jej wypełniło długie, przerwane westchnienie. Złożyła ręce bezradnie i odezwała się ledwo dosłyszalnym głosem:

- Co ja mam robić? - I nie czekając na odpowiedź, dodała: - Widzę, jak Roberta i inne kobiety chodzą pięknie ubrane, ze wspaniałymi, długimi włosami. - Spojrzała na swoje zaczerwienione od pracy dłonie i przecesała palcami krótkie włosy. - A ja muszę swoje obcinać jak chłopak i nosić chłopięce szmaty albo ten wdowi strój. Nie mogę się normalnie cieszyć sobą.

Doktor zastanawiał się, co jej odpowiedzieć, gdy do pokoju weszła gospodyni, niosąc dużą tacę, a na niej

dzbanek z herbatą, miskę kaszy, miskę warzyw, półmisek panierowanego kurczaka i drugi z gorącym chlebem kukurydzianym. Unoszący się w pokoju smakowity zapach kusił nozdrza dziewczyny, która ostatni raz jadła poprzedniego dnia w południe. Z wdzięcznością przyjęła od Murzynki talerz i na chwilę zapomniała o swych troskach. Nieco odżyła. Wsunęła się na krzesło elegancko odsunięte dla niej przez doktora i gdy jedli, pokrótce opowiedziała mu, co się zdarzyło od czasu, gdy wczoraj wieczorem wyszła z jego gabinetu w szpitalu, nie wspominając ani słowem o intymnym epizodzie z Cole'em.

- Wujek Angus wini mnie za przyprowadzenie do domu kapitana Latimera. Obawiam się, że nie będę już tam mile widziana. Muszę poszukać innej pracy i mieszkania. Odłożyłam trochę pieniędzy, ale trudno mi będzie się utrzymać z pensji chłopca do sprzątania. Wszędzie trzeba płacić za nocleg i wyżywienie. Przyszłam spytać, czy pan nie słyszał o jakiejś innej pracy dla mnie.

Doktor wstał i z wielkim zafrasowaniem przemierzał pokój. Gładził się rękami po gęstych, siwych włosach, przy okazji straszliwie je targając. Wreszcie wyznał, co go trapi.

- Alaino, już dziś rano musiałem bronić Ala, podejrzewanego o pomoc w ucieczce. Gdyby teraz zniknął, podjęto by poszukiwania i odkryto twoją prawdziwą tożsamość. Byłoby to bardzo trudne do wytłumaczenia. - Oparł się nadgarstkami o stół i spojrzał jej w oczy. - Nie mogę ci też doradzić nic innego, jak tylko zachowanie w ścisłej tajemnicy tego, kim jesteś. Wyznaczono nagrodę w wysokości dwustu dolarów za złapanie niejakiej Alainy MacGaren.

Oczy Alainy wpatrzone w doktora robiły się coraz szersze.

- Wygląda na to - ciągnął - że zbiegli jeńcy konfederacy zarekwirowali przesyłkę wiezioną statkiem: ponad sto tysięcy dolarów przeznaczonych na żołąd. Zabito pół tuzina Jankesów chroniących statek, a napastnicy wysiedli w górze rzeki. Parowiec przyplłynął dziś rano i już organizuje się pościg.

- Ale dlaczego...

Doktor Brooks przerwał jej, unosząc rękę.

- Na brzegu czekała na nich z końmi niska, ciemnowłosa kobieta. Jeden z rebeliantów zawołał do niej ni mniej, ni więcej tylko: Alaino MacGaren!

Alaina siedziała w oszołomieniu, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Doktor zamilkł i czekał, aż dziewczyna zda sobie w pełni sprawę ze znaczenia tej informacji. Kiedy wreszcie przeniosła wzrok na niego, powiedział:

- Nie możesz teraz zrezygnować z przebrania. Alainie MacGaren grozi powieszenie lub co najmniej długie lata w jankeskim więzieniu. Nie ma dla ciebie w tej chwili bezpieczniejszego miejsca niż dom Craighughów, bo wszyscy wiedzą, że mieszka tam chłopiec Al. Al musi wrócić do pracy, gdyż inaczej będą go poszukiwać. Jeśli go nie znajdą, Angus i Leala mogą mieć duże kłopoty.

Alaina gwałtownie potrząsnęła głową i zacisnęła pięści. Jakże chciałaby znaleźć jakiś błąd w jego rozumowaniu, by móc porzucić to ohydne przebranie. Wiedziała jednak, że logiki tego, o czym mówił, nie da się w żaden sposób podważyć.

Mijał już ponad tydzień, a oddziały federalne wciąż znajdowały się w stanie gotowości. Nawet świeżo upieczona panna młoda musiała spędzać wieczory bez męża. Dla Roberty było to wręcz okrutne. Zżymała się i szydziła z zostawianych przez Cole'a liścików przeproszających. To było więcej, niż była w stanie znieść. Płakała i

godzinami przesiadywała obrażona w swoim pokoju, ku ogólnemu zadowoleniu domowników.

Podczas gdy Roberta trapiła się z powodu nieobecności swego męża, Angus drażniła obecność Alainy. Sprawa tej ostatniej stawała się z dnia na dzień coraz bardziej niebezpieczna. Żołnierze, którzy ruszyli w pościg za bandą rebeliantów, wrócili z mrozącą krew w żyłach opowieścią. Uciekinierów ze szpitala znaleziono niedaleko od miejsca, w którym wysiedli ze statku. Wszystkich szesnastu zabito strzałem w tył pleców i zostawiono tak, jak upadli. Znaleziono na nich części niebieskiego umundurowania, między innymi mundur kapitana służby medycznej. Kobieta, konie, pieniądze oraz mężczyźni, którzy wywabili rannych żołnierzy ze szpitala, zniknęli. Siad prowadził na bagna; dalej już nie dało się kontynuować pogoni. Bardzo podejrzane było to, że w pobliżu doku, gdzie porwano statek, znaleziono błakającego się konia kapitana Latimera.

Wśród mieszkańców Południa podniosła się wrzawa. Jeszcze tydzień temu Alaina MacGaren uchodziła za swego rodzaju bohaterkę, a teraz okazało się, że jest zdrajczynią, która w dodatku przystała do tajemniczej bandy rozbójników i piratów, z niezwykłym okrucieństwem rabujących uczciwych ludzi, zarówno po stronie niebieskich, jak i szarych.

Dla każdego, kto pomógłby doprowadzić Alainę MacGaren przed oblicze sprawiedliwości, najeźdźcy wyznaczili nagrodę w wysokości tysiąca jankeskich dolarów w złocie, a lokalni mieszkańcy obiecali obwołać go bohaterem miasta. Federaliści skonfiskowali Briar Hill i umieścili tam ogłoszenie, że plantacja będzie wystawiona na sprzedaż. Na razie budynki zabezpieczono deskami, żeby nie zniszczył ich ktoś kierowany nienawiścią do Alainy MacGaren.

Na rogach ulic zbierały się grupki pełnych gniewu mieszkańców miasta, bacznie i podejrzliwie obserwujące przechodniów. Na szczęście szukali oni młodej i pięknej kobiety, a nie obdartego chłopaka na starej szkapie - cieszyła się w duchu Alaina, Jadąc wczesnym, zamglonym porankiem do szpitala. W mieście panowała napięta atmosfera, wokół dały się słyszeć gniewne komentarze.

Wrzało również w szpitalu, gdzie nawet ranni Jankesi poruszeni byli tak bezduszną zbrodnią. Alaina odłożyła właśnie mopy i wiadra, gdy znalazł ją kapral w pełnym rynsztunku i poprosił, by się udała za nim. Szybkim krokiem poprowadził ją na trzecie piętro. Była już mocno zdyszana, gdy zatrzymał się wreszcie przed strzeżonymi drzwiami.

- Zaczekaj tu! - rozkazał sucho chłopcu do sprzątania i zapukał. Drzwi uchyliły się, kapral wśliznął się do środka i zamienił z kimś kilka zdań.

- Wejdz - machnął do Ala i otworzył drzwi szeroko, żeby go wpuścić.

Alaina westchnęła i nagle w jej oczach pojawiła się bynajmniej nie udawana panika. Nigdy jeszcze nie widziała naraz tylu niebieskich mundurów, takiej ilości mosiądzu i galonów, co w tym podłużnym pomieszczeniu. Z brzegu długiego stołu siedział Cole, z zasepioną twarzą, choć uśmiechnął się do niej i skinął głową. Obok niego siedział doktor Brooks blady z przejęcia. Starszy pan miał swoje powody, by niepokoić się o Alainę. Oboje znali przecież sekret, który mógł zniszczyć zarówno ich, jak i kapitana Latimera oraz wielu innych.

Alaina była rozpaczliwie świadoma, jak wiele zależy od jej zachowania w ciągu następnych kilku chwil. Pamiętała słowa pani Hawthorne. Wytarła rękawem nos, głośno nim pociągając. Podano jej krzesło, na które niemal zatoczyła się z przejęcia.

Naczelnym chirurg Mitchell, siedzący u szczytu stołu, wychylił się do przodu, a Alaina wbiła szklany wzrok w jego generalskie gwiazdki.

- Nie denerwuj się, chłopcze - odezwał się miłym tonem. - To nie rozprawa sądowa. To tylko komisja badająca sprawę.

Alaina nerwowo kiwnęła głową i ponownie wytarła nos, a drugą ręką podrapała się w ucho.

- Musimy ci zadać kilka pytań. Doktor Brooks poinformował nas o twojej niedawnej stracie. Chciałbym ci przekazać wyrazy mego szczerzego współczucia.

Rękaw znów powędrował do nosa, ale wielkie, wystraszone oczy dalej wpatrywały się w złote gwiazdy na ramieniu generała.

- Podobno wyratowałeś z rzeki kapitana Latimera tej nocy, gdy uciekli jeńcy.

- Jezuu! - I tu popłynęła gwałtowna kaskada słów wypowiedzianych z nadmiernym przejęciem. - Płynął na konarze drzewa, obok grobli kolejowej. Ciągłe szedł pod wodę, bo gałęzie zaczepiały o dno. Kiedy go wyciągnąłem na brzeg, był całkiem goły, oprócz długich gatek, no i...

- Wolniej, chłopcze - upomniał go generał z leciutkim uśmiechem. - Chcemy to wszystko wiedzieć dokładnie. O której godzinie zauważyłeś kapitana w rzece?

- Musiało być przed jedenastą. - Alaina zastanawiała się, gryząc czubek palca i patrząc do góry. - Tak, zegar bił jedenastą, kiedy przywiozłem go do domu - spojrzała znów na gwiazdki i mówiła coraz szybciej. - W końcu kapitan dał mi pracę i wszystko, i był tylko w gatkach, no to bałem się ciągnąć go tak po placu, wziąłem go więc do domu. Było przed jedenastą, gdzieś tak za dziesięć. - Kiwnęła głową, zadowolona, że się wszystko zgodziło, i wydeła wargi z pewnością.

- I kapitan Latimer spędził całą noc w domu Craighughów? - spytał generał ze szczególnym naciskiem.

- O Jezuu! Oczywiście, i tu się narobiło kłopotu! Znaczący spędził noc z... no... no i wujek Angus wyciągnął stary pistolet i... znaczy ja wtedy spałem. Ale kapitan uderzył się w głowę i może mu się trochę od tego kręciło... - Alaina pokręciła ręką wokół ucha i spojrzała z ukosa na Cole'a. Siedział oparty łokciami o stół, z twarzą ukrytą w dłoniach, a doktor Brooks dostał nagłego ataku kaszlu. Pozostali oficerowie pilnie wpatrywali się w sufit.

- No, w każdym razie... przykleił się do mojej kuzynki Roberty, no i... chyba jasne, że był z nią przez całą noc - mówiła Alaina coraz cichszym i mniej pewnym głosem.

- Wystarczy, Al. - Generał bawił się leżącym przed nim plikiem dokumentów. - Możesz już iść, dziękuję.

- Nie ma za co, proszę pana - mruknęła dziewczyna, wstając.

Kapral otworzył przed nią drzwi i wyszła. Dopiero gdy znalazła się sama w swej pokojówce, kolana się pod nią ugięły. Przez jakiś czas siedziała na krześle, trzęsąc się i próbując dojść do równowagi. Częściowo jej się to udało i już miała z powrotem wyciągać przybory do sprzątnięcia, gdy zobaczyła przed sobą Cole'a. Powoli odstawiła akcesoria i wstała.

- Chyba narobiłem panu dużo kłopotów.

- Nie. - Cole spojrzał na chłopca i westchnął, przejeżdżając ręką po włosach. - Powiedziałem im wcześniej wszystko, co pamiętałem. Potrzebowali tylko twojego potwierdzenia.

- Uhu!

- Dobrze się spisałeś! Słuchaj! Odłóż to wszystko. Chciałbym cię o coś poprosić. Nie wiem, kiedy będę mógł zajrzeć do pani Hawthorne, a może jej to być potrzebne - wyciągnął z bluzy kopertę - choć nasz znajomy Jacques nie będzie jej już niepokoił. Znalaziono winnego i zwolniono go z pracy. Nie przyjmie go na pewno żaden okoliczny bank. A jej akt prawny został przez bank potwierdzony. Jest tu, razem z jej pismem. - Cole popatrzył

przenikliwie, stukając złożoną dłońią w kopertę. - Dasz radę to zawieźć, nie gubiąc się po drodze, czy coś w tym rodzaju?

Alaina skubała guzik swej marynarki.

- Jednak myślę, że narobiłem panu niezłych kłopotów.

- Nie, do licha! To ja sam wpakowałem się w tarapaty! I trzymaj się z daleka od rzeki! Następnym razem mogę tam wskoczyć specjalnie! - Odwrócił się i odchodząc, dodał:

- Masz wolne na resztę dnia.

Szybko oddalił się korytarzem, a Alaina nie ociągała się, bo u pani Hawthorne mogła przynajmniej umyć twarz i zachowywać się normalnie.

14

Alaina bardziej niż kiedykolwiek odczuwała teraz stres z powodu swego przebrania. Jej nazwisko było na ustach wszystkich, a najokrutniejszy był ten oszczerczy zarzut, okrywający hańbą całą rodzinę. Alaina MacGaren - poszukiwana zarówno przez Unię, jak i Konfederację. Obie strony chciały ją powiesić. Gdyby ją złapano, najniższą karę stanowiłoby zesłanie na Ship Island lub do Fortu Jacksona. Ale tam przecież zsyłano południowców, którzy wierzyli, że brała udział w zabiciu zbiegłych ze szpitala jeńców. Z ich ręki mogła się spodziewać czegoś jeszcze gorszego.

Tak ona, jak i Craighughowie wpadli w absurdalną pułapkę. Alaina nie mogła się wyprowadzić ze względu na swoje własne, ale i ich dobro, a oni musieli akceptować jej dalszy pobyt. W końcu była ich krewną i wiedzieli, że jest niewinna. Mimo to Angus nie potrafił przebywać długo w jednym pokoju ze swą siostrzenicą. Leala tylko smutno kręciła głową. Była jedyną osobą w rodzinie, która okazywała Alainie odrobinę sympatii i nie mogła znieść, gdy dziewczynie działa się krzywda. Lecz nawet ona martwiła się o możliwe skutki, jakie może przynieść jej obecność w domu reszcie rodziny. Od początku okupacji jankeskiej już dużo przecierpeli. Przerazało ją, co jeszcze mogliby stracić. Wobec sąsiadów, którzy wiedzieli o ich pokrewieństwie z Alaina MacGaren, głośno okazywali potępienie dla jej czynów. Nie mieli podstaw, by zaprzeczać jej winie. Musieli udawać, że myślą tak jak wszyscy.

Był to już ósmy wieczór nocnych dyżurów Cole'a w szpitalu i po raz ósmy z rzędu Roberta poszła do siebie, by ukołysać się do snu płaczem. Sprawiało to, że dosłownie nikt nie mógł spokojnie zasnąć, dopóki nie zrobiła tego ona.

Pijąc maślankę ze szklanki, Alaina w zamyśleniu szła korytarzem. Zatrzymała się przy drzwiach do salonu i zajrzała do pustego wnętrza. Była dopiero ósma, ale Craighughowie rozeszli się już do swych sypialni, zapewne w nadziei, że na krótko zapomną o kłopotach, a może dlatego, żeby zza zamkniętych drzwi nie było słychać tak wyraźnie zawodzeń Roberty.

Alaina zaczęła właśnie wchodzić po schodach, gdy usłyszała powolny stukot podków o bruk podjazdu. Wyrzała przez wąskie okno obok drzwi wejściowych i zobaczyła oblamowany złotem niebieski mundur jankeskiego oficera.

- Cole! - W głowie jej zawirowało. - Wreszcie przyjechał!

Szybko skontrolowała swój wygląd w ozdobnym lustrze wiszącym w korytarzu. Marszczył tam do niej nos zde gustowany swym wyglądem chłopak zwany Alem. Dla zwiększenia efektu Alaina przyłożyła szklankę do ust i przechyliła tak, by nad górną wargą pozostały szerokie wąsy z maślanek. Skrzywiła się do swego obrazu i

zwichrzyła włosy, a następnie wolno przeszła w stronę drzwi. Otworzyła nonszalancko i oparła się o framugę, patrząc, jak kapitan zsiada z konia i przywiązuje go do słupka.

- Myślałem, że nas pan całkiem opuścił - rzekła zuchwale. - A z wycia Roberty można sądzić, że ona też to podejrzewa.

Cole spojrzawszy kątem oka na Alę, zdjął z konia sakwy i bez słowa przerzucił je przez ramię.

Alaina wyraźnie miała ochotę popsuć mu całkowicie nastrój.

- To miauczenie trwa już osiem dni - dzień i noc. - Wzruszyła ramionami lekceważąco. - Nie widziałem pana ostatnio w szpitalu. Mógł pan gdzieś pojechać. W górę rzeki albo do samej Minnesoty.

- Wytrzymaj usta - powiedział Cole krótko, mijając ją i wchodząc do środka.

Alaina obróciła się i oparła o ścianę, obserwując z zaciekawieniem, jak kładzie sakwy na krześle.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego pan wrócił do tej beksy - pokazała głową na pokój Roberty, skąd wciąż rozlegało się głośnie zawodzenie. - I w ogóle, jak pan zdołał to wszystko zrobić. Jak położyłem pana do łóżka, był pan pijany jak bela. Mało mnie pan nie utopił w poidle, zanim dotarliśmy do domu.

Cole spojrzawszy krzywo na rozczochranego młodzika, przypominając sobie niewyraźnie tamten moment.

- Mnie się zdaje, że to ty chciałeś mnie utopić.

- Aha! Więc pan pamięta! - zachichotała Alaina i przybrała dumny pozę, z kciukami zatkniętymi za sznurek w pasie podeszła do zadbanego w każdym calu kapitana, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. - Nie był pan taki elegant tamtej nocy, o nie. Jak na jankeską konowalę wyglądał pan dość głupio, dobrze pamiętam.

Poirytowany drwinami chłopaka. Cole uciął:

- Zapomniałeś wytrzeć usta.

Bębniąc palcami po udach, Alaina ciągnęła:

- Ciekaw jestem, czy teraz, kiedy pana tu uwiązano, nie wolałby pan jednak zostać w rzece.

- Nie gadaj bzdur! - rzucił Cole.

Alaina spostrzegła szybkie, niepewne spojrzenie rzucone w kierunku pokoju panny młodej, skąd płynęło monotonne zawodzenie.

- Niech się pan nie denerwuje - zapewniła go szyderczo. - Robbie prawie skończyła. To już finał.

Cole pomacał kieszenie, jakby czegoś zapomniał, i rozejrzał się wokół.

- Szuka pan pretekstu, żeby odjechać, co? Mówiłem, może pan być spokojny.

- Czy ty nigdy nie przestaniesz mówić? - Cole przeszył chłopaka wzrokiem.

Uwaga wywołała u Alę rechot wesołości.

- Pan to taki bardziej drażliwy, no nie?

Cole otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zanim zdążył się odezwać, drzwi sypialni Roberty otworzyły się gwałtownie i ona sama wyszła z pokoju. Zauważywszy tylko Alainę przy balustradzie, zdziwiła się.

- Wydawało mi się, że słyszę głos...

W tym momencie zobaczyła Cole'a. Z okrzykiem radości zbiegła ze schodów, niepomna, że jest tylko w skąpej jedwabnej koszuli nocnej, prawie przezroczystej na piersiach. Rzuciła mu się w ramiona i w euforii obsypywała go pocałunkami.

- Och, Cole! Kochany! Tak się o ciebie martwiłam.

Przypatrywanie się entuzjastycznemu powitaniu żony z panem młodym było dla Alainy bolesne. Odwróciła

oczy. Chciała być tysiące mil stąd, gdziekolwiek, żeby tylko tego nie oglądać.

Cole spojrział posepnie na skulone, wąskie plecy chłopca i pomyślał, że może być tylko jeden powód.

- Roberta, wprawiamy chłopca w zakłopotanie.

- Jakiego chłopca? - Roberta wyglądała na autentycznie zaskoczoną, dopóki nie odwróciły się do niej smutne, szare oczy Alainy. Zaśmiała się. - A, jego! Wiesz, Cole, tak się ucieszyłam na twój widok, że nie pomyślałam, co robię. - Spłonęła rumieńcem i przesunęła ręką po piersiach, co wznieciło w jego oczach płomień pożądania. Przez ostatnie dni dręczyła ją jedna obawa, a mianowicie fakt, że ich przysięga nie została potwierdzona skonsumowaniem małżeństwa. Bała się, czy Alaina nie pójdzie do Cole'a i nie wyzna mu wszystkiego. W końcu ta dziwka wciągnęła go do łóżka, gdy był zbyt pijany, by wiedzieć, co robi. Choć tak naprawdę nie bardzo wierzyła, że kuzynka może posunąć się do tego, by próbować ich rozdzielić.

Teraz, gdy konsumpcja miała nastąpić lada chwila, ciemne oczy Roberty patrzyły na Alainę z błyskiem drwiny i dumą z odniesionego zwycięstwa. Młodsza kuzynka znów odwróciła się z zakłopotaniem, wkładając ręce do kieszeni spodni, podczas gdy Roberta wdzięczyła się do Cole'a.

- Chodź, kochanie. - Wsunęła rękę pod jego ramię. - Pewnie jesteś zmęczony.

- Muszę zaprowadzić konia do stajni.

- Bzdura! Al to zrobi! - Pomachała Alainie leciutko przez ramię. - Jest w tym dobry.

Po bezsennej nocy Alaina wstała o zwykłym czasie i w ponurym nastroju wdziała swe przebranie. Smarując twarz i ręce sadzą z kominka, unikała patrzenia w lustro. Nie chciała w nim zobaczyć podkrążonych oczu i śladów przelanych w nocy łez. Prawie przez całą noc jak tchórz chowała głowę pod poduszkę, żeby nie usłyszeć jakichś odgłosów z sypialni Roberty, świadczących niezbitnie o igraszkach nowo poślubionych.

Potem zeszła do kuchni, powłócząc ciężkimi butami. Gdy weszła, uderzył ją zapach gorących biskwitów pomieszany z nie spotykanym tu ostatnio, wspaniałym aromatem mocnej kawy. Jej zdumienie jeszcze wzrosło, gdy zobaczyła siedzącego przy stole Cole'a. Sądziła, że pośpi dziś długo i nie pójdzie tak wcześnie do szpitala. Jednak był już ubrany i gotowy na przyjęcie nowego dnia. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie na pierwszy rzut oka, póki nie podeszła bliżej. Nawet nie spojrzął na nią, gdy weszła do kuchni, a kiedy odstawiała krzesło po drugiej stronie stołu, zauważyła, że był tak pochłonięty myślami, iż mieszał w pustej filiżance, patrząc nieruchomymi oczami w trzaskający ogień na palenisku. Zapytała wzrokiem Dulcie, lecz ta tylko wzruszyła ramionami.

Oczywiście, to Cole przyniósł kawę i sam jej najbardziej potrzebował. W życzliwym odruchu Alaina przyniosła dzbanek i nalała czarnego płynu do jego filiżanki. Nigdy przedtem nie widziała go tak zamyślonego i nie mogła się powstrzymać od patrzenia na niego. Ale w następnej chwili Cole został boleśnie wyrwany z transu, bo mieszając filiżankę, przewrócił ją i wylał gorący płyn na kolana. Zerwał się z krzykiem i gwałtownie wycierał spodnie serwetką, obserwowany przez Alainę.

- Co ty wyprawiasz, mały durniu? Chcesz ze mnie zrobić eunucha?! - krzyczał. Z wełnianego munduru jeszcze unosiła się para, a on odprawiał dziwny taniec.

Nie widząc innego ratunku, Alaina złapała wiadro zimnej wody i chlusnęła nią na Cole'a tam, gdzie wylała się kawa. Na chwilę stracił oddech, a w oczach miał wypisaną zemstę. Dulcie wołała się taktownie oddalić, zasłaniając ręką usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Rzadko się trafiało, by tak bezkarnie oblać wodą Jankesa.

- Przepraszam. - Alaina skuliła się w sobie. - Nie wiedziałem, że pan wyleje, myślałem, że trzeba panu trochę

kawy.

- Nie zniosę już więcej twoich przysług - warknął Cole, rozpinając gwałtownie guziki bluzy.

- W porządku! - Alainę również ogarnął gniew na taką niewdzięczność. - Następnym razem zostawię pana w rzece.

- I może lepiej na tym wyjdę - mruknął Cole i skrzywił się, unosząc zmoczony w kroku materiał. - Do diabła!

Jestem cały poparzony.

Policzki Alainy poczerwieniały.

- Zdaje się, że już na mnie czas.

Cole powstrzymał ją wyciągniętą ręką.

- Nie uciekniesz tak łatwo. Idź na górę i poproś Robertę o moje sakwy. Mam tam maść.

- Ale ona pewnie jeszcze śpi! - zaprotestowała Alaina, nie mając ochoty wchodzić do ich sypialni. - Nie znosi, żeby ją budzić!

Cole ugryzł się w język, bo sam miał ochotę na uszczypliwy komentarz. Roberta okazała się zupełnie obojętna w łóżku. Niechętna do jakiegokolwiek wysiłku. Z całą pewnością była zupełnie inna niż ciepła, zmysłowa istota, którą zapamiętał z tamtej nocy.

Widząc porządnie zagniewaną minę Cole'a, Alaina nie śmiała dłużej się sprzeciwić. Wystarczająco go już zdenerwowała jak na jeden dzień. Wolą nie prowokować dalszych konsekwencji.

Na jej nieśmiałe pukanie do drzwi odpowiedział zaspany głos Roberty z drugiej strony:

- Kto tam?

- To ja, AL Kapitan wysłał mnie po swoje sakwy.

Po chwili drzwi otwarły się i w progu stanęła Roberta w cienkim, jedwabnym szlafroku. Spojrzała podejrzliwie zwięzonymi oczami.

- Dlaczego Cole nie przyszedł sam?

- Poparzył się - wyjaśniła Alaina i zrobiła niecierpliwy gest. - Daj mu te sakwy, do pioruna!

- Doprawdy, Al, czy musisz bez potrzeby używać takiego Języka? - zgaśniła ją Roberta, nie wykazując żadnej troski o stan Cole'a.

- Kiedy w domu jest Jankes, nie będę ryzykować.

Starsza kuzynka uśmiechnęła się wyniośle.

- Lainie, chyba zapomniałam ci podziękować za przyprowadzenie go do domu. Co jak co, ale oszczędziłaś mi tym sporo czasu i wysiłku.

Alaina rzuciła jej wściekle spojrzenie.

- No, masz te sakwy?!

Roberta weszła z powrotem do pokoju, by ich poszukać. Alaina starała się nie spojrzeć przypadkiem na łóżko. Po chwili Roberta wróciła do drzwi i podała sakwy.

- Tak mi to ułatwiłaś, Lainie, że nie mogłam się oprzeć. A Cole nigdy nie zauważy różnicy. Jednak żeby mieć pewność, ostrzegam cię. Jeśli sądzisz, że możesz mu to powiedzieć, a Jankesi nie dowiedzą się, kim jesteś, całkiem mnie nie doceniasz... Al.

- Bądź spokojna, Robbie - odparła kpiąco Alaina. - Nie mniej niż ty pragnę, żeby to się nie rozniosło, więc pozostanie to naszą wspólną, głęboką tajemnicą.

- Zatem rozumiemy się - upewniała się Roberta, uniósłszy brew. - I będziesz się trzymała od niego z daleka?!

- Niemożliwe - odparła Alaina beznamietnie, odwróciła się i poszła w stronę schodów, rzucając przez ramię: - Nie tylko pracujemy w jednym miejscu, ale teraz również mieszkamy w jednym domu.

Hałas jej butów na schodach zagłuszył rzuconą przez Robertę uwagę. Po chwili Alaina była już z powrotem w kuchni. Cole zamknął się już w spiżarni-łazience. Zawołała do niego, starając się, by jej głos brzmiał zuchwale.

- Mam te sakwy, Jankesie. Zostawiam je pod drzwiami. Muszę już szybko jechać, żeby mi te niebieskobrzuchy nie potraciły z pensji za spóźnienie.

Chwyciła swój kapelusz i czmychnęła przez tylne drzwi, nie czekając na odpowiedź Cole'a.

Kiedy w jakiś czas potem Cole szedł szpitalnym korytarzem, Alaina oparła się o kij od mopa i z chłopięcym uśmiechem zauważyła:

- Spóźnił się pan, Jankesie. Major Magruder pytał, gdzie pan jest.

Cole popatrzył na nią.

- Jestem pewien, że wyjaśniłeś mu wszystko z typową dla ciebie satysfakcją.

- Jakby pan zgadł, Jankesie - zarechotał ubawiony Al. - Będzie pan tu teraz słynął jako Kapitan Gorące Spodnie.

Cole wznosił oczy do nieba, szukając tam pomocy.

- Zaczynam podejrzewać, że to był celowy psikus.

- Nie ja to zrobiłem - zaprotestował Al. - Sam pan to zrobił, marząc o Robercie.

- Nie marzyłem o Robercie - poprawił ostro Cole.

- Ale tak to wyglądało! - upierał się Al. - Siedział pan i mieszał w pustej filiżance! Jak to inaczej rozumieć?

- Mam jeszcze inne sprawy na głowie poza Roberta - irytował się Cole. - I to nie twoja cholerna sprawa.

- Czy ja o coś pytałem?

- Nie musiałeś. Widzę, jak ci oczy płoną ciekawością.

- Nie ma w nich nic oprócz czystej nienawiści, Jankesie!

- Jeśli mnie tak nienawidzisz - drwił Cole - to dlaczego wyciągnąłeś mnie z rzeki?

- Nie wiedziałem, kto to, dopóki nie wyciągnąłem. Wtedy chętnie wrzucił bym pana z powrotem. A teraz myślę, że powinienem to zrobić, bo miałem okazję.

Cole prychnął z niezadowoleniem i poszedł. Był pewien, że Al nigdy się nie przyzna do najmniejszej ciepłej myśli o Jankesach, nawet jeśli mu się taka przydarzyła.

Dzień pracy w szpitalu dobiegł końca i Alaina, szukając jakiegoś pretekstu, żeby nie wracać do domu Craighughów, skierowała Tara na starą drogę wzdłuż rzeki. Lecz wyglądało na to, że nie jest jej pisane uwolnić się od towarzystwa Cole'a, choćby nie wiem jak starała się go unikać. Dojeżdżała już prawie do celu, gdy usłyszała za sobą stukot podków. Odwróciła się w siodle i poznając konia oraz jeźdźca, jęknęła głośno.

- Jankesie! - warknęła, kiedy Cole podjechał bliżej. - Nie powinien pan pilnować domu?! Po co pan tu jedzie?!

- Dawno nie miałem okazji porozmawiać z panią Hawthorne. Masz coś przeciwko temu? - spytał sardonicznie.

- Ja jechałem tu, bo byłem pewny, że pan jest w domu z Roberta - utyskiwał Al. - Czy ona na pana nie czeka?

- Nie mówiłem dokładnie, o której wrócę. - Cole wzruszył ramionami. - A tej sprawy muszę dopilnować.

Niezadowolona Alaina skierowała Tara do żelaznego słupka. Liczyła na trochę swobodnego czasu, żeby odprężyć się i pobyć sobą. Te chwile, kiedy mogła zachowywać się jak kobieta, stały się dla niej coraz cenniejsze, i nie czuła bynajmniej radości, musząc się ich wyrzec. Obecność Cole'a niestety właśnie to oznaczała.

- Nie zaszkodziłoby, gdyby pan trochę chętniej biegł do domu - oświadczył Al, schodząc z konia. - Więcej entuzjazmu widziałem u starego wołu mego ojca.

Cole jednak upierał się przy swoim.

- Dzięki ci za rady, ale muszę się przez kilka dni powstrzymać od tego, by być kochającym mężem. I jeśli rozumiesz, o czym mówię - spojrzał gniewnie w zwrócone ku niemu wielkie szare oczy - to prawie zrujnowałeś mi życie.

Alaina schyliła głowę, przygarbiła ramiona i ruszyła w stronę ganku. Miała przeczucie, że w dworku Craighughów życie może stać się chwilowo dość nerwowe. Może zrobi rozsądniej, jeśli dziś będzie się trzymała Cole'a, bo tam pewnie Roberta tylko czeka, żeby ją zabawiać rozmową. Czasem lepiej zrobić unik niż stawić czeruś czoło.

Ale w drodze powrotnej Cole poruszył temat, którego Alaina wolałaby unikać. Jechali w milczeniu i Cole przyhamowywał wyrywającego do przodu konia, by dostosować się do żółwiego tempa starego Tara. W pewnej chwili zwrócił się do chłopca:

- Al, czy jesteś pewien, że nie zawiozłeś mnie jeszcze do jakiegoś miejsca, zanim dotarliśmy do domu Craighughów?

Alaina miała trudności z przybraniem obojętnego tonu i ochrypłym głosem zapytała:

- A jakie to niby miałyby być miejsce?

Cole usiłował w ciemności dojrzeć rysy chłopca, ale ten odwrócił twarz i zasłaniał się kapeluszem, co udaremniało zobaczenie czegokolwiek.

- Al, ile ty masz lat?

- A jak pan myśli, Jankesie?

- Tak z wyglądu, jakieś trzynaście.

- Może być. - Alaina jeszcze bardziej zsunęła rondo kapelusza, nie czując się zbyt pewnie w zasięgu jego wzroku. Ciemność mogła mu nasunąć jakieś skojarzenia.

- Słyszałeś o domach... rozpusty? - spytał Cole.

Alaina zakrztusiła się i zakasłała, zanim wydusiła z siebie:

- Może.

- Wydaje mi się, że pamiętam, jakbym był w jednym z nich - oświadczył wprost Cole.

- Mogę pana uspokoić. Nie był pan w niczym takim.

- Jesteś pewien?

- Tak jak teraz jestem pewien, że siedzę na staruszku Tarze. Chyba że był pan tam, zanim pana znalazłem. Może poszedł pan tam najpierw i któraś z dziewczynek pana okradła.

Cole nie mógł ułożyć tego wszystkiego w sensowną całość. W pamięci miał jedynie nie poskładane fragmenty wydarzeń. Nie wyjaśniona pozostała jeszcze kwestia zniknięcia jego medalionu.

Znacznie później, tego samego wieczoru, Alaina czekała w swojej sypialni, aż cała rodzina pójdzie spać, gdy drzwi otworzyły się bez uprzedzenia i do środka wpadła jak burza Roberta.

- Ty mała zdrajczyni! - rzuciła szyderczo. - Zrobiłaś to specjalnie, co?

Alaina z uśmiechem przyjęła sztyletujące spojrzenie Roberty.

- Jeśli mówisz o dzisiejszym poranku, Robbie, to mówiąc prawdę, mogłam się lepiej spisać. Obecność Jankesa pod jednym dachem okropnie mi działa na nerwy. - Rozłożyła ręce bezradnie. - Nie mogę się nawet wykapać, dopóki on nie pójdzie do łóżka. A, właśnie - pospiesznie zebrała garderobę na noc. - Lepiej pójdę się teraz wykapać, skoro on już się położył.

- Alaino! - wybuchła Roberta, wyciągając rękę, żeby zatrzymać kuzynkę, ale zmroziło ją stalowe spojrzenie pociemniałych z gniewu szarych oczu.

- Mów sobie, co chcesz, Roberto - Alaina, nieświadomie naśladowując spokojny, lecz zdecydowany ton Cole'a, spjrzała znacząco na wyciągniętą rękę Roberty - ale nie waż się mnie dotknąć.

- Trzymaj się z daleka od Cole'a - z furią wyrzuciła z siebie Roberta. - Słyszysz mnie, ty smarkulo!

- Już mówiłam - oznajmiła Alaina chłodno i dobitnie. - Nie widzę teraz takiej możliwości.

Trzasnęła drzwiami i zanim Roberta zdołała zareagować, szybko zbiegła na dół. Znalazłszy się w zaciszu spiżarni, westchnęła z ulgą. Roberta stanowczo zbyt się obnosiła ze swym nowo uzyskanym statusem.

Choć jeszcze parę minut temu Alaina była tak pewna siebie, teraz poczuła się zagubiona i przerażona. Miała świadomość, że prawdziwa dama nigdy nie wdałaby się w taką hańbiącą intrygę. Jak ona z Cole'em i na pewno nie pozwoliłaby, aby sprawy zaszły tak daleko. Z drugiej strony, to, że Cole nie mógł rozróżnić dwóch kobiet, z którymi niedawno się kochał, obrażało jej dumę i budziło większy gniew niż postępek Roberty. Alaina ściągnęła chłopięce ubranie i rzuciła je wzgardliwie na podłogę. W przeniesionym do spiżarni dużym lustrze ujrzała swój niespójny obraz: brudne włosy i twarz Ala oraz coraz dojrzalsze kształty młodej kobiety odziane w dziecinną bieliznę. Wokół szyi lśnił długi złoty łańcuszek, na którym zwieszał się mały, błyszczący medalion, zanurzony między okrągłe piersi. Alaina ujęła go drżącymi palcami i podeszła do lampy, żeby lepiej obejrzeć. Po jednej stronie wyryty był herb z dwoma uskrzydłonymi krukami jako główny element. Odwróciła medalion i przyjrzała się wygrawerowanemu pięknymi, ozdobnymi literami napisowi: WŁASNOŚĆ C. R. LATIMERA.

Słowa te wdierały jej się w mózg i przyprawiały o zawrót głowy. Nie mogła jednak zdjąć go i zostawić w domu. Jeśli Roberta zabrała jej klucz do mieszkania Cole'a, czego Alaina była już niemal pewna, nie było w domu bezpiecznego miejsca, gdzie nie weszłyby ta kobieta. Gdyby stało się to najgorsze i okazałoby się, że Alaina spodziewa się dziecka, wtedy ona z pewnością powędrowałaby do więzienia, a dziecko potrzebowałoby ojca. Medalion bez wątplenia przekonałby Cole'a, kto i z kim powołał dziecko do życia. Alaina postanowiła zapewnić sobie przynajmniej to, że jej dziecko będzie miało opiekę. O więcej nie zamierzała prosić.

W niedzielę rano rodzina Craighughów udała się do kościoła. Chociaż Cole wrócił z pracy dopiero nad ranem, Roberta zawzięcie nalegała, żeby jej towarzyszył. Bała się zostawić go samego w domu z młodszą kuzynką.

Jego nieobecność pozwoliła Alainie trochę się zrelaksować, choć czas ten został drastycznie skrócony. Rodzina wróciła wcześniej, z Roberta tonącą we łzach. Cole próbował ostrzec swą nowo poślubioną żonę, że mogą ją spotkać duże przykrości ze strony dawnych przyjaciół i znajomych, ponieważ wyszła za Jankesa. Lecz Roberta uparła się, żeby pokazać wszem i wobec swoje nowe łaszki oraz przystojnego męża. Pogarda, jaką jej okazano, zadała druzgocący cios jej dumie.

- Nigdy więcej tam nie pójdę! - przysięgała, rzucając kapelusz na kuchenny stół.

- Czekaj, czekaj, Roberto - uciszała ją Leala, spoglądając niepewnie na Cole'a, który najspokojniej przypalał cygaro od paleniska.

- Zobaczycie! Ja im za to wszystko odplączę! Wydam największy, najwspanialszy bal, jakiego jeszcze nie widziało to miasto! I nikogo z nich nie zaproszę!

Cole podniósł wzrok i zerkał na nią pytająco przez zakręconą smużkę dymu, dobywającą się z rozżarzonego końca cygara.

- Kogo więc zaprosisz, moja droga?

- No... - Roberta namyślała się przez dłuższą chwilę. Właściwie nie został już nikt do zaproszenia. - No, zaproszę generała Banksa z żoną. - I dodała z emfazą: - Zaproszę Jankesów!

Leala westchnęła i czując, że zaraz zemdleje, usiadła na krześle, energicznie się wachlując. Dulcie odwróciła się od kuchni i spojrzała na młodą kobietę z miną pełną zgrozy. Całe szczęście, że Angus był jeszcze w powozowni.

Kontemplując cygaro. Cole stwierdził:

- To zrobi wrażenie.

Roberta nie zrozumiała ironii i ucieszyła się:

- Prawda?

- Co to znów za afera? - dał się słyszeć w drzwiach głos Ala.

- Nic takiego! - rzuciła gniewnie Roberta.

Alaina wzruszyła ramionami i weszła do kuchni.

- Znaczy to nie moja sprawa, tak?

- Uch - burknęła Dulcie. - Panienska Roberta ubzduriała sobie, że zaprosi całą bandę Jankesów na przyjęcie.

- Co?! - Alaina ze zdumienia zapomniała przybrać chłopięcy ton głosu.

Cole spojrzał na nią z zaciekawieniem, a ona szybko naląła sobie kawy i zajęła się jej piciem. Pierwszy łyk oparzył jej język. Skrzywiła się i odstawiła filiżankę na spodek. Napotkawszy wzrokiem spojrzenie jej szarych oczu. Cole uśmiechnął się i w milczeniu zasalutował chłopcu cygarem.

- Cole! Wyrzuć to paskudztwo do ognia! - zażądała natychmiast Roberta, która dostrzegła ten gest. - Mdli mnie od tego!

- Mdli? - Angus wszedł do kuchni, akurat gdy to mówiła. Spojrzał na córkę z przerażeniem. - Czy to znaczy, że może już... spodziewasz się dziecka?

Roberta ze zdumienia otworzyła usta, Alaina zaś miała trudności z utrzymaniem w ręce filiżanki i spodka. I nie tyle stanem Roberty tak się przejęła, ile raczej, być może, swoim. Z przerażeniem patrzyła na rozbawionego Cole'a. Nie byłoby mu do śmiechu - pomyślała z trwogą - gdyby nagle Alowi zaczął rosnąć brzuch!

- Tatusiu, jesteś taki niedelikatny - skarciła ojca Roberta. Widząc, że Alaina wychodzi, nie mogła się powstrzymać od jadowitej uwagi: - A ty co, Alu? Wyglądasz mizernie, chyba nie powiesz, że też masz mdłości?

Alaina zdołała odpowiedzieć sucho:

- Tak, ale przyprowadź mnie o nie twój pomysł zaproszenia tu wszystkich Jankesów.

- Jakich Jankesów? - zagrział Angus z zaciśniętą szczęką, zwracając się do córki, co pozwoliło Alainie umknąć ze sceny. A Roberta nagle straciła swą pewność co do pomysłu wyprawienia wspaniałego balu.

Obecność Cole'a Latimera wniosła do gospodarstwa domowego Craighughów dostatek dawno zapomniany przez wszystkich, może z wyjątkiem Roberty. Posiłki znacznie się poprawiły i Dulcie nie musiała już zdobywać takich produktów jak cukier czy sól. Nawet Angus nieco się udobruchał, gdy jego barek znów wypełnił się zapasami burbona i brandy. Cole kupił od jednej z szacownych rodzin w mieście mały powóz i kilka dobrych koni. Następnego dnia do stajni przywieziono dużą porcję paszy. Cole okazał się mniej skąpy wobec koni niż Angus, nawet w starych, dobrych czasach. Wałach aż lśnił nowym blaskiem i nawet staruszek Tar nie wyglądał już jak muł.

Największym problemem Roberty było teraz to, że choć miała pieniądze, mało było naprawdę luksusowych sukni do kupienia. Mimo to do wyjątków należały dni, kiedy nie jechała do miasta, by wrócić przynajmniej z nowym kapeluszem lub parą fantazyjnych pantofli, które zaraz po powrocie Alainy z pracy demonstracyjnie na siebie wkładała.

Alaina, dzięki temu, że sama nie miała spokojnie przespanych nocy, zauważyła, że i Cole cierpiał na bezsenność. Podczas gdy Roberta smacznie spała, on kręcił się po domu, jakby szukał czegoś więcej niż słodczy małżeńskiego łoża. W istocie Cole był w wielkiej rozterce. Roberta odpowiadała na jego pieszczoty z minimalnym zainteresowaniem. A gdy już im się poddawała, chciała jak najszybciej mieć wszystko za sobą. Nie było w niej odrobiny tej płomiennej namiętności, którą zapamiętał z pierwszej nocy. Nawet te porywy, jakie okazywała mu przed ślubem, teraz, gdy już nosiła jego nazwisko, znacznie ochłodziły.

- O Boże, Cole. - Roberta sieknęła zgorzozona, gdy przejechał językiem po jej wargach. - Chyba nie myślisz, że dama tak się całuje? To odrażające!

Cole zdziwił się.

- Ale kiedyś ci się podobało.

- Mnie? Nigdy! - odparła ze wstrętem.

Cole przesunął dłonią po szyi, czując napięcie mięśni. Z Roberta nigdy nie czuł się swobodnie, nawet podczas błażych rozmów. - A co się właściwie stało z medalionem, który ci dałem? Brak mi go.

- Medalionem? - powtórzyła pustym głosem.

Cole otworzył okno.

- No wiesz, z tym, który ci dałem tamtej nocy - nachmurzył się, poirytowany lukami we własnej pamięci. Przypominały mu się jedynie strzępy, fragmenty tamtych godzin, jak w półśnie. Nie było w nich jednak żadnego logicznego porządku i nie potrafił sobie tego wszystkiego wytłumaczyć. Wydawało mu się, że włożył jej medalion na szyję, bo nie miał pieniędzy. Ale to nie miało żadnego sensu. Nie wyobrażał sobie, żeby Roberta sprzedała się za złotą błyskotkę, choć uwielbiała wydawać jego pieniądze. - Przynajmniej wydaje mi się, że dałem go tobie.

- Musiałeś go zgubić - stwierdziła Roberta. - Poszukam go i znajdę, jeśli jest w domu.

Następnego dnia, gdy Alaina wróciła ze szpitala, zastała swój pokój wywrócony do góry nogami. Przeszukano w nim każdy milimetr powierzchni. Materac i pościel były ściągnięte z łóżka i rzucone na stertę na podłodze. Oniemiała ze zdumienia, patrząc na panujący tu chaos.

- Mogła to przynajmniej zrobić porządniej - zaszczała Alaina, nie mając wątpliwości, kto to zrobił i czego szukał. Ze złością schowała do szafy ubrania i zabrała się do robienia porządku, gdy na korytarzu za zewnątrz pokoju zadźwięczały kroki Cole'a. Nie zdążyła zamknąć drzwi, a on już był obok. Zatrzymał się nagle i zapadła

długa cisza. Wreszcie postąpił krok w kierunku drzwi, a na jego twarzy wymalowało się niedowierzanie.

- Al! Wstyd i hańba! Powinieneś się wstydzić.

Alaina powoli zamknęła oczy. Rozżalona, walczyła ze sobą, by nie wykrzyknąć mu wszystkiego, nie nazwać go ślepy, głupim durniem, jakim z pewnością w tej chwili był.

- Tylko dlatego, że kupuje pan te wojskowe przydziały, żeby napęlić nam brzuchy - odgryzła się - nie musi pan zaraz rządzić całym domem! Mam w swoim pokoju tak, jak mi się podoba. Sprzątam wtedy, kiedy chcę. Żaden niebieskobruch z mosiężnymi guzikami nie będzie mnie wiecznie pilnował! Niech pan stąd wyjdzie!

Napięcie między Alaina a jej wujkiem nieco opadło, do czego niewątpliwie przyczyniło się to, że spędzała większość czasu w szpitalu lub u pani Hawthorne. W tych dwóch miejscach przynajmniej była bezpieczna od jadowitych spojrzeń Roberty i jej niby niewinnych uwag, które raniły do żywego. Życie w domu Craighughów dalekie było jednak od sielanki. Po kilku tygodniach wątpliwego szczęścia małżeńskiego między młodą parą coraz częściej wybuchały sprzeczki. Roberta, która zdołała już zebrać niezłą kolekcję bogatych sukien i dodatków, teraz chciała je pokazywać na eleganckich balach i innych imprezach organizowanych przez kręgi federalne. Angus z uporem godnym południowca odmawiał otwarcia swego domu dla jankeskiego towarzystwa. A to jeszcze bardziej rozdrażniało Robertę.

Opowiadano, że żona generała Banksa i żony wielu innych oficerów noszą modne suknie, i Roberta straszliwie pragnęła olśnić je swoją własną kolekcją. Miała już dosyć pełnych dezaprobaty spojrzeń dam z Południa. Poza tym cóż to była za przyjemność chwalić się sukniami przed wdowami w czerni i kobietami, których mężczyźni walczyli gdzieś na froncie. Gdyby tylko mogła wziąć udział w którejś z tych ważnych uroczystości, na pewno uznano by ją za najlepiej ubraną kobietę w Nowym Orleanie. A ukoronowaniem jej sukcesu byłoby przybycie tam u boku przystojnego oficera federalnego. Największy problem był w tym, że zawód Cole'a pozostawiał mu bardzo mało wolnego czasu, a więc musiała się zadowolić nader ubogim życiem towarzyskim. Była to dla niej gorzka pigułka do przełknięcia.

Roberta oczekiwała, że nie będzie już jak dotąd wiecznie siedziała w domu, a jej życie stanie się znów wesołe i ekscytujące. Lecz szybko zrozumiała, że choć Cole był hojny, jeśli chodzi o pieniądze, to jego czas był wyliczony co do minuty. Postawiła sobie za cel domagać się więcej z tego, co było dla Cole'a ważniejsze niż pieniądze. Jeśli nie wrócił do domu o spodziewanej porze, wpadała w złość lub się dąsała. Gdyby zachowanie Cole'a nie wskazywało niezbitnie na jego absolutne przekonanie o tym, iż Al jest nie domytym i nie wychowanym chłopakiem, oskarżyłaby Alainę o próbę odebrania jej Cole'a przez zatrzymywanie go w szpitalu.

Tymczasem władze federalne wyznaczyły datę sprzedaży Briar Hill i Alaina była coraz bardziej niespokojna. Przyrzekła sobie, że w jakiś sposób odkupi swą posiadłość, choć z jej niskich zarobków było to raczej niemożliwe. Postanowiła jeszcze raz przebrać się za wdowę i wyjść do miasta. Przedtem jednak musiała przekonać Cole'a, by dał jej wolne. Z takim postanowieniem rozpoczęła dzień.

Przywdziała zwykłe ubranie, utyskując po cichu na za ciasną bieliznę. Miała szczęście, nie musiała się już martwić, że spodziewa się dziecka. Jednak coraz trudniej przychodziło jej ukrycie swych zupełnie nie chłopięcych kragłości. Wciąganie na siebie wciąż tej samej starej bielizny było pracochłonne i zabierało dużo czasu. Zwłaszcza dziś miała takie wrażenie, spiesząc się, by złapać Cole'a, zanim wyjdzie.

Poza Dulcie najwcześniej w całym domu wstawał Cole Latimer. Potem Alaina. Reszta rodziny zwykle

podnosiła się z łóżek po ich wyjściu, a najpóźniej budziła się Roberta. Potem narzekała, że wszyscy zjedli już najlepsze kąski jedzenia kupionego przez jej męża. Doszło nawet kilka razy do kłótni na ten temat, gdyż Dulcie korzystała ze wzbogaconej spiżarni jak ze wspólnej własności. Dopiero po stanowczym oświadczeniu Cole'a, że właśnie tak ma być, Roberta dała sobie spokój.

Z naleźycie spłaszczonym biustem, szurając butami z junacką swobodą, Alaina weszła do kuchni. Cole siedział przy stole, jedząc obfite śniadanie przygotowane przez Dulcie. Po stanowczej deklaracji Cole'a, że to, co kupuje, jest dla wszystkich, Dulcie z oporami, ale zaczęła zmieniać swą opinię o Janekach, a temu jednemu nawet postanowiła dać szansę. Dalej jej przyjazne uczucia wobec niego podszyte były rezerwą, lecz cisza panująca w kuchni, gdy Alaina tam weszła, była teraz wypełniona wzajemnym szacunkiem.

Mówiąc Dulcie dzień dobry, Alaina usiadła na skrzynce na drewno tuż obok kuchni. Po dłuższej chwili Cole podniósł wzrok i widząc baczne spojrzenie chłopca, opuścił widelec na talerz. Dulcie patrzyła ze zdziwieniem to na jedno, to na drugie, próbując się domyślić, o co tym razem chodzi.

- Masz do mnie jakąś sprawę? - spytał Cole i czekał niecierpliwie na odpowiedź.

Alaina odwróciła krzesło i usiadła na nim okrakiem, kładąc ręce i brodę na oparciu, tak że spod grzywy brudnych włosów widać było tylko czubek nosa i błyszczące szare oczy. W odpowiedzi wyrzuciła chłopięcym żargonem:

- Mam wszystko w szpitalu porobione, a jeśli tak, to pomyślałem, czy nie mógłbym dostać wolnego dnia.

Cole skrzywił się, patrząc na brudną twarz wyrostka.

- A co masz takiego pilnego do zrobienia? - I natychmiast uniósł rękę, by powstrzymać odpowiedź. - Nie mów, wiem! Masz zamiar się wykapać i potrzebujesz całego dnia, żeby zeszkrobać z siebie ten brud.

Dulcie z trudem stłumiła chichot i szybko zajęła się krojeniem szynki, widząc coraz bardziej nachmurzone czoło Alainy i jej zwięzione gniewem oczy. Dziewczyna przebrana za chłopaka pociągnęła nosem i wytarła brudny nos rękawem.

- Mam coś do załatwienia - uciekła spojrzeniem w krokwie sufitu, nie mogąc znieść jego rozbawionej miny. - Mógłbym sobie kupić nowe buty - z kolei wodziła oczami po podłodze. - Oszczędziłem trochę pieniędzy i chciałbym kupić jeszcze parę rzeczy. Muszę coś sprawdzić. Zresztą nie miałem całego dnia dla siebie, odkąd tu przyjechałem.

- Nowe buty! - Cole aż cofnął się ze zdumienia. - Nowe ubranie! Raczej mydło i gąbkę. Pozwól, niech zobaczę, czy nie masz gorączki - wyciągnął rękę do czoła Alainy.

- Ręce przy sobie, niebieskobruchu! - ostrzegła zdecydowanie Alaina, uciekając przed jego dotykiem jak przed rozpalonym żelazem. - Nie jestem chory. Po prostu dziś nie mam ochoty pracować i już.

- Myślę, że na to zasłużyłeś. - Cole odsunął się od stołu i wstał. - Muszę już iść. Wyjął zza pasa rękawice z kozłej skóry i wkładając je, poszedł do tylnych drzwi. Tam jeszcze raz się obejrzał. - Jeśli weźmiesz kąpiel, wpadnij do szpitala, zanim znów się pobrudzisz. Chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz, gdy jesteś czysty.

Wyskoczył na dwór, nie słysząc tego, co mu odburknięto, ale już sam ton świadczył, iż nie był to komplement.

Młody urzędnik banku był pochłonięty przepisywaniem danych do księgi głównej, gdy dotarło do niego, że odgłos wysokich obcasów na marmurowej posadzce ucichł przy jego biurku. Odłożył pióro i podniósł oczy w okularach na osobę, która mu przeszkodziła. Prawie wstrzymał oddech, bo stojąca przed nim kobieta była kształtna

i zgrabna, z rodzaju takich, o jakich mężczyźni często rozprawiają, ale rzadko mają szczęście je spotkać. Żałobny strój wdowy, czarny lub ciemnoszary, surowy w kroju, był obecnie bardzo powszechny na Południu. To, co dostrzegła przez czarny welon: drobną twarz i oczy w ciemnej oprawie, pobudzało chęć, by uniosła zasłonę i pozwoliła mu upewnić się, że piękno jej twarzy dorównuje zgrabnej sylwetce.

W mgnieniu oka jego stosunek zmienił się z lekkiego poirytowania w przymilną usłużność.

- W czym mogę pani pomóc?

- Poinformowano mnie, żeby się zgłosić do pana. - Głos był jedwabisty i łagodny; miał w sobie jakieś fluidy, które budziły w nim dreszcz.

- Oczywiście, proszę pani. - Wstał i pospieszył po krzesło dla swego atrakcyjnego gościa, po czym wrócił na swoje miejsce. - Czym mogę pani służyć w dzisiejszym dniu?

Alaina ostrożnie uniosła welon i zrobiła bezradną minę. Musiała bardzo uważać, żeby nikt jej nie poznał. Urzędnik zapomniał o bożym świecie, zatopiwszy spojrzenie w szarych oczach kobiety.

- Proszę pana, zmarł mój ojciec i zostawił mi niewielki spadek - Zaczęła dystygowanym tonem. - Myślę o przeniesieniu się z Nowego Orleanu, może gdzieś dalej, w górę rzeki, i chciałam się dowiedzieć, czy są aktualnie do sprzedania jakieś majątki odpowiednie dla wdowy o ograniczonych zasobach. Muszę ostrożnie gospodarować pieniędzmi, bo to wszystko, co mam. Rozumie pan, że nie stać mnie na nic drogiego - uśmiechnęła się ujmująco. - Nie zna pan może jakiegoś miejsca wystawionego na sprzedaż, powiedzmy na północ stąd? Słyszałam o jakiejś opuszczonej plantacji w pobliżu Alexandrii, zdaje się nad rzeką. Uwielbiam rzeki, wszystkie, a pan?

- O tak, tak, z pewnością, proszę pani - przytaknął gorliwie. Odchrząknął i przybrał ważną minę. - Niech no zobaczą. - I przeglądając plik papierów, dodał: - Jest jedno miejsce od niedawna na sprzedaż, ale pewnie nie będzie go pani chciała.

- Dobry Boże, a dlaczego? - zatrzepotała rękami w niewinnym zmieszaniu. - Czy coś jest tam nie w porządku?

- Nie, ale to majątek rodzinny tej renegatki Alainy MacGaren.

Ogarnęła ją fala podekscytowania i dopiero po chwili była w stanie powiedzieć spokojnie:

- Ciekawe, za ile takie miejsce się sprzedaje. Czy jest bardzo drogie?

- Nie, niezbyt, proszę pani - mężczyzna się zaśmiał. Ta słodka istotka może liczyć na wszelką pomoc z jego strony. Nie wygląda na więcej niż dwadzieścia lat, a w tych okrutnych czasach kobieta powinna się wspierać na silnym mężczyźnie. - Jankesi wystawiają go na aukcję, a cena wywoławcza wynosi tylko pięć tysięcy dolarów jankeskich.

Alaina przełknęła ślinę. To niweczyło jej nadzieje. Tylko pięć tysięcy dolarów Unii! Przy takiej cenie i jej pensji w szpitalu będzie ją stać zaledwie na słupek do wiązania koni.

- Ten obiekt idzie na przetarg i data zamknięcia to... niech sprawdzę... kwiecień... dwunasty kwietnia, proszę pani. Wynik będzie podany we wszystkich okolicznych bankach na terytorium zajmowanym przez Unię.

- Mój Boże... - Alaina nie mogła się pozbyć przerażenia w głosie. - Nie stać mnie na tyle. Czy jest może coś tańszego?

Kasjer bankowy posmutniał.

- Nie, proszę pani, nie ma. Pozostałe idą na aukcje, w których należy próbować sił.

- Muszę się poradzić z wujkiem - bąknęła Alaina, wstając na drżących nogach, i posłała mu wątyły uśmiech. -

Dziękuję panu bardzo za pomoc.

Z ciężkim sercem Alaina odeszła od biurka urzędnika. Wymieniona przez niego suma tak dalece przekraczała jej możliwości, że wydawała się utopią. W zasadzie jedyną osobą, która mogła mieć tyle pieniędzy, był Cole Latimer, ale z nim nawet nie mogła poruszyć tego tematu.

Alaina wyszła z banku tak pogrążona w myślach, rozważając swój problem, że nie zwróciła uwagi na mężczyznę zagrządzającego jej drogę. Zatrzymała się nagle tuż przed nim i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że stoi oko w oko z Jacques'em DuBonném.

- Mademoiselle! - Mówiąc to, skłonił się nisko. Potem wyprostował się z hultajskim uśmiechem na ogorzalej twarzy. Nareszcie znalazł tę młodą wdowę, której szukał. - Znow się spotykamy!

Alaina błyskawicznie opuściła welon i zeszła na bok, by go wyminąć, lecz mężczyzna natychmiast znow jej zastąpił drogę.

- Za przeproszeniem, mademoiselle. - Rozłożył ręce, pokazując, że nic nie poradzi. - Nie pozwolę pani znow uciec. Ostatnim razem zniknęła pani jak kamfoha. Nigdzie nie mogłem pani znaleźć.

Alaina spojrzała na niego beznamiętnie.

- Nie rozumiem, z jakiego powodu miałby mnie pan szukać. Chyba tracił pan czas. Nie znam pana ani nie pragnę zmienić tego stanu rzeczy. A teraz, gdyby pan mógł mnie przepuścić...

- *Ma chérie!* - Jacques nie dawał za wygraną. - Nie domyśla się pani, że jestem w niej zakochany? Skoho więc panią znow znalazłem, będę upahty i nie puszcze pani, dopóki nie dostanę obietnicy spotkania. Może dziś wieczorem?

- Chyba pan żartuje! Nie widzi pan mego wdowiego stroju? Pana propozycja jest nie na miejscu i jeśli mi pan nie pozwoli przejść, zacznę krzyczeć.

Nachalność tego człowieka o czarnych kędzierzawych włosach zaczynała ją wyprowadzać z równowagi. Spróbowała przejść obok niego, lecz chwycił ją mocno za ramię.

- To jest za bardzo publiczne miejsce, żeby rozmawiać o tak delikatnych sprawach, *ma chérie*. Po długiej sthonie ulicy mam powóz i swojego człowieka. Zawiozę panią, dokąd pani sobie życzy, a po drodze możemy mieć trochę intymności.

Jacques uniósł rękę i dał znak Murzynowi siedzącemu na koźle wielkiego landa. Na sygnał Francuza sługa machnął lejcami i zaczął podjeżdżać bliżej.

- Zbyt wiele pan sobie obiecuje! Nie zwykłam przebywać w towarzystwie obcych mężczyzn. - Alaina miała już dosyć nieprzyzwoitych propozycji tego człowieka i pragnęła odejść w swoją stronę. Wokół zatrzymało się kilkunastu przechodniów i jeśli nie przeszkadzało to Jacques'owi, na pewno niepokoiło ją. Wyszarpnęła rękę z jego uchwytu i przeszła go zza welonu lodowatym spojrzeniem. - Proszę się odsunąć.

- Chodź, *ma petite*. Nie bądź thudna. - Roześmiał się, ignorując jej protesty. Większość ze znanych mu panienek lekkich obyczajów figlowała z nim chętnie za kilka monet. Nie znał dotąd żadnej damy, więc nie miał pojęcia, jak powinien się zalecać dżentelmen. Kobiety służyły mu do zaspokajania egoistycznych zachcianek, a gdy go męczyły, odstawiał je. Ta wdówka go zainteresowała, a jemu się nie odmawia. Poufale otoczył ręką jej smukłą kibić i pociągnął w stronę powozu. - Zabiohę cię na przejażdżkę moim wspaniałym powozem, a potem możemy.... aach!

Ten ostatni okrzyk dobył się z jego gardła, gdy ostry i cienki obcas wbił mu się w podbicie. Wyrwał obolałą

stopę i ponownie złapał ją za rękę. Ale tylko na chwilę, bo zaraz zatoczył się i w uszach mu zadzwoniło, gdy drobna rączka Alainy wymierzyła mu siarczysty policzek. Nie podejrzewałby nigdy takiej siły u tak małej osóбки. Lecz tego było już za wiele! Żadna uliczna dziewczka nie będzie obrażała Jacques'a DuBonnégo. Wściekłość zaćmiła mu rozsądek. Gdy odzyskał równowagę, rzucił się do przodu, by ją schwycić i porządnie odplacić za piękną jeszcze twarz.

W następnej chwili wydał jęk, bo czyjaś silna ręka złapała go za kark i cofnęła do tyłu z taką energią, że z głowy spadł mu kapelusz. DuBonné sięgnął po swój sztylet, ale ręka trzymająca go za kark uniemożliwiła to. Nagle poczuł cienkie ostrze sztyletu między własnymi łopatkami, płaszcz miał bowiem odciągnięty do tyłu. Znał ten dobrze naostrzony nóż i przestraszył się, że może przypadkiem utoczyć własnej krwi. Zesztywniał cały, stopami ledwo dotykając chodnika. Nie mógł się nawet obejrzeć, żeby zobaczyć, kto go trzyma.

Czarny olbrzym zatrzymał lando i już szykował się, by zeskoczyć i włączyć się w wir walki, lecz zmartwił, ujrawszy lułę remingtona .44, celującą wprost w jego szeroką pierś. Powoli i ostrożnie usiadł z powrotem na koźle.

Cole Latimer pchnięciem postawił krzykliwie ubranego mężczyznę z powrotem na nogi.

- Wygląda na to, monsieur DuBonné - mówił przeciągle, swymi błękitnymi oczami krzesając iskry - że spotykam pana zawsze, gdy atakuje pan kobiety lub dzieci.

Jacques poprawił płaszcz i podniósł kapelusz. Otrzeputując go z kurzu, zmierzył Cole'a złowrogim spojrzeniem.

- Już trzy razy mi pan przeszkodził, *capitaine docteur* - energicznie włożył kapelusz. - Mam zwyczaj szybko spłacać takie długi.

Cole zdjął palec ze spustu i wsunął pistolet do kabury, celowo zostawiając ją odpiętą. Pozdrowił czarno ubraną kobietę, uchylając kapelusza.

- Wszystko w porządku, proszę pani?

Spod gęstego welonu prawie nie było widać jej twarzy. Odpowiedziała ledwo zauważalnym skinieniem.

- Czy żąda pani od tego człowieka zadośćuczynienia?

Pokręciła czarno przybraną głową, że nie.

- A więc uznam tę sprawę za skończoną.

Alaina zdobyła się na odpowiedź:

- Moja dozgonna wdzięczność, panie kapitanie.

Niski, aksamitny głos coś Cole'owi przypominał, ale nie miał czasu na zastanowienie się, bo Jacques DuBonné odgrażał się dalej.

- Niech pan uważa, *capitaine docteur*, bo ja nie lubię, żeby mi przeszkadzano. Następnym razem będzie inaczej.

Cole zamknął kaburę pistoletu.

- Lepiej niech pan uważa, monsieur DuBonné. Wiem z doświadczenia, że rany postrzałowe goją się znacznie trudniej niż cięcia zadane szablą.

Jacques parsknął szyderczo i potoczył wzrokiem wokoło.

- Myślę, monsieur, że obaj straciliśmy okazję. - Wskazał na szybko oddalającą się drobną postać wdowy. Patrząc, jak znika za rogiem. Cole nie zauważył pospiesznego gestu, jaki Jacques zrobił w kierunku wysokiego, chudego mężczyzny, który właśnie wyszedł z budynku naprzeciwko. Ten kiwnął głową i pobiegł za uciekającą

kobietą.

Jacques poszedł niedbałym krokiem do swego powozu i zwrócił się do oficera federalnego z pożegnaniem:

- Do widzenia, *capitaine docteur* Latimeh. Do następnego hazu.

Cole dotknął ręką kapelusza.

- Być może.

Powóz odjechał, a Cole poczuł złość. Zdecydowanie wolałby dłużej porozmawiać z wdową. Tak samo jak Jacques, pragnął ją poznać bliżej. I ten głos! Brzmiała w nim jakaś znajoma nutka, lecz jakże ulotną miał pamięć! Gdzieś już musiał ją słyszeć i nie spocznie, póki sobie nie przypomni.

Alaina wśliznęła się do domu Craighughów, nieświadoma, że była śledzona przez człowieka Jacques'a DuBonného, który pospieszył mu donieść, że wdowa mieszka w tym samym domu co doktor Latimer. Informacja ta zupełnie zdezorientowała Cajuna i podkopała jego plany co do jej osoby. Ale jeszcze bardziej zdumiewające było to, że potem nie widziano jej już wychodzącej z domu, choć ten sam mężczyzna obserwował go przez kilka następnych tygodni.

Unosząc spódnicę, Alaina wchodziła po schodach, ale już na półpiętrze zastąpiła jej drogę Roberta. Mimo późnego popołudnia była jeszcze w koszuli nocnej i narzutce.

- Gdzie byłaś w tym przebraniu? - dopytywała się starsza kuzynka.

Alaina przeszła obok, zdejmując kapelusz.

- Byłam w banku, żeby zapytać o Briar Hill.

- Co takiego? - pisnęła Roberta i wpadła za Alaina do sypialni. - Dla tej nędznej farmy narażasz nasze bezpieczeństwo?! Jak śmiesz!

Alaina odwróciła się i oczy jej pociemniały ze złości.

- Ta nędzna farma, kochana - oznajmiła niskim, groźnym tonem - była moim domem. Zbudowała go w trudzie moja rodzina. W tej ziemi spoczywają kości mojej matki. Więc gdy mówisz o tym do mnie, postaraj się okazać więcej szacunku, żeby ciebie nie spotkał jeszcze gorszy los.

- Ty masz czelność mnie straszyć?! Gdyby nie ty, nie musielibyśmy teraz wszyscy żyć w strachu. Uważaj, żebyśmy ci nie wymówili mieszkania.

- Gdyby nie ja, kochana, nigdy nie wyszłabyś za swego wspaniałego Cole'a - przypomniała jej złośliwie Alaina. - Czy to nie jest warte trochę strachu?

Gromy ciskane przez ciemne oczy jednoznacznie komunikowały niechęć Roberty do przywoływania pewnych wspomnień.

- Któregoś dnia wyjedziemy stąd z Cole'em.

Alaina odwróciła się i mówiła przez ramię, zdejmując pantofle.

- To pani Mortimer była wczoraj, gdy wróciłam z pracy? Słyszałam, jak rozmawiałaś z nią o Waszyngtonie. Czy tam właśnie masz zamiar zabrać Cole'a?

- Masz gumowe uszy, kochana - powiedziała Roberta z tonem zadowolenia w głosie.

- Muszę mieć oczy i uszy otwarte, gdy przyjmujesz w domu Jankesów. - Alaina uniosła kąciki ust w namiastce uśmiechu. - Nazwijmy to instynktem samozachowawczym.

- Pani Mortimer jest żoną oficera Unii - poprawiła Roberta.

- Jak powiedziałam, Jankeska.

- Porozmawia z mężem na temat wysłania Cole'a do Waszyngtonu. Może nawet do biura samego prezydenta. Jest inteligentny...

- No, no! Masz w stosunku do niego ambicje. A rozmawiałaś o tym z samym Cole'em?

- Jeszcze nie czas na to. Wkrótce się dowie.

- Jak to ładnie z twojej strony! Na pewno pozostanie ci na zawsze wdzięczny za pomoc w zrobieniu kariery.

- Nie drwij ze mnie - rzuciła Roberta. - Robię to dla jego własnego dobra. To więcej, niż ty byś dla niego zrobiła, gdybyś umiała przeprowadzić swój plan zagarnięcia go dla siebie. Najlepsze, co mogłabyś mu dać, to gromada uczeplonych do niego bachorów.

- Masz rację - zgodziła się Alaina, rozkładając ręce w dramatycznym geście. - Jak zawsze!

16

Okupowane miasto nad Missisipi przeżywało kolejno powodzenia Konfederacji i, ku zmartwieniu okupującej armii, niepowodzenia Unii. We wrześniu miasto cieszyło się z porażki Unii pod Chickamaugą, a w październiku, kiedy Lee, idąc znów na północ, przekroczył Rapidan, wszyscy byli już prawie pewni wyswobodzenia. Jednak z początkiem listopada Lee wrócił na zimową kwaterę w to samo miejsce, z którego wyruszył miesiąc wcześniej. W mieście zrobiło się milcząco i ponuro. Następnie Grant zmusił armię Bragga do ucieczki pod Chattanooga, a Longstreetowi nie udało się pokonać Unii pod Knoxville. Skończyło się marzenie Nowego Orleanu o szybkim połączeniu z siłami Południa.

Boże Narodzenie i początek nowego roku były nad wyraz posępne. Świątowano tylko w zaciszu domów, jeśli w ogóle. W drugim miesiącu roku sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy Sherman posunął się daleko w głąb terytorium stanu Missisipi, a armie wschodnie wciąż pozostawały nie wykorzystane. Zatopienie fregaty jankeskiej „Housatonic” przez mały okręt podwodny „Hunley”, choć nie miało wielkiego znaczenia strategicznego, stało się przykładem pięknego heroizmu. Natomiast wiadomość o zwycięstwie konfederatów pod Olustee na Florydzie przysłoniła cieniem inna. Gubernatorem Luizjany mianowano niejakiego G. Michaela Hahna, choć rodem z tego stanu, zagorzałego przeciwnika secesji.

Przyszły marcowe wichury. Ziemia wyschła i stwardniała, jakby szykując się do przemarszu wojsk. Po pierwszym wietrznym tygodniu na uroczystość inauguracji nowego gubernatora wybrano sobotę. Najpierw odbyła się ceremonia na placu Lafayette'a, w obecności licznych oddziałów Unii. Dalsze uroczystości zdumiały mieszkańców miasta swą niespotykaną ekstrawagancją.

Głos chóru tysiąca zebranych mężczyzn wzniósł się do nieba w pełnej wersji *Chóru z kowadłem*, przy akompaniamencie wszystkich orkiestr wojskowych oraz elektrycznie zsynchronizowanych wystrzałów setek armat. Kościołom nakazano bić w dzwony. Stworzyło to wszystko hałas wspaniały, choć niezbyt melodyjny.

Rano tego dnia Alaina siedziała przy kuchni, a Dulcie szykowała dla niej porcję kaszy i kielbasę. Jasne płomienie tańczyły wokół dna czarnego kociołka wiszącego nad paleniskiem, a na powierzchni wrzącej wody pieniały się bąbelki.

- Przyszedł dziś później niż zwykle? - Alaina wskazała głową na drzwi do spiżarni.

Dulcie podeszła do stołu z talerzem i szeptem wyjaśniła:

- Pan Cole ma dziś dyżur do późna wieczór, a odkąd wstał, panienska Roberta nie daje mu spokoju. Jankes

szukuje się na glans na tę uroczystość mianowania tego zdrajcy gubernatora, a ona chce, żeby pan Cole ją zabrał na ten nadęty bal, który wydaje wieczorem generał Banks. Teraz gdy ona i pan Cole mają wyjechać do Waszyngtonu, pani Roberta wbiła sobie do głowy, że należy już do tych Jankesów. Wczoraj, jak ty i pan Cole byliście w szpitalu, kazała Jedediahowi zawieźć się do domu pani Banks. Wróciła pełna zachwyty nad jej dystygowanymi manierami.

Alaina parsknęła z oburzenia, mieszając topniejące masło z kaszą. Widząc, jak dziewczyna posypuje tę ugotowaną papkę kopiastrą łyżką cukru, Dulcie zmarszczyła czoło.

- Dziecko, tak jedzą kaszę Jankesi! I ty chcesz się przerobić na ich modłę?

- Dulcie?! - zawołał ze spizami biorący tam kąpiel Cole.

- Tak, panie Cole? - Murzynka podeszła bliżej drzwi.

- Poproś Jedediaha, żeby przyniósł mi teraz tę gorącą wodę.

- Jedediaha tu nie ma, panie Cole. Pani Carter z sąsiedztwa zaniemogła i poprosiła pana Angusa, żeby Jedediah odwiózł ją do lekarza.

- Zdaje się, że słyszałem głos Ala. Jest tam?

Dulcie rzuciła wymowne spojrzenie w stronę Alainy, która w lekkiej panice usiadła sztywno na krześle.

- Taak - powiedziała wolno służąca. - Panicz Al tu siedzi.

- Więc niech przyniesie mi wody. Ta już wystygła.

Alaina skrzywiła się z odrazą i zrobiła przerażone oczy. Po chwili zebrała się w sobie i odkrzyknęła:

- Sam sobie weź, niebieskobrzechu, jeśli potrzebujesz. Ja mam przed sobą cały dzień dźwigania wody, nie muszę zaczynać Już teraz.

- Al! - Cole krzyknął już ostro i gniewnie. - Przynieś natychmiast tę wodę!

Alaina rzuciła widelec i wrzasnęła w stronę drzwi:

- Nie mam zamiaru, niebieskobrzechu!

- Przynieś mi natychmiast! - zagrział Cole rozkazująco. - Bo wygarbuję ci ten chudy zadek!

- Najpierw musisz mnie złapać, Jankesie!

- Złapię cię - ostrzegł Cole. - I nie tylko wygarbuję skórę, ale jeszcze pokażę, do czego służy kąpiel!

Taka groźba zamknęła Alainie usta. Nie mogła do tego dopuścić.

- Al! - Kapitan zaczynał tracić cierpliwość.

- Już dobrze, dobrze! - jęknęła Alaina tonem niechętnie ustępującego nastolatka. Podeszła do kuchni i sprawdziła palcem wodę w kociołku. Nagle oczy jej rozbłysły złościwie. Dolała trochę zimnej wody do gorącej i jeszcze raz włożyła do niej rękę. W sam raz! Po dzisiejszym dniu Jankes nigdy więcej jej o to nie poprosi. Nabrała z kociołka pełne wiadro wody, po czym ruszyła z ciężkim wiadrem przez kuchnię.

- Al?

- Już idę! - zawołała. - Niech pan nie wychodzi z mydlin, Jankesie, już biegnę.

Unikając przerażonego spojrzenia Dulcie, otworzyła drzwi do spizami i weszła.

- Masz swoją wodę, niebieskobrzechu.

Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, Alaina wylała całą zawartość wiadra na jego plecy. Z zaskoczenia aż zachłysnął się powietrzem. Woda była wystarczająco gorąca, by odczuł to bardzo niemile. Cole ryknął z taką złością, że Alaina upuściła wiadro. Gdy, podparłszy się obiema rękami o brzegi wanny, dźwignął się z wody,

dziewczyna uznała, że nie ma na co czekać. Uciekła czym prędzej, zanosząc się śmiechem. Rozwścieczony doktor owinął biodra dużym ręcznikiem i popędził za nią, ślizgając się na kałużach pozostawianych przez mokre stopy. Jego niebieskie oczy wyglądały tak groźnie, że gdy obejrzała się przez ramię i zobaczyła je, przestała się śmiać. Czmychnęła przez kuchnię i stanęła tak, żeby rozłożyste kształty Dulcie oddzielały ją od półnagiego, rozwścieczonego Jankesa.

- Ty smarkaczu! Zaraz ci złoję spodnie! - krzyczał Cole.

- O co chodzi, kapitanie? - zapytała Alaina niewinnym tonem. - Nie była dość gorąca?

- Ty nierozumny, mały włóczykiju! - Cole dyszał żądzą zemsty i był już coraz bliżej. - Najwyższy czas, żebyś się nauczył, do czego służy gorąca woda!

Alaina wreszcie oswobodziła Dulcie z niezręcznej sytuacji i schroniła się przed swym wrogiem za duży kuchenny stół.

- Tylko dlatego, że teraz pan się uważa za mojego krewnego - oznajmiła Alaina wyniośle, przejeżdżając szczupłym palcem po rozsypanej na stole mące - nie znaczy, że ma pan prawo mnie wychowywać.

- Już ja cię wychowam! - odgrażał się Cole, goniąc ją naokoło stołu.

Po chwili musiał się salwować ucieczką, Alaina wysłała bowiem w jego kierunku jeden but, a zaraz potem drugi, który wylądował na jego gołej nodze. Stęknął z bólu, aż Alaina się skrzywiła, bo nie chciała go uderzyć tak mocno. Nie miała jednak czasu ocenić rozmiarów wyrządzonej mu krzywdy, gdyż Cole znów ruszył do niej, a ona z chichotem krążyła wokół stołu.

- Co tu się dzieje? - rozległ się nagle piskliwy głos i wszyscy raptownie ucichli, ujrawszy w drzwiach Roberta.

- Ten smark omal mnie znów nie poparzył! - wycedził Cole przez zaciśnięte zęby. - Tak się z nim rozprawię, że będzie musiał sobie robić okłady na siedzenie!

- Cole'u, przestań! - krzyczała jego żona, gdy rzucił się na robiącego uniki Ala, który odskoczył od stołu, chcąc wziąć z powrotem buty.

- Najpierw go nauczę dobrych manier! - wygrażał Cole. - Już najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił!

Kapitan gonił rozchichotanego wyrostka, a ten uciekał w stronę tylnych drzwi. Już prawie go doganiał, gdy zatrzaśnięto mu nagle drzwi przed nosem i znalazł się twarzą w twarz z Robertem. Bojąc się, że jej mąż naprawdę wyskoczy za Alaina na dwór, własnymi ramionami zagroziła mu drogę.

- Chcę z tobą porozmawiać! - zażądała. - Na gorze, jeśli można.

- Właśnie się kąpałem - odparł Cole i skierował się z powrotem do spizami. - I chciałbym dokończyć, skoro już się pozbyłem tego małego czorta.

- Paradując nago w obecności kobiet - szydziła Roberta.

Cole zacisnął mocniej ręcznik wokół bioder i zatrzymując się w pół drogi, odwrócił się do Dulcie z przepaszającym ukłonem.

- Proszę mi wybaczyć. Zapomniałem o tym w złości.

Dulcie mieszała kaszę i nie była w stanie ukryć rozbawienia.

- Ten Al, on to umie czmychać.

- Cole'u! - Robercie nie było do śmiechu. - Trzymaj się z dala od tego chłopaka!

Cole spojrział na żonę ze zdziwieniem.

- Nie bardzo mogę, moja droga. To ja przecież nająłem go do pracy w szpitalu i musiałbym znaleźć powód, żeby go usunąć. I jak wiesz, kochanie - mówił uprzejmie, lecz z sarkazmem - ja tam również pracuję.

- Już mam tego dość! - wycodziła Roberta. - Mógłbyś mnie dziś wieczorem zabrać na bal, ale ty wolisz ten przeklęty szpital niż mnie.

Cole nie zareagował ani słowem. Ostatnio było to jedyne miejsce, dokąd mógł uciec od ciągłych utyskiwań Roberty. Zauważył też, że Dulcie dyskretnie wymknęła się z kuchni.

- Nie zaprzeczasz, prawda? - szydziła Roberta. - Bo nie możesz!

Cole pokręcił głową.

- Nie zaczynaj tego od nowa, Roberto. Całkiem niedawno major Warrinton zastąpił mnie na wieczornym dyżurze i mogłem z tobą wyjść.

- I czułeś się fatalnie, prawda?

- Jeśli pamiętasz, moja kochana - rzekł, akcentując ostatnie słowa - poprzedniego wieczoru byliśmy w teatrze, a potem u Antoine'a. Spałem wszystkiego trzy godziny. Byłem zmęczony!

- Zawsze jesteś zmęczony, jak ze mną gdzieś idziesz! - oznajmiła Roberta z pretensją. - Ale tego... tego chłopaka masz siłę ganiać po kuchni!

- A cóż to ma za związek? - Cole machnął ręką z rezygnacją. - Chyba nie jesteś zazdrosna o tego małego wyrostka?

- Nie bądź śmieszny! Tylko że dla mnie nie masz nigdy czasu, a z nim jesteś ciągle - pokazała głową na podwórko.

- Nie martw się - powiedział Cole z jeszcze większym sarkazmem. - On nie pojedzie z nami do Waszyngtonu.

- Uhu! - Roberta zarzuciła do tyłu swą grzywę ciemnych włosów. - A ty wolałbyś zostać tutaj niż pracować u samego pana Lincolna.

Cole westchnął ciężko i potrząsnął głową.

- Roberto, wątpię, czy dostanę się do prezydenta. On ma pod dostatkiem pułkowników. Dla twojej informacji: w Waszyngtonie jest duży szpital, a generał Grant dba o to, żeby był pełen rannych. Jednej rzeczy możesz być pewna - że będę miał więcej pracy papierkowej.

- To i tak duży awans. Ale gdyby nie ja, odrzuciłbyś tę szansę. A tak może zostaniesz generałem, będziemy mieszkać w Waszyngtonie i spotykać ludzi z otoczenia prezydenta. Oczywiście, kiedy już wygra Unia.

- Chciałbym, żeby Grant był tego tak pewien jak ty - rzekł Cole z drwiącym uśmiechem i badawczo spojrział na Robertę. Wyglądało na to, że miała wszystko dokładnie zaplanowane. - Musisz też wiedzieć, że po wojnie wrócę do domu i podejmę na nowo praktykę lekarską.

- Co? Żeby cię zarżnęli Indianie, jak tylu innych biednych ludzi? Och, słyszałam o dzikusach włóczących się po tamtych okolicach. Nigdy tam się nie przeprowadzę! Nigdy!

Cole odwrócił się od niej pełen gniewu, pomaszzerował do spizami i zatrzasnął za sobą drzwi. Z przekleństwem na ustach rzucił ręcznik i wszedł z powrotem do wanny. Lecz na dobre rozeźlona Roberta nie odstępowała męża.

- Nie uciekniesz mi tak łatwo, Cole'u Latimerze! - podeszła do wanny. - Ciągle jeszcze nie uzgodniliśmy, co z dzisiejszym wieczorem. Chcę iść na bal!

Cole machnął ręką z irytacją.

- No to idź! Ja dziś pracuję!

- Nie zrobiliby ci różnicy, nawet gdyby zabrał mnie tam inny mężczyzna! - szlochała z wściekłości. - Jesteś zimny! Bez uczuć!

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Słucham?

- W twoich żyłach płynie lód! - rzuciła płaczliwe oskarżenie.

- No, moja droga - powiedział wolno i przeciągle. - Widziałem lód topniejący szybciej w styczniu w Minnesocie niż ty w łóżku.

- Co masz na myśli? - oburzyła się.

- Roberto, spójrzmy prawdzie w oczy. Od naszego ślubu okazujesz tymi sprawami znudzenie. Jeśli chcesz znać prawdę, wołałem cię tamtej pierwszej nocy, gdy Al wyłowił mnie z rzeki.

Przez chwilę Roberta stała jak oghuszona, a już w następnej w powietrzu świsnął wymierzony Cole'owi policzek.

- Jak śmiesz! Jak śmiesz! - krzyczała w poruszeniu. - Obrażać mnie tylko dlatego, że nie zachowuję się jak jakaś mała lafirynda, co idzie z tobą do łóżka za błyskotkę. Ja jestem damą, Cole'u Latimerze, i nigdy o tym nie zapominaj! Zapewniam cię, że dama nie gustuje w takim ohydny obmacywaniu!

Potał ręką zaczerwieniony policzek i bardzo zaintrygowany powiedział:

- Dziwne, zdaje mi się, że pamiętam, jak dawałem ci błyskotkę. A konkretnie medalion - ślizgał się spojrzeniem po pełnych piersiach nad głębokim dekoltem jej koronkowego szlafroka. - I czasem, Roberto, odnoszę wrażenie, że masz dwie zupełnie różne twarze. Gdzie jest ta kobieta, którą trzymałem w ramionach tamtej nocy? Czy po złożeniu ślubów małżeńskich zniknęła?

Roberta wyprostowała się pełna oburzenia, rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, odkręciła się na obcasach i wyszła. Tym razem ona trzasnęła drzwiami. Cole położył się w wodzie i słuchał szybkiego, przerywanego stukotu jej obcasów po ceglanej posadzce kuchni. Ta kobieta - pomyślał - zamienia moje życie w piekło.

Sięgnął od niechcienia do pojemnika, w którym leżały różne pachnące mydła kupione ostatnio przez Robertę, podniósł kostkę domowej roboty. Unosił się z niej uderzający zapach, który poruszał w nim głębokie, nieuchwytnie pokłady pamięci. Przez chwilę zamajaczyła tam kobieca postać, a z jej miękkich, kuszących i pełnych słodczy warg płynął śmiech i tamte słowa:

- Ale, kapitanie, to właśnie jest powód. Pan nie zapłacił.

Cole otworzył oczy. Znow ten sam głos! Chyba jest szalony! Nawet nie widział twarzy młodej wdowy, a wydaje mu się, że już trzymał ją w ramionach.

Wkrótce po wyjściu Cole'a do szpitala Roberta zameldowała się w rezydencji generała i wykorzystując dobre serce generałowej Banks, uzyskała od niej eskortę na wieczorny bal. Popołudnie spędziła na strojeniu się, przebieraniu w niezliczone suknie i odrzucaniu ich z niesmakiem, póki nie znalazła takiej, która pasowała do jej nastroju. Przed ubraniem się na bal zdrzemnęła się, by być świeża i wypoczęta przez cały wieczór. Da temu Cole'owi Latimerowi nauczkę, której długo nie zapomni.

Chociaż Dulcie ciężko pracowała przez cały dzień, krojąc i przygotowując do wędzenia mięso wieprzowe, kupione i przysłane do domu przez Cole'a, Roberta kategorycznie przykazała Murzynce, by sprzątnęła ich sypialnię, zanim wróci z balu. Gdy Alaina wróciła do domu od pani Hawthorne, której pomagała przy cięższych

robotach domowych, Dulcie jeszcze narzekała na zachcianki Roberty.

- Panienska Roberta poszła na te zabawy z jakimś jankeskim pułkownikiem, nie mówiąc panu Cole'owi ani panu Angusowi, ani pani Leali, a oni, tata i mama, pojechali odwiedzić rodzinę i zostaną na noc. Oj, będzie fruwać pierze, jak jej nie odwożą do domu, zanim wróci pan Cole. - Rzuciła na stół długie pęto kielbasy, które właśnie nafaszerowała, i smutno pokręciła głową. - I ze mną też może być źle, jeśli nie sprzątnę tego pokoju, zanim ona wróci. Cora Mae i Lucy poszły posiedzieć z panią Carter, bo lekarz kazał staruszce leżeć w łóżku. Po prostu nie dałam rady sprzątnąć na górze z całą tą tutaj wieprzowiną do uwędzenia, zanim przyjdzie gorąca pora. Panienska Roberta nie troszczy się, czy pozostali domownicy mają co jeść.

Rozumiejąc ciężkie położenie Murzynki, Alaina pomimo swego zmęczenia zaproponowała jej pomoc. Odkąd Cole wyznaczył murzyńskiej rodzinie przyzwoitą pensję i przejął koszty utrzymania domu, Roberta czuła się w nim panią. Będąc teraz kobietą zamożną, starała się utrzymać dominującą rolę, a od Dulcie i jej rodziny oczekiwała spełnienia w pierwszej kolejności każdej jej zachcianki. Czuła się teraz ważniejsza niż rodzice. Dom robił się coraz mniej przyjemny dla wszystkich jego mieszkańców.

Alaina do późna w nocy pomagała wieszać szynki i mięsa oraz sprzątać kuchnię. Potem, widząc, że Dulcie już pada ze zmęczenia, wysłała starą Murzynkę do łóżka i obiecała jej, że po kąpieli sama sprzątnie sypialnię Roberty.

Nie miała pojęcia, czego się podjęła, dopóki nie stanęła w drzwiach do pokoju kuzynki. Z przerażeniem ujrzała sterty ubrań, butów, halek, krynolin i masy innych dodatków porzucanych na podłodze i meblach. Nie posłane, rozmamłane łóżko zavalone było hałdą koszulek i jedwabnych pończoch. W całym tym bałaganie nie widać było ani jednej rzeczy Cole'a. Jego ubrania były porządnie poukładane w wysokiej szafie, wstawionej tu dla niego.

Alaina przyłożyła chłodne dłonie do skroni. Była już skonana i marzyła o pójściu spać, ale obiecała Dulcie, że dokładnie sprzątnie pokój, zanim się położy. Choć wydawało się, że to zadanie ponad jej siły, musiała dotrzymać słowa.

Delikatne pukanie kropli deszczu o szyby okazało się wstępem do burzy, która niebawem rozszalała się nad domem. Jasne błyskawice i goniące je natychmiast potężne grzmoty, z trzaskiem przecinające powietrze, sprawiały, że Alaina wzdrygała się ze strachu. Pokój był oświetlony tylko jedną lampą naftową, stojącą na komodzie przy drzwiach. Angus, chcąc się choć odrobinę zemścić na Jankesie, czego ten zresztą w ogóle nie zauważył, zabrał stąd wszystkie inne lampy. Kładąc się zazwyczaj późnym wieczorem. Cole musiał się przedzierać przez ciemności domu i po omacku szukać drogi do łóżka.

Alaina poskładała starannie jedwabne pończochy i schowała wytworne suknie, pozwalając sobie zobaczyć w dużym, stojącym lustrze, czy któraś z nich do niej pasuje. Jakże różniły się od jej znoszonego szlafroka, tego smutnego piętna jej własnego ubóstwa! Przypomniało jej to, że do tej pory nie zdołała zebrać pieniędzy na wykupienie Briar Hill. Nie potrafiąc znaleźć logicznego wytłumaczenia, na co potrzebna byłaby Alowi taka suma, nie śmiała prosić Cole'a o pożyczkę.

Z lekkim zażenowaniem zdjęła sfatygowany szlafrok. Jej koszula miała jeszcze na piersiach całkiem ładny kawałek koronki, choć zeszytanie rozdarcia nieładnie ją zmarszczyło.

Alaina sprzątała cichutko, podziwiając przy tym drogą ubrania. Chociaż należały do innej kobiety, przyjemnie było choćby dotknąć luksusowych jedwabi, bogatych aksamitów, wysadzanych perełkami staników czy karmazynowej sukni balowej wykończonych gagatami.

Czarne niebo przecięła kolejna błyskawica i strumienie deszczu spływały po szybach. Mały zegar na stolyczku przy łóżku delikatnie wybił północ i Alaina zdumiała się, że minęło tyle czasu. Jeszcze miała tylko kilka rzeczy do schowania, musiała wygładzić łóżko i mogła iść.

Chwilę później, wkładając do szafy obfitą halkę, Alaina zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Zdawało jej się, że słyszy jakiś hałas w holu wejściowym, a może to był daleki grzmot burzy. Cokolwiek to było, musiała się pospieszyć. Nie chciała tu zostać przyłapana ani przez Cole'a, ani przez Robertę.

Szybko zamknęła drzwi szafy i nagle zmartwiała. Tym razem wyraźnie usłyszała skrzypienie drewnianej podłogi w holu. Ktoś szedł w stronę pokoju Roberty. Nie było słychać szurania butów ani stukania wysokich obcasów. Ale padał duży deszcz. Cole z pewnością zatrzymałby się przy tylnych drzwiach i zdjął buty. Roberta natomiast nie zadałaby sobie takiego trudu, raczej ubłociliby mieszkanie.

Serce biło jej dziko w piersiach. Podbiegła do lampy i zgasiła płomień. Ale on ją przecież znów zapali - pomyślała gorączkowo. Ostrożnie, żeby nie spowodować żadnego hałasu, a już nie daj Bóg upuścić lampę, postawiła ją na podłodze za parawanem. W pokoju było teraz zupełnie ciemno. Wiedziała jednak, że Cole ma nad nią przewagę, bo jest przyzwyczajony do ciemności.

Alaina stała na środku pokoju, kręcąc się niezdecydowanie. Nie mogła go minąć w korytarzu! Wzięłby ją za Robertę i zatrzymał. Gdzie tu się schować? Pod łóżko! W żadnym wypadku! Znalazłaby się tam w pułapce, wbrew woli zmuszona, by być świadkiem ich amorów. Parawan! Oczywiście!

Gałka u drzwi przekreśliła się, więc Alaina szybko pomknęła tam, gdzie schowała lampę. Ale nie zdążyła. Drzwi otworzyły się i Cole dojrzał biel koszuli chowającej się za parawanem.

- Jeszcze nie śpisz? - W jego głosie nadal utrzymywała się ostra nuta irytacji.

Postrzępiona błyskawica rozdarła niebo, gdy Cole rzucił swą mokrą bluzę na krzesło przy kominku. Wystraszona Alaina patrzyła zza krawędzi parawanu, jak zdejmuje koszulę i idzie tam, gdzie powinna stać lampa. Ostrożnie, żeby niczego nie przewrócić, pomacał blat komody. Nie znalazłszy lampy, zaklął i otworzył jedną z szuflad, wyjął z niej cygareto i zapalniczkę. Przypalił cygareto, po czym podniósł zapaloną zapalniczkę do góry. Alaina cofnęła się i wstrzymała oddech, widząc, jak szuka lampy po całym pokoju.

- Gdzie się podziała lampa? - zapytał. Podeszedł do okien i rozsunąwszy szeroko zasłony, uchylił okno. Zapach deszczu zmieszał się z aromatyczną wonią cygara. Cole stał wpatrzony w czarną jak ebonit, szarpaną gromami noc, leniwie rozkoszując się cygarem. Wreszcie odwrócił się, rozpiął spodnie i usiadł na brzegu krzesła, żeby je zdjąć. Zanim zaczął zdejmować bieliznę, obejrzał się w stronę parawanu w rogu pokoju.

- Roberto? Czy coś ci dolega?

Alaina drżała ze strachu, nasłuchując, czy nie podchodzi. Cole był zaskoczony małomównością żony. Jeśli nadal się dąsała, dlatego, że nie poszła na bal, to czeka go kolejna noc kłótni.

Wrzucił cygareto do kominka i podeszedł do parawanu. Miał zamiar go złożyć, ale w tej samej chwili cała konstrukcja przewróciła się, popchnięta od wewnątrz. Górna część parawanu uderzyła go w piersi, a obok przemknęła jakaś biała postać. Cole ze złością odsunął parawan, wyciągnął rękę i zdołał schwycić ją za ubranie. Usłyszał nerwowy szloch i noga w małym damskim pantofelku kopnęła go w gołe.

- Co u licha, Roberto!?! Co się z tobą dzieje? - Nie zwracając uwagi na okładające go pięści, szarpnął ją z całej siły w stronę łóżka. Alaina zatoczyła się i z trwogą w sercu przeskoczyła przez nie. Cole był już wystarczająco wściekły, żeby rzucić się za nią i złapać. W następnej chwili trzymał w rękach tylko jej nocną koszulę. Cienki i

sprany batyst wystarczyło lekko pociągnąć, by się rozdarł. A jako że Cole wcale nie pociągnął lekko, tkanina pękła jak delikatna pajęczyna.

Cole odrzucił koszulę na bok i okrążył słupek łóżka, by dosięgnąć nagiej teraz kobiety. Niewyraźne zarysy jasnych ciał w ciemnościach pokoju zdradzały, gdzie się znajdują. Widząc, że Cole się do niej zbliża, Alaina zmieniła gwałtownie kierunek i skoczyła na drugą stronę łóżka. Cole był szybszy. Rzucił się w jej kierunku i złapał ją w objęcia. Nagły kontakt ich ciał przyprawił oboje o szok. Zaledwie przez ułamek sekundy miękkie, białe piersi spotkały się z mocną, owłosioną klatką, a już Alaina odsunęła się gwałtownie. Ale to krótkie zetknięcie upewniło Cole'a w jednym: to nie była Roberta! Zbyt drobną, szczupłą i lekką miała figurę. Sięgnął ręką i pogładził jej włosy. I wtedy wszystko mu się przypomniało. Krótkie włosy! Szczupłe ciało! Nie mógł pojąć tego, co się działo.

- Do licha, kto to? - Starał się przeniknąć ciemność i dojrzeć jej rysy, szepcząc chrapliwie: - Kim ty jesteś?

Wtedy niebo rozświetliła jasna, niemal oślepiająca błyskawica, i Cole rozpoznał rozwichrzone włosy Ala.

- Dobry Boże! - krzyknął. Między pełnymi białymi piersiami połyskiwał złoty medalion. - Al!

- Alaina! - Jej szept zabrzmiał jak jęk bólu.

- To ty! Ty byłaś wtedy w moim pokoju!

Alaina usiłowała mu się wyrwać, lecz przytrzymał ją za nadgarstki. Walczyła z nim, wijąc się i skręcając, by wysupłać się z jego uchwytu.

- Uspokój się! - krzyknął, a gdy tego nie zrobiła, zwiększył jeszcze uścisk na jej szczupłych rękach. Alaina nie zwracała uwagi na ból, więc w końcu, nie chcąc jej zrobić krzywdy. Cole zmienił taktykę. Uchwyciwszy oba jej nadgarstki jedną ręką, drugą przyciągnął ją do siebie i tym uniemożliwił dalszą szarpaninę. Oczy Alainy zrobiły się wielkie ze strachu.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie, niepewna jego intencji. Byli w domu sami i nikt by go nie powstrzymał od ponownego wzięcia jej siłą. - Puść mnie!

- To uspokój się - rozkazał.

Powoli przestała się wyrwać i Cole zwolnił trochę uścisk, lecz gdy tylko to zrobił, Alaina wyszarpnęła się z jego uchwytu i natychmiast rzuciła się do ucieczki. Już prawie otwierała drzwi, kiedy znów ją złapał. Pamięć Cole'a nareszcie odsłoniła swą tajemnicę i mężczyzna pragnął poznać całą prawdę.

Alaina zmagiała się z nim na ośle, jak szalona drapiąc go po rękach. Ta noc, gdy pozbawił ją dziewictwa, tkwiła jeszcze zbyt wyraźnie w jej pamięci. Tym razem już знаła jego siłę i determinację. Pozbawiona ubrania, była zbyt narażona na jego zapal. Chciała już znaleźć się bezpiecznie w swoim pokoju, odgradzona od niego zamkniętymi drzwiami.

- Przestań! - złapał ją za rękę. - Chcę tylko porozmawiać.

Przycisnął ją plecami do ściany i usiłował powstrzymać jej bezładne miotanie naporem swych mocnych mięśni, ale za bardzo wtedy czuł podniecające ciepło jej ciała i delikatne brodawki piersi. Czuł coraz większe pożądanie, wzmagane jeszcze przez jej dziki opór. Każdym porem swej skóry tęsknił do jej ciała i z największym wysiłkiem przypominał sobie, że jest dżentelmenem.

- Ooch, niee! - jęknęła Alaina z przerażeniem, czując na swych dygocących nogach jego uda i ewidentne oznaki podniecenia.

Cole porwał ją, pociągnął w kierunku leżącej na łóżku białej garderoby i rzucił ją Alainie. Był to jej szlafrok.

- Włóż to!

Alaina posłuchała natychmiast, choć nadal nie była w stanie opanować drżenia. Szlafrok dawał jej tylko niewielką ochronę.

- Gdzie jest lampa? - spytał Cole ostro, tak samo rozdygotany w środku jak ona.

Drżącym głosem Alaina odpowiedziała:

- Za parawanem.

- Nie uciekaj już - ostrzegł ją. - Jesteś mi winna przynajmniej wyjaśnienie, a nie mam nastroju przeszukiwać całego tego przeklętego domu, żeby cię znaleźć.

- Nic ci nie jestem winna, Jankesie - odparła buntowniczo Alaina.

- Zostań tam, gdzie jesteś! - nakazał Cole. Ustawił z powrotem parawan, znalazł lampę i postawił ją znowu na komodzie. - Chciałbym się dowiedzieć, co tu się właściwie dzieje.

Przyłożył zapalną do knotu, zdjął szkiełko i podkręcił płomień tak, że cienie pochowały się po kątach. Przyciągnął Alainę bliżej do lampy, ujął jej brodę w obie dłonie i przysunął jej twarz do światła. Po policzkach płynęły jej łzy wstydu, lecz Cole patrzył jak zauroczony.

- Do diaska! Powinienem być się domyślić!

Twarz o kremowej cerze otaczały ciemnobrązowe włosy z czerwonymi refleksami. Usta były delikatne i zmysłowe, jasnoszare, błyszczące oczy ocienione gęstymi czarnymi rzęsami. Nawet przy nieskrępowanych przebraniem kobiecych kształtach były to przecież rysy Ala.

- Powinienem być cię wykopać pierwszego dnia, gdy cię spotkałem - stwierdził Cole, śmiejąc się gardłowo.

- Głupiec! Idiota! - I jakby te słowa były za mało obraźliwe, wypluła z siebie: - Jankes!

Nie zwracał uwagi na te epitety. Obrócił jej twarz najpierw w lewo, potem w prawo.

- Ile masz lat?

Posłała mu złe spojrzenie i ze zgrzytem zębów wycedziła:

- Siedemnaście... prawie osiemnaście.

Cole odetchnął z ulgą.

- Bałem się, że jesteś znacznie młodsza. - Nagle coś mu zaświtało w głowie. - Alaina! - uniósł brwi. - Może Alaina MacGaren?

- Oczywiście! - odepchnęła jego rękę i pomasowała posiniaczone przez niego ramię. - Alaina MacGaren! Szpieg! Morderczyni! Wróg Północy i Południa! Ile teraz dają za moją głowę? Dwa tysiące?! Co pan z tym wszystkim zrobi?!

- Czekaj, dziewczyno, jeśli byłaś ze mną, nie mogłaś przecież...

- Szybko pan wyciąga wnioski - ironizowała Alaina. - Ale niech mi pan powie, kapitanie Latimer, kto mnie obroni. Zawiozłam dokumenty zmarłego żołnierza do jego dowódcy i zostałam uznana za szpiega, bo nie uległam Jankesowi. Byłam zmuszona opuścić własny dom i udawać chłopca! A teraz, czy zniszczy pan reputację Roberty, żeby ratować moją?! Czy wymyśli pan jakieś kłamstwo, żeby potem honor nie pozwolił panu skłamać do końca i tym bardziej mnie pogrzyżyć?! Czy narazi pan Craighughów na więzienie za pomoc dla zbiega?! Czy przyzna się pan, że pomylił dwie kobiety, cofnie złożone ślubowanie i w swoim zabagnionym umyśle uzna, że wszystko jest w porządku?! - Alaina odsunęła się od niego i w duchu przyrzekła sobie, że jeśli jej dotknie, rozszarpie mu rękę. Z wściekłością syknęła przez zaciśnięte zęby: - Myśli pan, że będę błagała Jankesa o ratunek?! Niech pan robi, co chce! Niech pan ratuje swój honor i dumę, ale nie będzie pan sobie oczyszczał sumienia moim kosztem. Niech pan

wraca do swojej kochającej żoneczki, tej, którą pan wybrał. A mnie niech pan zostawi w spokoju!

Zdławiła szloch i ze łzami w oczach wybiegła, szeroko otwierając drzwi. Słyszac straszliwe westchnienie. Cole spojrzal w strone drzwi i zobaczyl w nich Roberte. Stala w balowym stroju, ze zlosliwym grymasem na ustach, oniemiala z wscieklosci na widok dziewczyny. Po chwili dojrzala tez jej przezroczysty stroj, a potem przeniosla wzrok na Cole'a, odzianego rownie malo przyzwoicie.

- Wystarczy, ze odwróce sie plecami - wyrzucala z siebie slowa jak szalejacy huragan, az Alaina cofnela sie z wrazenia - a wy oboje uprawiacie swoje brudne gierki! Nikt tego nie wie, od jak dawna juz... - tu padly tak wulgarne oskarzenia, ze w Cole'u zawrzalo.

- Roberto! Zamknij te cholerna gube!

Lecz ona ciagnela z placzliwym jekiem w glósie:

- Jak mogles? Jak mogles za moimi plecami z ta... ta dziwka. Czy bierzesz sobie do lozka kazda panienke, ktora ci to zaproponuje?

Alaina zaprotestowala z oburzeniem:

- Ja, nigdy!

- Dziwka! - Roberta krzyknela przenikliwym tonem i w nastepnej sekundzie Alainie zadzwonilo w uszach od otrzymanego siarczystego policzka. Nim Cole zdoal je rozdzielic, Alaina odwróciła swa mala, mocno zacisnieta dlon. I nie byla tak wyrozumiala jak rano Cole. Zbyt dlugo wcielala sie w chlopaka. Jej piec spotkala sie ze szczeka Roberty z glósnym plasniciem i sila wystarczajaca, by wyzsza od Alainy kobiete zwalic z nog. Roberta zachwiala sie i opadla na wyscielany fotel, natychmiast tracac ochote na dalsza utarczke z wybuchowa kuzynka. Zamknela oczy i ucichla.

Cole szybko poszedl do umywalki, zmoczy l sciereczke i siegnal, by wytrze mala struzke krwi plynaca z ust Alainy, ale ta zrobila unik.

- Nie dotykaj mnie, Jankesie! - warknela ostrzegawczo. - Trzymaj rece przy sobie. Wyszarpnela mu sciereczke i rzucila gniewne spojrzenie. - Juz wystarczajaco duzo szkod narobiles!

Jeszcze raz popatrzyla z wyzszościa na znokautowana Roberte, otulila sie szlafrokiem, potem okrecajac sie na piecie, wyniośle opuscila pokój i z impetem zamknela drzwi.

Cole zmoczy drugą sciereczke i podszedl do Roberty. Ta poderwala sie calkiem energicznie. Rowniez zabrala od niego szmatke i pobiegla do lustra. Pochylila sie z zatroskaniem, by dokladnie obejrzeć twarz, i ostroźnie dotykala widocznego czerwonego sladu na szczece.

- Och! - jeknela. - Jestem zeszepecona na cale zycie! Juz nigdy nie bede taka jak przedtem! Zrujnowala mi twarz! - Jej oczy groźnie sie zwężily. - Nawet gdyby to miala byc ostatnia rzecz, jaka zrobię, ja sie tej malej suce odpłace.

- Sądząc z tego, co przed chwila widzialem, moja droga - rzekl oschle Cole - radzilbym ci byc ostroznaz z tego rodzaju zemsta, bo twój dlug do splacenia moze jeszcze wzrosnac.

Roberta butnie zarzucila glowa.

- Lainie zawsze byla o mnie zazdrozna. Zawsze zazdroscila mi urody i przy kazdej mozliwej okazji usilowala mi dokuczyc. Jesli ta mala dziwka sadi, ze tym razem jej sie uda...

Cole zamknal okno, bo z dworu powialo chlodem. Burza poszla dalej i juz tylko drobna mżawka dzwonila o szyby.

- Jako że ona była dziewicą, a ty, Roberto, już nie byłaś, kiedy pierwszy raz spaliśmy razem - odezwał się ze sztucznym śmiechem - doradzałbym ci większą ostrożność w doborze określeń. Mogą bowiem wrócić do ciebie jak bumerang. Roberta zaniepokoiła się.

- Cole'u, co masz na myśli, kochany? Czy Lainie ci coś mówiła? Przecież to ty powinieneś najlepiej wiedzieć, że jej nie można ufać. Zdradziła nawet tych biednych, bezradnych więźniów...

Cole przeszył ją wzrokiem, aż zamilkła w pół zdania. Wyjął z szafy suche spodnie i wkładając je, mówił z chmurną miną:

- Nic mi nie mówiła, Roberto. A ty, moja droga, najlepiej ze wszystkich możesz zaświadczyć, że Alaina nie brała udziału w tamtym wydarzeniu.

Wziął z szafy grubą, wełnianą koszulę wojskową. Gdy ją zakładał, Roberta patrzyła mu badawczo w twarz.

- A skąd miałabym to wiedzieć? - zapytała ostrożnie.

Cole przerwał zapinanie koszuli.

- Czy to tak trudno zrozumieć, proszę pani? Po prostu, to Alaina jest kobietą, którą kochałem tamtej nocy, i tylko ona. A więc, moja droga, to ty nam zgotowałaś to przedstawienie, stosując swoje brudne sztuczki.

- To kłamstwo! - Roberta dyszała z emocji, usiłując wymyślić jakiś dowód na poparcie swych słów. - Wstrętne kłamstwo. Zapewniam cię, Cole'u, że Alaina nabiła ci w głowę jakieś kłamstwa! Byłeś zbyt pijany, żeby pamiętać, ale...

Roberta podskoczyła z trwogą, gdy Cole rzucił buty przed krzesło.

- To pani jest w błędzie. Może byłem pijany, ale dobrze pamiętam - usiadł i wciągał buty. - Zawsze mnie to dziwiło, że jesteś tak różna od kobiety, którą tamtej nocy trzymałem w ramionach. Po dziś wieczór nie wyobrażałem sobie, że w tym domu może być jeszcze druga kobieta. Teraz przynajmniej znam prawdę.

Słuchała z przerażeniem. A więc wszystko się wydało. Drżała na myśl, że teraz Cole odejdzie. Bez jego pieniędzy będzie znów wiodła szarą i nudną egzystencję. Nie pojedzie do Waszyngtonu. A już zgrozą ją napawał fakt, że stanie się pośmiewiskiem dla tych wszystkich wdów w łachmanach, przed którymi się tak puszyła.

Wyciągnęła błagalnie ręce do Cole'a.

- Och, kochanie! Zrobiłam to tylko dlatego, że bardzo cię kochałam. - Doszła do wniosku, że lekkie załamywanie rąk i zmieszany wyraz twarzy wzmocnią efekt. - Ach, Cole'u, nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnęłam. - Z bezradnym uśmiechem podeszła do niego i usiadła mu na kolanach. - Wychodziłam z siebie, gdy odkryłam, że Lainie była u ciebie. Nie mogłam cię oddać bez walki. - Wzięła jego rękę i przycisnęła do piersi. - Czy nie jestem od niej ładniejsza? I bardziej kobieca?

Cole przyjął jej wyznania z chłodem.

- Moja pani, ta mała dziewczyna, udająca chłopca, mogłaby dawać lekcje kobiecości w domach rozpusty - uśmiechnął się obojętnie. - Przynajmniej nie boi się, że mężczyzna potarga jej włosy.

Roberta sapnęła z oburzenia, zerwała się na nogi i odchyliła rękę w tył, jakby chcąc go uderzyć w twarz. Cole zmierzył ją zimnym, niewzruszonym spojrzeniem. Mając jeszcze w pamięci niedawne doświadczenia, pohamowała się. Są lepsze sposoby na mężczyzn.

- Musiała ci nieźle zależeć za skórę, skoro ją tak dobrze pamiętasz. No, ale ty gustujesz w kobietach lubieżnych, a ona pewnie zna swe obowiązki.

- Obowiązki! - roześmiał się Cole. - Rzeczywiście! Ty traktujesz kochanie się jak ciężką pracę!

Roberta zadarła nos do góry i rzekła z pruderią:

- Chyba nie myślisz, że damy lubią być obmacywane, co?

- Jeśli dzielenie z mężem przyjemności w łóżku przekracza możliwości dam, to niech damy idą do diabła! - oświadczył Cole, rzucając na łóżko skórzaną walizę, i ciągnął złowieszczo: - Jakakolwiek by była Alaina, miej świadomość, że to ona złapała ci męża tamtej nocy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Co chcesz przez to powiedzieć? - nalegała Roberta, ciągnąc go za rękaw i usiłując zmusić, żeby na nią spojrzał.

Cole odwrócił się do niej i pochylił, aż musiała dość gwałtownie usiąść na stojącym za nią wyściełanym krześle. Nie bacząc na czyste pokrycie. Cole postawił obutą nogę na siedzeniu obok jej bioder i objąwszy ręką kolano, pochylił się i spojrzał jej w oczy.

- Jedyną rzeczą, która mi się owej nocy wryła w pamięć, była rozkosz, jakiej doznałem z tamtą kobietą. Więc jakkolwiek był powód twego spisku, udał ci się on tylko dzięki Alainie.

- Nie wierzę w to - drwiła Roberta. - O ile pamiętam, to mój tata całkowicie pokierował sprawą.

- Moja pani, jestem lekarzem, ale też i żołnierzem. Czy naprawdę wydaje ci się, że trzęsący się staruszek mógłby mnie na śmierć przestraszyć?! Bez względu na to, co myślisz, moja droga, twój ojciec nie był najdoskonalszą ochroną. Mogłem spokojnie uciec, gdyby nie to, że pozostawałem pod wrażeniem cudownych chwil spędzonych z Alaina.

Roberta wykręcała dłonie w szczerym oburzeniu, podczas gdy Cole spokojnie wrócił do pakowania walizki. Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność i nie mogąc dłużej znieść tego napięcia, zapytała drżącym głosem:

- Opuszczasz mnie?

- Nie obawiaj się, moja droga - uśmiechnął się sardonicznie. - Zabiorę cię do Waszyngtonu i będę cię wodził pod ramię, tak jak sobie życzysz. Tak sobie pościeliłem i teraz muszę w tym spać.

- Więc dokąd jedziesz?!

- Generał Banks wyrusza na kampanię w górę Czerwonej Rzeki. Do ostatniej chwili nie mogłem się zdecydować, czy powinienem się zgłosić na ochotnika. Właśnie podjąłem decyzję.

- Przecież może cię nie być przez całe miesiące! Co ja mam przez ten czas robić?!

Ważąc w rękę walizkę, Cole przejechał wzrokiem po jej balowej sukni.

- Jestem pewien, że znajdziesz sobie rozrywkę podczas mojej nieobecności. Nie wierzę, żebyś nawet beze mnie zrezygnowała z zabawy.

- Ale, Cole'u - zaskomlała, idąc za nim do drzwi, gdzie zatrzymał się i popatrzył na nią. - A jeśli coś ci się stanie? Czy nie powinienes przed wyjazdem zadbać o pewne sprawy?

- Masz na myśli sprawy finansowe, moja droga? - spytał szorstko. - Nie widzę powodu, żeby zostawiać ci swój majątek. Będziesz miała należyte utrzymanie, a gdyby przyszedł na świat mój potomek, wszystko będzie zapisane na niego, pod zarządem mego prawnika. W przeciwnym razie dostaniesz tylko miesięczną pensję z moich udziałów, a reszta majątku w przypadku braku spadkobiercy zostanie przekazana na cele dobroczynne.

- A co z Alaina?

- To, pani, już nie jest twój interes - odparł cierpko.

Szła za nim korytarzem pełna obaw o swą przyszłość.

- Ale przecież ja jestem twoją żoną.

- Zostawię powóz w szpitalu. Gdy otrzymasz wiadomość, że wyruszyliśmy, możesz wysłać po niego Jedediaha - oznajmił, ignorując jej słowa. Idąc ku schodom, prześliznął się wzrokiem po zamkniętych drzwiach pokoju Alainy. Za sobą słyszał wciąż stukanie ostrych obcasów Roberty. Zatrzymał się przy schodach i odwrócił do niej. - Może się pani szykować do wyjazdu do Minnesoty zaraz po wojnie.

Twarz Roberty wykrzywił grymas wściekłości.

- Do Minnesoty! Na to odludzie?! Nie możesz prosić o coś takiego szlachetnie urodzonej damy!

- Ależ, pani, ja nie proszę. Jeśli chcesz, pojedziesz ze mną, decyzja należy do ciebie. Ja już postanowiłem.

17

Daleko na północno-wschodnim krańcu horyzontu jak odległy masyw górski przysiadły ostatnie flanki burzy, rozbłyskując zygzakami błyskawic i wydając gniewne pomruki. Burza przetoczyła się przez nadbrzeżne bagna, zostawiając po zachodniej stronie krystalicznie czyste niebo ze świecącym jasno i wysoko księżycem. Gdy wszystko się uciszyło, nad rzekami, jeziorami i mokradłami uniosły się mgły, okrywając gęstą powłoką cały obszar delty. Z każdej wysokiej wieży w centrum miasta większe budynki i domy wyglądały jak wielkie czarne głązy spowite mlecznobiałymi oparami. W dali za nimi sterczały pajęczyny takielunków w miejscu, gdzie stała zakotwiczona flota jankeska.

Cole Latimer odjechał już powozem kilka ulic od domu Craighughów, brnąc przez opalizującą zasłoną mgłę w zmożonym snem mieście. Jedynymi dźwiękami, jakie mąciły wszechwładnie panującą ciszę, było miarowe stukanie końskich podków i klekotanie kół powozu. Jechał z napięciem na twarzy, przeklinając w duszy swój brak rozumu i wciąż na nowo nazywając sam siebie głupcem. Jak mógł nie zauważyć różnicy między tymi dwiema kobietami?! Były tak do siebie niepodobne jak wschód i zachód, a może raczej północ i południe.

Nie odjechał jeszcze zbyt daleko, gdy dojrzał z przodu przemykającą ulicą ciemną sylwetkę. Zaraz też zniknęła za wielkim dębem rosnącym przy krawężniku. Gdy podjechał bliżej, nie było tam słycać najmniejszego poruszenia, ale w obawie przed zasadzką Cole zatrzymał powóz i wyjął pistolet.

- Ej, ty tam, za drzewem! - warknął. - Wyjdź stamtąd, tak żebym cię widział.

Minęła długa chwila i nikt nie odpowiadał. Cole podniósł broń i podwójny suchy trzask odwodzonego kurka rozległ się echem we mgle. Chciał zawołać jeszcze raz, ale zza drzewa wyszła drobna i szczupła postać w czerni. Rozpoznając w niej wdowę, którą obronił przed Jacques'em DuBonném, Cole szybko opuścił pistolet. Schował broń, przywiązał lejce do powozu i zsiadł z kozła. Podchodząc do krawężnika, gdzie się zatrzymała, uprzejmie podniósł dłoń do brzegu kapelusza.

- Droga pani, w tak paskudną noc i o tak późnej porze nie jest bezpiecznie dla damy przechadzać się bez opieki. Czy mógłbym pani w czymś pomóc?

Głowa w czarnym kapeluszu poruszyła się zaprzeczająco.

Czy już wszyscy będą się wobec mnie zachowywać jak niemowcy? - pomyślał Cole.

- Czy mogę panią dokądś podwieźć?

Odpowiedział mu taki sam przeczący ruch głową. Cóż innego mogła zrobić Alaina, wiedząc, że pozna ją po pierwszym wymówionym słowie. Przeklinała swego pecha i już zwątpiła, czy kiedykolwiek uwolni się od tego Jankesa. Gdziekolwiek się skierowała, zdawał się być wszędzie, gotowy, by ją pochwycić.

Cole zdjął rękawice i zatknął je za pas.

- Jako dżentelmen nie mogę pani tutaj zostawić bez ochrony. Nie mam zamiaru się wtrącać, ale jeśli pani wymieni cel swej podróży, zawiozę tam panią bez dalszych wypytywań. Zapewniam szczerze, że nie musi się pani z mej strony niczego obawiać.

Alaina zaśmiała się w duchu szyderczo. Gdyby tylko potrafiła zmieniać swój głos tak łatwo jak przebranie, zaraz by mu odpowiedziała. Tak, żeby popamiętał.

Cole wyciągnął cygaro i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Zanosilo się na długą i dość jednostronną konwersację, a przy takich postępach może nawet i monolog.

- A więc będziemy tak tutaj czekać, szanowna pani? - zapytał oschle. - Przynajmniej dopóki nie zdecyduje pani, dokąd ją zawieźć. Daję słowo, że nie mszę dalej, jeśli nie zapewnię pani bezpieczeństwa.

Alaina jęknęła w duchu, widząc, że Cole zapala zapalniczkę o metalową poręcz powozu. Rozbłysło małe światełko i Cole odwrócił się w jej stronę. Miał już przypalić cygaro, gdy jego uwagę przykuła jej tupiąca z irytacją o krawężnik stopa. Ze zdziwienia aż uniośł brwi. Wdowa była mniej więcej tego samego wzrostu co Al... a raczej Alaina. Ta mała krętaczka...

Ścisnął ustami cygaro i przysunął zapalniczkę bliżej do jej kapelusza z welonem, a wolną ręką uniośł do góry cienki materiał. Patrzył w bystre szare oczy Alainy, zapominając o zapalniczce, aż ogień sparzył go w palce. Wtedy zaklął i rzucił ją, potrząsając ręką.

- Oparzył się pan, kapitanie? - spytała Alaina protekcyjnie.

- Tak! - syknął ze złością, ciskając cygaro do rynsztoka.

- Nie igra się z ogniem, kapitanie - pouczyła go. - Zna pan to powiedzenie.

- Nauczyłem się już uważać na bezdomnych wyrostków i garnki z gorącą wodą - zauważył szorstko. - Będę musiał do tej listy dodać wdowy i zapalniczki albo zredukować wszystko do jednej osoby - Alainy MacGaren.

- Jak pan sobie życzy. Ale to nie moja wina - zwróciła uwagę. - To pan nie uważał.

- Nie sądzę, żeby ci przyszło do głowy opowiedzieć mi, co się właściwie zdarzyło tamtej nocy - wypomnił jej z przekąsem. - Z tego, co ja pamiętam, było dużo czasu, żeby mnie ostrzec przed skonsumowaniem małżeństwa.

- Ależ, kapitanie... - Alaina mruknęła ze złośliwym uśmiechem. - Wyglądał pan na tak zadowolonego. Jak mogłam zakłócać tę pełnię szczęścia?

- Do licha, kobieto! - warknął, a potem celowo zniżył głos. - Czy jesteś tak naiwna, że nie rozumiesz, dlaczego się z nią ożeniłem?

- Myślę, że wujek Angus miał z tym coś wspólnego - odparła nonszalancko.

- Wybacz mi - prychnął pogardliwie - że kiedykolwiek myślałem, iż ty i Roberta jesteście zupełnie różne. Wygląda na to, że myślicie jednakowo.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała Alaina z oburzeniem.

- Nic takiego - mruknął. - Niech pozostanie na zawsze moją tajemnicą. I tak wątpię, czybyś mi uwierzyła. - Po czym w rozdrażnieniu wskazał na jej czarną suknię. - Zdażyłaś się zapakować czy masz ze sobą tylko to?

Alaina poszła za drzewo i wzięła swój wiklinowy kufer, a gdy podniosła wzrok, wysoki, ciemno ubrany Cole był już przy niej. Stał z rękami na biodrach i choć kapelusz z szerokim rondem ocieniał mu twarz, cała jego postawa wyrażała dezaprobatę.

- Panno MacGaren, nie utrzymuję, że jestem dżentelmenem z urodzenia - oświadczył. - A pani również z całą pewnością nigdy nie twierdziła, że jest damą. Jednakże za obopólną zgodą spróbujmy zaprezentować się jako

uprzejmi i dobrze wychowani ludzie - schylił się i zabrał z jej ręki kufer. - Jeśli można, mademoiselle - skłonił się, stuknął obcasami i dał ręką znak, żeby szła za nim.

Urażona całą rozmową, Alaina potrząsnęła głową i owinęła szczelniej wełnianym szalem ramiona. Poradzi sobie świetnie bez nauk i pomocy tego Jankesa. Jeśli tak bardzo chce wziąć kufer, niech weźmie, a ona pójdzie sama bez obciążenia. Miała szczerzy zamiar już od niego odejść, ale tuż przed nią pojawił się niezbyt łatwy do przekroczenia rynsztok pełen wody. Uniosła suknię prawie do kolan, szykując się do skoku. Wtem wszystko zawirowało jej przed oczami. Została porwana z ziemi żelaznym uściskiem ramion i przyciśnięta do mocnej, szerokiej klatki piersiowej, którą jeszcze nazbyt dobrze pamiętała.

- Jak pan śmie! - wykrztusiła. - Proszę mnie puścić na ziemię!

- To staraj się być damą - upomniał Cole, nie mając najmniejszego zamiaru jej posłuchać. Długimi krokami z łatwością pokonał kanał, jednocześnie pouczając ją zartobliwie na temat zachowania właściwego damom. - Kobieta o dobrych manierach nie odsłania publicznie kostek ani nie podnosi swego bagażu w obecności dżentelmena.

- A pan uważa, że dżentelmen może tak niegrzecznie postępować z damą? - strofowała go Alaina ze złością. Aczkolwiek niechętnie, ale objęła go ręką za szyję i poprawiła się w tej zgoła nie akceptowanej przez siebie pozycji. - Widzę, że pomimo ciągłych gróźb pod jego adresem Al był przez pana delikatniej traktowany. Chyba wybrałam zły strój. Na pewno lepiej by się pan czuł w obecności chłopca.

- Możliwe - mruknął Cole, zatrzymując się przy powozie. - Ale znacznie bardziej odpowiada mi twoja obecna postać od tamtego stracha na wróble.

Jego twarz była tak blisko, że Alaina dostrzegała każdy jej szczegół, a ledwo widoczny uśmiech przywoływał wspomnienia gorące i podniecające, choć całkiem przez nią odrzucane. Przenikająca ją fala ciepła i drżenie zupełnie zbijały ją z tropu. Odwróciła twarz, zdradzając wykwitły na niej rumieniec.

- Bardzo proszę, kapitanie. - Usiłowała postawić nogi na ziemi. - Trudno mi znieść to nazbyt długie przetrzymywanie mnie w objęciach. I pragnę przypomnieć, że jest pan żonatym mężczyzną.

Posadził ją mało delikatnie na siedzeniu powozu, znów rozgniewany.

- Fakt, który z pewnością wyniknął z twojej nadmiernej dyskrecji, panno MacGaren.

Poszedł na tył powozu, wrzucił wiklinowy kufer obok swojego bagażu i zasłonił plandeką. Wrócił i zapalił drugie cygaro. Robił to szybkimi, nerwowymi ruchami. Płomyk zapalki oświetlił twarz chmurną i zamyśloną. Odczytując w niej gniew, Alaina uciekła wzrokiem i odsunęła się, robiąc dla niego miejsce. Jednak gdy stawił nogę na stopniu, położyła dłoń na futrzanym siedzeniu i widząc w jego oczach zdziwienie, zmusiła się do uśmiechu.

- Brakuje mi tu kuferka pomiędzy nami.

- To jakiś czarodziejski obrońca twojej cnoty? - Jego głos zrobił się szorstki. - Mam go przynieść?

Alaina złożyła ręce skromnie na kolanach i spuściła wzrok. Jej delikatny, niski głos w ciszy zamglonej nocy zabrzmiał jak jęk skargi.

- Jakiej cnoty, kapitanie?

Odpowiedź była krótka i gwałtowna.

- Do licha!

Nie znajdując lepszego komentarza. Cole wsiadł do powozu i podniósł lejce. Po dłuższej chwili znów je

położył i odchylił się do tyłu, opierając obutą stopę o przód powozu.

- Panno MacGaren, nie wiem, dokąd pani jedzie. To utrudnia mi kontynuowanie podróży.

- Nie mam nic konkretnego na myśli, kapitanie - wyznała. - Jak pan dobrze wie, za mało mam cennych monet, by je trwonić na wynajęcie mieszkania. Myślałam, że może doktor Brooks mnie przenocuje.

- Nadal mam apartament w Pontalba - zauważył Cole. - Ponieważ nie będzie mnie przez kilka tygodni, możesz z niego skorzystać. Przynajmniej będziesz miała schronienie i trochę czasu na ułożenie swych spraw.

Alaina uniosła głowę i zaśmiała się drwiąco.

- Oczywiście, kapitanie, i przez te tygodnie uwiję sobie gniazdko jako pańska metresa. A gdy pan wróci, natychmiast wszystko wyjdzie na jaw. Och, do czego zmierzasz, szlachetny panie?!

- Do licha, dziewczyno! - Cole podniósł lejce i zaciął konia. - Meandry twej cnoty strasznie mi warzą humor - rzucił jej gniewne spojrzenie. - Bardzo mnie martwi twoja obecna trudna sytuacja i wiem, że w dużym stopniu powstała z mojej winy. Zaproponowałem ci mieszkanie w najuczciwszych zamiarach. - Przygryzł zębami cygaro i po chwili ciągnął dalej: - Dość mam już twoich małostkowych obiekcji. Zostajesz tam i nie ma dyskusji.

Alaina słuchała tych wywodów, patrząc niechętnym wzrokiem, lecz milczała, ani się nie zgadzając, ani nie zaprzeczając. Na jakiś czas zapanował między nimi wymuszony rozejm. Cole palił cygaro i jego złość powoli mijała, ustępując miejsca zamyśleniu. Po pewnym czasie Alainę wyrwał z zadumy jego krótki, nie wesoły, lecz raczej pełen ironii śmiech.

- Ta noc pana dziwnie nastraja, kapitanie? - ośmieliła się zapytać.

- Przyszło mi do głowy, panno MacGaren, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy w moim życiu pojawiły się trzy osoby, które je całkiem zmieniły. Wszystkie zrodziła ta wojna. Najpierw obdarty i bezdomny chłopak, który, jak sądziłem, potrzebował mej pomocy. Potem krnąbrna dziewczyna odcisnęła w mej pamięci piętno sprawiające, że wciąż szukałem w sobie jej twarzy i postaci. I w końcu wdowa, choć dokładnie zawołowana, jednak swą uroczą sylwetką tak pobudzającą moją wyobraźnię, że i jej wszędzie szukałem - spojrzał z boku na Alainę. - A teraz okazuje się, że wszystkie te postaci to ta sama osoba. Powiedz mi, panno MacGaren, czy dowiadując się tego, stałem się uboższy, czy bogatszy w doświadczenie.

Z twarzy Alainy powoli zniknęła złość, a pojawił się uśmiech pełen goryczy. Wpatrzona przed siebie w mgłę, powiedziała:

- Czy ktoś już to stwierdził przede mną, kapitanie, że wojna jest piekłem?

Powóz toczył się przez ciemności po brukowanej ulicy, podskakując na wybojach. Słysząc było jedynie miarowy stukot podków i skrzyp siedzenia. Ani jedno słowo nie padło już między dwójką pasażerów. Jechali przez puste ulice. Nawet włóczędzy schowali się gdzieś podczas rozszalałej burzy i w tej krótkiej godzinie przedświtku miasto zdawało się wymarłe.

Cole ściągnął lejce i zatrzymał powóz przed budynkiem z czerwonej cegły, w którym kiedyś rezydował. Wysiadł, wyciągnął kuferek i wrócił, żeby pomóc Alainie. Siedziała sztywno. Widział jej pięknie rzeźbiony profil i odchylenie głowy wyrażające upór i buńczuczność. Mógł tylko podziwiać to zacięcie u młodej kobiety. Nie znał drugiej takiej i najbardziej niepokojące było to, że bez względu na swe przebranie miała ona znaczący wpływ na całe jego życie.

- Panno MacGaren, czy będzie pani stawiała opór? - spytał, a ona skierowała na niego swe przejrzyste szare oczy, pełne chłodnej pogardy.

- Czy zamierza pan odesłać mnie na Ship Island, kapitanie? - zapytała przygaszonym głosem.

Cole oparł rękę o osłonę powozu i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nie sędzę. Wiem, że jest pani niewinna, przynajmniej co do części oskarżeń.

- A więc błagam pana, proszę się do mnie jakoś inaczej zwracać. Obawiam się, że moje własne nazwisko zostało straszliwie zdewaluowane.

- Oczywiście. - Posłusznie zasalutował. - Przepraszam panią najmocniej. Będę ostrożniejszy. - Alaina zobaczyła na jego ustach błąkający się uśmiech. - Czy ma pani jakieś propozycje pod tym względem?

- Nie mam żadnych, kapitanie.

Z lekko drwiącym uśmiechem podał jej dłoń, by wysiadła.

- Al już nie pasuje. Jest jeszcze Lainie. - Zauważył jej zły wzrok i ze śmiechem pokręcił głową. - Nie, to nie.

Gdy prowadził ją do drzwi mieszkania, musiał się powstrzymać od położenia ręki na jej ramionach, choć odczuwał silne wewnętrzne pragnienie zrobienia tego. Alaina natomiast szła tam z niechęcią, bo przebranie Ala nie chroniło jej już przed spojrzeniem tych oczu, które patrzyły na nią jak nigdy dotąd żadne. W pełnym skrzepowaniu milczeniu czekała, aż otworzy drzwi. Wtem obejrzała się, słysząc zbliżające ku nim szybko czyjeś kroki.

- Kapitanie! Kapitanie Latimer!

Do Cole'a podbiegł młody porucznik, wyciągając rękę na przywitanie. Alaina szybko odsunęła się na bok. Wyczuła, że Cole też stara się zasłonić mężczyźnie sobą jej widok, i była mu wdzięczna za ten mały gest ochrony.

- Słyszałem, że pan się ożenił i wyprowadził, kapitanie - gulgotał i zawzięcie potrząsał ręką Cole'a. - Co pan tu robi o tak nieprzyzwoitej godzinie?

Cole chmurnie skonstratował, że porucznik bynajmniej nie pozbył się swego wścibstwa ani nie przestał być największym plotkarzem w całym wojsku Unii.

- Mieliśmy ciężką noc, poruczniku, i moja żona przeżyła wielki szok. - Co oczywiście nie mijalo się z prawdą. - Wybacz pan?

- Naturalnie, nie chciałem się narzucać...

Cole otworzył drzwi i wpuścił Alainę przodem. Potem wstawił kufer i zapalił lampę. Żołnierz nadal tkwił w korytarzu, wyciągając szyję, żeby lepiej dojrzeć postać w czerni. Cole zmierzył go zimnym wzrokiem i mówiąc oschle: „Dobranoc, Baxter”, nie pozostawił mu innego wyjścia. Musiał odejść.

Cole zamknął drzwi i przez chwilę słuchał oddalających się kroków, po czym zwrócił się do Alainy. Patrzyła na niego oskarżająco.

- Dałam panu swobodę wyboru mego imienia, ale chyba za daleko pan się tym razem posunął. Pozwolił pan temu człowiekowi sądzić, że jestem panią Latimer.

Cole wzruszył ramionami.

- Jeśli będzie myślał, że pani jest moją żoną, podczas mojej nieobecności żadni mężczyźni nie będą pani przeszkadzać, a sam Baxter nie będzie miał pożywki do plotek.

- Bardzo sprytnie z pana strony - zauważyła z przekąsem.

Zagniewany jej słowami. Cole zmarszczył czoło.

- Może powinienem żądać od pani zadośćuczynienia za pozwolenie na to, bym poślubił inną kobietę. - Ta myśl jeszcze wzmogła jego gniew. - A może powinienem być wdzięczny? Czy swoim milczeniem wzbogaciła pani moje życie? Dziewczyno, byłoby znacznie lepsze, gdyby nie te twoje gierki.

Patrząc na niego niepewnie, Alaina zdjęła kapelusz i przeczesła drżącymi palcami swe krótko ostrzyżone włosy. Stał przed nią wysoki i silny, z surową twarzą i wyzwaniem w oczach. Wiedziała, że Cole ma rację, i nie potrafiła już znaleźć żadnej ironicznej riposty. Straciła nagle całą swą dotychczasową brawurę.

- Pójdę już - powiedział Cole łagodniejszym tonem, widząc jej strach. Wniósł jej kuferek do sypialni, gdzie zapalił drugą lampę, stojącą obok łóżka. Patrzył na nią, jak stała na końcu pokoju, i nie mógł oderwać oczu od tego czarownego obrazu. Jak mogła zrobić z niego tak kompletnego głupca?

- Wiesz, gdzie co jest - powiedział wolno. - Zostawię ci klucz. Zamknij drzwi po moim wyjściu.

- Dobrze - mruknęła cicho, unikając jego wzroku.

- Alaina... - wyrwało się z jego ust jak westchnienie. Wyciągnął rękę, by musnąć krótki, jedwabisty kosmyk jej włosów, lecz ona uchyliła się i zasłoniła głowę ramieniem.

- Mówiłam! - krzyknęła. - Proszę mnie nie dotykać!

Cole opuścił rękę i westchnął głęboko.

- Przyjdę rano i przyniosę coś do jedzenia.

- Nie potrzebuję od pana żadnej jałmużny - mruknęła Alaina. - Sama sobie dam radę.

Cole zmierzył ją od stóp do głów znaczącym spojrzeniem.

- Co do twych zdolności, pod tym względem wyrobiłem sobie zdanie już pierwszego dnia, gdy się spotkaliśmy. Byłaś prawie na śmierć zagłodzona. Od tamtej pory moja opinia się nie zmieniła. - Cole przeszedł do saloniku, wyjął z szafy pelerynę i wychodząc, obiecał: - Jeszcze tu wrócę.

Kiedy wyszedł i zamknął drzwi, Alaina zaryglowała je i opadła na nie bez sił. Nie, nie była w stanie zostać tutaj, spać w jego łóżku, otoczona jego rzeczami. On należał do Roberty, nie mogła mieć nawet odrobiny Cole'a dla siebie.

Pospiesznie zabrała się do dzieła. Wiedziała, co ma robić. Choć bardzo zmęczona, nie miała chwili do stracenia, musiała natychmiast zmienić przebranie. Otworzyła kufer, zdjęła z siebie ubranie, złożyła je starannie i schowała do kufra, a na siebie założyła ubiór Ala. Dreszcz odraży przeszedł ją, gdy po raz kolejny musiała usmolić twarz i ręce sadzą z kominka i włożyć na głowę ohydny kapelusz.

Gdy tylko uznała, że może bezpiecznie opuścić mieszkanie, wyszła, tym razem jako Al. Ukradkiem zeszła boso po schodach, ale gdy mijała ostatni zakręt, wpadła prosto na porucznika Baxtera. Z zaspanymi oczami, we flanelowym szlafroku, niósł w ręce porcelanowy dzban. Bezzwłocznie pozdrowiła go: „Dzień dobry, panie Baxter”, i szybko poszła dalej. Zanim swym rozspanym umysłem zdołał ogarnąć sytuację, zbiegła z ostatniej części schodów i zniknęła mu z oczu.

Porucznik Baxter na widok chłopca oniemiał z wrażenia. Z początku przyszło mu do głowy kilka możliwych działań, jakie mógłby podjąć, z których najbardziej drastyczne zakładało obudzenie wszystkich w budynku i zorganizowanie pogoni. Oczyma wyobraźni już widział złe twarze pułkowników, majorów i kapitanów brutalnie wyrwanych ze snu o tak podłej godzinie. Po chwili zastanowienia wzruszył ramionami, mruknął sam do siebie jakieś uspokajające słowo i cichutko wrócił do łóżka.

Alaina zatrzymała się w cieniu portyku, by włożyć wełniane skarpety i za duże buty, po czym wyszła z apartamentów Pontalba jak gdyby nigdy nic, w nadziei, że nie zwróci na siebie niczyjej uwagi. Plac Jacksona został już daleko w tyle, gdy wypatrzyła ciężki wóz jadący w kierunku północnym z jakąś poranną dostawą. Woźnica drzemał na koźle, więc nie zwrócił uwagi na chłopaka, który wdrapał się na tył wozu i zeskoczył, gdy

dojechali do drogi nad rzeką.

Pani Hawthorne miała zwyczaj wstawać wcześniej, by nacieszyć oczy porannymi mgłami głębokiego Południa. Każdego dnia witała wschód słońca spacerem po ogródku, lecz tego ranka ku swemu zaskoczeniu, otworzywszy tylne drzwi, zobaczyła pogrążoną we śnie drobną postać Ala. Chłopak przycupnął na wiklinowym kufierku i oparł się o balustradę ganku. Pełna współczucia, przyklęła i delikatnie otaczając ręką ramiona Alaina, leciutko nią potrząsnęła. Szare oczy zatrzepotały i otworzyły się.

- Chodź, dziecko - powiedziała starszka. Pomogła swemu gościowi wstać i zaprowadziła do salonu. Tam kazała Alainie położyć się na sofie i przykryła ją dużym, ręcznie dzierganym, szalem wełnianym. Na młodziutkiej twarzy pojawił się uśmiech wdzięczności, ale utrudzona dziewczyna nie była w stanie nic powiedzieć.

- Śpij, dziecko - powiedziała cicho pani Hawthorne. - Jesteś bezpieczna. Obudzę cię na śniadanie.

Odświeżona po obfitym śniadaniu Alaina siedziała wygodnie, popijając gorącą, mocną kawę, zaparzoną specjalnie dla niej. Zerknęła na zegar.

- Pani Hawthorne, za długo mi pani pozwoliła spać. Już prawie dziesiąta.

- Odpoczynek dobrze ci zrobił, Alaino. - Kobieta nie miała sobie nic do zarzucenia. - Ale o co chodzi z tym twoim kapitanem? Jego też chcesz unikać?

- Jego przede wszystkim! - rzuciła gwałtownie Alaina. - Już mi wystarczy tej bezsensownej opieki niebieskobrucha. Gdzie tylko się ruszę, widzę jego.

- Tak, rozumiem. - Pani Hawthorne spostrzegła nagłe podenerwowanie u dziewczyny. - Czy masz jakieś plany?

- Wracam do domu. Chciałabym zobaczyć Briar Hill, nim zostanie sprzedane. - Tylko to była w stanie powiedzieć, bo na myśl o jakimś Jankesie szwendającym się po salonie jej mamy poczuła ucisk w gardle i nie mogła dalej mówić.

- Ale jak tam dojedziesz, moje dziecko? - martwiła się pani Hawthorne.

Alaina przygryzła wargi z zakłopotaniem.

- Gdybym pani powiedziała, Jankesi mogliby to od pani wyciągnąć, a nawet zamknąć panią w więzieniu. Nie chcę pani przysparzać takich kłopotów.

Jej gospodyni wybuchnęła beztróskim śmiechem, pochyliła się i spojrzała z ożywieniem.

- Posłuchaj, młoda damo. Od lat tak się świetnie nie bawiłam. Odkąd się pojawiłaś, jakby życie we mnie wstąpiło na nowo. Myślałam, że czeka mnie już tylko okropna starość i na końcu śmierć, a teraz nie mogę się doczekać następnego dnia. Miałam w życiu do czynienia z lepszymi mężczyznami niż ci, co się tu ostatnio kręcą, może z wyjątkiem twojego jankeskiego kapitana. Czy naprawdę myślisz, że pozwolę ci gdzieś powędrować bez żadnej pomocy? W każdym razie - starszka wskazała dobitnie na strój Alaina - doktor Latimer już zna twoje przebranie.

Alaina dodała z irytacją:

- Zna też przebranie wdowy. Ta nędzna kreatura będzie mnie pewnie złośliwie prześladować.

- Za długo udawałaś chłopca, Alaino - stwierdziła pani Hawthorne. - Młoda dama powinna bardziej dbać o swój język.

Alaina spuściła wzrok, przypomniawszy sobie podobne nauki udzielane jej przez Cole'a. Za bardzo przyłgnął do niej ten Al.

Starsza kobieta spojrzała na zegar.

- Śmiał twierdzić, że twój kapitan będzie tu, zanim się ściemni. Musimy się pospieszyć, żebyś stąd zniknęła przed jego przyjazdem.

- My musimy? - zdziwiła się Alaina, lecz pani Hawthorne już poczłapała do kuchni. Wróciła po chwili z glinianym garnuszkiem wypełnionym ciemnobrązowym płynem. Postawiła go ostentacyjnie pośrodku stołu.

- To wyciąg z orzecha - wyjaśniła. - Używa się go do farbowania wełny i innych materiałów, lecz niewielu ludzi wie, że farbuje również skórę. Jest bardzo trwały, trzyma się tydzień albo i dwa. - Przerwała, patrząc błyszczącymi z podniecenia oczami. - Jeśli go zmieszasz z olejem bawełnianym i posmarujesz się tym, będziesz wyglądała jak Mulatka.

- Ale to będzie jeszcze bardziej niebezpieczne. Mogą mnie zatrzymać i uwięzić jako zbiegłego niewolnika. - Alaina wyraziła uzasadnioną obawę.

Jednak pani Hawthorne była pełna optymizmu. Pochyliła się ku dziewczynie.

- Mam znajomego po drugiej stronie rzeki, w Gretnie. Jest bogaty i niezależny. Wszystkich Jankeśów uważa za głupców, a rebeliantów za pomyłków. On na pewno ci pomoże.

Cole przespał się kilka godzin w pokoju rekreacyjnym w szpitalu, a następnie pozałatwiał sprawy związane z czekającą go wyprawą. Gdy tylko był wolny, wrócił do apartamentu z zapasem jedzenia oraz dużym pudłem ze sklepu konfekcyjnego pod pachą. Kupienie w niedzielę sukni i odpowiednich dodatków okazało się bardzo trudne, ale udało mu się przekupić właścicielkę, by otworzyła sklep.

Na pierwsze pukanie do drzwi nie uzyskał żadnej odpowiedzi i choć pukał coraz głośniejszymi, w mieszkaniu nie było słychać najmniejszych odgłosów. Nagle uświadomił sobie, że Alaina mogła wyjść. Otworzył drzwi kluczem i wszedł, położył zakupy na stole i zawołał:

- Alaino! Alaino! - Idąc przez pokoje, wołał z coraz większym zdenerwowaniem. Po chwili już wiedział, że dobrze się domyślał. Zniknęła razem ze swym mikroskopijnym dobytkiem. Nie została tu nawet, żeby trochę odpocząć, bo łóżko było tylko odrobinę zmięte w tym miejscu, gdzie wcześniej postawił jej kuferek.

- Do licha! - Był zły na siebie za to, że jej uwierzył i pozwolił tak łatwo wymknąć się z rąk. Mógł się jedynie domyślać, że jakkolwiek był jej cel, znajdowała się już daleko, zmierzając do niego.

Zapytawszy porucznika Baxtera, dowiedział się, że mniej więcej o podanej godzinie nie widział nikogo wychodzącego z budynku oprócz jakiegoś małego, obdartego żebraka. Cole nie zawracał sobie głowy wyjaśnianiem niczego ciekawskiemu porucznikowi, lecz pospieszył w pogoń. Biegiem dopadł powozu i pognał do domu doktora Brooksa. Lecz tam czarnoskóra gospodyni tylko wzruszyła ramionami.

- Nie, proszę pana. Doktora nie ma ani nikt tu dziś nie przychodził.

Cole odszedł jeszcze bardziej nachmurzony. Zostało tylko jedno miejsce, w którym mogła być Alaina. U pani Hawthorne. Pragnął złapać dziewczynę, zanim oddali się od niego na dobre. Szukaj wtedy wiatru w polu. Denerwowała go ta sytuacja i to, że powóz posuwa się zbyt wolno. Wyrzucał sobie nadmierną łatwowierność. Jak mógł przypuszczać, że zostanie tam, gdzie jej kazał? Ta mała lisica jest w stanie całkiem umordować ścigającego ją mężczyznę.

Kiedy dotarł do domu pani Hawthorne, długimi susami przemierzył ganek i stukał pięścią w drzwi, dopóki nie usłyszał w środku odgłosów jakiegoś ruchu. Potem czekał, niecierpliwie uderzając rękawicami o udo. Po chwili powitał go serdeczny uśmiech gospodyni.

- O, kapitan! Co pana do mnie sprowadza?

- Czy była tu Alaina MacGaren? - pytał, idąc za nią do salonu.

Pani Hawthorne odwróciła się ze zdumieniem.

- Dobry Boże, a czegoż by pan od niej potrzebował?

Jednak on zaraz zauważył sfatygowany kuferek stojący tam, gdzie go pozostawiła Alaina, i z gniewną miną spojrzał jej prosto w twarz. Nie musiał już pytać.

- Dziewczyna wyjechała, kapitanie. Nie ma sensu jej szukać. Ten bagaż zostawiła u mnie.

- Dokąd? - ryknął. - Dokąd pojechała?

Pani Hawthorne odrzekła obojętnie, z uprzejmym uśmiechem na ustach:

- Chyba do Teksasu? Ma tam jakichś przyjaciół. A może mówiła o Missisipi? Stamtąd, zdaje się, pochodzi rodzina jej ojca. Albo też...

Cole warknął coś, aż kobieta uniosła brwi ze zdziwienia. Ze złością podszedł do kufereka, kucnął, otworzył go i przerzucił zawartość: strój wdowi, koszulki, pantalonek, znoszony szlafrok oraz chłopięce lachmany. Wstał i zaklął. W kogo się teraz wcieliła? Skręcał się ze złości, podczas gdy kobieta spokojnie patrzyła.

- Czym pojechała? - zapytał ostro. - Jak wygląda? Przebrana za chłopca czy za dziewczynę?

- Tyle naraz gniewnych pytań, kapitanie. Tss! Nic dziwnego, że dziewczyna przed panem ucieka - przekomarzała się pani Hawthorne.

- Dała jej pani konia? - dopytywał się zaciekłe.

- Kapitanie, napije się pan herbaty? - zaproponowała, podając mu napelnioną filiżankę.

Cole odsunął ją ze zniecierpliwieniem.

- Ma konia czy powóz?

- Konia, jak sądzę - przyznała pani Hawthorne. - A może jednak powóz? Ona bardzo dobrze jeździ, wie pan o tym?

- Nie mam żadnych wątpliwości - odparł. - Ale w jakim jest przebraniu?

- No więc, kapitanie... - Starsza pani uśmiechała się dobrotliwie. - Musiałam dziewczynie obiecać, że nic panu nie powiem. A ja dotrzymuję danego słowa.

- I nie powie mi pani, dokąd pojechała?

- Kapitanie, Alaina prosiła, bym się panu z niczego nie zwierzała. - Pani Hawthorne rozłożyła bezradnie pomarszczone ręce. - Przykro mi. Widzę, że pan jest zdenerwowany. Czy obawia się pan o jej bezpieczeństwo?

- Oczywiście - wyrzucił. - Nie ma pieniędzy ani jedzenia...

- Zapakowałam jej koszyk z prowiantem, który wystarczy co najmniej na trzy, cztery dni, ale pieniędzy nie chciała wziąć. Zapewniła, że da sobie radę.

Cole westchnął z irytacją.

- Kapitanie? - Pani Hawthorne przyjrzała mu się dokładnie. - Pan się bardzo przejmuje losem tej dziewczyny. Czy jest pana krewną?

- Tylko pośrednio, przez moją żonę - odpowiedział w zamyśleniu i zaczął chodzić po pokoju.

- A więc jest dla pana kimś wyjątkowym? Może pana kochanką?

Cole spojrzął na kobietę, zdumiony jej śmiałą sugestią.

- Raczej niemożliwe! - zaprzeczył gwałtownie. - Do wczoraj myślałem, że jest chłopcem.

- Cóż, pozostaje więc tylko jedno. - Pani Hawthorne oznajmiła to pewnym tonem, składając dłonie, jakby wydawała wyrok. - Jest pan w niej zakochany.

Cole założył ręce do tyłu, z trudem powstrzymując śmiech, tak niedorzeczny wydał mu się ten pomysł. Pochylił się do przodu i tonem pouczającego zwierzchnika zaczął:

- Szanowna pani Hawthorne...

- Nie musi pan być taki oficjalny, kapitanie. Może pan nawet zwracać się do mnie po imieniu. Wszyscy nazywają mnie Tally. - Usiadła, by go wysłuchać.

- Pani Tally... - Cole przerwał, zbierając myśli, i zaczął jeszcze raz. - Tally, jestem żonaty zaledwie od kilku miesięcy i przedtem znałem Alainę wyłącznie jako Ala. Po prostu czuję się za tę dziewczynę odpowiedzialny. Ona... ma zdolność ściągania na siebie kłopotów przez ten swój nadmierny temperament. Chciałbym tylko ją przed tym uchronić.

- Naturalnie, kapitanie - rzekła jego słuchaczka wyjątkowo niewinnym głosem. - I robił pan to dotąd wspaniale.

Patrząc w jej ciepłe brązowe oczy. Cole odniósł szczególne wrażenie, że Tally Hawthorne jest i po jego stronie, i zarazem przeciwko niemu. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Włożył kapelusz i rękawice. Wychodząc, zatrzymał się przy drzwiach.

- Dobranoc, pani Tally.

- Naprawdę życzę panu szczęścia w odnalezieniu swojej dziewczyny, kapitanie. Dobranoc.

Cole chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale pani Hawthorne zajęła się już sprzątaniami serwisu do herbaty i przestała na niego zwracać uwagę. Więc wyszedł.

18

W poniedziałek, siódmego dnia wietrznego marca, kapitan Cole Latimer wstał wczesnym rankiem. Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem swój apartament, wziął sakwy i wyszedł. Nareszcie skończyła się ta niespokojna, bezsenna noc i miał przed sobą jakiś konkretny cel. W szpitalu odebrał rozkaz przydzielający go jako lekarza do pierwszej dywizji dziewiętnastego korpusu pod dowództwem generała Williama E. Emory'ego. Pobrał także polowy zestaw chirurgiczny w pękatej, ciężkiej, skórzanej walizce z wygiętym dnem, żeby nie zsunęła się z tyłu siodła. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach pokoju oficerów i zajrzał, tak na wszelki wypadek, gdyby Al zdecydował się wrócić. Mimo że wcale na to nie liczył, poczuł ukłucie rozczarowania, gdy przekonał się naocznie, że słusznie wątpił.

Mijając tablicę ogłoszeń, zerwał z niej pewną ulotkę, którą już wcześniej zauważył. Jednak dopiero po zapewnieniu sobie transportu na promie do Gretny znalazł chwilę spokoju, wyciągnął z bluzy pergamin i dokładnie go przeczytał.

BRIAR HILL

SKONFISKOWANA Z MOCY PRAWA

posiadłość zdrajczyni

ALAINY MACGAREN

około 1500 akrów,
w tym 600 uprawne.

Dom, stajnia, powozownia w stanie nienaruszonym.

Inne budynki do remontu.

Minimalna stawka:

5000 \$

Tylko zapieczętowane oferty.

Aukcja: 12 kwietnia 1864

Cole oparł się o barierkę małego, hałaśliwego stateczku parowego i patrzył na toczącą się w dole rzekę. Był teraz całkowicie pewien, że Alaina pojechała do domu, choćby po to, by jeszcze raz go zobaczyć. Jego armia miała maszerować przez Cheneyville, skąd, jak się dowiedział, jest tylko kilka mil do Briar Hill. Może więc po drodze będzie miał szczęście i zobaczy choć na chwilę nie schodzącą mu z myśli drobną postać.

W Gretnie Cole wprowadził konia do wagonu towarowego, a sam zajął miejsce w wagonie pasażerskim pociągu do Brashear City, gdzie stacjonowała armia. Miał nadzieję, że odeśni nieco ostatnią zarwaną noc, ale jego skołatane nerwy nie mogły znaleźć ukojenia we śnie. Czas włókł się w nieskończoność, znęcając się nad Cole'em.

Na stacji w Brashear City niecierpliwie oczekiwał go major Magruder. Od początku buntował się przeciwko otrzymanemu rozkazowi wzięcia udziału w kampanii, a teraz gdy Cole zgłosił się na ochotnika, nie mógł się doczekać powrotu do wygodnej kwatery w Nowym Orleanie. Zjawił się przy kapitanie natychmiast, gdy ten wysiadł z pociągu, i bez żadnych zbędnych powitań przystąpił od razu do rzeczy.

- Obóz medyczny znajdzie pan około trzech mil na zachód nad brzegiem jeziora. To doskonale miejsce, ale ostrzegam przed komarami. Mając tyle jankeskiej krwi do dyspozycji, rozmnożyły się do monstrualnych rozmiarów. - I dalej monotonnym głosem streszczał mu pokrótce najważniejsze rozkazy, wytyczne i ogólny stan gotowości kadry medycznej. Jak zapewniał, była ona gotowa do działania na każde wezwanie. Wreszcie przerwał i chrząknął. - Ma pan jakieś pytania, kapitanie? - A gdy Cole zaprzeczył, Magruder nieco się rozpogodził. - To dobrze! Więc nie będzie mnie pan potrzebował, mogę się zająć swoim koniem. - Odszedł kawałek i odwrócił się z powściągliwym uśmiechem. - Życzę szczęścia, kapitanie Latimer, lecz jak sądzę, pańska pierwsza prawdziwa kampania może być pozbawiona wszelkich radości.

Większość oddziałów mijanych przez Cole'a po drodze do połowej jednostki sanitarnej wyglądała raczej na pozostające w stanie spoczynku niż gotowe do wymarszu. Żołnierze, którym udało się wymigać od przydzielenia do jakiejś pracy, objali się i zajmowali głupstwami. Obóz medyczny nie był wyjątkiem. Można by nawet twierdzić, że panowała tu wręcz atmosfera majówki.

Słońce zniżało się już do czubków drzew, gdy zarząd kwatery skierował Cole'a do namiotu zwolnionego właśnie przez majora Magruder. Kiedy wracał z kasyna oficerskiego, zapadał już gwałtowny, typowy dla Południa zmierzch. Przy wpisywaniu nazwiska do księgi oddziału i urządzaniu się w namiocie przyświecała mu lampka olejowa.

Ósmego marca dzień wstał jasny i pogodny, obiecując w najbliższym czasie ładną pogodę. Kapitan Latimer obudził się przed wschodem słońca, zjadł solidne śniadanie i udał się do rejonu zakwaterowania, by skontrolować

niewielki oddział odkomenderowany pod jego rozkazy. Nie mógł znaleźć harmonogramu zadań, ale kapral w namiocie administracyjnym poinformował go, że nic takiego nie istnieje, a za sprawy organizacyjne oddziału medycznego odpowiadał major Magruder. Pełen złych przeczuć Cole odszukał starszego sierżanta i poszli razem obejrzeć stan pojazdów. Mieli do dyspozycji dwadzieścia pięć wozów dostawczych i tyle samo mocnej konstrukcji ambulansów oraz pięć wozów z medykamentami. Cole był zadowolony z dobrego wyposażenia tych ostatnich. Ambulansy były nowe i w dobrym stanie. Lecz gdy otworzył tylną klapę wozu dostawczego i zajrzał do środka, natychmiast zgodził się z Alaina, że Magruder powinien wyładować w szambie. Chłodnym tonem zwrócił się do sierżanta z pytaniem:

- Gdzie są specyfikacje tych wozów?

- Nie ma żadnych specyfikacji, panie kapitanie - oświadczył krzepki mężczyzna. - Ładowaliśmy jak się dało. Major nie mówił, że to ma jakieś znaczenie. Gdyby doszło do walki, i tak wszystkie wozy stanęłyby razem.

- A jak wtedy znajdziemy cokolwiek bez wyładowywania ich wszystkich?! Może pan chciałby się wtedy tym zająć, sierżancie?! - Ostry ton uwagi Cole'a niewątpliwie komunikował, że popełniono błąd. - Proponuję, żeby pan zmobilizował ludzi i wyładował wszystko z tych wozów, a wtedy zrobimy w nich porządek.

- Ale, kapitanie! - zaczął starszy sierżant i zamilkł, zmrożony jego wzrokiem.

- Sierżancie - rzekł Cole powoli, ale dobitnie. - Gdyby w ten wóz uderzył pocisk, wszystkie bandaże przepadłyby w bagnie. W drugim jest cały zapas alkoholu i laudanum. Gdyby wpadł do rzeki, aligatory miałyby niezły wyszynk.

- Tak jest, kapitanie. - Sierżant był mocno zawstydzony. - Natychmiast zbiorę ludzi.

Był to dla wszystkich sądny dzień. Sporządzono harmonogramy, przydzielając po pięć wozów dostawczych i ambulansów dla każdej kolumny zaopatrzeniowej jednostki. Do każdego pojazdu przydzielono również woźnicę, do karetek po dwóch noszowych i sanitariusza. Asystent chirurga miał dozorować wozy z medykamentami, które zwykle jadą razem z dowództwem dywizji. Całe wyposażenie zostało posortowane, rozdzielone na części i ponownie załadowane tak, żeby utrata któregoś z wozów nie sparaliżowała całej akcji ratunkowej.

Przed zapadnięciem nocy zaprowadzono jaki taki porządek i prawidłowo załadowano wozy. Cole założył siatkę przeciw komarom i obdarzał właśnie w duchu niewybrednymi epitetami majora Magruder, gdy w jego namiocie zjawił się posłaniec. Młody szeregowiec energicznie zasalutował i obwieścił kapitanowi, że dowództwo oraz dwie dywizje trzynastego korpusu wyruszą w marsz jako pierwsze dziewiątego o wschodzie słońca. Cole ze swą pierwszą dywizją dziewiętnastego korpusu ruszy w następnej kolejności, gdy tylko tamte dojdą do skrzyżowania dróg.

Krwawoczerwone niebo o wschodzie słońca nie zwiastowało niczego dobrego. Później ociepliło się i przejaśniło, zniknęły mgły i wraz z nimi czarne myśli. Dywizja wyszła w drogę późnym popołudniem i wciąż jeszcze można było dostrzec niedawno opuszczony obóz, gdy korpus idący przodem zarządził postój na noc. Cole jęknął w duchu, bo poczuł się tak, jakby tę kampanię prowadził Magruder.

Dziesiątego marca dzień wstał szary i mglisty. Zanim pogaszono ogniska, na których gotowano śniadanie, rozpadał się lekki deszcz. Cole założył pelerynę, zsunął kapelusz najniżej jak się dało i wsiadł na konia. Dopóki wóz nie był potrzebny gdzie indziej, jeden z ambulansów służył mu za kwaterę, gdzie mógł wygodnie trzymać swoją pękatą walizkę z instrumentami i sakwy.

Oddziały armii generała Franklina, choć złożonej z doświadczonych żołnierzy, były zbyt krótko razem, by

tworzyć jednolitą całość. Kolumny rozpraszaly się podczas marszu i coraz częściej zarządzano postoje, zwłaszcza że twarda dotąd droga z czerwonej gliny zmieniała się powoli w zdradliwe morze błota. Po prawej stronie ciągnęły się rozlewiska rzeczne, a po lewej ponure czarne bagno. Zejście z drogi równałoby się stoczeniu ze zwątpienia w beznadzieję.

Deszcz padał coraz gęstszy, aż przeszedł w ulewę i tak pozostało do końca dnia. Czerwone błoto oblepiało dokładnie wszystko, co się w nim zanurzyło. Zdawało się wnikać wszędzie. Gdy zarządzono postój na nocleg, wozy zatrzymały się tam, gdzie były, a ludzie szukali dla siebie najbliższego twardego lub choć odrobinę twardszego miejsca, żeby na nim złożyć umęczone ciała. Tam gdzie znaleziono trochę suchych gałęzi, rozbłysły ogniska. Wraz z zapadnięciem ciemności z bagien przypełzła gęsta mgła i szczelnie otuliła dwudziestomilową kolumnę wojska. Jedną z ostatnich myśli Cole'a, nim pogrążył się w błogosławionym śnie, było to, że żywioły natury chcą najwyraźniej odgradzić go od Briar Hill w czasie, gdy jest tam Alaina. Kolejne dni przyniosły mu jeszcze więcej powodu do rozpacz, deszcz bowiem padał bez przerwy.

Te same dżdżyste strugi lały się na głowę obiektu jego rozmyślań. Alaina patrzyła oczami pełnymi łez z końca długiej, wysadzonej dębami alejki. Okna jej białego domu były zamknięte na okiennice i pozabijane deskami, drzwi wejściowe zabite na krzyż. Był to duży, wysoki dom w stylu kolonialnym, z długim, spadzistym dachem, mansardami i kolumnowymi gankami z trzech stron. Jej rodzinny dom! Briar Hill! Dotarcie tutaj zajęło jej pięć dni, ale wreszcie przyjechała. Do domu.

Uderzyła lejcami po grzbietach dwójki starych, niedołężnych koni, a one ruszyły, rozchlapując kałuże w alejce, i pociągnęły za sobą chybotliwy karawan. Jedno spojrzenie na przykrytą czarnym materiałem trumnę wewnątrz oszklonego wozu pogrzebowego wystarczyło, by ostudzić ciekawość gapiów, a już prawie nikt nie zwracał uwagi na chudego jak drzazga Mulata siedzącego wysoko na koźle. Żółte chorągiewki powiewające na narożnych słupkach karawanu ostrzegały, że wiezie on zmarłego na żółtą febrę, toteż większość mijających go ludzi wołała zachować właściwy dystans.

Na swą mierzwę włosów Alaina wcisnęła wysoki cylinder, a jej kobiece kształty zakrywał frak. Białą skórę przyciemniła wyciągiem z orzecha. Z powodzeniem mogła uchodzić za młodego służącego, który wiezie swego zmarłego pana z powrotem do domu. Karawan należał do znajomego pani Hawthorne. Okazało się, że był przedsiębiorcą pogrzebowym. Podobnie jak starsza pani i on podszedł do sprawy z humorem, rozpraszając obiekcje Alainy co do zwrotu karawanu.

- Moja droga, jeśli pani jest zaprzyjaźniona z Tally - zapewniał - to dla mnie zaszczyt pomóc w czymkolwiek. Poza tym ten wóz jest starszy niż ja sam i niewart zachodu, by go transportować z powrotem. Proszę się w ogóle nie trudzić.

I tak Alaina wyruszyła do domu, po drodze smutnym głosem odstraszać tych, którzy podeszli za blisko.

- Odsuńcie się! Mój pan umarł na febrę i Jankesi chcieli spalić jego ciało. Ale moja pani chce go pochować koło domu, w którym się urodził.

Wysoko nad głową krzyżowały się omszałe gałęzie drzew, z których na jadącą pod ich sklepieniem dziewczynę skapywały krople deszczu. Przypomniały jej się ostatnie dni w Briar Hill i ciężka wiosna 1863 roku, gdy Jankesi okupowali Alexandrię. Wróg zagrabił cały plon tej ziemi, tam gdzie tylko mógł, skonfiskował zwierzęta, bawełnę i drewno, a gdy miał taki kaprys - palił domy. Chociaż Briar Hill uniknęło podpalenia, pola

majątku zostały zdewastowane, a inwentarz i zbiory zrabowane. Kilku plantatorów zdołało ukryć barki z bawełną na bagnach, lecz i tak Banks nieźle się zaopatrył. Jednak wszystkie straty Alainy były niczym w porównaniu z tym, co oddała kapitanowi Latimerowi. Tamta noc zapadła jej głęboko w duszę.

Na drzewach rozwinęły się już młode listki, szybko rosnące dzięki nie kończącym się opadom wiosennego deszczu. Kwitły azalie, a fuksje nawet w deszczowej szarudze wyglądały tak samo okazale jak za dawnych, szczęśliwych dni. W końcu to przecież tylko ludzie i okoliczności zmieniały się w czasach wojennej zawieruchy. Wiosna przychodziła tak samo pełna barw i zapachów. Drzewa stały dumnie pośród smutku i żałoby, budzone do nowego życia promieniami słońca i ciepłym deszczem.

Gdy Alaina podjechała bliżej domu, ujrzała na drzwiach gruby krzyż namalowany czerwoną farbą. Serce jej ugięło się pod ciężarem tego werdyktu. Bez wysłuchania jej samej uznano ją za zdrajczynię własnego ludu. Krzyż obwieszczał, że wydano na nią wyrok śmierci.

Na trzęsących się nogach zeszła z karawanu i weszła na schody domu. Wydało jej się, że słyszy gdzieś śmiech mamy, a przed oczami przesunęły jej się twarze ojca i braci. W tym domu żyła kiedyś szczęśliwie ze swą rodziną. Teraz nic nie zostało z dawnej radości. Opuściła ją na zawsze razem z najbliższymi.

Przeszła powoli wzdłuż kolumnienek na jedną stronę domu, dokładnie oglądając każde zabite deskami okno. Dom był gęsto obrośnięty krzewami słodkich oliwek, których aromatyczna woń mieszała się z zapachem deszczu. Pachniało tak jak kiedyś.

Z tyłu, nieco wysunięta w stosunku do reszty domu, znajdowała się kuchnia. Drzwi do niej zablokowano tylko jedną deską. Alaina weszła pod nią i pchnęła barkiem drzwi, zawsze trudne do otwarcia w wilgotny dzień. Znalazłszy się w środku, szybko zamknęła je za sobą. Oczy jej musiały się przyzwyczaić do ciemności spowijających kuchnię i jadalnię. Przez okiennice wpadały zaledwie pojedyncze smugi szarego, popołudniowego światła. Kiedy przemierzała dom, echo jej kroków rozbrzmiewało pustym dźwiękiem. Dopiero gdy oswoiła się z półmrokiem, spostrzegła, że zabrano stąd większość mebli. Pobiegła do sypialni rodziców i do salonu. Oba pokoje były niemal opustoszałe, pozostał ledwie cień tego, co miała w pamięci. Daremnie szukała oczami znajomych przedmiotów, stanowiących kiedyś nieodłączną część jej życia. Było to tak samo bolesne jak śmierć kogoś bliskiego. Żal ścisnął jej gardło.

Jak w letargu przeszła do swojej sypialni, gdzie większość mebli pozostała na dawnym miejscu. Przepęlniona rozpaczą, usiadła ciężko na brzegu łóżka, czując śmiertelne zmęczenie i głęboki ból. Nie mogła pohamować szlochów i łez płynących po ciemnych policzkach. Zacisnęła drobne pięści na brzegu materaca, jakby trzymała się kurczowo resztek wspomnień o rodzinnym domu. Nagle zeszytniała ze strachu, bo z tyłu za nią skrzypnęła podłoga jak pod stąpieniem czyjejś ciężkiej stopy. Zerwała się w panice i odwróciła przodem do intruza. Gdy go rozpoznała, stanęła jak wryta, zapominając o łzach. Wprost nie mogła uwierzyć.

- Panienska Alaina? - odezwał się niepewnie znajomy głos i ogromny Murzyn ostrożnie podszedł bliżej. - To panienska?

- Saul! - Ciszę domu przeszył okrzyk radości i już po chwili rzuciła się w jego potężne ramiona. Teraz płakała ze szczęścia i ulgi, a on niezręcznie klepał ją po plecach. - Och, Saul, myślałam, że już nie żyjesz!

- Nie. - Odsunął się z uśmiechem. - Ci Jankesi deptali mi po piętach prawie przez tydzień, ale w końcu ich zgubiłem. Nie mogłem ich przecież zaprowadzić do panienski Alainy.

- Myślałam, że cię złapali, więc pojechałam do wujka Angusa - powiedziała, pociągając nosem.

- A ja cały czas miałem oko na dom. Wiedziałem, że prędzej czy później panienka tu wróci. Z tych wszystkich plotek domyśliłem się, że panienka jest w dużych kłopotach. Wygląda na to, że te oszczerstwa o panience rosną coraz bardziej. - Odrzucił głowę w tył i roześmiał się na jej widok. - Nikt by panienki nie poznał, bo wygląda prawie jak ja.

Śmiejąc się i ocierając łzy, Alaina pokazała na pusty kąt, gdzie kiedyś stała szafa.

- Ale gdzie się wszystko podziało, Saulu? Już nic nie przypomina naszego domu.

- Ta banda hien, co mieszka tam dalej przy drodze, załadowała sobie pełne wozy. Kiedy wróciłem, już prawie wszystko wywieźli. Zakradłem się do Gillettów i zobaczyłem. Jasne, mają większość z tego, czego tu brakuje. Jak pan Jason wróci z wojny, urządzimy sobie z tą białą hołotą spotkanie na pistolety. Ten szczeniak Emmett rozgłasza w okolicy, że to on spowodował, że panienkę ścigają. Nie będzie się tak pysznił, jak wróci pan Jason - rzucił Saul z odrazą.

Alaina westchnęła i odezwała się drżącym głosem:

- Saulu, obawiam się, że Jason nie wróci.

- O, niee - jęknął żałośnie Saul. Z oczami pełnymi łez czarnoskóry zwiesił głowę i kręcił nią z niedowierzaniem.

- A jak ty sobie radziłeś? - spytała Alaina cicho.

Saul wytarł twarz rękawem i przełknął łzy.

- A, ja bez problemów, panienko Alaino. Przeważnie mieszkałem na dole, a jeśli ktoś się kręcił w pobliżu, wchodziłem na strych. Jednej nocy weszli tutaj ci Gillettowie. Wtedy wzięłem łańcuchy i dzwoniłem nimi po całym domu, udając ducha. Szybciutko się zmyli. I więcej nie przychodzili.

- Dobrze im tak - mruknęła Alaina. - To banda zwykłych tchórzy.

- Tak właśnie jest - przytaknął Saul. - Jeszcze wcześniej przyjechał tu na koniu dziwny człowieczek z kompanami. Jednym z nich był Jankes, ten, co powiedział, że jesteśmy szpiegami. A ten śmieszny powiedział, że kupi Briar Hill, kiedy wystawią go na aukcję. On i dwaj inni mężczyźni, a z nimi kobieta spodniach, poszli do lasu. Szedłem za nimi najbliżej jak mogłem. Zakopali coś w lesie i chyba był to jeden z mężczyzn, bo wrócili tylko we troje, ten śmieszny, porucznik i kobieta. Nie miałem na tyle odwagi, żeby rozkopywać i sprawdzać, co tam zakopali.

Myśl o tym, że Briar Hill znajdzie się w rękach jakiegoś mordercy, była dla Alainy nie do zniesienia. Trzeba temu zapobiec. Zaciśnęła zęby z determinacją.

- Musimy sprawdzić, co oni zakopali.

Murzyn spojrzał na nią podejrzliwie.

- Panienka Alaina chce wykopywać nieboszczyka? Jest już w ziemi od długiego czasu.

- Jeśli kiedykolwiek oczyszcę swoje imię z zarzutów, może będę musiała udowodnić, że ci ludzie to mordercy, by odzyskać Briar Hill. To mój dom i nie zamierzam oddać go bez walki!

- Tak - wymamrotał niepewnie Saul.

- Karawan i konie schowamy w szopie, a gdy nastanie noc, weźmiemy lampę i pójdziemy do lasu zobaczyć, co ten dziwny człowiek tam ukrył.

Tego wieczoru dwoje życiowych rozbitków miało wyśmienitą kolację. Odkryli w stodole kilkadziesiąt kolb kukurydzy i zdołali w starym młynie zemleć ich twarde ziarna na grubą mąkę. W kurniku znaleźli jeszcze kilka

gniazd, do których wróciły rozpędzone przez Jankesów kury. Alaina zebrała z pół tuzina jaj. W spiżarni znalazła sól i zakwas. Zmieszała to wszystko z mąką kukurydzianą i upiekła pyszny, pachnący placek. Suszoną fasolę ugotowała razem z cienkim plasterkiem bekonu, który Saul miał w swoim chlebaku, a do tego usmażyła kilka złapanych przez Saula dużych okoni, obtoczonych w mące. Przynajmniej na parę chwil mogli zapomnieć o trudach wojny i z przyjemnością odpocząć.

Księżyc wspinał się pracowicie po nocnym niebie i oświetlał srebrną aurą przepływające pod nim nisko chmury. Alaina pozmywała drewniane miski w wiadrze z wodą. Potem wzięła lampę i spojrzała wyczekująco na Murzyna.

Saul wstał, wzdychając i ociągając się. Zupełnie nie miał serca do tego, co musieli zrobić, lecz posłusznie skinął głową.

- Wezmę łopatę.

Niecodzienna para zaczęła przeczesać las w poszukiwaniu jakiegoś śladu. Niespodziewanie Saul odkrył świeżo skopane miejsce między dwoma nadpalonymi dąbkami. Najwyraźniej ktoś zamierzał tu wrócić.

Saul z wielką niechęcią zabrał się do odkopywania, podczas gdy Alaina przyświecała mu lampą. Deszcz zelżał, przeszedł teraz w mżawkę, ale ziemia była już nasączona wodą i ciężka. Minęły prawie trzy kwadranse, zanim łopata Saula stuknęła o coś bardzo twardego. Zaciekawilo to Murzyna i na chwilę zapomniał o swej niechęci. A więc to nie ciało zakopali ci niegodziwcy.

- Panienko Alaino, proszę przybliżyć lampę - ponaglił. - Tutaj jest coś innego.

Wydobył łopatę pełną błota i natychmiast jego entuzjazm opadł, gdyż zobaczył kawałek dłoni. Jeszcze trzymała się pozostałej części ręki, przerzuconej przez dużą skrzynkę z metalowymi okuciami. Alaina wzdrygnęła się i cofnęła, zasłaniając usta ręką. Jej dotychczasowa odwaga opierała się na niedowierzaniu, że na jej ziemi, w Briar Hill, mogła zostać popełniona zbrodnia. Łudziła się, że Saul nie miał racji. Teraz spadła na nią cała, miażdżąca prawda. Poczula się chora i bliska omdlenia.

- O rety, panienko Alaino. Miałem rację. Zabili go.

Alaina zaniemówiła i trzęsła się, patrząc, jak Murzyn wydobywa z grobu ciężką skrzynię. Kiedy postawił ją przed dziewczyną, ta oczyściła wierzch z oklejającej go mokrej ziemi i zbliżyła lampę. Na pokrywie namalowane były litery USA, co oznaczało, że była to własność Unii. Wraz z ciekawością wzrastała niecierpliwość Alainy, gdy rozkręcała gruby drut zamykający skrzynię. Sposób wygięcia skobla świadczył, że był kiedyś zamykany na kłódkę, którą siłą wyrwano.

- Niech panienka się odsunie - polecił Saul Alainie, a gdy posłuchała, z całej siły uderzył ciężką łopatą w druczany węzeł. Pękł po drugim uderzeniu i Murzyn otworzył wieko.

Alaina wydała okrzyk zdumienia i uklękła przy Saulu. W skrzyni kilkoma warstwami leżały oklejone papierem pliki jankeskich banknotów. Dół skrzyni wypełniały woreczki pełne złotych dwudziestodolarówek.

- O rety! - szepnął zdumiony Saul.

- To jankeskie pieniądze! - z równym zdumieniem zauważyła Alaina. Wyciągnęła spomiędzy torebek plik papierów i pospiesznie je przejrzała. - To pieniądze na żołd. Przesłane z Waszyngtonu do Nowego Orleanu i stamtąd do wojsk pod dowództwem generała brygady T. Kilby'ego Smitha. Tu jest ponad sto tysięcy dolarów! - Przerwała, bo nagle ją olśniło. - Ależ to musi być to! - Z przejęciem wymachując papierami przed wpatrzonym w nią ze zdumieniem Saulem, pospiesznie wyjaśniała: - Ten żołd, który skradziono w Nowym Orleanie i zrzucano

winę na mnie!

- Coś podobnego! Wygląda, jakby ten dziwny człowieczek był pewien, że kupi ten dom, skoro już się zaczął wprowadzać.

Alaina odsunęła się i w zamyśleniu przygryzała wargę. Oczy jej zwięzały się coraz bardziej, a widoczny w nich błysk determinacji trochę zaniepokoił Saula. Jej rozmyślania mogły bowiem oznaczać kolejne czekające ich kłopoty.

- Panienko Alaino... - zaczął z obawą w głosie, lecz ona zgasiła go przejrzystym spojrzeniem szarych oczu.

- Zapewniam cię, Saul, że jeśli Alainę MacGaren powiesz za kradzież, nikt inny nie będzie korzystał z tych pieniędzy.

- Co panienka Alaina ma zamiar z tym wszystkim zrobić?

- Na razie ukryjemy to gdzieś, skąd można to szybko zabrać i uciec, w razie gdyby ten mężczyzna wrócił.

Saul prychnął z niezadowoleniem.

- Dopiero byśmy sobie narobili bigosu, gdyby nas złapali z tymi pieniędzmi. Trzymając je w pobliżu, jakbyśmy sobie sami założyli pętlę na szyję. A jeśli nas złapie ten śmieszny człowieczek, skończymy podobnie jak ten tu w grobie.

- No to będziemy musieli uważać, żeby nikt nas nie złapał.

Zasyпали grób z powrotem ziemią i starannie zatarli ślady. Skrzynkę z żołdem ukryli tymczasowo w starym kufrze w stajni, dokładnie przykrywając stertą pasów i zapiec starych uprzęży. Żadne z nich nie umiało myśleć jak rasowy przestępca, toteż nie przyszło im nawet do głowy, że jedynie ktoś naiwnie uczciwy przejdzie obok zamkniętego kufra, nie sprawdzając, co jest w środku.

Czternastego marca o zachodzie słońca rzeka toczyła swe błotniste, czerwonawe wody, a niebo nad ciemną zielenią drzew błyszczało feerią kolorów - jasnoróżowych i lśniaco złotych, z gdzieniegdzie przeświecającymi pasami błękitu. Na wschodzie widnokręgu z każdą minutą rosła niebieskoszara mglista zasłona. Z tej samej strony dochodziło niskie dudnienie, jak grzmoty burzy w oddali, którym jednak nie towarzyszyły błyskawice. Alaina zauważyła pełne lęku spojrzenie Saula.

- Słyszysz panienka?

Kiwnęła głową i ponownie spojrzała w tamtym kierunku.

- Działa! - stwierdził Saul. - Duże! Idą od strony Marksville. Są jakieś dwadzieścia mil stamtąd.

- To fort De Russy - mruknęła Alaina. - Znów został obsadzony i Jankesi pewnie usiłują go zdobyć.

- Panienko Alaino, oni mogą tędy przechodzić. - Potężny Murzyn załamał ręce z rozpaczą. - Już tylko dom nam został. A tym razem na pewno go spalą.

- Przybij znów do drzwi tę jankeską tabliczkę: „Wstęp wzbroniony”. - Alaina zaczęła konsekwentnie podejmować decyzje. - Dwa razy pomyślą, zanim podpalą jankeską własność. My przeniesiemy się na jakiś czas do jednej z małych chat - zaśmiała się z nutką złośliwej satysfakcji. - Jeśli przyjadą tu niebieskobruchy, będę udawała twojego krewnego.

Następnego dnia kanonada ucichła. Niewielki fort został zdobyty, załogę wzięto do niewoli, a szesnastego marca flotylla wojennych okrętów jankeskich popłynęła w górę Czerwonej Rzeki, by eskortować ponad trzydzieści parowców transportujących dwie dywizje doświadczonych weteranów pod dowództwem generała A. J. Smitha. Inna dywizja, pod rozkazami generała T. Kilby'ego Smitha, została z tyłu, likwidując do końca fort De Russy i

przetrzebiając całą okolicę.

Wyszkoleni przez generała Shermana żołnierze w ciemnoniebieskich mundurach okazali się doskonali w swym wojennym fachu. Jankeskie pochodnie rozgorzały w Simsport, a także na bujnych preriach Avoyelles. Ta kraina, zamieszкана przez spokojny lud akadyjski o silnych tradycjach wolnościowych, choć na ogół popierający Unię, wkrótce zappełniła się „pomnikami Shermana”, czyli wypalonymi kikutami kominów po bogatych domach plantatorów.

Deszcz nadal zamieniał otaczające je pola w błoto, a Jankesi zamieniali prerię w pustynię. W Shreveport, siedzibie armii konfederackiej na zachodzie, generał dywizji Kirby Smith, trzeci o tym samym nazwisku, był bardzo niespokojny. Nie mógł puścić do ataku generała Taylora z jego przerzedzoną dywizją Luizjańską, dopóki nie pozbiarał rozrzuconej armii zachodniej w szarych mundurach z najdalszych obozów i nie skoncentrował jej przeciwko postępującemu wojsku Unii. Generał Richard Taylor, syn Zacharego i szwagier Jeffa Davisa, mógł się tylko cofać, rekrutując po drodze ochotników, z nadzieją, że gdzieś będzie mu dane bronić swej ojczystej ziemi.

Alaina też martwiła się o to samo - jak ochronić swój dom przed podchodzącymi coraz bliżej i siejącymi zniszczenie hordami Jankesów. W powietrzu czuło się zapach spalenizny, którego nie był w stanie zmyć nawet deszcz. Dziewczyna leżała w swojej połowie chatynki na twardej i pełnej zgrubień palecie wyłożonej bawełną i usiłowała się zrelaksować, ale nie była w stanie uwolnić się od obaw, jaką nową próbę zgotuje jej los teraz, gdy wokół pełno było Jankesów.

Wreszcie przestało padać i noc zrobiła się cicha. Wschodni wiatr przywiewał coraz bardziej dający się wyczuć swąd dymu i popiołu. Alaina naciągnęła na głowę koc w daremnym geście odgradzenia się od znieawidzonej wojny. Nie opuszczała jej ponura myśl, że uciekając przed Cole'em, naraziła się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Ale tym razem była w ślepych zaułku. Nie miała już dokąd uciekać.

Czekała w nieopisanym lęku. Ani ona, ani Saul nie odważali się teraz oddalać od chaty. Nie opuszczał ich paralizujący strach, że w każdej chwili może nadejść wróg z płonącymi pochodniami.

A kiedy już wydawało się, że Briar Hill będzie ich następną ofiarą, dywizja Kirby'ego Smitha się wycofała. Żołnierze załadowali się z powrotem na parostatki i odpłynęli na północ, by połączyć się z resztą swej armii, która dopłynęła już okrętami do Alexandrii. Ale dana im była zaledwie chwila wytchnienia, bo zaraz na rodzinną ziemię dziewczyny wkroczyło kolejne mrowie niebieskich mundurów.

Wymuszając maksymalną szybkość na wymęczonym wierzchowcu, którym pędził jak oszalały, Saul wymachiwał kapeluszem i krzyczał:

- Nadchodzą! Nadchodzą! Gdzie okiem sięgnąć, idą na nas!

Alaina przycisnęła drżącą rękę do mocno walącego serca, patrząc, jak zdyszany Murzyn wbiega na ganek chaty.

- Panienko Alaino, są całe masy, żołnierzy i wozów! - Przerwał, żeby złapać oddech. - Widziałem ich! Są już niedaleko strumyka, gdzie polowałem.

- Czy idą w tę stronę? - zapytała zduszonym głosem.

- Na pewno tu zajrzą, panienko Alaino. Wysyłają patrole na wszystkie strony.

- Zostaniemy więc w tej chacie, dopóki nie przejdą - zacisnęła pięści w desperacji. - Módlmy się, żeby nie podpalili domu.

Dwudziestego marca piechota Franklina dowlokła się wreszcie do Cheneyville. Około południa dziewiętnasty korpus wkroczył do małej wioski na północno-zachodnim krańcu prerii Avoyelles. Cole załatwił sobie przepustkę na popołudnie i dołączył do patrolu kawalerii wyruszającego na zwiad w okolice plantacji Briar Hill. Kiedy przejechali nieco ponad dwie mile, droga nagle skręciła ku zachodowi, dochodząc do strumyka. Na prawo szła wąska droga polna, a w oddali widać było grupę dość dużych i rozległych zabudowań biedoty. Były sklecone ze wszystkiego, co było pod ręką. Mieszkańcy tych slumsów, przynajmniej ci, których było widać, wyglądali na białych, choć byli tak ubrudzeni kurzem i ziemią, że nie można było tego stwierdzić na pewno. Kiedy patrol się zbliżał, czym prędzej zabrano z błotnistej ulicy i ukryto w domach kilku bawiących się tam półnagich szkrabów. Starsze dzieci i dorośli nie podchodzili do drogi. Woleli zachować bezpieczny dystans między sobą a obcymi jeźdźcami.

Nieco dalej przy drodze nad rozlewiskiem stało równym rzędem kilka porządniejszych chat. Prawie wszystkie wyglądały na opuszczone i splądrowane. Na podwórkach wały się resztki połamanych mebli. Małe, kiedyś zadbane ogródki zarosły chwastami, a drzwi wisiały krzywo na powyrywanych zawiasach. Cole zauważył jednak, że w ostatniej chacie ktoś mieszka. Z ceglanego komina unosiła się cienka smużka dymu, a na ganku potężny Murzyn opierał się leniwie o balustradę, obserwując nadjeżdżający patrol Jankesów. Za chatami następna alejka przebijała się przez gęsty, porośnięty wisterią żywopłot z kolcowoju. Pomiedzy czubkami wielkich dębów widać było stromy dach dużego domu. Na słupku przy wejściu wisiała zniszczona tabliczka z widocznymi jeszcze resztkami napisu: „... HILL”.

Alaina patrzyła przez brudne okno na zbliżających się błotnistą drogą Jankesów. Dwaj oficerowie na przedzie krótkiej kolumny byli prawie jednakowi, w kapeluszach i szaroniebieskich pelerynach chroniących przed mżawką. Ale ten znajdujący się bliżej był wyższy i siedział na koniu tak prosto jak...

Przeniosła wzrok na twarz mężczyzny i opuszkami dłoni przetarła szybę. Wtedy zamarła z wrażenia i przylgnęła do ściany obok okna.

Cole Latimer! - przemknęło przez jej głowę jak błyskawica. Skąd mógł wiedzieć, gdzie ona jest?! W jaki sposób?!

Cole podniesioną ręką dał znak swym towarzyszom, że odłącza się od patrolu, i skierował konia na podwórko małej chaty. Zatrzymał się przed gankiem, na którym stał Murzyn.

- Należysz do tej farmy?

- Należałem, ale teraz jestem wolny - odparł Saul. - I nikogo tu nie ma, kto by temu zaprzeczył.

- Nie wiesz, gdzie może być dziewczyna, która tu mieszkała? Ma na imię Alaina.

Murzyn podrapał się w głowę.

- Rety, panie Jankesie, ona wyjechała już dawno temu. Wszyscy biali z dużego domu albo umarli, albo uciekli. Nie było tu żadnego białego od bardzo dawna. Tylko Gillettowie, co mieszkają na końcu drogi. Ale to źli ludzie i zawsze są z nimi jakieś kłopoty. Pan MacGaren nigdy ich nie lubił.

- Jesteś pewien, że nie widziałeś tej dziewczyny? - nalegał Cole.

Saul zaśmiał się i wzruszył potężnymi ramionami.

- Prawie każdy, kto się tu zatrzymuje, zadaje to samo pytanie, panie Jankesie, a ja też odpowiadam im to samo.

Rozczarowany Cole rozejrzał się wokoło. Murzyn nie miał najmniejszego powodu, by wierzyć Jankesowi w

niebieskim mundurze, a Alaina była zbyt uparta, żeby wyjść z własnej woli. Jednak ciągle miał nadzieję, że stanie się to, co niemożliwe.

- Gdybyś spotkał tę dziewczynę, powiedz jej, że był tu Cole Latimer i pytał o nią. Powiedz jej, że nie zrezygnuję tak łatwo.

Czarnoskóry przyjrzał mu się dokładniej.

- Chce pan dostać tę nagrodę, co?

- Powtórz jej, proszę. Będzie wiedziała, o co chodzi.

Cole zawrócił konia i zarośniętym podjazdem podążył w stronę głównego domu. Za wysokim żywopłotem otwierał się całkiem inny świat. Siedząc na grzbiecie konia, Cole w zamyśleniu patrzył na dom i jego otoczenie. Rozumiał teraz nienawiść Alainy do ludzi, którzy odebrali jej ten świat i skazali na ubóstwo. W gruncie rzeczy podziwiał ją za to, że potrafiła się tak maskować przez ponad pół roku, przebywając wśród swych nieprzyjaciół.

Ogromne, pokryte mchem dęby rosły wysoko ponad rozległym, gęstym trawnikiem, który jeszcze niedawno rozbrzmiewał śmiechem bawiących się tu dzieci. Przez chwilę wyobrażał sobie szczupłą, chłopięcą sylwetkę dziewczynki ganiającej się z braćmi w berka. Potem przypomniały mu się szare oczy wypełnione łzami i młode, gibkie ciało trzymane w ramionach. I jeszcze widok jej kobiecych kształtów w świetle księżyca. Chyba nigdy nie uwolni się od tych wspomnień. Nawiedzały go wszędzie, gdzie był.

Cole podjechał bliżej domu i zobaczył zabite deskami okna i drzwi na parterze. Na drzwiach wejściowych, nad namalowanym grubą kreską czerwonym krzyżem, przybity był list gończy. To wzbudzało w nim największy gniew. Dobry Boże, ta dziewczyna nie mogła znieść widoku krwi! Jak mogli ją oskarżyć o morderstwo?!

Pojechał na podwórko z tyłu domu, co widząc, Alaina stłumiła w ustach przekleństwo. Wybiegła tylnymi drzwiami chaty, otulając się szczelnie wełnianą kurtką. Pomknęła wzdłuż rzędu chat aż do magnolii otaczających podwórko. Przykucnęła za krzakami na tyłach domu, skąd mogła go obserwować. Nie mogła ufać Jankesowi, bez względu na to, jak dobrze go znała.

Cole ogarnął wzrokiem stajnię i powozownię. Jak zapewniało ogłoszenie, były nienaruszone, choć drzwi wyważono i otwarto. Za nimi, na skraju rozległego pola, stały inne szopy i stodoły, niektóre w bardzo złym stanie. Zatrzymał konia przy bramie wychodzącej na pole i rozejrzał się po okolicy. Nagle dopadł go żal, że nie znał wcześniej rodziny MacGarenów. Sądząc po wychowaniu, jakie wyniosła z tego domu tak interesująca osoba jak Alaina, doprawdy warto byłoby ich poznać.

Zawracając konia od bramy, zauważył w jednej z szop dziwny kształt. Zaintrygowany, ściągnął lejce i zsiadł z konia, żeby obejrzeć przykryty brezentem dziwny pojazd. Okazało się, że to oszklony karawan z trumną w środku. Był cały zachlapany wyschniętym już czerwonym błotem, tym samym, które ostatnio i on dobrze poznał. W każdym narożniku znajdowały się żółte flagi i Cole wiedział, co oznaczały. Ręką w rękawiczce uniósł wieko trumny. Z ulgą stwierdził, że jest pusta. Skrzywił usta i opuścił z powrotem zakurzony materiał. Na szczęście jeszcze nie musiał podróżować w czymś takim i miał nadzieję, że w najbliższym czasie nie będzie musiał.

W zadumie przesunął ręką po zabłoconym kole, po czym wrócił do konia. Wszystko to układało się w jedną całość. Był niemal pewien, że ten karawan z żółtymi chorągiewkami przyprowadził tu pewien szczupły, drobny woźnica. A więc przebrała się za chłopca, znów założyła spodnie.

Wskoczył na konia. Patrol go już znacznie wyprzedził i będzie musiał się pospieszyć, żeby go dogonić. Samotny oficer wojsk Unii nie był w tych rejonach nadzwyczaj bezpieczny, a przywoływane przez Briar Hill

wspomnienia lepiej na razie odłożyć na bok.

Kiedy mijał powoli kryjówkę Alainy, dziewczyna wstrzymała oddech. Nie spieszył się z powrotem do patrolu. Dopiero na głównej drodze popędził konia galopem.

Alaina nie mogła się powstrzymać od zerknięcia na karawan. Po drodze mijała szopę, w której trzymała konie, zanim Saul wyprowadził je do zagajnika pośród bagien otaczających pola. Na drzwiach zauważyła coś białego, a gdy podeszła bliżej, zobaczyła złożony i zatknięty w szparę kawałek papieru. Rozłożyła go. Było to ogłoszenie o wystawieniu na sprzedaż Briar Hill, gdzie nazywano ją zdrajczynią. Po drugiej stronie znalazła wiadomość napisaną piórem:

Al! Zasypuj świeży nawóz. Zdradza, że tu ktoś jest. Do zobaczenia w N.O. po moim powrocie. Mam wiele spraw do omówienia.

C. L

- Panienko Alaino, dlaczego ten Jankes tak tu węszył? - dopytywał się podbiegający do niej Saul. Złożyła kartkę i schowała za stanik.

- Pewnie jak wszyscy szukał Alainy MacGaren.

- Wygląda, jakby mu zależało bardziej niż innym - mruknął Murzyn.

Alaina kiwnęła głową potakująco. Miała przeczucie, że tego Jankesa nie pozbędzie się łatwo.

19

Wojna nieuchronnie toczyła się dalej. Na wschodzie armie dalej stały naprzeciwko siebie po obu stronach rzeki Rapidan, szykując się do wiosennej ofensywy. Znany już w Nowym Orleanie generał Butler doprowadził armię do rzeki James i zagroził miastu Richmond. W głównym teatrze wojny Sherman doskonalił swą taktykę podczas marszu przez północny stan Missisipi do Meridianu i z powrotem, a Steel wyruszył z Little Rock w kierunku Shreveport, by odciągnąć część sił Kirby'ego Smitha od wojsk Banksa, pchniętych w górę Czerwonej Rzeki.

Na południu nie było powodów do radości. Generał Forrest poprowadził swą małą grupę kawalerii na północ przez zachodnie tereny Tennessee i Kentucky. Zepchnięty z powrotem za Chickamaugę Bragg został odwołany i zastąpiony przez generała Joego Johnsona, który kontynuował wycofywanie wojsk do Atlanty. W Luizjanie generał Dick Taylor z wielką niechęcią cofał się przed Banksem i oczekiwał na posiłki.

Natomiast generał Banks powoli, lecz systematycznie przygotowywał się do rozpoczęcia kampanii. Po krótkiej zwłoce, spowodowanej swym uczestnictwem w uroczystościach inauguracji w Nowym Orleanie, dołączył do oddziałów w Alexandrii. Przypłynął statkiem i rozkazał im wyruszyć dwudziestego dziewiątego marca, podczas gdy sam, jako były polityk, został, by asystować przy wyborach pierwszego kwietnia. Dołączył do swych żołnierzy wieczorem drugiego kwietnia. Wreszcie szóstego generał Banks i jego wojsko wymaszerowali z Natchitoches. Miała to być decydująca wyprawa, której celem było zdobycie Shreveport. Banks nie ukrywał swej absolutnej pewności, że Konfederacja nie będzie w stanie przeciwstawić się jego ponad trzydziestotysięcznej armii sprawdzonych, lojalnych i dzielnych żołnierzy.

Lecz Taylor był już u kresu wytrzymałości i postanowił, że nie wycofa się ze swego stanu bez bitwy. Odyła

się w miejscu zwanym Sabine Crossroads, które odtąd wielu żołnierzy Unii wspominało z trwogą. Tam właśnie generał Banks dopuścił do ataku na długą kolumnę swych żołnierzy, podzieloną dwu- lub trzymilowymi kolumnami transportowymi, skomasowanych sił około dziewięciu tysięcy konfederatów. Szara armia spisywała się dobrze, spychając przeciwnika w tył, aż bitwa zmieniła się pogrom. Noc dała Banksowi trochę czasu, dzięki któremu zdołał zebrać swe podupadłe na duchu oddziały w małej wsi Pleasant Hill, gdzie zaczął się w gotowości. Następnego dnia, tuż przed zmierzchem, Taylor przypuścił kolejny atak ruchem okrążającym na lewe skrzydło wojska Unii. Doszłoby do kolejnej jatki, gdyby konfederaci nie zostali otoczeni na swym własnym prawym skrzydle przez weteranów A. J. Smitha i zmuszeni do ucieczki. Było to jakby odwrócenie poprzedniego dnia i znów ciemność przerwała walkę.

Banks był bardzo zadowolony z tego sukcesu, ale jego generałowie doradzali odwrót. Tylko Smithowi trzeba było wydać rozkaz zaprzestania pogoni za rebeliantami. Taylor zaś wycofał się aż ku najbliższej rzece i tam rozłożył się obozem. Nad ranem obudził go jego zwierzchnik Kirby Smith. Dowiedziawszy się o porażce, rozkazał mu wycofać wojsko do Mansfield. I tak obie armie wycofały się z pola bitwy z poczuciem wielkiego niesmaku.

Armia Unii cofnęła się do Grand Ecore, gdzie zabezpieczyła ją ciężkie działa floty Portera, tej samej, która srogo ucierpiała od Teksanczyka Greena i jego konnicy z Zachodu, próbując przedrzeć się przez Loggy Bayou. W marszu odwrotowym żołnierze w niebieskich mundurach okazali się znacznie szybsi i w ciągu jednego dnia doszli do Natchitoches. Gorzkim finałem bitwy było to, że większość ciężko rannych musiano pozostawić na łaskę konfederatów, gdyż jeszcze przed bitwą ktoś bezmyślnie odesłał z powrotem na tyły wozy, a razem z nimi wszystkie medykamenty. Właśnie ta kłopotliwa sytuacja sprawiła, że kapitan Latimer dostał się w okrutne macki przeznaczenia, z których nie było mu pisane wyrwać się bez uszczerbku.

Przez ponad trzy tygodnie dwoje mieszkańców Briar Hill zaspokajało głód dietą złożoną z ryb, kurczaków, jaj i od czasu do czasu złowionych we wnyki królików. Myśl o wiszących w wędzarni Gillettów konserwowanych cukrem szynkach pobudzała tylko ich apetyt, nie dając żadnej korzyści żołądkom. Jedynym sposobem na zaspokojenie go była wyprawa na szpizarnię Gillettów.

Alaina posmarowała się świeżym sokiem z orzecha z taką samą odrazą, z jaką brudziła się, udając Ala. Saul przyprowadził z kryjówki na bagnach jednego konia i gdy zaczął zapadać zmierzch, przedziwny duet wyruszył w drogę. Uwiązali konia w bezpiecznej odległości od domostwa Gillettów na skraju kępy drzew, skąd w razie potrzeby mogli szybko uciec. Ostrożnie, ukradkiem podchodzili do wędzarni, wiedząc, że członkowie tej gnuśnej rodziny mieli zwyczaj wychodzenia z domu o najdziwniejszych porach. Słońce schodziło już za widnokrąg, gdy Alaina i Saul przeczołgali się pod gęstymi krzakami i skryli za zwałoną kłodą drzewa na skraju nie ogrodzonego podwórza za domem Gillettów.

Kilkanaście stóp przed sobą mieli solidną konstrukcję z drewna, służącą klanowi za wędzarnię, a obok sięgających do pasa drzwi w niedbałej pozie stał zniechęcony Emmett Gillett - ten sam, któremu rok wcześniej Alaina roześmiała się w twarz na jego propozycję, zanim pistoletem nie zmusiła go do wyjścia. On to również „miał zaszczyt” donieść Jankesom, że Alaina jest szpiegiem.

Drzwi domu trzasnęły i wieczorną ciszę przeszył radosny gwizd. Zbliżył się mniejszy i szczuplejszy młodzieniec z zapaloną lampą, którą powiesił na słupie przy wędzarni.

Emmett wyprostował się i podciągnął spodnie.

- Co tu robisz. Talerze? - zapytał władcym tonem.

- Przyniosłem ci światło. - Chłopak poprawił knot lampy, żeby nie migotała. - Twój tata nie chciał, żeby ci się coś stało po ciemku.

Emmett spojrzał podejrzliwie na młodzika, ale nie zrozumiał przytyku. Postanowił błysnąć przed nowicjuszem opowieścią o swym dzielnym uczynku. Wciągnął zwisający brzuch, rozprostował wąskie ramiona i kołysząc się na piętach bosych stóp, zaczął:

- O rany. Talerze, mówię ci. Prawie sam złapałem tego Jankesa. - Wyprostował się dumnie i poklepał czarny pas z kaburą, ciasno opinający mu szerokie biodra.

- Och, Emmetcie! Wiem, że zobaczyłeś dziś rano tego Jankesa płynącego łódką po rozlewisku i przybiegłeś tu z piskiem, wołając swego tatę.

- Nie z piskiem!

- Ależ tak! Sam słyszałem.

- Słuchaj, Talerze Williamsie. Tata dał mi ten pistolet, bo złapałem tego tu Jankesa.

- Och, Emmetcie, twój tata dał ci go tylko trochę ponosić, póki pilnujesz tych drzwi, żebyś nie marudził zbyt głośno, że nie możesz iść na kolację. Gdyby ten Jankes teraz wyszedł, spodnie byś pogubił, uciekając.

- Nieprawda! Nie boję się żadnych Jankesów. Tylko popatrz! - Emmett podniósł ciężki drąg bambusowy, wsunął go w wąski otwór w drzwiach i dźgał nim zawzięcie. Potem schylił się i wrzasnął: - Hej, Jankesie! Jesteś tam?

Bambus został szarpnięty do środka, jakby ktoś go pociągnął za drugi koniec. Tater krzyknął, a Emmett uchwycił gruby koniec kija obiema mięsistymi rękami i zaparł się mocno. W chwilę potem ze strachem w oczach poleciał za kijem do przodu i wyrzwał czołem w surowe deski wędzarni. Ryknął przy tym z bólu, uderzając kostkami dłoni o brzegi wąskiego otworu. Kij zniknął w środku. Nim Emmett zdołał się pozbierać i wstać z kolan, kij pojawił się znowu. Pchnięty z mściwą furią, trafił go w sam środek brzucha. Odrzucony w tył młodzieniec wpadł prosto w błotnistą kałużę.

- Otwórz drzwi, ty gadzie - doszedł ze środka zachrypnięty głos - a pokażę ci, że jestem.

Chowająca się za pnem Alaina zacisnęła dłoń na ramieniu Saula. Spojrzał na nią zdziwiony i w nikłym świetle zobaczył jej zastygłą z wrażenia twarz. Ledwo poruszając ustami, szepnęła rozkazująco:

- Musimy stamtąd wydostać tego durnego Jankesa.

- Panienko Alaino? - Saul również wyszeptał. - Nie potrzebujemy tak bardzo tej szynki. Poszukajmy lepiej jakiejś tłustej kury.

Alaina popatrzyła na Saula gniewnie, ale uprzytomniła sobie, że on przecież nie czyta w jej myślach. Odwróciła się i pochyliła głowę w jego stronę.

- Nie, nie chodzi o szynkę. Chodzi o to, by wydostać stamtąd tego Jankesa.

Emmett wstał z przekleństwem na ustach i ssał otarte kostki dłoni, piorunując spojrzeniem otwór w drzwiach.

- Lepiej uważaj, Jankesie - mruknął, nie zwracając uwagi na ryczącego ze śmiechu Tatera. - Bo mogę cię zastrzelić z twojej Jasnej broni.

- Twój tato powiedział, że jeśli tylko wyjmiesz ten pistolet z kabury, wyłoi ci skórę - przypomniał Tater kuzynowi.

- A ty zmykaj z powrotem do domu, do innych dzieci - warknął Emmett. - Ja mam tu co robić i nie będę

dyskutować ze smarkaczami.

Tater skwapliwie posłuchał i znów zapadła cisza. Emmett bohatercko ignorował błoto zasychające mu na plecach. Wkrótce z ciemności wynurzyła się nowa postać. W kręgu światła rzucanego przez lampę stanęła zgrabna młoda dziewczyna.

- Cześć, Jenny - rozpromienił się Emmett. - Pokazać ci Jankesa?

- Twój tata powiedział, że nikomu nie wolno otwierać tych drzwi - poinformowała go lakonicznie dziewczyna.

- Jenny... ee... nie chciałabyś pójść ze mną za tę wędzarnię i... ee... porozmawiać chwilę?

- Wiesz, że jestem zaręczona. Willy skreśliłby ci kark, gdyby wiedział, że coś takiego mówisz.

- Och, Jenny, on nie musi się o tym dowiedzieć. - Młodzieniec niespokojnie grzebał stopami w ziemi.

- W każdym razie twoja mama przysyła ci trochę jedzenia i mleko dla wzmocnienia sił. - Jenny podała mu kubek i cynowy talerz z górą biskwitów polanych sosem.

- A nie mogę teraz tam pójść i zjeść kolacji? - kwękał Emmett.

- Nie! Za godzinę lub dwie Eddie cię zmieni - odparła dziewczyna.

- Godzina lub dwie! Przecież jestem tu już całe popołudnie!

- Nie jesteś tu więcej niż godzinę. Twój tata powiedział, żebyś spacerował, bo zaśniesz na stojąco.

- Ale pilnowanie Jankesa to ciężka praca! - protestował Emmett.

- Dla ciebie pewnie tak. Samo to, żeby nie zasnąć, jest dla ciebie wystarczająco ciężkie.

- Nikt inny tak ciężko nie pracuje! - krzyknął Emmett za odchodzącą.

Nagle podskoczył, usłyszawszy jakiś szelest w krzakach, i wydało mu się, że zobaczył czyjś przemykający cień.

- Talerze, to ty? - Odpowiedziała mu długa cisza. - Talerze Williamsie, wyjdź stamtąd natychmiast! Nie drażnij się ze mną, mały nicponiu. Mam niebezpieczne zajęcie.

Cisza trwała dalej, więc wzruszył ramionami i usiłował zagwizdać dla kurażu. Kiedy przechadzając się, wykonał zwrot, przerażenie ścisnęło mu gardło. O krok od niego wyrósł o głowę wyższy, ogromny Murzyn. Jego oczy połyskiwały żółtym światłem odbitym od wiszącej lampy, a potężne ramiona wyciągnęły się w stronę Emmetta. Ten z piskiem przerażenia rzucił się do ucieczki, lecz po przebiegnięciu czterech kroków z impetem wyrzucił całym ciałem w ścianę wędzarni. Rozległo się głośnie plaśnięcie, po czym niedoszły uciekinier osunął się bezwładnie na ziemię.

Saul pochylał się nad nim i przekreślił go na wznak, z ulgą kiwając głową na widok powiększającego się w oczach guza na czole i powolnego, płytkiego oddechu młodego mężczyzny.

Alaina podbiegła do Saula lekko jak zjawa, pokazując, żeby zabrał leżącemu kaburę z pistoletem. Podeszła do drzwi i z wielkim wysiłkiem wyszarpnęła ciężki kołek, którym były zaparte, usuwając się szybko na bok, żeby uniknąć ciosu bambusowego kija.

- Ej, przestań! - syknęła w otwór. - Przyszliśmy ci pomóc.

Klepnęła Saula po ramieniu, żeby zabrał kołek. Usunął go z łatwością jednym ruchem silnej ręki, po czym zajął się związywaniem nieprzytomnego Emmetta. Alaina tymczasem otworzyła szeroko niskie odrzwia, uklękła i kiwnęła do uwięzionego, by wyszedł.

Cole Latimer wyczołgał się na zewnątrz i oparł o ścianę. Był słaby, ciężko wciągał w płuca świeże powietrze. Jego wybawiciele zakneblowali dotychczasowego strażnika i mocno związanego wrzucili do ciemnej jamy, z

której wyszedł Cole. Mniejszy z dwójki wszedł do środka i chwilę później wrócił z szynką. Potem zamknęli drzwi i z powrotem zaparli kolkiem.

Saul zarzucił sobie rękę Cole'a na ramiona, a Alaina szła z tym, dokładnie zacierając wszystkie ślady liściastą gałązką. Przecięli podmokłą łąkę i przez gęsty zagajnik doszli do miejsca, w którym stał uwiązany koń. Cole został bezceremonialnie zarzucony na goły grzbiet konia i kazali mu się trzymać końskiej grzywy. Saul prowadził konia przez pola, a Alaina, idąc za nimi, poprawiała darń, trawę, krzaki i wszystko, co mogło zdradzić, że tędy przechodzili.

Wreszcie przedarli się przez gęsty, pachnący upojnie magnolią żywopłot i podeszli od tyłu do dużego, nie oświetlonego domu. Wydał się Cole'owi jakoś znajomy, ale trawiony gorączką nie mógł sobie przypomnieć. Zdjęto go z konia, którego mniejszy osobnik gdzieś odprowadził, większy zaś, podtrzymując Cole'a, zaprowadził go do opuszczonego budynku. Po chwili wrócił młodszy i szukali czegoś po ciemku. Błysnęła zapalona zapałka, zapalono jedną świecę, potem drugą. Dwie niewyraźne sylwetki krzątały się po prawie pustym pokoju. Potem podeszli i przykucnęli obok niego. Najpierw roześmiał się mniejszy, a potem większy. Murzyn, rozszerzył usta w szerokim uśmiechu, połyskując białą zębów. Cole nie rozumiał, co ich tak śmieszyło. Patrzył na nich zmieszany. Wtedy mniejszy zamasyście ściągnął z głowy kapelusz, uwalniając spod niego ciemne włosy - krótkie, ale dłuższe niż u mężczyzny - i odwrócił się twarzą do światła.

- Alaina! - Cole poczuł falę ulgi. - Mój Boże, Alaina! - Jego słowa brzmiały jak modlitwa dziękczynna.

Alaina nagle spoważniała, wyciągając drżącą dłoń w stronę jego uda. Prawa nogawka spodni była rozdarta od biodra do kolana, odsłaniając ciemny od krwi prowizoryczny bandaż. W półmroku cała nogawka wyglądała na mokrą i lepłą od krwi. Także but był nią cały ubrudzony. Pozostałe części umundurowania nosiły widoczne ślady przedzierania się przez bagna. Cole osunął się bezwładnie na podłogę i z westchnieniem zamknął oczy. Nikła resztką świadomości poddała się krańcowemu zmęczeniu i pogrążył się w spokojnym i bezpiecznym, tymczasowym niebycie.

Alaina patrzyła na śpiącego mężczyznę, a potem w ciemności rozległ się jej głos:

- Saulu - zaczęła stanowczo. - Myślę że powinniśmy przenieść kapitana na łóżko.

- Ale, panienko Alaino - odrzekł Saul z przejęciem. - Jedyne łóżko w całym domu to... - Dawniej byłoby nie do pomyslenia, żeby młoda dama proponowała mężczyźnie swoje własne łóżko, nawet w bardzo ważnym celu. Jednak wymogi obecnego czasu uczyniły wiele tradycyjnych zasad zupełnie niepraktycznymi. Saul musiał to zaakceptować i ustąpić.

Alaina ponagliła.

- Szybko, Saulu! Żeby się nie wykrwawił.

Już bez oporów wewnętrznych Saul silnymi ramionami uniósł rannego Jankesa i wszedł na schody. Alaina szła przodem i przyświecała mu lampą. Otworzyła drzwi swojej sypialni i pobiegła, by odkryć kołdrę, po czym stanęła z boku, gdy Saul układał zabloconego kapitana na materacu. Skrzywiła twarz, kiedy Saul rozprostował zakrwawioną nogę, a Cole jęknął z bólu.

- Trzeba najpierw zobaczyć, jak poważna jest rana, a potem spróbujemy go wymyć. - Alaina zaczęła ściągać ubłocony but. Znając swą ograniczoną odporność, poprosiła Saula o zdjęcie mocno przywartego do rany bandaża. Żołądek jej się ścisnął, gdy po uniesieniu brudnego opatrunku ukazała się straszliwa wyrwa w udzie Cole'a. Dziewczynę przeszył paraliżujący dreszcz i natychmiast przypomniała sobie wynoszone kiedyś do szpitalnej

kostnicy przykryte prześcieradłem nosze. Odepchnęła od siebie tę wizję i w ogóle taką możliwość, lecz wargi jej zaczęły bezgłośnie odmawiać gorącą modlitwę.

- Panienko Alaino, nie jestem doktorem - powiedział Saul, oglądając ranę - ale wydaje mi się, że jest bardzo źle i powinniśmy go zawieźć gdzieś, gdzie otrzyma właściwą pomoc.

Alaina z niepokojem przygryzła wargi.

- Nie możemy ufać żadnym lekarzom z okolicy. Musimy go zawieźć do szpitala Unii.

- Ale dokąd, panienko Alaino? Oprócz tego jednego od tygodni nie widziałem tu żadnego Jankesa. Wszędzie pełno konfederatów. Słyszałem, że Jankesi siedzą w Alexandrii, ale między nami a nimi jest bardzo dużo szarych. Jak się przedostać?

- Nie wiem, nie wiem - jęknęła Alaina. - Jedyne, do którego mam zaufanie, to doktor Brooks, ale on jest w Nowym Orleanie. To daleko stąd.

- Nie wiadomo, kiedy Jankesi wycofają się z Alexandrii, panienko Alaino. Możemy go tam zawieźć, a okaże się, że nie ma tam jankeskiego doktora. Zdaje mi się, że zaoszczędzi nam to dużo błędzenia tu i tam, jeśli pojedziemy prosto do Nowego Orleanu.

- Może masz rację, Saulu - westchnęła.

- Na razie może umyję mu nogę i zobaczę, na ile ja mogę mu pomóc.

- Rozpalę ogień i zagotuję wodę. Przy okazji możemy go całego wymyć.

- Czy panienka znajdzie tu jakąś igłę i nitkę, żeby zeszyć mu z powrotem spodnie, jeśli je rozedrę na szwie? - zapytał Saul, gdy szła do drzwi. - Mogłoby go trochę boleć przy zdejmowaniu nogawki.

- Jeśli to będzie konieczne, powiązę szpagatem - powiedziała, odwracając się. - Rób, co trzeba.

Alaina wyszła do kuchni. Powiesiła kociołek z wodą nad wygasłym popiołem dużego paleniska i zaczęła rozpalać ogień. Musieli być bardzo ostrożni ze względu na patrole konfederackie w okolicy, ale w panujących głębokich ciemnościach rozpalenie małego ognia nie było takie ryzykowne.

Użyła windy kuchennej, żeby wciągnąć na górę tacę z maściami i innymi środkami, których jej matka używała do opatrywania drobnych ran i skaleczeń członków rodziny, oraz kilka bawełnianych ręczników i prześcieradeł. Na szczęście nie zabrali ich Gillettowie, którzy nie zadawali sobie trudu, żeby powlekać pościel, a kąpielą w wodzie i mydłem gardzili. Sypialnia Alainy znajdowała się bezpośrednio nad jadalnią, a szyb windy, schowany za drzwiczkami w ścianie obok kominka, łączył parter z piętrem. Półki przesuwaly się z jednej kondygnacji na drugą za pomocą liny na krążku. Zapukała w wewnętrzną stronę szybu, sygnalizując Saulowi, że winda idzie w górę, i pociągnęła za linę, a półka podjechała do sypialni.

Następnie wzięła garnek gorącej wody i poszła na górę. Saul zdążył już rozebrać Cole'a z brudnego ubrania i zrzucił je na stertę koło łóżka. Gdy weszła, szybko przykrył ręcznikiem obnażone fragmenty ciała Cole'a, by uchronić ją przed szokującym widokiem. Skąd mógł wiedzieć, jaka w tym momencie kieruje nim naiwność? Alaina nawet się nie zatrzymała.

- Wykąpię go - oznajmiła. - A ty zajmij się nogą.

- Panienko Alaino, jeśli wolno mi spytać - Murzyn ostrożnie badał grunt. - Dlaczego ten Jankes jest dla panienki taki strasznie ważny? Czy to nie ten sam, co przychodził panienki szukać?

Alaina zaczęła drzeć jedno z prześcieradeł na bandażu.

- No tak, to jest mąż Roberty.

Na czarnej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Panienska Roberta wydała się za Jankesa? Chociaż pan Angus tak ich nienawidził?

- I dalej nienawidzi. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego - odparła i zmarszczyła się, spojrzawszy przelotnie na otwartą ranę. - Bierzmy się do roboty, zanim kapitan całkiem się wykrwawi.

- Tak jest - zgodził się Saul, jednak pochylając się nad Jankesem, z jeszcze większym zaciekawieniem patrzył na młodą panienskę. Dotąd tylko raz widział ją tak przejętą, gdy pielęgnowała swą umierającą matkę. I tak jak wówczas, z typowym dla MacGarenów całkowitym zaangażowaniem, robiła to, czego się podjęła.

- Ma gorączkę - powiedziała, dotykając ręką głowy Cole'a.

- Może przyłożę do tej rany balsam, żeby wyciągnąć ropę?

- Rób wszystko, co mu pomoże - mówiła w napięciu, patrząc na Cole'a. Co jakiś czas wargi rozchyłały mu się w jęku, a powieki otwierały się na chwilę, trzepocąc jak w delirium. Gęste rzęsy przykrywały sińce pod oczami, a cała twarz była wychudzona i szara.

Boże, nie pozwól mu umrzeć - powtarzała w myślach. Nie pozwól mu umrzeć.

Przez jakiś czas opatrywali ranę, rzucając tylko pojedyncze słowa, a Cole jęczał i skręcał się z bólu. Podczas gdy wielkie czarne dłonie skwapliwie czyściły zmasakrowane ciało, mięśnie w nodze szarpał ból, momentami budząc nieprzytomnego mężczyznę z letargu. Patrzył wtedy błyszczącymi od gorączki oczami na urokliwą główkę pochylonej nad nim dziewczyny, myjącej delikatnie jego ubłocone ręce i owłosiony tors ciepłą wodą z mydłem. Z wielkim wysiłkiem podniósł rękę z materaca, żeby jej dotknąć, i wyszeptał jej imię. Kosztowało go to wszystko tyle siły, że ręka zaraz opadła z powrotem na łóżko, a on zapadł kolejny raz w mroki niepamięci.

Saul spojrział ze zdumieniem w oczach na Jankesa i na nią, po czym marszcząc czoło, wskazał na ranę.

- Założę się, że w tej ranie coś jeszcze siedzi. Nie wiem, co, ale jeśli to pocisk ołowiany, to, nie wyjęty, zatruje krew.

Alaina się zafrasowała.

- A ty nie możesz wyjąć?

- Jest za głęboko, paniensko Alaino, przy samej kości. - Poza tym nie mam czym tego wyjąć.

- Czy możemy go zawieźć do Nowego Orleanu?

- Nie wiem, paniensko Alaino. Może z okładem i bandażami na nodze dalibyśmy radę dowieźć go tam w takim stanie jak teraz, może nawet w odrobinę lepszym.

- Gdy wstanie świt, wyjdź i zbadaj, któredy możemy przejechać. Może po południowej stronie jest mniej konfederatów.

Murzyn zrobił rannemu okład i ciasno owinął ranę, żeby złączyć jej rozerwane brzegi. Potem przytrzymał kapitana, a Alaina zmieniła prześcieradło. Po przyłożeniu balsamu do rany Cole odprężył się nieco, zasnął głębiej i nie reagował już nawet na ich krzątanie. Kiedy Alaina zgoiliła mu ciemny zarost z twarzy, ukazały się policzki i zrobił się bardziej podobny do siebie. Wtedy uświadomiła sobie, że jest prawie nagi. W mdłym świetle opalona skóra wydawała się ciemna na tle prześcieradła. Patrząc na jego długą, muskularną sylwetkę o doskonałych proporcjach, szerokich ramionach, wąskich biodrach i szczupłych udach, na owłosienie piersi, schodzące cienką linią w dół do płaskiego brzucha, Alaina czuła, że policzki jej płoną. Kiedy uświadomiła sobie, że za długo już pochłania go wzrokiem, szybko nakryła Cole'a.

- Posiedź przy nim chwilę, Saulu. Zrobię dla nas kolację - powiedziała nazbyt pospiesznie i nie czekając na

zgode, wyszła. Rzeźkie powietrze nocy ostudziło jej gorące policzki, ale długo jeszcze nie mogła uspokoić drżących dłoni.

20

Cole Latimer leżał przez chwilę cicho. Dochodzący skądś nikły dźwięk upewnił go, że się obudził. Był już dzień, a on leżał na wygodnym materacu łóżka, nagi, między czystymi prześcieradłami. Zupełnie nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. W nodze wciąż czuł tępy, rwący ból, lecz gdy dotknął jej palcem, odkrył, że jest starannie owinięta czystym bandażem. Powoli otworzył oczy i pełnym zdumienia wzrokiem ogarnął koronkowy baldachim łoża, na którym leżał.

Obok łóżka przesunął się szczupły chłopiec i choć skóra jego była przyciemniona, ten zawadiacki profil poznałby wszędzie. Spróbował oblizać czubkiem języka suche, spierzchnięte wargi.

- Al? - zawołał chrypliwie.

Alaina odwróciła się szybko i podbiegła do łóżka. Pytającym wzrokiem patrzyła z przejęciem w jego twarz.

- Jak się pan czuje?

- Mógłbym dostać pić? - zapytał ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Jeśli to dozwolone, doktorze - zażartowała.

Lekko skinął głową, uśmiechnął się i znów zamknął oczy. Usłyszał, jak oddała się od łóżka i wraca. Gdy otworzył oczy, patrzyła na niego uważnie. Z jej pomocą uniósł się nieznacznie i pił łączywie, aż ugasił palące go pragnienie. Gorączka ustąpiła ale bolał go każdy mięsień ciała, a ból w nodze nieustannie pulsował.

- Czy chciałby pan coś zjeść? - zapytała. - W kuchni mam trochę zupy i placek kukurydziany.

- Wystarczy dla wszystkich? - Opadł z powrotem na poduszkę i patrzył badawczo.

Alaina zaśmiała się smutno.

- Czy o tym wiesz, czy nie, Gillettowie zapewnili nam wyżywienie. To oni razem z Jankesami zabrali nam inwentarz, więc chyba byli nam to winni.

- Zjadłbym coś - przyznał. - Już od kilku dni żołądek przyrasta mi do kręgosłupa.

Z radością powitał gęstą zupę fasolową okraszoną szynką i warzywami. Alaina podłożyła mu pod plecy złożony koc i poprawiła poduszkę. Cole jadł z apetytem, obywając się bez jej pomocy. Gdy parę minut później odbierała od niego tacę, czuł się znacznie pokrzepiony. Jednak przy najmniejszej próbie poruszenia się dojmujący ból w nodze przypominał mu o okaleczeniu.

Na twarzy Alainy odbiła się troska.

- Boli?

Cole dotknął lekko opatrunku na ranie.

- Obawiam się, że utkwiał tam odłamek pocisku.

- Jak to się stało? Myślałam, że lekarze znajdują się zwykle w dużej odległości od pola bitwy.

Była to historia równie przygnębiająca jak inspekcja byle jak załadowanych przez Magruderę wozów dostawczych. Po porażce pierwszego i zwycięstwie odniesionym drugiego dnia Cole nie był w stanie pogodzić się z rozkazem dowództwa, żeby zostawić rannych i się wycofać. Wyraźnie pamiętał, jak to się zaczęło. Najpierw polecono mu doglądać rannych w zdziesiątkowanej dalekiej baterii, a gdy już to zrobił, kazano mu ich pozostawić na pastwę losu. Wówczas pokłócił się z aroganckim pułkownikiem żandarmerii Franklina o zasady lekarskiej etyki. Nie mógł się łodzić na pozostawianie żołnierzy, stanowiących beznadziejne przypadki, na polu bitwy i z uporem

maniaka opiekował się dalej rannymi. Z pomocą jednego szeregowca i lekko rannego sierżanta zdołał przyciągnąć z bagien dwa wozy ukryte tam przez rebeliantów. Złapali cztery włóczące się po lesie, utykające muły i zaprzęgli je po dwa do wozów. Właśnie skończyli załadowywanie rannych, gdy na grzbiecie wzgórza nad polaną ukazał się patrol konfederatów. Cole rozkazał sierżantowi i szeregowcowi uciekać z wozami, a sam chwycił jeden z nowego typu karabinów wielowyrzutowych i usiłował powstrzymać przeciwnika, dając jednocześnie wozom trochę czasu na oddalenie się. Nie znając takiej broni i nie wiedząc, ilu jest strzelających, rebelianci schowali się, lecz nie tracili czasu. Natychmiast sprowadzili działo zdobyte na kawalerii Unii podczas pierwszego dnia bitwy i zaczęli bombardować łąkę pociskami.

Od tego momentu Cole pamiętał wszystko jak przez mgłę. Wozy odjechały już nieco, a on ostatnią salwą rozpędził załogę dział, po czym cisnął karabin i rzucił się w stronę konia. Był już w siodle, gdy pocisk trafił w stos beczulek z prochem. Wydało mu się, że cała łąka eksplodowała. Pamiętał bardzo wyraźnie walącą się na niego wysoką sosnę i potworne uderzenie w udo. Potem już tylko starał się utrzymać na grzbiecie oszalałego ze strachu konia, pędzącego przez bagna i ściganego przez krzyki i wystrzały. Kiedy odkrył, że jest ranny, zrobił prowizoryczny opatrunek. Potem przez długie godziny błądził przez bagna w oślepiającym słońcu i straszliwym upale, wśród rojów dokuczliwych much i komarów, w towarzystwie przeróżnych zwierząt, których oczy nigdy jeszcze nie widziały człowieka. Wyszczierzony aligator uniósł łeb i rozchyliwszy przekrwione ślepia, obserwował, jak koń z jeźdźcem omija go szerokim łukiem. Zapadła noc, potem znów wstał dzień i przyszła noc. Trząsał się z zimna podczas ulewy, schroniwszy się pod omszałym dębem. Dalej wszystko się zlewało w jedno. Pamiętał tylko przesuwające się obrazy gorących dni i przeraźliwie zimnych nocy, nękające go owady i wlokącego się drogą konia. Próbował go kierować na południe i południowy wschód, rozumując, że prędzej czy później natknie się na Czerwoną Rzekę. Okolica wydawała mu się znajoma, lecz mając cały czas gorączkę, nie mógł sobie nic przypomnieć. Kiedy na brzegu rozlewiska znalazł pirogę, zamienił umęczonego wierzchowca na nią, bo stwarzała możliwość położenia się i zdania na powoli unoszący łódkę prąd.

Słońce go piekło, wargi wyschły jak pergamin i boleśnie popękały. Nad głową Cole'a przesuwały się dostojne, nagie konary kołyszącymi się na nich kiśćmi mchu. Potem pamiętał chwytające go brutalnie ręce i ból w nodze, który odebrał mu świadomość. Ocknął się dopiero w ciemnościach rozgrzanej upałem wędzarni Gillettów.

Alaina słuchała w milczeniu. Cole tylko pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- To wszystko dość pogmatwane i właściwie nie ma o czym opowiadać - rozejrzał się wokoło. - Czy jesteśmy w Briar Hill?

- W moim pokoju. - Skinęła głową i trochę speszona tym, co oznajmiła, pospieszyła z wyjaśnieniem. - To jedyny pokój, w którym zostało łóżko.

Łypnął na nią okiem.

- To niewłaściwe, żeby dżentelmen zajmował łóżko damy, ale bardzo ci dziękuję. Jest najlepsze, w jakim spałem od dłuższego czasu. - Przyglądał się chwilę badawczo jej przyciemnionej skórze i przebraniu, a potem nagle jakby coś sobie przypomniał. - To ty zabandażowałaś mi nogę?

- Nie, Saul. Ja tylko uprałam i zreperowałam ubranie, no i wymyłam pana... - Przerwała raptownie, przygryzając wargę, a on uniósł pytająco brew. O dziwo, nie miała żadnych skrpułów, myjąc nagiego mężczyznę. Skoncentrowała się na jego zdrowiu, a nie na tym, że młoda, niezamężna kobieta nie powinna tego robić. Wojna odarła tę ziemię i jej mieszkańców z niewinności. Tylko niech on już przestanie tak na nią patrzeć.

- Musisz przyznać, że wszystko odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni - rzekł z uśmiechem. - Byłem pewien, że to ja ciebie wykapię.

- O, straszyl pan często - potwierdziła, czując się niepewnie pod jego wejrzeniem.

- Ale zastanawia mnie, dlaczego trudziłaś się, żeby mnie odbić tym Gillettom. - Popatrzył teraz poważnie, nie wiedząc, czy powinien uwierzyć w to, co mu odpowie. Twierdziła przeż, że go nienawidzi.

Szare oczy zapaliły się jak ognie.

- Może nie powinnam! Bo pan jest najbardziej niewdzięcznym, ograniczonym, niebieskobruchym Jankesem, jakiego w życiu widziałam!

Odwróciła się na pięcie z zamiarem opuszczenia pokoju, lecz Cole wziął ją za rękę i zdecydowanie przyciągnął z powrotem.

- Wierz mi, że jestem ci wdzięczny. Domyślam się, co oni dla mnie szykowali, więc mogę śmiało uznać, że znów uratowałaś mi życie. Cóż to była za ulga obudzić się dziś rano...

- Już po południu - poprawiła z powściągliwością, jeszcze nie gotowa, żeby mu wybaczyć. Uwolniła dłoń i cofnęła się ze skrępowaniem, wkładając ręce do kieszeni za dużej kurtki. - Przespał pan większą część dnia. Teraz przepraszam, ale mam coś do zrobienia.

Wyszła szybko, nie dając mu w żaden sposób szansy na zatrzymanie siebie. Udała się do kuchni. Tam chodziła w kółko, miotając oszczerstwa na temat mężczyzny leżącego na górze w jej własnym łóżku. Usiłowała zranione uczucia przetopić na jedną wielką nienawiść do niebieskobruchego. Z tym uczuciem radziła sobie znacznie lepiej niż z jakimikolwiek innymi, które ogarniały ją ostatnimi czasy.

Zapadał zmierzch. Niebo na zachodzie rozjarzyło się karmazynowo, ze złotą poświatą i różowymi chmurami, gdy Alaina wybrała się jeszcze raz do kurnika w nadziei na znalezienie gniazd. Przygotowała już torbę z jedzeniem na drogę i ugotowała wcześniej znalezione jaja, ale jajecznica na kolację dla Cole'a pozwoliłaby mu szybciej odzyskać siły, których bardzo potrzebował, by odbyć tę męczącą podróż na południe.

Była na końcu szopy, gdy przez szerokie szpary w ścianach zobaczyła poruszające się wzdłuż krawędzi lasu cienie.

- Pewnie Emmett - powiedziała do siebie. - Znowu coś knuje. - Przywarła do ściany i obserwowała przez szparę, dopóki nie stwierdziła, że to dwaj mężczyźni na koniach. Czyżby dezserterzy? - pomyślała. Czy szarzy, czy niebiescy, nie wróżyło to nic dobrego. Zależnie od tego, wobec kogo byli lojalni, ranny Jankeś mógł stać się dla nich łatwą ofiarą.

Zachowując czujność, wróciła do domu. Saul, wychodząc, wziął ze sobą pistolet, a więc do obrony mieli tylko remingtona Cole'a. Drzwi do jej pokoju były szeroko otwarte. Z dala zobaczyła, że Cole siedzi na brzegu łóżka. Zdołał już założyć bieliznę, a teraz usiłował wciągnąć spodnie. Bładość i zaciśnięte szczęki świadczyły o wielkim wysiłku i bólu.

- Mamy gości - oznajmiła cicho. - Mogą to być Gillettowie lub jacyś dezserterzy. - Wzięła z komody pistolet w kaburze. - Proszę zostać w łóżku i być cicho. Będę ich obserwowała.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - wskazał na broń.

- Użyć, jeśli będzie trzeba - odrzekła wprost.

- Daj mi to - pokazał ręką, żeby mu przyniosła. - Jeśli będzie trzeba strzelać, ja się tym zajmę.

- Pan nawet nie jest w stanie wstać z łóżka - zaprotestowała.

- O Boże, kobieto - stęknął. - Przedarłem się tutaj przez bagna. Jasne, że mogę wstać z łóżka. Daj mi to, proszę.

Stała przy drzwiach, wahając się. Nie miała ochoty oddać mu broni. Cole z wielkim trudem podniósł się na jednej stopie, podciągnął spodnie i kiwając się niepewnie, próbował je zapiąć.

- Proszę się położyć! - jęknęła Alaina z niepokojem. Szybko do niego podbiegła i delikatnie popchnęła go z powrotem na łóżko. W tym czasie Cole szybko sięgnął ręką i zabrał jej pistolet.

- Dziękuję, panno MacGaren.

- Wiem, jak się tym posługiwać - poskarżyła się. - A poza tym ja nikogo nie zastrzele.

- I tym właśnie się różnimy. - Cole odciągnął kurek pistoletu i sprawdził ładunek. - Gdzie oni są?

Alaina bez entuzjazmu pokazała okno sypialni wychodzące na las. Cole jeszcze raz, chwiejąc się, próbował wstać.

- Pomóż mi dojść do okna, dobrze?

Widząc jego zdecydowanie, z lekkim ociąganiem zbliżyła się do jego muskularnego torsu i delikatnie otoczyła go ręką w pasie, a drugą oparła w okolicy żeber. On zaś położył rękę na jej ramionach. To przywołało w dziewczynie wspomnienie chwil, gdy przygarniał ją do siebie silnymi ramionami, a na ustach czuła smak jego ciepłych, natarczywych warg. Poczwała w uszach szum...

Opuściła głowę i starała się skupić na tym, co robi. On należy do Roberty - powtarzała w myślach. Jej własne uczucia nie miały żadnego znaczenia.

Doholowała powłóczącego obolałą nogą Cole'a do okna, gdzie oparła go o ścianę, a sama pobiegła po krzesło i stół. Przyniosła je do okna i pomogła mu usiąść. Na bandażu pokazała się ciemna plama. Ostrzegła, że nadwężanie nogi może się źle skończyć.

- Wszystko w porządku? - zapytała z przejęciem i bez przekonania przyjęła jego kiwnięcie głową. Ostrożnie, żeby nie urazić go w nogę, przysiadła na krawędzi stołka. Z tej pozycji mogli razem obserwować każdy krok przybyszów.

Noc opadła na wszystko czarną zasłoną i choć bardzo wysilali wzrok, nie mogli niczego dostrzec ani na skraju zagajnika, ani na podwórzu przy domu. Po jakimś czasie pomiędzy drzewami ukazało się mrugające i poruszające się światło. Zbliżało się do domu i niebawem rozpoznali lampę niesioną przez jednego z ludzi. Dwaj mężczyźni zatrzymali się na skraju lasu. Stojąc przodem do siebie, żywo gestykulowali, jakby toczyli zawziętą dyskusję. Obaj mieli na sobie płaszcze i kapelusze, ale nisko trzymana lampa nie oświetlała ich twarzy. Jeden był niższy i z daleka wydawał się bardzo drobny. Kobieta? To on, a może ona, trzymał lampę z daszkiem i oskarżające wymachiwał ręką. Przez chwilę toczyli między sobą bójkę. Mniejszy osobnik uderzył drugiego i prawie natychmiast zatoczył się, gdy tamten mu oddał.

- Idą w kierunku domu - powiedziała Alaina.

Cole uważnie obserwował idącą dwójkę.

- Jakby czegoś szukali. Idą do powozowni.

- Chyba nie są to ci sami, co... - Ugryzła się w język, gdy uprzytomniła sobie, co zamierzała powiedzieć. Saul mówił, że widział dwóch mężczyzn i kobietę wychodzących z lasu, gdzie pozostawili grób. Tu było dwóch mężczyzn lub mężczyzna i kobieta. Nie mieli łupu, ale być może go szukali.

Cole usiłował dojrzeć twarz Alainy w otaczających ich egipskich ciemnościach.

- Co miałaś zamiar powiedzieć?

- Nic. - Alaina nieznacznie wzruszyła ramionami.

Minęło kilka chwil, zanim dwójka przybyłych wyszła z powozowni, tym razem wygrażając sobie nawzajem pięściami.

- Czegokolwiek oni szukają, nie widać, żeby znaleźli - zauważył Cole, krzywiąc się z przejmującego bólu.

- To nie żaden z Gillettów - zastanawiała się głośno Alaina. Mogliby nieść wyżej tę lampę, żebyśmy mogła zobaczyć ich twarze.

- Idą teraz do stajni.

- Do stajni! - Alaina skoczyła do okna i lęk przybrał naprawdę realny kształt, gdy zobaczyła światło latarni znikające w tym samym budynku, w którym z Saulem schowali skrzynkę.

- Znajdą na pewno - jęknęła.

- Co znajdą? Co tam jest, Alaino?

- Stare uprząże i inne rzeczy - mruknęła, miętosząc włosy zdenerwowania. Dlaczego nie pomyśleli, żeby schować skrzynkę w bezpieczniejsze miejsce?! Dlaczego złodzieje musieli wrócić tak szybko?! Dlaczego, dlaczego?!

- Chyba nie martwisz się tak o stertę starych uprząży? - naciskał Cole. - Co oni mogą tam znaleźć?

Jęknęła i załamała rękę.

- Znaleźliśmy z Saulem coś zakopanego w lesie i włożyliśmy do starego kufra w stajni.

- Co to było?

- Pewna skrzynka - mówiła szybko, chcąc uniknąć dokładnych wyjaśnień. - Saul był tam, gdy poszli ją zakopać, i zauważył, że kiedy wracali, było o jednego mężczyznę mniej. Znaleźliśmy go zakopanego razem ze skrzynką.

- Zamordowali go?

- Chyba tak.

Cole skrzywił się i dotknął nogi. Cały czas przeszywał ją ból.

- Wychodzą ze stajni. Niosą coś ciężkiego.

Alaina wiedziała dokładnie, co. Przywarła do okna i nie spuszczała z nich oka. Chwilę potem przeszedł ją lodowaty dreszcz. Skierowali się w stronę domu.

- Idą w tę stronę - wyszeptała.

Cole usiłował wstać, lecz dziewczyna przytrzymała go na krześle.

- Spokojnie - syknęła. - Jest pan tak słaby jak wygłodzony kociak i nie da pan rady sam ich powstrzymać. Mogą tylko pana zabić.

Próbował oponować, ale w końcu ona zdecydowała.

- Poczekamy tu razem albo będzie musiał pan przejść po mnie, żeby dojść do drzwi. Więc niech pan siedzi na miejscu.

Skoczyła i zamknęła drzwi. Zaryglowała je starannie. Potem otworzyła małe drzwiczki w ścianie przy kominku.

- Czasem słyhać wszystko przez szyb - poinformowała go obojętnym tonem, choć tak naprawdę bała się bardziej, niż chciała ujawnić.

Czekali, wstrzymując oddech. Słysząc było dźwięk odłamywania drewna. Alaina domyśliła się, że nieznajomi zrywają deskę blokującą tylne drzwi domu. Otworzyli je ze skrzypieniem, a potem wciągnęli coś ciężkiego do pokoju na dole.

Podniesione głosy mężczyzn słysząc było w całym domu. Spierali się zaciekle, choć poszczególnych wyrazów nie dało się zrozumieć. Cole podniósł rękę i w geście dodającym otuchy ścisnął drobną dłoń wczepioną w jego ramię. Pod jego dotykiem szczupłe palce rozluźniły uchwyt, jakby powierzała mu część odpowiedzialności za ich wspólne bezpieczeństwo.

Po chwili w domu zrobiło się cicho, gdyż jeden z mężczyzn wyszedł tylnymi drzwiami. Widzieli przez okno jego wysoką, ciemną sylwetkę, gdy biegł z powrotem do lasu. Zniknął wśród drzew i chwilę później wynurzył się, prowadząc dwa konie. Pędził z nimi w stronę domu, jakby mu było bardzo spiesząco przyłączyć się znów do swego kompana. Gdy tylko przekroczył próg jadalni, kłótnia zawrzała na nowo, ale można było rozróżnić tylko słowa wypowiedane przez mężczyznę znajdującego się bliżej kominka. Bronił się zaciekle przed zarzutami drugiego.

- Gdybym ja to przeniósł, to chyba bym pana tam nie zaprowadził! - Jego towarzysz roześmiał się na to. - Chyba zabrałbym to gdzieś daleko stąd - mówił coraz słodszy, przymilnym wręcz tonem. - Dobry Boże, w końcu przecież to ja zmusiłem tę małą sukę do ucieczki stąd i beze mnie nigdy nie znaleźlibyście odpowiedniej osoby na zdrajczynię wówczas, gdy udało nam się uciec.

Alaina zadrżała. Ten głos wydał jej się dziwnie znajomy i mówił zdumiewające rzeczy. Z całą pewnością rozmawiali o niej, ale kto jeszcze prócz Emmetta...

- Czy to nie ja powiedziałem wam o przesylce? I pozwól mi przypomnieć, że to ja się narażałem tamtej nocy, gdy wrzuciliśmy do rzeki oficera. Dopiero miałbym bał, gdyby mnie złapali w jego mundurze! To absurd, żeby mnie teraz oskarżać. Gdyby nie odepchnięto wojsk Banksa, ten majątek byłby wystawiony na sprzedaż i mógłby już należeć do pana, tak jak ustaliliśmy. Ale teraz, gdy rebelianci nas odepchnęli, strach pana ogarnia.

Nas? Czyli że to Jankes. Alaina przechyliła głowę, wsłuchując się uważniej.

- O, z pewnością to dobrze, że przyjechaliśmy po skrzynkę, bo ktoś najwyraźniej miał zamiar ją zabrać. Ale niech pan nie robi na mnie nagonki za to, że kilka z naszych planów nie wyszło. Majątek może jeszcze pójść na aukcję. A na razie skrzynka jest u nas bezpieczna i możemy się od razu podzielić zyskiem.

Te słowa jakby wreszcie udobruchały drugiego mężczyznę, ucichli i słysząc było tylko przytłumione odgłosy, świadczące, że coś na dole robią. Po chwili i te umilkły. Dał się słyszeć wybuch śmiechu, a potem nagły krzyk, hałas szamotaniny i zapadła cisza.

Alaina wstrzymała oddech. Oboje z Cole'em nasłuchiwali jakiegokolwiek dźwięku dochodzącego z pokoju na dole. Usłyszeli pojedyncze kroki, ciężkie i nierówne, jakby pod wielkim obciążeniem. Ktoś wyszedł z domu i za chwilę wrócił, już lekko i szybko, po kolejny ładunek do wyniesienia. Zrobiło się cicho i trwało tak w nieskończoność. Nie było żadnego stukotu kopyt, więc nikt nie odjechał z domu, ale wszędzie panowała cisza. Wreszcie usłyszeli coś od strony frontowego ganku, a po chwili kroki, które zatrzymały się przed tylnym wejściem. Ciszę przerwał nowy dźwięk - chlupot i rozlewanie czegoś, a do sypialni doleciał ciężki i mdły zapach nafty. Ogarnęły ich straszne przecucia.

Alaina wbiła paznokcie w skórę Cole'a, lecz on nawet nie zwrócił na to uwagi, rozpaczliwie usiłując wstać z krzesła. W przeciagu paru sekund z szybu windy zaczęły się wydobywać kłęby dymu, a ich przecucia potwierdził trzask płomieni. Na zewnątrz usłyszeli oddalający się stukot podków. Alaina pobiegła, by zamknąć drzwiczki do

szybu.

- Przekłete dranie! - zawodziła. - Powinnam ich od razu zabić! - Krztusiła się od szlochu i gryzącego dymu. Jakże nienawidziła tych, którzy podpalili jej dom! Z drżących ust wydobywał się bolesny jęk, zlewając się z coraz głośniejszym hukem ognia na dole.

Cole chwycił dziewczynę za ramiona, mocno wbijając palce w jej ciało, i potrząsnął nią, żeby się ocknęła.

- Alaino, posłuchaj! Musimy się stąd wydostać, zanim znajdziemy się w pułapce. Rozumiesz?! - Jeszcze raz mocno nią potrząsnął. - Czy rozumiesz?

Skinęła głową ledwo dostrzegalnie w panujących ciemnościach. Kaszłąc i dławiąc się dymem, zarzuciła sobie ramię Cole'a a na szyję, żeby mu pomóc. Przy drzwiach oparła go o ścianę i pobiegła z powrotem do łóżka.

- Alaino! Szybciej!

- Nie może pan się włóczyć po okolicy północy!

Wróciła z jego ubraniem i butami oraz pledem z łóżka. Cole, szarpiąc się z bluzą, wsunął do kieszeni koszuli miniaturowy obrazek, który zdjął ze ściany. Alaina bezskutecznie zmagала się z kluczem w zamku. Cole odsunął jej roztrzęsione ręce, przekręcił klucz i otworzył szeroko drzwi. Schodami w górę walił gęsty dym. Dusił i drażnił oczy tak, że prawie się cofnęli.

- Uciekajmy stąd! - Złapał ją za rękę i pokuśtykał przez korytarz.

- Proszę spojrzeć! - krzyknęła Alaina, coś pokazując. - Podłożyli ogień i od frontu! Jest cały w płomieniach!

- Spróbujmy wyjść tyłem!

Pomogła mu zejść ze schodów, podtrzymując na tyle, na ile mogła. Na dole Cole przytrzymał się balustrady i tu zatrzymali się na chwilę. Drugi koniec jadalni stał w ogniu, a tylne drzwi ogarniało piekło płomieni. Tamtędy też nie dało się wyjść.

Alaina zdusiła w sobie krzyk i pokazała Cole'owi czyjeś nogi wystające z drzwi w holu. Cole rzucił się w tamtym kierunku, wlokąc za sobą własną zranioną nogę. Mężczyzna leżał, byle jak rzucony na otwartą i pustą skrzynkę z dużym napisem USA z boku. Cole pochylił się, szybko obejrzał dwie cięte rany w plecach mężczyzny i zbadał mu puls na szyi. Ustał już całkowicie.

- Nie żyje? - spytała Alaina, podchodząc do Cole'a. Drżała z przerażenia.

- Tak. - Przekręcił mężczyznę na plecy. Podkurczone nogi rozprostowały się powoli i poły płaszcz rozchyliły się, ukazując jasnożółte pasy na ciemnoniebieskich spodniach.

- Jankes! - krzyknęła Alaina. Spojrzała na jego twarz i przypomniała sobie. - Ach, to ten porucznik Cox! To on zrobił ze mnie szpiega!

Na wpół wyciągnięty pistolet oficera zaplątał się w obfitych połach płaszcz. W drugiej ręce trzymał róg jasnego brokatu jedwabnego. Cole odchylił palce nieboszczyka, zaciśnięte na tej zdobyczy, i sięgnął do skrzyni. Pozostał w niej jedynie plik dokumentów.

- Znaleźliśmy to z Saulem - wyjaśniła Alaina. - To był transport złotych monet zrabowany w Nowym Orleanie. Zakopali go w lesie razem z ciałem, a my z Saulem schowaliśmy skrzynkę w stajni.

Cole wrzucił papiery z powrotem do skrzynki.

- Teraz jest o jednego mniej do podziału łupu.

- Saul mówił, że tamtej nocy z porucznikiem Coxem był dziwny człowieczek i kobieta.

Nagle ogień buchnął z łoskotem, osmalając im twarze i zmuszając do cofnięcia się o krok. Cole złapał Alainę

za rękę, kulejąc, przemierzył hol i popchnął drzwi prowadzące do drugiej części domu. Tu było nieco mniej dymu. Wciągnął dziewczynę do środka i zamknął drzwi. W pokoju, do którego weszli, nie było innego wyjścia. Mogli się wydostać tylko przez zabite deskami okna. Cole wyszarpnął nogę z połamanego stołu i zaczął nią walić w szyby, a potem w zamknięte okiennice, zabite od zewnątrz deskami. Wtem od zewnątrz czyjeś mocne ręce zaczęły odłamywać deski, jakby to były zapalki, i za moment okiennice były szeroko otwarte. W oknie pokazała się czarna twarz Saula. Cole sięgnął w tył, bez pardonu uniósł Alainę i podał ją przez okno. Potem wychylił się sam, aż znalazł się w silnych objęciach Murzyna. Zaciśnął zęby z bólu, gdy obandażowana noga przesuwiała się po parapecie, a potem z ulgą oparł się o Saula, który wyprowadził ich spod domu pod bezpieczny dach stajni. Cole opadł obok Alainy na wiązkę stęchłej słomy. Oboje jeszcze wykrztuszali z płuc dym. Kapitan zastanawiał się, czy po tym wszystkim kiedykolwiek będzie mu jeszcze smakowało cygaro.

Spostrzegłszy zaniepokojony wzrok Saula, odpędził od siebie banalne rozważania i zapytał:

- Widziałeś drugiego mężczyznę odjeżdżającego od domu?

- Nie, proszę pana! Gnałem przez pola, bo zobaczyłem ogień z tyłu domu. Nie widziałem tu nikogusieńko.

Alaina przysiadła na małej stercie, patrząc na płonący dom. Od tylnego wejścia języki ognia pięły się w górę do piętra. Front domu stał już cały w płomieniach. Łzy spływały po policzkach dziewczyny, a całym ciałem wstrząsał stłumiony szloch. Z każdą chwilą wzrastała w niej rozpacz i zaczynała się jej poddawać. Chcąc ją przytulić i pocieszyć. Cole otoczył ją ramieniem, ale odsunęła się gwałtownie i warknęła:

- Nie dotykaj mnie, Jankesie! - Obrzuciła go wrogim spojrzeniem, podczas gdy łzy płynęły już całkiem niepoohamowanie. - Pan i pańska przeklęta niebieska armia kosztujecie mnie więcej, niż mogę znieść!

Pozwolił jej wyrzucić z siebie żal, patrząc ponuro w poczuciu, że nie może nic zrobić, żeby powstrzymać zagładę jej domu.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy stąd uciekać - spytał po chwili - zanim ktoś zainteresuje się pożarem?

Alaina gwałtownie przestała płakać i zerwała się na nogi.

- Gillettowie! Przyjdą tu, jak tylko zobaczą ogień. Musimy natychmiast stąd odjechać!

- Tak jest - skwapliwie zgodził się Saul. - Ale którędy? Drogą przyjdzie ta biała hołota, a z drugiej strony wędrują patrole kawalerii konfederackiej. Poza tym w nocy i tak daleko nie odjedziemy.

Alaina czuła się jak osaczone zwierzę, lecz dzięki temu zapomniała o rozpacz i zaczęła myśleć, jak pokonać trudności.

- Zaprzęgaj oba konie do karawanu. Pojedziemy przez pola i dziś w nocy ukryjemy się nad rozlewiskiem.

Zakręciła się i zaczęła działać. Podała Cole'owi buty i nie troszcząc się, jak je sam włoży, pobiegła do budynku, gdzie mieściła się kuchnia, by wziąć zapas jedzenia.

Dziwacznie dobrana trójka wjechała karawanem w pola, pozostawiając za sobą wielką pochodnię płonącego domu. Saul odsunął trumnę, tak by Cole mógł się położyć obok i wyprostować chorą nogę. Wysoko ponad drzewami strzelił w górę snop iskier. Alaina obejrzała się i patrzyła ze łzami w oczach. Migające światło pożaru rozjaśniało otwartą przestrzeń, po której jechali, a przed nimi rozpościerały się czarne jak smoła cienie. Słyszeły podniecone głosy Gillettów, biegnących drogą w stronę płonącego budynku. Obawiali się, że lada moment zauważą karawan, co wzmogło ogarniającą ich panikę. Gillettowie byli jednak tak pochłonięci oglądaniem pożaru, że pozwoliło to uciekinierom bezpiecznie dotrzeć do lasu.

Ukryci w ciemnościach drzew, mogli dojechać do znanego Saulowi dobrze zamaskowanego zagajnika nad wodą. Murzyn zsiadł i nakarmił konie, po czym udał się na skraj lasu, by obserwować, czy któryś z Gillettów nie zauważył przypadkiem ich śladów i nie zorganizował pościgu. Skulona na kozle w swej wielkiej kurcie Alaina patrzyła smutno na czerwoną łunę na niebie.

Około północy ogień przygasł, a potem zaczął padać lekki deszcz. Saul owinał szerokie bary peleryną i usiadł, opierając się o pień starego dębu. Alaina zeszła z kozła i usadowiła się w otwartych tylnych drzwiach karawanu. Głowę oparła na wysoko podciągniętych kolanach. Cały czas starała się znajdować jak najdalej od Cole'a. Z nadejściem deszczu przynajmniej zmalała ilość wściekle gryzących komarów i mogli się odrobinę zdrzemnąć.

Nastał ranek, ciemny i szary. Z niskich chmur nadal siał deszcz. Cole wygramolił się z karawanu, żeby rozprostować obolałe od spania na twardej podłodze kości. Saul rozpałił niewielkie ognisko i podgrzał na nim trochę szynki. Alaina nie było nigdzie widać. Podniósł wzrok na Cole'a, który z wysiłkiem przesunął się do przedniego koła wozu i stanął, wspierając się o nie. Murzyn położył plasterki szynki i duży kawałek placka kukurydzianego na cynowym talerzu.

- To nic nadzwyczajnego, proszę pana - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu, i podał Cole'owi śniadanie. - Ale wypełni brzuch do wieczora.

Biorąc talerz, Cole nie wytrzymał i zapytał:

- Gdzie jest Alaina?

- A, panienska Alaina poszła się przejść. - Saul naszykował drugi talerz jedzenia, przykrył go i schował pod siedzenie karawanu, a na końcu nałożył porcję dla siebie. - Domyślam się, że poszła jeszcze raz do domu. Zapręgnę konie i pokręcimy się z tamtej strony, dopóki nie wróci.

Pozostałości budynku nie było widać, póki nie dojechali do bramy. Wtedy ujrzeli osmalone zgliszcza. Najbliższe domu, niegdyś ocieniające go wielkie dęby stały teraz wypalone i ogołocone niczym własne karykatury. Ze zgliszcz sterczały zwęglone belki jak kości jakiegoś olbrzyma, który skonał w męczarniach. Jeszcze wzbijały się w górę kręte smugi dymu, a krople deszczu syczały, padając na tłący się żar. Poranne powietrze przesycone było swądem wilgotnego popiołu.

Alainę znaleźli za stajnią. Klęczała w czerwonym błocie, z rękami ściśniętymi na podołku. Cylinder rzuciła niedbale za siebie. Saul zsiadł z wozu i podszedł do niej. Położył jej delikatnie na ramieniu swą wielką dłoń.

- Panienko Alaino! - odezwał się cicho, jakby nie chcąc przeszkadzać. - Musimy już jechać, zanim Gillettowie wstaną i powychodzą z domu.

Podniosła zaczerwienione oczy i drżącymi ustami głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Wszystko przepadło, Saulu. Nic nie zostało.

- Wiem, panienko Alaino. - Skinął głową i popatrzył na dymiące pogorzeliisko. I jemu zaszklily się oczy. - Ale ja nie mówię tej ziemi: żegnaj. Kiedyś tu wrócę i... - Nie mógł dokończyć, bo słowa stanęły mu w gardle. Westchnął ciężko i odwrócił się od zgliszcz. - Ale musimy już jechać, panienko Alaino. - Pomógł jej wstać, podniósł kapelusz i wytarłszy go o własny rękaw, podał dziewczynie. Nasadziła go na głowę i postawiła kołnierz swej obszernej kurtki, stając się znów chudym, ciemnoskórym chłopakiem. Siedzący w otwartym końcu karawanu Cole ze zdumieniem przyglądał się tej przemianie. Znowu gdzieś zniknęła ta delikatna, krucha kobieta, którą kochał tamtej nocy i za którą wciąż później tęsknił.

Alaina podeszła do niego i patrzyła w zamyśleniu. Po chwili zwróciła się do nadchodzącego Saula.

- Co, do jasnej anielki, zrobimy z nim? - zapytała niewinnym tonem, lecz Cole przeczuwał, że znała już odpowiedź.

- No więc - Murzyn odparł powoli, drapiąc się po brodzie. - Myślałem o tym trochę. - Przeniósł wzrok na trumnę i pytająco uniósł brwi. Alaina kiwnęła potakująco, ze złośliwym uśmiechem.

- O nieee! - jęknął Cole, widząc, że jednogłośnie już to ustalili.

- Jak myślisz, Jankesie, daleko zajedziemy, afiszując się wszędzie twoim niebieskim mundurem i świecąc jego guzikami na całą okolicę?! - rzuciła niecierpliwie Alaina.

Cole odchylił głowę w tył i westchnął przesadnie ciężko.

- Boże, chroń mnie przed tą kobietą!

- Włóż go tam - poleciła Saulowi i zadowolona z siebie, uśmiechnęła się do kapitana.

Ten, mrużąc niebieskie oczy, milcząco ostrzegł ją przed konsekwencjami. Potem z pomocą Saula ułożył się w trumnie, a Murzyn zamknął wieko, podpierając je na końcu dwiema deszczułkami, żeby zapewnić dopływ powietrza. Udrapowali to wszystko czarną krepą i zamknęli tył karawanu. Cole westchnął, gdy wóz ruszył, podskakując. Przynajmniej miał tu sucho i ciepło, choć ciągle jeszcze brzmiał mu w uszach chichot Alainy.

Ruszyli znów przez pola w stronę drogi nad rozlewiskiem. Alaina uniosła się na jednym kolanie i jeszcze raz spojrzała do tyłu na dymiące pogorzelisko, w niczym nie przypominające domu, którym było niedawno. Razem z nim poszły z ogniem śliczne powoje wisterii; nigdy już nie wyrosną. Ciężkie popioły będą się miesiącami lasowały w deszczu, zakwaszając glebę. Briar Hill to już jedynie kilka stodół, stajni i bud. Wielkiego domu o białych ścianach, dumy MacGarenów, nie ma. Pozostały tylko wspomnienia spędzonych w nim lat.

Alaina usiadła z powrotem obok Saula i otuliła się wielką kurtką, bo poranek był wilgotny. Nie starała się już nawet powstrzymać łez, płynących strumieniem po policzkach. Tak wielki ciężar przygniatał jej duszę w budzącym się dopiero dniu. Powiew wiatru poruszał gałęzie drzew, przywiewając swąd dymu i popiołu. Obraz zgliszcz, ostatni obraz rodzinnego domu, pozostanie w jej pamięci na długi czas.

21

Karawan skręcił właśnie na drogę do Marksville, gdy zbliżający się raptownie odgłos kopyt zmusił ich do zjechania na bok i skrycia się w zaroślach. Saul zszedł z wozu, by uciszać konie, a Alaina pobiegła na tył karawanu, by ostrzec Cole'a. Niebawem ich oczom ukazała się pulchna sylwetka Emmetta Gilletta na mule, który poruszał się leniwie pomimo ewidentnego pośpiechu jego pana. Choć tłuczone wierzbową witką zwierzę zrywało się do nierównego truchtu, rychło jednak, zmęczone tym krokiem, wykonywało serię płaśów z grzbietem wygiętym w łuk, co zdecydowanie nadwężało powagę, jaką chciał nadać swej postawie Emmett. Później przez jakiś czas muł szedł truchtem zgodnie ze swym temperamentem, dopóki jeździec, złapawszy oddech i równowagę w siodle, na nowo nie zaczynał okładać go batem. W ten oto sposób, raz po raz przyspieszając, Emmett stopniowo okrążył kępę drzew i krzewów, w której schował się karawan, by w końcu zniknąć z widoku.

- Nie wiem, dokąd on jedzie - zauważył sucho Cole, gdy Saul podszedł do tyłu wozu - ale wątpię, czy dojedzie tam na swym wierzchowcu.

- To droga do Marksville - mruknął Murzyn.

- Pewnie jedzie ostrzec szeryfa, że w okolicy grasuje Jankes - uzupełniła jego informację Alaina. - Lepiej jedźmy w stronę Cheneyville na wypadek, gdyby w pobliżu były jakieś wojska konfederatów.

Cole spojrział na nią zdziwiony spod uniesionych brwi. Jak na zagorzałą orędowniczkę Południa wykazywała dość duży zapal do ratowania go z opresji, ale jej motywacja pozostawała dla niego zagadką.

Alaina odwróciła się i napotkała jego spojrzenie. Zmarszczyła czoło i odparła kwaśno:

- Tak się gapisz, Jankesie, jakbym miała dwie głowy!

- Przepraszam - odparł szorstko. - Staralem się właśnie odgadnąć, która strona twojej natury jest prawdziwą Alaina MacGaren.

Późnym popołudniem dojechali do przedmieść małego miasteczka i cicho wstawili karawan do pustej szopy w pobliżu nie używanych torów kolejowych. Saul zamknął za nim szerokie wrota. Zaledwie jednak zdążyli przysiąść na odwróconych skrzynkach i platformie, by zjeść zimną kolację złożoną z szynki i gotowanych jaj, gdy zmartwieli ze strachu. Z głośnym turkotem zbliżał się duży oddział konnicy.

- To patrol konfederatów - szepnął Saul, wyglądając przez szparę w drzwiach, i po dłuższej chwili dodał: - Wygląda na to, że chcą gdzieś tu rozbić obóz.

Alaina przełknęła nie pogryziony do końca kawałek szynki.

Chrzęst żwiru w pobliżu nakazał im milczenie. Czekali, prawie nie oddychając, podczas gdy obok szopy przechodzili oficer i sierżant.

- Sprawdził pan to miejsce, sierżancie?!

- Zrobiłem to już wcześniej, kapitanie. Nie znalazłem nawet karalucha. Przeszukaliśmy też wszystkie stodoły i szopy w mieście. Nie ma możliwości, żeby ktoś się przemknął, nasi ludzie kontrolują wszystkie cztery drogi.

Kapitan poszedł dalej, a sierżant przystanął pod szopą za potrzebą. W głębokiej ciszy rozległ się cichy plusk. Alaina dotąd nasłuchiwała w napięciu, lecz usłyszawszy ten wstydlivy odgłos, odwróciła się od swych towarzyszy spłoniona. Uszy ją piekły i za żadne skarby nie spojrzalaby teraz na Cole'a.

Mając na karku żołnierzy konfederackich, uciekinierzy poruszali się w środku szopy z największą ostrożnością w obawie, że wyda ich nawet drobny hałas. Koniom powiesili na pyskach worki z obrokiem, by stłumić wszelkie wydawane przez nie odgłosy. Cole trzymał pistolet w zasięgu ręki, a Saul wplatał kawałki materiału w łańcuszki przy lejcach, żeby nie pobrzękiwały.

Nerwy mieli napięte do ostatnich granic. Było tylko kwestią czasu, by jakiś ciekawski żołnierz otworzył drzwi i odkrył ich obecność. Czuli się tak, jakby siedzieli nago na miejskim placu, modląc się, by nikt ich nie zauważył. W pewnym momencie młody szeregowiec podszedł do drzwi i rozmawiając z drugim, oparł rękę na zasuwie. Trójka w szopie wstrzymała dech, słysząc jego głos i widząc, jak metalowa zasuwka szczeka i przesuwa się pod ciężarem żołnierza. Gdy ten wyprostował się, zawołany na posiłek, drzwi wróciły z trzaskiem na miejsce. Dwaj żołnierze oddalili się, a Alaina odetchnęła z ulgą. Czując odpływ energii, przysiadła na małej, drewnianej skrzynce. Cole schował pistolet z powrotem do kabury, a Saul nerwowo przestępował z nogi na nogę.

Nagle z odległego końca szopy doleciał przytłumiony łoskot i w nikłym świetle zobaczyli otwierające się nisko w ścianie małe drzwi, pchane z trudem, gdyż blokowała je góra ziemi. Alaina i Cole wycelowali pistolety w intruza, a Saul uzbroił się w kawał drewna grubości jego własnej ręki. Gdy drzwi otworzyły się na oścież, zamajaczyła w nich drobna postać strzepująca kurz ze spodni. Był to Tater Williams.

Cole oparł się lepiej o koło karawanu. Młodzieniec podchodził do nich, z lękiem spoglądając na dwa wymierzone w niego pistolety. Wskazał kciukiem za ramię.

- Na zewnątrz stoi skrzynia z drewnem - objaśnił, po czym zerknął na pistolet kapitana. - Tak czy owak, nie

przychodzę do was w złych zamiarach.

- Jak nas znalazłeś? - zapytał Cole.

- Szedłem za wami - odparł obdarty chłopak jakby od niechcenia. - Stary pan Gillett wysłał Emmetta do Marksville, a mnie tutaj. Emmett wziął muła, a ja musiałem iść na piechotę - uśmiechnął się szeroko i dumnie. - Jasne, że ten stary muł i Emmett nigdy nie dojdą ze sobą do ładu. Ja ich prześcigam nawet na piechotę. Miałem powiedzieć zastępcy szeryfa o zniknięciu kapitana i tak dalej. - Widząc ich podejrzliwe spojrzenia, dodał szybko: - I zrobiłem to! Ale nie powiedziałem mu, gdzie jesteście.

Alaina mierzyła go przenikliwym wzrokiem, zastanawiając się, komu właściwie służy. Tater szurał bosą stopą po piachu i patrzył na nią zmieszany.

- Nie lubię za bardzo Emmetta i gdy wrzuciliście go wtedy do wędzarni, poczułem wobec was wdzięczność. Ot, co!

Chłopak zasłonił usta ręką, by powstrzymać nagły wybuch śmiechu. Skończyło się na stłumionym chichocie.

- Kiedy stary pan Gillett znalazł Emmetta związanego jak wieprza i wyjęli mu z ust knebel, Emmett zaczął skomleć, że napadł go jakiś potwór z tuzinem Jankesów, jak z nimi walczył, ale ten potwór go przygniótł. Trzeba było widzieć, jak stary pan Gillett się pienił. „Włóżcie mu z powrotem knebel” - rozkazał. - Tater znów prawie zachichotał. - Ojciec zostawił Emmetta w tej brudnej wędzarni do rana. Gdy wyszedł, był wściekły jak rozjuszony buhaj. Ojciec kazał mu jeszcze wyszorować się w końskim korycie, zanim pozwolił mu wejść do domu i zjeść. Emmett przysiągł, że nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi w swoim życiu, złapie kapitana i będzie go trzymał w wędzarni, aż się zmieni w szynkę.

Z zewnątrz dobiegł okrzyk i w obozie rebeliantów nastąpiło poruszenie. Ku uldze Tatera lufy obu pistoletów przeniosły się z niego w kierunku drzwi. Obok szopy, tupiąc głośno, przeszedł oficer konfederacki w towarzystwie kilku żołnierzy. Bardzo wyraźnie było słychać, co oficer mówi do sierżanta.

- Kilka mil od Alexandrii obozuje patrol jankeski. Proszę obstawić drogi oddziałami, a resztę ludzi tu przyprowadzić. Zobaczmy, co się da zrobić, żeby tym Jankesom trochę zakłócić sen.

Żołnierze wsiedli na konie i wkrótce na podwórzu zostały tylko puste namioty. Tater Williams otrzepał ramiona i oznajmił z dumą:

- Powiedziałem też jednemu z pilnujących drogi, że drogą nadrzeczną idzie cała grupa Jankesów. - Na ich zdziwione spojrzenie odpowiedział: - Bo idzie! Zawsze gdzieś nad rzeką idzie grupa Jankesów.

Twarz Alainy rozpromieniła nadzieją. Poszukała wzroku Cole'a.

- Może się przemkniemy i zawieziemy pana do patrolu jankeskiego.

- Na to jest mała szansa - powiedział Tater drwiąco. - Ci Jankesi nie zapuszczają się daleko w obawie przed szarakami. Trochę się pokręcą i wracają do bazy.

Alaina nie kryła rozczarowania. Na jej twarzy malowało się wycieńczenie trudami ostatniej doby. Miała ściągnięte i napięte rysy, zapadnięte oczy. Nieustannie myślała, w jaki sposób ominąć blokady na drodze i dostać się bezpiecznie do Cheneyville.

Tater przykucnął na piętach i spojrzał jej w oczy.

- Panienko Alaino?

Dziewczyna oniemiała z zaskoczenia, że ją poznał. W tym momencie Cole natomiast zaczął poważnie podejrzewać, że jest jedynym człowiekiem, który daje się nabierać na jej maskarady.

- Rety, panienko Alaino - uśmiechnął się Tater. - Od razu wiedziałem, że to nie żaden chłopak. Saul nie znał nikogo tak niskiego wzrostu. Wiem też, co Emmett zrobił panience, gdy zeszłego roku byli tu Jankesi. Zawsze lubiłem waszą rodzinę. Byliście dla mnie życzliwi, a mój tata mówi, że byli z was dobrzy, uczciwi ludzie i że to okropne, że was już nie ma. Panienko Alaino? - wyciągnął rękę i pociągnął za mankiet jej rękawa, żeby zwróciła na niego oczy, w których kręciły się łzy. - Zaraz za tymi drzwiami zaczynają się tory kolei parowej. Miała kursować do Nowego Orleanu, ale zbudowali tylko tyle, co przed wojną. Tata mi mówił, a pracował wtedy na tej budowie, że wzniesiono groblę prawie do samego Holmesville. Nie ma na niej żelaza ani drewna, ale tata powiedział, że można po niej wygodnie jechać na południe i pozostać nie zauważonym. Rebelianci zablokowali drogę, ale oni pochodzą głównie z innych okolic i nic o grobli nie wiedzą. Możecie potem jechać na wschód lub na południe wzdłuż rozlewiska, którądy wolicie.

Alaina zdjęła kapelusz i głośno kichnęła, po czym wytarła nos rękawem i schyliła się, by uściskać chłopca z wdzięczności. Tater szybko wstał i nagle ogarnęło go zmieszanie. Przez chwilę stał niezdecydowanie, po czym wybąkał coś na pożegnanie, wyśliznął się z szopy i zniknął.

Z zachodem słońca na miasteczko opadła ciemność. Tylko porozrzucane na niebie pierzaste chmury bawiły się w berka z jasną połówką księżycą. Saul wyszedł z szopy i ukradkiem obszedł prawie nie strzeżony obóz. Wrócił z kilkoma kocami. Przy tak gorącej pogodzie, jaka panowała w ich południowej krainie, zagadką było, do czego ich potrzebuje, póki nie zaczął nimi owijać żelaznych obręczy kół wozu. Wyciętymi z koców małymi kwadratami owiazał podkowy koni. Cole sprawdził pistolet i ułożył się w otwartej trumnie. Saul z Alainą otworzyli drzwi szopy.

Karawan wysunął się z niej cicho jak duch za końmi prowadzonymi przez Saula. Potem zamknęli drzwi i wyrównali koleiny po kołach. Alaina szła za wozem, zacierając wszelkie ślady, a Saul kierował konie z karawanem na tory. W końcu wjechali nad jedną z zardzewiałych szyn. Wtedy Alaina wsiadła na kozioł i Saul machnął lejczami, by konie ruszyły.

Bezszelestnie przejechali wzdłuż oświetlonych lampami domów na skraju miasteczka i zanim szczekanie psów zerwało kogokolwiek, by zdecydował się zobaczyć, co się dzieje, znaleźli się pod osłoną kępy drzew. Kilka metrów dalej szyny się skończyły, a wraz z tym koła przestały miarowo stukać o podkłady. Gładki nasyp kolejowy ciągnął się przed nimi w kierunku bagien, omijając drogi wraz ze strzegącymi ich konfederatami. Pierwszy z kilku wiaduktów był jeszcze pokryty deskami, koniecznymi dla przejazdu wozów podczas budowy. Konie przeszły po nim ufnie, prowadzone przez Saula.

Przed świtem dojechali do drogi wiodącej na wschód od Holmesville w kierunku Missisipi. Z nastaniem dnia Cole jak wampir musiał się schować do swej krypty. W miarę upływu godzin zaczął sobie w pełni uświadamiać niedogodność swego położenia. Udo spuchło mu już do kolana, a but uciskał kostkę. Choć wieko trumny było uchylone i oparte na kawałkach drewna, żeby do środka mogło wpadać trochę powietrza, w ciasnej skrzyni Cole nie mógł się poruszyć. Każdy podskok lub szarpnięcie wozu powodowały dotkliwy ból w nodze, a głowa uderzała o twarde deski trumny. Zaciskał zęby i starał się nie myśleć o swym ciężkim położeniu. Próbował przywołać w pamięci obraz Roberty. Jej płomienna uroda i dojrzałe krągłości ciała mogłyby być samą rozkoszą, gdyby jeszcze wypełniały je życie i duch. Przypomniały mu się jej złowróżbne spojrzenia i ostry, jadowity język. Nie był to najlepszy sposób na odwrócenie myśli.

Powoli i niepostrzeżenie zakradł się w to miejsce obraz przejrzystych szarych oczu w gęstej oprawie. Widział

je jak w kalejdoskopie to mrużące się radośnie, to rozszerzone zdziwieniem, to roześmiane, drwiące, wystraszone, przerażone i wściekłe, wreszcie zapłakane. Do tych dwóch szarych jezior o magnetycznej mocy Cole domalował równie pełen wyrazu mały, lekko zadarty nosek, a poniżej miękkie, pełne wargi, rozchylone w uśmiechu, kuszące. Poddawały się jego ustom. Delikatne, młode piersi falowały z każdym głębokim oddechem, gdy przeżyła chętnie ciało, jej ramiona...

Dosyć tego! Cole gwałtownie odsunął od siebie te występne myśli, aż posłusznie skryły się w najdalszym zakamarku pamięci. Ale serce mu waliło, a na skronie wystąpił pot. Nie dało się wytłumaczyć tego stanu nawet dokuczającą w trumnie duchotą.

Skierował myśli na inny tor i zaczął rozważać perspektywy na najbliższą przyszłość. Był w stanie snuć jedynie bardzo luźne plany, czasem wręcz nieokreślone i płynne, pełne nieprzewidywalnych zdarzeń. W nadziei, że część tych ostatnich da się uniknąć za pomocą odpowiednio rentowej oferty, wręczył już Alainie małą paczuszkę ze złotymi monetami i kilkoma srebrnymi dolarami, dotychczas schowaną na dnie torby z nabojami. Pozostawała jego tajemnicą nawet wtedy, gdy Emmett miał na sobie jego pas z bronią. Teraz musiał tylko zachować cierpliwość i czekać na odpowiedni moment, gdy wreszcie będzie mógł opuścić to ciasne więzienie.

Późnym rankiem karawan dojechał do skrzyżowania dróg. W tym samym czasie podjechał do niego oddział kawalerii w szarych mundurach. Alaina sięgnęła ręką w tył i szybko zastukała dwa razy w trumnę, ostrzegając Cole'a, by leżał cicho. Saul zatrzymał się w dużej odległości od żołnierzy i wygłosił swe zwykłe ostrzeżenie przed żółtą febrą, pokazując na chorągiewki w rogach karawanu. Oficer machnął, żeby jechali, lecz patrol nadal postępował za nimi w bezpiecznej odległości. Ta niechciana eskorta towarzyszyła im przez resztę przedpołudnia. W południe patrol zjechał z drogi w zacienione miejsce, robiąc postój na odpoczynek i szybki posiłek. Saul powstrzymał się od natychmiastowego przyspieszenia, ale gdy odjechali wystarczająco daleko, skręcił w pierwszą boczną drogę, graniczącą z rozlewiskiem. Nowa trasa wiła się bezlitośnie, za to nie było na niej żołnierzy.

Pod prażącym słońcem południa trumna powoli zamieniała się w piekarnik. Cole przeżywał męczarnie i ostro sygnalizował swój protest. Wreszcie Saul się zatrzymał. Otworzyli trumnę, by narzekający Jankes zaczerpnął trochę powietrza. Tymczasem jego nerwy były już w strzępach. Zlany potem, z zaczerwienioną od gorąca twarzą, nawet na Alainie wywarł wrażenie. Bez komentarza podała mu wiadro wody, gdy rozpiął wełnianą bluzę i koszulę.

Minęło kilka godzin od zenitu słońca, gdy karawan dotarł do widel dwóch rzek na końcu drogi. Niedaleko, wśród drzew cyprysowych, przycupnęła mała chałupka. Zapowiadało się, że czeka ich powrót do głównej drogi i znaczne opóźnienie podróży, żeby uniknąć związanego z tym ryzyka. Lecz najwyraźniej nie było innego wyjścia.

Z fotela bujanego na ganku chałupki podniósł się chudy, brodaty mężczyzna. Dzierżąc w zgięciu ramienia gliniany dzbanek, zakosami zmierzał w ich stronę. Alaina opuściła rondo kapelusza, zmrużyła oczy, by ukryć ich jasny kolor, i odsunęła się w tył na koźle.

- Chcecie przepłynąć? - już z daleka zawołał mężczyzna piskliwym głosem.

- Taak - zagrzemiał Saul w odpowiedzi. - Wieziemy tego biedaka do rodziny, ale nie za bardzo wiemy, jak tam się dostać.

Mężczyzna zaśmiał się i pociągnął tęgi łyk z dzbanka, nie spuszczać oczu z przybyłych.

- Noo - odchrząknął i otarł usta rękawem. - Większość przeprowia się promem. Jasne jest, że nie biorę każdego. Tylko tych, co mają czym zapłacić. Macie pieniądze?

Alaina zanurzyła rękę w kieszeni, wyciągnęła srebrnego dolara i podała go Saulowi. Murzyn wręczył go mężczyźnie, który sprawdził monetę zębami i zafrasował się. Zdawało mu się, że słyszał dźwięk większej ilości monet.

- Nooo - wycedził jeszcze wolniej niż poprzednio - to pieniądz jankeski, dobry. Ale jasne jest, że to za mało.

Mężczyzna obserwował, jak Alaina pociągnęła Saula za rękaw, a ten się pochylił. Mulatka coś mu szeptała do ucha, pokazując ręką w dal. Wielki Murzyn odwrócił się do mężczyzny wyraźnie zmartwiony i powiedział:

- Mamy jeszcze tylko dwa takie. Stary pan sam nie miał wiele, a przedsiębiorca pogrzebowy oddał nam tylko te białe, a małe żółte zatrzymał dla siebie.

- To za mało dla mnie, żebym ryzykował własne zdrowie, wioząc ofiarę żółtej febry - marudził mężczyzna. - Na pewno nie dostaliście paru małych żółtych pieniążków?

- Nie, proszę pana! - Saul zdecydowanie pokręcił głową. - Ale mój pan wcale nie umarł na febrę. Zginął w tej bitwie z Jankesami dalej w górę rzeki. Przedsiębiorca pogrzebowy poradził nam zawiesić żółte chorągiewki na karawanie, żeby Jankesi nie wtykali tu nosa.

- Nooo, w takim razie, jeśli to lojalny konfederat, przewiozę was na drugi brzeg za jedyne trzy dolary.

Saul roześmiał się od ucha do ucha, choć obaj dobrze wiedzieli, iż normalna cena za tę usługę wynosi około ćwierć dolara. Po sprawdzeniu dwóch pozostałych monet mężczyzna odszedł wąską ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu i nie było go tak długo, że zaczęli się już obawiać, czy nie zostali oszukani. Wtem ukazała się ich oczom pływająca w ich stronę stara, drewniana barka. Jej płaskie dno wyłożono deskami, tworzącymi pokład, a całość otaczała cienka poręcz ze słupków. Barka wyglądała na zbyt małą, żeby pomieścić długi karawan z końmi. Saul pobiegł, by złapać linę wyrzuconą na brzeg przez chudego mężczyznę, i doholował barkę do samego brzegu. Przewoźnik sięgnął po gruby konopny powróż przeciągnięty przez wodę i wsunął go pod żelazne prowadnice z przodu i z tyłu łodzi. Potem opuścił tylną barierkę i wysunął szerokie deski służące za pomost.

Już pod ciężarem koni barka zanurzyła się niebezpiecznie, a gdy wtoczył się na nią ciężki karawan, gwałtownie nią szarpnęło. Saul zakaszał głośno, by zagłuszyć wiązkę przekleństw wydobywającą się z trumny. Następnie pospieszył, by zablokować koła kawałkami drewna. Przewoźnik spojrzał nań badawczo.

- Powinieneś coś zrobić z tym kaszlem, chłopie - zauważył. - Przypomina mi to objawy zimnicy. - Poklepał dzbanek, oparty bezpiecznie o słupek. - Mam tu dobre lekarstwo. Gdybyście mieli jeszcze jednego dolara, sprzedałbym wam trochę.

Saul patrzył na niego obojętnie, mrugając oczami, i ku jego rozczarowaniu nic nie odpowiadał.

- No, chłopie! Teraz będę potrzebował pomocy, jeśli chcecie przepłynąć z tym ładunkiem. Złap tę linę z przodu i idź do tyłu barki. O tak!

Kiedy barka wpłynęła w główny nurt, wiry rwącej wody zniosły prom na linę i kołysały nim to na jedną, to na drugą stronę. Saul wyteżał siły, by go przeciągnąć przez wir, a przewoźnik walczył z wodą za pomocą szerokiego wiosła, by utrzymać przeciążoną barkę w odpowiedniej pozycji. Prom niebezpiecznie się chybotał i zanurzał. Bardzo przestraszona Alaina trzymała się kurczowo wysokiego siedzenia na koźle. Natomiast konie, którym założono na oczy klapki, stały spokojnie. Drżały tylko przy wyjątkowo silnych prąkach.

Zamknięty w ciemnej trumnie Cole myślał już tylko, jak przyjdzie mu umrzeć. Ustawiczne kołysanie i potrząsanie przyprawiało go o chorobę morską. W tym ciemnym, gorącym i dusznym, nieustannie rzucanym na wszystkie strony pomieszczeniu żołądek związał mu się w węzeł. Tego już było za wiele! Jeśli ma się utopić, to nie

w trumiennej pułapce. Uniósł łokciem wieko i wysunął rękę przez szparę, aż uchwycił jego brzeg. Zebrał się w sobie i podniósł ciężkie wieko trumny ramieniem na tyle, że mógł ściągnąć przykrywającą ją czarną krepę.

Gdy Cole zepchnął wieko, powietrze przeszły potworny krzyk i zarazem jęk. Przewoźnik zatoczył się do tyłu i zamarł z przerażenia, wpatrując się, jak Cole siada w trumnie. Następnie odwrócił się i nim ktokolwiek mógł go powstrzymać, wskoczył do wody. Jego błyskawiczną rejteradę do brzegu znaczył głośny plusk i fontanna spienionej wody. Patrząc na to, Alaina i Saul wyli i klepali się po udach ze śmiechu. Przewoźnik, gdy tylko poczuł grunt pod stopami, pognął przed siebie, byle dalej od zjawy, którą ujrzał. Nie oglądając się, popędził w kierunku najbliższych zarośli i zniknął z pola widzenia.

Saul pomógł Cole'owi zejść z karawanu. Nie mieli jednak czasu na wymianę poglądów, bo prąd zarzucił nie sterowaną barką na linę hamującą i ustawiona pod prąd burta zaczęła się powoli zanurzać. Alaina krzyknęła i pokazała coś za nimi. Dwaj mężczyźni spojrzeli w tamtą stronę i ujrzeli znoszony na nich przez rwącą wodę cały, wyrwany z korzeniami dąb. Gdyby uderzył w barcę, poszliby wszyscy pod wodę i ciężko byłoby im wydostać się z wirującej głębin. Nie było wyjścia. Musieli odczepić linę i dryfować z prądem.

Żyły na szyi Saula wychodziły na wierzch, gdy wyjmował linę z żelaznej prowadnicy. Obluzowana barka zahusła się i szarpnęła. Wystraszone już konie parskały i wierzgały kopytami. Saul wyjął linę z przedniej prowadnicy, a wtedy całkiem uwolniona barka przestała walczyć z żywiołem i poddała się nurtowi.

Przystań promu pozostała już daleko z tyłu, za zakolem rzeki. Saul za pomocą wiosła starał się utrzymać barcę w nurcie, z dala od kłód i pni zalegających przybrzeżne płycizny. Wyjątkowo ciężkie było to nie kończące się omijanie czarnych bagnisk i rozlewisk rzecznych.

Po jakiejś godzinie wydostali się z rozlewiska na żółto-brunatne, muliste wody głównej rzeki. Płynęli Czerwoną Rzeką mniej więcej na wysokości Simsportu. Silny prąd kołysał, zawracał i przytapiał niestabilną barcę. Saul wyciskał z siebie pot, by utrzymać ją w kursie.

Dziób barki zaczął się coraz bardziej pogrążyć w wodzie, unosząc do góry rufę. To jeszcze bardziej utrudniało manewrowanie. Uchwyciwszy za żelazne kółko, Alaina otworzyła małą klapę w pokładzie i wtedy okazało się, że cały przód kadłuba jest do połowy wypełniony wodą. Kadłub barki poprzedzielany był grodziami na kilka części, ale była to łódź o prostej konstrukcji, nie przeznaczona do dźwigania tak ciężkich ładunków w silnym prądzie rzeczonym. Cole znalazł kawałek liny i przywiązał ją do uchwytu wiadra. Alaina pochyliła się nad lukiem. Zaczęła energicznie czerpać wodę, natomiast Cole, wspierając się o cienką poręcz, wyciągał pełne wiadra i wylewał wodę za burtę. Wkrótce przywrócili barcę normalne położenie, lecz musieli co jakiś czas powtarzać tę operację.

Słońce zniżało się na niebie, a rzeka niosła barcę z utrudzoną załogą. Płynęli w dobrym kierunku, lecz z wielkim wysiłkiem utrzymywali się na powierzchni. Gdy ognista kula na niebie chowała się za linię drzew, nadal nie widać było znikąd żadnego ratunku.

Nagle wieczorną ciszę rozdarł przeciągły gwizd i zza zakrętu w tyle wyłoniła się wysoka sylwetka bocznokołowca. Zauważywszy dziwny obiekt na trasie statku, ponownie dano sygnał. Wielkie koła zwolniły i zmalowały białe grzywy wody rozgarnianej przez dziób. Szybko skrzyknięto załogę niewielkiego działka, stojącego na pokładzie spacerowym i osłoniętego belami. Statek zbliżał się ostrożnie, prawie nie marszcząc już wody.

Cole ściągnął niebieską bluzę i machał nią nad głową. Każdy statek tak daleko na południe rzeki musiał należeć do Unii. Ze sterówki ktoś wyszedł i skierował w ich stronę długi teleskop, oglądając dokładnie mały płynący obiekt. Cole włożył z powrotem bluzę i kazał Alainie i Saulowi szybko pościągać z karawanu żółte flagi.

Na statku poniechano środków ostrożności i skierowano go w stronę barki.

Walka, by nie poszli pod wodę, oraz wymachiwanie do statku bardzo nadwreżyły siły Cole'a. Ledwo stał oparty o poręcz, póki go nie wciągnięto na statek. Wciągnięto też konie, ale tonącą barękę i karawan pozostawiono ich własnemu losowi.

Statek wiozł rannych do szpitala w Nowym Orleanie. Po pobieżnym zbadaniu rany umieszczono Cole'a w wolnej kajucie. Oficerowie na statku nie widzieli też żadnych przeszkód, gdy poprosił, by jego towarzysze zostali razem z nim do rana, kiedy to statek miał cumować. W końcu, jak im oznajmił, ta dwójka uratowała mu życie.

Przez całą noc Cole jedynie drzemał niespokojnie, gdyż ból nie ustępował. Saul chrapał rozciągnięty na podłodze, a Alaina zwinęła się w kłębek na fotelu przy łóżku. Kiedy świt rozjaśnił niebo. Cole zbudził się z półsnu i zobaczył Alainę. Stała przy oknie, patrząc w zamyśleniu na budzący się dzień. Cicho wymówił jej imię. Podeszła do brzegu łóżka. Gdy spojrzała na niego ze słabym, zmęczonym uśmiechem, zapomniał, co chciał jej powiedzieć. Tysiące głupstw przychodziło mu do głowy, ale nie umiał znaleźć słów, by jakoś wyrazić swą wdzięczność. Wreszcie wybrał coś zaiste najgłupszego.

- Alaino... możesz zatrzymać te pieniądze - wyszeptał. - Dopilnuję, by Saul również otrzymał nagrodę.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, a pojawił się cień bólu i smutku.

- Doktorze Latimer, może pan poznał moje ciało, ale nic pan nie wie o duszy - odezwała się słabym, spiętym głosem. - Pieniądze są już z powrotem w pańskiej torbie na amunicję. Nie sądzę, żeby pan mógł kupić mnie czy Saula nawet za sto razy tyle.

Odrzuciła się dumnie i wyszła z kajuty, a on wpatrywał się w zamknięte drzwi. Zapadła cisza, którą w jakiś czas potem przerwał podwójny gwizd statku, oznaczający, że dopływają do Nowego Orleanu.

22

Gdy do szpitala transportowano rannych, trwały tam już intensywne przygotowania. Sierżant Grissom stał przy drzwiach i nadzorował wnoszenie pacjentów na noszach. Alaina nie była w stanie zostać na zewnątrz. Szła tuż za noszami Cole'a, ciągnąc za sobą opierającego się Saula. Sierżant najpierw prześliznął się po niej wzrokiem, nie poznając zupełnie, potem spojrzał na czarnego olbrzyma, by znów, tym razem gwałtownie, wrócić spojrzeniem do niej. Otworzył usta z wrażenia.

- Do licha! - przyjrzał jej się dokładnie. - Al, czy to ty?

- Tak. - Alaina z łatwością przybrała dumną pozę chłopca. - Musiałem trochę przyciemnić skórę, żebyśmy we dwóch - pokazała uczernionym kciukiem na Saula - mogli tu przywieźć kapitana. Na szczęście rebelianci nie zwracali uwagi na mój wiek.

- Wnieście kapitana - polecił sierżant Grissom noszowym, po czym wychylił się za drzwi i krzyknął: - Resztę ludzi zostawcie w holu! - Podeszedł do noszy z Cole'em. - Doktor Brooks jest zajęty przy rannych, ale zobaczę, czy doktor Magruder może obejrzeć pana nogę.

Pozostawiony przed salą operacyjną Cole nie zareagował, ale na dźwięk nazwiska majora na jego twarzy odmalował się lęk.

- Pozwoli pan temu rzeźnikowi Magruderowi ciąć swoją nogę? - spytała niezbyt grzecznym tonem Alaina.

Nim Cole zdążył odpowiedzieć, usłyszeli w korytarzu czyjeś ciężkie kroki i po chwili ujrzeli czerwoną ze złości twarz Magrudera.

- Rzeźnikowi, tak?! Ty mały nicponiu, oddam cię pod sąd wojskowy za dezercję.

- Nie jestem w waszym niebieskobrzymym wojsku - odcięła się Alaina. - Ani nie zdezerterowałem. Po prostu pojechałem na trochę do domu.

- Niech pan da chłopcu spokój, majorze. - Cole z wysiłkiem podniósł się na jednym łokciu. - Gdyby Al nie pojechał do domu, prawdopodobnie byłbym teraz w jakimś cuchnącym rebelianckim więzieniu.

Na twarzy Magruderera pojawiło się teraz zaskoczenie.

- A, kapitan Latimer! O wilku mowa! Właśnie dostaliśmy wiadomość, że zginął pan podczas akcji. Wygląda na to, że udało się panu zostać czymś w rodzaju bohatera. No więc jak to było? W raporcie pana wychwalano, że został pan z tyłu, żeby osłaniać ewakuację rannych. Sam przeciwko pułkowi kawalerii i baterii artyleryjskiej.

- W istocie był to tylko mały patrol z jednym przechwyconym działem - odparł lakonicznie Cole.

- Hm, musi pan mieć poczucie odniesionego sukcesu, wiedząc, że z blisko czterystu rannych pozostawionych na Pleasant Hill jedynymi, którzy wrócili, byli pacjenci pańskiego szpitala obozowego.

- Nie wiedziałem o tym, majorze.

- W każdym razie - Magruder wzruszył ramionami i wytarł okrwawione ręce - jestem pewien, że komisja śledcza będzie się chciała dowiedzieć, jak pan się znalazł tutaj, gdy reszta wojska jest nadal w Alexandrii.

- Chyba nie wszystko będę mógł sam wyjaśnić - mruknął Cole. - Kawał czasu spędziłem zamknięty w trumnie. Lecz dzięki Alowi i jego przyjaciółom jestem tu, gotów opowiedzieć wszystko, co wiem. Przywiozłem wam też drobny prezent.

- Ach tak, ta rana, oczywiście. Musimy ją obejrzeć. - Magruder uklęknął przy noszach, wyjął z kieszeni nożyczki i przeciął bandaż. Odłoniwszy ranę, naciskał ją czubkiem nożyczek i rozchyłał postrzępione brzegi. Bezdusznie ignorował zaciskające się z bólu zęby Cole'a i krople potu występujące mu na czoło.

Na widok świeżej krwi Alaina skuliła się, przygryzła wargi i z jękiem przerażenia odwróciła twarz do ściany.

Obserwujący majora Saul zdążył zrobić w duchu kilka słusznych uwag na temat charakteru tego człowieka. Oto Jankes, którego lepiej unikać, jeśli ci coś dolega.

Magruder skończył badanie i wstał.

- Pocisk rebeliancki, mówi pan. To oznacza mosiądz z dużą domieszką ołowiu. W przeciągu tygodni zatruje panu krew. Nie ma wątpliwości. Trzeba amputować tę nogę.

Białymi i sztywnymi z bólu wargami Cole zdołał wykrztusić pytanie:

- A nie może pan tego wyjąć? Mam tę nogę już od jakiegoś czasu i trochę się do niej przywiązałem. Bardzo bym nie chciał jej stracić.

Major wzruszył ramionami.

- Widziałem już takie rzeczy. Metal zaklinował się mocno w kości. Musiałbym złamać nogę, żeby go wyjąć. Za dużo jest obok żył i arterii. Drasnę którąś i będzie gangrena. To tylko kwestia czasu.

- Mam inne zdanie - nalegał Cole. - To było działko odcylcowe Wilkinsona z opancerzonymi nabojami stalowymi, nie mosiężnymi. Jeśli pan nie potrafi go wyjąć, proszę obandażować mi nogę i zostawić ją.

- Nie zgadzam się, kapitanie! - Magruder podniósł głos. - I zrobię to, co uważam za słuszne. Pan raczej nie będzie mógł dyskutować, prawda?!

Cole popatrzył na uśmiechającego się z wyższością lekarza i położył się z powrotem na noszach.

- Ja może nie, majorze, ale znam takich dwóch, którzy będą. - Sięgnął pod wałek służący za poduszkę i

wyciągnął swego remingtona. - Al?!

Zawołany odwrócił się.

- Masz jeszcze swój pistolet?!

- Mam przy sobie, kapitanie. - Alaina poklepała ciężką torbę zawieszoną na ramieniu.

- Załadowany?!

- Tak - odparła, kiwając głową zdecydowanie.

- Saulu, wiesz, jak się z tym obchodzić?

- Och, kapitanie - rzekł wielkolud, wyszczerzając zęby w uśmiechu. - Może nie umiem tak dobrze załadowywać, ale z pewnością potrafię szybko rozładować.

- Masz! - Cole podał mu pistolet. - Wejdźcie razem ze mną do tej sali. Jeżeli ktokolwiek dotknie czegoś przypominającego piłę, natychmiast strzelajcie.

Noszowi podnieśli Cole'a, a Magruder wyrzucił z siebie:

- Czy naprawdę spodziewacie się, że będę operował przy tym młodziku i czarnym dzikusie z wymierzonymi we mnie pistoletami?!

- Jakoś pan sobie poradzi, doktorze - odparł sucho Cole. - Tylko musi pan być delikatny i nie ruszać piły.

Sanitariusze położyli Cole'a na stole operacyjnym. Odprężył się nieco, widząc, że Alaina i Saul zajęli stanowiska w kącie sali. Sierżant Grissom przykrył mu nos i usta gazą, po czym przechylił brązową buteleczkę i pokropił gazą.

Na sali zapadła cisza. Magruder operował. Próbował na różne sposoby wyciągnąć tkwiący głęboko w kości odłamek metalu. Zapomniał nawet o dwóch pistoletach pilnujących każdego jego ruchu. Aż do momentu, gdy wyciągnął rękę w stronę stojącej z boku tacy z narzędziami. Wtedy w ciszy rozległ się podwójny szcęk. Doktor znieruchomiał i powoli podniósł wzrok. Ciężki kolt Ala wymierzony był prosto w jego serce. Rzucił okiem na swą rękę i oblał go zimny pot. Ręka znajdowała się tuż nad wąską piłą do kości. Ostrożnie, z rozmysłem przesunął ją i podniósł szczypce, których właśnie potrzebował.

Odłamek był mocno zaklinowany, a w głębokiej, szarpanej ranie nie bardzo można było go podważyć. Magruder ujrzał na stole czyjs cień. Był to doktor Brooks, który przyłączył się do operacji.

- Nie wydostanie pan tego - stwierdził starszy lekarz. - Nie ma za co uchwycić.

- No tak - potwierdził Magruder i dodał: - Jednak to jest stal, a nie rebeliancki ołów ani mosiądz. Można to zamknąć i czekać z nadzieją.

- To jedyne, co można zrobić. - Doktor Brooks drapał się po brodzie. - Albo to, albo obciąć nogę.

Magruder popatrzył przez dłuższą chwilę na starszego kolegę i pokręcił głową, wskazując szczypcami na Ala i Saula.

- O tym nawet nie śmiem myśleć, doktorze Brooks.

Saul czuł się zdecydowanie nieswojo w otoczeniu tylu niebieskich mundurów, poszedł więc do Craighughów. Alaina została do czasu, aż Cole odzyska przytomność. Potem postanowiła poprosić panią Hawthorne o przenocowanie jej przez jedną czy dwie noce. Zaspokoiła ciekawość personelu szpitalnego, opowiadając, jak uratowali Cole'a. W końcu wpuszczono ją do małego i wąskiego pomieszczenia, gdzie leżał, pod pretekstem, że musi sprawdzić, czy kapitan dostał z powrotem swój pistolet. Popatrzyła na jego ostre rysy. Nigdy jeszcze nie

widziała go tak spokojnego i to obudziło w niej lęk. A co będzie, jeśli jego stan się pogorszy... jak u Bobby'ego Johnsona?!

Potrząsnęła głową energicznie, odganiając te straszne myśli. Cole wyzdrowieje. Musi.

Drzwi otworzyły się i wszedł doktor Brooks. Od operacji minęło kilka godzin i jego dzień pracy dobiegał końca. Alaina posłała mu zmęczony uśmiech, a on klepnął ją pocieszająco po ramieniu. Cofnęła się na bok, kiedy Magruder i generał Mitchell weszli, by sprawdzić stan Cole'a. Słyszała ich głosy, nie rozróżniając prawie poszczególnych słów. Czekala, aż Cole odzyska świadomość, a ona upewni się, że wszystko jest w porządku.

Gdy Cole się ocknął, czuł w głowie tępy łomot i towarzyszący mu ból. Mimo że okna były zasłonięte, dla jego oczu było jeszcze za jasno. Nie chroniły przed światłem także cienkie, wysuszone jak pergamin powieki. Poznał drobną sylwetkę Alainy przy odległej ścianie, lecz nie potrafił przewyciężyć ani sztywności warg, ani otępienia umysłu, by coś do niej powiedzieć. Zamrugał powiekami i zobaczył w sali jeszcze inne osoby. Obok Alainy stał doktor Brooks, a Magruder, jak zwykle uwieszony przy naczelnym chirurgu, wyrzucał z siebie słowa, które cięły nerwy Cole'a jak brzytwa.

- To niesłychane, jak kapitan przetrwał tak ciężką próbę - zauważył nieco nadgorliwie. - Doprawdy miał szczęście, że Al go znalazł i tu przywiózł.

- Uhu! Kapitan! - prychnął Mitchell. - Jeśli ja mam tu coś do powiedzenia, wkrótce będzie majorem. W końcu nie co dzień zdarza się, by nasz lekarz oprócz łątania żołnierzy musiał również ich bronić.

Uśmiech na twarzy Magrudera przeszedł w grymas niezadowolenia, ale generał nie zwracał na niego uwagi, tylko odezwał się do Ala:

- Młody człowieku, ocaliłeś nam kogoś bardzo wartościowego. Musimy się zastanowić, co w tej sprawie zrobimy. Nie wykluczam, że postaram się o jakąś formę pochwały, i całkiem na miejscu byłaby nagroda pieniężna.

Magruder, już zupełnie czerwony na twarzy i ogarnięty złością, nie był nawet w stanie przeprosić, że wychodzi w pośpiechu. Podszedł do drzwi, a gdy je otworzył, napotkał wystraszone, ciemne oczy Roberty i całkiem postradał mowę. Bez słowa, hardo pomaszerował korytarzem do pokoju rekreacyjnego, gdzie mógł się znaleźć z dala od całego tego hałasu wokół kapitana.

Alaina, świadoma swego nędznego i pożałowania godnego wyglądu, na widok wchodzącej kuzynki schowała się za doktora Brooksa. Roberta była ubrana jak modelka. Choć natychmiast poinformowano ją o powrocie Cole'a i jego stanie, nie zrezygnowała z długiej i pracochłonnej toalety. Każde pasemko włosów było precyzyjnie - zakręcone w sprężynki, poruszające się zalotnie przy każdym ruchu. Suknia z tafty w paski powiewała na szerokiej krynolinie, wypełniając całą wąską przestrzeń pokoju.

Dramatycznie rozszlochana Roberta podbiegła do łóżka Cole'a i rzuciła mu się na szyję.

- Moje biedne kochanie! Moje biedne, ranne kochanie!

Generał Mitchell pospieszył z wyjaśnieniami, przerywając raptownie jej łzawe przedstawienie.

- Pani Latimer, mąż jest ciężko ranny w nogę i pozostał tam odłamek pocisku. Obawiam się, że zanim całkiem dojdzie do zdrowia, będzie musiał spędzić dużo czasu w łóżku.

Roberta znów opadła na Cole'a i zaczęła ponownie przejmująco szlochać.

- Och, kochany, kochany! Gdybyś wtedy został ze mną...

Cole poddawał się jej uściskom ze stoickim spokojem. Trwało to dotąd, aż dwaj doktorzy, zakłopotani oglądanym spektaklem, przeprosili i wyszli. Jak można się było spodziewać, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły,

Roberta wyprostowała się i nagle zmieniła ton na chłodny.

- No cóż, doskonale się urządziłeś - powiedziała szyderczo. - I wszystko dla tej małej dziwki, z którą się przespałeś. - Ściągnęła rękawiczki i rzuciła je niedbale na stół przy łóżku. Wtedy dopiero zauważyła stojącą w kącie Alainę. Twarz jej zapłonęła gniewem i z właściwym jej jadem w głosie zadrwiła: - No i patrzcie! Znowu ją przygarnąłeś pod swoje skrzydła. - Ruszyła w kierunku Alainy i mrużąc oczy, zaatakowała ją: - Co to ma znaczyć, że ciągnęłaś mego męża przez pół stanu i w dodatku w trumnie? Jeśli wam się wydaje, że uwierzę w wasze kręactwa...

- Zapewniam cię, Robbie - przerwała jej Alaina - że mieliśmy solidną przyzwoitkę w postaci Saula, a także całej eskorty żołnierzy konfederackich. Na statku też była wystarczająca liczba niebieskobruchów, możesz być o to spokojna. - W jej oczach zapaliły się iskry. - Czy będzie nietaktem, jeśli zauważę, że powinnaś być mi wdzięczna? W końcu twój mąż wrócił i żyje.

- Gdyby się posłuchał mnie, w ogóle by nigdzie nie jechał. Moglibyśmy już być w Waszyngtonie.

Kręcąc głową na poduszce. Cole usiłował nadążyć za tokiem jej wypowiedzi pomimo swych przytępionych zmysłów. Podany mu chloroform wciąż jeszcze próbował go z powrotem pograć we śnie.

Alaina uśmiechnęła się z przekąsem.

- Nie chciałabym podkopywać twoich ambicji, Robbie, ale nie sądzę, żebyś w najbliższym czasie mogła wyjechać do Waszyngtonu. Najwyraźniej nie słuchałaś dokładnie generała Mitchella. Twój mąż ma przed sobą długą rekonwalescencję, a jak słyszałam, Magruder zgłosił się już na miejsce kapitana.

- O czym ty mówisz? - zaperzyła się Roberta. - Oczywiście, że pojedziemy do Waszyngtonu! Lekarz ranny na służbie... - zaśmiała się. - To będzie przebój sezonu towarzyskiego. Przy mojej pomocy Cole pewnie zostanie generałem jeszcze przed końcem wojny.

- Już został majorem, bez twojej pomocy. - Alaina nie mogła sobie odmówić uszczypliwości. - I to bez jazdy do Waszyngtonu.

Z nienawiści oczy Roberty zrobiły się wąskie jak szparki. Była pewna, że kuzynka z niej szydzi i cieszy się w duchu. Ta mała jędza zrobiłaby wszystko, żeby mieć Cole'a blisko, nawet jeśli miałby być kaleką. Z furją machnęła ręką w stronę drzwi.

- Wynoś się stąd! Już niczego więcej od ciebie nie potrzebujemy. Potrafię się sama zatroszczyć o męża. Nie waż się mieszać w nasze sprawy.

Nie przejmując się zbytnio, Alaina wzruszyła ramionami. Owinęła pas wokół kabury pistoletu Cole'a, podeszła do łóżka i położyła go obok poduszki.

- Kapitanie, jeśli tylko będzie pan potrzebował obrony przed jakimś niebieskobruchem, proszę dać mi znać.

Cole z wysiłkiem skupiał wzrok na drobnej, chłopięcej postaci. Kobieta, która się pod nią ukrywała, była prawie niedostrzegalna pod maską przyciemnionej skóry i potarganych włosów.

- Dokąd pójdziesz? - zapytał jak w malignie.

Alaina uniosła wysoko szczupłe ramiona pod obszerną kurtą.

- Kto to wie?

Lekko zmarszczył czoło i otworzył usta, żeby jeszcze o coś spytać, lecz ona już odeszła. Na chwilę spotkały się wzrokiem z Robertą, po czym Alaina włożyła na głowę cylinder i ruszyła do drzwi, na odchodnym rzucając jeszcze:

- Mam nadzieję, kapitanie, że tym razem nie będzie pan żałował, iż go tu przywiozłam.

Znalazszy się za drzwiami, Alaina westchnęła ciężko i ponuro. Pozostawienie rannego mężczyzny ze złośliwą jędrą budziło w niej instynkt obronny. Ale kazano jej wyjść z pokoju. Nie mogła przecież zostać i chronić Cole'a przed jego własną żoną.

Przed szpitalem czekał na nią w powozie doktor Brooks.

- Pomyślałem, że trzeba cię będzie podwieźć. - Klepnął ręką siedzenie obok siebie. - Chodź. Chcę z tobą porozmawiać.

Zawahała się, w obawie, że znów usłyszy od niego jakąś złą wiadomość.

- Nic... poważnego tym razem, prawda? - zapytała z niepokojem. - To znaczy kapitan wyzdrowieje, tak?

- To, jak sądzę, będzie po twojej myśli. - Stary doktor uśmiechnął się.

Oddechnęła z ulgą i chętnie usadowiła zmęczone ciało na pustym miejscu obok doktora.

- Ułożyliśmy z panią Hawthorne pewien plan - oznajmił rzeczowo.

Alaina spojrzała ze zdumieniem.

- Nie wiedziałam, że pan jest jej znajomym.

- Znamy się od kilku lat, ale po raz pierwszy wspólnie coś realizujemy.

- Znając panią Hawthorne - zaczęła ostrożnie Alaina - nie będzie dla mnie niespodzianką, jeśli to znów jakaś ekstrawagancja.

Patrząc na drogę przed sobą, staruszek zaśmiał się serdecznie.

- Tak dobrze ją znasz, co?

- Wystarczająco! - Choć starała się nie okazywać przejęcia, ciekawość Alainy została pobudzona. - Więc jak chcecie tym razem wykiwać Jankesów?

- Moje dziecko, a gdybyś tak zrzuciła te ohydne łachy i ubrała się, jak przystało na młodą damę?

Dziewczynę na moment zamurowało, po czym zapytała z niedowierzaniem:

- W normalną suknię i inne rzeczy?

- I wszystkie inne rzeczy, w jakie ubierają się młode damy. - Doktor spojrzał w bok i spostrzegł, że w jej szarych oczach zabłyśły iskierki entuzjazmu. - Widzę, że ten pomysł ci się podoba.

- O tak! Tak! - Roześmiała się, zdjęła kapelusz i ścisnęła go w rękach. - Byłoby cudnie... ale jest pan pewny? Dlaczego tak postanowiliście?

- Pani Hawthorne głęboko wierzyła, że wrócisz. Kobieca intuicja, jak sądzę. Złożyła mi wizytę i zapytała, czy mógłbym znaleźć pracę w szpitalu dla jej siostrzenicy...

- To znaczy w tym szpitalu jankeskim?

Doktor Brooks pokiwał głową.

- Już się dowiadywałem. Zaczynasz w poniedziałek rano, pod warunkiem, że się doszorujesz do własnej skóry.

Tego wieczoru w domu pani Hawthorne Alaina moczyła się i szorowała w wielkiej wannie z gorącą wodą, dopóki nie zmyła z siebie wszystkich śladów farbowania. Robiła to tak zawzięcie, że po tej kąpieli całe jej ciało się zaróżowiło. Pani Hawthorne dopasowała dla niej ubiory swej córki. Choć były skromne, dziewczyna czuła się nadzwyczaj podbudowana. Przyjęła teraz nazwisko Camilli Hawthorne, wcielając się w rolę siostrzenicy pani Hawthorne. Stary doktor zapewnił jej w szpitalu lepszą pensję niż przedtem kapitan. Miała teraz całkiem niezłe

dochody.

W poniedziałek wczesnym, słonecznym porankiem jej obcasy zastukały przy wejściu do szpitala. Krótkie jeszcze włosy ściągnęła do tyłu i upięła pod sztucznym koczkim, kupionym za nagrodę, którą otrzymała od generała Mitchella. Miała na sobie prostą szarą suknię, a do pracy zakładała na nią biały wykrochmalony fartuch i mankiety do łokci.

Poczuła się znacznie pewniej, gdy w zachowaniu sierżanta Grissoma, który oprowadzał ją po oddziałach, nie stwierdziła żadnych oznak, by ją rozpoznał. Słuchała go uważnie, udając, że nic nie wie, choć pewnie lepiej niż on wiedziała, co trzeba zrobić i gdzie co leży.

Dopiero w środku dnia udało jej się zaspokoić ciekawość co do stanu zdrowia Cole'a. Trzymając w jednej ręce tacę z jedzeniem, lekko zapukała do drzwi i słysząc cicho wypowiedziane przyzwolenie, weszła do środka. Oparty o wysoko ułożoną poduszkę, pół siedział, pół leżał i usiłował się ogolić. Nie patrząc na nią, wskazał stolik obok łóżka, by postawiła naczynia.

- Proszę tam zostawić - polecił szorstko.

Wykonała polecenie i stanęła, przyglądając się, jak nieudolnie, bez lusterka, przesuwa brzytwą po policzku, zostawiając smugi mydła i zarostu.

- Czy mogę pomóc? - mruknęła przeciągle z południowym akcentem.

Jedwabistość jej głosu przyprawiła Cole'a o dreszcz. To był ten sam głos, jaki słyszał pewnej szczególnej nocy nie tak dawno temu w ciemnym pokoju. Podniósł wzrok i ujrzał uśmiechające się doń ciepło szare oczy.

- Alaina! - Uniósł się, nie zwracając uwagi na przeszywający go ból. - Co ty tu robisz? Z tacą, fartuchem i tym wszystkim? - Z zadowoleniem popatrzył na jej kobiecy strój. - Pracujesz tu? Czy to bezpieczne?

- Alaina? Kapitanie, pan chyba majaczy. Nazywam się Camilla Hawthorne i bardzo serdecznie proszę o zapamiętanie tego.

- Jesteś pewna, że to... to znaczy... nie sądzę, żebym... - odchrząknął z lekką irytacją. - Pani tutaj nowa?

- Byłam już w tym mieście. Ale tym razem przyjechałam z Atlanty na dłuższy pobyt u cioci. Zamiast siedzieć i zbijać baki skorzystałam z propozycji doktora Brooksa, żeby tu popracować. Podobno ostatnio zmniejszył się wam personel, a ponieważ Jankesi zaoferowali mi zupełnie znośną pensję - te słowa powiedziała celowo z naciskiem, żeby się z nim podrażnić - moja sytuacja jest teraz całkiem dobra.

Nareszcie wszystko zrozumiał.

- Zdaje się, że podoba się pani tutaj, panno Hawthorne.

- Camillo, jeśli można, kapitanie.

Spojrzał na nią niepewnie.

- Myślę, że przez jakiś czas zostanę przy pannie Hawthorne. Będzie mniejsza szansa na przejęzyczenie niż przy takiej poufałości.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Jak panu wygodniej, kapitanie. A dlaczego nie miałyby mi się tutaj podobać? - Wzięła z jego ręki brzytwę, odwróciła policzek i ostrożnie przesuwała ostrzem po wychudzonej twarzy. - Nie uwierzy pan, ale napatrzyłam się na cherlawych wyrostków o brudnych włosach i twarzach tak usmarowanych, że trudno by było ich doszorować. Tak się cieszę, że nie muszę żyć jak oni.

- Hm, no tak. - Cole spojrzał z ukosa. - Pamiętam jednego takiego. Mały brudas. Zawsze wyglądał, jakby mu

była potrzebna solidna kąpiel. Usta miał tak samo brudne jak całą resztę.

Alaina ostrożnie przytknęła brzytwę do miejsca tuż pod jego nosem.

- Czy widział pan kiedykolwiek jego całą resztę, kapitanie?

- Uhu - odparł zdecydowanie, trochę obawiając się poruszać ustami pod ostrzem brzytwy.

- I był rzeczywiście tak brudny, jak pan mówi?

Tym razem dłużej się zastanawiał i choć oczy mu się śmiały, nie poruszył wargami.

- Uhuu.

Odłożyła brzytwę i ostrożnie zmoczyła ręcznik w misce gorącej wody.

- Rzekłabym, kapitanie - droczyła się - że się pan mylił, podobnie jak i w innych sprawach.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przyłożyła mu do twarzy parujący ręcznik.

- Proszę leżeć spokojnie - rozkazała, przyciskając mu głowę do poduszki - bo zrobi pan sobie krzywdę.

Spod ręcznika wydobył się zboląły jęk, lecz dziewczyna przytrzymała go mocno, dopóki Cole siłą nie ściągnął gorącego okładu.

- Znów to samo, diablico! Uparłaś się, żeby mnie upiec żywcem!

- Ej, kapitanie... - uśmiechnęła się słodko na widok zaczerwienionej twarzy. - Było tylko trochę ciepłe. O co tyle hałas? - Szeleszcząc spódnicą, poszła do drzwi, wołając jeszcze przez ramię: - Tace zabiorę później.

W ciągu następnych dni Cole nauczył się rozpoznawać energiczny stukot obcasów Camilli Hawthorne, gdy przechodziła korytarzem i co dzień dokładnie o tej samej porze przynosiła mu lunch. Co drugi dzień zostawiała chwilę, żeby go ogolić. Była to dla niego zarazem przyjemność i tortura. Camilla pomagała wielu pacjentom szpitala i zawsze był to jasny promyk rozświetlający ich szare dni. Jeśli nie była zajęta podawaniem posiłków unieruchomionym żołnierzom, zmieniała prześcieradła i bieliznę, odkurzała i pełniła inne lekkie posługi.

Cięższe prace, które kiedyś wykonywała jako Al, teraz należały do nowo zatrudnionego chłopca do sprzątania. Choć on sam był schludniejszy niż Al, w dokładności sprzątania nie dorównywał swej poprzedniczce. Camilla także, jeśli miała czas, zbierała i rozdawała listy, rozmawiała z pacjentami, czasem im czytała. Z przyjemnością odgrywała najciekawsze role postaci z książek, robiąc to uroczo, z wyobraźnią i nadspodziewanym talentem mimicznym.

Jedyną osobą jakby trochę zaskoczoną jej obecnością był major Magruder. Poza nim nikt nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na Ala. Natomiast major zapytał wprost, czy już gdzieś jej nie widział. Roześmiała się serdecznie i odwzajemniła się pytaniem:

- Może był pan kiedyś w Atlancie, majorze?

W tym samym mniej więcej czasie Cole otrzymał oficjalny awans na stopień majora. To wydarzenie tak rozdrażniło Magrudera, że przestał się zastanawiać nad młodą kobietą, wszystkie jego myśli skupiły się bowiem na nienawiści do Cole'a.

W tych uczuciach nie był zresztą odosobniony, gdyż podobne uczucia, choć skierowane ku innej osobie, dojrzewały w sercu samego Cole'a Latimera. Martwiło go mianowicie, że młody porucznik, przydzielony do personelu chirurgicznego, wydawał się coraz bardziej oczarowany wdziękami Camilli Hawthorne i nie cofał się przed jawnym zabieganiem o jej względy. Podczas gdy świeżo upieczony major zmuszony był leżeć w łóżku na wznak, młody oficer swobodnie przemierzał korytarze i oddziały. I choć obiekt jego załotów zdecydowanie je odrzucał, nie skępowana swoboda ruchów tego mężczyzny dawała mu, zdaniem Cole'a, niesprawiedliwą

przewagę. Do rozgoryczenia Cole'a przyczyniało się jeszcze i to, że będąc mężczyzną związanym z inną kobietą, nie mógł otwarcie protestować.

Jego druga połowa objawiła się w całej swej żeńskiej okazałości w tydzień później. Roberta złożyła mu wizytę o niezwykle wczesnej jak na nią godzinie, to jest o jedenastej rano. Siedziała dumnie przy łóżku, gdy Alaina weszła w południe z jedzeniem. Za nią, ku wielkiej irytacji Cole'a, szedł porucznik z miską gorącej wody potrzebnej do rytuału golenia. Alaina zatrzymała się na chwilę w drzwiach, zaskoczona obecnością Roberty. Nie licząc dnia, gdy przywieziono go do szpitala, po raz pierwszy odwiedziła swego męża.

- Dzień dobry, majorze. - Alaina odezwała się wesoło jak zwykle i postawiła tacę na szafce koło łóżka. Swej kuzynce skinęła głową, mówiąc: - Pani Latimer.

Cole z wysiłkiem podniósł się w łóżku do pozycji półsiedzącej. Mamie się czuł ze swym zarostem przy schludnie ogolonym oficerze. Alaina wzięła od porucznika miskę i postawiła ją obok tacy, po czym przedstawiła swego pomocnika.

- Pani Latimer, zechce pani poznać porucznika Appleby'ego. Jest naszym nowym chirurgiem.

Roberta z gracją podała dłoń, a porucznik pochylił się nad nią, jak nakazuje najlepsze wychowanie, a potem z nadzieją w głosie zwrócił się do Alainy:

- Czy mogę w czymś jeszcze pomóc, panno Hawthorne?

- Dziękuję, poruczniku. Już sobie dam radę - uśmiechnęła się do niego. - Lepiej niech pan wraca do swoich obowiązków. I tak zabrałam panu za dużo czasu.

Robertę w tym momencie też zirytowały krępujące ją małżeńskie więzy. Porucznik był dość przystojny i denerwowała ją łatwość, z jaką Alaina zawsze umiała sobie zjednywać mężczyzn. Jakby zupełnie się nie lękała tej ich prymitywniejszej strony. Roberta z lubością wypróbowałaby swe wdzięki na poruczniku, żeby sprawdzić, jak szybko zapomni o jej młodszej kuzynce.

Nie mając żadnego pretekstu, by zostać dłużej, porucznik Appleby wyszedł z pokoju, a Alaina zajęła się przygotowaniami do golenia. Roberta wstała, przeszła do drzwi i zamknęła je dokładnie. Potem wróciła i stanęła przy końcu łóżka Cole'a. Świdrując oczami swą kuzynkę, syknęła:

- A co ty tutaj w ogóle robisz?

Dziewczyna podniosła wzrok i rzekła od niechcienia:

- Muszę zarabiać na życie. Doktor Brooks załatwił mi pracę. Pracuję tu.

- Zakradając się do żołnierskich sypialni, tak? - skomentowała Roberta tonem dalekim od uprzejmości, ignorując gniew na twarzy męża.

Alaina obrzuciła ją lodowatym spojrzeniem.

- Ja nie potrzebuję się zakradać, Roberto. Zostawiam to innym. - Odwróciła się i zaczęła moczyć ręcznik.

Roberta chwyciła się mosiężnej poręczy w nogach łóżka tak mocno, że aż jej pobielwały kostki dłoni.

- A z tym co masz zamiar robić?

- Mam zamiar ogolić majora Latimera - odparła Alaina. - To należy do moich obowiązków.

- Sama to zrobię! - Roberta straciła panowanie nad sobą. - Wynoś się stąd i nie przychodź tu więcej!

- Wedle życzenia, pani Latimer. - Alaina wrzuciła ręcznik do miski. Otwierając szeroko drzwi, dodała jeszcze:

- Drzwi na drugim piętrze zostawiamy otwarte, pani Latimer, żeby pacjenci mogli nas zawołać, jeśli potrzebują pomocy lub czegośkolwiek.

Zniknęła, zanim zdążyła paść odpowiedź, zostawiając Robertę w stanie wrzenia.

- Zawsze mówiłam, że ten mały włóczykij kiedyś nas zniszczy. Przez nią wszyscy żyjemy w strachu, że się wyda, czyimi jesteśmy krewnymi. To po prostu koszmar! - miauczała, siadając na krześle. - Nie można nawet wymówić jej imienia, żeby ludzie nie patrzyli podejrzliwie. A teraz znów jest tutaj i pracuje wśród tylu mężczyzn jak jakaś kurtyzana.

Cole odchylił się i obserwował żonę spod zmarszczonych brwi.

- Jesteś dla niej niesprawiedliwa, Roberto. Wiesz tak samo jak ja, że nie ponosi winy za to, o co ją oskarżono.

- A ja uważam, że jesteś dalece za łagodny wobec tej małej ladacznicy - zaprotestowała Roberta. - Jak możesz być taki ślepy, Cole'u? Widziałeś, jak kokietowała tego porucznika. Po prostu wodzi go za nos. Ona się zachowuje tak, jakby każdy mężczyzna był jej własnością. Jakby była królową, jakimś specjalnym darem dla mężczyzn.

Cole nic nie mówił, choć zupełnie się z nią zgadzał. Bo jest!

- Pamiętam, gdy byliśmy małe, Alaina zawsze bawiła się z chłopcami. Jeśli ktoś chciał ją znaleźć, szukał chłopców. I przeważnie z nimi była, ubrana jak oni. Podczas gdy ja bawiłam się lalkami i pilnowałam swojej cnoty.

Cole uniósł się na łokciu i podniósł brew. Nie mógł sobie darować tego pytania:

- Jak to się więc stało, moja droga, że ona zdołała utrzymać swoją dłużej niż ty?

Przez chwilę zwężone ciemne oczy patrzyły nienawistnie, po czym padły szydercze słowa:

- Hm! Jaki chłopak brałby na serio tak kościstą dziewczynę? Jeśli chcesz znać prawdę. Cole'u Latimerze - Roberta wyprostowała się wyniośle - gdyby była bardziej dojrzała, już dawno by straciła cnotę.

Cole z lekkim zniecierpliwieniem sięgnął po kubek do golenia, umoczył pędzel i zaczął go namydlać.

- I co z tym zrobisz? - spytała szybko Roberta.

- Namydłę twarz i ogolę się - stwierdził Cole oczywisty fakt.

- Ja to zrobię! Połóż się na chwilę.

Cole miał pewne obawy.

- Nie musisz, Roberto. Sam sobie poradzę.

- Powiedziałam, że ja to zrobię! - Wstała i wzięła z jego ręki pędzel oraz kubek.

Późnym popołudniem, długo po odejściu Roberty, Alaina wróciła do pokoju Cole'a po brudne naczynia. Leżał na wznak z przyciśniętym do dolnej połowy twarzy wilgotnym ręcznikiem. Kiedy tylko ją zobaczył, zapłonął nagłą złością i zawołał stłumionym przez ręcznik głosem:

- Dobry Boże, kobieto! Twoje okrucieństwo nie zna granic! Zostawiłaś mnie bezradnego z tą rzeźniczką!

Zdjął ręcznik i Alaina westchnęła ze zgrozą. Twarz Cole'a była poharatana i pozacinana co najmniej w dwadzieścia miejscach, z czego połowa jeszcze krwawiła.

- Zawołaj swego przyjaciela, nowego chirurga, zanim się dziś wykrwawię do cna - pomstował. - Albo lepiej przynieś mi kawałek ałunu do zatamowania krwi. Słowo daję, że tydzień spędzony na moczarach z otwartą raną nie pozbawił mnie jej tyle, co dzisiejsze popołudnie w rękach Roberty.

Alaina pobiegła po ałun, zaśmiewając się jeszcze na korytarzu. Gdy wróciła. Cole dalej był zły. Umoczyła ałun w wodzie i nadal, co jakiś czas chichocząc, przykładała go do skaleczeń.

- Nie jestem pewien, dziewczyno - odezwał się Cole surowo, gdy to robiła - czy więcej szkody wyrządziłaś

mi, znikając dziś, czy w dzień mego ślubu.

- Tak czy owak - powiedziała cicho, pochylając się tuż nad nim - tym razem nie może pan twierdzić, że pomylił osoby.

Roberta, dowiedziawszy się, że Alaina pracuje w szpitalu, starała się ze wszelkich sił odwiedzać Cole'a codziennie rano i uważała za swój obowiązek siedzieć, dopóki nie wypraszano odwiedzających. Choć nieugięte usiłowała mu we wszystkim usługiwać. Cole równie niewzruszenie nie dopuszczał jej do golenia. Twierdził, że woli zapuścić brodę niż pozwolić jej jeszcze raz to zrobić.

Cały tydzień żona wypełniała mu złośliwymi uwagami i insynuacjami na temat zachowania Alainy teraz i w przeszłości. Skoro jej tożsamość już wyszła na jaw, Roberta nad wyraz aktywnie starała się nadwerężyć szacunek Cole'a dla swej młodszej kuzynki. Zarzucała go lawiną półprawd i wierutnych kłamstw. Atakowała go, chociaż był beznadziejnie przykuty do łóżka i w dodatku musiał przyglądać się spokojnie zalotom porucznika Appleby'ego. Uporczywe starania chirurga o Alainę wzbudzały w nim narastający, ponury gniew, chociaż wiedział, że nie ma prawa ani protestować, ani czuć urazy. A jednak toczyło go to wewnątrz niczym rana i nie mógł nic poradzić.

W poniedziałek rano Cole zdecydowanie doszedł do wniosku, że ma już dosyć tego uwięzienia na materacu. Gdy tylko zadniało, poprosił sanitariusza o kule. Potem, zaciskając szczęki z bólu, który promieniował z miejsca, gdzie w kości tkwił odłamek, wstał z łóżka. Był słaby i nie miał wprawy w posługiwaniu się kulami. Mięśnie z braku ruchu były zupełnie zwiotczałe. Ale z zawziętym uporem zmuszał się do aktywności. Chodził od łóżka do ściany i z powrotem, powoli, z wielkim trudem, i znów, i znów, aż poczuł skurcze w ramionach i nogach. Ale i wtedy zmusił się do wysiłku, nie zważając na pulsujący i piekący ból, który cały czas przypominał mu o doznanym kalectwie.

Gdy zaczął przychodzić poranny personel pomocniczy, zatrzymał się i nasłuchiwał znajomych kroków zbliżających się korytarzem do jego pokoju. Lecz tym szybkim i lekkim towarzyszyły kroki cięższe, męskie.

- Wygląda pani dziś uroczo, panno Hawthorne - rzucił słodki komplement Appleby, a Cole już widział w wyobraźni, jak pożera wzrokiem miękkie, kobiece kształty Alainy.

- Ach, poruczniku - odparła Alaina poważnym tonem. - Właśnie pytał o pana major Magruder. Potrzebują pana natychmiast do operacji.

- Obowiązki wzywają - westchnął z zalem młody chirurg. - Ale serce zostaje przy pani.

Cole wniósł oczy do sufitu, drwiąc w duchu. Gdyby ten mężczyzna poświęcał tyle uwagi pracy co Alainie, mógłby zdziałać nieprawdopodobne wręcz cuda.

Porucznik Appleby oddalił się szybko, a wysokie obcasy stukały dalej, aż zatrzymały się w jego drzwiach. Cole obejrzał się i zobaczył na twarzy Alainy zaskoczenie. Przyglądała się chwilę, potem weszła do pokoju i odłożyła na bok stertę niesionej bielizny.

- Czy wolno panu wstawać? - zapytała podejrzliwie.

Odpowiedział z przekąsem:

- Wolę wstać niż znosić kolejny dzień w łóżku.

- Wygląda pan na zmęczonego. Niech pan posiedzi chwilę. Ja tymczasem zmienię pościel, a potem pochodzę z panem, dopóki nie ma Roberty. Ucieszy się, że pan już wstaje.

- Kobieto, nie rozpieszczaj mnie! - Machnął ręką, żeby odeszła, gdy chciała mu pomóc w dojściu do krzesła. -

Nie potrzebuję pielęgniarki do nauki chodzenia.

- No, ale ktoś powinien tu być i czuwać, żeby pan sobie nie złamał karku - odparła żywo.

- Jeśli złamię, może na mnie praktykować twój młody przyjaciel. Przyda mu się więcej doświadczenia. Jak dotąd chyba lepiej mu idzie umizgiwanie się do kobiet niż trzymanie skalpela.

- Co pan może wiedzieć o jego umiejętnościach? - zaprotestowała Alaina. - Nigdy pan z nim nie przeprowadzał operacji.

- Nie, ale dość często widuję, jak w tę i z powrotem biega za tobą po korytarzu, zziązany jak piesek. Kiedy więc ma czas na swoje obowiązki?

Alaina zgarnęła z łóżka brudne prześcieradła.

- Porucznik Appleby jest po prostu dla mnie miły, a pan nie ma powodu, by być taki uszczypliwy.

- Nie przyszło ci nigdy na myśl, by ostudzić jego zapaly?

- Może pan być pewien, majorze, że ich nie podsycam - odrzekła, podchodząc do drzwi, by wyrzucić brudne prześcieradła na korytarz. Wróciła ze świeżymi, piorunując Cole'a spojrzeniem. - Nie robię nic niewłaściwego.

- Ale i nie zniechęcasz go. Widziałem, jak na ciebie patrzy. Jak młody samiec w okresie godów. Chętnie by cię dopadł w jakimś ciemnym kącie. A ty zachowujesz się, jakby cię matka nigdy nie ostrzegała przed takimi typami.

- Ostrzegała, ostrzegała. - Alaina zaśmiała się drwiąco. - Tylko o takich jak pan zapomniała mi powiedzieć. Czy będzie mi pan, majorze, udzielał rad na temat tego, co pan już sam wziął?! Doprawdy, w porównaniu z panem porucznik Appleby to niewiniątko.

Odwróciła się i rozścielała prześcieradło, lecz Cole nie mógł się pogodzić z tym, że do niej należało ostatnie słowo. Zapominając o kulach, wyciągnął rękę, chcąc ją złapać za ramię, i nagle poczuł, że się przewraca. Od upadku prosto na twarz uchroniło go tylko to, że w ostatniej chwili złapał za nogę od łóżka. Kula spod prawego ramienia wypadła i potoczyła się po podłodze. Pod nagłym ciężarem całego ciała przeszył go dojmujący ból w chorej nodze i zaczął bezwładnie opadać na ziemię. Alaina już miała powiedzieć coś zgryźliwego, lecz westchnęła tylko, widząc jego pożałowania godny stan. Podbiegła i zakładając sobie jego rękę na ramiona, powstrzymała dalszy upadek, a potem pomogła mu wstać.

- Nic się panu nie stało? - zapytała z przejęciem.

Wyprostował się powoli i popatrzył w jej zatroskane szare oczy. Urzekająca była ich czystość w oprawie gęstych, jedwabistych rzęs. Jej usta były śliczne i pełne wyrazu, stworzone do całowania...

Alaina poczuła, że jego ramię coraz mocniej ją ściska. Nim zdołała coś zrobić, uniósł ją do swych rozchylonych warg. Jego otwarte, rozpalone namiętnością usta spadły na nią jak grom, budząc z uspienia jej własne pragnienie. Broniąc się rozpaczliwie przed ogarniającym ją szaleństwem, wysupłała się z jego objęć i odstąpiła krok w tył. Była roztrzęsiona i przerażona gwałtownym podnieceniem, jakie poczuła. Odkoczyła zawstydzona i zmieszana tym, że ośmielił się tak ją napastować w publicznym miejscu. W całym pokoju rozległo się plaśnięcie wymierzonego policzka. W następnej chwili Alaina odwróciła się i rzuciła ku drzwiom. Musiała szybko znaleźć jakieś miejsce, gdzie w samotności wypłacze wzbierający w niej szloch.

Na marmurowej posadzce korytarza za drzwiami pokoju Cole'a stuknęły obcas jakichś ciężkich butów. Alaina z trudem się opanowała. Był to ciężko opłacony sukces, ale mogła wyjść na zewnątrz z chłodną, opanowaną miną. Lecz postawa ta natychmiast prawie legła w gruzach, gdy usłyszała znajomy głos:

- Ależ to pani Latimer!

Poznała zbliżającego się porucznika Baxtera i mogła już tylko stać jak oniemiała. Nie było żadnej możliwości, by wywinąć się zrecznie z kłopotliwej sytuacji.

- Pamięta mnie pani, prawda? To znaczy właściwie spotkaliśmy się tamtej nocy przy mieszkaniu pani męża, a ja bym panią wszędzie poznał. Nigdy nie zapominał żadnej twarzy. - I śmiejąc się, dodał: - Zwłaszcza tak ślicznej.

Alaina była tak zdumiona, że nie była w stanie się odezwać, lecz on, nieświadomy jej zakłopotania, zadawał kolejne pytania.

- A w ogóle, jak się czuje major? Słyszałem o jego bohaterskich wyczynach i o awansie. Ma prawo być z siebie dumny.

- Major Latimer... czuje się... dobrze - odparła niepewnie. - Czy pan... chciałby się z nim zobaczyć?

- Właściwie... - Oficer zaśmiał się, by pokryć zmieszanie. Nie mógł się przecież chwalić, że ma czyraki na siedzeniu. - Mam pewien problem zdrowotny. Czy któryś z lekarzy jest wolny?

- Niech pan się zgłosi do sierżanta Grissoma - doradziła mu równie zmieszana. - Jeśli nie ma go w kantorku na dole, niech pan tam zaczeka. On panu znajdzie lekarza, a to oszczędzi panu szukania po szpitalu.

- Dziękuję, pani Latimer.

Otworzyła usta, żeby go poprawić, ale on już się odwrócił i poszedł. Zamiast niego z przerażeniem zobaczyła rozszerzone furjantę źrenice swej kuzynki. Szła korytarzem za porucznikiem Baxterem. Zatrzymała się, gdy usłyszała, jak wymawia jej nazwisko. Słyszała całą rozmowę.

- Masz czelność podawać się za panią Latimer? - wycodziła Roberta, zgrzytając zębami. Rzuciła się do Alainy i potrząsając groźnie pięścią tuż przed jej nosem, wyrzeszczała: - Jego i to nazwisko będziesz miała po moim trupie!

Potem wyminęła ją, weszła do pokoju Cole'a i zatrzasnęła drzwi. W chwilę potem major padł ofiarą dosadnych i wielce obraźliwych określeń dotyczących swego charakteru, a Alaina uciekła, nie chcąc słuchać wulgarnych oskarżeń kuzynki wobec ich obojga. Dopiero po dłuższym czasie wysłała sanitariusza, by dokończył ścielić łóżko majora.

Powrót majora do domu Craighughów przyjęty został ze stoicką rezygnacją przez co najmniej jednego członka rodziny. Angus Craighugh spodziewał się najgorszego. Do niechęci, jaką czuł zawsze wobec swego zięcia, doszło rozczarowanie. Cole'a od razu tego samego dnia umieszczono w pokoju gościnnym. Roberta długo wyjaśniała, dlaczego z niesprawną nogą będzie mu tam wygodniej. Cole zauważył, że jest wyjątkowo zadowolona ze swojego pomysłu, co nie znaczy, że jemu to nie odpowiadało.

Odgrywanie przez dłuższy czas roli obowiązkowej małżonki zdążyło już znużyć Robertę. Teraz, gdy zażegnane zostało niebezpieczeństwo codziennych spotkań Cole'a z Alaina, jego żona nie zwlekała ze wznowieniem kontaktów towarzyskich. Znowu chodziła na herbatki do żon wojskowych i przyjmowała zaproszenia na lunch od wysokich rangą oficerów, którzy, jak się spodziewała, mogli pomóc w karierze jej męża.

Któregoś dnia w lipcu doktor Brooks, odwożąc Alainę do pani Hawthorne, po całodziennej pracy wstąpił do domu Craighughów, by przekazać wiadomość dla Cole'a. Było to oficjalne pismo informujące majora o przejściu w stan spoczynku z powodu choroby. Leala wysłała zaraz Dulcie z pismem na górę, a gości poprosiła do środka na

coś chłodnego do picia. Murzynka została zatrzymana przy drzwiach do pokoju majora.

- Ja to wezmę - Roberta, idąca korytarzem, wyciągnęła rękę po list. - A ty wracaj do pracy.

Kobieta popatrzyła niepewnie na drzwi majora.

- Pani Leala powiedziała: „Daj ten list osobiście majorowi”.

- Daj mi go, powiedziałam! - Roberta się zaperzyła.

Na szczęście, gdy Dulcie deliberowała, co ma zrobić, drzwi się otworzyły. Murzynka skwapliwie oddała pismo adresatowi i widząc wściekły wzrok Roberty, szybko się oddaliła. Wróciła do salonu i właśnie podawała napoje, gdy domem wstrząsnął potworny wrzask, aż szyby zadzwoniły w oknach. Przez chwilę wszyscy obecni w salonie zamarli z wrażenia. W pełnej grozy ciszy dobiegł ich hałas otwieranych na górze drzwi i obojętny głos Cole'a:

- Żegnam panią.

Drzwi zamknęły się cicho, lecz tylko na moment, bo zaraz znów zostały gwałtownie otwarte i w całym domu rozległy się wściekle krzyki Roberty.

- Nie odwracaj się, gdy do ciebie mówię! - darła się. - Mogliśmy wyjechać, dojść do czegoś, gdybyś się nie uparł na tę ryzykowną kampanię!

- Jeszcze lemoniady? - pytała nerwowo Leala, chcąc odwrócić uwagę gości od historycznych wrzasków córki.

Jednak jej wysiłek na nic się nie zdał, Roberta darła się bowiem jak opętana.

- Chcę to ustalić natychmiast!

- Nie ma nic do ustalania - mówił Cole uprzejmym tonem, a ze schodów doleciał odgłos jego kroków i stukanie laski. - Przeszedłem w stan spoczynku z powodu choroby. Po prostu.

- Ty obrzydliwy Jankesie bez kręgosłupa i bez charakteru! Utrzymałeś mnie w wierze, że pojedziemy do Waszyngtonu, a przez cały czas planowałeś, jak tu zostać z tą małą ulicznicą, z którą się przespałeś pod naszymi nosami! Powinnaś pozwolić tacie zmusić cię do ożenku z Lainie, zamiast cię przed nią uratować! Przed tą zdrajczynią! Ściągnęłaby cię na dno! Ale ty tylko potrafisz wypominać, że ja cię zmusiłam podstępem do małżeństwa! Nie widzisz, ile dla ciebie zrobiłam! Powinieneś mi być za to wszystko wdzięczny!

Alaina pochyliła się nad szklanką ze wstydem i upokorzeniem, widząc skierowane na nią oczy reszty towarzystwa. Czowała się boleśnie poniżona. A Roberta schodziła za Cole'em po schodach i wcale nie zamierzała przerwać swej tyrady. Wylewała na jego głowę potok obelg i zarzutów.

- Czasem mi się wydaje, że sobie to wszystko z góry obmyśliłeś, żeby mi odebrać wszelką przyjemność w życiu!

Cole kontynuował swą trudną wędrówkę na dół. W odpowiedzi mruknął jedynie:

- Waszyngton był pani pomysłem, nie moim. - Właśnie zszedł z ostatniego schodka i nieświadom, że przyciąga wszystkie spojrzenia zebranych w salonie, odwrócił się w stronę Roberty. - Nie będzie żadnego Waszyngtonu, Roberto. To już przypadło. Zostanę odwołany, gdy tylko dotrzemy do Minnesoty.

- Do Minnesoty? Brr! - Ręka Roberty wysunęła się, wyrwała mu laskę i walnęła nią o ścianę. - Ach ty, razem z tą przekłętą nogą! Szkoda, że ci jej nie ucięli! - Teraz noga Roberty wysunęła się spod sukni i kopnęła Cole'a z całej siły w prawe udo. Jęknął z bólu i zatoczył się do tyłu, chwytając się za framugę drzwi do salonu.

Roberta z wściekłością zbliżyła się, wyciągając laskę, lecz Cole sięgnął i zabrał ją z powrotem. Już zmęczona, Roberta weszła do salonu, a on, kulejąc, wszedł za nią. Na straszliwie bladej twarzy wypisany był grymas bólu.

- Kobieto - ostrzegł - jeżeli jeszcze raz coś takiego zrobisz, to...

Przerwał nagle, zauważywszy zwrócone ku niemu, zdumione twarze. Tylko Alaina siedziała z głową spuszczoną i rękami ściśniętymi na kolanach. Cole opanował się, powoli wyprostował i uklonił się doktorowi Brooksowi.

Roberta uświadomiła sobie, ile osób było świadkami jej wybuchu, i odwróciła purpurową ze wstydu twarz. Nie mniej spłoniona była jej matka, która siedziała sztywno, wpatrzona przed siebie.

- Roberto, Cole'u - odezwała się głosem ledwo dosłyszalnym nawet w martwej ciszy panującej w pokoju. - Mamy gości.

- Przejadę się konno. Nie wiem, kiedy wrócę - oznajmił Cole i utykając, opuścił salon.

Roberta, nie wiedząc, jak wytłumaczyć swoje postępowanie, czym prędzej uciekła na górę do swego pokoju. Doktor Brooks nie mógł zrobić nic, by pocieszyć przygnębioną Lealę i Alainę. Pożegnał się dość sztywno z panią domu i wraz z dziewczyną wyszli. Dulcie podreptała do kuchni, smutno kręcąc głową, a Leala siedziała jak oszołomiona, nie mogąc zrozumieć, jak to możliwe, że jej słodka, ciemnooka córeczka do tego wszystkiego doprowadziła.

23

Letnie upały dawały się we znaki południowym polom, nadal z powodu wojny leżącym odłogiem. Dla Konfederacji było to na ogół lato klęsk. Dowództwo nad wschodnimi zgrupowaniami wojsk Unii przejął Grant, a Robert E. Lee prowadził wojnę, która ponad siły wyczerpywała jego armię. Polegała ona na serii odwrotów, które doprowadziły go z powrotem do Richmondu. Na froncie centralnym Sherman zaatakował Johnsona, zmuszając go, by wycofał się do Atlanty. Johnsona zastąpił jednoręki, waleczny Teksaszczyk Hood i rozpoczął bitwę o Atlantę. Miasto ewakuowało się w panice. Na zachodzie, zwanym przez stronę konfederacką Transmissisipi, Kirby Smith nie zdołał pokonać Steele'a w Arkansas, po czym wrócił na południe, by umożliwić Banksowi ucieczkę przez Atchafalayę. Sierpień przyniósł potwornie wyczerpujący upał. Szeregi żołnierzy w niebieskich mundurach znacznie się przeredziły. Armie Shermana i Granta musiały poprosić o uzupełnienia w miejsce poległych.

Pewnego sobotniego popołudnia na początku września Alaina pracowała z panią Hawthorne w ogródku, gdy usłyszały na drodze prowadzącej do domu rytmiczny stukot podków. Alaina podniosła się i zobaczyła nadjeżdżający powóz z jednym koniem. Na koźle siedział w nienagannym umundurowaniu major Latimer. Zatrzymał powóz i z galanterią zasalutował.

- Dzień dobry paniom.

- Ach, jak to miło, majorze, że nas pan odwiedził! - przywitała go serdecznie pani Hawthorne. - Zapraszam na herbatę, a może odrobinę sherry?

- Nie, bardzo dziękuję. Właściwie przyjechałem porozmawiać z Alaina. Za kilka dni wyjeżdżam... do domu. Przed wyjazdem chciałbym z nią uzgodnić pewne sprawy.

- Oczywiście, majorze. - Kobieta uśmiechnęła się ciepło. - Rozumiem. Pójdę na chwilę do domu... gdybyście mnie potrzebowali. - Tuż przed drzwiami odwróciła się i dodała: - Gdybyśmy się już nie zobaczyli, majorze, życzę panu bezpiecznej podróży do domu. I powodzenia!

- Dziękuję pani. - Cole ponownie dotknął brzegu kapelusza i poczekał, aż gospodyni zniknie w środku domu. Wtedy przeniósł wzrok na Alainę, pochłoniętą pielęgnowaniem krzewów.

- Możesz na chwilę przerwać? - zapytał cicho. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

Choć jej uwaga bynajmniej nie była skupiona na tym, co robiła, nie przerywała obrywania przekwitłych kwiatów z gałęzi.

- Równie dobrze, majorze, mogę rozmawiać przy pracy.

Pocierając chłodną skórę trzymany w dłoni lejców. Cole nalegał:

- Alaino, przyjechałem porozmawiać z tobą na osobności. Byłbym wdzięczny, gdybyś przejechała się ze mną kawałek i wysłuchała, co mam do powiedzenia.

Odwróciła się i patrzyła na niego przez długą chwilę z wahaniem, po czym podeszła do powozu.

- Wsiądź, proszę - powiedział i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

Alaina przyjrzała mu się. Słońce opaliło go na brąz, a przy tej opaleniznie jasnoniebieskie oczy błyszczały jak klejnoty. Kiedy już zaczęła wierzyć, że jego obecność przestała mieć wpływ na jej życie, pojawił się znowu i cała jej skrupulatnie budowana iluzja rozprysła się na kawałki. Dlaczego po prostu sobie nie odjechał, dając jej spokój? Pogodziłaby się z tym. A tak tylko przedłuża jej cierpienie.

- Alaino, błagam cię o wyrozumiałość. Za kilka dni wyjadę. Proszę, poświęć mi kilka chwil swego cennego czasu.

Niezbyt chętnie zdjęła fartuch i rękawice. Powiesiła je na słupku i wdrapała się na kozioł obok Cole'a. Ten uniósł lejce i pojechali drogą wzdłuż rzeki. Zatrzymali się w lekko zacienionym miejscu, oddzielnym od głównej drogi zagajnikiem.

- Mam nadzieję, że pana intencje są uczciwe, majorze - odezwała się z nutką nonszalancji. - Jestem tu zdana na pana, a pan, jak się zdaje, lubi narażać na szwank moją reputację.

Cole przywiązał lejce do drążka przy powozie, odchylił się i rozpiął bluzę. Wyciągnął z niej mały pistolet i wręczył dziewczynie. Spojrzała na niego zdziwiona i zdezorientowana.

Uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Żebyś się już niczego nie bała, droga pani.

Obejrzała mały dwulufowy pistolet i zauważyła drwiąco:

- Nie załadowany.

- Oczywiście. - Roześmiał się, zdejmując i odkładając na bok kapelusz. - Nie jestem kompletnym głupcem - wziął od niej broń. - Wiesz, jak się nim posługiwać?

- Jest raczej bezużyteczny bez odpowiedniego ładunku, tyle wiem.

Nie zwracając uwagi na jej docinki, wsunął do magazynka mosiężne naboje.

- Słuchaj uważnie - polecił. - Ta mała dźwignia z boku to zabezpieczenie, żeby uniknąć wypadku.

- A z jakiego powodu ten prezent?

Cole zamknął magazynek i przez chwilę celował pistoletem w odległy polny kwiat, zanim stawił czoło jej pytającemu spojrzeniu.

- Kiedy wyjadę, możesz potrzebować jakiejś ochrony. Kto wie, co może się zdarzyć, jeśli interesują się tobą takie typy jak Jacques DuBonné. Tylko tyle mogę ci ofiarować. To część podarunku na pożegnanie, można to tak nazwać.

- To znaczy, że jest coś więcej?

Lekko wzruszył ramionami.

- Czy chciałabyś przedsięwziąć jakąś własną inwestycję?

- Z wielką ochotą, ale obawiam się, że mam ograniczone fundusze.

- Mogę ci je zapewnić - powiedział wolno. - Załatwię wszystko przed wyjazdem, a w razie jakichkolwiek kłopotów mam tu w mieście prawnika, który reprezentuje moje interesy. Wystarczy się z nim skontaktować.

- Dziękuję, majorze, ale nie mam ochoty być utrzymywana przez pana ani żadnego innego mężczyznę. Jestem zupełnie samodzielna i wolę, żeby tak zostało.

- Do licha, Alaino, nie proszę, żebyś została moją utrzymanką. To ja jestem ci zobowiązany...

- Niepotrzebnie - przerwała mu chłodno. - Niczego mi pan nie zawdzięcza i niczego od pana nie wezmę.

- Mam tu pieniądze, co najmniej dwa tysiące w złocie, i klucz do mego apartamentu. Mieszkanie jest do twojej dyspozycji, dopóki jesteś w tym mieście. Wszystko jest załatwione. Proszę, weź jedno i drugie...

- Nie! - Była tak samo uparta jak on. Miała swoje powody, o których nie chciała nawet z nim dyskutować. I swoją dumę. - Nie zmusi mnie pan do tego!

- Jesteś upartą kobietą, Alaino MacGaren. - Cole westchnął ciężko. Po chwili wyjął zza siedzenia duże, bogato rzeźbione, drewniane pudełko. - To mój ostatni prezent - oświadczył. - Nie powinien nadszarpnąć twojej reputacji.

Spojrzała na niego podejrzliwie i uniosła wieczko. Na widok zawartości pudełka wydała okrzyk zdumienia. Na dnie wyścielonym aksamitem leżał miniaturowy portret rodziców, wiszący niegdyś w jej sypialni.

- Jak to? Skąd pan to ma?

- Zahaczyłem o to ręką, gdy uciekaliśmy z twojej sypialni podczas pożaru. Zauważyłem to wcześniej. Pomyślałem, że będziesz zadowolona z takiej pamiątki.

- O tak! - Spojrzała na niego i w jej oczach zaszklily się łzy. - To najpiękniejszy prezent ze wszystkich! Dziękuję bardzo!

Zerwała się spontanicznie i pocałowała go w opalony policzek. Nagle Cole poczuł się odurzony zapachem jej włosów. Obudził w nim jakiś dziki instynkt, zbyt silny, żeby z nim walczyć. Jakby zupełnie poza jego kontrolą ramiona Cole'a otoczyły dziewczynę i czule przygarnęły. Rozsadzało go wielkie pragnienie. Przez wiele miesięcy nie zaznał słodkiego uścisku kobiety.

- Alaino, Alaino... tak cię pragnę - szeptał namiętnie do jej ucha, docierając do pełnych namiętności, pilnie strzeżonych zakamarków w duszy dziewczyny. Odnalazł ustami jej usta i przez chwilę zwarły się ich stęsknione wargi. Prawie traciła oddech w jego mocnym uścisku. Każdą tkanką swego ciała pragnęła tego mężczyzny, lecz umysł nie pozwalał. On należy do innej kobiety i za kilka dni stąd wyjedzie. Jeśli teraz pozwoli na wybuch uczucia, jego odjazd będzie jeszcze trudniejszy do zniesienia.

- Cole'u, nie. - Odwróciła twarz, odpychając go od siebie. - Nie wolno nam tego robić.

Jednak ta przelotna chwila jej zapomnienia zdążyła rozbudzić u mężczyzny pożądanie, rozpałała jego zmysły.

- Chodźmy do mojego mieszkania, Alaino - błagał, obsypując namiętnymi pocałunkami jej policzki i łabędzią szyję. - Zostań tam ze mną. Pozwól mi cię kochać tak, jak tego pragnę. Mamy już tylko kilka dni.

Kręcąc głową przecząco, Alaina siłą odsunęła się od niego i drżącą ręką trzymała go na dystans.

- Nie jestem jedną z pana panienek na zawołanie - powiedziała prawie szeptem. - Nie mam zamiaru zostać sama z bękartem, którym pan będzie się chlubił na odległość. Cokolwiek zaszło między nami, to był błąd...

Chwycił ją za rękę i trzymał mocno w uścisku. Dół brzucha rozsadzało go aż do bólu i nie dawał się przekonać żadną argumentacją.

- Są błędy, Alaino, o których nie da się łatwo zapomnieć. - Patrzył z wielkim skupieniem w przepastną toń jej oczu i mówił powoli, rozpaczliwie: - Potrzebuję cię, Alaino.

- Nie - jęknęła, usiłując się odwrócić.

Cole ujął ją za ramiona i potrząsnął, zmuszając, żeby na niego spojrzała. W jej oczach widział zupełnie co innego, niż mówiły usta. Całe jej smukłe ciało drżało, przecząc wypowiadanym słowom. Stracił wszelki zdrowy rozsądek. Stłumię jej protest - myślał - a pójdzie za głosem serca. Przyciągnął ją znów do siebie i nakrył jej usta swoimi. Ale przeliczył się. Nagle poczuł ostre ukłucie. Dziewczyna ugryzła go w wargę. Poczł krew, odskoczył i osłonił się przed jej ręką wymierzającą mu policzek.

- Może mnie pan wziąć siłą, majorze, jeśli takie jest pańskie życzenie - wycedziła głosem twardym i syczącym, jakby rzucała lód na rozpaloną stal. - Ale i tak nie będę należała do pana.

- Powinienem cię wtedy przykuć do siebie łańcuchem - rzekł Cole. - Tak srogo teraz za to płacę.

Alaina złapała miniaturę, strącając pudełko na dno powozu, i nim zdołał ją zatrzymać, zeskoczyła na ziemię. Odchodziła, patrząc na niego przez łzy.

- Już nie będzie pan płacił, majorze! Jest pan wolny. Niech pan jedzie i żyje sobie z Roberta w Minnesocie. Nie chcę pana więcej widzieć!

- Alaino! Wróć! - krzyczał, gdy uciekała polną drogą. - Do licha, Alaino! Wróć tutaj!

- Jedź sobie! Jedź sobie i żyj ze swoją wspaniałą żoną! - wołała załóżnie. - Trzymaj sobie te pieniądze, apartament i klucz. Daj je swojej kochance!

Cole zaklął pod nosem, wykręcając powozem.

- Alaino, wsiądź tutaj - rozkazał, gdy ją dogonił i zwolnił. - Odwiozę cię do domu.

- Za jaką cenę?! - spytała szyderczo, patrząc ukosem. - Za jeszcze jedną noc?! - Zaśmiała się i wzburzona szła dalej ścieżką. - Wynoś się, Jankesie. Zniknij z moich oczu!

- Alaino, jesteś nierozsądna!

- Nierozsądna? Bo nie poszłam z panem do łóżka, żeby począć pańskie dziecko? To pan, drogi majorze, jest nierozsądny! Za kilka dni pan wyjedzie, wolny od wszelkich zobowiązań wobec mnie!

- Czy naprawdę myślisz, że taki jestem? - zapytał. - Czy myślisz, że nie wróciłbym wtedy do ciebie?

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy, trzymając się pod boki.

- A cóż by pan zrobił z Roberta?! Rozwiódł się z nią, żeby dać dziecku nazwisko?! Zapomnij o tym, majorze. Nie może mi pan dać tego, czego ja pragnę.

Odkręciła się i zagniewana szła przed siebie, a on jechał u jej boku.

- A czego pragniesz, Alaino? - Patrzył, jak strząsa kamyk ze znoszonego pantofla.

- Tego, czego pragnie każda kobieta - oświadczyła, na chwilę wznosząc ku niemu oczy. - Na pewno nie chcę zostać kochanką jednego z jankeskich kobieciarzy.

- Możesz myśleć, co chcesz, ale ja nie jestem...

- Ma pan rację! Myślę to, co chcę!

Tym dała mu ostateczną odpawę i szła dalej, ignorując jego prośby, żeby wsiadła do powozu. Tak odprowadził ją do samego podjazdu domu pani Hawthorne.

Tam zatrzymał powóz i patrzył, jak wbiega na ganek. Drzwi zatrzasnęły się za nią i usłyszał, jak biegnie jeszcze przez dom. Nie wjeżdżał dalej. Zawrócił powóz i odjechał z powrotem do miasta. Cały czas zachodził w

głowę, jak mógł popełnić w życiu tak idiotyczny błąd.

Tej nocy pani Hawthorne długo nie mogła zasnąć, słysząc dochodzące z pokoju Alainy gorzkie szlochanie. Całym sercem współczuła udreżonej dziewczynie... a także majorowi. Widziała, że między dwojgiem tych ludzi płonie coś, co niełatwo ugasić, i wątpiła szczerze, czy odległość będzie w stanie ostudzić ogień ich uczuć.

Statek zatrzęsł się, gdy odczepiono ostatnią cumę i koła łopatkowe zaczęły młócić wodę, odrywając go od nabrzeża i kierując do głównego nurtu rzeki. Leala ocierała oczy i gorączkowo machała chusteczką do odjeżdżającej córki. Angus stał sztywno i niewzruszenie u boku swej żony, w pełni świadom, że wobec roli, jaką odegrał w zamążpójściu Roberty, nie wypada mu teraz w żaden sposób okazywać sprzeciwu.

Roberta natomiast była rozwścieczona na samą myśl o tym, że jest wywożona w jakieś dzikie ostępy, gdzie według krążących opowieści grasują dzicy Indianie, a zamieszkują je brudni drwale i mieszanej rasy traperzy. Teraz, gdy stanęła na górnym pokładzie statku rzeczno, dotarło to do niej z całą ostrością. Oto rozwiewają się jej marzenia o *haute societe*, a w ustach pozostaje tylko gorycz. Czasem czuła się skrzywdzona przez Cole'a, wykorzystana, a potem zdradzona. Stojący obok niej wysoki, przystojny mężczyzna wsparty na lasce stał się jej przekleństwem.

Roberta uniosła wzrok i na szczycie grobli zamajaczyła jej samotna, mała i szczupła postać w jasnej sukni z muślinu.

Alaina! - rozbrzmiało w głowie Roberty jak kłątwa. Ona wie, co mi zrobiła! Wie to dobrze i pewnie teraz ta mała suka cieszy się w duchu z mojego losu!

- Mówiłaś coś? - zapytał Cole, oderwany od swoich rozmyślań.

Roberta spojrzała na niego i w tym spojrzeniu skupiła się cała jej nienawiść i rozgoryczenie. Jej wykrzywiona wściekłością twarz wyglądała jak odrażająca maska. Nie mogła już tego znieść!

Odwróciła się gwałtownie i pobiegła do kajuty, zakrywając twarz ręką odzianą w rękawiczkę. Cole podążył za nią wolniej, lecz gdy spróbował otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte. Zastanawiał się przez chwilę, po czym wspierając się ciężko na lasce, pokuśtykał do biura intendenta, by poprosić o oddzielną kajutę.

Późnym popołudniem Alaina plątała się po ogrodzie pani Hawthorne. Wtem usłyszała, że gospodyni woła ją na ganek. Przyszła zaraz i ujrzała Saula stojącego przed domem z kapeluszem w ręce. Od czasu powrotu z Briar Hill pracował w sklepie wuja Craighugha i prawie go nie widywała. Wyglądał na dość zmieszanego, co ją trochę zdziwiło. Potem spojrzała dalej, za niego. Na podjeździe stał powóz i koń Cole'a Latimera.

- Panienko Alaino, major kazał mi go tu przyprowadzić i nie przyjmować żadnej odmowy. Powiedział, że jest teraz panienki i może z nim panienka zrobić, co chce. - Saul nerwowo obracał w dłoniach kapelusz. - Major powiedział też, żeby panienka nie próbowała oddać go panu Angusowi, bo to go bardzo zdziwi.

- A jakże ja mam wykarmić to zwierzę? - oponowała dziewczyna.

- Major powiedział, żeby się o to w ogóle nie martwić. O wszystko się zatroszczył. Od czasu do czasu przyjdzie tu dostawa paszy i innych rzeczy, panienka musi tylko podpisać.

Alaina zacisnęła zęby i patrząc na Murzyna podejrzliwie, zapytała:

- To jeszcze nie wszystko, prawda, Saulu?

- Noo... - Spuścił oczy i skulił się niepewnie.

- Mów, śmiało - rozkazała.

Z widocznymi oporami wyjął z płóciennej kurtki klucz i wręczył go Alainie. Następnie zdjął z pasa sakwę i podał jej.

- Major powiedział, że tu jest dwa tysiące w złocie, a to klucz do jego mieszkania. Miałem to panience przekazać tak, żeby pan Angus się nie dowiedział.

- Saulu Calebie! - krzyknęła rozeźlona dziewczyna. - Czy to znaczy, że przyjąłeś dla mnie pieniądze od Jankesa?!

- Panienko Alaino... - Saul poszukał wzrokiem ratunku u pani Hawthorne, ale ta akurat była zapatrzona w dal. Musiał więc sam wybrnąć z kłopotu. - Mówiłem majorowi, że panienska się tym bardzo zdenerwuje, ale major powiedział, że to on się zdenerwuje, jeśli nie zrobię, jak każe.

- W niezłe tarapaty nas wpędziłeś - zgromiła go Alaina.

- Tak jest, wiem. Ale major powiedział, że mam nie wracać do pana Angusa, dopóki nie oddam panience pieniędzy i konia. Kazał mi przyrzec.

Alaina westchnęła.

- Zostaw mi powóz i konia. Pieniądze możesz wziąć...

Saul gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, panienko! Obiecałem, że tego nie zrobię! Poza tym major przed wyjazdem i mnie też zostawił pieniądze.

- Jak tam z naszą kolacją? - zapytała uprzejmie pani Hawthorne. - Czuję, że już się zaczyna przypalać.

- Oooch! - Alaina rzuciła się do drzwi, otworzyła je i zniknęła wewnątrz domu, zostawiając Saula z sakwą.

- Jeśli chcesz, ja to dla niej wezmę, Saulu. - Pani Hawthorne uśmiechnęła się do niego. - Na wszelki wypadek, gdyby nagle potrzebowała pieniędzy.

Zadowolony, że pozbył się wreszcie tego ciężaru, Saul poszedł wyprząc konia i odstawić powóz. Nie chciał zostawać dłużej, by nie wdawać się znów w dyskusję z upartą panienką Alaina.

Pani Hawthorne spokojnie weszła do domu i schowała sakwę do szafy. Może kiedyś przyjdzie czas, że dziewczyna zmieni zdanie na temat prezentu od majora. Do tej pory pieniądze będą czekały w bezpiecznym miejscu.

24

Minęło lato klęsk, przyszła zima prawdziwej katastrofy. Lee był obleżony w Richmondzie, Atlanta upadła, a Sherman maszerował w stronę morza, przecinając w pół wschodnie wojska konfederackie i siejąc zniszczenie w pasie sześćdziesięciu mil. Wraz z nadejściem wiosny na Południu rozwiały się ostatnie nadzieje Konfederacji. Lee wycofał się z Richmondu, pozostawiając bezbronne miasto na łasce Jankesów. Wreszcie, dziewiątego kwietnia, zepchnięty aż do rzeki Appomattox, Lee nie mógł już znaleźć uzasadnienia do dalszej walki dla swej wygłodniałej, obszarpanej armii i skapitulował. Pięć dni później wydarzyło się jeszcze większe nieszczęście: zamordowano prezydenta Lincolna. Południe poddało się. Po kolei kapitulowali Johnson, Taylor i Smith. Jefferson Davis został ujęty dziesiątego maja. Rozpoczęła się zemsta Północy. Kongres zadawał Południu cios za ciosem, wymierzając już i tak zdruzgotanej Konfederacji karę za nieposłuszeństwo. Całe hordy oszustów i kombinatorów rzuciły się jak szarańcza na Południe, by rozgrabić wszystko, co pozostało.

Luizjaną zarządzał przysłany gubernator. Był nawet uczciwy, lecz nad wyraz ekstrawagancki. Budynek

rządowy otrzymał żyrandol za dziesięć tysięcy dolarów oraz złote spluwaczki w każdym gabinecie. Nowy Orlean jako port prosperował dzięki przywróceniu handlu z zagranicą. Jako miasto był wewnętrznie rozdarty. Czarnoskórzy robotnicy ścierali się z imigrantami irlandzkimi, szkockimi i niemieckimi. Do tłumienia zajęć musiano aż wzywać wojska federalne.

Szpital przeistaczał się coraz bardziej w instytucję cywilną. Formalnie nadal pozostawał pod kontrolą armii, już tylko jeden oddział przeznaczono dla żołnierzy. Doktor Brooks umocnił swą pozycję i zyskał ogólny szacunek jako jego administrator. Alaina pracowała jak dawniej. Na zewnątrz dziewczyna promieniowała życiem i radością, jednak nawet towarzystwo pani Hawthorne nie było w stanie załagodzić dopadającego ją nieraz uczucia samotności. Odmówiła ręki porucznikowi Appleby'emu i zniechęcała innych adoratorów, jakby zupełnie ją to nie interesowało.

Pewnego spokojnego popołudnia wezwał ją do siebie doktor Brooks. Gdy weszła do jego gabinetu, staruszek siedział przy biurku ze spuszczonego wzrokiem, opierając siwą głowę na dłoniach. Gdy usiadła na krześle naprzeciwko, powoli podniósł oczy i skrzyżował ręce na biurku.

- Właśnie wróciłem od Craighughów - poinformował ją. - I znowu mam smutne wiadomości.

Alaina zdrętwiała, myśląc gorączkowo. Wuj Angus? Ciocia Leala? Dulcie? A może Saul? Kto?!

- Leala dostała właśnie list z Minnesoty...

Alaina poczuła w piersiach lodowatą falę strachu, ale nawet w myślach nie odważyła się dopuścić właśnie tego.

Doktor ciągnął powoli:

Nie była to może radość, lecz Alaina poczuła wielką ulgę i wdzięczność wobec losu, że to nie on. Nie potrafiła też wzbudzić w sobie smutku z powodu Roberty. Przepraszyła cicho i wyszła. Wzięła wolne na resztę dnia i udała się do domu wujostwa, by zaproponować swą pomoc, w czym tylko będzie potrzeba. Otworzyła jej Dulcie i przywitały się z płaczem. Potem Murzynka powiedziała z głębokim przejęciem:

- Pan doktor dał pani Leali jakieś proszki i pani teraz śpi na gorze. Pan Angus wrócił do sklepu. Panienko Alaino! - Dulcie skręcała w dłoniach fartuch. - Ja po prostu nie wiem, co zrobić. Pan Angus wpadł w szal, że to panienka przyprowadziła tu tego Jankesa i przez to Roberta umarła. Panienko Alaino, oni oboje są załamani i myślę, dziecko, że najlepiej, jeśli poczekaś trochę z odwiedzinami.

Alaina kiwnęła głową bez słowa i wróciła do powozu. Zamyślona i smutna jechała do domu, do pani Hawthorne. Może rzeczywiście lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby w ogóle nie opuszczała Briar Hill.

Angus Craighugh po śmierci córki przedłużył godziny pracy w sklepie. Pracował do późna, a potem często jeszcze zatrzymywał się po drodze prawie w każdej gospodzie. Zazwyczaj wracał do domu w stanie nie pozwalającym mu na pokonanie schodów bez pomocy. W tej sytuacji nie powinien dziwić fakt, że Leala napisała do Alainy list, prosząc, by dziewczyna wróciła i zamieszkała z nimi. Alaina zwlekała z decyzją kilka tygodni. Zupełnie nie miała na to ochoty, bo dom Craighughów budził w niej zbyt wiele wspomnień, w większości złych. Choć rozumiała osamotnienie ciotki i szczerze jej współczuła, dopiero gdy ta przyszła do niej do szpitala, błagając ze łzami, dziewczyna ustąpiła i zgodziła się na powrót.

Od razu stało się oczywiste, że Leala oczekuje od Alainy, by zastąpiła jej córkę. Wciąż ją namawiała na kupno nowych ubrań i dodatków, by jej wygląd nie odbiegał od statusu rodziny. Zaproponowała nawet, by Alaina zagospodarowała dla siebie dawny pokój Roberty, a odmowa młodej kobiety stanowiła dla niej szok. Czasem przez

pomyłkę nazywała swą kuzynkę Roberta, co tylko umacniało wewnętrzny sprzeciw Alainy. W końcu dziewczyna doszła do wniosku, że musi ją przywołać do rzeczywistości, zanim jej urojenia przybiorą rozmiary obsesji. Zwróciła się do ciotki z troską, lecz zdecydowanie:

- Ciociu Lealo, mieszkam tutaj, żeby zrobić cioci przyjemność, ale ja nie jestem Roberta. Nie mogę jej zastąpić i nigdy nią nie będę.

Leala splotła nerwowo ręce i łzy napłynęły jej do oczu. Zmieszana, unikając wzroku Alainy, powiedziała:

- Przepraszam cię, dziecko. Nie miałam zamiaru robić z ciebie własnej córki. Ale w ten sposób łatwiej mi było zapomnieć...

- Wiem - westchnęła Alaina. - Kocham cię, ciociu, i rozumiem to. Lecz pamiętaj, że ja jestem inną osobą. Gościem na jakiś czas. Nic więcej.

Po tej rozmowie czoło Leali zaczęło się stopniowo rozjaśniać. Powoli wychodziła z depresji. Jakby wreszcie przyjęła do wiadomości tę stratę i potrafiła ją znieść.

Nie dało się tego samego powiedzieć o wuju Angusie. Najdłużej jak mógł przebywał poza domem, jakby drażnił go sam widok siostrzenicy. Wraz z ogólnym rozkwitem handlu i jego interesy szły doskonale, a on sam rzucił się w wir pracy, by zarabiać wciąż więcej i więcej pieniędzy.

Pojawienie się Alainy w domu wujostwa stwarzało dla dziewczyny kolejne niebezpieczeństwo. Uświadomiła je sobie pewnego lipcowego rana, gdy skręciła z alejki prowadzącej do Craighughów. Prawie całą ulicę blokowało wielkie lando. Zwolniła, żeby je wyminąć, i ku swemu zdumieniu ujrzała wysiadającego zeń Jaques'a DuBonnégo. Podszedł do niej z pyszałkowatym uśmiechem i stanął butem na stopniu jej powozu. Z jego wyglądu biła pewność siebie i bogactwo. Ubrany był w znacznie lepszym guście niż kiedyś, bardziej przypominał zamożnego dżentelmena niż prowincjonalnego zabijakę.

- Dzień dohby pani - zsalutował uprzejmie. - Miło mi panią znowu spotkać. Już niemal sthaciłem nadzieję na znalezienie pani, choć wysyłałem swoich ludzi na poszukiwanie wdowy. Jak widzę, pani już nie nosi żałoby.

- Monsieur DuBonné, nie powinien się pan tak interesować moją osobą. Nie lubię pana i wcale nie pragnę tego zmieniać. A teraz, jeśli pan pozwoli, pojedę dalej. - Uniosła lejce, żeby ponaglić konie, lecz Jacques złapał ją za rękę. Z lekką odrazą popatrzyła na krótkie, spłaszczone palce i podniosła wzrok na wlepione w nią błyszczące czarne oczka. - Czy ma pan do mnie jeszcze jakąś sprawę?

Patrząc jej w oczy, trzymał szczupły przegub dłoni.

- Nie uszło też mej uwagi, że pani dohoczycia wyjechał z miasta.

- A któż to taki? - Uniosła brwi.

Jacques posłał jej zblazowany uśmiech.

- Monsieur doktoł Latimeh, o nim mówię. - Pogłaskał ją palcami po ramieniu. - Tehaz nie ma kto się panią opiekować, więc może ja mógłbym zaofiarować swoją opiekę.

- Miło z pana strony - uśmiechnęła się cierpko - ale nie widzę takiej potrzeby.

Jacques zaśmiał się, z rozbawienia odrzucając głowę do tyłu.

- Och, ale pani nie hozumie. Jeśli nie skorzysta pani z mojej opieki, nie zazna pani spokoju ani w dzień, ani w nocy.

- Czy pan mnie straszy?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Nie chciałbym pani sthaszyć, mademoiselle. Bahdziej bym wolał odpędzić od pani sthachy...

- Jakim kosztem? - zapytała wprost.

Lubieżnie zsunął dłoń na jej kolano.

- Chciałbym zostać pani bliskim przyjacielem, mademoiselle.

Alaina spiorunowała go wzrokiem.

- Proszę zabrać ręce.

Odpowiedział jej śmiech, a ręka Jacques'a powędrowała w górę jej uda. Jednak już po chwili wyrosła mu przed nosem lufa pistoletu, który Alaina wyjęła z torebki. Nie musiała drugi raz powtarzać. Ostrożnie zabrał rękę z jej nogi i odsunął się do tyłu. Wtedy dziewczyna szarpnęła lejcami i powóz ruszył gwałtownie, omal nie przejeżdżając mu po czubkach butów. Stał jak zamurowany na środku ulicy, patrząc na oddalający się błyskawicznie pojazd.

Zza landa wyszedł wielki Murzyn, wdrapał się na kozioł i podjechał do swego pracodawcy.

- Ten chłopak - dziewczyna ze szpitala?!

Rozbiegany wzrok Francuza zatrzymał się na czarnoskórym.

- Co masz na myśli?

Szerokie ramiona uniosły się.

- Jest podobna do tego dziewczynskiego chłopca w szpitalu.

- Tego, co wylał na mnie wiadho wody?

- Tak... tej chlopcodziewczyny. - Poklepał się po torsie. - Pod kurtką - dziewczyna, kobieta. Podniosłem ją - miękka jak kobieta.

Jacques zrozumiał.

- Ta sama chlopcodziewczyna, któha w nas celowała pistoletem u pani Hawthohne?

Murzyn żywo potwierdził.

- Rozumiem! - Jacques w zadumie wsiadł do landa i dał znak, by jechali. Po co młoda kobieta udawała chłopaka - myślał. Chyba po to, żeby coś ukryć. Ale co? Jak się tego dowiedzieć?

Angus Craighugh podniósł się bez entuzjazmu od swego kantorka, gdy do sklepu wszedł zamożnie odziany mężczyzna, a za nim potężny Murzyn, posturą przypominający Saula.

- Czym mogę służyć? - spytał grzecznie, wychodząc im naprzeciw.

Jacques DuBonné uśmiechnął się z wyższością i pogładził zwój jedwabiu leżący na ladzie.

- W bahdzo dohym guście, monsieur.

- Interesują pana materiały? Właśnie otrzymałem dostawę rzadkich i pięknych jedwabi ze Wschodu.

- Ach, co za zbieg okoliczności!

- Zbieg okoliczności? Z czym?

- Z tego, co wiem, w zatoce przechwycono okhęt ze Wschodu, zagahnięto towah, a sam okhęt zatopiono whaz z załogą.

- A cóż to ma do tego jedwabiu, drogi panie?

- Na towah składały się jedwabie i kość słoniowa ohaz najrzadsze dywany, takie jak ma pan tutaj. - Jacques wskazał na dywan rozpięty na ścianie.

- Zapewniam pana - Angus poczerwieniał na tę insynuację - że sownie zapłaciłem za te artykuły, a jeśli je skradziono, to nie moja wina.

Jacques roześmiał się cynicznie.

- W obecnych czasach, gdy wszędzie są wysokie ceny i pełno kombinatów, trudno o dobry interes, prawda? Tylko wyjątkowo uczeni nie skuszą się na taką okazję. Człowiek jest wdzięczny, że mógł zahabić, i nie bawi się w sprawdzanie swych dostawców.

- Co pan mi tu sugeruje? - pytał oburzony Angus.

- Sądzę, że musi pan sobie zdawać sprawę z pewnej nieuczciwości, ale woli pan przemykać oczy w nadziei na wypchanie sobie kieszeni.

- To niedorzeczność! - Angus protestował zaciekle przeciwko podejrzewaniu go o nieuczciwość. Jest trochę oszczędny, to prawda, ale nie jest złodziejem. - A dlaczego pan się tak interesuje tą sprawą? - grzmiał. - Czy to był pana okręt?

- Powiedzmy sobie, monsieur, że Jacques DuBonné wie o pewnych rzeczach i interesuje go, co się dzieje w mieście. - Z tajemniczym gestem ręki popatrzył za siebie. - Nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć. Poza to, na przykład. Albo napad wandalów - zatrzęsł się. - Mam tu wielu przyjaciół. Niektórym mogę zapewnić protekcję, bo zdobyłem w tym mieście wysoką pozycję. Słowo tu i ówdzie może powstrzymać władzę od wtykania nosa w nie swoje sprawy. A czasem drobna informacja wystarczy, by wymierzono sprawiedliwość.

- Pan mnie szantażuje? - zapytał z niepokojem Angus.

Jacques zachichotał.

- Ależ nie, monsieur. Nigdy bym się nie ośmielił uhażać człowieka tak poważnego jak pan. Chciałem tylko spytać o pewną młodą damę mieszkającą w waszym domu. Czy to pańska hodzina, monsieur?

Angus spochmurniał i poczerwieniał na twarzy.

- Nie, nie rodzina - odparł ostro. - Tylko gość w moim domu, na jakiś czas.

- Wiem, że przez jakiś czas jej nie było. Dokąd wyjechała?

- Skoro pan wszystko wie, drogi panie, proszę zasięgać informacji u swoich przyjaciół. Ja nie mam czasu, by odpowiadać na pańskie pytania.

- Jak pan sobie życzy, monsieur. *Au revoir!*

Następnego dnia Angus wpadł do domu jak burza, wściekły, bo do sklepu przyszło dwóch oficerów jankeskich i oglądali materiały. W kolejnych dniach też nie zaznał spokoju. Zawsze jakiś oficer krążył koło sklepu lub wstępował o różnych dziwnych porach po prymkę tytoniu lub inne głupstwo. Craighughowie zauważyli też, że ich dom jest obserwowany. Kiedy Alaina była w domu, zwykle kręcił się w pobliżu jakiś mężczyzna i nie kryjąc się wcale, stał oparty o drzewo, siedział na koniu lub w powozie. Znowu Saul zaczął ją chronić. Pracując nadal w sklepie Angusa, jeździł z nią powozem wszędzie, gdzie potrzebowała.

Jacques nie zrezygnował ze swych załatwień. Odwiedził Alainę w szpitalu, akurat gdy była sama w pokoju rekreacyjnym.

- Nie ucieknie mi pani, mademoiselle Hawthorne - zaśmiał się dufnie, gdy dostrzegła go stojącego w drzwiach. - Wiem, gdzie pani pracuje i mieszka. Wiem o pani spohu.

- Doprawdy? - Nie okazała wielkiego zainteresowania i kontynuowała odkurzenie.

- Wiem, że pani tu pracowała jako chłopiec, ten, który oblał mnie wodą.

Alaina nie podnosiła oczu znad wycieranego stołu.

- Zwykły psikus, nic więcej.

- Chciałbym zwrócić pani uwagę, mademoiselle, że stałem się człowiekiem o dużych wpływach i znaczeniu - oznajmił, jakby chciał ją przekonać co do ważności swej osoby. - Zdobyłem majątek i wszędzie uchodzę za dżentelmena.

Alaina nie odezwała się na to ani słowem. Zauważyła już, że mówił teraz mieszaniną angielskiego z akcentem południowym i francuszczyzny, a w ubiorze naśladował arystokratę.

- Mój służący pochodzi z jednej z najlepszych hodzin w mieście. Nauczył mnie manier dżentelmena. Zapewnię pani khólewskie życie w tym mieście w moim towarzystwie.

Alaina patrzyła na niego spokojnie, z uśmiechem.

- Niemożliwe, proszę pana. Jeszcze ja musiałabym się zgodzić, żeby panu gdziekolwiek towarzyszyć, a nie mam takiego zamiaru. Chyba nie może pan zrozumieć, że jestem zadowolona z życia bez pana towarzystwa. A teraz żegnam pana.

- Nie tak szybko, mademoiselle. - Roześmiał się arogancko i podszedł bliżej.

Obserwowała go uważnie, gdy stanął tuż przy niej. Wyciągnął rękę i ujął ją pod brodę, zwracając twarz Alainy ku sobie. Patrzył jej prosto w oczy. Gdy próbowała się odwrócić, zacisnął mocniej dłoń.

- Gdybym miał taki kaphys, mógłbym panią wziąć tu w tej chwili. Nic by mnie nie powstrzymało. Ale ja proponuję pani coś lepszego. Żeby pani pełniła rolę mej damy do towarzystwa, a czasem tylko we dwoje. Ubiorę panią w dżogie suknie i wszystkie kobiety w mieście będą pani zazdrościć...

- Mam być pana kochanką? - Roześmiała się serdecznie. - Pan chyba śni.

Złapał ją brutalnie za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Nigdy się ze mnie nie śmieję, mademoiselle - rzucił dawnym dialektem Cajunów. - Możesz tego pożałować. Taka ładna i delikatna twarzyczka jak twoja nie lubi pięści.

- Proszę pana, ja nie będę niczyją kochanką - syknęła ze złością, patrząc prosto w jego ciemne oczy.

- Mam sposoby, żeby cię przekonać - odciął się drwiąco.

Alaina zadrżała na tak wyraźną groźbę i znów spróbowała się odwrócić od spojrzenia tych płonących czernią, świdrujących oczu. Wówczas zza ramienia Jacques'a zobaczyła w drzwiach znajomą sylwetkę doktora Brooksa. Wszedł, głośno odchrząkując, na co Jacques odwrócił głowę.

- Czy wszystko w porządku, panno Hawthorne? - zapytał doktor.

- Nie powinien pan wchodzić bez uprzedzenia, stahusku - rzucił gniewnie Jacques.

Doktor Brooks zmierzył go surowym spojrzeniem.

- A pan nie powinien się kręcić po moim szpitalu, zaczepiając i strasząc bezbronne dziewczęta. Proszę stąd wyjść, zanim wezwę szeryfa, i więcej się tu nie pokazywać.

- Pan ghozi Jacques'owi DuBonnému? - obruszył się zuchwalec. - Pokhoję pana na kawałki i rzucę aligatohom, monsieur. Nikt nie mówi Jacques'owi, co ma hobić.

- A ja skrzyknę mieszkańców tego miasta i zapolujemy na szczura, jeśli jeszcze raz złapię pana na napastowaniu tej młodej damy.

Jacques'owi ze wzburzenia aż chodziły nozdrza, ale widział, że starszy pan nie żartuje.

- Wyjdę, ale nie dlatego, że pan mi każe. - Odwrócił się i szyderczo oznajmił Alainie: - Zapewniam panią,

mademoiselle, że między nami jeszcze nie skończone.

Alaina patrzyła za odchodzącym Francuzem. Po dłuższej chwili spojrzała na doktora.

- Obawiam się, że pan DuBonné jest odrobinę zbyt gorliwy w swych zapalach względem mojej osoby. - Usiłowała, by to, co mówi, zabrzmiało beztrąsko, ale głos jej drżał z przejęcia. Zaraz też przyznała: - Myślę, że on stanowi dla mnie zagrożenie, którego mogę nie być w stanie odeprzeć. Już i tak Saul odwozi mnie do pracy i z pracy. Nigdy nie wychodzę z domu sama, zawsze z Saulem lub Jedediahem. Ale kto wie, co ten człowiek knuje. A jeśli to sprawa jego dumy, nie spocznie, póki jej nie zaspokoi.

Mniej więcej w tym czasie Angus wpadł w kolejne kłopoty. Musiał oficjalnie zaprzeczyć, jakoby miał jakiś udział w napadzie na jankeski konwój z pieniędzmi razem z rozbójniczką Alaina MacGaren. Na kilku banknotach, które zdeponował w banku, odkryto bowiem numery seryjne skradzionych wówczas pieniędzy. Natychmiast w sklepie pojawiły się całe zastępy jankeskich urzędników, żeby przesłuchać go na tę okoliczność. Powiedział im, że przyjął te banknoty jako zapłatę za sprzedany towar. Jankesi nie mogli mu udowodnić niczego innego, więc poniechali dochodzenia. Po ich wizycie Angus usiadł przy kantorku i wpatrywał się w plik listów, które otrzymał od Roberty tuż przed jej śmiercią. Tylne drzwi uchyliły się. Zajrzał Saul i oznajmił, że jedzie po Alainę.

- Czy mam coś jeszcze zrobić, panie Angusie?

Angus głęboko odetchnął.

- Nie, Saulu. Możesz jechać.

Drzwi zamknęły się cicho za czarnym wielkoludem. Po dłuższej chwili Angus zebrał się w sobie i sięgnął po listy. Otworzył drugą kopertę od góry i rozłożył list. Obejrzał znajdujące się w nim banknoty, pozostałą część tych, z których kilka, niczego nie świadom, zaniósł do banku. Były zupełnie nowe, nie używane. W jednym liście było przynajmniej dwa tysiące dolarów. Zbliżone sumy znajdowały się w pozostałych listach. Razem dawało to prawie dwadzieścia tysięcy nowiutkich jankeskich dolarów. Skąd wzięła je jego córka, nie wiedział. Pisała tylko, żeby je trzymał do czasu, aż wróci do domu.

Ktoś zapukał do tylnych drzwi sklepu. Angus szybko odłożył pieniądze i głośno zaprosił do środka. Wszedł doktor Brooks z Tally Hawthorne. Angus wstał na ich powitanie i podał starszej pani krzesło.

- Chcieliśmy z tobą porozmawiać o Alainie - zagaiła Tally.

Angus skrzywił się.

- Nie wiem, dlaczego akurat ze mną. Co mnie obchodzi ta dziewczyna?

- Jest twoją siostrzenicą - przypomniała mu śmiało kobieta.

- Ostatnio próbowałem raczej o tym zapomnieć.

- Angusie! Jak możesz! To takie drogie, słodkie dziecko! - zgaśniła go Tally.

- Nie tak drogie jak moja Roberta - oświadczył z goryczą Angus. - Odkąd ją przygarnąłem pod swój dach, mam ciągle kłopoty. A ona prześladowuje mnie wciąż swoją obecnością. Modłę się, żeby mnie od siebie uwolniła. Jestem stary i zmęczony.

- Czy słyszał pan o Jacques'u DuBonném i jego groźbach wobec niej? - zapytał niecierpliwie doktor Brooks.

- Jego groźby wobec niej! Mój Boże, to jego groźby wobec mnie odbierają mi spokój. Każdego dnia boję się, czy nie podłoży ognia pod mój sklep albo dom, lub nie spowoduje jakiegoś innego nieszczęścia w mojej rodzinie. Mam się martwić o Alainę, kiedy sam mam problemy z panem DuBonném?

- Zajęłam się już tą sprawą i napisałam o tym do Cole'a - poinformowała go władcym tonem Tally.

- Do Cole'a? Tego łotra...?

- Angusie! - przerwała mu Tally. - Uważaj, co mówisz!

- Ten Jankes zabił moją córkę! - warknął Angus.

- Nie bądź śmieszny! To nie była wina Cole'a - oświadczyła Tally.

- Zrobił jej dziecko! - wykrzyknął Angus.

- Angusie, lepiej posłuchaj, co Tally próbuje ci powiedzieć - wtrącił doktor Brooks. - Cole odpowiedział na jej list i może to oznaczać także rozwiązanie twoich problemów.

- Nie interesują mnie żadne propozycje tego Jankesa - odzęgnął się Angus.

- Poprosił o rękę Alainy - oznajmiła spokojnie Tally.

- Co?! - Angusowi oczy o mało nie wyszły z orbit.

Staruszka potwierdziła skinieniem głowy i ciągnęła niewzruszenie:

- Cole zgadza się, że trzeba Alainę wydostać z Nowego Orleanu, i proponuje właśnie takie rozwiązanie.

- Nigdy! Przenigdy! - krzyczał Angus, wymachując pięścią. - Pierwej go ujrzę w piekle!

- Z pewnością będziesz już na niego czekał, gdyby tam przypadkiem zabłądził - zauważyła kąśliwie Tally.

Wysuwając pogardliwie szczękę, Angus napadł na nią:

- Tally Hawthorne, ty przysłaś mnie osądzać, ty, która świetnie się miałaś, trzymając z obiema stronami, i z jankeską, i z rebeliancką?

Skwitowała to łagodnym uśmiechem.

- Angusie, nikt mnie nie pytał, co myślę. Ani twoi konfederaccy przyjaciele, ani Jankesi, więc trzymałam swoje myśli dla siebie. Nikt też mnie nie nachodził, z wyjątkiem pana DuBonnégo. Nie przysłałam tu nikogo osądzać, lecz jako jedynego krewnego Alainy poprosić cię o zgodę na to małżeństwo. W tym mieście jest dla niej bardzo niebezpiecznie, ponieważ DuBonné uparł się, żeby została jego metresą. Nie możesz do tego dopuścić, jeśli masz jakieś sumienie.

- Zostawcie mnie! - grzmiał Angus. - Nie mogę już tego słuchać! Wynoście się oboje!

- Dobrze, Angusie. - Tally wstała, wzdychając. - Ale muszę cię ostrzec, że jeśli w szybkim czasie nie zmienisz zdania, możesz tego żałować do końca życia.

- Czy Alaina wie o tych oświadczeniach? - zapytał Angus.

- Najpierw chcieliśmy porozmawiać z tobą - wyjaśnił doktor Brooks.

- Nic jej o tym nie mówcie! - nalegał Angus.

- Damy ci trochę czasu na zastanowienie - postanowiła Tally. - A potem zobaczymy...

Wyszli, nie mówiąc nic więcej. Gdy zamknęli za sobą drzwi, Angus został sam. Miotał się niespokojnie w ciemnościach sklepu, z nienawiścią myśląc o tym, że miałby się przyczynić do zaspokojenia osobistych pragnień Cole'a. Wiedział jednak, że Jacques DuBonné szykuje jakąś straszną pułapkę. Jeśli dowie się, że jego kuzynka to Alaina MacGaren, przyjdzie im srogo zapłacić. Angus był mocno zafrasowany. Co miał robić? Z jednej strony pragnął zemsty na człowieku, który zabrał mu córkę, a z drugiej, nie zgadzając się na to małżeństwo, narażał również i siebie.

Przypomniały mu się dawne podejrzenia Leali, które odrzucał jako nieprawdopodobne. Roberta przecież nie zrobiłaby nikomu takiego draństwa. Ale jeśli Cole i Alaina rzeczywiście mieli się ku sobie, a on teraz się zgodzi na małżeństwo, Jankes będzie zadowolony, że wreszcie ma ją za żonę... O ile się ich jakoś sprytnie nie rozdzieli.

Angus przestał spacerować i wpatrując się ponuro w czubki butów, gorączkowo myślał, jak to wszystko przeprowadzić. Co ma zrobić?! Co ma zrobić?!

Miasto zalały sierpniowe upały, tak bezlitosne, że jedynie chłodniejsze powietrze wieczoru dawało nieco wytchnienia. Alaina siedziała sama na krużganku domu wujostwa i patrzyła w ciemne, usiane gwiazdami niebo. Ogarnął ją melancholijny nastrój. Było już dawno po kolacji. Wuj Angus wrócił dziś do domu wyjątkowo wcześniej, trzeźwiejszy niż zazwyczaj. Co najmniej od tygodnia Jacques nie pojawiał się w sklepie, ale ta nieobecność przypominała raczej ciszę przed burzą. Wszyscy czekali w napięciu, co będzie dalej.

Drzwi domu zaskrzypiały i na krużganek wyszedł wujek. Podszedł do huśtawki, na której siedziała Alaina, i usiadł na pobliskim krześle. Odkasznął i najwidoczniej chciał coś powiedzieć, ale minęła długa chwila, zanim się odezwał:

- Napisałem do Cole'a i poprosiłem go o pomoc w rozwiązaniu twoich kłopotów z Jacques'em. - Angus znów musiał odkasznąć. - Zaproponował, żebyś przyjechała na północ i zatrzymała się w jego domu do czasu, aż niebezpieczeństwo minie. Oczywiście, zwróciłem mu uwagę, że taki układ mógłby bardzo nadszarpnąć twoją reputację. Zasugerowałem więc małżeństwo jako wyjście z sytuacji. Zgodził się wstępnie, ale pod warunkiem... uhm...

Alaina zdrewniała w oczekiwaniu, nie czując się szczególnie wyróżniona takim postawieniem sprawy. Uczucie to pogłębiło się jeszcze, gdy wysłuchiwała dalszej części przemowy.

- Cole zgodził się pod warunkiem, że małżeństwo to będzie tymczasowe i jedynie tytularne, zawarte z rozsądku i zostanie anulowane, gdy tylko rozwiążesz swoje problemy.

- Ach tak! - odparła dziewczyna sucho. Czowała się bardziej zraniona i upokorzona, niż była skłonna to okazać.

Angus przekonywał ją spiesznie, zanim zdążyła wyrazić niezadowolenie.

- Nie widzę dla ciebie innego wyjścia, Alaino. Ani dla siebie. Jacques DuBonné zaczyna być dla nas obojga zbyt niebezpieczny. Jeśli się dowie, że jesteś Alaina MacGaren, nie będzie dla ciebie ratunku. A jako żona emerytowanego oficera jankeskiego i w dodatku bohatera, będziesz względnie bezpieczna. Chroniona nazwiskiem Cole'a, możesz bez żadnych podejrzeń wyjechać z miasta i Jacques nie odważy się temu przeszkodzić.

- Dziękuję ci, wujku, za troskę, ale wolałabym nie sprawiać kłopotu majorowi Latimerowi. Mogę wyjechać z miasta i bez jego pomocy.

- Nie możesz nawet wyjść z domu, żeby nie ciągnąć za sobą szpiegów Jacques'a. Ten człowiek nie pozwoli ci uciec. Zna twoje przebrania i z pewnością uczulił na nie swych ludzi. Dopóki mieszkasz tu z nami, prawdopodobnie ma nadzieję zdobyć cię bardziej pokojowymi sposobami...

- Pokojowymi! - oburzyła się Alaina. - Wuj nazywa je pokojowymi?!

- Jacques słynie ze znacznie większej brutalności. Gdyby miał w zanadru jakiś poważniejszy zarzut przeciwko nam, natychmiast zgłosiłby się tu po ciebie. Na razie tylko bada grunt, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, żeby nas zastraszyć. Dopóki go nie ma, boi się władz miasta tak samo jak my. Nie sądzę, żeby to był uczciwy człowiek.

- Nie będę ciężarem dla żadnego mężczyzny i nie przyjmę takiej jałmużny od majora Latimera - upierała się dziewczyna.

- Jeżeli nie chcesz pomyśleć o sobie, pomyśl, na co możesz narazić swoją ciotkę - przekonywał ją Angus.

- Jeśli wujek sobie tego życzy, wyprowadzę się! Nie muszę tu mieszkać!

- I dokąd pójdiesz? Z powrotem do pani Hawthorne? Do doktora Brooksa? Narazić ich na niebezpieczeństwo?

Alaina zerwała się wzburzona, lecz Angus uniósł rękę w geście powstrzymującym ją od wybuchu.

- Zastanów się nad tym. Tyle możesz dla nas zrobić.

Alaina wbiegła roztrzęsiona do domu. Czuła się zraniona i upokorzona tak ewidentnym odrzuceniem przez jedynego mężczyznę, o którym marzyła. W ciszy, jaka zapadła po odejściu dziewczyny, teraz Angus wpatrywał się w ciemność nocy. Skoro już zaczął działać, nie pozwolił tak łatwo zbić się z tropu. Choć sama myśl o tym napawała go wstrętem, poprosił nawet Tally i doktora Brooksa o pomoc w przekonaniu Alainy, że małżeństwo z Cole'em jest jedynym ratunkiem dla jej wolności. Zanim jego siostrzenica dotrze do Minnesoty, będzie już tak rozżalona na Cole'a Latimera, że tym dwojgu nic już nie pomoże.

Następnego dnia po południu Alaina otrzymała wiadomość, że doktor Brooks czeka na nią w swym gabinecie. Do tej pory takie wezwanie zawsze oznaczało dla niej złe wieści. Cóż za katastrofa wydarzyła się tym razem? - myślała Alaina, idąc do niego. Gdy weszła, doktor wstał i zamknął za nią drzwi. Wtedy zauważyła siedzącą w rogu przy drzwiach panią Hawthorne. Wyniosłe wyprostowana, w szerokim kapeluszu z sięgającą za brodę woalką wyglądała majestatycznie jak królowa. Obie dłonie oparła na rączce stojącej z przodu parasolki. Uśmiechnęła się serdecznie i kiwnęła siwą głową na powitanie. Alaina spojrzała ze zdziwieniem na doktora Brooksa, zasiadającego z powrotem na swym miejscu. Doktor oparł się wygodnie i bawiąc się skalpelem leżącym na biurku, obserwował Alainę znad okularów. Dziewczyna patrzyła to na niego, to na staruszkę i dostrzegając w ich twarzach oznaki niezadowolenia, czuła coraz większe zmieszanie.

- Czy zrobiłam coś złego? - zapytała niepewnie, nie mogąc dłużej znieść pełnej napięcia ciszy.

Pani Hawthorne spuściła wzrok na chwilę i bawiąc się rączką parasolki, rzekła:

- Nie złego, Alaino, lecz bardzo niemądrego.

Alaina opadła na krzesło oniemiała. Spojrzała na doktora Brooksa, lecz ten patrzył przed siebie w zamyśleniu i na potwierdzenie tylko lekko kiwał głową.

Dziewczyna była zdruzgotana krytyką ze strony dwojga swych najlepszych przyjaciół i dobroczyńców, zupełnie nie znając jej przyczyny. Spojrzała na swoje roztrzęsione ręce i zacisnęła je mocno na kolanach. Głęboko zaczerpnęła tchu, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Ja... nie wiem, co wam się nie podoba - wyszeptała.

Pani Hawthorne spojrzała na doktora, a ten kiwnął, żeby mówiła.

- Doktor Brooks i ja - zaczęła łamiącym się głosem - zadaliśmy sobie wiele trudu, by zorganizować dla ciebie bezpieczny wyjazd z Luizjany. Przynajmniej do czasu, aż sprawy się nieco uspokoją. Musieliśmy niemal siłą zmusić Angusa do współpracy i pomocy. A teraz dowiadujemy się, że bezwzględnie odrzuciłaś całą propozycję.

Alaina patrzyła na nią zdumiona.

- To pani i doktor Brooks... ale wuj Angus powiedział, że to on... - była coraz bardziej zdezorientowana.

- Ba! - rzuciła pani Hawthorne. - Skądinąd inteligentny, Angus Craighugh nie ma żadnego wycucia w delikatnych sprawach.

Rozbawiony tą rzeczową oceną, doktor Brooks wtrącił z lekką naganą.

- Ależ, Tally, bądź sprawiedliwa. - Popatrzył na Alainę i przybrał nieco mentorski ton. - Angus przecież

informował nas o swych kilku listach do Cole'a i otrzymanych od niego propozycjach. Zdaje mi się, Alaino, że twoja odmowa była zbyt emocjonalna. Możemy to wprawdzie zrozumieć, ale chcielibyśmy poprosić cię o ponowne rozważenie tej sprawy.

- Nieprawda! - zawołała Alaina, czując się odrobinę urażona surowym osądem doktora. - Nie byłam zagniewana. Wysłuchałam wszystkich argumentów wuja Angusa i po prostu nie zgadzam się z tym, że muszę uciekać aż przez pół kraju, by tutejsze sprawy przygasły.

Doktor Brooks pochylił się i zaczął pukać skalpelem o suszkę do papieru.

- Nie jestem pewien, Alaino, czy do końca zdajesz sobie sprawę, w jak groźnym jesteś położeniu. Jacques zdobył wystarczająco dużo wpływów w mieście, by stać się niebezpieczny, a my wiemy, jaki jest zawzięty. Nie daruje ci. Będzie czekał na sprzyjający moment i wtedy zaatakuje, a ty możesz się znaleźć w wielkich tarapatach. Nie podejrzewam, żeby Angus zaszedł w swych argumentach aż tak daleko. On sam da sobie radę z oskarżeniami Jacques'a, ponieważ uczciwie prowadzi swoje interesy i z pewnością może to udowodnić. Ale jeśli wyda się, jakie jest twoje prawdziwe nazwisko, i Angus, i Leala będą odpowiadać przed sądem za ukrywanie osoby ściganej zarówno przez Północ, jak i przez Południe za czyny kryminalne. Grozi im więzienie i pozbawienie majątku. A jeśli cała twoja historia wyjdzie na jaw, nawet Tally i ja możemy być pociągnięci do odpowiedzialności. Natomiast gdyby Alaina MacGaren na jakiś czas zniknęła, nie będzie żadnego dowodu na to, że kiedykolwiek mieszkała z nami. Jeśli wyjedziesz, będzie czas, żeby zrobić dochodzenie i obalić wysunięte przeciwko tobie fałszywe oskarżenia. To absolutnie konieczne, żebyś szybko wyjechała. Ale dokąd? Z powrotem do domu? Tam możesz się tylko ukryć na bagnach i mieć nadzieję, że Gillettowie lub ktoś inny cię nie wywęszą. Jeśli cię wysłemy do jakiegoś odległego miasta, jak tam dojedziesz i jak będziesz żyła? Oczywiście, nie możesz się przedstawiać jako Alaina MacGaren. Każdy kapitan statku rzeczno- i każdy szeryf będzie patrzył podejrzliwie na samotnie podróżującą młodą kobietę. Ale gdybyś podróżowała jako narzeczona szanowanego lekarza, bohatera wojennego, nikt cię nie będzie podejrzewał. Jako pani Latimer będziesz mogła żyć w odległym stanie, z dala od Jacques'a i od podejrzliwych sędziów, żyć w wolności, cieszyć się spokojnym i godnym życiem.

Doktor Brooks przerwał, a Alaina zatopiła się w myślach, poszukując jakiegoś rozsądnego kontrargumentu. Tymczasem pałeczkę przejęła pani Hawthorne.

- Jesteś nam bardzo droga, Alaino - zaczęła. - Nie chcielibyśmy dla ciebie żadnych nieszczęść i tortur. Ale musisz zrozumieć, że w tej chwili jesteś dla nas wszystkich wielkim zmartwieniem. Chcielibyśmy być z tobą, lecz bardzo się obawiamy, że możemy cię stracić przez jakiś drobny błąd. Gdybyś była daleko i bezpieczna, my moglibyśmy się w razie czego obronić, jak również lepiej obronić ciebie i dojsć twoich krzywd. Major Latimer zapewnił nas listownie, że rozumie całą sytuację, a także stwierdził - pani Hawthorne złożyła wargi w znaczącym uśmiechu - że szczerze wątpi, czy tobie wystarczy mądrości, by zaakceptować ten plan. Pisze tak... - Pogrzebała w torebce i wyciągnęła list. Przerzuciła go szybko wzrokiem. - O, tu jest. - Podniosła papier i czytała: - *Ma ona talent do robienia głupstw i ściągania na siebie kłopotów przekraczających wszelki zdrowy rozsądek. Jeszcze raz ponawiam swą propozycję i życzę Państwu powodzenia w przekonywaniu jej, choć wątpię, czy coś z tego wyjdzie. Z niecierpliwością oczekuję na odpowiedź.*

Pani Hawthorne złożyła list i schowała go. Alaina opuściła zapłloną twarz. Doktor Brooks i pani Hawthorne wymienili błyskawiczne spojrzenia i skinienia głów. Patrzyli teraz na dziewczynę i czekali na jej reakcję.

Umysł Alainy mიაł się w chaosie myśli. „Przekraczających wszelki zdrowy rozsądek!” Skończony jankeski

idiota! Wyobrażała sobie jego szeroki uśmiech nad mosiężnymi guzami munduru. To nadęty pyszałek! Lituje się nade mną i chce odgrywać rolę wybawcy, ale za prawdziwą żonę mnie nie chce.

Siedziała sztywno i wyniośle, a serce jej twardniało jak stal. Dobrze, więc i ja nie chcę go za męża!

Ale wszystkie usłyszane argumenty rozbrzmiewały jej bez końca w uszach i powoli jej opór miękł. Zmartwienie! Groźne położenie! Tarapaty! Niemądra odmowa! I jeszcze to jedno słowo, którego nikt nie wypowiedział: „Niechciana!”

Wyprostowała ramiona i powiedziała słabym głosem:

- Dobrze. Pojadę. Poślubię go. Zostanę tam, dopóki będę tu dla kogokolwiek niebezpieczna... ale tylko tyle.

Staruszkowie uśmiechnęli się z ulgą. Pierwszy etap skrzętnie opracowanego planu został przeprowadzony. Jednak wkrótce dziewczyna wymknie im się z rąk i realizacja dalszej jego części pozostanie już w rękach opatrności.

25

Jacques DuBonné od czasu do czasu pożyczał pieniądze na wysoki procent. Mało przy tym ryzykował, jako zabezpieczenia żądał bowiem zawsze majątku o znacznie większej wartości niż pożyczone pieniądze. W takiej właśnie roli lichwiarza pewnego pogodnego poranka wrześnieowego wszedł do kupca naprzeciwko sklepu Angusa Craighugha i udał się prosto do właściciela.

- Monsieur, bardzo pan zalega z płatnościami. Jacques DuBonné nie ma dużo ciekliwości w sphawach pieniędzy. Albo pan spłaci dług, albo odbioję panu sklep. Hozumie pan?

- To oczywiste, że miał pan taki zamiar od samego początku - zarzucił mu kupiec. - Widziałem, jak często pan zaglądał naprzeciwko do Angusa Craighugha. Pewnie pan mu organizował pieniądze i towar, żeby mógł obniżyć ceny i przyciągnąć wszystkich moich klientów. I to dla wuja tej zdrabczyni Alainy MacGaren. A kiedy ja, uczciwy człowiek, mam akurat przejściowe trudności, chce pan to zaraz wykorzystać.

- *Pardon*, monsieur. Co pan powiedział?

- Powiedziałem, że pan to od początku planował!

- *Non! Non!* To o Alainie MacGahen.

Kupiec spojrział z wściekłością i nienawiścią.

- Każdy, kto go zna, wie, że Angus Craighugh jest wujem tej przestępczyni!

Jacques niedbale poprawił kapelusz na głowie i popukał rzeźbioną rączką laski w tors mężczyzny.

- Ma pan czas do jutha wieczoha, żeby spłacić dług, monsieur. Na pana miejscu, chcąc zachować sklep, nie mahnowałbym ani chwili.

Wychodząc ze sklepu, Francuz rzucił przeciągłe spojrzenie na lokal Craighugha, po czym wsiadł do swego landa. Czasem warto poczekać na właściwy moment.

Miasto spowiła lekka mgła, zamazując kontury drzew i domów. Alaina z Saulem wrócili do domu o zmierzchu. Alaina poszła do tylnego wejścia, a Murzyn odprowadził bryczkę do powozowni. Gdy dziewczyna weszła do kuchni, Dulcie oderwała się od swej pracy i oznajmiła:

- W salonie jest pani Leala, moje dziecko. I jeszcze jakiś dżentelmen. Przyjechał tu aż z Minnesoty. Przysłał go pan Cole.

Alaina przyglądała wilgotne włosy.

- Dulcie, pewnie ci nikt nie raczył powiedzieć, że idę w ślady Roberta.

- Ee? - kobieta zerknęła podejrzliwie, unosząc brwi.

- Wychodzę za doktora Latimera.

Dulcie patrzyła zdumiona, a potem szepnęła:

- Rety! Czy to nie cud?

- Cud - mruknęła Alaina bez entuzjazmu. A jednak wbrew sobie samej liczyła dni do przyjazdu swego jankeskiego wybawcy. Wrzesień był już w pełni, a dotąd o nim wciąż nie było słyhać. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Pójdę zobaczyć, kto to.

Kroki Alainy rozbrzmiewały głośno, gdy szła przez dom, i rozmawiające w salonie osoby umilkły w oczekiwaniu. Kiedy weszła do środka, na jej widok podniósł się raczej niski, szczupły, modnie ubrany mężczyzna. Obok krzesła miał dużą, skórzaną walizę.

- Alaino, dziecko, to jest pan James - przedstawiła go ciocia Leala. - Adwokat przysłany przez Cole'a.

- Miło mi, panno Haw... ee... panno MacGaren. - Poprawił się sam z uprzejmym uśmiechem. - Doktor Latimer dość dokładnie objaśnił mi pani sytuację, ale obawiam się, że zapomniał mnie poinformować o pani młodości i urodzie.

- Doktor Latimer niewiele mógł dojrzeć przez warstwę brudu i sadzy - zażartowała. - Ale proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że taki uroczy mężczyzna zna doktora Latimera.

Pan James, nieco zmieszany jej zawołanymi aluzjami, wyjaśnił grzecznie:

- Już od dawna jestem związany z rodziną Latimerów. Znałem jego ojca.

- I przyjechał pan tutaj dopilnować szczegółów zawarcia małżeństwa? Ma pan kopie listów, umowy i tak dalej? - pytała Alaina poważnie, na wpół oczekując, że poda jakiś powód do odłożenia kontraktu.

- To mój główny cel i mam wszystkie niezbędne pełnomocnictwa - przytaknął i postawił przed nią walizę. - Doktor Latimer wysłał pani również ubranie na ceremonię ślubu i na podróż do Minnesoty.

- To zbyt cenne - odparła chłodno. - Mam wystarczającą wyprawę i nie zamierzam przyjmować od doktora Latimera więcej pomocy, niż potrzebuję.

Pan James zakaszłał znacząco. Naturalnie uprzedzono go o uporze i niezależności młodej kobiety, więc próbował jak potrafił załagodzić jej gniew.

- Mimo to proszę jednak przejrzeć jego prezenty. Może znajdzie tam pani coś, co się przyda.

- A kiedy przyjedzie doktor Latimer? - zapytała.

- Och, pani zdaje się nie wie dokładnie, po co ja tu przyjechałem. Jestem pełnomocnikiem doktora Latimera do zawarcia małżeństwa pod jego nieobecność.

- Chce pan powiedzieć, że ten niebieskobruchy Jankes nie mógł nawet przyjechać na swój własny ślub? - Z każdym słowem coraz bardziej podnosiła głos.

- Ostatnimi czasy doktor Latimer znajdował się raczej w niedyspozycji...

- W niedyspozycji! - zawołała rozzalona. Jej policzki i uszy oblał gorący rumieniec.

Pan James, zaskoczony jej wybuchem, pospieszył z wyjaśnieniem, lecz Alaina odkręciła się na pięcie i rzucając epitet, który wprowadził w oniemiałość oboje słuchających, wybiegła z pokoju i rzuciła się w stronę drzwi wyjściowych. Poczula nagle przemożną chęć ucieczki z tego domu. Leala pobiegła za nią, prosząc, żeby wróciła, ale dziewczyna była jak w transie. Słyszając, że ciotka woła Saula, jeszcze przyspieszyła kroku. Gorzkie łzy paliły

jej oczy. Pobiegnęła przez ogromny trawnik na ulicę i dalej przed siebie w zamgloną noc, jakby ją gnały piekielne moce.

Po jakimś czasie ochłonęła i uprzytomniła sobie, jak daleko odbiegła od domu. Wszystko ją bolało i nie mogła złapać oddechu. Oparła się o przydrożne drzewo. Wydało jej się, że ulicą przemykają jakieś cienie, trzy po każdej stronie, lecz po chwili rozpląły się i zniknęły. Potem z ciszy mrocznej nocy wydobył się jakiś daleki dźwięk, który wkrótce przeszedł w miarowe stukanie podków końskich o uliczny bruk oraz skrzypienie kół powozu.

Alaina chwyciła się za obolały bok i zaczęła uciekać. Cienie ukazały się znowu. Ledwo dostrzegalne, majaczyły po obu stronach ulicy. A w ciemnościach z tyłu wytrwale podążał za nią jakiś powóz. Doszła do skrzyżowania, gdzie mgłą rozpraszało nieco światło ulicznej lampy. Skwapliwie weszła w krąg światła, jakby to było schronienie przed otaczającą wszystko ciemnością. Próbowała przeniknąć wzrokiem mgłę, z której powoli, niemal magicznie wyłonił się ciemny, zbliżający się ku niej kształt. Była to para wyśmienicie dobranych czarnych koni, ciągnących nisko zawieszono lando tego samego koloru. Powóz zatrzymał się i jego woźnica zsiadł z kozła. Na jego widok Alaina poczuła ucisk w gardle. Był to olbrzymi Murzyn, stangret i osobista ochrona Jacques'a DuBonnego. Zatrzymał się kilka kroków od niej i przekrzywił głowę, jakby nasłuchując.

- Panienko Alaino? Panienko Alaino? - Przez ponure ciemności spowite mgłą ledwo przedzierał się głos Saula.

- Saul! - krzyknęła z całej siły. - Tutaj! Pomóż mi!

Chciała odbiec w drugą stronę, lecz czarnoskóry stangret Francuza był już przy niej, zanim zdążyła zrobić krok. Chwycił ją i udaremnił ucieczkę. Kiedy wciągnęła powietrze, by znów krzyknąć, odwrócił ją i przyłożył swą wielką pięść do brody dziewczyny. Po chwili straciła z oczu uliczne światło, przemocą unoszona ku czarnej i bezdennej przepaści nocy.

Gunn, monstualny służący Jacques'a, zdążył porwać w górę obezwładnioną kobietę, gdy zobaczył za sobą drugiego potężnego Murzyna. Lecz zanim Saul dobiegł, otoczyła go gromada drabów z dzielnicy portowej. Walczył z napastnikami z pasją, zaciskając zęby i dając z siebie wszystko, bo widział, że Gunn już niesie Alainę do powozu. Tam przekręcił jej twarz do światła, jakby ktoś w środku sprawdzał, czy to ta osoba, po czym drzwiczki powozu otworzyły się i wepchnął dziewczynę do środka. Po chwili gwizdnął, czarne konie ruszyły i powóz zniknął w ciemności.

Saul musiał się przede wszystkim uwolnić od niepożądanego towarzystwa. Właśnie jeden z mężczyzn zamierzał się na niego wielką, drewnianą pałką, najwyraźniej mając zamiar strzaskać mu czaszkę, Saul złapał go za rękę i wykręcił ją tak mocno, że tamten zawył z bólu, a Murzyn wyjął kij z jego zeszywniałych palców. Teraz on zaczął nim wymachiwać z furją, siejąc wokół zniszczenie. W zdumiewająco krótkim czasie, zziębnięty z wysiłku, mógł się pochylić nad nieruchomymi ciałami sześciu mężczyzn. Przekręcił ich na plecy i poznał wśród nich dwóch sługusów tego nikczemnika Jacques'a DuBonnego.

Zatknął pałkę za pas i popędził do domu. Niemal przefruwał przez niskie krzewy i płotki, ale jego myśli biegnęły jeszcze szybciej. Nie było sensu komunikować od razu domownikom tych złych wieści. Angus pewnie by wybuchnął gniewem, a Leala dostałaby ataku nerwowego. Toteż Saul pobiegł prosto do stajni, zaprzęgnął jednego z najlepszych koni Cole'a i wyprowadził ostrożnie przed dom. Potem go dosiadł i dźgnął stopą między zebra, a koń jak sokół zerwał się i pomknął w ciemność nocy.

Gdy dojechał do slumsów wyzwolonych Murzynów, zostawił konia uwiązane w starej szopie swych

przyjaciół, a dalej szedł pieszo. Szukał takich, którzy znają podziemny świat tego ponurego i obscurnego, na wpół cywilizowanego miasta. Od słowa do słowa wyciągał kolejne informacje i rychło wiedział już, gdzie znajduje się melina najgorszych zbójów z dzielnicy portowej.

Alaina poruszyła się i jęknęła. Przez zamknięte powieki dostrzegła słabe światło. Gdzieś u podstawy czaszki pulsował ból, a w głowie jej się kręciło. Ból rozchodził się w stronę tyłu głowy. Rozchyliła powieki i ujrzała niewyraźną sylwetkę mężczyzny siedzącego przy czymś, co przypominało stół, na którym stała lampa. Spojrzała uważniej i zaraz tego pożałowała, bo poznała lubieżny uśmiezek Jacques'a DuBonnégo. Siedział oparty na krześle, z krzywymi nogami szeroko rozstawionymi i połami surduta zarzuconymi na uda.

- Ach, moja dhoga mademoiselle Hawthohne - chichotał z zadowoleniem. - Witam z powhodem. Już się zaczynałem mahtwić, że Gunn obszedł się z panią zbyt bhtalnie.

Nie zwracając nią niego uwagi, Alaina przez chwilę rozglądała się wokół. Leżała na beli bawełny, na którą byle jak rzucono zwój jedwabnego brokatu. Pomieszczenie było małe, ale głucho jak wnętrze jaskini. Nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. Zastawione skrzynkami i beczkami ściany musiały być zbudowane z kamiennych bloków. Nie znała żadnej części miasta, gdzie stałby taki budynek.

- Czy czuje się pani już na tyle dobrze, by omówić kilka sphaw, *ma chérie*? - Piskliwy głos Jacques'a znów przyciągnął jej uwagę ku jego osobie.

Alaina chciała coś odpowiedzieć, lecz z jej zaschniętego gardła wydobył się tylko chrypliwy jęk. Zdołała usiąść, ale musiała się oprzeć, tak kręciło jej się w głowie.

- No cóż, thudno. Jestem pewien, że głos pani za chwilę whóci. Nie znam ani jednej kobiety, któha byłaby cicho przez dłuższy czas.

Alaina opuściła nogi na podłogę, ale znów zrobiło jej się słabo. Musiała się oprzeć z powrotem i przytrzymać za belę.

- Phoszę zapamiętać, co pani tehaz czuje, panno Hawthohne - mówił Jacques beznamiętnym głosem. - To może pani w przyszłości oszczędzić bólu. A Gunn był wobec pani delikatny.

Alaina patrzyła na niego zrozpaczona i wściekła. Znów zachrypiała i pytającym gestem wskazała na wiszące przy drzwiach wiadro i czerpak.

- Phoszę się poczęstować, *ma chérie* - wyraził zgodę Jacques. - Co pani sobie życzy... tylko z umiahem, oczywiście.

Alaina odzyskała już pełnię władzy w ciele, ale idąc po wodę, celowo potykała się i zataczała. Woda była ciepła i stęchła, lecz piła ją z ochotą. Piła długo, potem odwiesiła czerpak i oparła się o ścianę. Jedną ręką pocierała czoło, a drugą zbliżała powoli w kierunku zasuwy przy drzwiach. Gwałtownym ruchem uniosła sztabę i otworzyła szeroko drzwi, lecz zaraz jeszcze gwałtowniej zarzuciło ją w tył, aż spódnica pofrunęła wyżej kostek. Na zewnątrz stał Gunn, tarasując jej drogę rozpostartymi ramionami i szczerząc się od ucha do ucha. Gdy zobaczył, jak zdębiała z przerażenia, roześmiał się w głos niskim, tubalnym głosem, który jak grzmot przetoczył się przez kamienny korytarz. Zamknęła z powrotem drzwi i oparła się o nie. Tu z kolei usłyszała piskliwy gulgot rozbawionego Jacques'a. Była w krańcowej rozpacz.

- No cóż, panno Hawthohne. Śmiem twiehdzić, że tak nagle wyjście byłoby niehohzadne. Przecież nie doszliśmy jeszcze do nohozumienia.

Alaina odzyskała głos i natychmiast się odcięła:

- Myśli pan, że może mnie bezkarnie molestować? Tu, na Południu, każdy dżentelmen, południowiec czy Jankes, stanie w mojej obronie. Zastrzela pana jak wściekłego psa.

- Dla Camilli Hawthorne? Być może - obdarzył ją szyderczym uśmiechem. - Ale dla mohdehczyńi, złodziejki i zdhajczyńi Alainy MacGahen? Nie sądzę - mówił, oglądając wierzch swej dłoni. - A nawet mogą mi dać nagrodę... lub medal.

Alaina zacisnęła zęby i patrzyła z nienawiścią. Ogarniał ją paraliżujący strach. Zrozumiała, jakie głupstwo popełniła, wybiegając samotnie z domu Craighughów. Szybko zapłaciła za swą głupotę.

Jacques wstał, poprawił surdut i zaczął się przechadzać po izbie, puszczając się jak paw przed samicą.

- Spotkałem już w życiu dużo kobietek, *ma chérie*. Jedna kheolska dziwka uważała się za wahtą najprzystojniejszego zabijaki w całej delcie. W ciągu kilku dni przysłała do mnie błagać na kolanach, żebym ją wziął do łóżka. Była też południowa pięknotka. Przyjechała z Memphis po obłężeniu. Och, ta dopieho była khnabhna. Ale już po tygodniu moja gościnność sphawiła, że ją oświeciło i zhobiła się bahdzo chętna.

- Ma pan zamiar mnie zastraszyć opisami swych żalonych podbojów?

- Zasthaszyć? - Jacques zatrzymał się i przejechał po niej śmiałym wzrokiem. - Oczywiście, że nie, *chérie*. Gdybym chciał panią zasthaszyć, zawołałbym Gunna lub tuzin mych ludzi. Oni by z wielką ochotą panią zasthaszyli. Ścigaliby się ze sobą o pani krzyki. Nie chcę pani sthaszyć, Alaino, tylko przekonać o zaletach mojej phopozycji.

Alaina z trudem pohamowała mdłości. Mogła już tylko rzucać mu nienawistne spojrzenia.

Znów zaczął chodzić i dalej mówił bez owijania w bawełnę:

- Znam hoteliki, na przykład kilka na wybrzeżu albo w głębi, na bagnach. Mieszkają w nich mężczyźni z obu walczących sthon, któhym nie podobały się thudy wojny i znaleźli tam spokojną przystań.

- Dezerterzy! - rzuciła gniewnie Alaina.

- Hm, możliwe. Dalej, ci, co nie zawsze sphawdzali, skąd pochodzą sprzedawane przez nich towahy.

I tych nazwała po imieniu:

- Piraci i inni szubrawcy.

- Może. - Jacques zdjął kapelusz i wygładził przyczepione do niego pióra. - Poza tym całe rzesze innych, którzy nie chcą się poddać hygohom cywilizowanego społeczeństwa. Jedyłą słabą sthona jest tam bhak kobiet. Tak suhowe życie ich bahdzo męczy. Dlatego ci mężczyźni silnie przeżywają, gdy odda im się do dyspozycji ładną młodą kobietkę. Czasem są nawet thochę bhutalni. Ach! No cóż, mademoiselle MacGahen! - Ponownie nasadził kapelusz z piórami na głowę. - Otóż to! Jeśli ładna młodą kobietka pobędzie tam kilka miesięcy, ileż może się nauczyć. Jak zhobić przyjemność mężczyźnie... na hóżne sposoby. - Przerwał i spojrzał na nią, poruszając nozdrzami. - A po powhocie bahdziej doceni korzyści wygodnego życia w mieście... znacznie mniej monotonnego i męczącego.

Alaina przyglądała mu się długo, a wreszcie podjęła w duchu nieodwołalną decyzję. Nie ma mowy o poddaniu się. W tej kwestii istniała tylko wolność lub śmierć. Znajdzie jakiś sposób, żeby zabić jęgo... albo siebie.

- Czy chce mnie pan przekonać co do swych uprzejmych manier? - roześmiała się.

Czarne oczki Jacques'a zwężyły się groźnie. Zbliżył się do niej i wyprostował karłowatą sylwetkę.

- Ostrzegałem, mademoiselle, żeby się ze mnie nie śmiać - wyrzucił z siebie z gardłowym akcentem.

- Ach, Jacques DuBonné, dżentelmen w każdym calu - szydziła Alaina i rzuciła mu prosto w twarz: - Panie DuBonné, nie jest pan odpowiednim towarzystwem dla szlachetnie urodzonych. Co gorsza, nigdy pan nie zrozumie, dlaczego.

- Ja jestem Jacques DuBonné! Dżentelmen z Nowego Ohleanu! - Z wściekłości zrobił się purpurowy na twarzy. Chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął od drzwi. - Jestem Jacques DuBonné! - Stukał się kciukiem po zamożnie odzianym torsie. - Nie pochodzę z góhy rzeki!

- Najpewniej z jakiejś łodzi mieszkalnej na dalekiej prowincji - wtrąciła Alaina, rozcierając rękę i odsuwając się od niego ostrożnie.

- A tehoz jestem bogaty! I wykupiłem już dużą część miasta!

- Wykradłem dużą część miasta - szybko poprawiła Alaina.

- Od leni i głupców, którzy nie umieli utrzymać majątku! - wściekał się Jacques. - I od zaślepionych Jankesów, co pothafiają tylko pucować guziki munduhu i pahadować konno po ulicach. Zagałem i wygałem z nimi wszystkimi! Ja! Jacques DuBonné!

- Nigdy pan nie grał z mężczyznami, śmieszny fircyku. Grał pan ze starymi kobietami, wdowami i dziećmi. - Alaina przezornie odgrodziła się od niego stołem.

W bladym świetle lampy oczy Jacques'a błyskały złowieszczo. Zbliżał się do niej powoli, z wściekłym zgrzytaniem obnażając żółte zęby.

- Ileż już razy widziałam, jak pan się czołga na widok mężczyzny! - judziła Alaina. - Biedny mały człowieczku!

- Mały człowieczku! - Przerażliwy pisk wykrzywił mu twarz. Rzucił się najpierw do przodu, potem w lewo i w prawo, by złapać ją za rękę, ale wymknęła się. Usiłował zadać swej prześladowczym cios w głowę, lecz uchyliła się i nadepnęła mu obcasem na stopę. Zawył z bólu, a ona wyrwała się znów, zostawiając mu w ręce oddarty kawałek sukni.

- Ja cię nauczę, mała dziwko! - Sapał i gonił ją, kulejąc. - Ty będziesz się czołgała i nazywała mnie mój panie, jak zwykła murzyńska locha.

- Dobrze pan to ujął! Właśnie pan jest wieprzem, pławiącym się w błocie z równą jemu gracją. - Odkręciła się i zdążyła umknąć. - Potyka się pan o własne świńskie buty - drwiła i uciekała na różne strony. - Nie lepiej by panu było boso taplać się w glinie?! - Okrażali się na ugiętych nogach jak dwa walczące dzikie zwierzaki. - Czy pan sądzi - wycedziła Alaina - że kiedykolwiek oddam się komuś takiemu jak pan? Że pan mnie zawlecze żywą do któregoś ze swych obrzydliwych chlewów? Umiałam się odpowiednio posłużyć mopem i wiadrem, to i teraz znajdę na pana sposób, jeśli pan się zbliży, mały nastroszony gawronie.

Tego było za wiele dla Jacques'a. Z wściekłym rykiem jak dzikus rzucił się na nią, wymachując rękami. Alaina z całej siły uderzyła pięścią i choć nie celowała, trafiła prosto w przyrodzenie Jacques'a. Zwalił się na nią całym sobą, rękami szukając teraz oparcia. Wybałuszył na nią oczy i usiłował z trudem złapać oddech. Spróbowała go z siebie zepchnąć i wtedy jej ręka ześliznęła się pod jego surdut. Po lewej stronie pod pachą wyczuła gładką kolbę małego pistoletu z podwójną lufą. Zaparła się ramieniem o jego pierś i wyciągnęła broń.

Jacques poczuł, co się dzieje, i widząc w ręku dziewczyny pistolet, złapał ją lewą ręką za przegub. Cały czas jeszcze zmagął się ze straszliwym bólem w dole brzucha. Alaina odkręciła rękę i zatopiła zęby w podstawie jego kciuka. Krzyknął i cofnął rękę, ale nie puścił jej nadgarstka, wiedząc, że to walka na śmierć i życie. Obie ich ręce

razem z pistoletem zmierzały w kierunku skroni mężczyzny. Rozległ się trzask pistoletu i w lewym uchu Jacques'a pojawiła się na moment mała, okrągła dziurka, a potem trysnęła krew. Zatoczył się w tył ze skowyt, ale zaraz się zorientował, że jest dalej żywy i tylko lekko raniony. Alaina zmagala się z nie znanym jej typem broni, usiłując przesunąć na miejsce drugą lufę. W tym samym momencie, gdy jej się to udało, Jacques uniósł wysoko nad głową oszkloną lampę, mierząc nią w dziewczynę. Odbezpieczyła, wycelowała w lampę, zamknęła oczy i nacisnęła. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła i krzyk Jacques'a.

Otworzyła oczy. Stał z uniesioną ręką, całą w płomieniach. Wokół było pełno szkła i rozlanego oleju. Po chwili już palił się cały bok mężczyzny. Krzyknął przeraźliwie i upadł na ziemię, tocząc się i jeszcze roznosząc ogień. Przysunął się do beli bawełny, podniósł się na nogach i owinał rękę brokatem, tłumiąc ogień.

Na wykrzywionej bólem twarzy wypisana była krwawa zemsta. Nie bacząc na płomienie ogarniające już połowę pomieszczenia, uniósł lewą rękę i zza karku wyciągnął powoli długi, cienki sztylet.

- Zasłużyłaś na śmierć! - syknął głośniejszym niż trzask ognia. Ruszył ku dziewczynie, a ta znów uniosła pistolet.

- Jeszcze panu mało?

- Jest pusty! - dobył z siebie szydce, spięte bólem sieknięcie. - Dwa naboje i koniec!

Usłyszeli krzyk na zewnątrz, a potem ogłuszający huk. Grube, ale wiekowe odrzwia zwały się do środka. Alaina i Jacques zamarli z wrażenia, gdy z podłogi podniósł się potężny czarny mężczyzna. To był Saul!

Alaina wykrzyknęła jego imię. Gdy wstał, dojrzała leżącą na wyważonych drzwiach nieruchomą postać Gunna. Saul ruszył naprzód, a Jacques cofnął się przez płomienie. Murzyn niedbałym ruchem ręki przewrócił na niego stół. Sztylet wypadł z ręki Cajuna i mężczyzna, krzycząc wściekle, wskoczył na belę bawełny, po której wspiął się w górę do małego otworu w suficie między masywnymi krokwiami.

W pomieszczeniu rozprzestrzenił się coraz większy ogień, ogarniając składowane pod ścianą towary. Coraz bardziej zatykał płuca duszący dym. Saul złapał Alainę za rękę i poprowadził w stronę wyjścia. Gdy przechodzili przez leżącego Gunna, ten jęknął i poruszył się. Weszli w wąski korytarz, gdzie leżało jeszcze kilku powalonych strażników, na których Saul już nie zwracał uwagi. Ciągnął dziewczynę za sobą po schodach prowadzących do dużego magazynu wyładowanego po sufit rzędami bel bawełny. Na niektórych były jeszcze tajemnicze litery CSA*, inicjały Konfederacji, przekreślone, z wpisanym pod spodem USN** marynarki wojennej Unii. Stąd wzięła się krążąca potocznie nazwa „Stowarzyszenie Grabieży Bawełny Marynarki Stanów Zjednoczonych”.

Saul rzucił jakieś słowo przeprosin, chwycił Alainę za drżące nogi i przewiesił ją sobie przez ramię. Rzucił się biegiem do ucieczki, bo za nimi już zaczęły migać światła pogoni. Gdy wybiegał na zewnątrz, słyszeli gniewne okrzyki i piskliwe rozkazy:

- Znajdźcie ją! Złapcie ją! Tysiąc dolarów dla tego, kto ją tu z powrotem przyprowadzi!

- Och! - westchnęła Alaina, zwieszona na plecach pędzącego ogromnymi susami Saula. - Jankesi... dawali... więcej.

Saul wbiegł na groble. Z jednej strony była rzeka, z drugiej rząd magazynów. Minęli kilka i Murzyn skreślił w wąską uliczkę między kolejnymi dwoma. Błyskawicznie zeskoczył, niemal sfrunął z dość stromej pochyłości grobli i znaleźli się w zaułkach murzyńskiej dzielnicy portowej. Tu Saul postawił dziewczynę na ziemi i szli już w konkretnym kierunku. Po drodze minęli płot z desek, na którym wietrzył się jakiś ciemny koc. Saul zdjął go i

* Confederated States of America (Skonfederowane Stany Ameryki), zwane też Cotton Stealing Association (Stowarzyszenie Grabieży Bawełny).

zarzucił na głowę i plecy Alainy, by zasłonić jej jasną twarz i sukienkę.

Nadal słyszeli za sobą odgłosy pościgu. Przykucnęli pod blaszanym pojemnikiem i ludzie Jacques'a przebiegli obok, nic nie zauważając. Gdy tamci już się znacznie oddalili, rozpoczęło się nowe zamieszanie. Z dachu magazynu Jacques'a wzbijały się w niebo płomienie, pochłaniające z zapalonym składowaną tam bawełnę. Wokół płonącego magazynu zaczynała się robić wrzawa.

Nawet opryski Jacques'a nie lubiły się zapuszczać na długo w dzielnice kolorowych i ścigający powoli małymi grupkami wycofali się z tego terenu. Saul poprowadził Alainę wąskimi uliczkami do zaprzyjaźnionego domu, gdzie zostawił konia.

Alaina nie mogła teraz wrócić do wujostwa. Nie byłaby też bezpieczna u pani Hawthorne. Wiedzano, że zna dobrze doktora Brooksa, i nie byłoby też rozsądne ukryć ją w sklepie. Mogła się schować tylko w jednym miejscu.

Gdy Saul wrócił do Craighughów, domownicy czekali w napięciu. Zapewnił ich, że Alaina jest bezpieczna, i razem ułożyli plan działania. Około północy Murzyn opuścił dom z torbą na ramieniu i dużym tobołkiem pod pachą. Umieścił je w tyle powozu i wsiadł na kozioł. Ruszył i jechał powoli ulicą, jakby nie widząc, że z niewielkiej odległości śledzi go dwóch mężczyzn. Gdy Saul odjechał spory kawałek, Jedediah i Angus zaciągnęli do stajni wielką skrzynię od parnika i władowali ją na stary wóz. Kilka chwil potem Jedediah wyjechał nim przed dom i udał się w kierunku przeciwnym niż Saul. I za nim podążył jakiś mężczyzna.

Dulcie i Angus obeszli dokładnie cały teren, dopóki nie upewnili się, że nikt już nie obserwuje domu. Wtedy Angus po cichu otworzył rzadko używaną wąską furtkę za stajnią, a najstarsza córka Dulcie, Cora Mae, wyprowadziła starego Tara i dopiero na podwórzu sąsiada dosiadła konia. Potem bocznymi drogami i uliczkami dotarła do domu doktora Brooksa. Jego wysoki, stojący zegar wybijał właśnie północ. Uporczywe stukanie do drzwi kuchennych obudziło gospodynię doktora. Mrucząc niewybredne wyrazy na temat późnej pory. Murzynka zarzuciła szlafrok i otworzyła. Pod drzwiami stała młoda Murzynka i czekała cierpliwie.

- Mam wiadomość dla doktora Brooksa.

- Odejdź, moje dziecko - rzędziła gospodyni. - Nie mam zamiaru budzić doktora tak późno w nocy. Przyjdź rano.

Zamknęła drzwi, ale pukanie nie ustało.

- Mam ważną wiadomość dla doktora - powtórzyła dziewczyna, gdy drzwi ponownie się otworzyły. - Pan kazał, żebym mu to sama powiedziała i nikomu nie ustępowała. Proszę powiedzieć doktorowi, że chodzi o panią Lainie.

Stara Murzynka spojrzała i prychnęła ze złością. Cora Mae spokojnie i z uśmiechem zaczęła od początku:

- Mam ważną wiadomość dla doktora...

Zaspana gospodyni wreszcie zrozumiała, że to coś naprawdę ważnego.

- Dobrze, już mówiłaś, już mówiłaś! - Pogroziła jej palcem. - Idę powiedzieć doktorowi. Ale jeśli okaże się, że to nic ważnego, wrócę i złoję ci skórę.

Gospodyni odeszła, zrędcząc, a Cora Mae czekała cierpliwie z założonymi rękami na zewnątrz otwartych drzwi. Minęło parę minut i w głębi domu dał się słyszeć męski głos, a potem człapanie kapci po schodach i niezadowolone pomruki Murzynki.

** United States Navy (Siły Morskie USA).

- Hm! Dzieci dziś zupełnie nie mają szacunku. Wyciągać starszą osobę z łóżka o tej porze.

Wreszcie narzekanie ucichło i w drzwiach ukazał się doktor Brooks, jedną ręką zawiązując pasek szlafroka, a drugą zakładając okulary.

- Wejdz, dziecko, wejdz - rzekł do dziewczyny, a gdy to zrobiła, zapytał: - Co się stało, Coro Mae?

Ta rzuciła podejrzliwe spojrzenie na gospodynię, która stanęła przy piecu kuchennym.

- Nie wolno mi powiedzieć nikomu, tylko panu.

- W porządku. Coro Mae. - Doktor Brooks zerknął na gospodynię znad okularów. - Tessie i tak słyszałaby przez drzwi. Poza tym ona wie o wszystkim, co się dzieje w domu.

Stara Murzynka wydała pełne obrazy mruknięcie i nie ruszyła się z miejsca. Cora Mae wyciągnęła z kieszeni małą kopertę i wręczyła ją doktorowi. Otworzył ją i wyjął klucz, patrząc i nic nie rozumiejąc.

- To jest klucz do... ee... - Dziewczyna wywróciła oczy do góry... - Mieszkania... kapitana doktora panienki Roberty... w budynkach talba.

Doktor Brooks uniósł brwi.

- Do mieszkania majora Latimera w apartamentach Pontalba?

Cora Mae żywo potwierdziła.

- Tak, do tego.

- A cóż to ma do panienki Alainy?

- No... - Cora Mae podniosła dłoń, rozszerzyła palce i zaczęła liczyć sprawy, które miała wymienić. - Panienska Lainie już się nie sprzeciwia ślubowi... i weźmie go z... - Dziewczyna przerwała i spojrzała pytająco. - Z adwokatem? Ale jakiś mężczyzna... - Przeszła do następnego palca. - Jack DeBone chyba, porwał panienkę Lainie i ona jest w kłopotach. - Cora Mae wróciła do pierwszego palca, pokręciła głową i przeszła do trzeciego. - Panienska Lainie prosi... to znaczy Saul mówi, że panienska Alaina prosi, żeby pan po nią przyjechał z tym kluczem i zawiózł ją do tego Pon... Pon... - tam gdzie klucz pasuje... i poczekał razem z nią. - Cora Mae dotknęła czwartego palca i przez chwilę się głęboko namyślała. - O, właśnie! I potem pan Angus przywiezie adwokata... i kaznodzieję... i urzędzą ten ślub.

Dziewczyna opuściła ręce i założyła je do tyłu, zadowolona, że udało jej się spełnić misję. Doktor Brooks próbował zaś poukładać sobie to, co przed chwilą usłyszał. Gospodyni stała przy ścianie, mruczając coś do siebie.

Trzymając w ręce klucz, doktor Brooks powtórzył wszystko jeszcze raz.

- Więc uporządkujmy. Panienska Alaina zgodziła się na ślub... - Cora Mae wyciągnęła dłoń i odliczała na palcach. - Bo porwał ją Jacques DuBonné i jest w wielkich opałach. Ja mam wziąć ten klucz, pojechać po Alainę i zawieźć ją do apartamentu majora Latimera, gdzie przyjadą Angus, prawnik i duchowny.

Dziewczyna pokiwała głową, lecz nagle uśmiech zniknął z jej twarzy, bo pozostał jeszcze nie zagięty kciuk.

- Tak! Tak! Ale jest coś jeszcze - zmartwiła się. - Jak mi mówili, było na wszystkie palce. Musi być coś jeszcze... - Głos jej zamarł i usiłowała sobie przypomnieć.

Słuchacze czekali z zapartym tchem.

- Aha! - Uśmiech jeszcze szerszy niż przedtem rozjaśnił jej twarz i zagięła kciuk. - Panienska Lainie czeka tam, gdzie byli kiedyś ranni żołnierze rebelianci.

- W szpitalu?! - pytał nagłaco doktor Brooks. - Na dawnym oddziale konfederackim?! Oczywiście, mogłem się domyślić. Spisałaś się doskonale. Coro Mae. - Spojrzał znów na gospodynię, która kręciła głową ze zdumienia.

- Mam nadzieję, że na resztę pytań odpowie mi panna Alaina. Ale powiedz mi, dziecko, dlaczego przyszłaś ukradkiem do tylnych drzwi.

- Saul powiedział, że ten DeBone wysłał na miasto gromadę białej hołoty, żeby szukali panienki Alainy, i musimy być bardzo ostrożni.

- Bardzo dobrze. Coro Mae, masz czym wrócić do domu?

- Mam starego Tara. Zostawiłam go trochę dalej.

- Więc jedź z powrotem do domu i bądź tak samo ostrożna jak poprzednio.

Gdy dziewczyna poszła, doktor oznajmił gospodyni:

- Muszę się ubrać. Wezmę konia i powóz ze stajni szpitalnej. Jeśli ktoś o mnie spyta, powiedz, że wezwano mnie do szpitala.

CZEŚĆ

DRUGA

26

Na rzece osiadła lekka mgła, malując powierzchnię wody na szaroburo i przygaszając jesienne barwy gęstych lasów porastających brzegi. Alaina oparła się o barierkę górnego pokładu na dziobie statku i lustrowała wzrokiem urozmaicony krajobraz północnej krainy. Statek sunął po wodzie, mijając liczne wysepki. Wapienny brzeg po obu stronach robił się coraz bardziej stromy i urwisty. Potem Missisipi po wschodniej stronie rozlała się szerszym korytem i mijając wysoki klif, rozwidliła się w dopływ, wlewający do rzeki znacznie czystsze wody. Jak poinformowano dziewczynę, zwał się on Saint Croix. Mniej więcej za godzinę mieli być na miejscu.

Ponownie rzeka zabierała ją od popiołów i zgliszcz, niosąc w nowy etap życia. Musiała przyznać, że rozpiera ją ciekawość, choć jednocześnie czuła obcość i niepokój. Świadomość, że jest teraz żoną Cole'a Latimera, już się w niej głęboko zakorzeniła, lecz pod cienką maską spokoju kryła się niepewność co do nowej sytuacji. Im bardziej zbliżała się do miejsca swego przeznaczenia, tym bardziej kotłowały się w jej głowie myśli, a o spokojnie przespanej nocy nie było już mowy. Tego dnia, po wielu godzinach bezsennej przewracania się na łóżku, wstała przed świtem, spakowała swój niewielki dobytek i wrzuciła wiklinowy kuferek oraz skórzaną walizę do skrzyni, w której i ona sama rozpoczęła podróż. Ze względu na siąpiący nieustannie deszcz wołała nie zakładać żadnej ze swych lepszych sukni, obawiając się jej zniszczenia i ubłocenia. Włożyła więc nieśmiertelny czarny strój, odświeżony nieco doszytą koronką w kolorze ceru. Nadmierny pośpiech jednak na nic się dziewczynie nie przydał. I tak przecież musiała czekać całe przedpołudnie, oglądając wciąż zmieniające się widoki i wsłuchując się w potok własnych myśli. Była podniecona, ale i poirytowana, głównie własnym wyglądem. Bardzo chciałaby zaprezentować się Cole'owi w nieco godniejszym stanie. Tymczasem przypominała raczej własną ubogą krewną. Jej dumna szkocka krew nie pozwalała skorzystać z dostarczonej przez Cole'a garderoby. Przed zimnym, wilgotnym wiatrem chronił ją czarny kapelusz i uszyta w domu peleryna z szarej konfederackiej wełny. Z pewnością nie dodawały jej one wdzięku.

Zwarta ściana brązoworudych dębowych lasów zaczęła się przersedzać i co jakiś czas ukazywały się stojące nad samym brzegiem rzeki domy. Parowiec wziął zakręt w lewo i przed nimi, za małą wyspą, wyrosła na kształt dziobu ogromnego statku rozdzielająca rzekę skała. Wysoko na jej szczycie rozpościerał się kamienny fort, nad

którym powiewała pasiasto-niebieska flaga federalna. Stromym zboczem po lewej stronie wzgórze schodziła droga do wąskiego brzegu rzeki. Wzdłuż długiego, kamiennego nabrzeża skupiała się grupka niewysokich drewnianych domów. Gdy zaczęli podpływać do brzegu, kapitan wyszedł ze sterówki i wydawał polecenia sternikowi aż do chwili, gdy parowiec bezpiecznie przybił do kei.

- Zabezpieczyć statek! - wołał do marynarzy na dole, a potem do sternika: - Zatrzymać statek!

Sternik ściągnął talrep. Statek wydał pojedynczy, donośny gwizd i koło łopatkowe na rufie stanęło w miejscu.

Na przybycie statku oczekiwało już kilka wozów, a w niewielkiej odległości od nich stał duży kryty powóz. Przy nim widać było dwie osoby. Kobięcy instynkt podpowiadał Alainie, że wysoka i szczupła postać to jej mąż. Ze wszystkich stron pasażerowie ruszyli do wyjścia, lecz ona miała nogi jak z ołowiu. Stała jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać oczu od mężczyzny podpierającego się cienką czarną laską.

Z tyłu za nią pan James wyszedł z kabiny z paczką dokumentów w jednej ręce i walizą w drugiej. Niski, wytworny prawnik podszedł do Alainy i stanął obok. Między barierką a kolanami postawił torbę i stał, milcząc taktownie.

Silny podmuch zimnego wiatru uderzył w Alainę, rozpryskując krople deszczu na jej twarzy. Dziewczyna wtuliła się głębiej w ciepłe fałdy peleryny. Myślała o tym wszystkim, co spowodowało, że tak niedobrana para jak ona i Cole stała się małżeństwem. Czekał na nią na portowym molu jak jakiś mroczny wódz germański. Idealnie pasował do ponurego, smaganego ulewą krajobrazu. Nawet nie zamieniając z nim jeszcze ani jednego słowa, drżała na myśl, że cały ten pomysł był straszliwym błędem. Już za chwilę będzie zmuszona opuścić swe tymczasowe schronienie na statku i wkroczyć do zupełnie nowego świata, w którym zapewne poczuje się całkiem obco.

Pan James pomachał ręką do swego klienta. Cole uniósł głowę, też zrobił gest powitania i natychmiast skierował wzrok na drobną postać kobiecą przy barierce. Pod Alainą ugięły się kolana. Oczekiwała choćby jakiejś oznaki, że ją poznał. Na Południu uchodziło za dobry ton okazać na powitanie odrobinę ciepła, lecz on nie dał niczego po sobie poznać i nie drgnąwszy nawet, stał dalej obok powozu.

Pan James z uszanowaniem podniósł dłoń do kapelusza i rzekł:

- Jeśli pani gotowa, zejdźmy na brzeg.

Alaina kiwnęła głową i zebrawszy w sobie odwagę, udała się za nim w stronę schodków. Na dolnym pokładzie dołączył do nich Saul. Szedł za nimi, niosąc na plecach swoje rzeczy w tobołku ze starego koca, a na potężnym ramieniu dźwigając wielką skrzynię Alainy.

Cole szepnął coś stangretowi i podpierając się laską, ruszył powoli w kierunku statku. Przez zarzuconą na ramiona opończę czuł wilgoć i ziąb, od których drętwiało mu chore udo. Po odbytej podróży do przystani Fort Snelling noga mu zupełnie zeszywniała z zimna i bezruchu. Był nawet trochę zły, że statek cumował tutaj, a nie w wygodniejszym Saint Anthony. Ale był to rejs z dostawą towarów i poczty do fortu i dalej statek płynął w górę rzeki Minnesoty.

Podchodząc do statku, by odebrać pannę młodą i jej eskortę, zauważył idącego z tyłu ogromnego Murzyna. Poczul ulgę, gdyż często zastanawiał się, czy Saul przeżył wojnę i panujące po niej zamieszki. Zaraz jednak z powrotem skierował uwagę na Alainę. Ściągnął brwi pod szerokim rondem płaskiego kapelusza. Próbował odgadnąć jej nastrój. I tak jak kiedyś była porywczą i nieobliczalną jędzą, tak teraz dostrzegł w tej kobiecie jakąś powagę. Nie było w niej tej frywolności, jaka cechuje młode damy w jej wieku. Poruszała się z gracją, a

jednocześnie skupieniem i prostotą. Sprawiało to miłe, ale jednocześnie trochę niepokojące wrażenie. Wyglądała na osobę, która bardzo ostrożnie rozważa wszystkie możliwości, a gdy podejmie decyzję, jest ona nieodwołalna. Może to trudy i zmartwienia wywołane wojną pozbawiły ją dawnego tupetu. Gdy szła przez pomost na brzeg, nie mógł w niej dostrzec nic z dawnego zuchwałego Ala. Była powściągliwa i chłodna, jak księżniczka porwana z obcego plemienia. Domyślał się, jak niechętnie znalazła się pomiędzy znienawidzonymi Jankesami, z których na dodatek jednego musiała wbrew swej woli poślubić. Cole zebrał się w sobie, ale nie mógł się wyzbyć ponurych myśli. Jego los zatoczył pełne koło od wybuchów furii Roberty do chłodu i pogardy jej kuzynki. A perspektywy bynajmniej nie zdawały się rozjaśniać.

Dochodząc do końca kładki, Alaina ukradkiem obserwowała swego nowo poślubionego. Choć okrywał go zarzucony na plecy obszerny płaszcz, zauważyła, że schudł. Czerni ubrania uwypuklała jego smukłą, dobrze umięśnioną sylwetkę. Monotonię czerni przerywały jedynie dwurzędowa kamizelka ze srebrnego brokatu oraz wykrochmalona biała, jedwabna koszula. Wyglądem przypominał trochę spekulantów, jakich widuje się na statkach, lecz przy tym prezentował się jak człowiek światowy. Po raz pierwszy widziała go w cywilnym ubraniu i było to trochę jak spotkanie z obcym mężczyzną. Bała się tego, zwłaszcza że jego niebieskie oczy cały czas były w nią wpatrzone. Zapomniała już, jakie są bystre i przejrzyste. Te oczy potrafiły w czarodziejski sposób odkryć każde kłamstwo. Nie przyszło jej łatwo opanować się i powstrzymać od przemożnej chęci, by uciec z powrotem do bezpiecznej kajuty statku.

Wyczuwała, że Cole zmienił się nie tylko na zewnątrz. Z każdą chwilą rosło w niej przekonanie, że był to już całkiem inny mężczyzna. Wszedł w ich życie jako intruz, którego Roberta desperacko pragnęła wykorzystać do wyrwania się z marnego życia na Południu. Teraz unosiła się wokół niego aura pewności i siły. Trzymając się na uboczu, jednocześnie przez samą obecność dominował w najbliższym otoczeniu. Cole zasalutował i Alaina tylko czekała, aż się pokłoni, uderzając obcasami. Jednak odłamek metalu w nodze znacznie nadwreżył jego sprawność.

- Tuszę, że miała pani wygodną podróż - odezwał się tym samym głębokim głosem.

Alaina zastanawiała się, czy znajdzie w nim jakiś słaby punkt, z którego mogłaby czerpać siłę do walki. Zauważywszy pod długą peleryną czarną suknię, uniósł brwi.

- Alaino, pani w żałobie? - spytał z wyrzutem. - Małżeństwo to zazwyczaj okazja do śmiechu i radości.

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, lecz uniemożliwił jej to smagający deszczem i odbierający dech w piersiach lodowaty poryw wichru. Łapiąc oddech, odwróciła twarz w drugą stronę, a Cole podszedł, by ją sobą zasłonić. Uważał, by jej nie dotknąć, pamiętając jeszcze bardzo dobrze niechęć Ala w tym względzie.

Saul postawił skrzynię na ziemi, podniósł wysoko kołnierz cienkiej wełnianej kurtki i przestępował z nogi na nogę, by trochę rozgrzać stopy. Jego znoszone buty nie chroniły zbyt przed zimnem i wilgocią.

- Wielkie nieba, człowieku! - Cole wyciągnął do niego rękę na powitanie, a Murzyn uściśnął ją swą potężną dłonią. - Czy nikt ci nie powiedział, jaka tu jest pogoda?

- Nie, proszę pana! - Saul wyszczerzył w uśmiechu białe zęby. - Ale ja się szybko uczę.

Alaina czuła się zobowiązana wytłumaczyć obecność Murzyna.

- Musiałam go tu przywieźć, z tego samego powodu, dla którego ja tu przyjechałam - zaczęła z początku przepaszająco, lecz po chwili doszła do wniosku, że w tej sprawie nie musi wcale wyrażać skruchy. - Zapewniam pana, majorze Latimer, że nie będzie on dla pana żadnym obciążeniem. Sama opłaciłam jego podróż i Saul znajdzie sobie pracę. Jeśli nie u pana, to gdzie indziej.

- Gdzie indziej?! - zawołał Cole wzburzonym tonem. - Droga pani, nie chcę o tym w ogóle słyszeć. - Mówiąc to, spojrzął na Saula. - Potrzebuję rządcy do pilnowania prac w polu. Umiałbyś to robić? - Widząc jego skwapliwe przytaknięcie, od razu zdecydował: - Więc jeśli chcesz, praca jest twoja.

Saul uśmiechnął się szeroko, podniósł skrzynię, zataszczył ją na tył powozu i tam wstawił.

Zamierzającej mu podziękować Alainie Cole dał znak ręką, że nie ma za co, i zawołał stangreta. Ten przybiegł natychmiast.

- Olie, zaprowadź panią Latimer do powozu. Ja zaraz przyjdę.

- Tak jest, doktorze Latimer. - Muskularny, jasnowłosy mężczyzna lat około czterdziestu uchylił dziwacznej czapki z wąskim daszkiem i dziarsko skłonił głowę przed Alaina. - Olie zabierze panią z tego zimna, dobrze?

Alaina stłumiła w sobie uczucie zranionej dumy, że oto znowu została tak bezceremonialnie przekazana pod czyjąś opiekę. Tłumaczyła sobie w duchu, że może to i lepiej pozostać na razie z dala od Cole'a Latimera. Z wymuszonym uśmiechem pozwoliła stangretowi zaprowadzić się do powozu.

Cole został sam z Jamesem i spojrzął na niego pytająco. Mężczyzna zaczął opowiadać, lecz Cole nie mógł się powstrzymać od zerkania przez jego ramię na odchodzącą kobietę. Patrząc na jej kształtne plecy, aż sam się dziwił, że wspomnienie jednej, tak dawno wspólnie spędzonej nocy jeszcze dziś go rozgrzewa.

Alaina, zanim z pomocą Oliego wsiadła do powozu, zatrzymała się i też spojrzała do tyłu na rozmawiających mężczyzn. Jak intensywnie wpatrywały się w nią te niebieskie oczy! Cole patrzył na nią tak, że poczuła się, jakby przyłapano ją w niekompletnym stroju. Odpowiedziała mu wyniosłym spojrzeniem szarych oczu, podała rękę Oliemu i wsiadła do powozu. Doskonale wiedziała, o czym prawnik opowiada jej mężowi.

Tylne siedzenie wyłożone było dużym futrem. Choć wyglądało ciepło i zachęcająco, Alaina wybrała miejsce naprzeciwko. Siedziała w oczekiwaniu na męża, patrząc na wijącą się leniwie rzekę, lecz cały czas miała w pamięci oszałamiające spojrzenie jego niebieskich oczu. Uśmiechnęła się melancholijnie. Może i ten Jankes jej nie chce, ale prędzej czy później będzie musiał coś z nią zrobić.

Pan James przekazał Cole'owi dokumenty zawarcia ślubu, informując jeszcze:

- Po wyruszeniu z Nowego Orleanu reszta podróży upłynęła bez żadnych wydarzeń.

Cole zmarszczył czoło.

- Mówi pan, że nie chciała się zgodzić na ślub przez pełnomocnika, dopóki jej nie porwał DuBonné?

- Tak, panie doktorze. Kiedy dowiedziała się, że pan nie przyjedzie, wybiegła jak oparzona. - Mężczyzna odchrząknął i dodał ze skrucą: - Powiedziała, że prędzej pan zgnije w piekle, niż się z nią ożeni, czy coś takiego.

Cole bezwiednie rozcierał bolącą nogę i kłął pod nosem. To narwana istota! Zawsze szkodziła sobie samej zbytnią dumą i uporem, a do tego miała szczególnie dar do ściągania na siebie kłopotów.

- Ludzie Jacques'a usiłowali ją znaleźć - ciągnął dalej James. - Musieliśmy ukryć pańską żonę w skrzyni, żeby ją bezpiecznie przewieźć na statek. W sumie wywołała w Nowym Orleanie wiele zamieszania, bo razem z magazynem DuBonnégo spłonęła spora część dzielnicy portowej. Podejrzewam, że on sam teraz się ukrywa, ponieważ szeryf odkrył, co za bele bawełny przechowywał w magazynie.

Cole wskazał nagle na jeden z wozów.

- Przyjechał z nami Murphy po dostawy. Może się pan z nim zabrać do miasta. Zaprosiłbym pana ze sobą, ale ja z panią Latimer zatrzymamy się w hotelu i nie wiem, kiedy pojedziemy dalej do domu.

- Dziękuję bardzo. Zostawiłem konia i bryczkę na przechowanie w pobliskim zajęździe. Byłbym wdzięczny,

gdyby Murphy mnie tam podwiózł.

Cole wyciągnął ze środka opończy portfel i wyjął z niego kilka banknotów, które podał prawnikowi.

- Proszę! Niech pan je da Murphy'emu i powie mu, żeby zaopatrzył Saula w jakieś ciepłe ubranie, zanim zamarznie na śmierć.

- Dobrze, panie doktorze. - James wziął pieniądze i pospieszył w stronę wozu.

Cole został sam ze swymi posepnymi myślami, spoglądając na powóz i widoczny z dala delikatny profil pozornie spokojnej młodej żony.

Wreszcie podszedł do powozu, wrzucił opończy na siedzenie naprzeciwko Alainy, wsiadł i zajął miejsce obok dziewczyny. Potem wyciągnął spod swego okrycia futro i okrył nim jej kolana. Pochylając się nad nią, utkał je dokładnie w rogu za jej plecami. Alaina unikała jego wzroku, lecz doskonale czuła orzeźwiający zapach wody kolońskiej. Chciała utrzymać zdecydowany dystans, jeśli chodziło o niego, i w tym celu postanowiła być lodowato zimna i milcząca. Zbyt mocno zranił jej dumę propozycją, by została jego żoną, jednocześnie odrzucając ją jako kobietę. Gdyby w grę wchodził inny mężczyzna, po prostu wątpiłaby w jego męskość, lecz Cole'a już знаła. Bez względu na swoje okaleczenie nogi z pewnością nie był impotentem. A nawet, jak na to wskazywało ich ostatnie spotkanie, miał zgoła zapędy satyra i gorącokrwistego uwodziciela. Jak bolesna drzazga tkwiło w niej to, że przedtem potraktował ją jako łatwą zdobycz dla zaspokojenia swych chuci, a teraz, gdy mógł się z nią ożenić, nie zechciał jej jako prawdziwej żony.

Stangret krzyknął i powóz ruszył. Cole chwycił za skórzaną rączkę przy oknie. Alaina zwróciła uwagę, że sam okrył rogiem futra tylko chorą nogę, jakby była bardziej wrażliwa na zimno. Poza tym nie wyglądało, żeby specjalnie odczuwał panujący chłód i wilgoć.

Nie zwracała uwagi na jazdę, dopóki nagle nie wyciągnęło się przed nią silne ramię, by przytrzymać się występu przy oknie; druga ręka bezceremonialnie przylgnęła do jej piersi, przyciskając dziewczynę do oparcia.

Na ten jawny afront wszystko w Alainie zawrzało. Jak on śmie! Już otworzyła usta, by go ostro zbesztać, lecz w tej samej sekundzie powóz zarzuciło do przodu. Gdyby jej nie przytrzymał, zapewne upadłaby z impetem na podłogę. Westchnęła tylko, łapiąc się kurczowo już milej widzianego, usłużnego ramienia, które właśnie ocaliło jej osobistą godność.

Olie gwizdał na konie i wywijał batem nad ich głowami. Zwierzęta szarpały lejce, ciągnąc ciężki powóz stromą drogą pod górę. Wreszcie ostatnim zrywem wjechali na szczyt i woźnica nadał koniom wolniejsze tempo. Starając się zrobić to jak najgodniej, Alaina puściła rękę Cole'a, umożliwiając mu jej zabranie. Jazda była teraz spokojniejsza, więc przesiadł się na ławkę naprzeciwko, skąd widział swą żonę w całej okazałości. Wcale się nie krępował. Alaina czuła, jak jego oczy przenikliwie lustrują każdą część jej ciała.

Niech sobie patrzy! - pomyślała lekko wzburzona i zwróciła twarz do okna. Kupił sobie prawo, by przynajmniej na nią popatrzeć.

Minęli główną bramę fortu i przecięli rozległy teren otaczający mury. Nagle zrobiło się ciemno, gdyż wjechali w las ogromnych wiązów. Po kolejnej mili czy dwóch droga zeszała w płytką dolinę. Terkocząc, powóz przejechał przez mały, kamienisty potok. Alaina usłyszała szum spadającej wody, lecz nigdzie nie dostrzegła wodospadu. Powóz podskakiwał na wybojach, a ona uparcie patrzyła w okno, wcale nie zwracając uwagi na mijany krajobraz. W jej głowie kołatały się przykre myśli, serce paliło oburzenie. Cały czas była obiektem wnikliwej obserwacji i nic nie zapowiadało jej rychłego końca. Przeklinała dzień, w którym spotkała Jacques'a DuBonnego. Gdyby nie on,

nie byłaby teraz tutaj, poślubiona zarozumiałemu Jankesowi, który wpatrywał się w nią bezczelnie łakomym wzrokiem, jakby była jakimś kupionym przysmakiem. Cieszyła się nawet z tego, że ubrała się we wdowią czerń. W czymkolwiek innym czułaby się chyba zniewolona przez te przenikliwie niebieskie oczy.

Nagle uświadomiła sobie, że Cole się do niej odezwał, i odwróciła głowę. W jednej ręce trzymał cygaro, w drugiej zapalnik, i najwyraźniej czekał na jej zgodę.

- Nie będzie ci przeszkadzało? - pytając uniósł cygaro.

- Oczywiście, że nie.

Zapalił więc i patrzył dalej, a ona z powrotem skierowała uwagę za okno. Jechali zabłoconymi ulicami przedmieść jakiegoś dynamicznie rozbudowującego się miasta. Jednak Alaina nie miała czasu, by na nie popatrzeć, bo Cole znów się odezwał. Spojrzała mu w oczy.

- Przepraszam, nie usłyszałam...

- Czy mogłabyś zdjąć ten bezsensowny kapelusz? - powtórzył, wierząc zapalnik w czubku cygara. - Chciałbym ci się lepiej przyjrzeć.

W Alainie zawrzało na tę prośbę, lecz posłusznie zdjęła kapelusz i ze skrzepowaniem wygładziła niesforny lok na karku. Na statku miała do dyspozycji tylko małe, kieszonkowe lustro. Mogła sobie wyobrazić, że teraz już nie tylko wygląda na biedaczkę, ale w dodatku jest nie uczesana. Utwierdziła ją w tym zachmurzona mina Cole'a. Wciąż trzymał nie zapalone cygaro, rozłupując jego koniec drewnianym zapalnikiem.

- Majorze, czy tą miną straszy pan dzieci?

Cole z lekką irytacją włożył cygaro do ust, potarł zapalnik o podeszwę buta i ponownie zapalił. Przez kłębiące się w powietrzu obłoczki dymu przebijało jego uważne spojrzenie.

Alaina pokazała szczupłą dłońią na okno i chcąc odwrócić od siebie uwagę śmiałych oczu, zapytała:

- Słyszałam wiele historii o dzikich Indianach, śniegu powyżej głowy i wilkach grasujących na ulicach. Nic takiego nie dostrzegam. Zamiast tego widzę miasto wznoszone pośród lasów.

- W tych historiach jest nieco prawdy, droga pani - jasnoniebieskie krążki spojrzały na nią tak przejmująco, że zapłonęła się ze wstydu. Cole wskazał cygarem. - To futro jest zrobione ze skór kilkunastu wilków.

Ze zdumieniem pogładziła długi, jedwabisty włos.

- Myślałam, że to siwoszare zwierzęta o krótkim i sztywnym futrze.

Cole skrzywił się raptownie, gdy powóz podskoczył na wyboju. Podjeżdżali do centrum miasta, w którym porzucane z rzadka domy z kamienia i cegły oblepione były mniejszymi zabudowaniami. Część domów dwu-, trzy-, a nawet czteropiętrowych zbudowano z kamienia, część była drewniana, z wysokimi, fałszywymi fasadami. Domy łączyły chodniki z desek. Było to konieczne ze względu na nie wybrukowane i bardzo błotniste ulice.

Z zaciśniętymi ustami Cole wyjął z kieszeni powozu małą piersiówkę i gdy pociągnął tego łyka, odprężył się i uprzedzając pytanie Alainy, wyjaśnił:

- Ten kawałek metalu sprawia mi ból. W brutalny sposób przypomina mi o swej obecności.

- Major Magruder miał lepszy pomysł - mruknęła. - Czyżby pan żałował swej decyzji?

Cole prychnął i ponownie napił się ze srebrnej flaszki, zanim ją schował.

- Lepiej, żeby ten ból przypominał mi, że nadal mam nogę, niżbym miał czuć kikut.

Sięgnął do jej szarej peleryny i wziął w palce materiał.

- Dlaczego nie założyłaś ubrań, które ci wysłałem?

Alainie przypomniało się, jak po raz pierwszy zobaczyła pana Jamesa i skórzaną walizę. Dopiero porwanie przekonało ją, że musi się zgodzić na ślub, że nie powinna odsyłać prawnika z powrotem do jego klienta, rzucając mu parę jadowitych klątw na pożegnanie. Chętnie powiedziałyby je i teraz, ale z doświadczenia wiedziała, że tak bezpośrednie wystąpienie przeciwko Cole'owi doprowadziłoby do kłótni. Przynajmniej na razie lepiej było unikać konfrontacji, która mogłaby spowodować rozstanie. Najgrzeczniej jak potrafiła, poruszyła temat, który boleśnie kłuł jej dumne ego.

- Doktorze Latimer, wyświadczył mi pan wielką przysługę, składając wobec mnie małżeńskie ślubowanie przez swego pełnomocnika i umożliwiając mi przyjazd tutaj, co uratowało mnie z beznadziejnej sytuacji. Za to mam wobec pana ogromny dług wdzięczności. Chyba nigdy nie zdołam go spłacić. Widać muszę panu ciągle przypominać, że nie jestem bogata...

- Jesteś moją żoną - powiedział miękko, choć uśmiechał się z wyrzutem.

Alaina z uporem pokręciła głową, zaprzeczając temu. Aż się zaczerwieniła z przejęcia, że musi mu tłumaczyć swoją sytuację.

- Powtarzam, nie jestem bogata, ale pragnę zwrócić wszystkie zaciągnięte długi. Przez kilka miesięcy nawet federaliści powinni się uporać ze złapaniem Jacques'a, skoro już wiedzą, kim jest. Być może na wiosnę będę mogła wrócić i oczyścić swoje imię. Chyba pan rozumie, na jaką próbę jestem wystawiana, będąc zmuszona prosić pana o cierpliwość. Jeśli przyjmę tak piękne i bogate ubiory, to jeszcze powiększę swój dług, który już teraz przekracza moje możliwości spłacenia. Poza tym, oczywiście, mogę się o siebie sama troszczyć.

Cole pochylił się ku niej i z kpiącym uśmiechem zajrzał w błyszczące szare oczy.

- Alaino Latimer, gdybyś była na tyle mądra, żeby się o siebie troszczyć, nie byłoby cię tutaj.

Twarz jej zapłonęła, tyle prawdy było w tym stwierdzeniu. Nie miała już żadnego powodu do dumy. Odebrano jej nawet niezależność. Drażniło ją to, że akurat u tego mężczyzny była zmuszona szukać wsparcia. Choć z całego serca pragnęła rzucić mu w twarz gniewne zaprzeczenie, nie mogła. Mimo że prawda ją tak zabolęła, nie mogła nic powiedzieć. A jednak powzięła postanowienie, że nie stanie się dla niego ciężarem ani towarzysko, ani finansowo. Przynajmniej w ten sposób zdoła zachować resztki szacunku dla siebie.

Cole usiadł prosto i zaciągnął się cygarem.

- Alaino, ubrania to był prezent z okazji ślubu. Czuję się bardzo urażony tym, że paradujesz jak bezdomna żebraczka.

- Ślubu? - zaśmiała się gorzko. - Pan to nazywa ślubem?

Przez chmurę dymu jego twarz zdawała się nieprzenikniona.

- Ach, tak. Pan James mówił mi o twojej niechęci do tego małżeństwa.

- Proszę mi wybaczyć, majorze, ale nie czuję się poślubiona. Gdybym miała inne wyjście, nigdy bym tego nie zrobiła. Ale pan DuBonné nie pozostawił mi wyboru.

- To miło z pani strony - rzekł z sarkazmem - że uznaje mnie pani za mniejsze zło.

- Mniejsze zło to także zło, majorze Latimer. - Alaina pochyliła głowę i mówiła spokojnie. - Wówczas myślałam, że to najlepsze, co mogę zrobić. Mogę jeszcze zmienić zdanie.

- I poświęciłaś się, zgodziłaś się za mnie wyjść, choć nadał uważasz mnie za wroga?! - W jego głosie brzmiała nuta kpiny;

- Nie było żadnego poświęcenia - odparła hardo. - Małżeństwo można anulować i unieważnić, jeśli okaże się

nie do zniesienia. Poza tym nie uważam pana za wroga. Wojna się już skończyła.

Cole ostrożnie strząsnął popiół z cygara i spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Coś mi się zdaje, droga pani, że nasza dopiero się zaczęła.

27

Powóz zboczył w błotniste ulice i dojechał do wysokiego budynku z cegły, gdzie Olie się zatrzymał. Szyld na rogu domu o kremowych ścianach informował, iż jest to Nicollet House. Przez wzgląd na niesprawność swego pracodawcy Olie podjechał do samego chodnika z desek. Padał teraz znacznie większy deszcz. Jego krople zaznaczyły się cętkami na kapeluszu i płaszczu Cole'a i zlały się w mokre plamy natychmiast, gdy tylko wysiadł z powozu.

- Macie państwo bagaż?! - zawołał od wejścia dobrze zbudowany młodzian.

Cole pokazał na tył wozu, a Alaina spojrzała nań zaskoczona. Nie przewidziała, że może przez jakiś czas rezydować z nim w hotelu. Gdy przysunęła się do drzwi powozu. Cole objął rękami jej szczupłą talię i z łatwością przeniósł ją przez chodnik bezpośrednio pod chroniący wejście przed deszczem balkon pierwszego piętra. Znalazłszy się dość nagle w hotelowym holu, tym boleśniej odczuła kontrast między swym obskurnym ubraniem a bogactwem wnętrza. Szybko też zaobserwowała, że skupia na sobie uwagę prawie wszystkich zgromadzonych tam mężczyzn. Nie dopuszczając do siebie myśli, że to jej osoba wzbudza takie zainteresowanie, zastanawiała się, jak długo ci ludzie nie widzieli kobiety.

Wskazując na piętro, Cole rzucił klucz do ręki boya hotelowego. Ten pospieszył na górę z bagażem Alainy. Major odwrócił się do żony i obejmując ją władczo, poprowadził ją przez foyer. Kilku mężczyzn, napotkawszy wzrok Cole'a, pozdrowiło go, lecz zbici z tropu jego wyniosłym spojrzeniem, wrócili do swych poprzednich zajęć.

W dość pustej jadalni młoda para mogła się nieco zrelaksować i odpocząć, choć zachmurzone czoło Cole'a sprawiało na Alainie raczej posępne wrażenie. Jadła właśnie deser z apetytem świadczącym o jej długotrwałym rozstaniu ze słodyczami, gdy wrócił boy z kluczem. Oddał go i odszedł, z zadowoleniem licząc otrzymane monety.

Potem wyszli z jadalni i udali się na górę po schodach. Już na półpiętrze Alaina musiała odsunąć rękę ściskającą ją nazbyt mocno za łokieć. Cole nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ją trzyma.

- Majorze, bardzo proszę! Czy boi się pan, że mnie zgubi? Cole zatrzymał się przed drzwiami, przekręcił klucz w zamku. Otworzył drzwi szeroko i wprowadzając ją do środka, odpowiedział:

- Poprzednie doświadczenia z tobą, młoda damo, nauczyły mnie zrozumiały w tym przypadku ostrożności. Masz talent do znikania w najmniej spodziewanych momentach.

Ukłuła ją ta uwaga, ale nie pozostała dłużna.

- Gdybym wtedy pozostała, niewątpliwie byłby pan zmuszony do poślubienia mnie, a nie Roberty. Czy byłoby to lepsze?

- Na pewno byłoby mniejszym złem - rzekł, przedrzeźniając jej wcześniejsze słowa.

Te jasne oczy drwiły sobie z niej. Alaina poczuła, jak gorąco uderza jej do twarzy.

- Jako rzekłś, o pani, lepszy Cole niż Jacques. - Zamknął za nią drzwi, popychając je laską. - I lepsza Alaina niż Roberta.

- Wiedząc, jak ją pan traktował, nie mam sobie czego gratulować - oświadczyła.

- To prawda, nie darzyliśmy się nawzajem wielkim szacunkiem - przyznał Cole. Odłożył na bok płaszcz i

kapelus. Uśmiechając się ironicznie, dodał: - Biorąc to wszystko pod uwagę, ty i ja jesteśmy w znacznie lepszych stosunkach.

Alaina poczuła się równie zagrożona jak tamtej nocy, gdy Cole przywiózł ją do swego apartamentu. Nerwowo przeszła przez pokój, by znaleźć się jak najdalej od niego.

- Czy mam panu przypomnieć nasze wieczne spory?

- Pamiętam, jak kilka razy poniosły cię nerwy. Na przykład kiedy leżałem ranny w szpitalu. Niewątpliwie uważałaś za przestępstwo to, że cię pragnę.

- Był pan żonaty! - rzuciła. - A ja nie miałam ochoty, by ktoś wszedł i zobaczył nas w uścisku.

- Przepraszam za to, o pani. - Uśmiechnął się sarkastycznie i lekko skłonił głowę. - Powiniennem zaczekać na bardziej odpowiedni czas i miejsce.

- Wie pan, że nie to mam na myśli - oznajmiła z godnością.

- Krążyłaś po oddziałach, podnosząc żołnierzy nie tylko na duchu - stwierdził Cole. - Zaiste, porucznik Appleby tokował przed tobą, a ja musiałem leżeć i patrzeć, jak za tobą łązi niczym rozochocony uczeń. A ty mu na to pozwalałaś!

- Bo i dlaczego nie? Przyjemnie było dla odmiany być adorowaną przez dżentelmena. Wbrew temu, co pan sobie wyobrażał, zawsze zachowywał się poprawnie. Był też, o ile pan pamięta, wolnego stanu, w przeciwieństwie do pana. Pan potrzebował tylko kolejnej nałożnicy do swej kolekcji, a on chciał mieć żonę.

- Oświadczył ci się? - spytał Cole surowo, a gdy przytaknęła, indagował dalej: - Więc dlaczego za niego nie wyszłaś?

- Byłam raczej nieufna wobec żołnierzy jankeskich, szczególnie oficerów. - Spojrzała znacząco, unosząc brew. - Poza tym nie kochałam go.

- Mnie też nie kochasz. Podkreślasz to bardzo dobitnie - zachnął się Cole.

Alaina odwróciła się z gestem irytacji.

- Podobnie jak pan.

Męczyła ją jego nachmurzona mina. Coraz mniej była pewna tego, dlaczego właściwie za niego wyszła. Wyglądało na to, że nie będą mieli razem spokojnego życia. Była już zmęczona walką o przetrwanie. Pragnęła tylko odrobiny spokoju i zadowolenia z życia. Jednak z Cole'em w roli jej męża wydawało się to nie do osiągnięcia.

Weszła do sypialni i zaraz wróciła. Cole zauważył rzucone ukradkiem w jego stronę spojrzenie. Znał ją wystarczająco dobrze, by rozumieć kapryśne wyduęcie delikatnych warg. Doskonale też wiedział, że apartament ma tylko jedną sypialnię. Minał ją stojącą w drzwiach sypialni i wszedł do środka. Zdjął surdut i krawat. Leniwie rozpiął kamizelkę i koszulę.

- Myślałam, że przed nocą zajedziemy do pana domu - odezwała się nieśmiało.

Cole zerknął na nią, podwijając rękawy koszuli.

- Niedługo tam pojedziemy, Alaino. Nie obawiaj się.

- Majorze, jeśli ma pan coś do załatwienia w mieście, może Olie odszukałby Saula lub pana Jamesa, zanim wyjadą z miasta, i pojechałabym z nimi. Dla pana będę tu tylko zawadą.

Cole zacisnął szczękę. A więc uparła się, żeby grać rolę niewinnej panienki, choć oboje wiedzieli, że to nieprawda.

- Nie pozwolę, żebyś się objęła w wozie jak zwykła służąca. Zapewniam cię, moja pani, że zawiozę cię do swego domu z większym dostojęstwem, niż ty sama byś chciała.

- Wy, Jankesi, stale paplacie o dostojęstwie i dumie - odparła wyniośle. - Ja ostatnio nie mogę sobie pozwolić na taki luksus.

Cole podszedł bliżej, a Alaina chętnie by uciekła od jego dzikiego i zawziętego spojrzenia. Jednak musiała mu stawić czoło.

- Ale z tych luksusów, jakie ja mogę ci zapewnić - dla podkreślenia wagi słów uderzał się w pierś - możesz korzystać. - Wyprostował się, uwypuklając szerokie ramiona, lecz nie spuszczał jej z oka. - Proponuję, żebyś poniechała tych bzdurnych uprzedzeń na temat ubrań, które ci kupiłem. Jeśli nie możesz zaakceptować rzeczywistego małżeństwa pomiędzy nami dwojgiem, zastanów się, co powinnaś zrobić dla zachowania pozorów. - Zmierzył ją odważnym spojrzeniem. - Nie powinno ci to sprawić trudności, moja miła, tyle już grałaś rolę.

Alaina powstrzymała się od komentarza, nie dlatego, że się z nim zgadzała, ale skoro postanowiła trzymać na wodzy swe emocje, lepiej było to przemilczeć. Widząc, że oczekuje od niej jakiejś odpowiedzi, oświadczyła nonszalancko:

- Wcale nie liczyłam na znalezienie u pana wygodnego gniazdka, to wszystko.

- Czy na myśl o dzieleniu ze mną łóża czujesz odrazę? - dopytywał się ostro.

- Nie chodzi o samo dzielenie łóża, lecz to, co może się w nim odbywać. - Zadarty nos uniósł się na całkowite wyżyny i Alaina wyszła z powrotem do saloniku.

Cole zaklął pod nosem. Mylił się, uważając ją za przygaszoną. Była nadal uosobieniem upartego, zadufanego w siebie Południa, lojalną przedstawicielką tego gatunku ludzkiego. Nie zrażała jej żadna porażka. A jednak, pomimo swego ognistego charakteru, nie miała w sobie tej nienawiści co Roberta. Chociaż go zręcznie unikała, nie czuł się jej postępowaniem odepchnięty ani specjalnie zniechęcony. Wszystko to jeszcze pobudzało go do działania.

Poszedł za nią i widząc, że walczy z zasupłanym wiązadłem peleryny, troskliwie pospieszył z pomocą.

- Dam sobie radę, dziękuję - powiedziała, odsuwając jego rękę.

Cole oparł się o drzwi i rzekł:

- Jak sobie tyczysz, droga pani. Ciekawe, jak długo będziesz w stanie tak się od tego małżeństwa separować.

- Gdyby to było normalne małżeństwo, nie miałabym powodu się separować. - Rozwiązała wreszcie supeł i zdjęła wełniane okrycie. - Ale między nami nie ma małżeńskich więzów. To umowa, w dodatku tymczasowa.

Odwróciła się i wygładziła włosy, lecz zastygła w bezruchu na widok zapatrzonego w nią Cola, który, zupełnie nie speszony, dosłownie rozbierał ją oczami. Jego wzrok prześliznął się po jej wysoko osadzonych, pełnych piersiach i zgrabnej talii, a potem błędził po całej postaci.

- Mam nadzieję, że pana nie rozczarowuję, majorze.

- Przeciwnie, droga pani - odparł ze swobodą. - Twój rozkwit przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. - W zamyśleniu pocierał dłoń. - Właśnie się zastanawiałem, jakie plotki się rozsąleją, gdy przedstawię cię jako swoją żonę.

- Dlatego, że jestem z Południa? - zdziwiła się Alaina, nie rozumiawszy, o czym mówi. - Czy dlatego, że tak szybko po śmierci Roberty ponownie się pan ożenił?

Rozbawiło to Cole'a.

- Tu wciąż rządzą prawa kresów. Mężczyzna nie może pozostawać wdowcem, bo grozi mu spędzenie zimy w samotności.

- Jeśli tylko pan nie opowiada nikomu o mojej sytuacji - polemizowała - nie wyobrażam sobie, żeby ktoś się interesował...

- Nie mam zwyczaju absorbowania tutejszych plotkarzy własnymi sprawami - zapewnił ją Cole. Odwrócił się do stojącej obok komody, na której stała taca z kilkoma karafkami i kieliszkami. Na jego pytające spojrzenie pokręciła głową przecząco, więc nalał sobie odrobinę brandy. - Wszyscy będą się dziwić, w jaki sposób zdobyłem tak piękną żonę, nie ruszając się z miejsca. „Kuzynka Roberty?”, będą zapewne szeptać i pytać jeden drugiego: „Jak myślisz, czy oni byli już kiedyś kochankami?” - Roześmiał się głośno, widząc piorunujące spojrzenie Alainy. Pociągając brandy, obszedł ją, utykając, i usiadł na sofie. Teraz znów stała do niego przodem i mógł na nią patrzeć. - Prawdę mówiąc, Alaino, wydaje mi się, że prześcignęłaś swą kuzynkę pod każdym względem.

Nie wiedząc, czy ma to potraktować jak pochlebstwo, czy zniewagę, posłała mu zdawkowy uśmiech.

- Nie chciałabym wyjść na nierozgarniętą, ale co pan dokładnie rozumie przez „pod każdym względem”?

Cole odpowiedział pytaniem.

- Czy wiesz, jaka jesteś piękna?

Pytanie to zaskoczyło Alainę. Piękna w stroju wdowy? Wyczuwając w tym jakiś afront, zapytała ostrożnie:

- Czy pan usiłuje się bawić moim kosztem?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Wciąż jesteś cnotliwa, Alaino?

Gorący rumieniec oblał jej policzki.

- Pan powinien wiedzieć najlepiej! No ale - w jej głosie zabrzmiał wyrzut - muszę pamiętać, że pomylił mnie pan kiedyś z Roberta.

Nie spuszczać z niej oczu. Cole upił mały łyżeczek bursztynowego płynu.

- Niezupełnie.

- Ach tak? - Przez pogardę w głosie przebijało powątpiewanie. - To znaczy, że nie został pan oszukany, jak to pan kiedyś utrzymywał? - zaśmiała się drwiąco. - Więc to mnie zwiodły własne uszy? Mogłabym przysiąc, że jęczał pan z uniesienia z powodu małżeństwa z moją kuzynką.

Cole spojrzał ponad nią.

- Niestety, dopiero po złożeniu przysięgi uświadomiłem sobie, że namiętność nie jest mocną stroną Roberty. Było z nią zupełnie inaczej niż z dziewczyną, która spędziła ze mną tamtą pierwszą noc w domu Craighughów.

Alaina odwróciła się, nie mogąc znieść jego cierpkiego uśmiechu.

- Majorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym się odświeżyć.

- Jak najbardziej, młoda damo. - Taksując wzrokiem jej foremne plecy, gdy szła do sypialni, zatrzymał ją jeszcze jedną uwagą. - Alaino, nie wyglądasz brzydko w szatach wdowich, lecz wnoszą one ponury nastrój. Pragnąłbym, żebyś włożyła coś bardziej stosownego do tej okazji.

- Okazji? - powtórzyła chłodno, zwracając ku niemu lodowate spojrzenie szarych oczu. - Nie wiedziałam, że świętujemy jakąś okazję?

- Zrobiłem z ciebie porządną kobietę - powiedział przeciągle. - Czy to nie wystarczający powód do świętowania?

Tłumiąc gniew, wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- Ty jankeska barania głowo! Trochę długo przebierałeś!

Cole był już tak rozbawiony, że nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu. Czerwona ze złości Alaina oddaliła się w kierunku sypialni. Wściekłość płonęła w jej oczach i burzyła krew w żyłach. Jak on śmie żartować z jej cnoty, on, który sam jej tę cnotę odebrał! Trafił w najczulszy punkt. Och, jakże pragnęła zemścić się w jakiś subtelny, niezauważalny sposób! Lub nawet zupełnie śmiało, by dokładnie poczuł. Nie miała jednak pojęcia, czym może zranić tak gruboskórnego człowieka.

Alaina zamknęła za sobą drzwi i zdjęła czarną suknię, pomstując w myślach na mężczyznę w sąsiednim pokoju. On zbyt dobrze wiedział, czym ją wyprowadzić z równowagi.

Umyła twarz i ramiona zimną, zapierającą dech wodą, która ją oziębła, ale jednocześnie nieco ochłodziła emocje.

Wyszczotkowała włosy, aż załśniły, rozdzieliła pośrodku, a miękkie, skręcone końce zebrała w jasnoszarą, jedwabną siatkę. Między piersiami i za uszami posmarowała się perfumami przysłanymi przez niego. Nie mogła sobie odmówić odrobiny delikatnego i ulotnego, lecz upajającego zapachu, choć nigdy by mu się nie przyznała do tej słabości. Niech się sam domyśli.

Z sympatią popatrzyła na suknię ze srebrzystoszarego jedwabiu wyjętą z wiernego, wiklinowego kuferka. Cole będzie zaskoczony, że nie jest taką kompletną biedaczką. Ta myśl podtrzymała ją na duchu. Delikatnie uniosła obszerną dołem suknię nad głowę i włożyła. Tę kreację zdołała sobie kupić za ciężko zarobione pieniądze, choć, jak większa część jej garderoby, suknia była używana. Pani Hawthorne pomogła w odkupieniu jej od swej znajomej. Góra, udająca żakiet na modłę żuawskiego* kaftana, obszyta była ciemnoszarą plisowaną wstążką. Na jasnofioletowy gors z wycięciem w karo naszyty był haftowany batyst, a rozcięcia rękawów wypełniały wstawki w kolorze gorsu. Mając na sobie tę suknię, przynajmniej nie wyglądała jak bezdomna żebraczka.

Cole usadowił się wygodnie na sofie w oczekiwaniu na zakończenie toalety przez żonę i kontemlował blat stołu. Kiedy wreszcie wyszła z sypialni, podniósł wzrok. Alaina nie mogła nie zauważyć, jak błyskawicznie ogarnął wnikliwym spojrzeniem całą jej postać. To, że od razu wstał, odebrała jako pochwałę, jednak zdawał się jej wyglądem nieco zakłopotany.

- Nie przypominam sobie tej sukni wśród tych, które ci posłałem.

- Miałam trochę pieniędzy - szepnęła Alaina i spuściła oczy pod jego zachwyconym wzrokiem, dziwnie podekscytowana i zadowolona z siebie, że udało jej się choć trochę go zaskoczyć.

- Niezwykle twarzowa - przyznał.

Alaina przyjęła komplement z uroklivym uśmiechem. Przyszło jej do głowy, że być może niemądrze podchodzi do sprawy tego małżeństwa. Roberta byłaby sprytniejsza. Używałaby swoich sztuczek, żeby jak najlepiej sytuację wykorzystać. Wystarczy trochę odsłonić biust, zatrzepotać rękami i słodko przemawiać, by owinąć sobie mężczyznę wokół palca. Nie chciało jej się jednak wierzyć, by Cole dał sobą tak łatwo manipulować.

Śledziła go wzrokiem, gdy do niej podchodził, a kiedy sięgnął ręką do dekoltu sukni, miała ochotę odruchowo się cofnąć. Jak ogień parzyło skórę dotknięcie jego palców, zsuwających się w rowek między piersiami, by wyjąć schowany tam medalion. Przyglądał mu się ze zdumieniem.

- Myślałem, że do tej pory przestałaś go już nosić.

* Od *zouave* - żuaw (żołnierz piechoty francuskiej utworzonej w Algierii w 1831 r.).

Widząc jego pytające spojrzenie, Alaina przestraszyła się, bo czuła, że traci swą niezachwianą pewność siebie. Wciąż czuła gorąco w miejscu, gdzie ją dotknęły jego palce, a oddech miała przyspieszony.

- Noszę go, żeby mi przypominał o popełnionym głupstwie.

- Głupstwie, droga pani? - Uniósł brwi. - Twoim czy moim?

- Jak pan woli - wzruszyła ramionami. - Czy można to nazwać inaczej?

Widząc jej splonione policzki, wsunął złoty wisiołek z powrotem na miejsce i skwapliwie poprawił łańcuszek na jej szyi. Alaina stała posłusznie, ze stoickim spokojem znosząc te karesy oraz prowokujące spojrzenie Cole'a. Wuj Angus zrobił wszystko, żeby jej uświadomić, iż w myśl prawa nie skonsumowane małżeństwo jest nieważne. Przestrzegał ją, żeby pilnie trwała we wstrzemięźliwości, jako jedynej możliwości wycofania się ze ślubnej umowy, gdy warunki na to pozwolą. Jeszcze miała w uszach jego słowa:

- To Jankes, który już zamęczył moją biedną Robertę na śmierć. Czułbym, że zaniedbałem swe obowiązki jako twój opiekun, gdybym cię nie uprzedził o niebezpieczeństwach. Chciałbym cię również ostrzec, że ani doktor Brooks, ani pani Hawthorne nie ponoszą w tej sprawie żadnej odpowiedzialności. Ponoszę ją wyłącznie ja.

I tak stała oto przed tym jankeskim kobieciarzem w pluszowym wnętrzu hotelu i zastanawiała się, jak ma się teraz zachować. Niemal traciła oddech, gdy jego ręka zsuwała się po jej piersiach w dół, by zaborczo spocząć na biodrze. Uniosła niewinnie brwi i spróbowała swe naostrzone pazury posmarować miodem.

- Doktorze Latimer - powiedziała słodkim tonem. - Zdaje się, że oboje zgodziliśmy się na małżeństwo tylko z nazwy. Czyżby pan o tym zapomniał?

- Ciekawe - zastanowił się na głos - czy ta ugoda przetrwa próbę ciała.

Alaina roześmiała się miękkim głosem, przypominając mu tamtą namiętą, młodą kobietę, nagą w jego ramionach.

- Nie ma jak śluby czystości, by wzniecić pożądanie, co, majorze? - uderzyła go lekko w rękę. - A gdzie jest moja czystość, wzięta siłą przez jakiegoś Jankesa?

- I w tym problem. - Cole cofnął rękę i tłumiąc rosnące podniecenie, odwrócił się do okna. - Wzięta siłą przez Jankesa, teraz chcesz się zemścić.

- Zemścić, milordzie? - Zaśmiała się tonem nieco karcącym. - Błagam, niech mi pan powie, jak dama z Południa może się zemścić na swym mężu Jankesie.

Cole odwrócił do niej twarz zagniewaną i ponurą.

- Sądzę, droga pani, że nie muszę ci mówić, wszystko bowiem wskazuje na to, że wiesz nader dobrze.

Alaina wiedziała, że trafiła na słaby punkt w jego pancerzu ochronnym, choć nie była całkiem pewna, co go stanowiło.

Mijały sekundy, pogłębiając między nimi przepaść. Cole był coraz bardziej nachmurzony, co odbierało Alainie dotychczasową brawurę. Kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi, poczuła ulgę. Patrzyła, jak Cole posuwa się, utykając, w stronę drzwi. Zanim doszedł, oznajmiła:

- Majorze, jeśli pan kogoś oczekuje lub ma jakiś interes do załatwienia i chciałby pan zostać sam, pójdę do sypialni.

Jej oficjalny sposób zwracania się działał na niego przygnębiająco.

- Proszę zostać - nakazał. - Poinformuję panią, gdy będę chciał zostać sam. Do tego czasu może pani zostać.

Alaina złożyła ręce. Poczowała się jak skarcone dziecko. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że ma do czynienia z

doroślą kobietą?

Drzwi otworzyły się i Cole poprosił do środka korpulentnego mężczyznę. Po zdjęciu z siebie kilku warstw ubrań pulchny, niski człowieczek podniósł trzymaną między stopami kasetkę i popatrzył wyczekująco.

- Ach, jak się domyślam, to pańska małżonka - rzekł wesoło i nie słysząc zaprzeczenia, zbliżył się do Alainy. - Nie uwierzy pani, co mąż dla pani zamówił. Coś najlepszego! Absolutnie!

- Doprawdy? - Na jej uroczej twarzyczce odmalowało się zdziwienie. Spojrzała na milczącego jak skała Cole'a.

- Ależ tak, droga pani! - tokował grubasek. Zwracając się nieznacznie w stronę Cole'a, pokazał na kasetkę. - Za pozwoleniem, panie doktorze.

Cole skłonił głowę, a mężczyzna gorliwie przystąpił do dzieła. Powoli, w napięciu uniósł wieczko, odsłaniając przed Alaina zawartość kasetki.

Patrzyła w zdumieniu i oszołomieniu. Na ciemnym aksamicie ułożona była minikolekcja drogocennej biżuterii, jakiej nie powstydziliby się królowa. Obok szerokiej złotej obrączki, bogato wysadzanej diamentami i rubinami, leżało kilka długich sznurów pereł, naszyjnik ze szmaragdów i pasujące do niego kolczyki oraz precyzyjnie rzeźbiony złoty wisiołek, zdobiony diamentami, a do tego brylantowe kolczyki w kształcie lez.

Podpierając się laską. Cole podszedł, stanął obok żony i sięgnął po klejnoty.

- Wszystko doskonałej jakości. - Jubiler promieniał zadowoleniem. - Sprawdziłem osobiście. O, proszę spojrzeć na te diamenty. Widział pan kiedykolwiek taki błysk? Zechce pani przymierzyć?

Cole wziął do ręki naszyjnik i przybliżył się do Alainy. Nie chcąc go rozdrażniać w obecności jubilera, nie miała wyjścia, musiała pozwolić na przymiarke. Stanął z przodu i oparł się o jej ramię, żeby łatwiej zapiąć naszyjnik. Przez chwilę Alaina poczuła otaczające ją delikatnie ramiona i mocny, owłosiony tors, odsłonięty przez rozpiętą koszulę.

- Pięknie! - Cole mruknął z uznaniem, prawie wcale nie patrząc na wisiołek.

- Tak! Tak, rzeczywiście! - wtórował pulchny jubiler.

- Alaino, proszę cię, moja miła, czy mogłabyś przynieść mój surdut? - Cole wskazał głową na sypialnię.

- Oczywiście - wyszeptła. Ujął ją ten sympatyczny sposób zwracania się, ale wiedziała przecież, że jak sam powiedział, było to jedynie dla zachowania pozorów. Podobnie jak ubrania i biżuteria. Usiłował nadrabiać miną i od niej oczekiwał tego samego.

W sypialni Alaina przerzuciła sobie przez ramię surdut Cole'a i z rozrzewnieniem pogładziła luksusowy materiał, jakby w magiczny sposób on sam się w nim właśnie znalazł. Przez moment poczuła tak wielkie fizyczne pragnienie, że straciła oddech. Jakże łatwo można byłoby zamienić udawanie w prawdę, gdyby tylko nie było między nimi tej fatalnej umowy! Cole był przystojny i jeszcze młody. Nawet przy braku tak subtelного uczucia jak miłość mogliby stworzyć małżeńską parę. Któż może przewidzieć, co przyniosłaby wówczas przyszłość? Lecz to on wytyczył granicę ich związku, a duma nie pozwalała jej tej granicy przekroczyć.

Gdy wróciła do saloniku. Cole wziął od niej surdut, wyjął z niego płaski, skórzany portfel, odliczył kilka dużych banknotów i wręczył je mężczyźnie.

- Serdecznie dziękuję, doktorze Latimer. Miło mi i polecam się do usług na przyszłość.

Cole odprowadził mężczyznę do drzwi, dziękując mu uprzejmie. Jubiler skłonił się obojgu na pożegnanie i wyszedł.

Maskarada się skończyła - pomyślała cierpko Alaina. Przynajmniej do czasu, aż znów znajdą się w towarzystwie innych ludzi. Teraz już Cole może zapomnieć o czułych słowach, a ona musi mu przypomnieć o swym statusie.

- Obawiam się, majorze, że nie mogę przyjąć tej biżuterii. Nigdy nie będę w stanie za nią zapłacić.

- Alaino, nie bądź śmieszna - odparł i sięgnął do kasetki po obrączkę. - Oczywiście, że będziesz ją nosiła, tego od ciebie oczekuję. - Ujął jej lewą dłoń i wsunął błyszczący krążek na trzeci palec. - A to, moja droga, nigdy nie opuści twej ręki.

- Obrączka ślubna? - szepnęła Alaina, patrząc niedowierzająco.

- Czy to takie dziwne, że mąż daje ją żonie? Miałaś już wątpliwości, czy ją dostaniesz? Muszę cię przeprosić, że tak późno. Zrobienie jej zabrało trochę czasu - tłumaczył się. - Był drobny problem z napisem wewnątrz. Być może twoje nazwisko ich zdezorientowało.

Mogła to być prawda, bo pisało się je na różne sposoby. Ale nie to trapiło Alainę. Biorąc pod uwagę ich małżeńską umowę, koszt obrączki daleko przekraczał jej ramy.

- Majorze, przecież my nie jesteśmy naprawdę... to znaczy... - jakoś nie potrafiła tego wytłumaczyć. - No, oczywiście, jesteśmy małżeństwem, ale właściwie nie jesteśmy naprawdę... - Cole obserwował z zaciekawieniem, jak rumieni się i odwraca głowę. - Po prostu nie spodziewałam się tego. Niczego takiego nie oczekiwałam - pokazała ręką na kasetkę. - Ja nie mogę tego przyjąć.

- To zupełna bzdura, Alaino - odparł zniecierpliwiony. - To, że będziesz nosiła te klejnoty, nie zmniejszy ich wartości, i będziesz je nosiła. Będę cię przedstawiał jako swą żonę i musisz się ubierać stosownie do twej obecnej pozycji.

Znów pozory! Jej życie stawało się jedną wielką serią maskarad i udawania. Kiedyś wreszcie musi wywalczyć sobie prawo bycia sobą.

- Jeśli, jak pan utrzymuje, te ozdoby nie tracą wartości na skutek noszenia, zgadzam się je nosić. - W końcu umiała logicznie myśleć. - Ale co do ubrań, to zupełnie inna sprawa. Będę nosić tylko takie, na jakie mnie stać.

- A na jakie cię będzie stać, jeśli nie chcesz brać ode mnie żadnych pieniędzy?

Alaina wzruszyła ramionami.

- Sprzątałam w szpitalu za pensję. To samo mogę robić w pana domu.

Cole zrobił ironiczny gest.

- Mam do tego służbę.

- No to może w pana gabinecie przyjąć. Pomagałam doktorowi Brooksowi.

- To by było na miejscu i pożyteczne - rzekł sucho - lecz niestety nie prowadzę obecnie praktyki.

Alaina zmarszczyła czoło z konsternacją.

- Zarzucił pan praktykę?

- Coś w tym rodzaju - odparł cierpko i machnął ręką, by więcej nie pytała.

Nie miała ochoty dłużej wystawiać na próbę jego nerwów. Jednak postawiła jasno swoje warunki.

- Majorze, jeśli pan nie znajdzie dla mnie pracy, nie mogę przyjąć sukni.

Cole piorunował ją wzrokiem. Znał tę dziewczynę zbyt dobrze, żeby się po niej spodziewać zmiany zdania w ciągu najbliższych dni. Ale też nie mógł pozwolić, by chodziła w szmatach. Nagle roześmiał się i widząc jej podejrzliwe spojrzenie, zapytał:

- A nie zechciałabyś podjąć pracy jako moja żona?

Alaina zeszywniała, niespokojna o obrót, jaki przybrała ich rozmowa.

- W myśl zawartego kontraktu nikt nie będzie przypuszczał, że jest inaczej. Ale cóż według pana miałabym robić, żeby zapracować na pensję?

Cole dotknął dłonią do ust, jakby namyślając się nad jej pytaniem.

- Mam gospodynię, dwie służące, kucharkę, chłopca na posyłki i odźwiernego. Jeśli wykluczyć te obowiązki, cóż pozostaje?

Nie wymieniony pozostał najistotniejszy obowiązek małżeński, ale postanowiła nie dać się zwieść jego podstępowi.

- Biorąc pod uwagę naszą umowę, przypuszczam, że ma pan na myśli obowiązki żony jako pani domu.

- Pani domu? Mojego domu? - omiół ją surowym wzrokiem. - Taka niedoświadczona?

- Szybko się uczę - odparowała.

- Może miałem na myśli co innego - zauważył.

Alaina spokojnie popatrzyła mu w oczy. Cóż by dała, żeby zmasać z jego twarzy ten szelmowski uśmiezek!

Zapytała chłodno:

- Więc cóż pan proponuje?

Cole otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz nagle jakiś skurcz przeszedł mu po twarzy. Wyraz zakłopotania przeszedł w gniew.

- Oczywiście, jak sugerujesz, będziesz panią domu - odparł szorstko. - Zapewnisz mi schronienie od natrętnych matek, które nie rozumieją, że mężczyzna do wzięcia powinien pozostać wolny, i od ojców z wielkimi pistoletami. Będziesz moją przedstawicielką, delegatką wobec świata, można tak rzec. To będą twoje obowiązki! - Złapał surdut z oparcia sofy i zaczął zapinać koszulę. - I w zamian za to, droga pani, będziesz się ubierała jak przystało na moją żonę!

Nie miała nawet możliwości zaprotestować, gdyż Cole pokuśtykał do drzwi, otworzył je gwałtownie i rzucił przez ramię:

- Rozgość się, kochanie. Może mi zabrać chwilę, zanim znów sobie przypomnę, że jestem dżentelmenem.

Mówiąc to, zatrzasnął za sobą drzwi. Alaina usłyszała brzęk przekręcanego w zamku klucza i odgłos jego kroków na schodach. Zacerpnęła tchu, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że wstrzymywała oddech prawie przez cały czas trwania jego przemowy.

Drżącymi palcami przetarła czoło. A więc jest uwięziona. Cole zamknął drzwi. Lecz przynajmniej chwilowo uwolnił ją od swej przytłaczającej obecności.

Zupełnie niewrażliwa na otaczający ją luksus, Alaina wróciła do sypialni. Zdjęła jedwabną suknię i naszyjnik. Ogarnęło ją potworne zmęczenie i potrzeba drzemki. Polemika z Cole'em znacznie nadwzględowała zasoby jej energii. Wiedziała też, że ta odrobina urywanego snu podczas ostatniej nocy nie wystarczy, by miała siłę skutecznie odpierać jego dalsze ataki. Przewidywała także zupełnie realną możliwość spędzenia dzisiejszej nocy na sofie, jako że pozostanie w jednym łóżku z Cole'em było piekielnie niebezpieczne. Tej kombinacji należało unikać jak ognia.

W zadumie ściągnęła z włosów siatkę i potrząsnęła obfitą, rdzawobrunatną grzywką. Sięgnęła do tyłu i pociągnęła za sznurowadła gorsetu. Te, bardzo już stare, po prostu pękły i gorset opadł z niej w jednej chwili. Ze złością rzuciła go na niską skrzynię i zaczęła rozwiązywać pasek halki. Będzie musiała pożyczyc sobie

szeniu kupionego przez Cole'a lub obyć się bez niego. Niekiedy ona bardziej odczuwała przykrość z odmowy przyjmowania jego prezentów niż sam Cole.

Ze zdumieniem usłyszała chrobot klucza w zamku. Nie spodziewając się, że Cole może wrócić tak szybko, przestraszyła się, zwłaszcza że zostawił pod jej opieką kosztowną biżuterię.

Zarzuciła na siebie wełnianą pelerynę i stanęła w drzwiach sypialni w oczekiwaniu na intruza. Toteż poczuła ulgę, gdy wszedł Cole. Wyglądał jak chmura gradowa. Ściągnął z ramion surdut i cisnął go byle gdzie. Gdy się odwrócił, by zamknąć drzwi, Alaina zobaczyła, że ma spodnie rozdarte na całej długości szwu. Dokładnie odsłaniały białą bieliznę pod spodem.

- Co się stało? - zapytała z przejęciem.

- Rozdarłem o jakiś przekłety gwóźdź - mruknął z wściekłością.

Alaina pohamowała się, by nie wybuchnąć chichotem, ale musiała się odwrócić, by jeszcze z nutą wesołości w głosie zaproponować:

- Proszę zdjąć spodnie i podać mi, to je zszyję.

Wyjęła przybory do szycia i rozłożyła je na łóżku, lecz Cole tylko warknął z sąsiedniego pokoju:

- Do licha, kobieto! Wyobrażasz sobie, że będę tu stał w bieliźnie i czekał? Po prostu się przebiore, a to naprawi służba hotelowa.

Alaina ostrożnie zamknęła drzwi, by nie wszedł do sypialni, lecz z niepokojem stwierdziła, że nie ma w nich klucza. Z nadzieją powiodła wzrokiem po podłodze i szczęśliwie zobaczyła tam jakiś połyskujący przedmiot. Pochyliła się, żeby podnieść stracony na ziemię klucz, a w tej samej chwili drzwi otworzyły się i uderzyły ją w bok. Wyprostowała się gwałtownie jak sprężyna i stanęła oko w oko z rozjuszonym Cole'em. Poczuła, że wygląda komicznie i absurdalnie.

- Twoja skłonność do izolowania się, droga pani, zaczyna być denerwująca. Nie mam zamiaru skakać po salonie jak czapla, zmieniając spodnie. Zrobię to tutaj, we własnej sypialni, bo to jest odpowiednie miejsce do przebierania.

Alaina potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem.

- W takim razie poczekam na zewnątrz.

Gdy szła do drzwi. Cole zmierzył ją wzrokiem, po czym nagle wyciągnął rękę i zatrzasnął je przed jej nosem. Zatrzymała się zaskoczona i spojrzała mu w oczy. Patrzyły nieufnie.

- Z kluczem w ręce, żeby mnie zamknąć w środku? I w pelerynie, żeby od razu uciec? - spekulował na głos. Zabrał jej klucz z ręki. - Co to, to nie, moja pani. Poczekasz tu ze mną przynajmniej dotąd, aż będę na tyle ubrany, żebym mógł cię dogonić.

Szybko zamknął drzwi na klucz i wyjąwszy go z zamka, rzucił niedbale za siebie. Trafił zadziwiająco celnie, klucz bowiem odbił się od ściany i z dźwięcznym brzękiem wpadł do dużej, mosiężnej spluwaczki.

Alaina w milczeniu śledziła wzrokiem jego lot. Po chwili uniosła brwi i ze stoickim spokojem rzekła do zaciętrzewionego męża:

- Myślę, że może pan mieć trudności z odzyskaniem tego klucza.

Cole popatrzył na spluwaczkę i obojętnie wzruszył ramionami.

- To klucz hotelowy. Niech go sami wyjmą.

Alaina także wzruszyła ramionami i odwróciła się od niego. Peleryna rozchyliła się, ukazując oczom Cole'a

pocerowaną krynolinę halki.

- A cóż to znowu?! - Ściągnął z ramion dziewczyny pelerynę i rzucił ją na krzesło. Z lekkim niepokojem śledziła, jak z dezaprobatą lustruje jej krynolinę.

- Wszelki duch! Lepszą widziałem na żonie szmacciarza.

- Pańska spostrzegawczość w dziedzinie ubioru damskiego jest doprawdy imponująca. Szczególnie zdumiewa pańska wiedza na temat kobiecej bielizny - skwitowała kąśliwie, po czym wygładzając fałdy skrytykowanej części garderoby, dodała z zawstydzeniem: - Dobrze mi służy i jest zawsze wyreperowana.

- To z pewnością mrówcza praca - odburknął Cole i szybkim ruchem rozwiązał jej halkę w talii.

- Ależ, mój panie! - Alaina sapnęła z oburzeniem, gdy krynolina spadła na podłogę.

Cole zmierzył wzrokiem proste w kroju, bawełniane pantaloney. Choć niewyszukane, ładnie układały się na jej szczupłych, zgrabnie zaokrąglonych biodrach. Jednak znacznie chętniej podziwiałby to, co przysłaniały.

- Moja żona ubiera się jak wieśniaczka - narzekął półgłosem - choć zaopatrzyłem ją w znacznie lepsze stroje.

Z rozdrażnieniem podszedł do chłopaka do ściągania butów i skorzystał z jego pomocy. Obejrzał się na Alainę. Przyglądała mu się z rozbawionym, wyrozumiałym uśmiechem, jak dziecku w napadzie złości. Najwyraźniej traktowała go z wyższością, co go jeszcze bardziej rozjuszyło. Zapominając o zdrowym rozsądku, zapragnął okazać swą władzę nad żoną. Jeszcze raz powtórzył, tym razem w znacznie ostrzejszej formie:

- Natychmiast, droga pani, ubierzesz się, jak przystało na panią Latimer!

- Jak pan wyjdzie - odparła spokojnie.

- Teraz!

- Nie! - Jej spojrzenie było zdecydowane.

Nie wierząc własnym uszom, zapytał:

- Co pani powiedziała?

Coś tknęło Alainę, lecz zignorowała jego rosnący, choć jeszcze kontrolowany gniew.

- Powiedziałam: nie!

A to bezczelna dziewczyna! Po prostu mnie prowokuje! Cole rzucił koszulę i kamizelkę na krzesło, podszedł do otwartej skrzyni i wyjął z niej skórzaną walizę z kupionymi przez siebie ubraniami. Otworzył ją i zaczął bezładnie przerzucać zawartość, wysypując część na łóżko.

- Proszę! - Rzucił pod jej nogi cieniutką, zwiewną koszulkę. - Masz nosić to! I to! - dorzucał po kolei koronkowe pantaloney, jedwabne pończochy, falbaniaste halki i satynowy gorset z koronką. Na końcu wyciągnął aksamitną suknię podróżną w kolorze intensywnej zieleni, bogato lamowaną skórą, z małymi ciemnobrązowymi guziczkami. Tę położył ostrożnie na łóżku i groźnie wskazując palcem, rzekł: - I to! Chcę cię w tym zobaczyć!

Alaina odzyskała już opanowanie, a zarazem umocniła się w swoim uporze. Nie schyliła się nawet po leżącą u jej stóp garderobę. Nie odezwała się słowem, lecz w spojrzeniu, które odważnie spotkało się z jego oczami, był najczystszy bunt. Potem odwróciła się do niego plecami i skrzyżowała ręce na piersiach. Tak stała, pukając rytmicznie jedną stopą o podłogę.

Cole popatrzył poządlawie na nią i na łóżko. Nie chcąc jednak okazać tego po sobie, gniewnie zmarszczył czoło. Przysunął się do niej bliżej, stanął z tyłu i sięgnął do jej przyborów po nożyczki. Szybkim ruchem chwycił za szarfę i przeciął wiązanie pantalonów, które błyskawicznie opadły luźno. Zaskoczona Alaina zgarnęła je i z powrotem osłoniła swe wdzięki. Lecz Cole ze zręcznością chirurga przeciął ramiączka. Niczym już nie przy-

trzymywana bielizna opadła na dół i Alainie ledwo udało się w ostatniej chwili złapać za jej brzegi. Odwróciła się do Cole'a z oburzeniem na twarzy.

- Ach... - Posłał jej protekcyjny uśmiech. - Nareszcie zwróciłem twoją uwagę. - Na wpół rozebrany, skłonił się po rycersku. - Spokojnie, droga pani. Mamy dużo czasu.

Alaina zakryła falujące ze wzburzenia piersi, świadoma spoczywającego na niej zaborczego spojrzenia mężczyzny. Cole powoli się odwrócił, wyjął ze swojej walizki spodnie i położył je na łóżku. Potem rozpiął i zdjął te, które miał na sobie, i odłożył je na bok. Nie mógł się jednak powstrzymać od zerkania przez ramię na żonę, która przeszła w róg pokoju, nie oglądając się na niego i pozostawiając nietkniętą rzuconą przez niego bieliznę. Wodził oczami po jej zgrabnych, prostych plecach, od szczupłej, wyniosłej szyi po kuszące wygięcia bioder. Emanująca z niej kobiecość budziła w nim pożądanie i zaczynał już odczuwać znajomą twardość pod obcisłą bielizną.

Wstał i podszedł do niej na tyle blisko, żeby nie mogła się poruszyć bez dotknięcia go. Oparł się ręką o ścianę i spojrzał z góry. Jakże wabiły go te okrągłe piersi, teraz prawie uwolnione z objęć tkaniny, przytrzymywanej jedynie ręką dziewczyny. Jak pragnął pieścić te kobiece miękkości, przycisnąć ją do siebie i pozbyć się rozkosznego bólu, który narastał mu w lędźwiach.

- Alaino, przecież jesteś kobietą - wymruczał chrapliwie.

- Doprawdy? - Parsknęła i jeszcze szczerzej osłoniła piersi, wyprostowując je dumnie.

Cole był już całkiem oszołomiony. Trawiony ogniem, drżał z podniecenia. Jego zmysły pragnęły tej kobiety.

- Możesz doprowadzić mężczyznę do szaleństwa - wysapał, wpatrzony w dziwaczne światła tańczące w jej lśniących włosach i szczupłe, gładkie jak kość słoniowa ramiona.

- Nie wiedziałam - pospieszyła wyjaśnić. I ona nie pozostawała jednak nieczuła na jego bliskość. - Ale może pan chce udowodnić prawdziwość tych słów.

- Udowodnić?

- Swoje szaleństwo! - Starła się, by zabrzmiało to obojętnie i beztrząsco. - Ale nie musi pan tego robić moim kosztem. Wystarczy trochę piany na ustach.

Odurzająca woń perfum mieszała się z zapachem kobiety, uderzała mu do głowy i rozgrzewała krew. Rozpalała do nieprzytomności jego trzewia.

- To dobrze, Alaino, że już wyszłaś za mąż, bo mogłabyś skończyć jako kochanka jakiegoś europejskiego księcia. Jesteś stworzona do miłości.

Jego bliskość zagrażała jej własnemu opanowaniu.

- Wyszłam za mąż? Na zasadzie tymczasowego układu? Z pełnomocnikiem wysłanym do odległego stanu, żeby wymienił słowa przysięgi z nie mającą innego wyjścia kobietą? Pan to nazywa wyjściem za mąż?!

- Tak. - Ręka Cola wyciągnęła się, żeby sprawdzić jedwabistą gładkość nagiego ramienia. - Prawomocnym i uznawanym przez każdy sąd.

Umknęła przed jego dotknięciem, i tak już z trudem łapiąc oddech.

- Nazwałabym to raczej ugodą.

- Oczywiście - rzekł zduszonym głosem. - Ugoda, żeby udobruchać twego wuja i nakłonić go do podpisania papierów. Jakkolwiek by na to patrzeć, jesteś moją żoną.

- W czystości i wstrzemięźliwości - Alaina ciągnęła swoją myśl. Skupiona na tym, by wyrazić swoje zdanie,

nie odebrała w pełni znaczenia tego, co powiedział Cole. Serce jej tłukło się dziko w piersiach, bardziej niż wymagałaby tego zwykła obojętność.

- Jesteśmy mężem i żoną - powiedział chrypliwie. - Cóż za czystość i wstrzemięźliwość ma to oznaczać?

- Jesteśmy doktorem Cole'em Latimerem, rannym bohaterem Unii - mówiła głosem beznamiętnym i płaskim - oraz Alaina MacGaren, ściganą za morderstwo, zdradę, rabunek, szpiegostwo i tym podobne zbrodnie.

- Jesteś tu, ponieważ się z tobą ożeniłem.

Zaśmiała się.

- Jestem tu, bo nie miałam innego wyboru.

- Wyboru! O tak, w istocie. - Zignorował jej gniewne słowa. - Ty jesteś wyborem, moja miłości - poglądził delikatnie, jakby z obawą, jej lśniące włosy. - Samą śmietanką.

Jego ciepłe słowa i łagodna pieśczość wywołały natychmiastowy odzew tam, gdzie zupełnie sobie tego nie życzyła. Ta niesubordynacja własnego ciała nieco ją zdenerwowała. Sądziła naiwnie, że płomień, który rozniecała w niej obecność Cole'a, do tej pory już przygasł. I jeśli nie stłumiła go całkowicie cała ta obraźliwa propozycja, przynajmniej nie będzie łatwo rozpalić go na nowo. Lecz coraz bardziej uprzytomniała sobie, jak błędny był to wniosek. Pod dotknięciem Cole'a cała płonęła. Był to fakt trudny do zaakceptowania przez jej dumę, zwłaszcza że to on zaproponował cnotliwe małżeństwo. Więc czego od niej oczekiwał? Że będzie mu służyła do spełniania zachcianek?

- Lekko pan traktuje słowo: miłość. To uczucie powinno być najważniejszym sprawdzianem wierności i oddania jeszcze przed złożeniem ślubów.

Cole schylił twarz ku jej włosom i wdychał ich zapach. Alaina poczuła przechodzący ją dreszcz. Odsunęła się w stronę ściany, żeby przerwać ten zbyt intymny kontakt.

- Proszę się opanować - ostrzegła. - To nie mieści się w naszej ugodzie.

- Do diabła z ugodami i sprawdzianami! - burknął Cole. - Potrzebujesz tego, co może ci dać tylko mężczyzna, a ja nie pozwolę tego robić nikomu oprócz mnie.

Odciągnął ją od ściany i unióś w ramionach, torpedując jej wysiłki osłonięcia nagiego ciała.

- Majorze! - oddychała ciężko. - Ta gra zaszła za daleko. Proszę mnie puścić!

- Gry są dla dzieci, kochanie. A to jest coś więcej, coś pomiędzy mężczyzną a jego kobietą. - Wpatrzony w nią płonącymi oczami, poprowadził ją w stronę łóżka. - Nie będziemy niczego udawać w naszym małżeńskim łóżu.

Ukląkł na materacu, położył Alainę i zanim zdążyła się wyrwać, oplótł ją ciasno ramionami. Półożąc na niej, przygwoździł jej rękę przytrzymującą pantalon. Nie śmiała się ruszyć, by przypadkiem nie dotknąć do tej części jego ciała, która mogła zburzyć cały jej system obrony.

Miała jeszcze żywo w pamięci, jak walczyła z nim tamtej pierwszej nocy i jak bezcelowy był jej fizyczny opór wobec jego niezachwianego dążenia. Był teraz w podobnym stanie. Najwyraźniej nie zamierzał jej puścić, dopóki ich małżeńskie ślubowanie nie zostanie przypieczętowane fizycznym aktem namiętności.

Powoli sunął palcami w dół jej ręki ku dłoni ściskającej rozwiązana bieliznę. Po drodze pogłaskał kciukiem miękki czubek jej piersi, co przyspieszyło jej oddech i bicie serca. Potem delikatnie wziął jej dłoń, pocałował czule i założył sobie jej rękę na szyję. Wreszcie poszukał ustami jej warg. Pocałunek był ulotny, lekki, przekorny. Język Cole'a musnął zarys jej warg, które drżały, pomimo jej usilnego przywoływania siebie samej do porządku. Poczuła jego ciepły oddech przy uchu i lekkie kąśnięcie zębów w dole szyi, a wraz z tym dreszcz przyjemności. Zamknęła

oczy, odprężyla się i poddała. Lecz zaraz je otworzyła i westchnęła głośno. Cole zdążył już ściągnąć w dół jej szatę i językiem jak ognistym płomieniem sunął ku piersiom dziewczyny. I ją już także skręcał i parzył wewnętrzny płomień. Czula coraz większe napięcie w swym małym płatku róży, coraz bardziej nieprzepatą chęć uniesienia ku niemu bioder i rozchylenia nóg, by pozwolić jego twardej maczudze wypełnić jej grotę rozkoszy.

Lecz resztki tkwiącego w niej rozsądku podniosły straszliwy alarm, rozpaczliwie protestując przeciwko roztapianiu się woli. Nie! Powstrzymaj go! - grzmiał wewnętrzny głos. Odsuń go! To był jego pomysł z umową! Niech się jej trzyma! Jej umysł podjął normalną pracę. Ujrzała w Cole'u rozpieszczone dziecko, które nigdy nie słyszało słowa: nie! Miał każdą kobietę, której zapragnął. Ile czasu minie, gdy spodoba mu się kolejna? Alaina obudziła w sobie gniew i pokierowała nim tak, że jej ciało przestało reagować na jego pieszczoty.

Ręka Cole'a zsunęła się w dół i ściągnęła z niej pantaloney. Pogładził jej gładkie biodro. Jego palce błądziły pod materiałem, zbliżając się do łona, a wargi znów poszukały jej warg. Alaina odwróciła głowę w bok, unikając pocałunku.

- Więc o to chodzi? - szepnęła. - Tak samo jak wtedy?

Uniósł się nieco, zdziwiony jej pytaniem.

Złożyła usta w słodkim uśmiechu i patrzyła prosto w błękit jego rozżarzonych oczu.

- Dostałam już biżuterię. Na co mam zapracować tym razem? Na ubranie? - Zabrała rękę z jego szyi i dotknęła medalionu, połyskującego złotem na jej delikatnej, białej skórze. - Ma pan jeszcze jeden taki, majorze? - Zaśmiała się cicho. - Jest pan hojny w zaspokajaniu swych zmysłów.

Łagodny ton nie pozbawił jej słów ironii i goryczy. Cole poczuł, jak jego podniecenie słabnie pod ich żądłem. Chcąc to zignorować, pochylił się znów nad ustami Alainy.

- Czy tak samo czułym oddaniem zmuszał pan do uległości Robertę? - padło niewinne pytanie.

Cole zazgrzytał zębami i odwrócił od niej wściekle spojrzenie. Przetoczył się po łóżku i popatrzył z płomienną furią. Alaina usiadła, nie spuszczając z niego wzroku i ponownie zasłaniając nagie ciało.

- I co, nie jestem warta tej ceny? - rzuciła z zamierzoną zjadliwością.

Zaklął szpetnie, złapał ubranie i buty, wyszedł z pokoju i zniknął jej z oczu. Chwilę później Alaina stanęła w drzwiach okryta swą długą peleryną. Patrzyła, jak Cole pospiesznie i nerwowo zapina spodnie. Potem usiadł, by wciągnąć buty, ale wkładając prawy, skrzywił się. Wyprostował nogę i rozmasowywał udo, jakby nagle poczuł w nim ból. Gdy podniósł oczy na nią, zobaczył, że jest tym przejęta.

- Nie lituj się nade mną, droga pani - mruknął. - Nie jestem jakimś kaleką, zebrzącym o okruchy współczucia. Twoje pokrewieństwo z Craighughami widać jak na dłoni.

Uniosła brodę, trochę urażona jego komentarzem.

- Czy dotrzymanie słowa jest dla pana ciężarem nie do udźwignięcia?

- Moja pani, twój ostry język tnie głębiej, niż kiedykolwiek udało się tego dokonać Robercie. Tak samo jak ona, masz zdolność kuszenia mężczyzny do momentu, aż padnie przed tobą na kolana, by potem nagle brutalnie zdusić jego męskie zapały.

- Twierdzi pan, że zwykła odmowa z mojej strony pozbawia go męskości?

Spojrzał na nią z kamienną twarzą, po czym wstał i wziął surduty oraz laskę.

- Poddaję się - mruknął. - Sprowadzę powóz i zawiozę cię do domu.

Gdy szedł, utykając, do drzwi; Alaina przypomniła mu cicho:

- Zapomniał pan kapelusza.

Cole obejrzał się ze zdumieniem i niedowierzaniem. Od czasów dzieciństwa nie zdarzyło się, by ktoś igrał z nim w ten sposób. Nawet Roberta wiedziała, kiedy dać sobie spokój. Nie chcąc dawać upustu wściekłości, wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi. Spłoszony boy hotelowy odsunął się pospiesznie, widząc jego gniewny wzrok.

Alaina została znów sama, lecz nie czuła się bynajmniej z siebie zadowolona, a nawet się obawiała, że tym razem przesadziła.

28

Droga wiodła na północny zachód, wymijając liczne pagórki i przedzierając się przez wysokie lasy wiązowo-dębowe, gdzie ciemne od deszczu barwy jesieni mieszały się z zielenią porozrzucanych tu i ówdzie sosen. Wichura, która zaciągała ulewnym deszczem o powóz, gdy wyjeżdżali z miasta, ponownie zelżała. Także i deszcz zmniejszył się i mżył już tylko, wirując z wiatrem. Tak jakby decyzja Cole'a, że pojedą do domu, zmusiła żywioły do ustąpienia im z drogi. Krajobraz majaczył w deszczu. Krople drżały na czubkach długich igieł, a na ziemi gruby dywan mokrych liści szeleścił pod kopytami koni.

Alaina siedziała w kącie powozu milcząca i spięta. Widziała profil Cole'a na tle okna i jego zmarszczone gniewem czoło. Zajął miejsce obok niej i wyprostowaną prawą nogę oparł o siedzenie naprzeciwko, by łatwiej znieść długą podróż. Choć równy i szybki krok świetnie dobranej dwójki koni pokonywał milę za milą i zmierzch ściemniał już ołowiane niebo, nie zamienili między sobą zbyt wielu słów. Była to jednak cisza wypełniona myślami. W ich duszach nie panował spokój.

Droga biegła teraz wzdłuż rzeki. Gdy zbliżyli się do ostrego zakrętu, powóz zwolnił. Nagle gdzieś z daleka ciszę leśną przeszył krzyk. Olie ściągnął lejce i zatrzymał konie. Cole zdjął nogę z ławki i wychylił się przez okno. Alaina patrzyła na niego wystraszona. Nie była z natury lękliwa, ale nasłuchiwała się tylu strasznych historii o Siuksach, że dość niepewnie czuła się w otaczającej ich głuszy. Uspokoila się, gdy Cole usiadł z powrotem i oparł się wygodnie, po czym wyciągnął ze srebrnej papierošnicy cygaro.

Wkrótce przez małe tylne okienko powozu Alaina dostrzegła usiłującego ich dogonić mężczyznę na koniu. Gdy podjechał bliżej, zobaczyła, że jest ubrany jak dzentelmen, choć w niewyrafinowany sposób, i że jest przystojny. Był to rostry mężczyzna, o szerokich barach i okazałej klatce piersiowej. Spod runda kapelusza sterczały zakręcone do góry, rudobrazowe kosmyki włosów. Zatrzymał konia przy powozie i zahaczając kolaniem o róg siodła oraz podpierając się na łokciu, zajrzał do ciemnego wnętrza pojazdu.

- Do licha. Cole'u! - zaklął. - Zapomniałeś, że masz sąsiadów?

Cole spojrział na mężczyznę i nic nie odpowiadając, niedbale zapalił zapałkę, a od niej cygaro. Wyraźnie nie zrażając się obojętnością majora, nieznajomy zeskoczył z konia i podszedł do tyłu powozu, gdzie przywiązał cugle. Potem wrócił, otworzył sobie drzwiczki powozu i z manierą cechującą kogoś wyższego rangą lub bardzo śmiałego wrzucił kapelusz na wolne siedzenie i dosiadł się do dwójki pasażerów.

- Mogłeś przynajmniej wstąpić i pokazać nam swoją nową żonę - strofował Cole'a. Zapukał ręką w dach i krzyknął do Olięgo: - Jedź dalej. Odprowadzę was do domu. Rozsiadł się naprzeciwko i z uśmiechem przyglądał się Alainie. - Cole'u, jak długo mam czekać? Czy może sam się mam przedstawić?

Cole niechętnie przystąpił do formalności.

- Alaino, chciałbym ci przedstawić jednego z naszych sąsiadów, pierwszego i najbliższego. Doktor Braggar

Darvey.

Ostrożnie wyciągnęła rękę, niepewna, czy to nie jakaś gra. Gość ujął jej palce i z galanterią złożył na nich pocałunek.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani Latimer. - Gdy powóz ruszył, zaparł się rozstawionymi szeroko solidnymi nogami, wypełniając sobą prawie całe siedzenie, wziął się pod boki i westchnął. - Chcę tylko zauważyć, że zawsze przeklinam dzień, w którym mój ojciec, Panie świeć nad jego duszą, spojrzal na swego pierworodnego i wpadł na pomysł, by mu nadać imię pradziadka. - Gdy to mówił, jego głos brzmiał coraz bardziej z irlandzka, a błysk w oku zdradzał czający się śmiech. - Z całą pewnością to wspaniałe imię i mój zacny przodek przewróciłby się w grobie, gdybym śmiał nie być z niego dumny. Ale wymówienie go prawidłowo wymaga wprawnego i trzeźwego języka. - Pochylił głowę w stronę Cole'a, który nie dając się wciągnąć w tę paplaninę, cały czas patrzył przez okno. Zwrócił się zatem do Alainy ściszym tonem, jakby powierzał jej największy sekret. - Pijackie przejęzyczenie nie jest warte mego gniewu i należy je zignorować. Skoro pani małżonek nie raczy się poprawić, ja to zrobię. - Wyprostował się i obwieścił mentorskim tonem: - Mam na imię Braegar, wymawia się B-r-a-e-g-a-r. Proszę spróbować.

- Brai-gar - zaczęła Alaina powoli. - Braegar Darvey!

- Świetnie, na Boga! - zagrzemiał osiłek. - Pani musi być słodką dziewczeczką z zielonej ziemi.

Alaina ze śmiechem oznajmiła z twardym akcentem:

- Proszę pana, mój ojciec był Szkotem z gór. Mogę panu pokazać naszą rodową kratę i herb.

- No, to jesteśmy prawie spokrewnieni. Irlandczycy i Szkoci zrobili wiele dla tego kraju, zgodzi się pani?

- Oczywiście! - przytaknęła z uśmiechem.

Cole prychnął z dezaprobatą, ściągając na siebie uwagę obojga rozmówców.

- Ponieważ ten poczciwy człowiek, doktor Latimer, jest tak małowówny, sam podtrzymam konwersację - oświadczył Braegar, zakładając nogę na nogę i kładąc na kolanie szpicrutę. - W dawnych czasach - oparł się wygodnie i westchnął, sięgając w głąb pamięci - Latimerowie i Darveyowie byli prawie jedynymi mieszkańcami w tych okolicach. Cole i ja wychowaliśmy się niemal jak bracia, zwłaszcza po śmierci jego matki i owdowieniu mojej. Ale wojna nas podzieliła i pani mąż jakoś nie może przełamać swej zazdrości wobec mnie - uśmiechnął się nieco szelmowsko. - A tak naprawdę, droga pani Latimer, to ja powinienem mu zazdrościć. Tych podróży, przygód i całej reszty.

Alaina czuła, że Cole nie jest szczególnie zadowolony z obecności Braegara Darveya. Od momentu, gdy tamten pochylił się nad jej dłonią, czoło jej męża coraz bardziej się chmurzyło.

- Co do mnie, doktorze Darvey, cieszę się, że jest pan przyjacielem domu, a nie poluje na mój skalp.

Braegar roześmiał się głośno i serdecznie, zdradzając ogromną radość życia.

- Domyślam się, że opowiadają o naszym stanie niesamowite historie. Najmocniej przepraszam, jeśli panią przestraszyłem.

- Przestraszyłem to delikatnie powiedziane, mój panie. - Alaina posłała mu miły uśmiech. - Przeżyłam chwile panicznego strachu w oczekiwaniu na atak czerwonoskórych. Pana krzyk brzmiał przerażająco. I tak to sobie wyobraziłam. - I zapytała już poważnie: - Ale jako prawie... brat mego męża, czy pan również był w armii?

Odpowiedział z lekkim rozbawieniem:

- Mam pewien defekt, który mi to uniemożliwił.

Zdziwiła się, bo wyglądał na silnego i zdrowego. Nie dostrzegła w nim żadnej ułomności, lecz nie wypadało jej dalej wypytywać. Mogła to być sprawa bardzo osobista.

Braegar zauważył jej pomieszanie.

- To rodzaj defektu umysłowego...

- Jest obłąkany! - wtrącił Cole.

Irlandczyk pospieszył z wyjaśnieniem.

- Chodzi o to, że ja od początku wiedziałem, iż rygory wojska nie zgadzają się z moją delikatną naturą.

- Naprawdę chodzi o to - burknął Cole - że jest kompletnie niezdyscyplinowanym obwiesiem!

Alaina spojrzała na męża przerażona jego nieuprzejmością. Braegar spoważniał i też zmarszczył czoło, jakby chcąc się wczuć w nastrój swego sąsiada.

- Pani mąż zazdrości mi prostego charakteru - powiedział z żartobliwą naganą. - Przez ten kawałek złomu w nodze zrobił się z niego cholernie przykry facet. - Posłał Alainie szeroki uśmiech. - Gdyby ten wilkołak za bardzo pani kiedyś dokuczył, proszę pamiętać, że ma pani schronienie nieopodal. A taka piękność jak pani, pani Latimer, zawsze będzie tam mile widziana. W gruncie rzeczy chętnie bym panią ukradł temu ponuremu typowi.

Odpowiedziała mu z dobrodusznym uśmiechem:

- Spodziewam się, miły panie, że składając tak odważną propozycję w obecności męża damy, nie mówi pan tego poważnie. - Uniosła ślicznie wykrojone brwi i z rozbawieniem dodała: - Będę jednak musiała zachować ostrożność, przebywając z panem na osobności.

- O nie... - Braegar bawił się rozmową. - Cole jest za dobrym strzelcem, bym ryzykował podkradanie mu żony.

- Ależ to znany lubieżnik - mruknął ze złością Cole, nie odrywając oczu od mijanego lasu, który w gęstniejącej mgłę wyglądał już tylko jak cień. - Jest gotów zhańbić każdą kobietę, która da się zwieść jego kwiecistej wymowie.

Braegar skwitował tę uwagę długim, głębokim westchnieniem.

- Moja rodzina także na mnie narzeka, a matka wręcz grozi wydziedziczeniem. Nie wyobraża pani sobie, jak kobiety nadużywają mojej delikatnej natury.

Przekonana, że to wszystko żarty, Alaina zachichotała, lecz krzywe spojrzenie Cole'a i jego uniesione brwi szybko przywołały ją do porządku. Pochyliła głowę i zaczęła gorliwie wygładzać futro na kolanach, a wtedy Cole zauważył z niesmakiem, że znów włożyła swój czarny kapelusz, dobrze wiedząc, jak go to denerwuje.

Nieświadomy napięcia między małżonkami, Braegar mówił:

- Mama oczekuje twej rychłej wizyty, Cole'u. Uparła się, że musi sama zaaprobować twoje małżeństwo, i nie może się doczekać, kiedy ujrzy twą żonę. Jeśli to możliwe, chętnie widziałaby was oboje jutro na kolacji.

Cole skrzywił się:

- Niestety, przyjeżdża do nas w ważnych sprawach pełnomocnik ze wschodu. - Wzruszył ramionami, widząc zafrasowaną twarz Alainy. - Jednak nie widzę powodu, żeby nasza jutrzejsza kolacja ograniczała się do omawiania interesów. Jeśli chcesz, przyłączcie się do nas razem z Carolyn i twoją mamą. Jestem pewien, że Alaina je polubi.

Braegar spytał z udawaną powagą:

- Czy ja także jestem zaproszony?

- Sądzę, że Annie będzie zachwycona twoją obecnością - odparł szorstko Cole. - Wy, Irlandczycy, zawsze

Igniecie do siebie.

- Annie to wyjątkowy skarb - zaśmiał się Braegar. - Powinieneś o tym wiedzieć, Cole'u.

Cole ostrożnie strzepnął popiół z cygara.

- Nie musisz mnie pouczać, kogo mam cenić, a kogo nie.

Braegar spojrział wesoło żywymi brązowymi oczami na Alainę, ignorując fakt, że twarz obserwującego to Cole'a zastyga w bezruchu.

- Myślę, że zawsze radziłeś sobie dobrze bez mojej pomocy. Ale obecna młoda żona to jak do tej pory twój najlepszy wybór. - Mrugnął do Alainy i dodał: - Gdyby jutro interesy bardzo cię zaprzętały, chętnie zajmę się jej zabawianiem.

Chłodne jasnyniebieskie oczy spojrzały na niego bez emocji, a potem powoli i z rozmysłem Cole wyjął z ust cygaro, obrócił je nieco i popatrzył na zarzający się koniec.

- Będę więc musiał wziąć pod uwagę twoją obecność i odpowiednio ją przed tym chronić.

Na przyjaznej twarzy Braegara Alaina dojrzała ślad niepokoju.

- Ej, Cole'u, chyba nie wątpisz tak naprawdę w moją reputację?! Czyżbyś wierzył tym szkalującym plotkom?!

Alaina nie potrafiła odgadnąć, czy twarz Cole'a wyraża złość, czy rozgoryczenie. Mięśnie jego policzków zastygły, jakby dławił w ustach odpowiedź. Zgasił cygaro i przez jakiś czas zawzięcie patrzył w okno.

Powóz toczył się dalej pośród wysokich drzew, to wyjeżdżając nad rzekę, to znów zanurzając się w las. Z nieba powoli znikła zamglona poświata, za to od północno-zachodniej strony szły ciężkie chmury, rozświetlane przez błyskawice. Wiatr szalał w wierzchołkach drzew, poruszając gałęziami i rozpryskując krople wody, podczas gdy przy samej ziemi tylko lekko szumiał między pniami. Dopiero gdy wyjechali z zacisza lasu, otworzyły się przed nimi wrota nawałnicy. Gwałtowne porywy wichury smagały ziemię i ciskały w konie garściami liści.

Na moment ukazała się oczom Alainy rezydencja z szarego kamienia, stojąca na wysokiej skale nad brzegiem rzeki. Potem powóz skręcił i widok budynku przesłoniły drzewa. Wkrótce pojazd zatrzymał się przed wysokim domem. Olie zeskoczył z kozła, by jak najszybciej wyprząc płochliwe konie, a Cole otworzył powóz i wysiadł pierwszy, podpierając się laską. Ocenił wzrokiem kłębiące się już nad ich głowami ciemne, szarobure chmurzyska, spojrzął na swych pasażerów i zwrócił się raczej oschle do Braegara:

- Nie dojedziesz do domu przed burzą. Lepiej zostań u nas na kolacji.

Rosły sąsiad wyszedł z powozu i zatknąwszy kciuki w kieszeniach kamizelki, odchylił głowę, by spojrzeć na wiszący nisko, skłębiony pułap nieba. Nagły poryw wiatru targnął drzewami, zmuszając je do szaleńczych akrobacji, a na niebie roztańczyła się ogromna błyskawica.

- Pomogę Oliemu zaprowadzić konie do stajni - oznajmił, machając na powitanie Peterowi. Syn stangreta biegł już przez ganek, by pomóc ojcu rozładować pojazd. Z figlarną miną pociągając się za ucho i szczerząc zęby w uśmiechu, Braegar zwrócił się do Cole'a tak, żeby Alaina nie usłyszała: - Nie chciałbym się wtrącać w wasze sprawy, zwłaszcza co do nocy poślubnej, ale na twoim miejscu. Cole'u, zostałbym w hotelu w mieście jeszcze trochę, zanimbym przyjechał do tego pełnego służby domu.

Trafił celniej, niż przypuszczał. Zaśmiewając się z własnego dowcipu, wskoczył na swego wierzchowca i popędził w dół po zboczu wzgórza. Cole stał z zachmurzonym czołem.

Alaina przysunęła się do drzwi powozu, a Cole zbliżył się i pomógł jej zejść. Na ustach błąkał mu się dziwny, jakby ironiczny uśmiech. Stał z boku i wskazując na ciemny kształt domu, rzekł kpiąco:

- Pani, witaj w domu Latimerów.

Dom otaczały sosny, cedry i nieliczne skarłowaciałe drzewa liściaste. Przyginane wichrem i drżące od zimowych chłódów, przytulały się do niego szczelnie, zasłaniając prawie wszystkie okna niższego piętra. Pomiędzy tą zielenią wznosiły się proste, płaskie, nieco do środka pochylone ściany z ciosanego kamienia. Ściany wyższej kondygnacji, zbudowane z cegły, były bardziej wyszukane. Górne okna, wysokie i wąskie, o małych szybkach z kryształowego szkła, rozjaśniały się raz po raz błyskiem piorunów. Z przodu do domu dobudowano ganek. Stromy dach z trójkątnym szczytem sterczał hardo w górę, a dwie wieże wznoszące się z dwóch stron ponad okapami łączył taras z nadzwyczaj ozdobną żelazną barierką. Całość, oświetlona resztkami dnia, sprawiała wrażenie dziwacznej, szaro-czerwono-czarnej sylwetki na tle rozgniewanego nieba.

Przez chwilę Alaina wyobraziła sobie, że to jakaś potężna, mityczna, wielooka bestia przysiadła na grzbiecie skały, przywierając do niej z lękiem i przyglądając się badawczo nowo przybyłej w obawie przed tym, jakie nowe nieszczęścia ze sobą sprowadza. Skarciła się w myślach za tak głupią wizję i stłumiła złe myśli. Nic przecież nie wie o tym miejscu, a jeśli się postara, niebawem te ściany mogą rozbrzmiewać śmiechem. Zbyt dużo ostatnio zaznała bólu i cierpienia. Nadszedł czas, by zapomnieć o starym życiu i zacząć szukać lepszych stron w tym, co przyniesie los.

Alaina zamrugała oczami, strząsając rzucane przez wiatr krople deszczu, i spojrzała na Cole'a. Wskazując głową na dom, usiłował przekrzyczeć wiatr:

- Chodźmy do środka, zanim zacznie się burza!

Porywisty wiatr chłostał ich twarze i łopotał ubraniami. Zmagając się z jego siłą, ściągana w tył szerokimi spódnicami, Alaina szła z wielkim trudem. Wtem nagły poryw wichru zerwał z jej głowy czarny kapelusz. Nim zdołała go przytrzymać, luźno związane pod brodą wstążki puściły i kapelusz poszybował w przestrzeń, tańcząc z radości, że już go nikt nie złapie.

- Niech leci! - krzyknął Cole, nie kryjąc zadowolenia.

Alaina patrzyła bezradnie, jak jej nakrycie głowy na zawsze znika w ciemnościach. Zgarniając do tyłu rozwiewane przez wiatr włosy, spojrzała na Cole'a. Zatrzymał się i z ukontentowaniem obserwował odlot kapelusza.

- Nie musi pan się tak cieszyć - rzuciła ostro i wyprzedziła Cole'a, pomimo iż wiatr szarpał jej suknie.

Cole uśmiechnął się kwaśno i podążył za nią. Byli jeszcze na schodach, gdy spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Zwiastowały ulewę, która nastąpiła w chwilę potem. Weszli na ganek. Masywne, dębowe drzwi otworzył przed nimi wysoki, żyłasty mężczyzna. Kamerdyner odsunął się na bok, gdy wchodzili, i wziął okrycie od Cole'a.

- Nie sądziliśmy, że pan dzisiaj wróci. Murphy wspomniał, że zamierza pan zostać w hotelu.

- Zmiana planów, Milesie - odparł Cole, biorąc okrycie od Alainy. Cole przedstawił żonie służącego, po czym oznajmił: - Zaraz będzie tu doktor Darvey. Czy mógłbyś poprosić Annie, żeby przygotowała kolację?

Kamerdyner skinął głową, biorąc resztę ubrania i przyglądając się ukradkiem swej nowej pani. Suknia na niej była ponura i nieciekawa, a nawet znoszona, lecz jej właścicielka rekompensowała to wdziękiem i miłą dla oka postawą. Wyglądała na spokojną i opanowaną, lecz bystrą. Przypuszczał, że nic nie umykało uwadze jej szarych oczu. Gdy spojrzała na niego, dostrzegł w nich rozbijającą łagodność i uczciwość. Mimo to postanowił obserwować tę panią z jeszcze większą uwagą. Pierwsza pani Latimer także była piękna, a w krótkim czasie wyszła na jaw cała płytkość jej charakteru.

Młodzieniec o imieniu Peter stał w dole głównych schodów i też przyglądał się nowej pani. Przechodząc koło niego, Miles szturchnął młodzika, by mu przypomnieć o obowiązkach. Uśmiech zmieszania, z jakim przywitał Alainę, ustąpił zawstydzeniu i chłopak pomknął w górę po schodach, targając jej skrzynię.

- Olśniłaś młokosa - zauważył Cole szorstko, gdy Peter zniknął. - Był wyraźnie w szoku.

Alaina zeszła po stopniach wiodących z małej sieni do holu i idąc, pocierała dłońmi ramiona. Wewnątrz domu panowało przenikliwe zimno.

- A może boi się pana, majorze.

- Nigdy przedtem tak się nie zachowywał.

- Nie mogę osądzić, więc nie będę się spierała, ale nie podejrzewam, by sama moja obecność zakłóciła spokój pana domownikom, choć na pewno pan uważa - obróciła się częściowo ku niemu - że, jak to pan sam ujął, podnoszę nie tylko na duchu. - Zmierzyła go chłodnym wzrokiem. - Zapewniam pana, że nie takie są moje intencje.

By skierować uwagę na coś mniej irytującego niż rozbawiony wzrok Cole'a, Alaina rozejrzała się wokół. Lampy naftowe nie były w stanie całkiem rozproszyć półmroku panującego w korytarzu. Ściana naprzeciwko wejścia zabudowana była schodami z drewna palisandrowego. Były masywne i bogato rzeźbione. Dominujący w nich motyw winorośli powtarzał się również na filarach i postumentach w całym holu. Wnętrze było raczej zbyt jaskrawe i przeładowane, choć wszystko lśniło typową dla pana domu czystością.

Opierając obie dłonie na lasce. Cole skomentował posepnie:

- Przyzwyczaisz się do tego z czasem.

Speszona tym, że pewnie za bardzo okazuje swą niechęć, Alaina pogładziła rzeźbiony filar i powiedziała:

- Właśnie podziwiałam snycerkę...

Jej mąż zszedł po dwóch stopniach oddzielających wejście od holu i spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Zawsze szanowałem szczerść twych opinii, Al, nawet jeśli były dalekie od komplementów. Czyżbyś zrezygnowała ze swych zasad po to, by zrobić przyjemność Jankesowi?

Alaina zeszywniała na tę kpinę, lecz nie spuszczać z tonu, odparła ostro i z przekąsem:

- Jakikolwiek miałam zasady, zostały tak dokładnie zszargane, że niczym już nie przypominają jasnych i świetlanych idei mej młodości. - I dodała łagodniej: - Obawiam się, że to jeden z elementów dojrzewania, koszt, jaki płacimy wszyscy, rezygnując z marzeń i zadowalając się rzeczywistością.

Cole uśmiechnął się już bez śladu niechęci:

- Dobrze powiedziane, droga pani.

Alaina spojrzała jeszcze bardziej niepewnie. Była to zapewne pochwała, lecz podchodziła do niej nieufnie. Na dodatek w jego oczach zobaczyła ciepło i radość, co tylko pogłębiło jej zmieszanie. Potem Cole powoli uniósł wzrok ponad jej głowę i zerknął na górę schodów. Podążyła za jego spojrzeniem, ale nie widziała tam nic prócz mroku i cieni.

- Mindy? - zapytał Cole łagodnie.

Alaina patrzyła na niego, usiłując odgadnąć, co widzi w ciemnościach za balustradą. Dobiegł stamtąd jakiś szmer, lecz gdy spojrzała ponownie, zobaczyła może tylko o jeden cień mniej.

Po chwili usłyszeli szybkie kroki z przeciwnej strony. Do schodów na górze szła ciemnowłosa kobieta w szeleszczącej, taftowej sukni. W cieniu na szczycie schodów zatrzymała się i popatrzyła w dół na hol. Przez

ułamek sekundy zdawała się być iluzją lub nie dokończonym portretem, poniechanym przez jakiegoś artystę, kiedy się zorientował, że jego modelka przekroczyła już wiek, gdy kobieta jest piękna, a on niechcący to uwiecznił. Czarne włosy przetykane siwizną miała zaczesane do tyłu i upięte nisko w surowy kok. Do czarnej sukni ze sztywnymi białymi mankietami i kołnierzykiem przypięty był długi, płócienny fartuch. Coś w jej stroju przypomniało Alainie jej własny ponury wygląd.

- Dobry wieczór panu. I pani - przesunęła po Alainie ciemnymi oczami, wyrażając lekkie zaskoczenie na widok wdowiego stroju. - Peter wniósł na górę pani bagaż, ale nie wiem, który pokój mam przygotować.

Żeby ukryć gniew, który go nagle ogarnął, Cole wyciągnął z kieszeni zegarek. Sama myśl o ich przymusowej separacji doprowadzała go do szału.

- Pani Garth, proszę zaprowadzić moją żonę na górę. Niech sama wybierze - rzucił sucho.

Kobieta statecznie kiwnęła głową i spojrzała na swą nową panią.

- Proszę, niech pani idzie ze mną.

Alaina szła po schodach sztywno, wiedząc, że Cole na nią patrzy. A więc - myślała - dostałam prawo wyboru, lecz jednocześnie wykluczono z niego pokój pana domu. Był gotów się z nią zabawiać, kiedy go najdzie ochota, ale to wszystko, czego chciał od małżeństwa... i od niej.

Gospodyni prowadziła ją górnym korytarzem wzdłuż balustrady.

- Pokażę pani pokój zmarłej pani - oznajmiła. - Najbardziej elegancki, z widokiem na rzekę. Przedkładała go nad inne, mniejsze pokoje.

- A pan? - nie mogła się powstrzymać Alaina. - Gdzie śpi?

Gospodyni to pytanie nie zdziwiło.

- Doktor Latimer sypia, gdzie mu się podoba, proszę pani. Chyba że dokucza mu noga. Wtedy, jak sędzę, nie śpi wcale.

Pani Garth otworzyła drzwi, weszła do środka ciemnego pokoju i zapaliła lampy. Oczy Alainy powoli zaczęły rozróżniać szczegóły wnętrza. Ściany pokrywał ciemnoczerwony aksamit. Wysoko u sufitu udrapowany był szkarłatny jedwab, zebrany ponad dekoracyjnym żyrandolem ze złota i kryształu, co powodowało, że wnętrze robiło wrażenie wielkiego namiotu. Wszędzie aż kapało od czerwieni i złota. Podłoga wyłożona była wschodnimi dywanami w śmiałe wzory, a przed bogato rzeźbionym marmurowym kominkiem leżały rzucone niedbale wielkie poduchy. Obok stał szezlong z pikowanym obiciem. Jeśli były jakieś okna, zasłonięte je szczelnie ciężkimi kotarami, zakończonymi frędzlami z grubego złotego sznurka. Pośród tego przepychu stało łóże przykryte obficie udrapowanym złotym ałtarem. Całe to aż do przesady bogate wnętrze było krzykliwe i w złym, wulgarnym guście, podobnie jak przeładowane ornamentami barokowe meble.

Pani Garth nie dostrzegła braku entuzjazmu u swej nowej pani i otworzyła wielką szafę. W jej wnętrzu tłoczyły się suknie, które Roberta z zapalem kupowała, a prawie nie nosiła. Sam ich widok podziałał na Alainę otrzeźwiająco. Bez słowa wyjaśnienia odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Po drugiej stronie korytarza były uchylone inne drzwi. Instynktownie otworzyła je szerzej. W porównaniu z komnatą, którą widziała przed chwilą, ten pokój był surowy i prawie pusty. W ceglany kominku dawno nie palono, bo nie było śladów popiołu. Alaina poczuła dotkliwy chłód. Łóże baldachimowe zakryte było zwykłą patchworkową narzutą, a na resztę umeblowania składały się jedynie mały stolik przy łóżku, prosta szafa i duży fotel. Na podłogę ze zwykłych desek rzucono tylko dwa małe dywaniki. Ale ten pokój, usytuowany w narożniku z tyłu domu, miał piękny widok na rzekę i wzgórze na

zachodzie. W oknach wisiały skromne lniane zasłony, a w dzień z pewnością wpadało przez nie mnóstwo słońca.

- Czy ten pokój jest zajęty? - spytała Alaina, gdy pani Garth stanęła za nią w drzwiach.

- Nie, proszę pani.

- Więc powiedz Peterowi, żeby tu wniósł mój bagaż.

- Tak, proszę pani. - Gospodyni weszła dalej i otworzyła drzwi prowadzące do przyległego pomieszczenia, służącego jako łazienka. Stała w nim metalowa wanna, umywalnia z porcelanową miską i dzban oraz inne niezbędne przedmioty. Wyposażenie to było proste, lecz kompletne i wygodne.

W korytarzu na zewnątrz pokoju dały się słyszeć nierówne kroki Cole'a. Wszedł i rozejrzał się z tym samym lekko drwiącym uśmiechem co wówczas, gdy wiatr zabrał jej kapelusz. Na jego skinienie pani Garth szybko wyszła i zamknęła za sobą drzwi wychodzące na korytarz. Unosząc brwi, patrzył przez jakiś czas na żonę, aż tę zdenerwowało nie skrywane rozbawienie w jego jasnych oczach. Posłała mu chmurne spojrzenie, a on się roześmiał.

- A więc nie spodobał ci się pokój czerwony.

Alaina obserwowała go kątem oka, nie wiedząc, dlaczego tak go rozbawił jej wybór.

- Wołałabym już znaleźć się w namiocie sultana, zagrożona zhańbieniem. Przynajmniej z własnego doświadczenia wiem, że potrafię to przetrwać.

Cole zignorował kpiącą uwagę i przekuśtykał do łazienki, gdzie zajrzał do dzbana, po czym odwrócił się do niej, nadal z irytującym ją uśmiechem na twarzy.

- A cóż ci się tak nie podoba w pokoju czerwonym? Roberta go lubiła.

Alaina zacisnęła zęby ze złości.

- Majorze, już raz nas pan pomylił.

- No to mi przypominaj o tej różnicy. - Położył rękę na gałce drzwi po drugiej stronie, lecz zaraz się rozmyślił i wrócił przez pokój do drzwi, którymi wyszła pani Garth. - Niedługo Annie poda kolację - poinformował. - Będę na ciebie czekał na dole w salonie.

Zauważyła, jak prześliznął się po niej wzrokiem. Choć nic nie powiedział, dobrze zrozumiała. Do kolacji musi się odpowiednio ubrać.

Burza nadciągnęła nad dom jak rozszalała bestia. Potężne strugi ulewy uderzały o szyby okien, a pioruny trzaskały i syczały coraz głośniejsze. Mimo tak wielkiego zamętu wstrząsającego nieboskłonem Alaina, schodząc, by dołączyć do mężczyzn w salonie, zdołała zachować przynajmniej pozorny spokój. Wyglądała pięknie i dostojnie. Z niejaką ulgą przebrała się z czarnej sukni w szarą, jedwabną.

Cole stał tyłem do płonącego kominka, a gdy Braegar przerwał nagle w pół zdania i wstał, także i on zwrócił twarz w stronę drzwi.

- Wygląda pani zachwycająco - oświadczył gość, wyszedł jej naprzeciw i podprowadził ją do fotela stojącego vis-à-vis tego, na którym sam siedział. - Pani uroda przyćmiłaby nawet wiosenne kwiecie magnolii.

- Zna pan magnolie, doktorze Darvey? - spytała ze śmiechem tak miłym i delikatnym jak dźwięk srebrnych dzwoneczków w cichą noc zimową.

Wzbudzał on zachwyt w Cole'u, a jego oczy chłonęły urodę żony zajmującej miejsce w fotelu. Jednak w przeciwieństwie do Braegara wstrzymał się od pochwalenia jej wyglądu.

- Przed wojną byłem kilka razy w Luizjanie - odparł Braegar, siadając na swoim fotelu. Z ochotą prowadził rozmowę z tak wytworną i uroczą damą. Uśmiechnął się przewrotnie, mówiąc: - Gdybym wiedział, że pani tam mieszka, przedarłbym się przez najgłębsze bagna, by zabiegać o pani względy.

Cole wtrącił opryskliwe:

- Jej anioł stróż pracował chyba po godzinach.

Nie zrażony wcale Braegar odparł z diabelskim błyskiem w oczach:

- Trudno mi w to uwierzyć. Jednak... została twoją żoną. - Znów skierował wzrok na Alainę i pochylił się, opierając łokcie na swych masywnych kolanach, a w wielkiej dłoni trzymając kieliszek brandy. - Szczerze mówię, zaczynam żałować, że nie zgłosiłem się do armii, by służyć naszej sprawie. Widzę, że Cole otrzymał więcej niż stosowną nagrodę za swe cierpienia. Doprawdy zazdroszczę mu tego szczęścia, że spotkał panią.

Alaina zaśmiała się przyjaźnie.

- A ja zaczynam podejrzewać, że pan jest straszliwym uwodzicielem, doktorze Darvey, i wcale pana nie zraża to, iż jestem mężatką.

- Z mężatką bezpieczniej - mruknął Cole do swego kieliszka. - Nikt nie zliczy, ilu mężom już przyprawił rogi.

Braegar rozłożył ręce żałośnie.

- Jestem zupełnie nieszkodliwy!

- Ciekawe - burknął Cole.

Kiedy wszedł Miles, by obwieścić, że kolacja gotowa, Alaina odetchnęła z ulgą. Jadalnię, podobnie jak inne główne pomieszczenia w domu, cechował nadmierny przepych. Stół był zbyt długi, krzesła przesadnie duże. Wszystko było przeładowane ornamentami i natrętnie pretensjonalne. Cole obserwował jej reakcję, gdy rozglądała się wokół, lecz ona starała się nie okazać po sobie niczego, co znów w jego oczach podważyłoby wiarę w jej szczerłość.

Wykuszone okna wychodziły tu na wschód. Kiedy błyskawica rozdarła ciemności niebios, kryształowe szyby załśniły miriadami deszczowych kropli. W dole pod skałą widać było z okien zakola rzeki, prześwitujące przez kępę otaczających dom drzew.

Cole posadził Alainę przy jednym końcu stołu, sam usiadł przy drugim, a Braegar zajął miejsce pośrodku. Po chwili otworzyły się wahadłowe drzwi do kuchni i energicznie wkroczyła dość tęga, siwowłosa kobieta. W skupieniu wniosła dużą misę parujących ziemniaków i postawiła je na środku stołu, po czym cofnęła się i z satysfakcją odetchnęła. Oparłszy pulchne ręce na biodrach, pozdrowiła Braegara i przyglądała się badawczo Alainie.

- No tak, ślicznotka - zawyrokowała i przedstawiła się. - Jestem Annie, złotko. Annie Murphy. - Zajmuję się kuchnią i przygotowaniem posiłków. - Zerknęła na Cole'a i pokazała kciukiem w jego stronę. - Choć ten człowiek niezbyt docenia moje wysiłki. To wstyd, że muszę się sama przedstawić, bo pan domu jest zajęty dogadzaniem sobie - spojrzała wymownie na towarzyszący mu kieliszek.

- Annie Murphy, jesteś zrzędą - skarcił ją Cole.

- Uch! Będę panu serdecznie wdzięczna, jeśli zatrzyma pan dla siebie te obrzydliwe komentarze. Pan by chyba sobie nie życzył, żebym ja powiedziała, co o panu myślę, prawda?

- Broń Boże!

- Więc niech pan będzie dżentelmenem, jak ten tutaj - skinęła na Braegara. - Ma dobre maniery, zawsze jest

zadowolony i dobrze się wyraża o ludziach. - Przerwała i zwróciwszy uwagę na odległość między panem a panią, ściągnęła usta w zadumie. Wychodząc z jadalni, głośnym szeptem dodała jeszcze jeden cierpki komentarz: - I pan Braegar jest o wiele bardziej życzliwy!

Irlandczyk krztusił się ze śmiechu, Alaina patrzyła zaś na Cole'a z uśmiechem pobłażania, zachwycona rumieńcem, jaki oblał mu twarz.

- Jak się już domyślasz - ostrzegł Cole - Annie mówi i robi to, co jej się podoba. Ponieważ jest tu już co najmniej od dwudziestu lat, wyrobiła w sobie przekonanie, że jej nie zwolnię, i stała się zupełnie krnąbrna.

- Uważam, że jest cudowna! - stwierdziła Alaina i nie pozostawiając czasu na dalsze komentarze, zajęła się całkowicie jedzeniem.

Przez resztę posiłku rozmową zabawiał ją Braegar, Cole bowiem dalej zachowywał milczenie. Zauważyła mimochodem, że jej mąż nie je ziemniaków, tylko mięso i jarzyny, natomiast Braegar pochłania wszystko z apetytem. Kamerdyner Miles usługiwał im bardzo oficjalnie, najwięcej respektu okazując swemu pracodawcy. Zupełnie odmienna od jego rezerwy była promienna bezpośredniość Annie, choć wydawało się, że oboje służący byli ze sobą w dobrych stosunkach. Gdy kucharka kuksańcem w żebra zwróciła Milesowi uwagę na ziemniaki na talerzu Alainya, tylko się uśmiechnął i kiwnął głową.

- Nareszcie ktoś wie, co dobre - oświadczyła, zerkając koso na Cole'a. - Nie tak jak pan.

Cole nie podniósł wzroku, lecz krojąc mięso, mamrotał pod nosem:

- Organizm uczy się tolerować wszystko, jeśli był o krok od wygłodzenia.

- Ach, do czorta z panem! - Annie potrząsnęła głową i poszła do kuchni, mruczając do siebie coś o ludziach, którzy wywyższają się ponad dobrą irlandzką krew.

Ponieważ deszcz zapowiadał się na całą noc, przygotowano łóżko dla Braegara. Burza minęła dopiero grubo po północy. Wszystko ucichło i się uspokoiło. Ziemię spowiły białe smugi mgły, a księżyc bawił się w berka ze wzbijającymi się do góry oparami. Alaina zaszyła się pod kołdrą z pierza, lecz długo jeszcze nie spała, słysząc w pobliżu odgłos znajomych kroków. Czy mogło utrzymać się między nimi cnotliwe małżeństwo po tych wybuchach namiętności, jakie już przeżyli? Miłość, nienawiść, wściekłość, pożądanie, czy te uczucia tak bardzo się od siebie różniły?

W końcu jednak Alaina odplynęła w sen. Odgłosy nowego domu stopniowo oddalały się i powoli, łagodnie zapadła się w tajemniczą krainę snów. Tam płynęła statkiem wzdłuż brzegu jasnoblękitnego morza. Nad jej głową na wyniosłych masztach łopotały szerokie, białe żagle. Rytmiczne skrzywienie masztów wypełniało jej umysł szeptami i westchnieniami, jakby sen pragnął się urzeczywistnić. Potem zbudziła się raptownie i zaraz poczuła, co ją wyrwało ze snu. Obok jej łóżka ktoś stał. Jakaś wysoka postać rysowała się niewyraźnie na tle oświetlonego przez księżyc okna sypialni.

- Cole? - szepnęła.

Drzwi trzasnęły lekko i Alaina popatrzyła na nie. Teraz była już sama. Ale długo jeszcze nie mogła się pozbyć z pamięci tamtego cienia.

29

Alaina obudziła się o świcie i jeszcze przez jakiś czas leżała w ciepłej pościeli, z niechęcią myśląc o chwili, gdy będzie musiała postawić stopy na zimnej podłodze sypialni. Wreszcie zebrała się w sobie, odrzuciła kołdrę i szybko owinęła się szalem. Zimno było przenikliwe. Wyglądający na zewnątrz jak forteca, stojący na wysokiej

skale dom z kamienia i cegły był ciemny i pełen przeciągów. Cienka narzutka nie będzie chroniła przed chłodem, gdy nadejdzie długa i sroga zima, jeśli obecna pogoda była tylko jej niewinną namiastką.

Przebiegła szybko po dębowej podłodze i przycupnęła na wystającym okapie kominka, delektując się resztką ciepła, jaką utrzymywał. Potem ułożyła drzazgi na żarzących się jeszcze drwach i roznieciła ogień. Najpierw zajęły się wiórki, potem ułożone na nich polana. Wkrótce w pokoju zrobiło się cieplej. Alaina podeszła do okna, by po raz pierwszy spojrzeć z niego na okolicę. Widok był tak zachwycający, że wstrzymała oddech. Pośród wspaniałego, pełnego okazałych drzew krajobrazu leniwie toczyła się rzeka, a nad powierzchnią wody unosiła się lekka mgła. Po drugiej stronie rzeki również wznosiła się stroma skarpa.

Siłą zmusiła się do odwrócenia wzroku od okna i poszła do łazienki. Niestety, w małej izdebce nie było wody. Otuliła się szczelniej cienką narzutką i zeszła na dół do kuchni, by poszukać Annie. Na kuchni opalanej drewnem szumiała już woda w dużym miedzianym kociołku. Kucharka, zapytana o wodę, zaczęła gorąco przeproszać i zapewniać:

- Jak tylko się zagrzeje, przyślę z nią na górę Petera, moje złotko. Teraz, gdy już wiemy, że pani wstaje wcześniej, nie będzie więcej opóźnień.

Wracając korytarzem, zauważyła otwarte drzwi do gabinetu Cole'a. Poszła zajrzeć z czystej ciekawości. Wydostawał się stamtąd stęchły odór dymu i alkoholu, aż skrzywiła nos z odrazą. Ale tu przynajmniej mogłaby się poczuć bardziej swojsko. Ściany wyłożone palisandrem zastawione były książkami, a przy wysokich, wykuszowych oknach stało okazałe biurko. Naprzeciwko kominka znajdowała się kanapa wyściełana pikowaną skórą i dwa wysokie skórzane fotele, a pomiędzy nimi niski stół. W pokoju panował męski klimat, bardziej zgodny z osobowością doktora Latimera niż cała reszta domu.

W bladym świetle poranka, sączącym się przez zasłony, Alaina dostrzegła sylwetkę swego męża na fotelu zwróconym przodem do okna. Nogi opierał o kanapę. Przykrywał je gruby wełniany koc. Kołnierz aksamitnego szlafroka otulał mu gardło, więc musiało mu być w nocy zimno. Alaina podeszła cichutko i stanęła za fotelom. Na małym stoliczku podręcznym leżało otwarte drewniane pudełko z długimi cygarami. Obok w ciężkiej szklanej popielnicy tkwiły ich wypalone resztki. Na dnie dużego kieliszka pozostało jeszcze trochę alkoholu. Ogarnawszy to wszystko wzrokiem, zapragnęła nagle popatrzeć na twarz Cole'a. Okazało się, że już nie śpi. Spoglądał na nią. Alaina odruchowo szczelniej otuliła plecy muślinową narzutką. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo zimno jest w tym pokoju.

- Tutaj pan spędził noc? - zapytała cicho z nie skrywaną ciekawością.

Cole podrapał się po zarośniętym policzku.

- Czasem noga zmusza mnie raczej do siedzenia niż leżenia, a nawet wtedy co kilka godzin muszę się poruszać. Ja już się pożegnałem z przyjemnością spokojnego przespania całej nocy.

Słyszając to, przypomniała sobie wysoką postać przy łóżku tej nocy. Bardzo była ciekawa, co myślał, patrząc na nią, jak śpi. Poglądziła palcem brzeg kieliszka i zażartowała:

- Zawsze można zrobić to, co radził Magruder.

Cole zirytował się.

- Twoje współczucie jest wprost nie do zniesienia.

Alaina popukała lekko w kieliszek.

- Pocięsza się pan głównie alkoholem?

- Nie znam niczego innego, co dawałoby mi tyle ukojenia i nie miało żadnych wymagań - spojrzał znacząco.

- Przypuszczam, że mówi pan o swej zmarłej żonie - padła szybka riposta. - Bo ja nie mam żadnych wymagań. Cole zachnął się.

- To prawda! Ale boję się odwrócić plecami, żebyś nie chwyciła przypadkiem do ręki jakiejś broni i nie wzięła na mnie odwetu.

- A ja, drogi panie - uniosła brwi - będę odtąd bardziej pilnowała w nocy swej sypialni. - Cole spojrzał na nią, a ona spytała niewinnie: - Czy może miał pan jakąś sprawę do omówienia?

Sięgnął po cygaro i obejrzał je dokładnie.

- Prawdę mówiąc, droga pani, mamy ze sobą wiele do omówienia.

Alaina pochyliła się i spojrzała mu w oczy.

- Czy mi się tylko zdaje, czy naszą dyskusję zakończyliśmy w hotelu?!

Cole potarł zapalką o paznokieć kciuka i obserwował, jak zapala się jasnym płomieniem.

- Błędnie sądzisz, Alaino. Nasza dyskusja wcale się jeszcze nie skończyła.

Korytarzem ktoś się zbliżał. Usłyszeli krótkie pukanie, po czym do pokoju weszła pani Garth z tacą. Niosła na niej filiżankę gorącej kawy i kryształową karafkę brandy. Postawiła tacę na stoliku obok Cole'a i wlała do kawy obfitą porcję alkoholu. Opróżniła popielniczkę, zabrała brudny kieliszek, przeprosiła i wyszła.

- Tak wygląda pana śniadanie? - spytała Alaina ze zdumieniem.

- Powinnaś spróbować, kochana - odparł ironicznie. - Słyszałem, że rozgrzewa najzimniejsze serca.

- Nie zauważyłam, żeby rozgrzała pańskie, majorze - odcięła się bez zajknięcia, odwróciła się szybko i wyszła, nie słuchając jego burkliwej odpowiedzi.

W swoim pokoju Alaina zajęła się wyborem stroju na czekający ją dzień. Nie miała dostatecznie dużo garderoby, lecz i na tę niewielką ilość nie było miejsca w wysokiej szafie. Ta była bowiem, podobnie jak w dawnej sypialni Roberty, wypełniona po brzegi jej sukniami, pelerynami i szlafrokami. Trzeba będzie znaleźć inne miejsce na przechowywanie ubrań kuzynki - postanowiła Alaina. Nie chciała ich mieć w swoim pokoju.

Wyjęła z szafy stos drogich sukien i rzuciła na łóżko. Za nimi poszły długie i krótkie peleryny, płaszcze, buty, kapelusze. Większość tych ubrań sprawiała wrażenie nigdy nie noszonych. Alaina patrzyła na nie w absolutnym zdumieniu. Stroje odrzucone przez Robertę były wykintniejsze od tych, jakie kiedykolwiek nosiły kobiety w rodzime MacGarenów. Musiały być starannie wybierane, gdyż każdy odznaczał się doskonałym krojem, materiałem i wykończeniem. Były wśród nich suknie z jedwabiu, aksamitu, kraciastej i gładkiej tafty, kapelusze z piórami, pióropuszcami lub przezroczystymi woalkami sięgającymi poniżej brody. Cóż za potworne marnotrawstwo! - myślała Alaina, jednocześnie czując ukłucie zazdrości. Jej duma nie pozwalała podporządkować się wymaganiom Cole'a, by w zamian otrzymywać tak wspaniałe ubrania.

Do łazienki przyniesiono sześć wiader gorącej wody. Alaina wykorzystała pięć, urządzając sobie relaksującą kąpiel. Po tylu miesiącach spędzonych w przebraniu nie domytego Ala obiecała sobie, że już nic nie zakłóci jej radości z tego, że znowu może być kobietą. Mając to na uwadze, używała perfumowanych olejków przysyłanych jej przez Cole'a. Wytłumaczyła sobie, że to bardzo niewielkie odstępstwo od zasady nieprzyjmowania od niego ubrań w prezencie. Wtarła pachnidła w świeżo umytą skórę i rozkoszowała się wspaniałością swej toalety. Wyszczotkowała włosy, aż błyszczały jak najkosztowniejszy atlas, i pozostawiła miękkie loki rozpuszczone. Wciągnęła bawełniane pantalone. Chcąc jak najmniej korzystać z miękkiej i delikatnej bielizny od Cole'a,

przysiadłszy na brzegu fotela w sypialni, włożyła czarne pończochy do kolan. Z nowego atlasowego gorsetu wyciągnęła sznurówki i zastąpiła nimi zniszczone w starym gorsecie. Zeszła rozdarta bielizną. Nawet po wybuchu Cole'a z powodu tych ubrań zdobyła się jedynie na wzięcie z nich tylko sznurówek. Nikt by się nie domyślił, jak w rzeczywistości ją te prezenty kusily. Luksusu noszenia jedwabnych pończoch w ogóle jeszcze nie znała, a nowy gorset wydawał jej się piękny jak marzenie.

W pokoju za łazienką trzasnęły drzwi. Alaina zmartwiała ze strachu. Ktoś tam wszedł! Ktoś utykający, z laską! Wczoraj, gdy była na kolacji, dodano do wyposażenia jej sypialni wysokie, stojące lustro. Patrzyła na swoje odbicie, znieruchomiała z łokciami nad głową, z na wpół włożonym na gołe piersi stanikiem i okrągłymi z przejęcia szarymi oczami. Teraz dopiero zrozumiała, co tak wczoraj rozbawiło męża. Tam jest jego pokój! Ze wszystkich pomieszczeń w tym ogromnym domu wybrała sobie pokój obok niego.

Alaina zacisnęła zęby ze złości na siebie samą. Szybko włożyła do końca stanik, ryzykując, że zwróci na siebie jego uwagę szelestem bielizny. Jeszcze ją poprawiając, poszła i jak najciszej zamknęła swoje drzwi do łazienki. W tych drzwiach, jak zauważyła już wczoraj, nie było zamka. I nie było ich, zdaje się, w całym domu, z wyjątkiem ogromnych drzwi wejściowych.

Z niepokojem usłyszała otwieranie drzwi po drugiej stronie łazienki, potem odgłos nalewania wody do miski i jakiś dziwny dźwięk, zapewne ostrzenia brzytwy. Alaina zaczęła się gorączkowo ubierać dalej. Jeśli zamierzał się golić, pozostało jej jeszcze trochę czasu na włożenie ubrania.

Bezszelstnie, żeby Cole nie usłyszał, wsunęła na siebie stary gorset. Nowe sznurówki włożone w mniejsze oczka zaplątały się w supeł i nie mogła sobie z nimi poradzić. Zmagając się z nimi z tyłu, przygryzając nerwowo wargi, a wreszcie przesunęła tył gorsetu do przodu, by rozwiązać supeł. W pośpiechu tylko złamała sobie paznokcie. I zaraz wpadła w panikę, bo drzwi z łazienki do jej pokoju nagle się otworzyły. W samych tylko spodniach Cole wychylił się zza framugi i wycierając resztki piany z twarzy, przyglądał się jej desperackim wysiłkom.

Alaina wydała z siebie jęk rozpaczony i odwróciła się do niego tyłem, przekręcając gorset z powrotem na właściwą stronę. Po głowie chodziło jej kilka odpowiednich życzeń dla nie liczącego się z nikim i niczym aroganta, zakłócającego intymność damy.

- Majorze, czy w tym domu nie ma zamków? - rzuciła jadownicie.

- Nigdy nie widziałem takiej potrzeby - odparł z przekonaniem. - Wszystko w tym domu należy do mnie.

Alaina posłała mu chłodne spojrzenie.

- Jak przypuszczam, i mnie pan w to wlicza.

- Ciebie szczególnie, kochanie. - Roześmiał się, przerzucił ręcznik przez nagie ramię i niezgrabnie przemaszerował przez pokój. Ujął splątane sznurówki gorsetu, a te w magiczny sposób natychmiast się rozplatały. Cole zręcznie zasznurował gorset do końca i ściągnął go mocniej.

Alaina udawała bardziej oburzoną, niż w rzeczywistości była. Właściwie całkiem podobała jej się taka męzowska pomoc. Zwłaszcza że zawiązał gorset o wiele lepiej, niż zrobiłaby to sama.

Skończywszy swe dzieło. Cole pogłaskał ją z namaszczeniem po pośladkach, odgarnął jej włosy i wyszeptał do ucha:

- Mówi się często: wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ale ty, dziewczyno, dotarłaś do najlepszego zakończenia, jakie widziałem... no, w każdym razie od dłuższego czasu.

Wciąż niegotowa, żeby mu wybaczyć, Alaina odwróciła się błyskawicznie przodem do niego, lecz natychmiast spostrzegła swój błąd. Była niebezpiecznie blisko jego muskularnej klatki piersiowej, a rzut oka w lustro przypomniał jej, że nie jest jeszcze dokładnie zasłonięta ubraniem. Znow zaczęła drżeć, ale tym razem już chyba nie ze strachu. Odsunęła się i złapała halkę niczym deskę ratunkową. Ignorując jego obecność, a jednocześnie dając mu do zrozumienia, żeby już sobie poszedł, zaczęła ją szybko wkładać przez głowę. Nie chciała uchodzić za przewrażliwioną, lecz Cole Latimer stanowił konkretne zagrożenie dla jej spokoju ducha i opanowania.

- Czy przyszedł pan tutaj w jakimś celu? - spytała przez wkładane ubranie.

- Mam pewną sprawę - odpowiedział.

Gdy Alaina wciągnęła na siebie halkę, ujrzała Cole'a opartego o narożnik łóżka i odliczającego kilka dużych banknotów. Podeszedł do niej i zatknął za jej stanik pokaźny zwitek.

- Byłaś wczoraj czarującą gospodynią. Braegar był pod wielkim wrażeniem.

Zaczerwieniona ze wzburzenia Alaina wyciągnęła banknoty spomiędzy piersi i naśladując jego maniery, odciągnęła mu palcem spodnie z przodu i wrzuciła tam pieniądze.

- Jeszcze długo nie wezmę od pana pieniędzy, majorze Latimer.

Spojrzał pytająco:

- Zmieniłaś zdanie?

- Proszę się nie martwić, majorze. Będę pana chroniła przed miłośkami, a pieniądze niech pan sobie zatrzyma.

Cole pokuśtykał z powrotem do łóżka i podniósł do góry rękaw z różowej tafty.

- Jeśli nie chcesz przyjąć pieniędzy, weź chociaż to.

Ta propozycja zdumiała Alainę i zraniła do żywego.

- Mam nosić ubrania Roberty?

Gniew, który ujrzała na twarzy Cole'a, dalece przewyższył jej własną irytację.

- Czy sądzisz, że ubrałbym swoją żonę w używane szmaty? - Na samo podejrzenie wszystko się w nim zagotowało. Zrobił ręką łuk, pokazując stos ubrań na łóżku. - Wszystko to kupiłem specjalnie dla ciebie, moja pani.

- Och, majorze - jęknęła, zawstydzona swoją pomyłką. - Nigdy panu nie zwrócę nawet za małą część te...

- Majorze! - ryknął z siłą grzmotu. Na jego twarzy malowała się istna furta. - Do cholery, kobieto, i ty też wyostrzyłaś sobie na mnie pazury?! Czy dziś masz zamiar powitać moich gości w stroju, który spowoduje, że uznają mnie za sknerę?! Zabraniam ci!

Moc tych słów jeszcze umocniła Alainę w uporze. Z płonącymi oczyma zawołała:

- Nie musi się pan martwić o mój ubiór, majorze Latimer!

- Ubierzesz się, jak przystało na moją żonę! I jeśli nie możesz odzywać się do mnie w miłszy sposób, przynajmniej w obecności innych masz się do mnie zwracać po imieniu!

Cole odwrócił się na pięcie zdrowej nogi i po chwili w uszach Alainy brzmiało już tylko echo zatrzaśniętych drzwi do łazienki.

Śniadanie upłynęło podobnie jak wczorajsza kolacja. Cole demonstracyjnie milczał, Braegar podtrzymywał rozmowę. Po posiłku elokwentny Irlandczyk pożegnał się, zapewniając, że wieczorem przywiezie na kolację swą rodzinę. Kiedy zostali w jadalni sam na sam, Alaina, idąc do okna, zauważyła, jak Cole beznamiętnie lustruje

wzrokiem jej prostą suknię z wzorzystego muszliny w kolorze wina. By uniknąć kolejnej konfrontacji, od razu skierowała jego uwagę na bezpieczniejszy temat.

- Chciałabym obejrzeć dom, czy można?

- Oczywiście. Powiem pani Garth, żeby cię oprowadziła - mruknął do filizanki. - Ja mam do sprawdzenia trochę rachunków.

- Nie prosiłam o eskortę - tłumaczyła się nieśmiało. - Nie chcę nikomu robić kłopotu.

- Droga pani - westchnął ciężko Cole - nigdy o nic nie prosisz i jest to prawie tak samo irytujące jak domaganie się przez Robertę gwiazdki z nieba. Służba jest tu do twojej dyspozycji tak samo jak do mojej. Pani Garth pokaże ci dom.

Mówiąc to, wstał od stołu i opuścił jadalnię. Kilka minut później, gdy Alaina szła przez hol w kierunku schodów, drzwi do gabinetu były już dokładnie zamknięte. Nawet pani Garth, oprowadzając ją po rezydencji, unikała tej części domu, gdzie schronił się jego pan.

Dom był tajemniczy. Pokoje - albo przeładowane dekoracjami, albo dla kontrastu puste i surowe. Tylko pomieszczenia służby na drugim piętrze były według niej odpowiednio umeblowane. Wycieczka ta raczej nie poprawiła Alainie nastroju i prawie żałowała, że chciała obejrzeć dom. W pokojach panowała ponura atmosfera. Właściwie zadowolona była, gdy obchód się skończył i mogła wyjść na dwór. Gdy mijala gabinet Cole'a, drzwi były już otwarte. Pewnie skończył pracować i poszedł do innej części domu.

Stojąc na ganku, Alaina karmiła oczy pięknem otaczających ją lasów i pagórków. Wzmagający się wiatr niósł ze sobą powiew chłodu i odurzający zapach jesieni. Napełniła nim płuca. Zaczęła spacerować po ganku tam i z powrotem, z każdej strony podziwiając okolicę, oswajając oczy z krajobrazem tej północnej krainy. Była znacznie ciekawsza niż sam dom.

Na słupie przy głównych schodach wisiał duży dzwon. Alaina przyglądała się ze zdumieniem, jak Miles wychodzi z domu i dzwoni nim dwa razy, jakby dawał sygnał. Potem skinął jej uprzejmie głową i wrócił do środka.

Alaina przeszła na zachodnią stronę domu. Znajdujące się tam rozarium było zarośnięte chwastami, a skarłowaciałe krzewy i wrzecionowate cisy nie prezentowały się zbyt okazale. Przykłękała nad kolczastym krzewem, na którym przetrwał jeszcze pojedynczy kwiat, i wyrwała obrastające go chwasty. Lecz pielęgnacja ta była raczej spóźniona, bo roślina przywiedła już na skutek wieczornych przymrozków.

Nagle Alaina poczuła, że jest przez kogoś obserwowana. Oslaniając oczy, spojrzała w górę i domyśliła się, że na ogród wychodzą okna sypialni Cole'a, położonej nad salonem. Szyby wydawały się ciemne i nie było widać, co znajduje się za nimi. A jednak przysięgłaby, że zauważyła w oknie przelotny cień. Czy on tam jest? Wciąż rozmyśla? Czy żałuje, że ją poślubił?

Nie umiała odpowiedzieć na te pytania. Może nigdy go nie zrozumie, bo najwidoczniej postanowił trzymać ją od siebie z daleka.

Alejką podjechał pod dom mały powóz, a na koźle Alaina rozpoznała Oliego. Kiedy zatrzymał powóz, zeskokczył i pozdrowił ją radośnie, podnosząc dłoń do kapelusza.

- Wyszła pani nacieszyć się słońcem?

- O tak - roześmiała się Alaina. - Piękny dzień. O wiele ładniejszy niż wczoraj.

- Taak! Dobry na przejażdżkę!

Nie chcąc się przyznać, że Cole jej nie zaprosił, Alaina zapytała, wskazując na dzwon.

- Do czego on służy, Olie? Słyszałam, jak niedawno Miles nim dzwonił.

- A, to jest sygnał dla nas w budynkach stajennych, że doktor potrzebuje powozu, krytego albo małego. To kawałek drogi stąd, bo stary pan wybudował ten duży dom później, gdy zabudowania już stały tam daleko.

- A tego ogródka nie ma kto pielęgnować?

- Nie bardzo. - Olie uniósł kapelusz i podrapał się po głowie. - Ostatni ogrodnik od dłuższego czasu się nie pokazuje. Poprzedni nie wrócił z wojny.

- Olie, ty też byłeś na wojnie?

- Tak, doglądałem koni, jak tu.

Na ganku ukazał się Cole w codziennym ubraniu, składającym się z wąskich czarnych spodni, jedwabnej koszuli i skórzanej kamizelki w tym samym kolorze. Olie pomachał i podszedł do niego. Rozmawiali przez chwilę, a Alaina przyglądała się mężowi. Podobał jej się ten wysoki i szczupły, muskularny mężczyzna, przystojny i opalony. Nic na to nie mogła poradzić.

Gdy Olie poszedł z powrotem do stajni. Cole zauważył Alainę. Choć oczy zasłaniało mu rondo płaskiego kapelusza, czuła, że nadal ma marsową twarz. Alaina otuliła się szczelniej wełnianym szalem i czekała, aż się odezwie. Minęła długa chwila, a on milczał. Potem bez słowa wsiadł do powozu. Zaparł się lewą nogą na koźle i podniósł lejce, ale zatrzymał się, patrząc na koński zad. Obserwując go ukradkiem, Alaina ruszyła powoli wzdłuż ganku do schodów. Gdy miała już na nie wejść, odezwał się:

- Niczego pani nie potrzebuje?

Odwróciła się z wahaniem.

- Nie widziałam nigdzie Saula. Nie wiem, jak sobie radzi. Ma tak mało ubrań...

- Wsiadaj - polecił, przesuwając się i robiąc jej miejsce. - Zawiozę cię do niego.

- Wezmę pelerynę - ożywiła się.

Zanim otworzyła drzwi, uprzedził ją Miles, który wyszedł właśnie, podając jej długą pelerynę z kapturem kupioną dla niej przez męża.

- Będzie pani tego potrzebować.

Alaina obejrzała się na Cole'a. Czyżby wcześniej kazał kamerdynerowi przynieść okrycie? Cole patrzył jednak w dal przed siebie, nie zwracając uwagi. Tak czy inaczej, ujęło ją to i nie dyskutując ze służącym, przyjęła pelerynę.

Cole podał jej rękę i wsiadła do powozu. Usadowiła się obok niego na wąskiej ławce. Trzymał ją za rękę znacznie dłużej, niż było to konieczne, a gdy spojrzała mu w oczy, stwierdziła, że gniew ustąpił i pojawił się cień uśmiechu.

- Ostrzegam, pani, że nie za darmo. Podczas naszej wyprawy wolno ci mówić tylko miłe słowa.

Poczuła nagle skruchę. Opuściła wzrok na rozpięty kołnierzyk jego koszuli.

- Cole'u... - zaczęła cienkim głosem. - Przepraszam za te ubrania. Jeśli okażesz mi cierpliwość, postaram się nie przynosić ci wstydu. Ale nie mogę przyjąć więcej, niż jestem w stanie ci zwrócić.

- Dlaczego? - zapytał cicho i popatrzył jej w oczy. - Ja jestem winien tobie i Saulowi więcej, niż mogę wam zwrócić.

Puścił jej rękę i nie dając jej szansy na odpowiedź, krzyknął na konia i ruszyli, a wtedy już musiała się skupić

tylko na mocnym trzymaniu poręczy. W różnym porannym powietrzu koń dziarsko wydłużał krok. Niebawem pędzili w dół zboczem pagórka w kierunku zarośli, w których zniknął Olie. Objechawszy potężny, rozłożysty wiąz w jesiennych barwach, wjechali w wąską alejkę porośniętą z obu stron wysokimi klonami. Bryczka gnała w półcieniu, aż nugaty w oczach plamy słońca, by nagle wypaść na rozległe pola, pośrodku których skupiła się grupka zabudowań. Było tam kilka małych domów, podłużna szopa i wielka stodoła, górująca nad resztą jak kura nad kurczętami. Gdy do niej podjechali, przywitało ich głośne szczekanie i Cole przytrzymał konia, by nabrał bardziej statecznego kroku. Z zagajnika przy drodze wypadł ogromny, większy od cielaka czarny pies i sadził wraz z nimi wielkimi susami. Gdy Cole zatrzymał powóz, bestia usiadła na tylnych łapach i czekała, aż jej pan wysiądzie, a potem z radosnym szczekaniem pies rzucił się w bok i obiegnął dookoła cały powóz wraz z koniem, zanim znów zatrzymał się przed Cole'em. Był najwyraźniej zdezorientowany tym, że jego pan najpierw pomaga wysiąść Alainie.

- A cóż to znowu? - jęknęła z rozpaczą.

- Pies, jak widzisz - roześmiał się Cole. - Mastiff.

- Piękny - pochwaliła.

- Ależ skąd - zaprzeczył. Strzelił palcami i zawołał: - Wiarus, chodź tu, przywitaj się z panią.

Bestia ruszyła do przodu, a oczy Alainy zrobiły się okrągłe, gdy zobaczyła, że sięga jej do piersi. Odruchowo zrobiła krok w tył, ale pies z namaszczeniem usiadł przed nią i podał łapę. Przekrzywił wielki, kwadratowy łeb i wpatrywał się w nią żółtymi oczyma, jakby chcąc wybadać intencje nowo przybyłej.

- Chciałby się z tobą przywitać - odpowiedział Cole.

Odważnie chwyciła podaną łapę, a wtedy długi różowy jęzor wysunął się z ogromnego, uśmiechniętego pyska.

- Nie ugryzie, prawda? - zapytała ostrożnie, gdy zwierzę odeszło, by obwąchać koła powozu. - A raczej nie zje mnie? - Na wszelki wypadek przysunęła się bliżej do męża, gdy mastiff przytruchtał z powrotem. Odetchnęła z ulgą, kiedy Cole kazał psu usiąść i tak pozostać.

Cole patrzył na nią szczerze zdziwiony, że się w ogóle czegoś boi. Roberta straszliwie nienawidziła zwierzęcia i nie pozwoliła go trzymać w domu, ale nigdy nie okazywała strachu na jego widok. Z głębokim niedowierzaniem w głosie spytał:

- I to jest Al? Boi się nieszkodliwego zwierzaka?

Alaina wygładziła fałdy peleryny, trochę zawstydzona swym brakiem odwagi.

- Nie mówiłam, że się go boję. Tylko chcę wiedzieć, na czym stoję w obliczu Jankesa i jego bestii.

Przez krótki moment znów zabrzmiało to tak, jakby mówił Al, i Cole przypomniał sobie obdartego urwisa. Patrzył teraz na te same rysy, które brał za chłopięce, i nie mógł zrozumieć, jak jej się to wtedy udawało. Teraz postrzegał ją przecież jako kogoś tak bardzo delikatnego, drobnego i tak bardzo kobiecego. Tu, na świeżym powietrzu, uroda jej ciemno oprawionych, jasnych i tryskających radością szarych oczu i połyskujących w słońcu kasztanowych włosów była oszałamiająca. Czy tak bardzo się zmieniła od czasów Ala? Czy po prostu on był zbyt ślepy?

- Jeśli wolisz, żeby nie mieszkał w domu, zostawię go tutaj, w stodole.

Alaina z wdziękiem uniosła ramiona.

- Jeśli jego maniery są lepsze niż twoje, weź go do domu. Może mi się przydać taki strażnik.

- Moja pani - Cole westchnął ze śmiechem. - Proszę nie zapominać o ustalonej cenie. Tylko miłe słowa.

- Przepraszam - z zakłopotaniem potarła nos. - Zapomniałam.

Obserwując tę niesłychaną mieszaną Ala i kobiety w jednej osobie. Cole stwierdził, że jest fascynująca.

- Opalisz sobie nos, chodząc bez kapelusza - zauważył z uśmiechem.

- Jeśli jest pan uprzejmy pamiętać, nie mam już kapelusza.

- Masz inne - nalegał.

Alaina spojrzała z ukosa.

- Pan ma inne, majorze! Ja nie mam.

Znów zachmurzyło mu się czoło, lecz zanim odpowiedział, ich rozmowę przerwał okrzyk.

- Panienska Alaina!

Na dźwięk swego imienia odwróciła się od posępnej twarzy męża i zobaczyła biegnącego ku nim Saula. Z daleka szczyrzył do niej w uśmiechu białe zęby, a gdy się zbliżył, nie zapominając o dobrym wychowaniu, zdjął z głowy czapkę.

- Och, Saulu! - Alaina ucieszyła się na widok jego czerwonej wełnianej koszuli i nowych spodni na jasnych szelkach. Miał też wysokie, sznurowane buty i skórzaną kamizelkę. - Prawie cię nie poznałam w tym wytwornym stroju.

- O tak, panienko Alaino. Chyba nigdy nie byłem taki bogaty. Mam więcej ubrań, niż potrzebuję nosić naraz. Mam nawet kombinezon z taką, za przeproszeniem, panie majorze, zapinaną klapą z tyłu. Tylko że - Saul podrapał się po żebrach z obolałą miną - chyba razem z nim sprzedali jakieś robactwo.

- W ciepły dzień wełna może trochę drapać - rzekł rozbawiony Cole, taksując wzrokiem liczne warstwy ubrania Murzyna. Spojrzał przez ramię na jasne jesienne słońce, zanim spytał: - Zimno ci, Saulu?

Murzyn rozpromienił się.

- Nie, proszę pana. Ciepło mi, dziękuję.

- To dobrze - ucieszył się Cole. Dotknął ręką pleców Alainy i machnął głową w stronę stodoły. - Olie chciał mi coś pokazać. Zaraz wrócę.

Pies podreptał za swym panem. Alaina patrzyła przez chwilę na swego utykającego męża, zanim uświadomiła sobie, że Saul dalej opowiada.

- Pan Cole dał cały dom tylko dla mnie, panienko Alaino. Jak na Jankesa, to myślę, że on nie jest taki zły.

Alaina się uśmiechnęła.

- A więc zostałeś dobrze potraktowany? Podoba ci się tutaj?

- Co do ludzi, to tak, i dom jest ładny, i ubrania są ciepłe. Ale, panienko Alaino - Murzyn spowaźniał - brakuje mi naszego ciepłego słońca. To, co tutaj świeci na niebie, to zupełnie nie to samo.

- Ależ przecież to jest to samo słońce - wtrąciła. - Choć może tutaj nieco mniej przyjazne - zerkając w stronę stodoły, zastanawiała się na głos. - Major specjalnie nie cierpi z powodu zimna. Może to kwestia przyzwyczajenia.

- Tak, pewnie tak. - Wskazał za siebie. - Lepiej już wrócę do pracy. Muszę zarobić i oddać panu Cole'owi za to ubranie i wszystko, żebym mu nie był nic winien, wyjeżdżając.

- Wyjeżdżając?

- Och, to znaczy niekoniecznie już zaraz, panienko Alaino. Ale kiedy przyjdzie dzień, że będę mógł, myślę, że wyprawię się z powrotem do domu. Jeśli panienska będzie miała ochotę na to samo, proszę mi powiedzieć.

Wrócimy tak, jak przyjechaliśmy.

- Dziękuję, Saulu - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Lecz podobnie jak ty, mam dług wobec majora, a nie mam środków, aby go spłacić. - Przerwała, gdy ze stodoły wypadł Wiarus, spodziewając się za nim Cole'a. - Porozmawiamy o tym przy okazji. Chyba wraca major.

Saul kiwnął głową.

- Proszę na siebie uważać, panienko Alaino. I jak rzekłem, wymkniemy się stąd natychmiast, jak tylko panienka powie. Zawsze możemy wysiać pieniądze panu Cole'owi, gdy je zdobędziemy.

Saul już poszedł, gdy ze stodoły wyszedł Cole, a sądząc z chmurnej miny, nie był zadowolony. Obok na wzniesieniu skrzypiał i jęczał wiatrak. Wiatr szeleścił kolorowymi liśćmi drzew ocieniających podwórze i rozwiewał je pod nogami.

- Czy coś się stało? - zapytała Alaina, gdy podszedł.

Zanim odpowiedział, podsadził ją na powóz i sam się wdrapał.

- W nocy ktoś wrzucił kilka siodeł i uprzęży do koryta z wodą i posypał je solą.

Alaina dobrze wiedziała, ile trzeba będzie czasu i wysiłku, by przywrócić te skóry do stanu używalności, i ile by kosztowało zastąpienie ich nowymi.

- Po co ktoś zrobił taką rzecz?

Cole westchnął ciężko.

- Nie mam pojęcia.

- Czy coś takiego już się zdarzało?

- Nie, nigdy dotąd - odparł.

Alaina ściągnęła brwi ze zmartwieniem.

- Jeżeli podejrzewasz, że to może ja... no cóż, ja nawet nie wiedziałam do tej pory, gdzie jest stodoła.

- Wiem o tym, Alaino - uspokoił ją.

- I Saul też by nie zrobił czegoś takiego! - zapewniła go z przekonaniem.

- Do licha, Alaino! Nie oskarżam żadnego z was.

- Jako że jesteśmy jedynymi rebeliantami w okolicy, byłoby naturalne, żeby nas winić! - tłumaczyła się.

- Więc może ktoś podobnie rozumował! A może uważają, że pomagam wrogom. Któż to wie! Tylko że to taka diabelna strata.

Wiarus przysiadł obok powozu. Machał ogonem, wzbijając chmurę kurzu, i czekał, aż pan się do niego odezwie. Żółte oczy psa śledziły każdy jego ruch. Cole szarpnął za lejce, by konie ruszyły, a na koniec zagwizdał.

- Dobrze, Wiarusie, chodź z nami.

Pies szczeknął i wystrzelił jak z procy, biegnąc równo z powozem. Szalona jazda nie pozwalała Alainie złapać oddechu, żeby coś powiedzieć, a Cole też nie przerywał ciszy. Pędzili więc, pozornie nie zwracając na siebie uwagi, drogą pod wielkimi drzewami. Chociaż nie zjeżdżali już z pochyłości, konie ani odrobinę nie zwolniły. Wkrótce krzewy porastające skraj drogi ustąpiły nagle polanie, za którą w środku zagajnika stał duży, obrośnięty winoroślą dom. Cole nie spojrział w jego stronę, lecz zaintrygowana nim Alaina odwróciła się, by popatrzeć. Choć ścian prawie nie było widać spod masy czerwonobrazowych liści, pomiędzy gęstwiną bluszczu porastającego ciemne szalowanie połyskiwały szyby z kryształowego szkła w kształcie rombów. Wyżej dostrzegła wypłowiały, szary, cedrowy gont stromej dachu z wysokimi, ceglanyimi kominami.

- Co to jest? - Alaina wskazała brodą, bo rękami musiała się przytrzymywać siedzenia.

- Stary dom - odpowiedział Cole bez odwracania głowy. - Nazywamy go domek. Zbudował go mój ojciec, gdy się tu osiedlił. - Na chwilę się zasepił, dodając: - Duży dom zbudował dla mojej macochy.

Choć czekała, nic już więcej nie powiedział. Była ciekawa, ale on najwidoczniej nie chciał się wgłębiać w temat, przynajmniej na razie.

- Jesteś bardzo dobry dla Saula. Chciałabym ci podziękować - odezwała się półgłosem.

- Spłacam tylko swoje długi.

- A jaki masz wobec niego dług? - dociekała.

Dojechali do rozwidlenia drogi i Cole zatrzymał konia. Odchylił się i spojrzał jej w oczy.

- We dwójkę uratowaliście mi życie - przypomniał. - To jest warte zapłacenia każdej ceny, by wam pomóc.

- Czy dlatego zgodziłeś się na to małżeństwo? - Alaina uparcie drażyła temat.

„Zgodziłeś?” - Cole z powrotem się wyprostował i potarł w zamyśleniu prawe udo. Co za grę znowu prowadzi? Czy potrzebuje jakiejś odpowiedzi, która załagodziłaby jej poczucie krzywdy? Jeśli tak, to proszę, mógł jej taką dać.

- Czułem się zobowiązany, no i spowinowacony... przez Robertę.

Na długi czas zapadła martwa cisza. Cole uświadomił sobie, że taka odpowiedź nawet w najmniejszym stopniu nie była zbliżona do oczekiwanej. Znów odrobinę się do niej pochylił.

- Nie rozumiem tylko jednego. Dlaczego w ogóle mnie ratowałaś, ryzykując własną głowę? - Perkaty nos zadarł się jeszcze dumniej w górę, ale żadna odpowiedź nie padła. Cole nalegał: - Dlaczego?

Alaina zrobiła obojętną minę i swoim przeciągłym akcentem odplaciła mu pięknym za nadobne.

- Byłeś moim krennym, mężem Roberty i w ogóle. Poza tym jestem czuła na krzywdę zwierząt. Po prostu nie mogę patrzeć, jak cierpią.

Cole popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- I to wszystko? Tylko dlatego, że byłem krennym?

Zwrócona twarzą przed siebie, Alaina odparła:

- Jako rzekłam, Jankesie.

Cole spochmurniał. Potrząsnął lejcami i, nadal nic nie rozumiejąc, skręcił w drogę nie wiodącą do domu. Tym razem zapadła między nimi cisza głęboka, zdecydowana, choć nie mogli udawać, że nie czują dotyku swych ciał, siedząc na wąskiej ławce. Myśli Cole'a krążyły wokół innych spraw, lecz nie było mu wcale łatwo ignorować bliskie obcowanie z kobietą, która go tak bardzo obchodziła.

- Znając tyle twoich wcieleń - odezwał się w końcu - nie wiedziałem, które z nich będzie mi dane powitać na przystani. Czy będziesz chochlikiem Alem, czy małą, wiecznie znikającą wdówką, czy też kokieterijną Camillą Hawthorne. No i była jeszcze ta jedna, którą trzymałem w ramionach, choć jej prawie nie widziałem.

- Nie życzę sobie, byś mi przypominał o tamtej nocy - oświadczyła Alaina wyniośle. Zbyt wiele podniecających westchnień i pocałunków kryła w sobie jej ciemność, by mogła spokojnie wracać do niej pamięcią.

Odwróciła twarz od jego roześmianych oczu i przez długi czas obserwowała, jak Wiarus pędzi wielkimi susami obok powozu. Czasem - pomyślała z niechęcią - wydaje mi się, że na zawsze przylgną do mnie wszystkie te role, które byłam zmuszona odgrywać.

Ostatnia burza pozbawiła drzewa znacznej ilości listowia. Jedyne dęby uparcie zatrzymywały na gałęziach

jeszcze trochę jesiennego kolorytu. Mastiff przeczesywał zagajniki po obu stronach drogi, a gdy ta podeszła do samej rzeki i dalej biegła wzdłuż jej brzegu, z radosnym poszczekiwaniami brodził po płyciźnie, płosząc ryby i żaby i rzucając się w górę za parą dzikich kaczek, które poderwały się do lotu z przybrzeżnego jeziora. Dojeżdżali do krańca Saint Cloud. Cole zatrzymał się, przywołał Wiarusa gwizdnięciem na tył powozu i rozkazał mu:

- Zostań! Jest bardzo łagodny. - Cole uprzedził pytanie Alainy. - Ale ludzie często biorą jego radość za groźną minę. Poza tym nie lubi nieznanymi koni.

Alaina już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz przypomniawszy sobie dzisiejszą obietnicę, zatrzymała dla siebie porównanie, które jej się nasunęło. W myśl znanego porzekadła, jeśli nie da się powiedzieć nic dobrego, lepiej milczeć. Jechali więc dalej w ciszy.

Minęli kilka magazynów kupieckich, a na końcu szerokiej, błotnistej ulicy rozjeżdżonej kołami dojechali do niskiego składu towarów, zbudowanego z żółtej cegły. Gdy podjechali blisko, Alaina ujrzała sporą grupę mężczyzn odpoczywających lub drzemających na szerokiej, drewnianej rampie załadunkowej. Na jednych drzwiach widniała krzykliwie namalowana reklama piwa, a na drugich napis niezdanymi literami:

Schronisko dla robotników

Piwo 5 centów

Posiłek 50 centów

Łóżko: 25 centów za noc, z poduszką i kocem 50 centów

Cole zatrzymał powóz równolegle do rampy i przywiązał lejce do drążka. Potem wyjął spod ławki łaskę, cięższą niż zwykle i sękatą. Pomalowana była na ciemno, a za uchwyt służył duży sęk na jednym końcu. Z gorzkim uśmiechem rozprostował chorą nogę, zdrętwiałą podczas długiej jazdy.

- Muszę tu dać ogłoszenie o wynajmie robotników - wyjaśnił, podnosząc łaskę. - Niektórzy chłopcy z entuzjazmem rwą się do pracy, ale zawsze trzeba być ostrożnym przy zatrudnianiu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka minut będę z powrotem. - Zatknął pod pachą zwinięte ogłoszenie i stanął na rampie, po czym odwrócił się do Alainy i powiedział: - Błagam panią o niewychodzenie z powozu.

- Proszę się o to nie obawiać - zapewniła go solennie, obserwując mężczyzn na rampie, którzy zaczęli już okazywać zainteresowanie przybyłą parą.

Cole stanął na platformie i mocno strzelił palcami. Wiarus wyskoczył z budy powozu i stanął czujnie w oczekiwaniu na komendę od pana.

- Siad! - Pies posłuchał. - Zostań! Pilnuj! - Oblizując długim językiem szeroki pysk, żółtymi ślepiami pies zaczął badawczo lustrować tłum robotników.

Jeszcze raz się obejrzawszy. Cole ruszył w stronę drzwi i wszedł do budynku. Gdy zniknął w środku, mężczyźni przybliżyli się do powozu. Na co dzień nie mieli okazji oglądać takiej piękności, a w dodatku niebawem oczekiwali ich spędzenie długich miesięcy w obozowiskach przy wyrębie drzew. Alaina pozornie nie zwracała na nich uwagi, ale na wszelki wypadek wzięła do ręki bat i bawiła się jego uchwytem. Koniec bicia zwiślał z boku powozu, w razie czego gotowy do uderzenia.

Jeden z mężczyzn, potężny, długowłosa blondyn w wełnianej, kraciastej marynarce, z brodą zasłaniającą mu grubą szyję, zebrał się na odwagę i podszedł do krawędzi rampy na wysokości powozu. Z piersi Wiarusa wydobyło się stłumione powarkiwanie, ale mężczyzna zignorował je i podniósł stopę, zamierzając wejść do powozu.

- Na pana miejscu nie robiłabym tego - ostrzegła go Alaina złowrogo.

- Och, damulko, jak ja się bać tego psa! - Zaśmiał się w głos, a liczne chichoty dookoła świadczyły o tym, że jego dowcip się podobał. - Ja go przełamać na pół! O tak! - zademonstrował ruch ogromnymi rękami. - Pani go znać, damulko, pani go uciszyć.

Mężczyzna machnął nogą w bok. Wiarus uniósł zad i wyszczerzył wielkie kły. Sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

- O kuchnia, psie! Ty nie masz nic cholerny respekt! - Rozejrzał się wokoło, rozsunął na bok paru mężczyzn i wrócił, trzymając w ręce metrową deskę. - Ja cię nauczyć!

Zamachnął się z całej siły i walnął deską w tors psa. Zabrzmiało, jakby uderzył w solidny pień drzewa. Pies chwycił deskę mocnymi szczękami, wyrwał ją napastnikowi jednym machnięciem łba i rzucił na bok. Żółte oczy pałały wściekłością, lśniły biało wyszczerzone zębiska, a powarkiwanie przeszło w złowróźbne warczenie. Wielkie czarne psisko rzuciło się groźnie do przodu.

- Wiarus! - zabrzmiał ostro głos Cole'a i pies znieruchomiał. - Waruj! - Wiarus wrócił na swe miejsce obok powozu i posłuchał, choć oczy miał nadal czujne i sierść najeżoną.

Osilek odwrócił się do Cole'a z przechwałką:

- Pan ma szczęście, człowiek! Gundar zabić wilka, o tak! - znów wykonał rękami ruch przełamywania.

- To pan miał szczęście! - warknął Cole i pokazując łaską na Wiarusa, poinformował: - Ta rasa poluje na wilki i zagryza je dla sportu. Ich głównym zadaniem jest walka z dzikimi bykami i wielkimi niedźwiedziami. Wiarus zrobiłby z pana miazgę.

Na twarzy Gundara wykwitło na chwilę przerażenie, a potem gniew, że uznano go za słabszego od byka czy niedźwiedzia.

- Ach! Za dużo tej mowy! - Jeszcze raz spróbował wzbudzić podziw kolegów. - Pan sobie idzie! Gundar lubić ta damulka. My sobie porozmawiać!

Odwrócił się plecami do Cole'a i zrobił krok w stronę powozu. Już sięgał ku Alainie, gdy Cole pociągnął go za kostkę nogi rączką wielkiej laski. Blondyn rozłożył się jak długi na rampie. Jego głowa wystawała poza nią. Potem przeturlał się w bok i usiadł, obrzucając Cole'a wzrokiem pełnym furii. Pomacał w ustach palcem i zobaczył na nim krew. Wtedy powiedział coś i nie bardzo było wiadomo, czy to po angielsku, czy w jakimś innym języku. Chyba lepiej się stało, że Alaina nie rozumiała, bo treść tych słów ociekała krwią, podobnie jak język Duńczyka.

- Ta damulka - rzekł Cole, przedrzeźniając go - to moja żo...

Robotnik zerwał się z impetem z desek rampy i skoczył wprost na Cole'a, łapiąc go z całej siły za uda. Szarpnął go do góry i pchał w tył, aż obaj wpadli prosto w środek reklamy piwa. Alaina podniosła się z siedzenia powozu, mocno zaciskając w ręce bat, jakby miała zamiar go użyć. Pies zaczął szczekać głośno, widząc, jak rozwścieczony mężczyzna przyciska jego pana do drzwi i szuka czegoś wokoło ręką. Cole wetknął łaskę pod brodę Duńczyka i zahaczywszy o jego bark, odsuwał mu głowę do tyłu. W końcu udało mu się go całkiem odepchnąć i stanąć na nogach. Alaina opadła na siedzenie, lecz każdy mięsień w niej się napinał, gdy patrzyła na tę bójkę.

Grymas na twarzy Cole'a oznaczał nie tylko wysiłek, lecz przede wszystkim ból. Jednak nie był to właściwy moment na pieszczonienie się z własną nogą. Odstąpił na bok i grzmotnął łaską w szerokie siedzenie Duńczyka, który ryknął z wściekłości i się odkręcił. Wtedy Cole zamachnął się i z całej siły dźgnął go tępym końcem laski prosto w żołądek. Mężczyzna stracił oddech i dysząc, zatoczył się do tyłu. Cole odwrócił łaskę i uderzył potężne, nasączone

piwem cielsko z jednej i drugiej strony. Było to jakby walenie w beczkę, z odgłosem, lecz bez efektu. Cole znów uniósł z ziemi koniec z ciężkim sękiem. Tym razem cios trafił Gundara w głowę, aż odskoczyła w tył, a mężczyznę na moment zamroczyło.

Cole złapał laskę w poprzek jak strzelbę i uderzał nią w przeciwnika, który kołysał się na piętach, łapiąc równowagę. Na krawędzi rampy zachwiał się jak podcięta, gotowa do zwalenia sosna. Wówczas Cole zakończył pojedynek lekkim pchnięciem laski w pierś mężczyzny. Gejzer błota wystrzelił w powietrze pod jego upadającym cielskiem, aż spłoszył konia, który wierzgnął nerwowo. Alaina chwyciła za lejce i łagodnie przemawiając, uspokoiła zwierzę.

Cole oparł się na lasce i potoczył groźnym wzrokiem po zebranych, z których żaden jakoś nie kwapił się, by wystąpić w obronie Gundara. Oszołomiony i umazany błotem Duńczyk oparł się o brzeg rampy, a Cole ostrożnie usiadł na koźle obok Alainy. Patrzyła na niego z obawą. Cole przywołał psa, gwizdząc i klepiąc ręką w tył siedzenia. Potem szarpnęła za lejce i deresz ruszył z kopyta, zabierając ich spod składu.

- Nic ci się nie stało? - spytała Alaina z wielkim przejęciem. - Nie uszkodził ci nogi?

- Jest pewnie trochę posiniaczona. - Zerknął na żonę. - Ale będzie w porządku.

Alaina obejrzała się. Kilku mężczyzn wciągnęło Duńczyka z powrotem na rampę i polewało go wodą z wiader. Zatrzęsła się na samą myśl o tak lodowatej kąpieli.

- Lubią się bić tak samo jak wypić - skomentowała lakonicznie.

- Banda awanturników - przyznał Cole. - Tutaj ostro ze sobą rywalizują, ale kiedy się już znajdą poza miastem, dobrze pracują.

- Potrzebujesz więcej robotników na farmie? - zapytała Alaina zaskoczona.

- Nie na farmie - odparł. - Mam na północy kawałek dobrego lasu do wyrębu. Najwyższy czas go zagospodarować.

Zauważyła, że jadą wzdłuż rzeki, lecz nadal nie w kierunku domu.

- Dokąd teraz jedziemy? - W jej głosie zabrzmiało podniecenie i ciekawość. - Czy wiesz mnie z wizytą do swojej nałożnicy?

Cole spojrział na nią ze zdumieniem, lecz po chwili dostrzegł w jej oczach figlarne ogniki. Odparł więc:

- Nie, niestety, droga pani. W składzie była wiadomość, że w mieście przebywa mój dobry znajomy. Byłby znakomitym kierownikiem robót w lesie na północy.

Parę minut później powóz zajechał przed duży biały dom z bogatymi i zawilými ornamentami. Zatrzymali się przy słupku do cugli, a na ganek wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna wzrostu Cole'a, ale młodszy.

Cole gwizdnął przeciągle i pokazał go psu.

- Wiarus, bierz go!

Mastiff wyskoczył z powozu z takim impetem, że cały pojazd się zakołysał. Alaina zmartwiła, słysząc tę komendę, lecz pies zaszczekał radośnie, wbiegł po schodach i wskoczył mężczyźnie łapami na ramiona, udając, że groźnie warczy.

- Leżeć, ty niewydarzony pomocie łosia! - śmiał się zaatakowany, umykając przed liżącym go jęzorem. - Cole'u! Zabierz go!

- To cię odczyzy podrzucać swoje kundle! - wołał Cole ze śmiechem, podczas gdy jasnowłosa młodzieniec próbował ujarzmić Wiarusa.

- Kundel! Uch! - usłyszała Alaina odpowiedź tamtego. - Ma lepiej udokumentowane pochodzenie niż ty.

Cole przełożył nogi na bok i wysunął się z powozu. Alaina zauważyła, że kark mu zeszywniał, gdy dotknął stopami ziemi. Dopiero po dłuższej chwili zdołał postawić na niej prawą nogę. Wyjął spod siedzenia cienką czarną laskę i podpierając się nią tak, by tę nogę odciążyć, obszedł powóz i pomógł zejść Alainie. Gdy ruszyli ostrożnie w stronę domu, ujął jej rękę i włożył sobie pod ramię.

- Moja żona, Alaina - przedstawił ją, gdy weszli na schody. - Franz Prochavski, prosty człowiek z Polski.

- A dokładnie z Prus! - zaśmiał się Franz z chłopięcym niemal wdziękiem. - Cole, choć rodowity Niemiec, nie widzi żadnej różnicy.

- Właściwie Austriak! - poprawił Cole ze śmiechem.

- Oczywiście! - Ciemne oczy Franza rozblęskły radością odwetu. - Przepraszam najmocniej, *Herr Latimer*.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wyszła z nich młoda, ładna kobieta w widocznej ciąży. Przywitała ich ciepłym, przyjaznym uśmiechem i radosnym spojrzeniem błękitnych oczu.

- To moja żona, Gretchen - oznajmił Alainie Franz.

- Nie mieliśmy okazji poznać pierwszej żony Cole'a - odezwała się urzekająco nieporadnym niemieckim akcentem. - Dlatego wyjątkowo się cieszymy, mogąc spotkać ciebie. To wspaniale, że wszystko się udało. - Ujęła rękę Alaina w obie dłonie. - Mam nadzieję, że tym razem Cole doczeka się dziecka, tak?

Czując na sobie spojrzenie Cole'a, Alaina splonęła ze zmieszania i w odpowiedzi wydusiła jakieś słowa z nadzieją, że będą stosowne do sytuacji.

- My drugi raz czekamy dziecka - zwierzyła się Gretchen, dodając nieco smutniej: - Tamto było, zanim Cole wrócił z wojny. Akuszerka powiedziała, dziecko wychodzi źle, i pępowina udusiła. Teraz Cole wszystko dopilnuje, tak?

- Za bardzo mi ufasz, Gretchen - upomniał ją delikatnie.

- To dlatego, bo wiem, że jesteś najlepszy doktor w okolicy. Nie odmówisz mi, tak? Przyjedziesz na północ, dobrze?

- Zaniechałem praktyki - wyznał Cole cicho.

- Nie! - jęknęła, rozszerzając oczy z niedowierzaniem. - Przecież tak to kochałeś! Dlaczego?!

Teraz Alaina skierowała zaciekawiony wzrok na Cole'a. W zafrasowaniu oglądał deski ganku pod stopami. Odpowiedział wymijająco.

- Okoliczności zmusiły mnie do takiej decyzji, uznałem to za najlepsze wyjście.

Młoda kobieta zwróciła się do Alaina szczerze zmartwiona, że taki zdolny lekarz powziął tak drastyczną decyzję.

- Czy możesz go namówić, żeby zmienił zdanie?

- Nie wiem - odrzekła cicho Alaina. - Nie mówił mi zbyt wiele o tym. - Cole podniósł wzrok, a ona dodała, patrząc mu prosto w oczy: - Jednak wielka szkoda, bo robił to naprawdę dobrze.

Obserwując parę małżonków, Gretchen się uspokoiła. Czowała, że jeśli ktokolwiek będzie w stanie wpłynąć na Cole'a, to właśnie ta kobieta, czy tego chciał, czy nie.

Gretchen absolutnie nalegała, by wypili razem herbatę, do której podała pyszne słodkie bułeczki. Gdy siedzieli przy stole obok ciepłego pieca, Alaina dowiedziała się, że dom należy do rodziców Gretchen, którzy właśnie wyjechali na cały dzień, bo zakładają farmę w pobliżu posiadłości Cole'a na północy.

Rozmowa mężczyzn o interesach przeciągnęła się do późnego popołudnia. Wreszcie Cole i Alaina udali się z powrotem do powozu. Gretchen stała w drzwiach i patrzyła za odjeżdżającymi, dopóki nie zniknęli jej z oczu. Potem uśmiechnęła się do męża i powiedziała z pewnością w głosie:

- Cole przyjedzie na północ, gdy nadejdzie czas porodu.

Franz popatrzył na nią zaskoczony.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się jeszcze radośniej.

- Po prostu wiem.

30

Tuż przed zmierzchem zerwał się ciepły, południowo-zachodni wiatr i ożywił zaspany krajobraz. Alaina przerwała na chwilę toaletę i otworzyła okno, by wpuścić powiew łagodnego, cieplejszego niż dotąd powietrza. Rzeka płynęła zakolami po obu stronach wysokiego brzegu, rozleniwiona w promieniach zachodzącego słońca. Tu i ówdzie wiatr marszczył i mącił błyszczącą powierzchnię wody, lecz ta podążała dalej swym zawiłym nurtem. Podobnie wewnętrzny spokój Alainy, za którym kryło się już zmęczenie, zakłócały nachodzące ją myśli. Wspomnienia były jak fale lub wiry wokół głazów sterczących tuż pod powierzchnią wody. Największym ciężarem kładło się jej na sercu przekonanie, że Cole ożenił się z nią wyłącznie dlatego, by spełnić dobry uczynek. Myśl o tym całkiem mąciła harmonię jej ducha. Ostra reakcja na ten fakt też szarpała i targała świadomością Alainy, wzbudzając narastający niepokój. Przekonywała wprawdzie samą siebie, że została zraniona, ale nie potrafiła wywołać w sobie tak silnego gniewu, na jaki, zdawałoby się, zasługiwał Cole.

Z pełnym zadumy westchnieniem wróciła do wkładania swej najlepszej wieczorowej sukni z żółtej tafty, wyszywanej w eleganckie czarne paski. Na przedzie bardzo szerokiej dołem spódnicy z klinów biegł udrapowany na skos pas czarnej koronki. Górę zdobił plisowany, koronkowy kołnierz; koronką także wykończone były bufiaste rękawy. Zapinanie małych guziczków z tyłu sukienki przez chwilę nawet obudziło w Alainie żal, że nie ma pod ręką Cole'a. Zaraz po ich powrocie przyjechał prawnik z Pensylwanii i obaj mężczyźni zamknęli się w gabinecie, by omawiać interesy. Alaina musiała sobie sama wypełnić popołudnie.

Ze złością odstawiła krzesło, którym przezornie zablokowała drzwi do sypialni męża. Był to zupełnie zbędny gest, gdyż nie dochodził stamtąd najlżejszy szmer. Usłyszała natomiast delikatnie wybijaną połowę godziny i ze zdziwieniem spostrzegła, że w czasie jej nieobecności na półce nad kominkiem postawiono ozdobny zegar. Niebawem mieli przyjechać Darveyowie. Alaina była już ubrana i właściwie gotowa, a Cole nawet jeszcze nie przyszedł na górę, by przebrać się do kolacji.

Mijała minuta za minutą. Alaina otworzyła drzwi na korytarz, żeby usłyszeć kołatkę, która obwieści przybycie gości. Postanowiła jeszcze raz skontrolować swój wygląd i upewnić się, czy wszystko jest jak należy. Wołałaby uniknąć drażnienia Cole'a czymkolwiek, co by mu przypomniało o jej postanowieniu, by nie nosić kupionych przez niego ubrań. Podeszła z powrotem do lustra. Lśniące włosy były wyszczotkowane wyjątkowo starannie, rozdzielone pośrodku przedziałkiem i schowane z tyłu w luźno tkaną czarną jedwabną siatkę. Dawno nie czuła się tak ładna i pełna kobiecości, jednak tę radość mąciła niepewność, jak na jej widok zareaguje Cole. Może udobrucha się nieco, gdy zobaczy zwisające z jej uszu diamentowe kolczyki, jednak trudno było doprawdy przewidzieć, czy będzie zadowolony.

Stojąc przed swym odbiciem w lustrze, Alaina dosłyszała przytłumiony szept i ze strachu aż poczuła ciarki.

Zdawało jej się też, że w lustrze coś mignęło. Szybko się odwróciła, ale w drzwiach nie było nikogo. Wzięła więc lampę i wybiegła na korytarz. Przeszła go wzdłuż i wróciła, ale tam też było pusto i ciemno. Powiesiła lampę wysoko na ścianie korytarza, by rozproszyc ciemności. Skradający się intruz musiałby teraz przejść przez tę oświetloną część, co wydawało się mało prawdopodobne. Najwyraźniej wołał kryć się w cieniu.

Tymczasem z głównego holu dobiegły głosy i Alaina domyśliła się, że Miles już wita gości. Głęboko zaczerpnęła tchu i przygotowała się duchowo na spotkanie przyjaciół Cole'a. Chciała jak najlepiej spełnić rolę pani domu. Idąc korytarzem, ciągle jednak myślała o cieniu, który mignął jej w lustrze. Kim była ta Mindy, którą wczoraj zawołał Cole? Co miała wspólnego z nim i z tym domem?

Braegar usłyszał szelest jej taftowej sukni, gdy schodziła po schodach. Spojrzał w górę i natychmiast zapomniał, że właśnie pomaga swej siostrze zdjąć okrycie. Widok schodzącej kobiety przesłonił mu wszystko inne. Wprost замуrowało go z podziwu. Pospieszył korytarzem w jej stronę, pozostawiając rozbieranie rodziny Milesowi.

Stuknął obcasami i skłonił się elegancko, po czym ujął jej dłoń i pochylił się nad nią w staroświeckim stylu.

- O pani, blaskiem swej urody rozjaśniasz nasz północny klimat.

- Jest pan bardzo uprzejmy - odparła z miłym uśmiechem.

Pozwoliła mu się poprowadzić przez hol, zatrzymując się tylko na moment obok przechodzącego z ubraniami gościa Milesa, by szepnąć do niego dyskretnie:

- Miles, proszę powiadomić doktora Latimera, że goście już przybyli.

- Tak, proszę pani. - Służący ukłonił się niezdarne i poszedł prosto ku drzwiom gabinetu, w które lekko zastukał.

Siostra Braegara zmierzyła obojętnym wzrokiem nową żonę Latimera.

- Zastanawiałam się, dlaczego Braegar tak palił się do dzisiejszej kolacji - powiedziała lekko drwiąco. - Teraz już rozumiem powód.

Alaina nie była pewna, jak powinna przyjąć ten dziwnym tonem wypowiedziany komplement. Jednak niezależnie od tego, czy zostaną z tą kobietą przyjaciółkami, czy wrogami, teraz była ona gościem w domu jej męża i należało ją traktować z ciepłą, południową serdecznością. Uśmiech był najlepszym środkiem zarówno dla zmieszania wroga, jak i dla oczarowania przyjaciela. Alaina złożyła kształtne czerwone usta w uśmiechu i wyciągnęła do niej rękę.

- Pani jest pewnie Carolyn.

Ze spóźnioną galanterią Braegar wyciągnął rękę w stronę swej rodziny.

- Proszę poznać moją najzaciejszą mamę, Eleanore McGivers Darvey, oraz, jak już pani zgadła, moją podstarzałą, niezamężną siostrę Carolyn.

Jasnowłosa kobieta uśmiechnęła się z przymusem.

- Niezmiernie pragnęliśmy panią poznać, pani Latimer. - Ostatnie słowa wymówiła, jakby jej rosły w ustach. - Ponieważ zdążyła pani już poznać Braegara, sama pani rozumie, dlaczego jeszcze nie wyszłam za mąż. - Spojrzała na brata. - Niewielu mężczyzn chciałoby wejść do rodziny, gdzie wrodzona głupota tak rzuca się w oczy.

Alaina powstrzymała się od śmiechu, ale nie zdołała ukryć błysku w oczach. Może to tylko ironiczne poczucie humoru sprawiło, że Carolyn wydawała się na pierwszy rzut oka niezycziwa.

Braegar z zamierzoną przesadą nadał się na siostrę, lecz matka szybko położyła kres szykującej się sprzeczce.

- Dzieci! Dzieci! - przywołała ich do porządku. - Cóż ta młoda dama pomyśli, widząc wasze popisy? Że wychowałam dwoje awanturników?

- Och, nie! - zapewniła ją serdecznie Alaina. - To mi przypomina miłe chwile we własnej rodzinie.

Bardzo uprzejma odpowiedź - pomyślała Eleanore, ale nie miała zamiaru tak łatwo zaakceptować nowej żony przyjaciela syna. W jej oczach Cole sam ponosił winę za fiasko swego pierwszego małżeństwa i głośno krytykowała jego ewidentną głupotę. Kiedyś wyobrażała sobie, że ożeni się z jej Carolyn. Jednak wbrew wszelkim jej nadziejom Cole rozglądał się wszędzie, a nie dostrzegał tak starannie wychowanej panny tuż pod ręką. Może łącząca ich wielka zażyłość była powodem, że traktował ją prawie jak własną siostrę. Po śmierci Roberty nadzieje Eleanore ponownie odżyły. Myślała, że Cole okaże większy rozsądek i poszuka sobie żony bliżej domu. On natomiast ponownie ożenił się z całkiem obcą kobietą z Południa. Mój Boże! A biedna Carolyn w wieku dwudziestu siedmiu lat wciąż była panną.

Drzwi gabinetu otworzyły się i ze środka dobiegł głos Cole'a:

- Pozostawiam tę sprawę w twoich rękach, Horace.

Alaina powitała obu mężczyzn radosnym uśmiechem. Cole nadal miał na sobie to samo ciemne ubranie co rano. Opierał się ciężko na lasce, a zaciśnięte usta i bladość twarzy świadczyły o męczącym go bólu. Gdy zatrzymał się jakby mimochodem i rozejrzał po holu, Alaina domyśliła się, że musiał dać nodze chwilę odpoczynku. Na moment zatrzymał wzrok na niej, kontrolując strój, a potem wszyscy ruszyli sobie na spotkanie. Cole skłonił się Braegarowi i uśmiechając się, podszedł do pań. Przedstawił siwowłosego prawnika Darveyom, a potem przyciągnął Alainę do siebie i objawszy ją ręką w talii, powiedział:

- Moją żonę widziałeś już po południu.

Horace Burr ujął dłoń Alainy.

- Pani Latimer, przepraszam, że zabrałem pani mężowi tak dużo czasu. Czy wybaczy mi pani?

- Tylko pod warunkiem, że zostanie pan dziś z nami na kolacji, panie Burr.

Alaina odgrywała rolę prostodusznej i cieplej gospodyni z niewytłumaczalnym dla niej samej przejęciem. Może tak działał na nią unoszący się wokół Cole'a zapach skór, cygar i brandy. Może to obudziło w niej jakieś dziwne uczucia.

Horace zaśmiał się wesoło.

- Z wielką przyjemnością przyłączę się do tak miłego towarzystwa. - Podszedł do pani Darvey i ujął jej rękę. - Nareszcie mam zaszczyt poznać panią, po tylu latach słuchania dytyrambów Latimera na pani cześć.

Eleanore Darvey, od ponad dziesięciu lat wdowa, nie była obojętna na rycerskość starszego dżentelmena. Wciąż pozostawała atrakcyjną kobietą i schlebiali jej miłe słowa Horace'a Burra.

Alaina odwróciła się do obejmującego ją wciąż męża, położyła rękę na jego piersi i spojrzała w niebieskie oczy, spoglądające na nią śmielej niż zazwyczaj. Z rumieńcem na policzkach, jak najdyskretniej spytała:

- Czy chciałbyś się przebrać do kolacji?

Choć był to prawie szept, pytanie dosłyszła Carolyn, która pamiętała dobrze wymówki pierwszej żony Cole'a, a to, że nie jest odpowiednio ubrany, a to, że nie przyszedł na czas.

- E tam, Cole'u. Zbyt długo się znamy, żeby zawracać sobie głowę takimi formalnościami. - Głos Carolyn, początkowo mocny i zdecydowany, cichł w miarę mówienia. Co dawniej uszłoby za zwykłą żartobliwą uwagę, teraz potraktowane zostało sztywną postawą i chłodnym spojrzeniem Cole'a, które odebrały jej ochotę do

jakichkolwiek żartów. Być może ton jej głosu zdradził gotowość doszukania się w nowej żonie jakichś wad, a on najwyraźniej ją chronił. - To znaczy... - dokończyła bez przekonania - to tylko kolacja w przyjacielskim gronie sąsiadów, żadna wielka okazja.

Braegar był bardziej bezpośredni.

- Jeśli tylko Cole nie cuchnie stajnią, może być ubrany tak jak teraz. - Wyglądził swój surdut. - Nie ma sensu stać i dyskutować, podczas gdy w salonie czeka świetna brandy.

Gdy energiczny Irlandczyk poprowadził gości do salonu, Cole zatrzymał na chwilę Alainę. Lekko musnął rząd guzików na jej wąskich plecach i poszukał oczami jej oczu. Zagłębił się w wesołych szarych źrenicach, próbując odgadnąć, w co teraz grają. Pod jego spojrzeniem usta Alainy złożyły się miękko, a jej ręka wyprostowała mu kołnierzyk i wygładziła koszulę.

- Czyż nie wyglądam na odpowiednią ochronę przed natrętnymi matkami?

Cole'owi drgnęły mięśnie szczęki. Powinien się tego spodziewać!

Alaina wsunęła mu rękę pod ramię, gotowa, by ją poprowadził. Lecz gdy ruszył, zdumiała się i przestraszyła niepewnością jego kroków i tym, jak mocno się wspiera laską. Zapytała z niepokojem:

- Dobrze się czujesz?

Lekceważąc jej obawy, burknął:

- Noga mi zeszytywniała od długiego siedzenia. Zaraz się rozruszam.

W salonie Cole stał za jej krzesłem, a po rozniesieniu przez Milesa drinków przyciągnął wzrokiem uwagę służącego i wskazał mu głową na kryształową karafkę. Kamerdyner posłusznie nalał z niej do kieliszka małą porcję i z daleka pokazał go swemu pracodawcy. Cole wyraził niezadowolenie, więc Miles, trochę zdezorientowany, przyniósł i kieliszek, i karafkę. Postawił je na stoliku obok krzesła Alainy. Cole wychylił pierwszy kieliszek i gdy sięgnął po karafkę, by nalać sobie drugi, napotkał zatroskany wzrok żony.

Braegar zażartował:

- Cała reszta dla ciebie, Cole'u? Czy też Miles poczęstuje jeszcze gości?

Cole skinął na kamerdynera, a ten szybko napełnił kieliszek Braegara z drugiej karafki.

- Podoba mi się zwyczaj picia brandy przed posiłkiem - przyznał bezceremonialnie Irlandczyk. - To w bardzo dobrym guście.

Eleanore siedziała na fotelu jak matrona, niezbyt zachwycona tym, co widzi i słyszy. Obrzuciwszy zarówno Cole'a, jak i Braegara chłodnym spojrzeniem, wtrąciła:

- Uważam, że nadmierne przywiązanie do alkoholu może zmarnować człowieka.

Gdy Miles oznajmił, że obiad czeka, Alaina wstała i biorąc Cole'a pod ramię, jako gospodyni zarządziła:

- Panie Burr, zechce pan zaprowadzić panią Darvey do jadalni?

Widząc, że Alaina dokonała już wyboru, Braegar niechętnie podał ramię Carolyn i poszli razem za matką. Na końcu szli gospodarze. Alaina zaaranżowała to specjalnie, żeby Cole nie musiał się spieszyć. Gdy dotarli do jego krzesła, dotknęła lekko jego ramienia, by został, a sama podążyła na swoje miejsce po drugiej stronie stołu. Tam pomógł jej skwapliwie Braegar. Przyniósł jej krzesło i zajął miejsce obok po lewej stronie. Od reszty dzieliła ich cała długość stołu. Alaina spostrzegła gniewny wzrok męża i uniosła brwi pytająco. Nie bardzo wiedziała, co tym razem źle zrobiła.

Horace asystował Eleanore i nagle Cole zauważył, że Carolyn pozostawiono samą sobie. Natychmiast wstał,

żeby jej pomóc, ale zanim doszedł, wyręczył go prawnik.

- Siedź, doktorze Latimer - nakazał mu. - Wiem, że dokucza ci noga.

Cole zaczerwienił się ze wstydu i zmieszania. Wyglądało na to, że nie jest w stanie pełnić zwykłych obowiązków gospodarza, i ciągle mu przypominano o jego kalectwie. Usiadł z powrotem na krześle i przysuwając je, mruknął:

- Nie jestem już doktorem. Zrezygnowałem z praktyki.

Zaszokowany odpowiedzią kolegi, Braegar oparł się z wrażenia na krześle. Zupełnie nie pojmował, co mogło spowodować, że Cole tak kompletnie stracił zainteresowanie pracą, której kiedyś poświęcał się z taką pasją. Z nich dwóch to Cole był tym poważanym lekarzem. Serio traktował studia, przejmował się pacjentami. Natomiast Braegar zawsze podchodził do swojej praktyki dość luźno. Opierał się w równej mierze na swej sympatycznej powierzchowności, co na umiejętnościach zawodowych. W zawód wprowadzał ich obu jako młodych chłopców Frederick Latimer. On też zachęcał ich własnym entuzjazmem i umiłowaniem pracy lekarza. Lecz Cole'owi przekazał coś szczególnego, a mianowicie talent chirurgiczny. Tej umiejętności Braegar nigdy nie zdołał opanować tak doskonale.

- Może obawia się, że nie jest już wystarczająco sprawny - snuł przypuszczenia w duchu, ale gdy napotkał znaczące spojrzenie szarych oczu swej sąsiadki, uprzytomnił sobie, że musiał to powiedzieć na głos. Pospiesznie więc dodał, by zatrzeć ewentualne złe wrażenie: - Cole jest najlepszym chirurgiem w całej okolicy, bez wyjątku. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego zrezygnował.

Latimer wypił następny kieliszek brandy, nie zaspokoiwszy ciekawości Braegara. Bardziej niż wywody Irlandczyka denerwowało Cole'a jego zbyt natarczywe asystowanie Alainie.

Podano pierwsze danie. Wszyscy zajęli się jedzeniem, a konwersacja się urwała. Na przekąskę były małe kawałki mięsa w słodkim, aromatycznym sosie sherry. Annie udowodniła, iż pomimo swej politycznej orientacji potrafi gotować nie tylko ziemniaki, ale i wyrafinowane potrawy z różnych kuchni świata.

Gdy przy stole podjęto na nowo rozmowę, Eleanore nie mogła już dłużej wytrzymać, by nie poruszyć tematu, który ją nurtował.

- Cole'u, nie powiedziałaś nam nic o Alainie, jak ją poznałeś i jak doszło do waszego małżeństwa przez pełnomocnika. Prawdę mówiąc, nie jestem przekonana co do tej metody. Jest zgodna z prawem, czy tak? To znaczy chodzi mi o to, czy nie ściągnęłaś tutaj tego biednego dziecka, broń Boże, nieprawnie. - Pani Darvey złapała się ręką za policzek, przerażona własnymi podejrzeniami. - Jesteście małżeństwem, prawda?

Nawet z dużej odległości, jaka ich dzieliła, Alaina zauważyła napięcie w twarzy i całej postawie Cole'a, nie wiedziała już, czy z bólu, czy z gniewu.

- Ciociu Ellie, możesz być spokojna - zapewnił ją. - Przysięga ślubna była całkowicie zgodna z prawem.

- Jednak nie odbyła się po chrześcijańsku, Cole'u - zgaśniła go Eleanore. Przerwała, gdy Miles podał jej z wózka talerz, a gdy się oddalił, ciągnęła oburzonym tonem: - Nie sądzę, by twój ojciec to pochwalił. Porządny ślub w kościele byłby bardziej przekonujący. Może powinienes nakłonić wielebnego do odbycia kościelnej ceremonii. To by położyło kres wszelkim plotkom.

- Do diabła z plotkarzami! - warknął Cole. - Nie będę im dostarczał więcej wody na młyn.

- Wiesz przecież, mamó, że rana Cole'a nie pozwala mu podróżować - wtrąciła się Carolyn. - Jestem przekonana, że pan Burr może, jako prawnik, potwierdzić legalność małżeństwa przez pełnomocnika.

- W rzeczy samej, proszę pani. Spełnia wszelkie wymogi prawa - potwierdził Horace.

Tylko Alaina zauważyła pogardliwe spojrzenie Annie rzucone przez ramię, gdy pchała wózek przez wahadłowe drzwi do kuchni. Rozmowę znów przerwano, by z nabożeństwem skosztować wyjątkowo smaczne główne danie: duszoną cielęcinę. Lecz Eleanore wciąż nie była przekonana co do prawidłowości procedury zawarcia małżeństwa przez Cole'a.

- Alaino, a co na temat takiej procedury sądzą twoi rodzice? Z pewnością podeszli do tego z rezerwą.

- Moi rodzice nie żyją, proszę pani. - Alaina poczuła przez chwilę, że ogarnia ją złość, lecz stłumiła ją, widząc, że pytanie zadane było w zupełnie czystej intencji. Nie mogła się przecież spodziewać, by ktoś w sprawę nie wtajemniczony wszystko rozumiał. - Mój ojciec i bracia zginęli na wojnie, a matka umarła od trudów uprawiania plantacji w czasie, gdy żołnierze Unii odbierali nam zbiory i zwierzęta. Ja uciekłam do Nowego Orleanu przed zemstą oficera jankeskiego, którego zaloty odrzuciłam. Przysiągł, że spowoduje, iż ja i Saul zostaniemy powieszni jako szpieczy. Cole'a spotkałam na przystani w dniu, kiedy przyплыłam do miasta. Uratował mnie od pobicia przez kilku pijanych żołnierzy. To było dwa lata temu, proszę pani. Doktor Latimer był mężem mojej kuzynki i gdy ona zmarła, zaproponował mi małżeństwo. Przyjęłam tę propozycję, bo pewien hultaj chciał mnie zmusić siłą do zostania jego nałożnicą. - Spokojnie złożyła ręce na kolanach i popatrzyła na starszą panią łagodnie, lecz zdecydowanie. - Pani Darvey, czy jeszcze coś chciałaby pani wiedzieć?

Zawstydzona efektem swej niepohamowanej ciekawości, Eleanore odrzekła skruszona:

- Nie, dziecko. Odpowiedziałas chyba wyczerpująco na moje pytanie.

Minęła chwila pełna napięcia. Cole przyglądał się żonie znad kieliszka brandy na w pół uśmiechnięty, na w pół rozgniewany. Nie było to zbyt przyjemne dla mężczyzny usłyszeć, że był dla swej żony jedynie deską ratunku. Musimy sobie wyjaśnić jeszcze o wiele więcej niż tylko kwestię ubrań - pomyślał.

- Pijani żołnierze napastowali młode damy? - Eleanore oburzona skierowała wzrok na Cole'a. - Wielkie nieba, Cole'u! Do czego to dochodziło w naszej armii?! Myślę, że powinnam o tym pomówić z gubernatorem.

Zrobiło się wielkie zamieszanie, wszyscy zaczęli mówić naraz. Cole dał sobie spokój z wyjaśnieniami i dyskusja powoli ucichła. Tylko Braegar pochylał się jeszcze ku Alainie i przeproszał.

- Proszę nam wybaczyć impertynencję z tym wypytywaniem...

Eleanore wyprostowała się z oburzeniem.

- Uważaj, co mówisz do tej młodej damy, Braegarze Darveyu! Pragnę ci przypomnieć, że mimo swego podeszłego wieku jestem w stanie przeprosić za swój własny błąd... jeśli jest taka potrzeba!

Jej syn z uśmiechem położył rękę na dłoni Alainy.

- W takim razie przeproszam najmocniej za swoje własne zachowanie, choć założę się, że nie mniej musiała się pani nasłuchać od swego męża, a obawiam się, że jest takim samym nicponiem jak ja.

Alaina uśmiechała się z rozbawieniem, dopóki nie zerknęła na Cole'a. Obserwował ją z drugiego końca stołu z takim zapamiętaniem, że spoważniała. Cole'a najwyraźniej irytowało wszystko, co zrobił lub powiedział Braegar, a ona nie rozumiała, dlaczego. Wykluczała jako przyczynę zazdrość. Cole był przecież w jej oczach znacznie przystojniejszy i bardziej męski. Braegar przypominał jej czasem małego i psotnego, choć inteligentnego łobuziaka. Nie mogła też uwierzyć, by Cole był zawistny z tego powodu, że Braegar cieszył się pełnym zdrowiem, podczas gdy on był niesprawny. Musiał być jakiś bardziej osobisty i poważniejszy powód.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że Cole ożenił się z panią tylko z poczucia obowiązku - ciągnął dalej

Braegar. - Oczywiście, to dla niego typowe. Zawsze był dżentelmenem i w miłości, i na wojnie. Do diabła z sobą samym to jego dewiza. - Tu zauważył ostrzegawcze spojrzenie matki i przynajmniej przez moment baczyl na to, jak się wyraża. - Moja świątobliwa matka może za to poręczyć, a jeśli ktokolwiek mówi prawdę, to właśnie ona. - Pochylił się do przodu i spojrzał na drugi koniec stołu, skąd Cole obserwował go wzrokiem jeszcze spokojnym, ale za którym już czaiła się rosnąca irytacja. - Co do mnie, miałbym więcej powodów, żeby poślubić piękną kobietę, niż tylko honor, i nie mogę uwierzyć, by Cole tak się ode mnie różnił. - Tu przerwał, pozwalając słuchaczom to przetrwać, po czym uniósł kieliszek w toastie za młodą parę. - Za wasze małżeństwo, Cole'u, wszystko jedno, z jakiego powodu zawarte. Ale jeśli nawet dla honoru, to twój gust znacznie się w kwestii kobiet poprawił.

- Braegar! - Jego matka była zdumiona grubiaństwem swego syna. - Cóż to za toast? Pan Burr wyjedzie stąd w przekonaniu, że jesteśmy najbardziej nieuprzejmą rodziną, jaką kiedykolwiek spotkał.

Braegar wzruszył ramionami.

- Zauważyłem tylko, że jeśli Cole po raz pierwszy ożenił się z miłości, a po raz drugi dla honoru, to za drugim razem dokonał znacznie lepszego wyboru. Może jestem zbyt bezpośredni, ale trudno, taki już jestem. A jeśli on jest aż tak ślepy, że nie zauważa, jaki mu się trafił skarb, to sądzę, że jest skończonym głupcem!

- Nie uważam Cole'a ani za ślepego, ani głupiego, Braegarze Darveyu! - zaprotestowała Carolyn.

Jej brat ponownie wzruszył ramionami, demonstrując swą obojętność.

- Ty zawsze uważałaś, że rozumiesz Cole'a lepiej niż ja.

Ponownie wjechała Annie Murphy z wózkami i zabrała puste talerze pozbierane przez Milesa ze stołu, a w zamian podawała mu z wózka mniejsze, pełne. Kamerdyner z przykłądną dostojnością postawił przed każdym ciemny pudding śliwkowy polany sosem rumowym. Nie drgnęły mu nawet powieki, gdy tymczasem Braegar ciągnął swój wywód:

- Byłaby to wielka strata, gdyby Cole ożenił się z Alaina wyłącznie dla honoru, a nie dla swego dobra.

- Znasz ją dopiero od wczoraj - przypomniała mu cierpko Carolyn. - Jak możesz kogoś osądzać po tak krótkim czasie?

Cole odstawił niecierpliwym gestem talerz z deserem i nie zwracając uwagi na jawną dezaprobatę Annie, odsunął krzesło i wstał.

Carolyn spojrzała zdziwiona.

- Dokąd idziesz, Cole'u? Pudding jest pyszny. Powinieneś go zjeść.

- Nie spodobało mu się, że nazwałem go głupcem - wyjaśnił rozbawiony Braegar.

- O łaskawe, wielkie nieba! - wykrzyknął Cole, spoglądając w sufit. Oparł się o brzeg stołu i z sarkastycznym uśmiechem powiódł wzrokiem po swych gościach. - Czuję się jak bezbronne zwierzę otoczone przez stado drapieżników. Jeszcze trochę, a rzucają się na mnie i zostaną same kości.

- Drapieżników, coś podobnego! - Eleanore uniosła dumnie brodę.

Cole mówił dalej, nie zwracając na nią uwagi:

- Czy nie wystarczy wam po prostu, że poślubiłem dwie kobiety z jednej rodziny? Obie dobrze ułożone damy z Południa? Obie piękne? - Uniósł rękę z dłonią zwróconą jak do przysięgi. - Być może nie odbyło się to zgodnie z przyjętą przez was tradycją. Po prostu połączył nas... - spojrzał na Alainę i dokończył tonem łagodniejszym, niż zamierzał - los. W obu przypadkach małżeństwo było jedynym wyjściem.

Alainę zakłuła ta raczej nonszalancka odpowiedź. Jej zdaniem należało mu natychmiast przytrzeć nosa i nie

odmówiła sobie zrobienia tego. Z uroczym uśmiechem oparła się łokciem o stół i słodkim jak miód głosem, z przesadnie podkreślonym południowym akcentem, wycodziła:

- Ty gruboskórny Jankesie, jeśli jeszcze raz porównasz mnie z Roberta, tak ci dołożę, że będziesz się czuł, jakby po tobie przeszła cała armia konfederacka, z końmi, wozami i działami.

Łagodny, przymiłny ton jej głosu i promienny uśmiech sprawiły, że upłynęła długa chwila, zanim do słuchających dotarło znaczenie jej słów. Cole uniósł brwi i skrzywił usta w cierpkim uśmiechu. Horace Burr głośno odchrząknął i skwapliwie zajął się wycieraniem okularów. Carolyn zdławiła chichot i usiłowała zachować powagę, a Eleanore była wyraźnie zdumiona. Braegar aż wstał z podziwu. Kiedy minął pierwszy szok, w jadalni zapanała cisza, maćona jedynie niepohamowanym śmiechem dobiegającym z kuchni, zza ruszających się jeszcze wahadłowych drzwi. Wózek z brudnymi naczyniami pozostawiony obok krzesła Cole'a świadczył o nagłej rejteradzie Annie.

- Bardzo cię przepraszam, Al - wykrztusił Cole. - To jest ostatnia rzecz, jaką bym chciał...

- Al! - Carolyn nagle spowaźniała i wbiła wzrok w Cole'a. - To znaczy... że ona... - Carolyn machnęła ręką w stronę drugiego końca stołu, a w głowie gwałtownie kojarzyły jej się strzępki informacji o Alu z listów Cole'a - jest tamtym... - Nie była w stanie dokończyć.

Pani Darvey z obawą, ale nie oparła się chęci zapytania:

- To jest ten sam Al, który cię... poparzył? - Przypomniały jej się bowiem w tym momencie wszystkie historie, z których zaśmiewała się cała rodzina.

Braegar zdębiał, opadł na krzesło i również sięgnął pamięcią do korespondencji od przyjaciela. Przypomniawszy sobie też, że najmniejsza wzmianka o Alu wywoływała u Roberty ataki furii.

Carolyn z kolei utkwilo w pamięci, jak po spotkaniu chłopaka Cole odgrażał się, że któregoś dnia ściągnie mu spodnie i złozi siedzenie. Zupełnie oniemiała z wrażenia, patrzyła na Cole'a ze zdumieniem. Właściwie wszyscy zamarli w oczekiwaniu na jego odpowiedź. Alaina, spokojna i zadowolona z siebie, usiadła wygodnie i nic już więcej nie mówiąc, uśmiechała się z lekka. Bardzo była ciekawa, jak on im to wszystko wyjaśni.

Cole usiadł i rozejrzał się wokół stołu.

- Dokładnie ten sam! - Wyjął cygareto i odgryzł koniec, a tymczasem Darveyowie zastygli w oczekiwaniu. - Alaina przebrała się za chłopca, żeby nie narażać się na zaczepki żołnierzy Unii. Ja wówczas byłem dla niej jednym z niebieskobrzych, których trzeba unikać. Zawiozłem chłopca Ala do domu jego wuja i poznałem tam jeszcze tego samego dnia Robertę. Nie zostałem... ech - tu popatrzył na trzymane w ręce cygareto - dopuszczony do tajemnicy. Poznałem ją dopiero po ślubie z Roberta.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Braegar.

- To musiało być straszne! - Carolyn zmarszczyła nos. - W przebraniu chłopca? - Spojrzała przez stół na Alainę, nie mogąc w to uwierzyć.

- Biedactwo! - Pełna współczucia Eleanore wstała i podeszła do Alainy. - Po tym wszystkim, co przeszłaś, nie zdziwiłabym się, gdybyś nas nienawidziła.

Alaina posłała przez cały stół uśmiech mężowi i z niewinną minką spytała:

- Czy Cole opowiadał wam o zdarzeniu w stajni? - Gniewna mina Cole'a wywołała u niej jeszcze większe rozbawienie. - Jak nurkowaliśmy w korycie? Albo o naszej bójce w kuchni, gdy Dulcie uratowała mnie od lania?

- Biedne dziecko! - Eleanore westchnęła i rzuciła Cole'owi pełne oburzenia: - Ty bestio!

Cole nerwowo włożył do ust cygaro i przypalił je, mocno się zaciągając. Cały czas nie spuszczał oczu z Alainy.

Eleanore powachlowała powietrze, żeby odpędzić dym.

- Cole'u! Doprawdy nie rozumiem, co ty widzisz w tych wstrętnych nałogach!

Alaina wstała. Postanowiła, że lepiej się wycofać z wdziękiem, póki to jeszcze możliwe. Zwłaszcza że nie było kluczy w zamkach, by schronić się bezpiecznie przed obiecany, jeszcze Ałowi, laniem.

- Może panie wolałyby raczej przejść do salonu, pozostawiając panów z cygarami i brandy - zaproponowała tonem życzliwej gospodyni. Znalazszy się już przy drzwiach, Alaina zerknęła przez ramię na Cole'a. Wciąż patrzył na nią, a w jego jasnych oczach płonęło coś innego niż gniew. Coś, czego nie potrafiła dokładnie określić.

Pan Burr wstał również i przeprosił, wyjaśniając, że następnego dnia musi wcześniej wyjechać.

- Zawiadomię cię jak najszybciej, Cole'u - obiecał gospodarzowi odprowadzającemu go do drzwi. - Bądź spokojny, zrobię wszystko, żeby dopilnować spraw, o których rozmawialiśmy. - Starszy mężczyzna wyciągnął rękę, którą Cole uściśnął serdecznie, i powiedział z entuzjazmem: - Masz tu coś na kształt rodziny oraz nadzwyczaj uroczą żonę. Z przyjemnością znów przyjadę złożyć sprawozdanie.

Prawnik wyszedł i Cole zamknął za nim drzwi. Gdy schodził po schodku z holu, wykrzywił się z bólu, lecz widząc, że obserwuje go czekający przy drzwiach gabinetu Braegar, opanował się i już nic nie okazując, udał się w jego stronę.

W salonie Alaina z trudem nadążała za bezładną paplaniną Eleanore Darvey, gdyż ciągle miała w pamięci dziwnie wyraziste spojrzenie niebieskich oczu. Ostatnio coś za często jej myśli biegły ku Cole'owi.

Pani Darvey nieprzerwanie podtrzymywała rozmowę. Obawiała się, że bez dalszych wyjaśnień nie będzie w stanie wytrwać w swym postanowieniu, by zaakceptować małżeństwo Cole'a. Carolyn, zajęta układaniem w głowie szczegółów jego pobytu w Nowym Orleanie tak, by zgadzały się z tym, co usłyszała przy stole, niewiele w rozmowie matce pomagała. Poza szemrzącym głosem Eleanore w całym domu było zupełnie cicho. Wtem nagle ciszę przerwał brzęk szkła i potężny ryk Cole'a:

- Do cholery, człowieku, wystarczy już tego!

- Cole'u, posłuchaj!

- Wynoś się! Wynoś się z mojego domu, zanim wyrzucę cię siłą!

Kobiety, słysząc to, doznały wstrząsu. Natychmiast wstały i wyszły na korytarz. Alaina bezradnie zwróciła się do Milesa, żeby im podał okrycia. Z gabinetu wypadł Braegar z czerwoną twarzą i płonącymi gniewem oczami. Idąc korytarzem, urągał pod nosem:

- Przeklęty furiat!

Zamilkł raptownie, widząc zafrasowane oczy Alainy. Ujął jej dłoń i wymamrotał jakieś przeprosiny, lecz Cole dotąd wbijał w niego wściekły wzrok, aż Braegar się od niej odsunął. Ukłonił się więc sztywno, zrobił w tył zwrot i wymaszerował na dwór. Eleanore patrzyła przez chwilę w zdumieniu na Cole'a, po czym wyszła za synem. Równie zmieszana Carolyn wzięła swoją pelerynę od Milesa i odwróciła się do Alainy. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i taktownie wyszła. Miles zamknął za nimi drzwi. Unikając spojrzenia Alainy, poszedł do salonu poprawić stos w kominku, zanim oddalił się na tył domu. Alaina spojrzała na Cole'a pytająco. Chętnie usłyszałaby jakieś wyjaśnienie tak gwałtownego wybuchu, lecz on burknął coś niewyraźnie, wszedł z powrotem do gabinetu i zatrzasnął drzwi.

Alaina uniosła brodę do góry, choć poczuła się tak, jakby otrzymała policzek. Wyprostowana dumnie weszła na górę i poszukała schronienia w samotności swej sypialni. Jeśli pan domu mógł się zaszywać w samotności, mogła i pani domu.

A dom powoli pograżył się w zwykłych wieczornych czynnościach. Jeszcze przez jakiś czas Annie i służba krzątały się, sprząając jadalnię. Później wyszedł Peter i zamknął za sobą kuchenne drzwi. Zrobiło się cicho. W pokoju młodej małżonki słychać było tylko ciche skrzywienie i pojękiwanie budynku z kamienia i cegły. Nawet zegar wybił północ ledwo dosłyszalnie.

Wolniej nieco ustępowało napięcie i zdenerwowanie wydarzeniami tego wieczoru. Alaina była rozbita i nie mogła zasnąć. Siedziała przy kominku, patrząc smutno na skaczące, jasne płomienie i rozmyślając nad swym życiem. Chcąc wyglądać w miarę przyzwoicie, prawie wszystkie zarobione pieniądze wydała na wyprawę, a także na podróż Saula. Została jej dosłownie odrobina i żeby mieć parę groszy w portmonetce, oszczędzała, na czym tylko mogła. Jej koszula nocna była sprana i wiele razy cerowana. Niczym nie przypominała bielizny panny młodej. Dotknęła jej palcami i strapionym wzrokiem popatrzyła w lustro. Posrebrzane szkło odbijało postać kobiety. Nie była już chuda i koścista, lecz szczupła i miękko zaokrąglona. Jej wielogodzinny trud nad przygotowaniem własnych strojów dawał efekty. I w nich jej zgrabna sylwetka przyciągała równie wiele pełnych adoracji spojrzeń co elegancka Roberta. Lecz Cole'owi to nie wystarczało. Chciał, żeby nosiła kupione przez niego bogate, wytworne suknie, o których wprawdzie marzyła, ale nie było ją na nie stać. I jaki miał w tym cel? Odprawianie kolejnej maskarady, przekonywanie świata, że są kochającym się małżeństwem, podczas gdy naprawdę wciąż była między nimi głęboka animozja.

Alaina patrzyła na swe smutne szare oczy w lustrze. Wiedziała, co ją gnębi, co najbardziej ze wszystkiego nurtuje. Te chwile w hotelu... nie mogła ich wymazać z pamięci. Każdy dotyk, pocałunek zapadł w jej świadomość tak ostro, że jeszcze teraz jej ciało płonęło i aż do bólu domagało się spełnienia swych tęsknot.

W korytarzu usłyszała nierówne stąpanie i zastygła, słuchając dzikiego łomotu własnego serca. Czy przyjdzie do niej tym razem zły, czy podniecony? Czy zechce znów stanąć nad jej łóżkiem, by popatrzeć, jak śpi? Czy ma jeszcze inny cel?

Kroki zatrzymały się przy jej drzwiach, które po chwili otworzyły się szeroko i gwałtownie, aż skoczyła na równe nogi. Cole przestąpił próg. Miał zaciśnięte szczęki, czerwone oczy i zmarszczone brwi. Nadal miał na sobie to samo czarne ubranie, tylko rozpięta do pasa koszula odsłaniała jego masywny, umięśniony tors. Przeszło jej przez myśl, że jest pijany, choć tylko tak czuła, bo na zewnątrz nie było żadnych oznak. A nawet zdawał się doskonale panować nad tym, co robi.

Bardzo długo świdrował ją oczami, a ona stała jak obezwładniona. Lampka naftowa, paląca się za nią na stole, podkreślała swym odbłaskiem jej kobiecą figurę, osłoniętą tylko cienką, luźną koszulą. Dosłownie pożerał ją wzrokiem. Stała jak sparaliżowana obok fotela, drżąc i wstrzymując oddech. Cole podszedł bliżej, a ona odruchowo sięgnęła po szlafrok.

- Majorze, czy pan chce ze mną o czymś pomówić?

Zamknęła drzwi. Nie chciała zyskać sobie opinii jakiejś płochliwej pensjonarki. Śledził ją oczami, gdy wracała do fotela przy kominku. Usiadła na jego skraju roztrzęsiona.

Siłą zmuszając się do odłożenia na potem czegoś, co go gnębiło. Cole zaczął łagodnie:

- Byłaś dziś wieczór piękna, Alaino.

Jej milczenie go irytowało. Podeszedł do szafy i trącił końcem laski dół halki, którą powiesiła na drzwiach. Był wyraźnie niezadowolony z tego, co zobaczył. Otworzył szafę laską. Choć w środku wisiały znów wszystkie luksusowe stroje, jej własna czarna była najbliżej pod ręką.

- Kiedy schodziłaś ze statku, wydawało mi się, że zza tych spódnic wyjrzy zaraz AL

Alaina spojrzała nań z ukosa.

- Zawsze miał pan z tym problem.

- Ale, na szczęście, Al już nigdy nie wróci. - Choć się starał, słowa jego brzmiały szorstko i niemiło. Sam siebie w duchu zganił, widząc jej buntowniczo uniesioną brodę.

- Nigdy nikt tego chłopca nie doceniał, majorze.

- Niektórzy by się z tym nie zgodzili - mruknął.

Uniosła brwi i popatrzyła na niego z odrobiną humoru.

- Naprawdę, majorze?

To uporczywe tytułowanie go przelało kielich goryczy.

- Do licha, Alaino! - wykrzyknął gwałtownie, aż się przestraszyła. Otworzył drugą część szafy i ze złością przejechał ręką po jej zawartości. - Masz szafę pełną ładnych strojów, a przychodzę tu i widzę cię w szmatach!

Alaina potarła mały nosek wierzchem dłoni.

- Zgadza się, proszę pana. Może są żebracze, ale moje własne. - Usiadła dumnie wyprostowana w fotelu. - Czy dziś wieczorem pana rozczarowałam? Czy zrobiłam panu wstyd wobec gości?

- Nie, oczywiście, że nie! - odparł ostrym tonem, jakby to była rzecz naturalna. - Byłaś ozdobą mego domu.

- Dziękuję panu! - powiedziała szybko, nie używając już tytułu.

Cole unikał jej wzroku i rozglądał się niespokojnie po pokoju. Wszystko było porządnie poukładane. Zupełnie inaczej niż u Ala - pomyślał. Zaczynał dopiero poznawać na nowo tę dziewczynę.

- Myślałam, że czymś pana denerwuję - dodała Alaina spokojnie, otulając kolana szlafrokiem. - Taki pan był pochmurny...

- To przez tego przekłętą, nadętą durnia! Tego rozpustnika, który się do ciebie przykleił. Ewidentnie spodobałaś mu się od samego początku - przejechał po niej wzrokiem, który uświadomił jej, iż jest prawie w negliżu. Cole zniżył głos. - Ale ja nie mam zamiaru dzielić się z nim tobą.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, uzmysłowił sobie, że bezmyślnie sprowokował wybuch wulkanu, i sam teraz będzie musiał przyjąć jego uderzenie. Alaina poczuła się tak urażona, że zerwała się z fotela i stanęła przed Colem, piorunując go wzrokiem.

- Wydaje mi się, że za bardzo się tym przejmujesz, doktorze Latimer! Ja nie jestem laleczką do zabawy dla każdego, kto jej zapragnie! - Ciskała się po pokoju, zarzucając go potokiem słów. - Co z ciebie za człowiek? Co to za zwyczaj zapraszać ludzi na kolację, a potem wyrzucać ich z domu? Twoje zachowanie jako gospodarza domu pozostawia wiele do życzenia! Doprawdy, postąpiłeś jak wojskowy muł...

Cole przerwał jej brutalnie.

- Ja tylko wyprosiłem z domu Braegara.

- Dlaczego go tak nienawidzisz? - krzyczała Alaina, patrząc mu surowo w oczy. - Dlatego, że on może nadal być lekarzem?

- Lekarzem? Cha, cha! Z tymi rękami do łopaty...

- Dość! - przerwała mu ostrym głosem, widząc, że coraz bardziej się rozjątrza.

- On też mi poradził, żeby obciąć nogę! - grzmiał Cole, nie zwracając uwagi na jej protesty. - Obetnij ją i będzie spokój, tak powiedział!

- Przestań! - Rozpalający się coraz gwałtowniej ogień wulkanu płonął w jej oczach. - Nie chcę słuchać twojego nienawistnego bełkotu. Zrobiłeś się podły i zawistny!

- Odzywa się rodzinna krew! - zaśmiał się z ironią. - Założę się, że między tobą i Roberta było większe pokrewieństwo, niż się przyznajesz. Podły i zawistny! Jakbym słyszał jej słowa. Masz takie same pazury jak twoja kuzynka! - mówił głosem łamiącym się i chrapliwym. Oczy rozparał mu wewnętrzny ogień, szalejący w jego ciele, które pragnęło chwycić ją w objęcia i zakończyć tę bezsensowną walkę w namiętym uścisku. - Ale ty ją prześcignęłaś. Ona obiecywała to, czego nie była w stanie dać. Ty nie chcesz mi dać tego, co naprawdę możesz ofiarować!

Wulkan zadrżał. Oczy Alainy nabrały koloru stali. Zrobiła krok w jego stronę.

- Ostrzegałam cię, żebyś mnie z nią nie porównywał, niebieskobruchu!

- Tak, tak! Teraz to niewiniątko! - brnął głupio dalej. - Ty wyszłaś, ona weszła! Jankes wzięty podstępem! Niebieskobruch schwytyany w pułapkę! Zniszczyć go! Pokonać! Ile twoja wredna kuzynka ci zapłaciła za przelaną ze mną dziewiczą krew?

Plaask!

Odgłos wymierzonego Cole'owi policzka rozległ się w całym pokoju. Złapał ją za rękę i w następnej minucie gwałtownie przyciągnął do nagiego torsu. Otwartymi ustami brutalnie nakrył jej wargi, rozwierając je siłą i penetrując dziko językiem. Tłumione dotąd pożądanie wstrząsnęło nim gwałtownie. Poddając się całkowicie jego rozkazom, podniósł Alainę z podłogi i przycisnął jej biodra do swoich, które rozsadyła pulsująca namiętność. W dziewczynie zawrzało na taką śmiałość. Na chwilę straciła oddech. Nie mogła pozbierać myśli. Bolały ją piersi z całej siły przyciskane do jego muskularnego ciała. Dotyk jego podnieconych bioder parzył jej łono. Ale nie miała siły go odepchnąć, nie miała też ochoty... Lecz Cole puścił ją gwałtownie, odstąpił do tyłu i wyszeptał resztką sił, chrapliwie, wrywając ją z letargu:

- Uwważaj, droga pani. Poznałem aż nadto dobrze małżeński obłęd. I koniec z tym. Jesteś moja i będę z tobą robił, co zechcę i kiedy...

- Ale zgodziłeś się na... - zdobyła się jedynie na cichy szept.

- Kiedy zechcę! Gdzie zechcę! - dokończył. Potem podniósł z podłogi łaskę, wyszedł, kulejąc, i zamknął drzwi.

Oniemiała i oszołomiona Alaina jak w malignie przeszła przez pokój, by przykręcić lampę. Sypialnię ogarnął mrok. Tak jak stała, w szlafroku wczołgała się pod kołdrę i zwinęła w kłębek. Lecz napięcie i podniecenie jeszcze długo jej nie opuszczało. Dopiero nad ranem przyszedł łaskawy sen i uspokoił jej skołatane myśli.

31

Poranne mgły jeszcze spowijały dolinę, gdy Alaina wstała i ubrała się starannie. Powzięła zamiar rozmówienia się z Cole'em na temat ich małżeńskiej przysięgi. Albo będą małżeństwem, albo nie będą, w każdym razie ona nie chce dalej znosić jego męskich kaprysów.

Gdy zeszła po schodach, z tylnej części domu wybiegł Miles. Kończył zakładać kamizelkę. Widząc, że Alaina

zmierza ku zamkniętym drzwiom gabinetu, zagroził jej drogę.

- Dzień dobry, proszę pani - powiedział, zawiązując jeszcze krawat.

Alaina posłała mu uśmiech pełen sympatii.

- Chciałam właśnie zobaczyć, czy mój mąż już wstał.

Miles jeszcze bardziej zdecydowanie odciął jej dostęp do drzwi.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale pan doktor nakazał mi absolutnie nikogo nie wpuszczać. A już zwłaszcza - tu przełknął nerwowo ślinę - najmocniej przepraszam, ale właśnie pani. - Służący spuścił oczy i bawił się dewizką zegarka.

W ciszy, która nastąpiła, Alaina dosłyszała nierytmiczne stukanie laski Cole'a za drzwiami gabinetu, jakby chodził po pokoju. Najlepiej jak potrafiła, uwolniła kamerdynera z kłopotliwej sytuacji.

- Rozumiem, Milesie.

Śniadanie zjadła sama, patrząc na wymownie puste krzesło po drugiej stronie stołu, gdzie nawet nie postawiono nakrycia. Mimo że jedzenie było smaczne, prawie go nie tknęła. Wyszła z jadalni i już szła po schodach na górę, gdy zobaczyła, jak pani Garth unosi rękę, by zapukać do drzwi gabinetu. Gospodyni wstrzymała się jednak, najwyraźniej czekając, aż Alaina pójdzie do siebie. Niosła srebrną tacę z nie napoczętą butelką brandy. Alaina taktownie poszła dalej, a gdy dochodziła do swego pokoju, usłyszała delikatne pukanie pani Garth w ciężkie, dębowe drzwi gabinetu.

Alaina poczuła irytację. Najwyraźniej wszyscy w całym domu wiedzieli, co się dzieje, a ją usiłowali trzymać od tego z daleka. Gdy Cole zapijał swoje problemy, służba otrzymywała odpowiednie rozkazy. Nikt nie miał prawa mu przeszkadzać.

Cóż! Broda Alainy znów wysunęła się buńczucznie. I to minie. Kiedyś musi stamtąd wyjść.

Po południu Olive przesunął fotel z korytarza pod drzwi gabinetu. Usiadł na nim na warcie, podczas gdy Miles zajęty był czym innym. Przez grube drzwi dochodził głos Cole'a. Wyśpiewywał coś jednostajnie, lecz słów nie dało się zrozumieć.

Wieczorem straż przejął Peter, a rano Miles wstał wcześniej niż zwykle i gdy Alaina zeszła na dół, krzątał się już w korytarzu. Ocenivszy sytuację, nie próbowała nawet podchodzić do drzwi Cole'a. Kiwnięciem głowy odpowiedziała na pozdrowienie Milesa i poszła na śniadanie. Około południa pod drzwi gabinetu znów przyszedł Peter. W czasie kolacji wartę pełnił Olive, lecz ze środka nie dochodziły już żadne odgłosy.

Trzeciego dnia Alaina zeszła rano nieco później niż zwykle. Więcej czasu poświęciła swej toalecie, dokładniej wyszczotkowała włosy i poszczypała się w policzki, żeby nabrały rumieńców. Sądziła, że powinno chyba Cole'owi już wystarczyć tego pocieszania się butelką. Lecz drzwi były nadal zamknięte, w gabinecie panowała cisza, a pod drzwiami jak zwykle stał Miles. Annie podała Alainie śniadanie przykryte srebrną przykrywą i znów pani domu musiała jeść sama. Westchnąwszy ciężko, Alaina wzięła filiżankę kawy i podeszła do dużego okna ze wspaniałym widokiem na rzekę. Wszelkie jej postanowienia, by się z Cole'em rozmówić, przerodziły się już po prostu w chęć zobaczenia go. Ale i to widać nie było jej pisane.

Nagle znów poczuła, że jest przez kogoś obserwowana, lecz dalej piła kawę, postanawiając przeczekać pierwsze symptomy lęku. Wiedziała przecież, że tu jej nic nie grozi. Nie okazując po sobie niczego, odwróciła się. Drzwi do kuchni skrzypnęły, pospiesznie zamknięte.

Tam ktoś był! Alaina rzuciła się przed siebie, postawiła filiżankę na stole i otworzyła szeroko jeszcze

kołyszące się drzwi. Przekroczyła je, zatrzymała się i nasłuchiwała. W całym pomieszczeniu nikogo nie było. Słysząc było tylko zbliżające się skądś ciche nucenie. Otworzyły się drzwi prowadzące do piwnicy z zapasami i do kuchni weszła Annie, dzierżąc w ramionach parę glinianych garnków. Gdy zobaczyła na środku kuchni swą nową panią, stanęła jak wryta i przerwała nucenie.

- Czy nikt stąd nie wychodził? - spytała Alaina niepewnie.

- Nie, proszę pani. - Przysadzista kucharka westchnęła i postawiła przyniesione produkty. - Jak pani sama widzi, byłam w piwnicy po wiktuały. Skąd mam wiedzieć, czy tu ktoś był, czy nie?

- Tak, słusznie. - Alaina wróciła do jadalni, przygryzając wargę w zamyśleniu. Była na siebie zła, bo zaczynała w tym domu walczyć z cieniami. Ogarnęły ją wątpliwości, czy jest zupełnie zdrowa na umyśle.

Zdawała sobie sprawę, że ostatnio zbyt wiele godzin poświęca na siedzenie i rozmyślanie. Jeśli nadal tylko w ten sposób będzie spędzała czas, wkrótce przyjdzie jej sięgnąć po to samo lekarstwo co Cole. Wewnątrz domu nie było zupełnie nic do zrobienia, wszędzie panował idealny porządek. Ale na zewnątrz wszystko aż się prosiło o zadbanie. Szczególnie ogródek różany...

Nagle znalazła coś, co oderwało jej myśli od Cole'a, więc natychmiast odzyskała dobry humor. Pobiegła na górę i, nie przejmując się, co on powie, włożyła najgorszą czarną suknię, bez filigranowych mankietów oraz obszytego koronką kołnierzyka. Znalazła też parę przywiezionych ze sobą starych trzewików, chustkę do związania włosów i drugą do zatknięcia za pasem, a także bardzo stare rękawiczki.

Wyszła do ogródka i najpierw upewniła się, czy w gabinecie Cole'a są dokładnie zsunięte zasłony. Z szopy na narzędzia na tyłach domu wzięła łopatę i grabie, po czym pilnie zabrała się do pracy. Klęcząc, wyrzywała garściami zaschnięte zielsko i liście, starannie układała z powrotem otoczki z kamyków. W ten sposób wyrzucała z siebie nagromadzone w ciągu ostatnich dni napięcie, jednocześnie poprawiając wygląd ogródka.

Ciepło jesiennego dnia i praca rozgrzały ją. Wyprostowała się, by rozpiąć guziki przy szyi i na rękawach, które podwinęła do łokci. Zaczęła przekopywać łopatą ziemię wokół ciernistych krzewów. Praca była ciężka. Po jakimś czasie Alaina przesunęła się do tyłu, by sprawdzić jej efekty i zaczerpnąć oddechu. Całą spódnicę z przodu miała oblepioną ziemią. Wiedziała, że nie da się tego szczyścić. Wyciągnęła zza pasa chusteczkę i otarła nią pot pomiędzy piersiami i na karku. Po czym uniosła głowę i zamarła. W otwartym oknie swej sypialni stał wpatrzony w nią Cole. Był odświeżony, w czystej koszuli, a ona spocona, brudna i w sukni, której nienawidził.

Cole leniwie podniósł do ust cygaro, zaciągnął się i wypuścił w jej kierunku długą smugę dymu. Alaina spuściła oczy i patrzyła na kamienną ścianę domu, niewiele widząc, tylko w duchu rozpaczając. Jej dusza jęczała z zawodu. Trzy samotne poranki! Trzy razy ubierała się starannie! Całe dwa dni wyłącznie czekała, by zjawił się pan domu! Wszystko na darmo!

Okno na górze zamknęło się ze szcękaniem i gdy podniosła wzrok, Cole'a już tam nie było.

- Ach, dlaczego musiał mnie zobaczyć w takim stanie? - wyrzekła na głos.

- Bardzo przepraszam, droga pani! - odezwał się ktoś od strony frontonu domu.

Z ust Alainy wyrwał się jęk przerażenia. Spojrzała w tamtą stronę. Był to Braegar na jednym ze swych długonogich, czystej krwi wierzchowców.

- Czy mam się oddalić i udawać, że nic nie widziałem? - wołał, zsiadając z konia. Przeszedł przez pozostałości płotu z żerde i zaczął lejece o listwę walącą się altany.

Alaina ze skruszoną miną usiłowała wyczyścić sukienkę. Miała nadzieję, że rumieńce na jej policzkach nie są

zbyt widoczne.

- Doktorze Darvey, nie spodziewałam się gości!

- Pozostaje mi więc - stał tuż nad nią, gdy podnosiła z ziemi upuszczoną chusteczkę - zadowolić się tą urodą, którą widzę. - Wypowiadając te słowa, wyciągnął rękę i pomógł jej wstać.

Przez moment Alaina patrzyła na niego zmieszana. Dopiero gdy zrozumiała komplement, zaśmiała się i podała mu rękę. Lubiła tę jego grę. Dygnęła wytwornie i odrzekła:

- O panie, jest pan nader uprzejmy. Podniósł mnie pan na duchu, tak jak i dzisiejsza pogoda. - Machnęła ręką, pokazując żywy błękit nieba i bogactwo kolorów na zboczu wzgórza. - Jeśli tak jest u was przez całą zimę, myślę, że zdołam ją znieść.

- Zima! - zawołał Braegar. - Biedna, niczego nieświadoma Alaino, to jest tylko krótkie ocieplenie, babie lato. Zima dopiero nadejdzie i trzeba się do niej dobrze przygotować - wskazał na krzaki róż. - Tak pozostawione nie przetrwają zimy.

- Ach, tak! - Przykro jej się zrobiło, że cała jej praca może pójść na marne.

Braegar przyjął mentorski ton i z przyjemnością udzielił jej nauki:

- Być może, jeśli zrobi im pani kopczyki, a na wierzchu przykryje grubą warstwą liści, przeżyją.

- Tylko to?

- Tak myślę. - Nagle opadły go wątpliwości. - Przynajmniej nasze tak zimują.

Alaina uśmiechnęła się.

- Przyjechał pan taki szmat drogi, żeby mi pomóc w pielęgnacji róż? Prawdziwy, czystej krwi dżentelmen!

Braegar zdjął kapelusz.

- O pani! Przejechałbym milion mil, by zobaczyć pani jasną twarzyczkę!

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

- Drogi panie, muszę szczerze wyznać, że jeszcze nigdy nie słyszałam tylu pochlebstw.

- O pani! - rzekł, przybierając obrażony ton. - Czy sądzisz, że mówię to nieszczerze?

- Jestem trochę sceptycznie nastawiona do Irlandczyków i Jankesów - odparowała.

Braegar spoglądał na nią z wesołymi iskierkami w oczach.

- A pani, Alaino, przyjechała nas wszystkich utemperować?

Kiwnęła głową zdecydowanie.

- Jak tylko potrafię najlepiej, doktorze Darvey.

- I zrobi to pani, mogę przysiąc! - rzekł Braegar z entuzjazmem.

Alaina zdjęła rękawiczki i schowała do kieszeni fartucha.

- Po tamtym wieczorze nie sądziłam, że znów pana zobaczę.

Braegar powiedział poważniejszym tonem:

- Już wcześniej spieraliśmy się z Cole'em - westchnął ciężko. - Przyjechałem... - Zwykle gładki w wymowie, teraz trochę się zaciął, lecz Alaina czekała cierpliwie. - Czuje, że potrzebuję... jakichś przeprosin.

Alaina potrząsnęła głową.

- Ja pana nie przeproszę. Powinien to zrobić Cole.

- Nie, nie - zaprotestował, machając ręką. - Z mojej strony. To była moja wina. Ostatnio jakoś trudno mi się z Cole'em porozumieć. Cokolwiek powiem, zawsze jest źle. Nie wiem, o co mu chodzi. - Odsunął się i poszli razem

w stronę domu. - Może to coś w nim, może we mnie. Jeśli to ja jestem powodem, zupełnie nie wiem, co mam zrobić. Cole jest bardzo zmieniony, odkąd wrócił z wojny. - Braegar mówił z wielkim przejęciem. - Sam się zgłosił, jako ten odważny, kierowany patriotyzmem i lojalnością. Ja nie widziałem powodu, by ryzykować życie w głupiej zabawie zwanej wojną, więc zapłaciłem komuś, żeby mnie zastąpił.

Braegar odczepił po drodze lejce i szli dalej w milczeniu. Alaina myślała o swym ojcu i braciach. Wreszcie zatrzymała się, on też, i spojrzeli sobie w oczy.

- W pewnym sensie ma pan rację - powiedziała, patrząc przenikliwie swymi szarymi oczyma. - Żeby iść na wojnę, trzeba mieć specjalne powołanie i szczególny powód. Ja nie mogę się z panem zgodzić ani pochwalić pana postępowania. Ale też i nie mogę pana potępić. Sama kilka razy chętnie bym od tego wszystkiego uciekła, gdybym miała możliwość.

Braegar przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Pani jest wyjątkową kobietą, Alaino Latimer, lepszą od innych. Czy Cole nie o to przypadkiem ma do mnie żal, że ja jestem cały i zdrow, podczas gdy on niezupełnie?

- Myślę, że nie - odparła cicho. - Jakoś to do niego nie pasuje.

Bardzo zakłopotany Braegar zarzucił lejce na szyję konia i założył z powrotem kapelusz.

- Może kiedyś dojdę, co go gryzie, i jakoś to załatwimy. - Skłonił się i wsiadł na konia. - Jeśli mi szczęście dopisze, do zobaczenia! Proszę przekazać moje przeprosiny mężowi. Na mnie już czeka bogaty pacjent z artretyzmem.

Alaina stała na ganku, patrząc, jak odjeżdża, gdy z tyłu za nią otworzyły się drzwi domu. Była pewna, że to Cole, poczekała więc, aż podejdzie, zanim odezwała się pierwsza.

- Proszę się nie martwić. Już pojechał. - Nie doczekawszy się żadnej reakcji, westchnęła i obejrzała się na męża. - Przyjechał przeprosić. Za to, co ci wtedy powiedział.

Cole wciąż się nie odzywał. Alaina obrzuciła niepewnym spojrzeniem jego smukłą sylwetkę w idealnie skrojonym ubraniu, składającym się z białej jedwabnej koszuli oraz spodni i kamizelki w prążki. Był bardzo zmęczony i blady. Alaina pomyślała w skrytości ducha, że to straszne tak siebie samego niszczyć.

- Czekałam, żeby z panem porozmawiać na pewne tematy - delikatnie, lecz bez wahania przystąpiła do rzeczy.

- Przepraszam panią - zerknął na nią niepewnie. - Byłem niedysponowany.

- Zauważyłam - zaczęła ostro, lecz ugryzła się w język. Nie miała zamiaru mu dokuczać.

Cole się nie tłumaczył. Stał zapatrzony w pola i zalane słońcem wzgórza.

- Majorze, zawarliśmy porozumienie - przypomniała, ale zbiło ją z tropu gniewne zmarszczenie czoła. Dokończyła niemal szeptem: - Nagabuje mnie pan, kiedy tylko najdzie go ochota, a ja chciałabym znać powody.

Cole wykonał szybki, przepaszający ukłon.

- Ależ naturalnie, są one zgodne z honorem, droga pani. Czyż nie było to częścią naszej wzajemnej przysięgi? Na dobre i na złe, dopóki nas śmierć nie rozdzieli, czy coś takiego.

Lekceważące podejście Cole'a do tego, jak z nią postępował, zraniło jej dumę. Traktował ją tak, jakby wciąż była Alem, nie troszcząc się o jej uczucia. Może miał trudności z uznaniem jej za kobietę. Zawsze tak się zachowywał, gdy miała na sobie wdowi strój.

Ze złością odwinęła rękaw czarnej sukni i zaczęła zapinać guziki. Z jakiegoś powodu czuła w tym momencie do Cole'a ogromną niechęć.

- Zawarliśmy porozumienie - nalegała, chcąc go sprowokować do powiedzenia czegoś, co załagodzi jej gniew.
- Obiecał pan... i nie dotrzymał słowa...

- Składałem już wiele przysięg, droga pani - przerwał. - Jedną jako lekarz, jedną jako żołnierz, dwie jako mąż. I doszedłem do przekonania, że przysięgając, nie wziąłem pod uwagę wielu pomiędzy nimi sprzeczności.

Pierwszy konflikt między przysięgami wystąpił wyraźnie, gdy otrzymał rozkaz pozostawienia rannych i wycofania się z Pleasant Hill. Nie posłuchał rozkazu i został przy rannych. Bolał potem bardzo nad swym nieposłuszeństwem, pomimo że uznano go za bohatera. Musiał jednak spełnić swój lekarski obowiązek.

Przysięga lekarska kolidowała też często z jego ślubowaniem małżeńskim złożonym Robercie. Ona bowiem wiele razy odprawiała pacjentów, kłamiąc, że Cole'a nie ma. Ostatnim takim przypadkiem była śmiertelnie chora dziewczynka, przywieziona do niego przez rodziców. Roberta, widząc, że nadjeżdżają, wyszła na ganek i powiedziała, że nie da się go zawiadomić, chociaż był blisko, w starym domku. Braegar miał wizytę u jakiejś atrakcyjnej pacjentki i nie mógł im pomóc. Jak się później dowiedział, dziecko zmarło tego samego dnia. Roberta tylko wzruszyła obojętnie ramionami i mruknęła, że świat obejdzie się doskonale bez takiej hołoty.

Tak więc każda przysięga, którą złożył, w jakiś sposób obracała się przeciwko niemu. I podobnie ta ostatnia.

- Wspomniał pan o honorze. - Alaina wyrwała go z rozmyślań. Nie zamierzała tak szybko ustąpić. - Lecz przysięga mówiła także o miłości i szacunku.

Nastąpiła długa chwila ciszy, nim odpowiedział:

- Szanuję panią.

Lecz taka odpowiedź jej nie zadowalała.

- A co z miłością?

Cole zachnął się.

- Zawsze byłem podejrzliwy wobec ulotnych uczuć od pierwszego wejrzenia - tłumaczył wolno, spoglądając na nią. - Skąd mam wiedzieć, co to miłość? Gdy mężczyzna i kobieta zaczynają się rozumieć, rodzi się miłość i rośnie z upływem czasu. To jest coś, co mężczyzna ukrywa w sobie, dopóki w pełni w nim nie dojrzeje.

Całą istotą Alainy wstrząsnęło okrutne rozczarowanie i jej uczucia eksplodowały.

- Z całym szacunkiem, majorze - zaczęła uprzejmie - ale według mnie jest pan zaślepionym głupcem! Dziecko zostaje poczęte w ułamku sekundy, a egzystuje przez całe swoje życie! Żołądz leży w zagłębieniu skalnym przez lata, a gdy wiatr przeniesie ją na żyzną ziemię, przyjdzie ciepło wiosny i pierwsze wiosenne deszcze, kielkuje i wyrasta w olbrzymi dąb, by przetrwać wiek lub dwa. A co do ukrywania miłości, to właśnie jest ta jedyna rzecz, którą trzeba dawać, by płynęła z serca do serca. Miłością trzeba się dzielić, bo zwiędnie! - Jej oczy płonęły, a twarz drżała z emocji. - Pan, majorze, jest jak wielka czarna chmura w gorący letni dzień. Nadchodzi z hukiem i grzmotem, wypełnia nimi atmosferę. Wysyła w przestrzeń potężne, przerażające błyskawice, przed którymi wszystko, co żyje, ucieka w popłochu. Lecz dopóki nie spadnie deszcz, dopóki nie zwolni pan tego, co pan w sobie ukrywa, ziemia będzie nadal sucha jak pergamin i nie wyrosnie na niej żadne życie. Będzie pan dalej przetaczał się przez życie i miotał na próżno jak ta chmura. Innymi słowy, jeśli nie okaże pan dobrych uczuć, na nic się nie zda cała ta kosztowna oprawa!

Zanim Cole zdążył protekcyjnie unieść brwi, odwróciła się i opuściła scenę. Dramatycznie kołysząc spódnicą, zniknęła w drzwiach domu.

Jego powrót był znacznie spokojniejszy. Gdy schodził do holu, dojrzał jeszcze fragment halki za balustradą na

piętrze, a po chwili usłyszał donośne trzaśnięcie drzwi do jej sypialni. Miles spojrzał nieufnie, a Cole stłumił odruch gniewu.

- Niech Peter zanieś pani wody - poprosił. - Z pewnością potrzebuje kąpieli.

- Tak jest, proszę pana. A czy pan zechce teraz zjeść śniadanie? - Potakujące kiwnięcie głową Cole'a wyciszyło trochę niepokój służącego. - Annie się ucieszy, jak to usłyszy.

Cole usiadł przy stole w jadalni i przyjął od pani Garth filiżankę kawy z brandy. Cały czas nie mógł się otrząsnąć z uczucia, które towarzyszyło mu często w dzieciństwie. Jego ojciec nie tolerował jednej rzeczy, a mianowicie świadomej głupoty. Bardzo wcześnie Cole został nauczony, że jeśli upierał się przy czymś głupio, ojciec zaopatrywał się w stosowną witkę wierzbową i za jej pomocą przywoływał syna do porządku. Później syn gorzko żałował, że nazbyt odważnie usiłował przekroczyć granice poprawności. Teraz czuł ten sam rodzaj żalu. Brakowało tylko piekących razów witki. Sam nie potrafił niestety wyznaczyć sobie rozsądnej granicy, którą notorycznie przekraczał.

Zjadł śniadanie, kompletnie ignorując talerz smażonych ziemniaków, i sięgnął po następną filiżankę gorącej kawy, zapominając dolać do niej zwykłej porcji alkoholu. Żałował, że nie okazał więcej zainteresowania tym, co mówiła Alaina. Dużo wysiłku kosztowało go nieokazywanie swej fascynacji rozpiętą górą jej sukni. Podczas gdy jej piękne usta wyrzucały gniewne słowa krytyki, gładkie piersi cudownie falowały z każdym oddechem. Z tego, co zapamiętał z jej wykładu, okazała wyjątkową jak na swój wiek mądrość. Już wcześniej zauważył, że za tą urodziwą twarzą krył się także i rozum - błyskotliwy i czujny.

Pomstowania Alainy doszły go aż z korytarza. Zaskoczony, odstawił filiżankę na spodek i odsunął krzesło od stołu. Waśnie w tym momencie wtargnęła do jadalni i rzuciła mu na kolana swą żółto-czarną wieczorową suknię. Chciał wstać, ale nie pozwoliła mu, stojąc nad nim i wymachując pięścią przed nosem.

- Ty niebieskobrzucho tchórze! - syknęła jak rozwścieczony żbik. - Prędzej będę chodziła nago, niż włożę na siebie cokolwiek kupionego przez ciebie.

Z bliska Cole widział ziejącą z jej jasnoszarych oczu zacieklą nienawiść.

- Nie miałbym nic przeciwko - oświadczył spokojnie. - Ale co się stało?

Alaina zgarnęła z powrotem suknię ruchem tak gwałtownym, że Cole spodziewał się już najgorszego.

- Nie żartuj sobie ze mnie, ty tępogłowy Jankesie! - Rozłożyła suknię, żeby mu pokazać wielkie czarne dziury wypalone w gorsie i spódnicy.

- Myślisz, że ja bym coś takiego zrobił? - Cole też zapłonął gniewem. - Do licha, kobieto! To nie ja!

Alaina dotykała osmalonych brzegów i przypomniawszy jej się, jak chciała mu zrobić przyjemność ładnym wyglądem. Nie mogła powstrzymać napływających do oczu łez.

- Alaino... - Gniew Cole'a rozplynał się, gdy na to patrzył. Położył rękę na jej szczupłej talii i zaczął pocieszać. - Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek w tym domu to zrobił. Czy możliwe, by to wiatr zwiął suknię do ognia?

- Nie zostawiłam ognia - powiedziała cicho. Pierwsza furia minęła, lecz pozostał ciężar na sercu. - Ktoś podpalił drwa na kominku i wrzucił na nie suknię. - Złożyła ją starannie, powiesiła na ręce i wygładziła nie uszkodzony rękaw.

- Proszę, uwierz mi - zaczął znowu Cole - że ja nie zrobiłbym takiej rzeczy. Ale kto mógł to zrobić? Czy kogoś podejrzewasz?

- To nieważne, kto - mówiła cicho, ledwo dosłyszalnie. Przycisnęła suknię do siebie i pociągając nosem, odwróciła twarz od Cole'a. - To była jedna z moich najlepszych. Pomogła mi ją znaleźć pani Hawthorne - tu głos jej się załamał. - Chciałam, żebyś był ze mnie dumny. Nie z tego, co ty mi możesz dać, tylko z tego, co ja ze sobą przywiozłam.

Na histerie Roberty Cole uodpornił się tak, że nie robiły na nim żadnego wrażenia, ale patrząc na łzy tej dziewczyny, czuł się niepewny i bezradny.

O, do licha - usłyszał głos wewnętrzny. Uspokój ją! Sprowadź ją na ziemię! Wszystko jest lepsze niż to...

- Cóż ja widzę? - powiedział na głos nieco zaczepnym tonem. - Czy to ta sama osoba, która biła się mopem z mężczyzną? Która wyciągnęła mnie z rzeki i uratowała mi życie w samym środku działań wojennych? A teraz płacze nad zniszczoną sukienką? Czy to jest Al?

Alaina spojrzała na niego i od razu wiedział, że przegrał. Łzy popłynęły teraz potokiem, zostawiając jasne smugi na zakurzonych policzkach. Jej głos drżał.

- Byłam młodą dziewczyną z włosami sięgającymi niżej pasa. Wychowano mnie na młodą damę. - Oddychała ciężko, starając się opanować bicie serca i łzy. - Straciłam wszystkich po kolei. Pochowałam matkę. Musiałam obciąć włosy, założyć na siebie szmaty i usmarować się błotem. Musiałam chodzić w starych, cuchnących ubraniach. Nauczyłam się chodzić, mówić i bić się jak chłopak. Wysłuchiwałam twoich pogroźek o przymusowej kąpieli - teraz już szlochała w głos - choć sama nie mogłam już znieść własnego brudu. - Pochyliła się i spojrzała mu głęboko w oczy. - Nie rozumiesz? Nie wiesz tego? - Szloch przeszedł w rozpaczliwe zawodzenie. - Nie było żadnego Ala! To zawsze byłam ja! - Uderzyła się pięścią w piersi. - Zawsze byłam Alaina! Nie było... nigdy... żadnego... Ala!

Nagle ucichła i wciąż mocno przyciskając do siebie suknię, uciekła. Jeszcze przez chwilę słychać było na schodach jej słabnące szlochanie, po czym drzwi sypialni zamknęły się za nią i Cole pozostał sam na sam z przytłaczającą ciszą.

32

Suknia była nie do naprawienia, lecz Alaina zdążyła już nabrać odporności i do wieczoru pogodziła się z myślą o utracie stroju. Gdy już się zupełnie uspokoiła, zauważyła, że spoczywa na ciemnozielonym aksamitnym szezlongu, którego nie było w pokoju, gdy wychodziła do ogrodu. Podczas jej nieobecności wstawiano do jej sypialni różne pożyteczne przedmioty, choć o nie wcale nie prosiła. Najpierw było to stojące lustro, następnego dnia zegar, potem gruby, wschodni dywan, a wreszcie ten luksusowy, wypchany szezlong, ustawiony pod oknami, żeby mogła odpoczywać, patrząc na krajobraz. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, podobnie jak zniszczenia sukni.

W nocy dom pojękiwał smutno. Wiatr zmienił kierunek i nabrał siły. Huczał i świstał, wyginając drzewa i zrywając z ich gałęzi ostatnie liście. Kiedy już fruwały nad ziemią w porywach wichru, ten dalej szalał i znęcał się nad gołymi konarami. Nocne niebo przecinały oślepiające włócznie błyskawic, ciągnące za sobą groźne pomruki grzmotów. O szyby z całej siły walił deszcz, spływając w dół strumieniami. Potem burza ustała tak szybko, jak nadeszła. Zrobiło się znów cicho i spokojnie. Pogaszono lampy, każdy schronił się do własnego łóżka i ciemność ukołysała cały dom do snu. Późno w nocy coś zbudziło Alainę. Wydawało jej się, że w gabinecie słychać niespokojne kroki męża, ale i one w końcu ucichły. Zza chmur wyjrzał księżyc i zaczęła z powrotem zasypiać. Ale spokój pogrążonego w ciemnościach domu zakłóciły dziwne hałasy. Gdzieś w jego głębi coś się szamotoło i

szurało. W korytarzu na zewnątrz sypialni zaczął wyc Wiarus. W połączeniu z tłumionymi, jakby nie z tego świata odgłosami robiło to niesamowite, wprost przerażające wrażenie.

Alaina postanowiła być dzielna, choć trawiła ją ogromna niepewność. Zapaliła świecę, okryła się narzutką i ostrożnie uchyliła drzwi. Wiarus siedział przed drzwiami do pokoju Roberty i tylko na moment zwrócił uwagę na pojawienie się Alainy. Drapał w drzwi i wył, jakby chciał, żeby go tam wpuszczono.

- Wiarus, odejdz, tam nic nie ma - przekonywała go.

Warknął, jakby się z nią nie zgadzał, a jej ręka zadrżała tak, że o mały włos nie upuściła świecy. Widząc, że pies nie odejdzie, póki nie zaspokoi swojej ciekawości, Alaina przezwyciężyła strach i otworzyła drzwi. Zwierzak skoczył i przebiegł kilka razy wokół pokoju, węsząc i nasłuchując. Alaina się rozejrzała. Wszystko było na swoim miejscu. Tylko okno było otwarte i zasłona powiewała na zewnątrz z łopotem. Pewna, że znalazła źródło hałasów, odetchnęła z ulgą.

- Oto co słyszeliśmy. Wiarusie - powiedziała głośno, by przekonać siebie samą. Poszła zamknąć okno i ze zdumieniem stwierdziła, że zasłony są zupełnie suche, mimo padającego na dom ze wszystkich stron deszczu. Mogła tylko przypuszczać, że ktoś ze służby otworzył okno po burzy, żeby wpuścić do pokoju odświeżone deszczem powietrze. Razem z nim wpadał chłodny zimowy powiew, który przewiał na wskroś cienką koszulę i narzutkę Alainy. W pokoju Roberty nie czuła się przyjemnie. Jego mroźna, grobowa niemal atmosfera nie zachęcała do pozostawania dłużej. Zawołała Wiarusa, lecz on z przejęciem piszcząc i obwąchiwał ścianę wyłożoną małymi kwadratami lustrzanego szkła, co dawało wrażenie dużego lustra. Znajdowało się ono we wnęce, nad którą udrapowano szkarłatny aksamit. Widząc własne odbicie, mastiff najwyraźniej myślał, że to drugi pies.

- Uciekaj stąd. Wiarus! - krzyknęła. - No, już!

Pies podwinął ogon i niechętnie wyszedł. Znalazłszy się bezpiecznie za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni, Alaina długo jeszcze nie mogła odzyskać spokoju.

Podczas śniadania jej miejsce pozostawało demonstracyjnie puste. Choć pan domu dopytywał się o nią u służby, dowiedział się jedynie od pokojówki z piętra, że pani rano źle się czuła. Postanowił zatem zbadać tę sytuację sam i udał się w kierunku sypialni żony. Przed drzwiami zatrzymał się i lekko zapukał. Słyszac w odpowiedzi mruknięcie, otworzył drzwi. Alaina siedziała na brzegu szezlonga, jakby właśnie miała zamiar wstać. Gdy zobaczyła, kto wchodzi, opadła z powrotem na miękkie oparcie, podwijając stopy pod brzeg koszuli nocnej i naciągając bardziej na szyję narzutkę. Wymamrotała pozdrowienie i przyłożyła z powrotem kompres na czoło, przysłaniając oczy i przestając patrzeć na męża.

Cole z miejsca poczuł panujący w pokoju chłód. Ogień ledwo się tlił, a w kominku hulał wiatr.

- Alaino, powinnaś poprosić służbę, żeby rozpałała większy ogień - upomniał ją delikatnie. - Zamarzniesz tu na śmierć.

Pociągnęła tylko nosem pod kompresem i zapadła jeszcze głębiej w szezlong, wsłuchując się w nieregularny odgłos jego kroków, gdy szedł w stronę kominka. Zasunął nieco szyber i wrzucił na rozżarzone drewno kilka suchych polan. Potem podszedł do szezlonga i stał przez chwilę, patrząc na drobną sylwetkę żony.

- Powiedziano mi, że nie czujesz się dobrze.

- To nic takiego - mruknęła.

- Myślałem, że wciąż jeszcze lamentujesz nad suknią.

- Dałam sobie z tym spokój, zgodnie z pana radą.

- Jeśli chcesz drugą taką samą, nie będzie z tym problemu. Jestem pewien, że krawiec w St. Cloud dobierze taki sam materiał i koronkę...

- Mogę się bez niej obejść. Mam inne suknie. Może nie tak ładne, ale też dobre.

Cole próbował jakoś przerwać ten grzeczny, ale bezowocny dyskurs.

- Jadę do miasta porozmawiać o czymś z Franzem. Może byś chciała ze mną pojechać?

Alaina uniosła róg kompresu, zerknęła na Cole'a i znów przykryła twarz.

- Niestety, dzisiaj jestem niedysponowana.

Cole'owi zrzęda mina. Mniej więcej tych samych słów użył poprzedniego dnia, dość szorstko ją przeprasząc. Zapewne był to z jej strony rodzaj odwetu. Znał to. Roberta często używała choroby jako pretekstu.

- Jeśli boli panią głowa, poproszę Annie, żeby przyniosła trochę lodu. To pomaga...

- Mojej głowie nic nie dolega, majorze - zatyłowała go z naciskiem.

Cole sięgnął ręką i dotknął jej czoła, w zamian został obrzucony złym spojrzeniem. Kompres zjechał na piersi.

- Gorączki też nie mam, majorze - poinformowała go sucho.

- Tego już nie rozumiem... - zaczął, lecz Alaina gwałtownie cisnęła kompres na podłogę.

- Pan nie rozumie? Doktorze Latimer! - Zacerwieniła się ze złości, że musi mu to wyjaśniać. Czy to przekracza pana zdolności, zrozumieć, że jestem kobietą? - Czy tak mało pan wie o kobietach, żeby nie móc pojąć, dlaczego jestem naprawdę niedysponowana?

Olśniło go nagle i pokrył zmieszanie uśmiechem.

- Najmocniej panią przepraszam. Nie przypuszczałem, że to dolegliwość tak delikatnej natury. Jako mąż powinienem znać kobiece przypadłości, ale jestem trzymany raczej na dystans, więc nie mam po temu możliwości.

- Zostaw mnie - jęknęła Alaina zbolalym głosem. W nadziei, że zostawi ją w spokoju, zamknęła oczy i z powrotem oparła głowę o szezlong. Nie bardzo mogła pojąć, dlaczego w jego obecności czuje się zawsze taka rozbita. Dlaczego on nie potrafił się wobec niej zachowywać jak wobec damy, uszanować jej godności? Roberta jakoś lepiej sobie z tym radziła. Dlaczego ona nie umiała?

- Zostawię cię, moja droga, gdy upewnię się, że masz wszystko, czego ci potrzeba.

Uniosła się zaniepokojona, gdy przeszedł do swojej sypialni. Wrócił z karafką brandy i kieliszkiem. Nalał odrobinę na dno kieliszka i podał jej. Alaina skrzywiła się z niesmakiem i odruchowo odwróciła twarz.

- Wolalabym pozostać trzeźwa i cierpieć w samotności.

- Posłuchaj, Alaino - przekomarzał się. - Brandy cię uspokoi i rozgrzeje, a może i złagodzi twoje dolegliwości. To najlepsze, co mogę ci doradzić jako lekarz.

Niezbyt chętnie, marszcząc nos, przyjęła kieliszek.

- Wydawało mi się, że pan zarzucił praktykę.

- Jak mogę się oprzeć tak uroczej pacjentce? - Uśmiechnął się szeroko.

Rzuciła mu nieprzychylnie spojrzenie, lecz on się tym nie przejął. Okrył jej nogi pledem, podwijając go pod jej bosc, zmarznięte stopy.

- Czy jest coś, co mógłbym ci kupić, będąc w mieście, jeśli oczywiście twoja duma pozwala na to?

Zadarty nos uniósł się jeszcze bardziej, co świadczyło, że pytanie tylko ją rozdrażniło.

- Może czekoladki? - pytał, bacznie ją obserwując.

Ta propozycja sprawiła, że Alaina zapomniała o rozdrażnieniu. Nie jadła słodyczy od lat! Kiedy zobaczył jej

łakome spojrzenie, nie potrzebował odpowiedzi. Roześmiał się.

- Kupię ci tyle, maleńka, że utyjesz, jak je wszystkie zjesz. A wtedy nie będę miał innego wyboru, jak tylko anulować nasze małżeństwo.

Zobaczyła w jego oczach żartobliwe iskierki i też się uśmiechnęła.

- Wystarczy mi kilka.

- Ale mogę wrócić późno - ostrzegł. - Muszę wynająć drwali, którzy pojedą z Franzem na północ. Nie wiem, ile mi to zajmie.

Alaina ułożyła się z powrotem na szezlongu i ukryła rozczarowanie pod kompresem, którym w milczeniu przykryła czoło i osłoniła oczy.

Cole cofnął się do drzwi.

- Najprawdopodobniej zjem na mieście. Nie czekaj na mnie z kolacją.

Odsłoniła oczy.

- A ja, mój panie, najprawdopodobniej zjem w swoim pokoju. Jeśli ta kwestia pana trapi, będę bardzo starannie dobierała swych gości.

Teraz Cole chciał się obruszyć, ale po namyśle powiedział z uśmiechem czającym się w kącikach warg:

- Przynajmniej, moja pani, przez jakiś czas nie muszę się bać Braegara Darveya i jego holdów.

Szare oczy Alainy zaskrzyły się jak lód.

- Majorze Latimer, ma pan przedziwną moralność. W Nowym Orleanie wziął mnie pan bez żadnych skrupułów, myśląc, że jestem kobietą lekkich obyczajów, i niewątpliwie miał pan w życiu takich kobiet wiele. Zapewne tłumaczy pan to fizjologiczną potrzebą. Z drugiej strony, jak najbardziej poprawne zachowanie wobec mnie traktuje pan tak, jakby to była straszliwa zdrada, dając upust swojej goryczy.

- Jest wiele spraw, których nie rozumiesz, Alaino.

- Tu ma pan całkowitą rację! - Z nieco zakłopotanym uśmiechem na ustach czekała cierpliwie w nadziei, że zaraz jej to wytłumaczy.

Cole już otwierał usta, by coś jej odpowiedzieć, lecz nagle stłumił w sobie tę słabość. Otworzył drzwi, skłonił się na do widzenia i pozostawił ją w nieświadomości. Odprowadziła go wzrokiem i słuchała, jak odchodził. Czy będzie mogła go kiedykolwiek zrozumieć, jeśli on sam postanowił się oddzielić od niej strefą milczenia? Dopiero koło północy usłyszała, jak Cole wchodzi do swojej sypialni i krząta się w umywalni. Na chwilę zatrzymał się pod jej drzwiami. Słyszała gdzieś obok bicie ogona Wiarusa o podłogę. Potem kroki Cole'a się oddaliły. Jeszcze długo w mroku nocy słuchała, jak się miota w gabinecie na dole.

Następnego ranka Alaina stanęła jak wryta w drzwiach jadalni. Na stole przed jej nakryciem stało pięknie malowane blaszane pudełko i bukietik małych żółtych stokrotek przewiązanych wstążeczką. O tej porze roku był to cudowny widok.

Gdy zasiadła na swoim miejscu, na ustach wykwitł jej ciepły uśmiech. Do puszek dołączona była kartka, a na niej napisano po prostu „Alaina”. Wzięła do ręki kwiatki i ostrożnie wciągnęła w płuca ich zapach. Ujął ją ten gest Cole'a. Domyślała się, że w puszcze są obiecane czekoladki. Wiedziała, że produkuje się je w wielkich miastach na wschodzie kraju i dużo zachodu wymaga sprowadzanie ich z tak daleka. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Cole dotrzyma swej zdawkowej obietnicy i przywiezie jej słodycze. Ale dlaczego?

I oto przypomniała sobie, skąd czerpała tę pewność. Przecież Roberta uwielbiała czekoladki. Domagała się ich nawet w ciężkich czasach. Teraz Roberty już nie było, ale czy kiedykolwiek odejdzie z ich życia, przestanie ich prześladować?

Skrzypnęły drzwi od kuchni i wszedł Cole. Na widok żony otulonej w połyskliwy szary jedwab zamarł z zachwytu. Skąpiana w jasnym świetle poranka, wyglądała jak marzenie. Powoli uniosła wzrok i ich oczy się spotkały. Delikatny, tajemniczy uśmiech na jej słodkich wargach zapierał mu dech w piersiach.

- Cole'u, dziękuję ci.

- Czy takie czekoladki lubisz? - zapytał łagodnie.

Roześmiała się wesoło. Czuła się tak, jakby zaczynała się dla niej nowa, ekscytująca przygoda. Obserwował uroczą twarzą żony, gdy zdjęła pokrywkę i pergamin. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia na widok bogactwa opakowania. Skosztowała jedną, westchnęła i przymknęła oczy z niewypowiedzianej rozkoszy.

- Absolutne paskudztwo! - zachichotała, oblizując palce. - Spróbujesz?

Cole usiadł po swojej stronie stołu i oznajmił filozoficznie:

- Olie twierdzi, że słodczyce pozbawiają męskości.

Alaina posłała mu filuterny uśmiech.

- Doktorze Latimer, wierzysz w te bajki?

- Nawet gdyby ktoś twierdził, że podobnie działa woda, to w ostatnich czasach nie dano mi możliwości, by udowodnić, że to nieprawda - rzekł lakonicznie.

Oparła się łokciami o stół i podniosła do góry następną czekoladkę. Oglądając ją, stwierdziła:

- Powinieneś zjeść kilka. Może złagodziłoby to pożądlivą stronę twojej natury.

- Dziękuję za dobrą radę. - Spojrzał jej w oczy. - Choć śmiem twierdzić, że pożądliva strona mojej natury i tak ma mało okazji, by się uzewnętrznić, postaram się w przyszłości jeszcze bardziej ją okiełznać. - Oglądając srebrną gałkę laski w kształcie głowy ogara, mówił jakby do siebie: - Nie miałem pojęcia, że życie małżeńskie może być tak podobne do życia mnichów.

Alaina już miała na końcu języka co najmniej tuzin ciętych uwag, nie chciała jednak psuć miłego nastroju poranka. Dla świętego spokoju postanowiła zachować na ten temat milczenie. Z pewnością przyjdzie jeszcze nieraz odpowiednia chwila, by mu przypomnieć, że ma dokładnie to, czego chciał.

Następnego dnia rano Alaina zeszła na dół o zwykłej porze i ujrzała Annie miotającą się z desperacją przed kominkiem w jadalni. Wnętrze wypełniał swąd palącej się czekolady. Gdy gospodyni odsunęła się od kominka, Alaina zobaczyła, co było tego przyczyną. Stos żaru w kominku pokryty był gęstą, czarną mazią. Błaznane pudełko leżało pogiete i nadpalone na kracie kominka.

Krzyknęła z oburzenia i podbiegła do paleniska, by wyciągnąć pudełko. Zaraz jednak cofnęła rękę, bo gorąca blacha oparzyła ją w palce. Wyjęła je więc z kominka pogrzebaczem.

- To barbarzyństwo, proszę pani - szlochała Annie. - Nie wiem, kto mógł to zrobić, ale musi być wcielonym diabłem.

Puszka musiała leżeć na ogniu przez większą część nocy, skoro tak się spaliła na ledwo żarzących się, przykrytych popiołem polanach. Sprawca tego czynu musiał specjalnie wysypać czekoladki na żar i pognieść pudełko. Nie był to na pewno spontaniczny wybuch złości, tylko przemyślane działanie, podyktowane nienawiścią.

Ktoś w tym domu pałał do niej straszliwą wrogością.

- Co tu się stało? - zapytał ostro, wchodząc do jadalni. Cole.

Obydwie kobiety się odwróciły. Alaina - powstrzymując się od łez, Annie z zapłakaną twarzą. Cole przenosił wzrok ze spalonego pudełka na nie obie, a kucharka opowiadała:

- Znalazłam pudełko, kiedy przyszłam nakryć stół. Mamy tu wśród nas jakiegoś łajdaka i nie wiem zupełnie, kto to może być.

- Może reszta służby coś nam w tej sprawie wyjaśni - odezwał się Cole. - Natychmiast z nimi porozmawiam.

- To nie było niechcący, proszę pana - podkreśliła Annie z emfazą. - Ktoś to zrobił z rozmysłem.

- Na to wygląda - potwierdził. - Tak czy inaczej, nic takiego nie ma prawa się więcej zdarzyć, choćbym miał wymówić całemu personelowi.

Kucharka załamała ręce z rozpaczą. Dla niej byłby to potworny cios. Po tylu latach pracy u Latimerów czuła się częścią rodziny, a samego pana traktowała niemal jak swego syna. Rozumiała jednak, że dla niego najważniejsza jest teraz młoda żona.

Groźba Cole'a wstrząsnęła także i Alainą. Czując, że nie może opanować drżenia, przeprosiła i wyszła z jadalni. Cole w przejęciu poszedł za nią i stojąc na korytarzu, patrzył, jak powoli idzie na górę po schodach. Nie umiał znaleźć odpowiednich słów, by ją pocieszyć. Minęła balustradę i stracił ją z oczu, lecz stał dalej otoczony pełną napięcia ciszą. Gdy miał już zamiar odejść, pojawiła się znów, napięta jak struna i blada.

- Doktorze Latimer?! - zawołała głosem drżącym z emocji. - Czy mógłby pan tu przyjść na chwilę?

Wszedł po schodach tak szybko, jak tylko mógł, pomagając sobie laską. Bardzo był ciekaw, co się znów stało. W głowie już układał plan działania, w razie gdyby jego podejrzenia okazały się słuszne. Ale gdy wszedł do sypialni żony i zobaczył, co ją tak wyprowadziło z równowagi, roześmiał się z ulgą.

- Nie widzę w tym niczego śmiesznego - obruszyła się. Była blada jak ściana. - Ciągłe mi coś wstawiają do pokoju, gdy mnie tu nie ma! A teraz to! Co to za głupie żarty?

Podniosła małą, kolorową puszkę, leżącą na środku łóżka, i z odrazą wręczyła Cole'owi. Opakowanie był mniejsze niż pół pudełka, które otrzymała Alaina, a w środku znajdowały się takie same wykwintne czekoladki.

- To czekoladki Mindy - wyjaśnił Cole. - Myślę, że zyskałaś przyjaciółkę.

- Mindy! - zawołała gniewnie, nie pojmując jego radosnego uśmiechu. - Kto to jest Mindy?! Czy to jakaś kochanka, którą trzymasz w ukryciu tuż pod moim nosem?!

- Kochanka? - zdumiał się. - Jak sądzę, potrzebuje ona dużo miłości, ale nie takiej, o jakiej myślisz. Może już czas, żebyś ją poznała. Chodź, kochanie.

Nie dając jej czasu do zastanowienia, wziął ją za rękę i poprowadził korytarzem do sypialni po drugiej stronie pokoju Roberty. Otworzył drzwi szeroko i wciągnął ją do środka. Pokój wyglądał tak, jakby nikt tam nie mieszkał i nikogo w nim nie było. Cole mruknął z niezadowoleniem i wyprowadził Alainę korytarzem do schodów. Zeszli na dół.

- Cole! - syknęła, usiłując zsunąć z przegubu ręki jego długie, wąskie palce. - Puść mnie! Co pomyśli służba?

- To mój dom, szanowna pani, i nie obchodzi mnie, co kto myśli!

Prowadził ją dalej. W jadalni przeszli obok Milesa i pani Garth, którzy znieruchomieli i patrzyli na nich z konsternacją. Alaina próbowała nadrabiać miną, ale była po prostu bezceremonialnie ciągnięta w stronę kuchni. Zdumienie dwojga służących było kompletne. Alaina zasapała się trochę, gdyż musiała nadążać za długimi

krokami męża. W kuchni Annie odwróciła się od paleniska, dzierżąc w ręku łyżkę wazową.

- A to rzadka okazja! Pan i pani osobiście i razem odwiedzają mnie w kuchni. - Popatrzyła na nich podejrzliwie. - Ciekawe, cóż to się znowu kroi.

Cole uciszył ją gestem ręki, co jeszcze wzmogło jej ciekawość. Posłusznie milczała, patrząc spod oka, jak rozgląda się wokoło. Sprawdził miejsce koło skrzynki na drzewo i w spiżarni, a potem wyszedł przez drzwi kuchenne na małą werandę.

- Tu jesteś - powiedział do kogoś niewidocznego dla Alainy. Wyciągnął pudełko z czekoladkami. - Ty dałaś to pani, kiedy jej pudełko się spaliło? - Choć w odpowiedzi nie padł żaden wyraźny dźwięk, musiało to być coś potwierdzającego, bo Cole się uśmiechnął. - Pani chciałaby ci podziękować. Myślę, że już czas wyjść z ukrycia i przywitać się z nią. Chodź. Tej pani nie musisz się bać - zachęcał, wyciągając rękę za drzwi. - Ma na imię Alaina i jest bardzo miła.

Alaina odetchnęła głęboko, widząc wychodzące zza drzwi dziecko, dziewczynkę nie więcej niż sześć- lub siedmioletnią, przyciskającą mocno do siebie sfatygowaną szmacianą lalkę. Miała na sobie perkalową sukienkę do kostek i wełniany płaszcz, co najmniej o jeden rozmiar za mały. Chociaż w kuchni było ciepło, dziewczynka trzęsła się jak spłoszone zwierzątko. Dużymi, ciemnymi oczami rzuciła ukradkowe spojrzenie na Alainę, a potem już cały czas ze spuszczonego wzrokiem wpatrywała się w zniszczone czubki swych wysokich bucików. Mała, chuda twarzyczka usmarowana była sadzą i błotem, a długie włosy były jak splecione w warkocze.

- Nie mówi - poinformował żonę Cole. - Ale to właśnie jest Mindy.

- Mój Boże, Cole'u! Kto się opiekuje tym dzieckiem?! - wykrzyknęła Alaina, wstrząśnięta zaniedbanym stanem dziewczynki. - Ona jest strasznie brudna!

- Kupiłem jej ubrania - Cole wzruszył ramionami - ale nie chce ich nosić. Na górze jest dla niej pokój, ale nie chce w nim spać. Woli przebywać tutaj, w kuchni. Jest spokojna i w pewien sposób bardzo niezależna, zupełnie jak ktoś, kogo dobrze znałem w Nowym Orleanie.

Odwróciwszy wzrok od męża, Alaina zauważyła, że Annie pilnie słucha tej wymiany zdań i śledzi ich uważnie zza małych okularów w drucianej oprawie, zsuniętych na koniec nosa. Zauważył to również Cole, więc Annie szybko zajęła się skrobaniem marchwi na zupę. Ale nie byłaby sobą, gdyby się nie wtrąciła.

- Mindy nie gamie się łatwo do ludzi i nie można biedactwa za to winić. Poprzednia pani awanturowała się, że musi trzymać w domu każdą znajdę, jaką przygarnie pan. Raz nawet chciała zbić Mindy pasem do ostrzenia brzytwy, o tak, ale pan przyszedł, zanim zdążyła jej zrobić jakąś krzywdę.

- Annie, twój język jest stanowczo za długi i za ostry - zganił ją Cole.

Kobieta wcale się tym nie przejęła.

- Nie upiększam swojej mowy, to prawda. Ale wydaje mi się, że Mindy może polubić nową panią. Obserwuje ją od samego początku. - Annie głośno pociągnęła nosem i mówiła dalej: - Tak się przejęła tymi spalonymi czekoladkami, że oddała pani swoje własne, które dostała od pana. Nie można zaprzeczyć, ma dobre serce ta biedna sierota.

- Nie ma żadnych krewnych? - spytała Alaina.

- Miała wuja - objaśniał Cole. - Pracował u nas przez pewien czas jako ogrodnik po moim powrocie z Nowego Orleanu. Ale nikt nie wie, co się z nim stało. Od jego zniknięcia Mindy jest tutaj.

- A co z jej rodzicami?

- Trzy lata temu była masakra - szepnął i potrząsnął głową, żeby nie drażyła temu.

Alaina wzięła puszkę trzymaną przez Cole'a i wyciągnęła ją w stronę dziewczynki.

- Sama wszystkich nie zjem. Czy mogłabyś trzymać dla mnie te czekoladki i od czasu do czasu mnie poczęstować?

Mindy mrugnęła wielkimi oczami i spojrzała pytająco na Cole'a, jakby szukając rady. Kiwnął głową z przyzwoleniem, a dziewczynka znów spojrzała na panią. Wzięła puszkę i gwałtownie przycisnęła do piersi, po czym zbliżyła się do drzwi, gotowa do ucieczki.

Alaina z własnego doświadczenia знаła dobrze lęk spowodowany głodem i bezdomnością, toteż doskonale rozumiała, co przeżywa to dziecko. Sam jej obdarty wygląd musiał budzić litość w każdym współczującym człowieku, a Alaina była na to szczególnie wrażliwa. Delikatnie zachęciła dziewczynkę, żeby podeszła, zapewniając ją:

- Nie zrobię ci krzywdy.

Mindy skuliła się w nagłym zatrwożeniu, nie ufając kobiecie, i rzuciła się do drzwi, lecz Cole chwycił ją za rękę i zatrzymał.

- Hejże! Dokąd idziesz? Nie słyszałaś, co pani powiedziała?

Ciemne oczy zrobiły się ogromne ze strachu. Przyciągnięta przez niego z powrotem, Mindy nerwowo ścisnęła swoje rzeczy i uczepliła się kurczowo jego nogi, za nic nie dając się pociągnąć dalej.

Matka Alainy wychowała swoje dzieci kochającą, lecz silną ręką. Nigdy nie była dla nich sroga, ale też im nie pobrażała. Ten sam instynkt odezwał się teraz w Alainie.

- Chciałabym ci się lepiej przyjrzeć, Mindy. Chodź do mnie - powiedziała głosem łagodnym, lecz wykluczającym nieposłuszeństwo.

Nieco opornie Mindy w końcu podeszła i Alaina powoli obejrzała ją całą. Uniosła warkocz, by zajrzeć do zaskorupiałego od brudu ucha, popatrzyła na czarną szyję i odwróciła małe dłonie, z dezaprobatą stwierdzając ich tragiczny stan. Na koniec przeniosła wzrok na Cole'a, który obserwował wszystko z rozbawieniem zaprawionym gorzką refleksją.

- I ty pozwoliłeś, żeby to dziecko było w takim stanie? Ty? Właśnie ty?

Cole zżymał się na jej karcący ton nie mniej niż Mindy na oględziny.

- Moja pani, możesz mi przypisywać duże doświadczenie, jeśli chodzi o kobiety, lecz zapewniam cię, że to akurat przekracza moje kompetencje. Gdybyś mogła mnie oświecić, jak należy z nią postępować, byłbym niezmiernie wdzięczny.

- Każde dziecko powinno być dobrze prowadzone. Ktoś musi mu mówić, kiedy ma się wykąpać i jak utrzymać czystość. I to, doktorze Latimer, będzie nasz następny krok. Chodź no tu, Mindy - powiedziała, biorąc dziecko za rękę. - Załatwimy najpierw kilka najpilniejszych spraw.

Mindy opierała się, a w jej ciemnych oczach jarzył się bunt. W zupełności wystarczało jej takie życie, jakie wiodła, i mogła się obejść bez kąpieli! Wujek nie dbał zupełnie o jej czystość, a później mimo nalegań doktora Latimera udawało jej się skutecznie chować przed służbą, która w końcu dawała jej spokój i zajmowała się innymi sprawami. Była całkiem zadowolona z tego stanu rzeczy i nie pragnęła go zmieniać.

Alaina spokojnie przyjęła ten pokaz uporów i splatając ramiona, oznajmiła:

- Cóż, myślę, że będę musiała zawołać Petera, Milesa i panią Garth, żeby mi pomogli cię trzymać podczas

kąpieli. Wszystko jedno, czy z twoją zgodą, czy siłą, ale mam zamiar cię wykąpać.

Dziewczynka spojrzała na Cole'a w nadziei, że uratuje ją przed tą kobietą, która szykowała na nią prawdziwy zamach. Przecież często ją wybawiał z rąk pierwszej pani. Lecz teraz wcale się tym nie przejmował. Spokojnie wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził czas. Widząc, że nie ma znikąd ratunku, Mindy musiała się poddać. Pośpiesznie zwiesiła głowę.

- No, więc chodź - powtórzyła Alaina i ujęła jej drobną rączkę. - Doktorze Latimer? - Szare oczy znów zwróciły się do niego. - Mogę potrzebować pańskiej pomocy, gdybym napotkała dalszy opór. Czy przyłączy się pan do nas?

- Powiem Peterowi, żeby przyniósł gorącą wodę - zaferowała z entuzjazmem Annie. Bardzo jej zaimponował zdrowy rozsądek wykazywany przez tę młodą kobietę i zgadzała się z jej metodą delikatnego przymusu. Bezsensowna przemoc pierwszej pani Latimer była nie do zniesienia.

Cole też był pod wrażeniem.

- O pani, jeśli potrafiłaś zdziałać taki cud, jak spokojne doprowadzenie jej do wanny, może też namówisz ją, żeby spała na górze w łóżku?

Mindy pokręciła głową z determinacją.

- A dlaczego nie? - powiedziała Alaina, zatrzymując się przed wahadłowymi drzwiami.

Annie zakasłała głośno, by zwrócić ich uwagę, i dodała od siebie:

- Przepraszam, że się wtrączę, proszę pani, ale już przedtem mówiłam, że poprzednia pani Latimer była bardzo zawzięta na tę dziewczynkę, jak tylko pana nie było w pobliżu. A małej kazano spać tuż obok czerwonego pokoju. Ja myślę, że to biedactwo wciąż się obawia, że pani Roberta wróci. Ona boi się tam zostawać sama.

- Zobaczymy, co się da z tym zrobić - odrzekła Alaina.

Na górze w sypialni żony Cole dorzucił drewno do ognia, podczas gdy Alaina rozczesywała włosy dziewczynki. Mindy posłusznie odłożyła na bok blaszane pudełko, ale nie chciała się rozstać z lalką nawet wtedy, gdy zdejmowano jej płaszcz i sukienkę. Alaina skrzywiła się z odrazą na niechlujne ubranie i przypomniał jej się strój Ala. Ona jednak przynajmniej miała wtedy ciało pod ubraniem czyste, a Mindy nie.

Cole przyglądał się drobnej, szczupłej kobiecie z takim zapałem zajmującej się dzieckiem. Z każdym mijającym dniem coraz więcej się o niej dowiadywał i coraz lepiej ją rozumiał. Wątpił jednak, czy przy tak złożonej osobowości kiedykolwiek pozna ją do końca i czy przestaną go dziwić oraz intrygować nowo odkrywane w niej cechy. Widział w jej oczach ciepło i zaangażowanie, gdy podwijiała rękawy sukni i przypinała do niej fartuch. Była porywającą kobietą i bardzo chciał zjednać sobie jej serce.

W łazience na jej prośbę lał wodę z dzbanka nad miską, a ona gorliwie spłukiwała mydło z włosów Mindy. Nawet podczas kąpieli dziewczynka nie chciała się rozstać z lalką i ścisła ją jeszcze mocniej. Alaina nie robiła z tego problemu.

- Dobrze. Jej też się przyda kąpiel. Ale musisz troszkę uważać. Ona jest o wiele bardziej delikatna niż ty i szkoda by było, gdyby się rozpadła od namoczenia w wodzie.

Cole uśmiechnął się, widząc, jak Mindy po namyśle ostrożnie sadza lalkę na ławce obok wanny. Alaina bez krzyków, bez gróźb, spokojnie i logicznie przemawiała do dziecka. Wrócił do sypialni, wyjął z kominka rozżarzone drewno i przypalił nim koniec cygara. Potem zapadł miękko w fotel i paląc je, rozmyślał o swej młodej żonie. Mindy, jak sądził, już żałowała, że ofiarowała jej swoje pudełko czekoladek w zamian za spalone, bo

Alaina szorowała ją z taką samą energią jak podłogi w szpitalu.

Po jakimś czasie z łazienki wyłoniła się czyściutka, różowa i pachnąca Mindy owinięta dwoma dużymi ręcznikami. Alaina zaprowadziła ją do Cole'a i mile ujęło ją to, że wyrzucił cygaro i posadził sobie dziecko na kolanach.

Tak jak powiedział Cole, mała szafa w pokoju dziewczynki była pełna nowych, kupionych przez niego ubrań, lecz szukając odpowiedniego stroju dla Mindy, Alaina odkryła coś niesamowitego. Każda sztuka, łącznie z luźnymi majtkami z koronką i haleczkami, była celowo pocięta lub podarta, a potem włożona starannie na miejsce, żeby szkody nie dały się łatwo zauważyć. Przejrzała dokładnie ubrania, wybierając niezbędne, które jednocześnie najłatwiej dadzą się zreperować, i wróciła do swojej sypialni. Wyjęła z komody grzebień, nożyczki, nici i igłę, a z szezlonga zdjęła kołdrę z gęsiego puchu. Ukłękła przy Cole'u i kazała Mindy wstać, zabrała ręczniki i owinęła dziecko kołdrą. Zaczęła delikatnie rozczesywać jej splątane, mokre włosy.

- Nie wiem kiedy i dlaczego - powiedziała spokojnie - ale wszystkie ubrania, które kupiłeś dla Mindy, zostały celowo zniszczone. - Posadziła Mindy z powrotem na kolanach Cole'a, który słuchał ze zdumieniem i gniewem. - Pewnie o tym nie wiedziałeś, ale to mógł być powód, dla którego nie chciała ich nosić.

Dziewczynka ukryła twarz w ramieniu Cole'a, gdy Alaina zademonstrowała rozprutą na szwach czerwoną sukienkę z aksamitu z szerokim kołnierzem i mankietami oraz koronki odprute z bielizny. Twarz Cole'a pociemniała z gniewu.

- Znalazłam nawet rzepy w pończochach i masło w butach - pokręciła głową z oburzeniem. - Wyczyściłam buciki najlepiej jak mogłam, ale z pończochami gorsza sprawa. - Jeszcze ssała palec, w który się ukłuła, wyjmując ostry rzep.

- To Roberta! - stwierdził Cole.

- Tak sądzisz? - Alaina podniosła wzrok znad nawlekanej właśnie igły.

- Ogrodnik zniknął na parę miesięcy przed śmiercią Roberty, a gdy wziąłem dziecko do nas, wpadła w zwykłą histerię. Bardzo możliwe, że zemściła się na ubraniach, bo nie mogła na dziecku.

Alaina przez dłuższy czas szyła w milczeniu, dziwiąc się, jak jej kuzynka mogła być taka mściwa. Roberta domagała się wszystkiego za nic, ale nie wiedzieć dlaczego, nie potrafiła się niczym cieszyć. Jakże musiała być nieszczęśliwa!

Mindy zapomniała o ich obecności i, znalazłszy przystań w ramionach Cole'a, smacznie w nich zasnęła. Alaina patrzyła ze wzruszeniem na dziecko i trzymającego je mężczyznę, lecz gdy napotkała wzrok Cole'a, szybko pochyliła się nad szyciem. Miała nadzieję, że nie zauważył jej rumieńców na policzkach. Przeciągnęła igłę przez materiał, za nią nitkę aż do supełka, a potem spytała niewinnie:

- Dobrze znałeś wuja Mindy?

Cole prychnął.

- Na tyle dobrze, by zauważyć, że to drań. Stanowiliby z Robertą dobrą parę.

- Jak to?

- Mindy bała się go tak samo jak jej. Lubił ją karać. Raz zagroziłem mu wyrzuceniem z pracy, jeśli jeszcze raz zobaczę, że ją bije. Wkrótce potem zniknął, zostawiając dziewczynkę.

- Myślę, że Mindy obejdzie się bez takiego opiekuna - stwierdziła Alaina. Spojrzała z ukosa na męża. - Ale ty, majorze, masz wyraźny dar. Mindy świetnie się u ciebie czuje. Może byś ją adoptował?

Cole uniósł brwi i uśmiechnął się krzywo.

- Inaczej wyobrażałem sobie wkraczanie w ojcostwo. Najpierw wspólne spanie, a potem pieluchy. Czy nie taka jest zwykle kolejność?

- Pan wie lepiej.

Cole roześmiał się.

- Ależ, pani, ja jeszcze nigdy nie byłem ojcem, naprawdę!

Spojrzała powątpiewająco. Pomimo jego krytycznego stosunku do Roberty musieli mieć jednak jakąś wspólną płaszczyznę porozumienia.

- A twoja pierwsza żona? Czy nie była w odmiennym stanie, gdy umarła?

Cole popatrzył na trzymane dziecko i ostrożnie otulił jego drobne ramionka kołdrą. Potem odpowiedział:

- Roberta i ja nie sypialiśmy razem ani nie byliśmy ze sobą blisko od czasu powrotu z kampanii nad Czerwoną Rzeką. Zaszła w ciążę z kim innym.

Alaina opuściła wzrok na trzymaną na kolanach aksamitną sukienkę i patrzyła, nie widząc.

- Przepraszam, Cole'u. Nie wiedziałam.

- Nie musisz przeproszać, serdeńko. Tak postanowiliśmy oboje. Ona tego nie potrzebowała, a ja...

Alaina uniosła wzrok, ciekawa, co powie.

- ...też nie - dokończył z goryczą. - Przynajmniej nie od niej.

- Cole'u, ona chyba cię kochała.

- Nie - zaprzeczył. - Nie sądzę, by była w stanie kochać kogokolwiek. Ją cieszyło udawanie bogatej pani domu. Może nawet była dumna, że złapała takiego męża, dopóki nie zostałem ranny. Lubiła się ubierać w kosztowne stroje i chwalić swoją urodą, ale nie robiła tego dla mnie. Nie było to wszystko zbyt głębokie, podobnie jak jej miłość. Ona sama była jak płytki strumień: piękny i błyszczący na powierzchni, a ciemny i mulisty na dnie.

Alaina podniosła do góry zszytą sukienkę i spróbowała zawrócić rozmowę na mniej krepujące tory.

- Doktorze Latimer, masz świetny gust. Ten kolor doskonale pasuje do jasnej cery i ciemnych włosów Mindy. Będzie małą pięknocią.

Cole rozmasował nogę, która zdążyła mu już zdrętwieć. Alaina natychmiast spostrzegła, że mu niewygodnie. Wstała, żeby zabrać dziecko z jego kolan, ale zatrzymał jej rękę.

- Masz w sobie instynkt macierzyński, droga pani. Powinnaś mieć kilkoro własnych dzieci.

Ich twarze znajdowały się blisko siebie, a jej przejrzyste szare oczy rozświecało wewnętrzne ciepło. Niskim, gardłowym głosem zapytała:

- Czyżby pan coś proponował?

Cole odchylił głowę na wyściełane oparcie fotela i z ciekawością zapytał:

- A jeśli proponuję?

Zabrała dziewczynkę z jego kolan i uśmiechnęła się z przekąsem.

- Więc muszę panu przypomnieć o naszym małżeńskim porozumieniu.

Następnego dnia rano przed śniadaniem z doktorem Latimerem odbyła się pierwsza codzienna toaleta młodej damy. Mindy często obserwowała Alainę z ukrycia, łatwo więc przyszło jej naśladować ją we wszystkim. Była bystrym i zdolnym dzieckiem. A jeszcze do tego ta pani przypominała jej własną mamę.

W następnych dniach Mindy chętnie oddała się pod ciepłe skrzydła opiekuńczej, choć wymagającej Alainy. Niechęć dziecka do spania w łóżku stała się zrozumiała, gdy odkryły pod prześcieradłem małe, wyschnięte osty. Nadal jednak dziewczynka wzdragała się przed samotnym pozostawianiem w swoim pokoju. Alaina zwróciła się do Cole'a po radę. On zaś zaproponował, by przenieść dziecko do innego pokoju, z dala od tej jaskini nienawiści, z jaką kojarzył jej się pokój poprzedniej pani. Mindy najwyraźniej się ucieszyła i z wielką ochotą pomagała przenosić swoje rzeczy i ubrania do nowej sypialni.

Alaina uklepała świeżo pościelone łóżko w nowym pokoju i usiadła na nim, patrząc na Mindy. Pogładziła narzutę i spytała:

- Teraz będziesz tu spała?

Mindy pokiwała głową bez namysłu, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Na jej ustach błąkał się nieśmiały uśmiech, ale w oczach jeszcze czaił się lęk, czy nie wróci dawny koszmar.

- Och, Mindy... - Alainie krajało się serce ze współczucia. - Biedne dziecko... - Wyciągnęła rękę i gdy dziewczynka przyjęła zaproszenie, przytuliła ją do siebie. Posadziła ją na kolanach i głaskała miękkie włosy. - Obie mamy podobne życie - szepnęła smutno. - Ale ja przynajmniej mogłam świadomie decydować, a ty niczego sama nie wybierałaś.

Tego wieczoru Mindy wykapała się w wannie Alainy. Potem włożyła długą nocną koszulę i ciepły szlafrok, zgarnęła swoją lalkę oraz puste pudełko po czekoladkach i bez żadnego protestu pozwoliła się zapakować do nowego łóżka. Wysłuchiwała krótkiej modlitwy Alainy, klęczącej przy jej łóżku, i zamknęła oczy, a gdy nowa pani pocałowała ją w czoło na dobranoc, uśmiechnęła się i tak zasnęła.

33

Alaina już dawno zauważyła, że gdy Cole Latimer coś sobie postanowił, niełatwo było go od tego odwieść. Konsekwentnie dążył do obranego celu, niczym się nie zniechęcał, i dzięki nieustającym wysiłkom przeważnie go osiągał. Toteż gdy Alaina uświadomiła sobie, że ona sama jest jego celem, domyśliła się, że czeka ją ostra walka, w której nastąpi starcie dwóch silnych temperamentów. Jak dotąd Cole nie wystąpił z żadną istotną deklaracją, dającą jej gwarancje, że nie będzie służyła wyłącznie do zaspokajania jego kaprysów. Dlatego bardzo nieufnie podchodziła do jego miłosnych zalotów.

On zaś poczynił sobie bardzo odważnie. Nie próbował nawet ukrywać, że chce ją mieć jako kobietę. Traktował Alainę jak swoją własność, uważając, że może jej dotykać i obejmować ją, kiedy tylko chce. Nie posuwał się jedynie do tego, by ją zmuszać do dawania mu przyjemności, choć Alaina nie była całkiem pewna, jak długo będzie się powstrzymywał.

Traktował ją zawsze i wszędzie jak normalną żonę. Nawet gdy jeździł załatwiać interesy do St. Anthony, zabierał ją ze sobą. Wynajmował wtedy dwa pokoje w hotelu, gdyż Alaina zawsze upierała się, żeby razem z nimi jechała Mindy. Ona z dzieckiem zajmowała jeden pokój, Cole drugi.

Raz udało mu się obejść tę małżeńską separację przynajmniej na jedną noc, kiedy przyjął zaproszenie od przyjaciół, by zostać u nich po teatrze. Alaina nie miała wyboru, musiała dzielić z nim pokój, by zachować pozory. Czuła się bardzo zakłopotana. Mindy położono oddzielnie po drugiej stronie korytarza, a przed Alainą stanęła perspektywa nie tylko spania z Cole'em w jednym pomieszczeniu, ale i w jednym łóżku.

- Ty oczywiście będziesz spał na fotelu - zagaiła z nadzieją, widząc, że rozbiera się do spania.

Cole spojrział na nią zdziwiony.

- Nie mam takiego zamiaru, droga pani. Łóżko jest dość szerokie jak na nas oboje.

- Myślałam, że w łóżku niewygodnie ci ułożyć nogę.

Jego bezwstydnym uśmiechem zdradzał duże rozbawienie.

- Czy tak bardzo cię przeraża spanie z Jankesem?

Alaina zmierzyła go zimnym wzrokiem.

- W ogóle mnie nie przeraża.

- Więc dlaczego, o pani, pogasiłaś do rozbierania wszystkie lampy? - Jego drwiący śmiech zaczynał ją irytować. - Gdyby nie ogień w kominku, słowo daję, musiałbym szukać po ciemku, żeby znaleźć nocną garderobę.

- Dobrze by było, gdybyś znalazł - odcięła się z nutą sarkazmu.

- Przepraszam najmocniej. - Skłonił swój długi, nagi tors w karykaturalnym ukłonie, zupełnie nieświadom, jak światło płomieni uwydatnia jego męską sylwetkę. - Nie zdawałem sobie sprawy z twojej wrażliwości na kawałek gołej skóry. Jednak muszę cię ostrzec. Nie zamierzam dla zapewnienia ci spokoju ducha wiecznie się owijać materiałem.

Alaina przycisnęła do piersi trzymaną w ręce nocną koszulę, kiedy podszedł do ciemnego kąta, gdzie się przebierała. Zdążyła dopiero zdjąć suknię i halki. Gorset jak zwykle sprawiał jej trudność. Widząc w jej oczach niezdecydowanie, Cole zapytał z uśmiechem:

- Pomóc ci?

Odwróciła się niepewnie plecami, pozwalając mu rozsznurować gorset. Przez długą chwilę w milczeniu wykonywał swe zadanie. Gdy już uwolnił ją z bieliznianych okowów, musiała wstrzymać oddech, bo zaczął głaskać jej rozpuszczone włosy i gładkie ramiona. Oskoczyła nerwowo, wciągnęła przez głowę koszulę i dopiero pod jej osłoną zdjęła dolne części garderoby.

Cole pokuśtykał do łóżka, odwinął narzutę i usiadł na brzegu, sięgając po cygaro. Zapalił je i obserwował, jak za wszelką cenę usiłuje zachować skromność. Założyła jeszcze szlafrok i dopiero obeszła łóżko, wsuwając się szybko pod kołdrę z drugiej strony. Zsunęła się jak najdalej na brzeg, tyle, ile się dało, żeby nie spaść na podłogę, i naciągnęła jedwabną kołdrę aż po brodę. Nie mniej niż Cole nie miała ochoty nocować na zimnym, twardym fotelu, gdy do wyboru było wygodne łóżko.

Cole uniósł kołdrę i położył się obok. Nogę trzymał zgiętą, by zmniejszyć napięcie w udzie. Palił cygaro, a Alaina leżała z otwartymi oczami, obserwując unoszącą się do sufitu smużkę dymu. Dużo by dał, żeby teraz znać jej myśli. Przez cały wieczór była czarująca. Odgrywała wobec jego znajomych kochającą żonę, a jego podniecał każdy jej najmniejszy dotyk. Znajomi, którzy znali Robertę, ujęci byli wdziękiem i pogodnym, inteligentnym umysłem Alainy. Sam musiał przyznać, że zrobiła bardzo dobre wrażenie.

Odwrócił ku niej głowę i zapytał szeptem:

- Ciepło ci?

Alaina potaknęła nieśmiało,

- A twoja noga? Nie boli?

- Nie przejmuj się tym, droga pani. - Przełożył cygaro do drugiej ręki i sięgnął, by szczelniej otulić puchową kołdrą jej ramię.

- Dziękuję ci, Cole'u, że pozwoliłeś zabrać Mindy.

- Uhhh - zabrzmiało w odpowiedzi. Zajął się dalej paleniem cygara, a gdy skończył, jego żona już spała. Zaznanie podobnego ukojenia zabrało mu znacznie więcej czasu.

Księżyc kontynuował swą wędrówkę po niebie, a Alaina spała coraz smaczniej. W czułych objęciach morfeusza zapomniała się całkowicie i wtuliła w ciepłe, leżące obok ciało. Pograżona w słodkich marzeniach sennych, z trudem dosłyszała cichutki szept tuż przy uchu.

- Alaino, śpisz?

- Cole? - westchnęła nieprzytomnie, cała w jedwabistej pajęczynie snów. Instynktownie czując tu bezpieczeństwo, przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Uniósł się nieco nad nią, obejmując ramieniem jej plecy i zanurzając nos w cudownie pachnących lokach nad uszami, szeptał dalej:

- Alaino, jeśli nie chcesz doprowadzić do sytuacji, w której stracę nad sobą kontrolę, lepiej się odsuń, przynajmniej na bardziej przyzwoitą odległość.

Dopiero gdy dotarło do niej, o czym on mówi, rozszerzyła oczy ze zdumienia. Leżała na boku przodem do niego, z lewą nogą uniesioną i spoczywającą na jego nagim podbrzuszu. Cole był rozpalony, a jego męskość sztywna i spragniona jej ciała.

- Przepraszam - wymamrotała okrutnie zmieszana. Szybko odsunęła się na kraniec łóżka i znów leżała, patrząc w sufit. Teraz nie spali już oboje i w napięciu czekali, aż przyjdzie świt i uwolni ich z tej izby tortur.

W domu Alaina czuła się znacznie pewniej, choć i tu zdarzało mu się wchodzić bez zaproszenia do jej sypialni. Czasem w nocy budziła się i widziała jego wysoką postać przy swoim łóżku. Na tle księżycowej poświaty w oknie rysowały się barczyste, nagie ramiona. Przyciągała go wciąż i wciąż jak magnes.

Przestała zastawiać drzwi fotelami, bo przykro jej było słuchać drwin Cole'a na temat lęku przed własnym mężem. Postanowiła mu pokazać, że się go nie boi, lecz rezygnując z takich zabezpieczeń, dawała mu nad sobą przewagę. Zaczął bowiem wchodzić do niej i wychodzić, kiedy mu się podobało. Szczególnie upodobał sobie wpadanie, by jej coś powiedzieć, podczas gdy się kąpała.

W czasie jednej z takich wizyt oznajmił:

- Dziś wieczorem chciałbym cię trochę pokazać w mieście. I tym razem - mówił powoli i przeciągle, zerkając wymownie na jej białe piersi, które usiłowała zasłonić - załóż coś, co doda ci kobiecości. Wybacz, ale już mnie znużyły te szare suknie.

„Co doda mi kobiecości”? Alaina z rozgoryczeniem wyszła z łazienki i przezornie zamknęła drzwi. Powstrzymała się od chęci rzucenia w nie czymś, ale tylko dlatego, że on śmiałyby się z takiego wybuchu złości. Na Boga, już ona mu pokaże, jaką jest naprawdę kobietą!

Prawie całe popołudnie spędziła na przerabianiu aksamitnej sukni. Była to ostatnia z jej własnych. Godna uwagi i nie szara. Zastanawiając się, czy dekolt ma być skromny, czy śmiały, nagle poczuła w sobie jakiś szaleńczy zew. Złapała nożyczki i wycięła dekolt znacznie większy, niż nakazywał to przyjęty obyczaj. Cole najwyraźniej gustował w piersiach, a ona z dziką radością postanowiła się z nim podrażnić.

Gdy nadeszła pora ubierania się, zastawiła drzwi swej sypialni fotelem, żeby Cole nie wszedł za wcześnie. Chciała go zaskoczyć i sprawić, że po dzisiejszym wieczorze nie będzie już nigdy kwestionował jej kobiecości.

Zapukała lekko w jego drzwi i na głośne przyzwolenie weszła dumnie, tak jak to umiała robić Roberta. Cole się odwrócił. Właśnie zapinał spinki koszuli. Obrzucił Alainę śmiałym spojrzeniem, nie kryjąc aprobaty, a nawet

odniosła wrażenie, że w wyobraźni sięga wzrokiem o wiele głębiej, poza dekolt sukni. W tym samym momencie zrozumiała, że osiągnęła swój cel, gdyż Cole usiłował przewlec spinkę przez koszulę w miejscu, gdzie nie było żadnej dziurki.

- Jeszcze się nie ubrałeś - zauważyła.

Cole podszedł bliżej i obejrzał ją z bliska, zapuszczając wzrok tam, gdzie złoty łańcuszek zniknął w zachęcającym rowku między piersiami. W miejscu, gdzie szyja przechodziła w biust, do sukni doszyta była piękna koronka, której przezroczystość prowokowała dociekanie, czy równie odważnie dobrana jest bielizna, jeśli w ogóle jakaś znajduje się pod spodem.

Choć Alaina powzięła solenne postanowienie, że nie da mu się już nigdy traktować bez szacunku, jednocześnie świadoma była przyspieszenia swego własnego pulsu i wiedziała, czym to grozi. Cole nie był jakimś tam niedoświadczonym uczniakiem i musiała zachować ostrożność, by oboje nie przekroczyli granicy, za którą wyłączają się wszelkie hamulce.

Wygładziła aksamit w kolorze ciemnego wina.

- Czy ta jest wystarczająco kobieca?

Cole położył dłoń na jej smukłej szyi, w której wyczuł gwałtowne uderzenia pulsu, i kciukiem uniół jej brodę, żeby ich oczy się spotkały.

- Gdyby była jeszcze odrobinę bardziej kobieca, o pani, nie uciekłabyś dziś z mej sypialni. To już maksimum tego, co mogę znieść spokojnie. - Ręka Cole'a zsunęła się po piersiach do talii i pobiegła do pleców, przyciągając bliżej jej kibić. - A może - szepnął namiętnie - wolałabyś spędzić wieczór tutaj?

Alaina oparła łokcie o jego tors, żeby uniemożliwić zbyt bliski kontakt ich ciał. Śmiejąc się cicho, zręcznie i szybko zapięła mu spinki z przodu koszuli.

- Proszę się zachowywać jak należy - przywołała go do porządku. - Olie w końcu przyjdzie sprawdzić, dlaczego się spóźniamy. Już dawno słyszałam, jak podjeżdżał powozem.

Cole puścił ją i złapał halsztuk, narzekając:

- Olie! Mindy! Annie! Miles! Zawsze ktoś w tym domu przeszkadza. - Zawiązał halsztuk na szyi. - Pozbędę się ich wszystkich - poszedł do lustra, by poprawić jedwabną apaszkę - i wezmę cię siłą.

Alaina wycofała się do swojego pokoju ze śmiechem.

- Już o tym wróble ćwierkają - zadrwiła. - Milordzie, niech pan zakłada kamizelkę i surdut. Zrobiło się późno.

Cole uśmiechnął się uwodzicielsko do swego odbicia w lustrze, lecz musiał posłuchać żony. Na koniec wziął cylinder i przewiesił przez ramię wieczorową pelerynę, wyszedł z pokoju i na korytarzu dołączył do Alainy. Ona zaś sprawiła mu kolejną niespodziankę. Miała na sobie kupioną przez niego pelerynę z kapturem obramowaną futrem z lisa, a ślicznie upiętą fryzurę okryła wytwornym szalem z czarnej koronki.

Cole Latimer był w swoim żywiole, gdy eskortował żonę do czekającego powozu. Usiadł obok niej i zapukał rączką laski w dach, dając znak Oliemu, żeby jechał. Potem oparł się wygodnie, objął Alainę i zajął się całkowicie jej osobą. Rozkołysane latarnie powozu rzucały na nią łagodne światło, w którym, rozchyliwszy połę jej peleryny, widział kuszące wycięcie sukni.

- Cieszę się, kochanie, że włożyłaś tę pelerynę - zamruczał pieszczotliwie. - Pasuje do ciebie.

Sposób, w jaki się do niej zwrócił, zabrzmiał jak najczulsza pieszczota i coś drgnęło w jej sercu. Lecz ona sama, choć nawet chciałaby mu się odwzajemnić podobną czułością, musiała zachować rezerwę. Nie mogła być

pewna, czy sobie z nim poradzi w sytuacji, w jakiej już raz mu uległa. W jej oczach jawił się cały czas jako drapieżny wilk o dzikich ślepiach i ostrych kłach, gotów do pożarcia swej ofiary. Nawet jeśli chwilowo był oblaśkawiony, miała powody, by zachować wzmożoną czujność.

- Nigdy jeszcze nie nosiłam czegoś równie kunsztownego, Cole'u. - Nieśmiało pogładziła futrzaną lamówkę. - Jest śliczna.

- Tylko dlatego, że ty ją masz na sobie, kochanie - pochylił się i dotknął wargami jej włosów, wdychając ich zapach. - Pachniesz tak samo pięknie, jak wyglądasz. Kobieta w każdym calu, delikatna i słodka.

Alaina zgadzała się w duchu, że wybrane przez niego perfumy pasują do nastroju tego wieczoru, ale też rosło w niej poczucie, że te kusicielskie sztuczki coraz bardziej stawiają ją samą w roli osaczonej zwierzyny. On z zapałem przyłączył się do gry, w której polujący osłabiał opór ofiary za pomocą słodkich słów i łagodnych pieszczot. Która kobieta nie skapitulowałaby wreszcie wobec tak odważnych zalotów równie przystojnego i gorliwego adoratora? Nie mogła się winić za to, że chciała, by je kontynuował, choć wiedziała, że w pewnym momencie będzie musiała go powstrzymać.

W jakiś czas później Olie zatrzymał powóz przed dużym, otynkowanym na żółto dwupiętrowym budynkiem z bogatymi, ażurowymi zwieńczeniami. Wzdłuż frontonu biegł krążganek w tej samej żółtawej tonacji.

- Co to za budowla? - zapytała Alaina z przejęciem, wysiadając z powozu w asyście Cole'a.

- Najlepsza w mieście - oświadczył zadowolony. - Ale musisz pamiętać, pani, że to nie jest Nowy Orlean. Niestety, nie umywa się do St. Charles jako hotel.

- Hotel? - patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Stearns House, moja pani. Zjemy tu coś - oznajmił. - Słyszałem, że w mieście gości wędrowny teatr. Może po kolacji zdążymy na przedstawienie.

- Czy zostaniemy tu na noc? - spytała cicho, lecz zdecydowanie.

- To się dopiero okaże, droga pani - uśmiechnął się szarmancko. - Nie wykluczam takiej możliwości, jeśli ty będziesz skłonna zostać.

- Nie wzięliśmy rzeczy - zauważyła, jakby to miało zdecydować o nierealności takiego obrotu spraw.

- No to nie będzie problemu z przebieraniem się w nocną bieliznę - odrzekł wesoło.

Splonęła rumieńcem, pamiętając jeszcze dobrze tamtą noc u znajomych.

- Jest pan niepoważnym lotrem.

- Pozwoli pani, że ją zapewnię - odparł lekkim tonem - iż nie będę jej zmuszał do niczego wbrew woli. - W oczach błyszczały mu radosne iskierki, gdy podawał jej ramię, a kiedy oparła o nie rękę, uścisnął ją czule. - Musisz mi wybaczyć, najmilsza. Tak dobrze grasz rolę żony, za ja się gubię w roli męża.

- I czasem - wyznała Alaina poważnie - jestem tym ogromnie zakłopotana, tak jak całym tym naszym małżeństwem.

W luksusowym holu pokojówka wzięła od nich okrycia, a Alaina osłoniła skromnie dekolt koronkowym szalem. Wobec Cole'a była odważniejsza, ale nie chciała się narażać na ciekawskie spojrzenia innych mężczyzn.

Dalej poprowadziła ich kelnerka. Cole objął teraz żonę, zagarniając jej smukłą kibić jak swoją własność. Przeszli przez salon, udekorowany lustrami w złożonych ramach, aksamitnymi kotarami i lśniącymi zyrandolami. W jadalni poprowadzono ich do odosobnionego stolika w rogu sali. Kelnerka zakrzętała się, by im podać wino. Cole posadził Alainę na krześle twarzą do sali, a sam usiadł tak, by ją zasłonić przed wścibskimi spojrzeniami.

Uklonił się kilku znajomym, po czym usiadł, rozprostowując pod stołem chorą nogę.

Na stole ujął delikatnie końce smukłych palców swej żony. Jej bliskość pobudzała jego zmysły. Z zachwytem chłonał piękne oblicze, czarujące rysy, oczy zerkające spod ciemnych firanek rzęs i łagodne wygięcie delikatnych warg, które z rozkoszą pieściłby swymi ustami.

- Masz zimne ręce - szepnął.

- Ale twoje są ciepłe - wymruczała i włożyła obie ręce w jego dłoń. Podążyła przy tym do przodu, a dekolt sukni rozchylił się, odsłaniając przed Colem jasne, gładkie, burzące mu krew w żyłach krągłości. Był to dekolt kusicielski, grozący w każdej chwili odsłonięciem widoku zakazanych dla niego upojnych owoców. Marzył o tym, żeby ich dotykać, a po całym jego ciele rozlewała się słodycz pożądania.

- Staliśmy się tutaj pożywką dla różnych plotkarzy, kochanie - zauważył z figlarnym uśmiechem. - Może powinniśmy im dać okazję, by się naocznie przekonali, że nie jesteś dwugłowym smokiem.

- I cóż pan proponuje?

Popatrzył w pełne ciepła szare oczy. Jakże łatwo było utonąć w ich przejrzystej głębinie!

- Małą uroczystość dla uhonorowania nowej pani Latimer. Nic nadzwyczajnego, kilku sąsiadów i znajomych na dobrą kolację oraz trochę tańców.

Przy wejściu do sali ktoś wybuchnął głośnym śmiechem i weszła grupka wesoło gwarzących młodych ludzi. Latimerowie spojrzeli w tamtą stronę i poznali Braegara i Carolyn Darveyów w towarzystwie mężczyzny i kobiety. Cole wydał z siebie stłumiony jęk, a w duchu zaklął na los, który ściągnął ich tutaj w tym samym czasie. Alaina zobaczyła, jak gestem rozpaczy przykładła dłoń do czoła i wpatruje się w ciemne okno. Rzekła błagalnie:

- Cole'u, bądź miły. Pamiętaj, że cię przeprosił.

- O pani - westchnął ciężko Cole. - Żebyś ty mogła pojąć, dlaczego chętnie bym go teraz udusił!

Spostrzegłszy ich, Braegar uśmiechnął się od ucha do ucha i pomachał na powitanie.

Cole posłał mu wymuszony uśmiech, kiwnął głową i mruknął pod nosem:

- Widziałas kiedykolwiek tyle zębów w jednej twarzy?

- Och, Cole'u, przestań! - prosiła cicho Alaina, patrząc nań błagalnym wzrokiem.

- Okryj się, kochanie - nakazał jej półgłosem. - Nie znoszę, jak ten człowiek poządlawie ci się przygląda.

Osloniła piersi szalem, a widząc, jak była dotąd obnażona, zaczerwieniła się. Tamci szli już do nich. Carolyn na przedzie, wymijając stoliki i innych gości. Cole wstał, widząc, że nie ma odwrotu, żadnych tylnych drzwi, którymi mógłby stąd wyniknąć się z Alainą.

- Alaina! - Carolyn pochyliła się nad nią i z afektacją musnęła jej twarz policzkiem. Tak samo przywitała się z Cole'em. - Jak to miło was spotkać!

- Dobry wieczór, panno Darvey - odezwał się Cole bez entuzjazmu, zaledwie mieszcząc się w granicach dobrego wychowania.

- Panno Darvey, rzeczywiście! - zaśmiała się, kładąc mu rękę na ramieniu. - Wielkie nieba, Cole'u! Jesteś sztywny jak kołek od płotu. Powinieneś się bardziej zrelaksować. Nic dziwnego, że noga ci tak dokucza.

Zaraz też dołączył Braegar z wyjaśnieniem.

- Właśnie niedaleko na tej ulicy zepsuło nam się koło u powozu. Zreperować można dopiero rano. Już się obawialiśmy, że będziemy musieli zostać tu na noc, ale skoro wy jesteście, może dacie się ubłagać, by nas podwieźć do domu... - Zawiesił głos w oczekiwaniu.

A więc było jeszcze gorzej, niż Cole się spodziewał. Cały wieczór zmarnowany i wszystkie jego plany brały w łeb. Oni nawet sobie nie zdawali sprawy, jaki był wściekły i rozczarowany. Mając nadzieję, że ich zniechęci, dał do zrozumienia, że nie ma ochoty nigdzie jechać.

- Dopiero tu przyjechaliśmy.

- Och, to dobrze! - ucieszył się Braegar. - Usiądziemy z wami i zjemy coś razem.

- Braegar, zapomniałeś przedstawić naszych przyjaciół - zwróciła mu uwagę siostra.

- Ależ oczywiście! - Objął w pasie niską, rudowłosą kobietę. - Cole'u, ty chyba znasz Rebel Cummings i Marta Holvaga, naszego stróża prawa i porządku.

Cole przetłumaczył to żonie:

- Martin jest naszym zastępcą szeryfa, a to Rebecca Cummings. - Widząc zmieszanie Alainy, dodał: - Większość przyjaciół nazywa ją Rebel. Po oblężeniu spędziła kilka miesięcy u swego dziadka w Vicksburgu. Wróciła zarazona południowym akcentem i rebeliancką naturą.

Braegar nie pokazał po sobie, że dosłyszał ciche burknięcie Cole'a, gdy uroczyście wskazał ręką na Alainę, ale jego słowa były celnie wymierzone.

- Moi drodzy, a ta miła dama to najnowsza pani na zamku Sinobrodego.

- Braegar! Jak możesz? - obruszyła się jego siostra. - To nie jest zabawne.

Cios trafił Cole'a prosto w serce. Widząc skamieniałą twarz męża, Alaina podniosła się z gracją i wsunęła rękę pod jego ramię. Ona też nie mogła się pozbyć uczucia lekkiego rozczarowania z powodu tak niespodziewanie wymuszonego przez nich spotkania. Zaczynało do niej docierać, że właściwie coraz bardziej lubi zabiegi Cole'a o jej względy, gdyż dodają one jej życiu i jej kobiecości niecodziennego blasku. Oprócz brutalnych zalotów Jacques'a i nieśmiałych umizgów porucznika nie zaznała dotąd czulego zainteresowania ze strony atrakcyjnego mężczyzny. A przebywając z Cole'em, czuła, że to coś więcej niż powierzchowna adoracja. Coś zupełnie innego.

- Czy pani jest naprawdę z Południa? - zapytała ze szczerym zdziwieniem w oczach Rebecca. - Cole wykazuje tak wielkie zamiłowanie do piękności z Południa. Ciekawe, co macie w sobie takiego intrygującego.

- Może południowy akcent? - odpowiedziała Alaina, naśladowując niewinny ton rozmówczyni i wyraźnie nosową angielszczyznę. - To zdumiewające, jak przebywanie w nowym miejscu wpływa na język człowieka. Na przykład ja, przebywając tyle czasu obok Cole'a - uśmiechnęła się do męża pytająco, a on spojrzał z czułą aprobatą - nauczyłam się słów, o których nie miałam pojęcia, że istnieją.

- Utrafiła pani w samo sedno - wtrącił się Braegar. - Nieraz słyszałem to bogactwo jego języka.

- O dobry Boże! - Carolyn uniosła ręce w desperacji. - Oto nieokrzesany Irlandczyk wypowiada się na temat języka angielskiego!

- Już on mnie pod tym względem dobrze wykształcił - sumitował się Braegar.

- Przygania kocioł garnkowi, a sam smoli, ot co! - wygarnęła mu siostra.

- Młodość i rozliczne podróże z armią dają mu nade mną znaczną przewagę - stwierdził Braegar.

- Ale ty za to masz wrodzony talent! - przygadała mu Carolyn, z rozdrażnieniem potrząsając głową.

Braegar odwzajemnił się przesadnie dziękczynnym uśmiechem i zrećnie zmienił temat.

- Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że się do was przyłączymy, co, Cole'u? O! Możemy wziąć tamten stolik i przystawić do waszego.

Cole'owi nie wypadało się nie zgodzić, ale też nie przyłączył się do proponowanego przemeblowywania, za to

jednym haustem wychylił kieliszek wina. Kiedy już wszystko zostało odpowiednio ustawione, po prawej stronie Cole'a usiadła Carolyn, a obok niej Martin. Braegar odsunął krzesło dla swej towarzyszki po lewej stronie Alainy. Sam zajął najlepsze miejsce pomiędzy nimi, nie zdając sobie sprawy, jak zwiększa tym spożycie wysokoprocentowego alkoholu przez Cole'a i jak całkowicie odbiera mu dobry humor sprzed zaledwie kilku minut.

Posiłek mijał przy luźnej konwersacji. Wszyscy byli weseli, z wyjątkiem Cole'a, który siedział ponury, w ogóle się nie odzywając. Prawie cały czas obserwował żonę, podziwiając jej błyskotliwość i subtelne poczucie humoru w potyczkach słownych z Rebel. Pośród radosnych przekomarzań przegapili moment, w którym powinni się udać do ratusza. Dopiero gdy sprzątnięto wszystko ze stołu, Cole wyciągnął zegarek i zobaczywszy, która godzina, wydał z siebie okrzyk, który uciął wszelkie rozmowy. Wszyscy zwrócili na niego oczy, a on schował zegarek i wyjaśnił, co się stało.

- Dziś wieczór w ratuszu było przedstawienie wędrownego teatru. Chciałem na nie zabrać Alainę, lecz teraz obawiam się, że spektakl już dobiega połowy.

- Och, Cole'u, o tej porze roku naprawdę dobre trupy nie docierają tak daleko na północ - pocieszyła go Carolyn. - Poza tym wiem z całą pewnością, że to przedstawienie jest straszliwie nudne. Nawet lepiej, że was ominęło.

- Myślę, Cole'u, że nic lepszego nie wymyślisz - filozofował Braegar - jak to, by zabrać Alainę do domu i spocząć w łóżku.

Cole'a aż zatkało, bo wiedział, że to zamierzony przytyk. Niestety, nie mógł zrobić nic, by uwolnić siebie i Alainę od ich towarzystwa i posłuchać tej dobrej rady.

- Powinniśmy już wracać - stwierdziła Carolyn, powstrzymując ziewanie. - Cole'u, nie masz nic przeciwko temu, żeby Martin i Rebel pojechali z nami? Rebel zostaje u nas na noc, a Martin ma tam swego konia.

- Nie wiem, czy się zmieścimy - mruknął.

- Jakoś się zsuniemy! - postanowił Braegar.

Gdy Olie podjechał powozem. Cole nie mieszał się do dyskusji, jak najlepiej się w nim usadowić. Wyminął wszystkich i objąwszy Alainę w pasie, podsadził ją do środka pojazdu. Sam wsiadł za nią, wcisnął się na koniec ławki i wyprostował prawą nogę, a na lewym kolanie posadził sobie Alainę, trzymając ją mocno za talię. Alaina, wzdychając, walczyła z usztywnionymi halkami, które w tej dziwnej pozycji podniosły się bezwstydnie do góry. Wtedy Cole zasłonił dół jej sukni peleryną i wyciągniętą nogą przesunął dolną obręcz krynoliny na miejsce. Rozbawiony tym, obejrzał się na pozostałą na zewnątrz czwórkę.

- Ja i żona wkrótce jedziemy do domu. Zapraszamy do nas, ale nie zamierzamy tu czekać bez końca, więc nie gapcie się, tylko wsiadajcie.

Nagle wszyscy rzucili się z krzykiem do powozu, który tak się rozkołysał, że Olie omal nie spadł z wysokości kozła. Carolyn i Rebel, korzystając z przywilejów swej płci, wsiadły pierwsze i zajęły wolne miejsce z przodu. Zastępca szeryfa Holvag odsunął Braegara i wsiadł tuż za nimi. Uśmiechając się szeroko, a po raz pierwszy tego wieczoru, wcisnął się pomiędzy obie panie i objął je ramionami.

Braegar stał, podziwiając rewię ich bielizny i zastanawiając się, gdzie ma sam usiąść. Wreszcie i on wsiadł, starając się nie nadepnąć na żadną halkę czy suknię. Zamierzał właśnie zaproponować Rebel miejsce na swym kolanie, tak jak Cole usadowił Alainę, gdy Olie krzyknął na konie. Te szarpnięty powozem i Braegara zarzuciło na

wolne miejsce obok przyjaciela. Zamknął drzwiczki i usiadł nadąsany z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Jeżeli to ma tak wyglądać, doktorze Latimer - mruknął - ja wysiadam i wynajmuję powóz godny mego nazwiska!

Jazda do Darveyów zdawała się trwać w nieskończoność, ale w końcu Olie ściągnął lejce i zatrzymał rozkołysany powóz przed ich werandą, po czym zeskoczył z kozła, żeby otworzyć drzwi pasażerom. W środku ujrzał dziką płataninę falbanek, damskich pęcin i męskich cholewek. Zupełnie nie wiedział, w którym kierunku uprzejmie wyciągnąć pomocną rękę.

- Czyste wariatwo - mruknął i pozostawił ich samym sobie. Wrócił na kozioł i przestał zwracać uwagę na wrzawę towarzyszącą ich wysiadananiu.

Wraz z nagłym wyhamowaniem Braegar zjechał na podłogę i nie mógł się podnieść bez ryzyka, że wystawi na szwank skromność którejś z dam. Wyczołgał się więc z powozu głową do przodu i w końcu stanął na ziemi. Otrząsał się i wyciągnął rękę, by pomóc chichoczącej z radości Rebel. Potem wysiadł Martin i podał dłoń Carolyn.

Gdy powóz opustoszał, Alaina przeniosła się na siedzenie obok męża. Unieruchomiona do tej pory na jego kolanach, przez cały czas jazdy z miasta wyczuwała ramieniem mocne bicie jego serca. Gdy zaś w całkiem niewinnych intencjach, bo chcąc odciążyc jego chorą nogę, próbowała się odrobinę unieść, serce mu zaczęło bić jeszcze mocniej i szybciej. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem, a zrozumiałwszy przyczynę, splonęła wstydem pod śmiałym spojrzeniem jego niebieskich oczu. Dziękując w duchu ciemnościom, nie śmiała się już potem ruszyć, żeby go niepotrzebnie nie pobudzać.

Olie ruszył z podjazdu Darveyów i Alaina otuliła się peleryną przed chłodem wieczornego powietrza, jako że nie ogrzewały jej już ramiona Cole'a. Z wdzięcznością też przyjęła futrzane okrycie, którym ją mąż szczelnie owinął.

- Przysuń się tutaj, kochanie, i oprzyj się o mnie - zachęcał Cole. - Będzie nam razem cieplej i mojej nodze to też dobrze zrobi.

Trochę się wahając, Alaina posłuchała i już po chwili była w niego wtulona. Musiała przyznać, że było jej teraz znacznie lepiej. To miejsce było jakby dla niej stworzone. Bijące od niego przez ubranie miłe ciepło dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Otoczył ją ramieniem i przytulił mocniej, a ona nie miała powodu, by protestować. Ułożyła głowę wygodnie na jego ramieniu i odpędziła od siebie myśli o drapieźnym, wygłodniałym wilku. Lecz pomimo tak przyjemnych odczuć cały czas pozostawał w jej sercu cień goryczy, że on wyznaczył ich małżeństwu takie granice, i nie mogła się swobodnie poddać dobremu i miłym uczuciom.

- Zupełnie inaczej zaplanowałem ten wieczór - wyznał z ustami przy jej włosach. - Myślałem o kolacji we dwoje - pogłaskał jej ramię. - Następnym razem zabiorę cię do St. Paul. Tam będzie mniejsze ryzyko, że nam ktoś przeszkodzi.

- I po co to wszystko, drogi panie? - zapytała cicho.

Cole bawił się jedwabnymi wiązadłami jej peleryny, aż je w końcu rozwiązał, jednocześnie odpowiadając:

- Może po to, żeby cię uwięzić w pokoju hotelowym na tydzień lub więcej i kochać się z tobą tak, jak o tym marzę.

Alaina podniosła głowę z jego ramienia i spojrzała gniewnie na jego pozostającą w cieniu twarz.

- Majorze, czuję się potwornie zmieszana. Już w ogóle nie wiem, o co w tym małżeństwie chodzi.

- Byłoby lepiej, moja kochana - starał się mówić jak najspokojniej - żebyś traktowała nasze małżeństwo tak

jak każda inna panna młoda. Chyba zdajesz sobie sprawę z moich pragnień. Chciałbym, żebyś znów była moja, Alaino. Nie schodzi mi to z myśli.

Ręka Cole'a znalazła tymczasem wycięcie dekoltu i wsunęła się do środka, dotykając jej nabrzmiałej, nagiej piersi. Przeszył ją dziki ogień, targnął każdym nerwem i przyspieszył oddech. Tymczasem jego wargi już łakomie przylgnęły do jej szyi. Oparł się wygodniej i przyciągał ją coraz mocniej do siebie. Jeszcze chwila i przechyli ją, a sam znajdzie się nad nią i sytuacja stanie się zbyt niebezpieczna, żeby ją kontynuować. Resztką tchu zebrała się w sobie i odepchnęła go ręką, poświęcając wraz z tym przytulne ciepło i wygodę. Drżącymi palcami poprawiła rozchyloną górę sukni. Lecz i ona czuła napięcie w dole brzucha i boleśnie uświadamiała sobie siłę własnej namiętności. Kiedy sięgnął po nią po raz drugi, zrobiła unik i zaprotestowała.

- Ale to nie jest takie małżeństwo jak każde inne. Cole'u. To moje małżeństwo i moja klęska.

- Nie byłoby tak, gdybyś pozwoliła mu się naturalnie rozwijać.

- To nie moja wina - zapłakała żałośnie. - To ty wciąż usiłujesz przerzucić swoją winę na mnie i z uporem mnie o wszystko oskarżasz. O to, że cię oszukałam, że pozwoliłam, by cię schwytano w sidła małżeństwa, którego nie chciałeś. A przecież ty sam, doktorze Latimer, miałeś wielką chęć uwieść Robertę - machnęła ręką, by nie przerywał. - Nie możesz zaprzeczyć! Byłam na tarasie, gdy przyjechałeś do Craighughów na kolację. Nie chciałam was wcale szpiegować, ale musiałam przeczekać na schodach, gdy ona cię odprowadzała. Całowałeś Robertę ze znacznie większym zapałem, niżby wypadało.

- A dlaczego nie? - bronił się. - Była młodą kobietą i robiła wrażenie spragnionej namiętności. A ja byłem samotnym żołnierzem, otoczonym przez ludzi, którzy przeważnie obdarzali mnie niewybrednymi epitetami. Czy wziąć kogoś w ramiona i pocałować to przestępstwo? Czy ty nienawidzisz samego faktu, że traktuję cię jak kobietę?

- Och, bardzo lubię być traktowana jak kobieta - zapewniła go żarliwie. - Zwłaszcza przez ciebie.

- Więc daj sobie spokój z tymi bezsensownymi sporami, Alaino. - Wziął ją w ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Jestem mężczyzną, a ty moją żoną. Nie masz prawa mnie odrzucać.

- Zgodziłeś się, żeby to było tylko małżeństwo z rozsądku.

- Ba! - Prychnął gniewnie i odsunął się na oparcie.

- No więc czego ja mam oczekiwać? - pytała łamiącym się głosem. - Najpierw zarzekasz się, że będzie to małżeństwo w czystości, a zaraz po moim przyjeździe napastujesz mnie i żądasz przyjemności, i nawet jesteś skłonny wziąć ją siłą. Potem wchodzisz do mojej sypialni i grozisz tym samym. Teraz prawie uwodzisz mnie w powozie. Nie wiem, do czego to doprowadzi, bo jesteś zdecydowanie niekonsekwentny.

- Wcale nie jestem! - zaprzeczał, choć usiłowała mu przerwać. - Tylko dosyć już mam tego szarpania się ze sobą. - Pochylił się do przodu i mówił z wielkim przejęciem: - Tej wiecznej walki. Patrzę, jak chodzisz, witasz gości i zachowujesz się jak normalna żona. A potem umykasz z moich ramion. Widzę cię pracującą w ogrodzie i pragnę cię namiętnie. Mnie rozsadzają żądze, a ty siedzisz obok chłodna i opanowana. - Słyszając to, Alaina zrobiła wielkie oczy ze zdumienia. Cole zaś mówił dalej, zniżając głos do szeptu, a jego palce wbijały się z całej siły w jej ramiona. - Widzę, jaka jesteś piękna i zimna. Drażnisz się ze mną, kusisz moje zmysły, by potem je nagle ostudzić. Wciąż dla mnie niedostępna! - Wziął ją za ręce i trzymał pomimo jej oporu. - Nie mogę ci obiecać, że nie wezmę cię siłą. Nie wiem, jak długo jeszcze w ten sposób wytrzymam. Chciałbym cię trzymać w ramionach chętną, o pani, ale ostrzegam cię, że myślę o tobie dzień i noc. Marzę o całowaniu twych warg, o przytulaniu twych gorących

piersi. Mam w pamięci różne twoje obrazy, ale jeden z nich rozpała we mnie ogień, który trawi moje wnętrze. Jestem jak wulkan. Dobrze się więc zastanów, zanim zaczniesz mnie kusić odsłoniętym kawałkiem ciała, bo możemy oboje przekroczyć wyznaczone sobie granice.

Alaina nie była pewna, czy to ona wyrwała mu rękę, czy on sam puścił. Złożyła je na kolanach i spuściła wzrok.

- Ta umowa pomiędzy nami to delikatna sprawa - mówiła dziwnie przytłumionym głosem, potrząsając głową ze łzami w oczach. - Czy ja jestem twoją zabawką? Czy mam wiecznie myśleć o tym, żeby nie zrobić czegoś niewłaściwego, bo przyjdiesz do mnie w nocy w agresywnym nastroju? Albo w nazbyt przychylnym? Albo nie przyjdiesz w ogóle? Czego ty oczekujesz od tego małżeństwa, doktorze Latimer? Czyż któregoś dnia nie mamy zamiaru się rozstać, by więcej się nie ujrzeć? Ostrzegam, mnie coś takiego nie wystarczy.

- Ślubowanie, które złożyliśmy, jest dla mnie zupełnie wystarczające. - Głos Cole'a zdradzał już zmęczenie. Usiadł wyprostowany w kącie powozu, z twarzą ukrytą w cieniu.

- Ja składałam ślubowanie panu Jamesowi, nie tobie. A uprzednio zostało zawarte porozumienie.

- Rozmawiałem z nim o tym dość szczegółowo i rozumiem, że złożone ślubowanie jest ważne, dopóki nas śmierć nie rozłączy. Tak, dokładnie tak to ujął. Skoro miał moje pełnomocnictwo, poświadczone przez wiarygodnych świadków i opieczętowane, czy nie sądzisz, że ślubowanie to, złożone przed Bogiem, jest ważniejsze od wszelkich innych porozumień?

- Ale zgodziłeś się, że mogę cię opuścić, kiedy zechcę.

- A chcesz? Czy dlatego mnie odrzucasz? Czy jest inny mężczyzna, którego pragniesz ponad wszystko?

Nie była w stanie słuchać jego żalostnego głosu.

- Nie, Cole'u, nikogo takiego nie ma. I nie chcę stąd wyjeżdżać... bez ciebie.

Nastąpiła długa cisza, zanim zorientowali się, że powóz stoi nieruchomo. W rzeczywistości stał już tak od dłuższego czasu, i to pod domem na wzgórzu. Oliego już nie było, więc Cole w milczeniu pomógł Alainie wysiąść. Stangreta znaleźli w sieni. Oparty o ścianę, rozmawiał z ziewającym Milesem. Cole spojrzął na niego surowo, aż służący się zaczerwienił i w zmieszaniu zaszurał stopami.

- Byliście państwo... ee... zajęci - wyjaśnił. - A tam na górze było zimno.

Cole kiwnął mu głową, że jest wolny, a Alaina przeszła obok mężczyzny i wbiegła na górę po schodach. Czuli się upokorzona.

34

Następnego dnia, gdy Alaina zeszła na dół, Cole'a nie było już w domu. Zapytany o niego, Miles poinformował ją usłużnie, że pan domu pojechał do St. Paul zrobić zakupy na całą zimę dla zatrudnionych przez siebie drwali.

Alaina była zaskoczona, że Cole nic jej nie powiedział o swym wyjeździe.

- Przecież po zakupy wysłano niedawno Murphy'ego. Czyżby czegoś zapomniał?

- Chyba nie, proszę pani. - Miles zauważył jej niepokój i próbował załagodzić widoczne rozczarowanie nieobecnością męża. - Doktor Latimer postanowił wyciąć w tym roku trochę drzew na swoich ziemiach, a ponieważ drwale niedługo tam wyjeżdżają, trzeba zrobić dodatkowe zakupy. Murphy nie dałby sobie rady z całym zamówieniem, więc pojechał sam pan doktor.

Mimo starań Milesa Alaina nie czuła się przekonana.

- Doktor Latimer był w St. Cloud, by wywiesić ogłoszenie o wynajmie robotników, następnego dnia po moim przyjeździe. Myślałam, że zdecydował się na to już jakiś czas przedtem.

- Nie, proszę pani - odparł Miles. - Pan doktor nie miał zamiaru wysłać tam pracowników, zdecydował się dopiero, gdy pojechał po panią.

- Ale skąd to wiesz? - zapytała zdumiona.

Kamerdyner cierpliwie wyjaśniał:

- Pan James często wspominał panu doktorowi o korzyściach finansowych płynących z uprawiania lasu na drewno, ale pan doktor nie okazywał tym żadnego zainteresowania. Dopiero gdy pani przyjechała... - Miles zreflektował się, że trochę za dużo mówi tej damie, której postanowił zbytnio nie ufać.

- Kiedy pan doktor ma wrócić? - spytała cicho. Nagłego zajęcia się Cole'a interesami nie dało się zatem wytłumaczyć inaczej niż jej pojawieniem się w domu.

- Wzięli kilka wozów, proszę pani. Myślę, że zabierze im to parę dni, zanim zdołają wszystko kupić i wrócić. Gdyby pani chciała dokądś pojechać w czasie nieobecności pana doktora, zostawił powóz i Oliego do pani dyspozycji.

- To całkiem zbyteczne - mruknęła. - Nie mam dokąd pojechać.

Następne dni Alaina spędziła w towarzystwie Mindy, choć nie czuła się w pełni zadowolona. Dom i tak wydawał jej się obcy, a brak Cole'a jeszcze wzmagał jego ponurą atmosferę. Coś złego wisiało w powietrzu. Każdej nocy po dwunastej dom jakby ożywał. Z pokoju Roberty dobywały się dziwne, niewytłumaczalne dla Alainy dźwięki. Raz nawet wydawało jej się, że słyszy kobiecy głos nucący cicho za zamkniętymi drzwiami czerwonego pokoju, a jak sobie przypominała, Roberta nigdy nawet przez chwilę nie śpiewała. To było zupełnie coś takiego jak incydent z żółtą suknią i spalonymi czekoladkami. Nie umiała znaleźć racjonalnego wytłumaczenia tego, co się stało. Ktoś w domu musiał jej nie lubić.

Innym razem, kiedy wyszła ze swojej sypialni zbadać, skąd pochodzi hałas przypominający tłuczenie szkła, zobaczyła sączącą się zza tamtych drzwi cienką smużkę światła. Od wyjazdu Cole'a Wiarus spał zawsze przy jej łóżku i tylko dlatego, że miała go teraz przy sobie, odważyła się nacisnąć gałkę przy drzwiach. Jednak tym razem, ku jej zaskoczeniu, były zablokowane od środka.

- Wiarus, zostań! Pilnuj! - Alaina postanowiła w taki czy inny sposób zrobić z tym porządek. Nie wierzyła w duchy, nawet Roberta nie byłaby w mocy wrócić tu, by ją prześladować. Za tymi drzwiami musiała się znajdować żywa, oddychająca istota!

Alaina pobiegła z powrotem do siebie i założyła stary szlafrok. W lustrze zobaczyła swe odbicie. To, co miała na sobie, było nieomal prześwitujące. Na cienkim materiale wyraźnie odznaczały się sterczące sutki. Nie mogła się w takim dezabilu pokazać służbie. Niechętnie sięgnęła po gruby, aksamitny szlafrok podszyty atłasem, który dotąd wisiał w szafie nie używany, i włożyła go na siebie. Od razu poczuła się bardziej komfortowo i, chwilowo odkładając na bok dumę, założyła jeszcze wygodne pantofelki.

Podeszła do drzwi Milesa i pukała dotąd, aż się obudził i wyszedł. Lecz gdy zaprowadziła zaspanego kamerdynera w pospiesznie narzuconym wełnianym szlafroku do pokoju Roberty, za drzwiami było już ciemno.

- Ktokolwiek tam był, nie mógł wyjść, jeśli Wiarus pilnował drzwi - myślała na głos Alaina, mocno przejęta kolejnym incydentem. - Musi przebywać dalej w środku.

Miles ostrożnie przekręcił gałkę i popchnął drzwi. O dziwo, otworzyły się bez przeszkód. Alaina zebrała się w

sobie i weszła za Milesem do środka, gdzie aż zatrzęsa się od przenikliwego zimna.

Miles zapalił lampę i obniósł ją po pokoju, sprawdzając dokładnie każdy kąt i wszystkie możliwe zakamarki. I nic. W pokoju nie było żywej duszy.

Wiarus podszedł całkiem spokojnie do lustrzanej ściany, ale nic go w niej nie zainteresowało. Wrócił i położył się u stóp Alainy.

- Tutaj ktoś był, jestem pewna! - krzyknęła Alaina lekko zdenerwowana. - Słyszałam, jak coś się zbiło, i za drzwiami paliło się światło!

Ale nie było żadnego śladu stłuczonego szkła i choć Miles nie miał w zwyczaju kwestionować słów swej pani, trudno mu było uwierzyć, by ten ktoś tak się po prostu rozpląnął w powietrzu.

- Przepraszam, Milesie, że cię obudziłam. - Alaina nie chciała by służba pomyślała, że traci rozum, ale też nie zniżyłaby się do proszenia kamerdynera o zachowanie dyskrecji. Trudno jednak nie kwestionować jej zdrowia psychicznego przy tak dziwnym zachowaniu. - Widocznie musiało mi się to wszystko przyśnić.

- Nic się nie stało, proszę pani - zapewnił ją uprzejmie. - I proszę się nie martwić. Nie umiem wytłumaczyć, co się tutaj działo, ale jeśli pani mówi, że coś się działo, wierzę pani. Nagle uświadomił sobie, iż mówi to zupełnie szczerze, choć nie rozumiał, dlaczego. Przecież prawie nie znał tej młodej kobiety.

Alaina uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Dziękuję ci, Milesie.

- Pod opieką Wiarusa jest pani całkowicie bezpieczna. Proszę spokojnie spać.

W domu znów zrobiło się cicho. Wiarus zasnął przy jej łóżku i w końcu sama Alaina zdołała się na tyle uspokoić, że zaczęła przysypiać. A kiedy już zapadała w zbawienny sen, pomyślała, jaką ulgą byłoby teraz usłyszeć w korytarzu stukanie laski Cole'a.

Dwie noce później obudziło Alainę skrzypienie podłogi na zewnątrz sypialni. Wiarus podniósł łeb i zjeżył sierść na grzbiecie. Nie był to z pewnością Cole. Gałka przekręciła się powoli, a pies natychmiast skoczył do drzwi, szczerząc białe, połyskujące w świetle księżycy kły. Groźne warczenie rozdarło ciszę i ktoś szybko umknął korytarzem. Kiedy w chwilę potem Alaina otworzyła drzwi, nikogo już tam nie było. Mastiff puścił się w pogoń i znów dobiegł do drzwi pokoju Roberty. I podobnie jak przedtem, nie było tam żadnych oznak życia. Tym razem Alaina nie budziła Milesa. Nie chciała znów narobić sobie wstydu. Wróciła więc do sypialni i zastawiła drzwi fotelem.

W kolejne dni Alaina nie rozstawała się ze swym strażnikiem, wielkim psiskiem. Bardzo się z nim zaprzyjaźniła. W nocy spał przy jej łóżku, a w dzień razem z Mindy spacerowali po okolicznych wzgórzach. Dzięki temu odpoczywała trochę od ciężkiej atmosfery domu.

Pod koniec tygodnia Alainę znów obudziły w nocy jakieś szmery, ale tym razem dochodziły one z sypialni Cole'a. Złapała narzutkę i pobiegła do łazienki, gdzie Wiarus już siedział pod drzwiami swego pana, drapał w nie i piszczał. Przez szparę sączyło się skąpe światło. Alaina przekręciła gałkę i bez żadnych przeszkód otworzyła drzwi. Pies wskoczył do środka z impetem, radośnie merdając ogonem i skacząc wokół Cole'a, który stał przed otwartymi drzwiami szafy i rozpiął koszulę. Czule poklepał zwierzę po łbie, a dopiero potem jego niebieskie oczy zauważyły zdziwiony wzrok Alainy. Powitał żonę ciepłym i serdecznym uśmiechem.

- Cole! - roześmiała się z ulgą. - Nie wiedziałam, że już wróciłeś!

- Dopiero przyjechałem. Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

Odparła radośnie:

- Dzięki Bogu, że to ty! Ktoś, kogo mogę zobaczyć! Już prawie myślałam, że w tym domu straszą duchy.

- Jednak cię przestraszyłem - powiedział zdziwiony.

- Nie, nie ty! - zapewniła. Teraz, gdy był już w domu, jej świat stał się znów bezpieczny. - Ten dom jest taki duży, a każdy najmniejszy hałas niesie się po nim jak echo. Czuję się, jakby tutaj coś mnie nie lubiło, jakbym była nie na swoim miejscu. - Spuściła wzrok i wbiła go ze zmieszaniem w podłogę. Wreszcie, chcąc przeprosić za to, co powiedziała, dodała weselszym tonem: - W każdym razie, Cole'u, cieszę się, że wróciłeś.

Nie mogąc znieść milczenia, które zapadło po tym wyznaniu, nie podnosząc wzroku, wybiegła do swej sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Rano była już na wpół ubrana, gdy z łazienki, w której krzątał się Cole, dosłyszała wściekle przekleństwo. Zaniepokoił ją nie tyle sam okrzyk, co cisza, która potem zapadła. Zawijając troki halki, podeszła do drzwi i lekko zapukała.

- Cole'u? Dobrze się czujesz? - spytała. Nie uzyskawszy odpowiedzi, przybliżyła ucho do drzwi. - Cole'u? - zapytała dobitniej. - Czy wszystko w porządku?

W odpowiedzi usłyszała stłumiony pomruk, który wcale jej nie uspokoił. Brzmiało to zupełnie jak jęk.

- Cole'u? - powtórnie zapukała do drzwi. - Jeśli mi nie odpowiesz normalnie, wchodzę.

Drzwi otworzyły się raptownie i stanął w nich Cole, owinięty wokół pasa dużym ręcznikiem, przyciskając do ust z boku małą ściereczkę. Usunął się i szarmanckim gestem zaprosił ją do środka.

Alaina chwyciła się gniewnie pod boki, starając się zignorować jego zuchwały, rozbierający ją z bielizny wzrok.

- Myślałam, że coś ci się stało!

- Stało się - odparł i odsłonił długie zacięcie w kąciu ust. - Boli, gdy mówię.

Widok krwi wystraszył Alainę.

- Co się stało?! - krzyknęła przerażona. Wzięła czystą ściereczkę, namoczyła w dzbanku z wodą i zaczęła przytykać do skaleczenia, ocierając krew.

- Zaciąłem się przy goleniu - wystękał Cole spod ręcznika.

Alaina uniosła brwi.

- Jak na chirurga kiepsko sobie radzisz z ostrymi narzędziami. Nie ruszaj się! - nakazała, przykładając do zranienia kawałek ałunu. - Widać, że już nie praktykujesz.

Rozgniewała go ta kąśliwa uwaga.

- Czy nie uważasz, że potrzebuję również praktyki jako mąż?

- Biedactwo - powiedziała cicho, z nutą współczucia. Patrząc wielkimi, niewinnymi oczami, zapytała: - Czy milorda tak irytuje jarzmo powściągliwości?

Zerknął na nią.

- Zrobiłaś się wygadana podczas mojej nieobecności.

Uśmiechnęła się słodko.

- Przekonałam się, kochanie, że w tym domu może zaistnieć coś jeszcze gorszego niż rozpustnik.

- Doprawdy? - Teraz on uniósł brwi. - A cóż to takiego, najmilsza?

Alaina zaśmiała się i z królewską gracją rzuciła ręcznik na stojak umywalki. Odparła nonszalancko:

- Jego nieobecność.

Z szelestem hałek obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do sypialni. Gdy po chwili się obejrzała, zobaczyła Cole'a opartego o framugę drzwi i patrzącego na nią z nadzieją i niedowierzaniem.

- Czy wobec tego zamierzasz wreszcie rozsądnie traktować nasze małżeństwo?

To pytanie ją zbulwersowało.

- Ja? Rozsądnie? Cóż za zuchwalstwo!

- Nieważne! - uciał ostro. Zawracał już, ale jeszcze się zatrzymał i popatrzył na nią. - Przed wyjazdem poinformowałem służbę, że pod koniec tego tygodnia urządzimy przyjęcie - oznajmił z kamienną twarzą, oglądając uszkodzony paznokieć. - Najwyższy czas, bym przedstawił cię wszystkim sąsiadom.

Alaina uniosła dumnie brodę. Nie lubiła takiego traktowania. Najpierw ją tyle czasu ignoruje, a potem wystawia na pokaz jak porcelanową laleczkę, trzymaną w szafie, by się nie stłukła, i na komendę dającą gościom przedstawienie.

- Czy mam tu grać rolę pana własności, służącej do pokazywania innym, majorze? Żeby mieli na czym ostrzyć języki?

Ze spiętą i poważną twarzą podszedł do jej toaletki i zaczął sobie obcinać paznokieć znalezionymi tam małymi nożyczkami.

- Czyż to nie od ciebie słyszałem, że jednym z obowiązków żony jest przyjmowanie gości?

W tym momencie pożałowała swych uszczypliwych słów.

- Nie będzie wiele do zrobienia - uspokoił ją Cole. - Na ogół we wszystkim można polegać na służbie. Poproszę jednak Carolyn, żeby ci pomogła, jeśli będziesz potrzebowała.

Stał, szczegółowo studiując przycinany paznokieć, niekompletnie ubrany, a ją rozdrażniło to aroganckie samozadowolenie i zapragnęła je choć na chwilę przerwać.

- A dlaczego nie jej brata?

Niebieskie oczy podniosły się powoli i spojrzały w jej szare oczy w lustrze, a potem znów zajęły się paznokciem.

- Zrobię wszystko, żeby chronić twoją reputację, i dlatego nie poproszę go o pomoc.

- Trochę za późno na ochronę mojej reputacji, nieprawdaż, majorze? - zaśmiała się gorzko, odgarniając włosy z czoła. Cole skrzywił się, słysząc te wymówki. - Mógłby pan wykazać więcej ostrożności tamtego dnia, gdy wyciągnęłam pana z rzeki.

Niecierpliwym gestem odłożył nożyczki na miejsce.

- Wtedy, droga pani, wierzyłem, że jest pani tą, za którą się podaje. Zatem część odpowiedzialności za pomyłkę ponosi pani sama. Była pani bardzo przekonująca.

Ta uwaga zakłuła ją jak cierń.

- Był pan tamtej nocy nader łatwowierny - rzuciła z nienawiścią. - Uwierzył pan także kłamstwom Roberty.

- Ale to pani kłamstwo zadecydowało o wszystkim - stwierdził lakonicznie i zmroził ją tak przenikliwym spojrzeniem, że Alaina poczuła się tak, jakby nie miała nic na sobie. Potem wrócił do łazienki i bez dalszych komentarzy zamknął za sobą drzwi.

W środku Cole oparł się o ścianę. Z trudem opanowywał napięcie, jakie go prześladowało przez cały czas, gdy usiłował trzymać swe ciało pod kontrolą. Wewnątrz wrzało w nim aż do bólu. Całą siłą woli powstrzymywał się od okazania swych pragnień. Postanowił, że w jakiś sposób musi koniecznie pokonać tę swoją słabość.

35

Gilda, pokojówka na piętrze, zatrudniona początkowo jako osobista służąca Roberty, nieśmiało zaproponowała, że pomoże nowej pani w ułożeniu i upięciu fryzury na wieczorne przyjęcie, które miało się odbyć w domu Latimerów. Alaina nigdy jeszcze nie była czesana przez nikogo oprócz mamy i siebie samej. Bardzo jej się spodobał ten luksus. Jej ciemne i lśniące pukle włosów upięto we wspaniałą koafiurę, w której wyglądała nadzwyczajnie nawet w swej czarnej sukni, którą założyła chwilowo, by dopilnować jeszcze kilku ostatnich przygotowań.

Jednym z nich było nadzorowanie kąpieli Mindy. Dziewczynka do tej pory nie mogła zaakceptować faktu, że mycie jest bardzo zdrowe, i unikała toalety jak ognia. Zawsze trzeba było ją zachęcać. Pozwolono jej przez pewien czas być na przyjęciu - niedługo, ale przynajmniej przez tyle czasu, by mogła spotkać niektórych gości i spróbować słynnych słodczy Annie. Mindy z zapartym tchem wierciła się podniecona, podczas gdy Alaina pomagała jej się ubierać. Co chwila oglądała swą białą bluzkę z koronką i nową, aksamitną sukienkę w kolorze kobaltowego błękitu. Potem dystygowanym krokiem, jak prawdziwa dama, zeszła ze schodów i przysiadła w korytarzu na sofie wyniesionej z salonu, żeby zrobić miejsce do tańca. Tutaj oczekiwała pierwszych gości.

Alaina pospieszyła do swoich apartamentów, a gdy się do nich zbliżała, znów poczuła, że jest obserwowana. Tym razem wiedziała, że nie może to być Mindy. Zwolniła, a dochodząc do swoich drzwi, odwróciła się i spojrzała w głąb oświetlonego korytarza. Nie mogłaby się tam skryć nawet najdrobniejsza osóbką. Jeszcze raz zbadala wzrokiem korytarz i wtedy zauważyła, że drzwi do pokoju Roberty są lekko uchylone. Zaciekawiona, zawróciła i pchnęła je mocno. W środku było ciemno i nic nie wskazywało na czyjąś obecność.

- Cole? Cole'u, jesteś tam?

Nie padła żadna odpowiedź. Wzięła lampę z półeczki w korytarzu i ostrożnie weszła do środka. Rozejrzała się po pokoju, pełnym cieni poruszających się w świetle lampy. Kiedy światło padło na łóżko, z gardła Alainy wyrwał się krzyk. Na narzucie ze złotego atłasu leżała krwistoczerwona balowa suknia, jaką mogłaby dziś włożyć Roberta. W takim stroju zawojowałyby serca wszystkich obecnych na przyjęciu młodzieńców.

Alaina poczuła ciarki na plecach. Tylko patrzeć, a z jakiegoś ciemnego kąta wyłoni się jej kuzynka i włoży na siebie suknię, śmiejąc się z figla, jakiego spletała Lainie, nie podejrzewającej nawet, że ona przebywa tu cały czas, pod samym nosem kuzyneczki MacGaren. Ot, taki żarcik. Specjalnie dla Ala.

Alaina zebrała się w garść, odsuwając od siebie paraliżujący ją strach. Ktoś w tym domu wycinał jej głupie sztuczki, ale na szczęście nie były aż tak straszne, jak się obawiała.

Podniosła lampę wyżej i mdłe światło oblało cały pokój. Zwróciła uwagę na biurko Roberty. Pamiętała, że gdy tu weszła kilka dni temu, było zamknięte. Teraz było otwarte i leżał na nim otwarty pamiętnik, a na pamiętniku gęsie pióro, z którego powoli ściekała kropla czarnego atramentu, stawiając kleks jak wielką, niekształtną kropkę na końcu dziennika. Dotknęła plamy - była jeszcze mokra, a przyjrawszy się pismu, poznała w nim ozdobny charakter Roberty.

Roztrzęsionymi rękoma postawiła lampę na biurku i podniosła brulion. Miała przed oczami ostatnią stronę

pamiętnika zmarłej kobiety.

Widzę to w oczach Cole'a. Stoi przy moim łóżku, wiedząc, co zrobiłam, i że wkrótce zejdę z tego świata. Udaje, iż mi pomaga, ale ja wiem, że pragnie być znów z nią, tą małą dziwką, moją kuzynką, i że pojedzie do niej, kiedy to się już stanie... gdy umrę. Och, dlaczego, dlaczego pozwoliłam się tak wykorzystać?

Serce Alainy biło jak oszalałe, gdy przewracała kartki. Po chwili znów jej wzrok przykuło imię męża.

Niemal chciałabym, żeby Cole zobaczył, jak się rozkładam przed tym cuchnącym prostakiem i udaje, iż omdleam z rozkoszy, gdy mnie bierze. Jak ja ich obydwu nienawidzę! Cole'a za to, że pragnie tylko Lainie, a mnie oszukuje, a tego durnia, którego zabiłam...

Alaina przerzuciła kilka stron do przodu i czytała z przerażeniem:

Nikt nie potrzebuje mi mówić, co mam zrobić. Cole byłby zdziwiony, gdyby się dowiedział. Nie zapukał do moich drzwi od czasu, gdy dowiedział się, że to Lainie była z nim tamtej nocy. Ale nie zrobię mu tej przyjemności i nie powiem mu o swoim stanie. Słyszałam o pewnej kobiecie w mieście, która pomoże mi się od tego uwolnić. Nie mogę dłużej zwlekać.

Palce Alainy gorączkowo kartkowały brulion i nie mogła oderwać oczu od tego, co czytała.

Ten głupi brudas myślał, że będzie mnie miał na każde zawołanie, bo złapał mnie na chowaniu skarbu, ale teraz moja tajemnica jest już bezpieczna, dobrze ukryta przed wścibskimi oczami i takimi mętami jak on. Jest tylko moja i wyjadę stąd bogata!

Alaina czytała i czytała, zatracając poczucie czasu. Nagle dotarło do niej, że woła ją Cole. Z korytarza na dole dochodziły głosy, wiele głosów mieszających się ze śmiechem. W okamgnieniu uprzytomniła sobie, że przyjęcie już dawno się zaczęło bez niej, a Cole jej szuka.

Wsadziła brulion pod pachę, podniosła lampę i wybiegła z pokoju. Cole chodził bardzo podenerwowany po jej sypialni. Zobaczywszy ją, odetchnął z ulgą.

- Gdzie byłaś, moja pani?

- Cole'u, tylko spójrz - zaczęła, wyciągając w jego stronę brulion.

- Nie ma czasu, Alaino. - Wziął od niej pamiętnik i rzucił go niedbale na łóżko. - Połowa gości już przyszła i grożą, że rozniosą ten dom, jeśli się natychmiast nie pokażesz.

- Ale to jest ważne - nalegała. - To pamiętnik Roberty!

- Proszę wybaczyć, droga pani, ale nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany czytaniem jej zapisków. Proszę, żebyś zeszła na dół. Goście odgrażają się, że rozbiorą mi dom kamień po kamieniu, jeżeli zaraz cię nie przyprowadzę.

- Doprawdy, Cole'u, przesadzasz - skomentowała.

- Nie znasz, pani, moich gości! Zdażyli już znacznie uszczuplić zapas win przyniesionych z piwnicy i zaczynają szukać następnych. - Pociągnął ją przez pokój w stronę szafy tak szybko, jak mu na to pozwoliła chora noga. Niecierpliwie przejrzał jej osobistą garderobę i jęknął. - Chyba masz coś lepszego niż to. - Odwrócił się do niej i przybierając ton wojskowego rozkazu, rzekł: - Obojętne mi, jaki kolor i wzór, ale dziś ubierzesz się, jak przystało na żonę Latimera.

Z pośpiechu zapomniał, co może spotkać każdego, kto postępuje z tą małą złością zbyt ostro. Już samo złe spojrzenie jej oczu powinno go ostrzec przed dalszą lekkomyślnością.

- Mój panie - warknęła. - Ubiore się tak, jak przystało na kobietę MacGarenów.

- MacGarenów! - wrzasnęła. - Założę się, że spokrewnionych z tymi przekłętymi klanami irlandzkimi!

- Nie, nie, drogi panie! - Wymawiała teraz „r” tak twardo, że ojciec byłby z niej dumny. - Nie z tymi irlandzkimi kundlami z nizin, lecz najlepszymi góralami ze Szkocji.

- Banda nędzarzy, patrząc na ciebie i tę cholerną czarną szmatę! - Ze złością przejechał palcem po rozpiętym kołnierzyku sukni, której widok drażnił nie do zniesienia jego dumę.

- Czarną szmatę! - zawołała obruszona. - To dobra suknia i dobrze mi służyła! I jeśli uznam za stosowne, będzie równie dobrze służyła na powitanie gromady zaściankowych Jankesów!

Cole przyjrzał się jej, wrząc cały w środku. Zaczynał coś podejrzewać.

- I ty byś to zrobiła tylko po to, żeby mnie upokorzyć wobec przyjaciół? - Widział, że jej wzrok nie wróży nic dobrego. - A więc dobrze, moja pani, zaradzimy temu.

Zanim Alaina zdążyła się cofnąć, sięgnął do rozpiętej góry sukni. Nie było pod spodem gorsetu, więc rozdarł ją razem z bielizną aż do pasa. Alaina odskoczyła i zamarła, tak nagle i niespodziewanie wydekoltowana. Jej uniesiony nieco wzrok napotkał kamizelkę męża i szare oczy rozbłyły na moment szelmowsko. Alaina ruszyła ku niemu z ujmująco słodkim uśmiechem, niczym uosobienie kobiecości.

- Cole'u? - zamruczała cicho, uśmiechając się i głaszcząc ręką jego tors.

Cole już wiedział, że gdy Alaina MacGaren robi się słodka i miła, trzeba się mieć na baczności. Powinien się natychmiast osłonić przed ciosem, lecz nie wiedział, z której strony padnie. Ręka Alainy zsunęła się i zaczęła powoli rozpinąć guziki jego kamizelki.

- Właśnie pomyślałam... - Nieśmiało rozpięła ostatni guzik, wyciągnęła mu koszulę ze spodni i pełnym słodczy głosem mówiła: - ...jak byś się poczuł... - Mruczając jak kotka, położyła ręce na przedzie koszuli - gdyby tobie ktoś - i dokończyła raptownie - rozdarł ubranie!

Błyskawicznym ruchem pociągnęła koszulę, rozrzucając spinki po pokoju i obnażając jego tors. Zadowolona z siebie, z uśmiechem pstryknęła palcem w zwisający luźno fular i odsunęła się, a Cole w absolutnym szoku patrzył na swój zrujnowany strój. Mając do wyboru kontynuację tej potyczki lub wycofanie się z niej, pan domu rozsądnie wybrał to drugie. Ruszył przez łazienkę do swej sypialni, ale żona zagroziła mu drogę.

- Idź drugimi drzwiami, proszę - nakazała mu buńczucznie. - Mam zamiar dokończyć toalety. - Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążył zaprotestować.

Mruczając coś pod nosem. Cole wyszedł na korytarz, ale dochodząc do swoich drzwi, natychmiast pożałował, że to zrobił, na górze schodów bowiem akurat Carolyn rozmawiała z Milesem. Na widok Cole'a na jej twarzy wymalowało się krańcowe zdziwienie. Miles również spojrzał w jego stronę i długo nie mógł opanować zaskoczonej miny. Cole skłonił im się uprzejmie, po czym jak gdyby nigdy nic otworzył drzwi i wszedł do swej sypialni.

Kilka chwil później w świeżej koszuli był już wśród gości i gawędził ze znajomymi, z którymi nie widział się od wielu miesięcy. Cekał na żonę. Zauważył, że ilekroć Carolyn napotykała jego wzrok, czym prędzej zasłaniała usta rękawiczką lub odwracała głowę. Bez wątplenia przez cały wieczór stanowił główny obiekt jej zainteresowania, jednak wydawała się nieco zmieszana jego widokiem.

Trzy razy zerkał na kieszonkowy zegarek, nim w pewnej chwili w salonie zrobiło się cicho i goście się rozsunęli, tworząc szpaler aż do drzwi. Stała w nich Alaina w sukni z szeroką krynoliną, a wszyscy zebrani

osłupieli z wrażenia. W okolicy krążyło już wiele plotek na temat nowej żony Latimera, ale przedstawiano ją na ogół jako drobną, niepozorną kobietę. Zupełnie nie byli przygotowani na to, co ujrzeli.

Olśniony urodą swej żony Cole natychmiast zapomniał o swej irytacji z powodu jej ogromnego spóźnienia. Z zadowoleniem stwierdził, że ma na sobie jedną z kupionych przez niego sukni. Była to piękna kreacja z różowej tafty, uroczo odsłaniająca ramiona. Alaina zobaczyła go i jej twarz rozjaśnił uśmiech tak promienny, że zaalał swym blaskiem cały salon. Cole podszedł do niej i elegancko podał ramię, patrząc jej w oczy płonącym wzrokiem. Potem zwrócił się do gości i z wielką dumą w głosie przedstawił im żonę.

- Panie i panowie - rzekł głośno i dobitnie - oto moja żona, Alaina.

Cisza natychmiast rozbrzmiała szmerem wielu głosów. Goście podchodzili po kolei i składali młodej parze najlepsze życzenia. Okazywali Alainie serdeczność i przyjaźń. Cole przedstawiał jej wszystkich, choć i tak nie była w stanie zapamiętać tylu nazwisk. Podczas krótkich pogawędek i przekomarzań cały czas otaczał ją ramieniem, zaznaczając w ten sposób, do kogo należy.

W morzu otaczających ją twarzy Alaina poznała Braegara i omal nie wybuchnęła śmiechem, widząc uwodzicielskie spojrzenie, jakie jej rzucił. Uwieszona u jego ramienia Rebel najwyraźniej nie była tym zachwycona, bo ze złością szarpnęła go za rękaw, a na Alainę spojrzała gniewnie.

Gdy tłum wokół Alainy nieco zmalął, do jej ręki wsunęła się nieśmiało dłoń Mindy. Ciemne oczy dziewczynki wyrażały dumę i radość z tego, że jej opiekunka jest najpiękniejszą damą w całym towarzystwie, a serdeczny uścisk tej damy jeszcze bardziej rozjarzył jej oczy.

- Pani, ten taniec musi należeć do mnie - oświadczył Cole, dając znak muzykom, by zaczęli. Na jej zdziwioną minę odpowiedział z uśmiechem: - Myślę, że poradzę sobie, tańcząc wolniejszymi krokami, nie obawiaj się.

Zarumieniła się lekko, wyczuwając delikatną nagane.

- Nie spodziewałam się, że w ogóle będziesz tańczył.

Wziął ją w objęcia i ruszyli razem do walca.

- Może nie jestem najzgrabniejszym z twych wielbicieli, ale na pewno najwytrwalszym. I nie oddam cię bez walki tej hordzie rozpalonych młodzików, czekających na choć jeden taniec z tobą.

- Tańczysz znacznie lepiej od innych - pochwaliła go szczerze. Rzeczywiście, stawiał kroki w walcu z taką pewnością, jakby miał zupełnie zdrowe nogi. Spojrzała ciepło w głęboką toń niebieskich oczu i zapytała: - Czy spełniam wymogi żony Latimera, milordzie?

- O pani, nie mam żadnych zastrzeżeń. - Cole zakręcił nią w tańcu i mówił dalej z uśmiechem: - Rzuciłaś wszystkich na kolana. Wyznaczyłaś taki standard, że mam poważne wątpliwości, czy zdołają osiągnąć taki sam przez kolejne tysiąc lat.

- A czy spełniam pańskie wymogi?

Temperatura jego spojrzenia potwierdzała prawdę słów, które padły w odpowiedzi:

- Gdybyśmy byli sami, moja kochana, natychmiast bym ci udowodnił, jaki zapal we mnie wznieciłaś.

- Ale co z naszym porozumieniem? - przypomniała mu delikatnie.

- Do licha z porozumieniem! - Zniżył głos, widząc skierowane na siebie liczne oczy. Przyciągnął ją bliżej do siebie. - Mam pomysł na znacznie lepsze porozumienie, bardziej zgodne z ideą małżeństwa.

Coś w jego słowach ujęło Alainę za serce. Poczwała jakąś iskierkę nadziei, że wszystko się między nimi dobrze

ułoży i będą mogli cieszyć się sobą bez ograniczeń. Jednak wciąż się wahając, powiedziała:

- Jeszcze o tym pomówimy.
- Oczywiście, masz rację. I w bardziej odosobnionym miejscu.
- W mojej sypialni?
- Twojej albo mojej.
- Później?
- Choćbym nie wiem jak chciał, inaczej się nie da.

Lewa ręka Alainy spoczywała na jego ramieniu i niewielu tańczących obok zauważyło, jak powędrowała w górę do brzegu białego wykrochmalonego kołnierzyka i pogłaskała go delikatnie po karku.

- Czy nie jesteś ani trochę zainteresowany brulionem, który dziś znalazłam?
- Pamiętnikiem Roberty? - zapytał ze zdziwieniem. - A powinienem być?
- To bardzo osobiste wynurzenia.
- Zatem jak sądzę, lepiej, żebym ich nie znał - rzekł nieco szyderczo.

Alaina spojrzała mu w oczy.

- Roberta kiedyś oświadczyła, że nigdy nie chce mieć dzieci. Z tego, co wyczytałam z jej zapisków, wynika, że próbowała coś zaradzić stanowi, w jakim się znajdowała... i że ty wiedziałeś, co zrobiła.

- Zorientowałem się, co zrobiła, gdy poszła do tej rzeźniczki - przyznał. - Robiłem, co mogłem, by ją uratować, ale gorączka ją zabiła.

- Wuj Angus wini ciebie za jej śmierć.
- Domyślam się.
- Mnie wini za to, że przyprowadziłam cię do jego domu.

Cole nagle rozszerzył usta w uśmiechu.

- Myślę, że powinienem był od razu zabrać cię do siebie. Wystarczyłoby, żebym cię trochę domyśl, a twój sekret na pewno by się wydał.

- Chybabym ci wtedy przestrelili nogę albo zrobiła coś jeszcze gorszego - zachichotała. - Miałam wtedy prawdziwą awersję do Jankesów.

- A teraz?
- Kilku już mogę znieść. - Uśmiechnęła się i oczy jej zaśniły, a on ciepło uściśnął jej dłoń.

Mindy poczuła się jak w niebie, gdy pan domu poprosił ją do tańca. Cole pokazał jej kroki, celowo je drobiać. Mindy chwyciła rytm i bardzo uszczęśliwiona z naturalnym wdziękiem zaczęła tańczyć pod jego kierunkiem. Cole zaś przynajmniej na chwilę oderwał uwagę od Alainy, która tańczyła teraz z kim innym.

- Pani Mindy, czy wie pani, że jest najpiękniejszą damą na tym balu? - zapytał szarmancko, uśmiechając się do rozpromienionej dziewczynki.

Odpowiedział mu przeczący ruch ciemnowłosej główki i skinienie w kierunku Alainy. Cole musiał jej przyznać rację. Alaina błyszczała jak wspaniały motyl uwolniony z szarego kokona, barwny i urzekający, fascynująco piękny.

Nieco później, gdy Mindy zapakowano już do łóżka, a Alaina właśnie tańczyła walca z Braegarem, zobaczyła Cole'a przedzierającego się w ich stronę pośród tańczących. Podchodził coraz bliżej, wpatrzony w żonę, niemal pozerając ją wzrokiem. Gdy tancerz zasłonił Alainie męża, wyciągnęła szyję i zerknęła znad jego ramienia.

Braegar, chcąc sprawdzić, na kogo patrzy, też się obejrzał. Zobaczywszy tuż obok Cole'a, jęknął głośno.

- Mogłem się tego spodziewać! Mój pierwszy taniec z nią i już mi ją zabierasz. Jesteś okrutny, panie Latimer. Nie umiesz się dzielić?

- Absolutnie nie - odparł beztrąsko Cole, biorąc Alainę za rękę i przyciągając w ramiona.

Z wyjątkiem tańców szybkich i wirujących, którym nie był w stanie podołać, Cole konsekwentnie, nie zważając na rosnący ból w udzie, tańczył z Alaina, gdy tylko muzyka na to pozwoliła. Braegara w ogóle do niej nie dopuszczał.

Kiedy wreszcie Alaina, zmęczona płasami i nieustannym powodzeniem u tancerzy, postanowiła odpocząć. Cole akurat gdzieś zniknął. Poszukując męża, weszła do gabinetu i się rozejrzała. Był pusty i oświetlał go jedynie ogień z kominka. Westchnąwszy ciężko, zapadła się w ogromny fotel, a stopy w lekkich pantofelkach oparła na stojącym obok stołku. Rola gospodyni okazała się niełatwa. Do jej obowiązków należało wytrwale i z wdziękiem znosić nieustanne deptanie po palcach i oddechy przesycone odorem whisky. Chyba miała pod tym względem inne upodobania niż Roberta. Odgrywanie pierwszej damy na balu wydało jej się doprawdy bardziej męczące niż intymne obcowanie z mężem, zwłaszcza jeśli był nim Cole.

Zawiasy skrzypnęły lekko, drzwi otworzyły się i Alaina czekała z nadzieją, że usłyszy znajome, nierówne kroki. Lecz ciężkie stąpanie tego, kto wszedł, ku jej rozczarowaniu nie należało do Cole'a.

Przed kominkiem stanął Braegar Darvey, nieświadomy jej obecności. Zupełnie inny niż zwykle, spokojny i zadumany, stał, patrząc na migotliwe płomienie i pociągając brandy.

- Bardzo pan zamyślony - odezwała się cicho.

Braegar obejrzał się zaskoczony i gdy dostrzegł na olbrzymim fotelu Alainę, roześmiał się.

- Musiałem być, skoro nie zauważyłem tak pięknej istoty jak pani.

- Czy coś pana martwi?

- Tak, moja droga - przyznał. - Jednak wobec żony Cole'a i kuzynki Roberty raczej nie powinienem zdradzać swych problemów. Nie mam prawa mówić źle o zmarłych.

- Kuzynka czy nie kuzynka, obawiam się, że Roberta nie była moją najlepszą przyjaciółką.

- Wiem, że panią nienawdziła - przytaknął. - Kiedy tylko wymieniono imię Al, wpadała w szal. Zwłaszcza jeśli zrobił to Cole.

Alaina popatrzyła w ogień.

- Myślę, że miała powód.

- Tak? - spytał z lekkim niedowierzaniem. - Znając was obie, rzekłbym, że powodu sama sobie dostarczyła. - Popatrzył na nią z zatroskaniem i ich oczy się spotkały. - Czy pani wie, jaką była podłą kobietą?

- Jeśli ma pan zamiar zaskoczyć mnie czymś o niej, raczej się panu nie uda.

Braegar upił tęgi łyk brandy i wymachując kieliszkiem, spacerował tam i z powrotem przed kominkiem.

- Zaraz pierwszego dnia powiedziała Carolyn, że ma się nie zbliżać do Cole'a ani w miejscach publicznych, ani w domu, ani nigdzie.

Alaina uśmiechnęła się z politowaniem.

- To typowe dla Roberty, Braegarze Darveyu.

Znów podszedł bliżej.

- Posunęła się nawet do tego, by powiedzieć mojej matce, że Cole nie potrzebuje żadnej pomocy, bo ona...

znaczy Roberta, zajmie się wszystkim sama. Nie mogła ścierpieć mojej przyjaźni z Cole'em. Miała czelność ciągnąć mnie ze sobą do łóżka. I nie dlatego, że mnie pragnęła, bynajmniej. Ona chciała dokuczyć Cole'owi, żeby potem rzucić mu w twarz oszczerstwo, że jego najlepszy przyjaciel oszukuje go za plecami. Tak właśnie było, przysięgam. Kokietowała mnie, ocierała się o mnie i kilka razy mówiła Cole'owi, wiem o tym, że ja próbowałem... no...

Zabawne było usłyszeć, jak ten wielki Irlandczyk się jąka. Gdyby sprawa nie była tak poważna, Alaina wybuchnęłaby śmiechem.

- Znaczy, że ja próbowałem ją... wziąć siłą! Raz przyszła do mego gabinetu w St. Cloud i, gdy została ze mną sama, zaczęła się rozbierać i... nalegać, żebym ją dokładnie zbadał. Zdenerwowałem się wtedy okropnie i wypchnąłem ją z gabinetu, dając wykład na temat właściwego zachowania dobrej żony. Przez jakiś czas nie widywali się ze mną. Tuż przed jej śmiercią spotkałem Cole'a w mieście, ale nie chciał w ogóle ze mną rozmawiać. A potem już zachowywał się wobec mnie tak jak do tej pory. Nie wiem, o co tu chodzi! - Oparł się łokciem o gzyms i pocierając skronie zwiniętą dłonią, westchnął ciężko. - Ona musiała mu coś naopowiadać. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby to sprostować.

- Braegarze - oświadczyła Alaina - są trzy rzeczy, które Irlandczyk robi dobrze: picie, gadanie i martwienie się. Jak do tej pory, nie zawiódł mnie pan pod żadnym względem.

Patrzył na nią przez chwilę z otwartymi ustami, jakby przerwał w pół słowa. Potem roześmiał się i rzekł ze swym mocnym akcentem:

- Ach, moja droga Alaino, masz takie miłe, ujmujące za serce podejście. Ale mnie to wszystko strasznie boli.

Alaina wstała i stanęła naprzeciwko niego, uśmiechając się smutno.

- Roberta była dziwna. Od wszystkich domagała się miłości, którą rozumiała jako ślepe, bezwarunkowe posłuszeństwo. Najlepiej chyba czułaby się w jakimś odległym królestwie, gdzie nie byłoby innych kobiet, tylko dużo przyjęć, na których otaczaliby ją sami młodzi, dzielni rycerze w zbrojach, gotowi za nią walczyć i adorować ją, ale nigdy jej nie dostać. Lubiła zewnętrzną, towarzyską stronę małżeństwa, rolę eleganckiej żony, ale sprawy intymne były dla niej nudne i ciężkie. Uciekała się do nich tylko wówczas, gdy pomagały jej coś osiągnąć. Może męczyła się sama z tym, że chce być żoną, a nie znajduje w tym żadnej radości.

Braegar odstawił kieliszek i lekko zaklaskał w dłonie.

- Ach, miła pani, rozwiałaś najgorszą pogłoskę stulecia i bardzo mnie to ucieszyło. - Czekał z figlarnym błyskiem w oczach, aż rybka schwyci przynętę.

- A cóż to było, drogi panie?

- Och, proszę pani... - Teraz miał już w swych brązowych oczach diabliki. - Mówili, że szkocka dziewczyna może być tylko oschła i pracowita. - Widząc, jak wzdycha z oburzeniem, szybko ciągnął dalej: - Naturalnie, mogła to wymyślić tylko jakaś zazdrosna Angielka, bo jak wszyscy widzimy, pani ma i głowę na karku, i serce pełne współczucia i zrozumienia. A wszystko to wlane do tak ślicznego naczynia... - ujął jej dłoń i pochylił się nad nią, a potem wyprostował się z szerokim uśmiechem na twarzy. - Gdyby pani nie była już zajęta, sam bym chętnie wychylił nektar z jego wnętrza.

Alaina spokojnie przyjęła ten dwuznaczny komplement i odwzięczyła mu się najlepiej, jak umiała.

- Braggerze* Darveyu, to zrządzenie losu, że ojciec dał ci takie imię, żeby przed tobą ostrzegało rodzaj ludzki,

* Gra słów: Bragger można tu przetłumaczyć jako „pochlebca”.

a zwłaszcza, o dzięki wam, święci, kobiecy.

- Ty, dziewczyno, możesz się mierzyć z najlepszymi. Szanowny pan Latimer to błogosławiony człowiek, skoro znalazł taką partnerkę na całe życie.

- Cieszę się, że tak podziwiasz mój gust względem kobiet!

Na dźwięk głosu Cole'a odwrócili się raptownie w stronę drzwi, co jemu wydało się dość podejrzane. Duża ilość wypitej brandy nie zdołała wprawdzie zmniejszyć bólu w nodze, lecz niestety stępiła jego zdolność oceny sytuacji. Tu, gdzie w grę wchodziła Alaina, był bezwzględny.

Cole wszedł i zatrzasnął drzwi, oparł się obiema rękami o laskę, spojrzął na nich nad wyraz groźnie i oznajmił:

- Mogę częstować brandy, mogę pożyczać konie, ale nie mam zamiaru dzielić się z nikim swoją żoną.

- Cole'u Latimerze! - Drobną, słodką osobką stanęła przed nim z rękoma wspartymi pod boki i płonącymi z oburzenia policzkami. - Jak możesz być na tyle prymitywny, żeby nas o cokolwiek podejrzewać?

Braegar stanął obok niej, a Cole popatrzył na niego z oczywistą odrazą.

- Podczas trwania naszej przyjaźni zbyt wiele już od ciebie doświadczyłem. Zaczynam tracić cierpliwość. Jeśli masz do mnie o coś pretensję, powiedz mi teraz albo...

- Przyjaźń! - obruszył się Cole. - Przyjaźń! - warknął. - Przyprawiono mi rogi we własnym domu, a ty twierdzisz, że zbyt wiele zniosłeś w imię przyjaźni?

- Rogi?! - Braegar wlepił w niego zdumione spojrzenie, podobnie jak i Alaina. - Człowieku, tobie chyba ból pomieszał rozum. Rogi?! Czy ty uważasz, że ja mógłbym coś takiego?... Jesteś pijany albo szalony, a w obu przypadkach po prostu głupi. Dziesięć lat temu wyzwałbym cię za to na pojedynek!

Braegar odwrócił się z niesmakiem, lecz Cole złapał go za rękaw.

- Dziesięć lat temu? A co cię powstrzymuje dziś, ty odważny irlandzki chłopczyku? - zadrwił. - Nie masz serca walczyć z kaleką?

- Cole! - krzyknęła Alaina ze zgrozą.

Braegar zrobił się purpurowy i oczy mu pociemniały. Cole zaś ciągnął rozpoczętą farsę:

- Tacy jak ty, co beztrząsco paplają głupstwa, a gdy przyjdzie co do czego, podwijają ogon i uciekają, powinni zdychać na pomór.

Braegar poruszył głową z taką siłą, że włosy opadły mu na czoło.

- Kto papla, mój panie? - spytał szyderczo. - My, prosty lud irlandzki?! Czy wasz wymoczkowaty germański pomiot, który służy zawsze najsilniejszemu i sprzedaje się obcym królom, a potem zwie to honorem?!

- Służyłem Unii, kiedy mnie wezwała - warknął Cole. - Nie zapłaciłem nikomu, żeby się za mnie wykrwawiał.

- Jasne... - Braegar zmierzył go wzrokiem. - I masz teraz powód, by zniesławiać ludzi, bo obnosisz się ze swym kalectwem i tą laską jak z jakimś diamentem.

Alaina przypatrywała się im z lękiem w oczach. Stali twarzą w twarz, wykrzywieni z wściekłości, z nabrzmiałymi furią oczami.

- Oddałbym tę ranę z odłamkiem za jedną przespaną noc i dzień wolny od bólu - wycedził Cole. - A co do laski... - podrzucił ją i złapał mocno pięścią - chyba zrobiono ją po to, by rozłupała pewien sepleniący irlandzki łeb.

- Sepleniący łeb! Hej, człowieku, chyba się zagalopowałeś! - Braegar wyrwał Cole'owi laskę z ręki i rzucił ją przez cały pokój. W następnej chwili uniósł go za gors koszuli i przycisnął do półek z książkami.

- Braegarze Darveyu! - Alaina krzyknęła przeraźliwie i skoczyła pomiędzy nich. Bijąc rękami w potężny tors Irlandczyka, wołała: - Puść go! Puść go!

Darvey opanował się i cofnął, puszczać gospodarza. Alaina odczekała, aż mężczyźni odsuną się na bezpieczną odległość, odwróciła się twarzą do Cole'a i serce jej zamarło. Zaczerwieniony patrzył na nią, ziejąc nienawiścią.

- Nie potrzebuję ochrony damskiej spódnicy - zasyczał i przeniósł wściekły wzrok na Braegara. - Nie ma tutaj miejsca dla nas obu...

- Cole!

Gdy zobaczył w oczach żony bezgraniczne potępienie, przypomniał sobie jej wybuch, kiedy poprzednio wyprosił Braegara z domu, i nie był w stanie zrobić tego ponownie. Skłonił się tylko szyderczo.

- Wobec tego ja wyjdę i poczekam, aż się tu oczyści atmosfera.

Przeszedł obok Alainy, podniósł laskę, wziął z szafki pełną butelkę i opuścił gabinet.

Darveyowie wyjechali z balu wcześniej, ale reszta gości dotrwała prawie do samego rana. Alaina zegnała ich w holu sama. Gdy poszła na górę, w pokoju Cole'a było zupełnie cicho. Pamiętnika Roberty nie było tam, gdzie go zostawiła, ale ponieważ pokój został tymczasem sprzątnięty, pomyślała, że służąca go gdzieś odłożyła.

Sama też wstała na śniadanie. Drzwi do pustego gabinetu były nadal uchylone i tak pozostało przez cały dzień. Cole nie dawał znaku życia.

Nadszedł wieczór i Alaina zaczęła się martwić, lecz nie bardzo wiedziała, co ma robić. Poszła spać wcześniej, zostawiając przyćmione światło w korytarzu i w sypialni Cole'a. Po kilku godzinach z niespokojnego snu wyrwało ją powarkiwanie Wiarusa. Zapaliła lampę i spojrzała na zegar nad kominkiem. Była prawie północ. Po chwili Wiarus uspokoił się i z powrotem zapadł w drzemkę. Alaina przykręciła lampę, ale zostawiła ją zapaloną. Tak czuła się raźniej. Ledwie zdążyła wejść do łóżka, gdy pies znowu uniósł łeb i nastawił czujnie uszy. Podreptał do drzwi, usiadł na moment, po czym wrócił i znów położył się na swym dywaniku. Tego było już za wiele!

Alaina wstała, ubrała się w ciepły szlafrok, wzięła pistolet i włożyła go do kieszeni. Założyła kaptcie, zawołała Wiarusa i trzymając lampę wysoko, wyszła na korytarz.

Był pusty i ciemny. Obeszła pokoje na górze; wszędzie panował spokój. Sypialnię Cole'a zastała taką, jak ją zostawiła, a pokój Roberty dokładnie zamknięty. Mindy spała smacznie w swoim pokoju.

Wiarus truchtał za Alaina, nie okazując żadnego zainteresowania. Spokój psa przekonał ją w końcu, że nic tu się nie dzieje, więc zesza na dół. Zwierzak zaległ w korytarzu, podczas gdy ona sprawdzała salon i gabinet. Nie ruszył się też, kiedy poszła przez jadalnię do kuchni, gdzie Annie jak zwykle zostawiła palącą się niewielkim płomieniem lampę. Jeszcze ciepły piec kuchenny stwarzał przytulną, domową atmosferę. Ze wszystkich pomieszczeń w całym domu to było najsympatyczniejsze. Jakby zachowywało w sobie nieco wesołej natury Annie.

Alaina postawiła lampę na stole w jadalni i ustawiła prosto przesunięte krzesło Cole'a. Nagle, bez przyczyny, poczuła, że włos jej się jeży na karku. Spojrzała w tył na wejście do kuchni, ale nic tam nie zauważyła. Okna były puste i zbyt wysoko położone, żeby ktoś mógł zajrzeć z zewnątrz. Odwróciła się, by wyjść, i krzyknęła z przerażenia. Jedną ręką złapała się za gardło, a drugą namacała w kieszeni pistolet. W drzwiach wychodzących na korytarz stała wysoka, ubrana na ciemno postać, od góry ukryta w mroku.

- Cole! - Poznała go i z ulgą, choć na miękkich nogach, oparła się o stół. Puściła pistolet i przycisnęła rękę do walącego mocno serca.

Cole postąpił naprzód i oparł się o framugę drzwi. W palcach trzymał niedbale kieliszek z resztką brandy na dnie.

- Pani, szukałaś kogoś?

Starła się odezwać pewnym głosem, lecz była w stanie tylko wyszeptać:

- Wiarus coś usłyszał i był niespokojny. Nie wiedziałam, że jesteś na dole.

Ręką uzbrojoną w kieliszek wskazał na pomieszczenie.

- Widzę, że nie masz już gości.

- Ja żadnych nie miałam - uniosła brodę. - Wszyscy byli twoimi gośćmi - usiłowała wyłowić z cienia jego twarz. - Domyślam się, że atmosfera już się oczyściła, skoro wróciłeś.

Cole spojrzął za siebie i parsknął ze złością.

- Droga pani, obawiam się, że twoja obecność najbardziej oczyściła atmosferę tego ponurego miejsca. - Wyszedł z cienia i przez chwilę szukał wzrokiem jej oczu. Zobaczyła jego smutną i surową twarz, gdy pociągał resztki trunku i obracając w ręce kieliszek, mówił: - Droga pani, chciałbym wyjaśnić, że ciskałem gromy na tego dumna Irlandczyka, a nie na ciebie. W żadnym razie nie zamierzałem sugerować, że ty nie jesteś damą w każdym calu.

- Obawiam się, że popełniłeś omyłkę - mruknęła, owijając się ciasniej szlafrokiem. - Mówią, że mocny trunek i gniew robią z człowieka głupca.

- Z niego na pewno taka kombinacja zrobiłaby absolutnego kretyna - dokończył za nią. Sącząc ostatnie krople, napotkał jej pełen nagany wzrok i pochylił głowę skruszony. - Czuję się winny.

Wskazała ręką na kuchnię.

- Może byś coś zjadł? Annie upiekła świeży chleb, jest szynka...

Cole pokręcił głową.

- Jadłem z Oliem.

Zmierzyła go badawczym wzrokiem.

- A gdzie spędziłeś noc?

Z niechęcią uciekał wzrokiem w bok, ale gdy milczenie się przedłużało, westchnął i odparł:

- Z końmi... w stajni.

Alaina z trudem powstrzymała śmiech.

- I miałeś tam, milordzie, czystsza atmosferę?

Cole uniósł brwi.

- Rzekłbym, że konwersacja była tam sympatyczniejsza niż ta, którą odbyłem tutaj. Choć nie mógłbym przysiąc, że wśród koni nie ma jakiegoś Irlandczyka, a wśród kłaczy Szkółki.

Niezbyt zachwycona tym porównaniem Alaina otuliła się mocniej szlafrokiem i zwróciła się do niego:

- Przepraszam, milordzie. Czy mogłabym już pójść do swego pokoju? Robi się zimno.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła, rzucając mu na odchodnym złe spojrzenie.

36

Krętą alejką powóz podjechał na tyły sklepu z damskimi kapeluszami, a potem zboczył z piaszczystej drogi i zatrzymał się za zasłoną kępy sosen i świerków. Olie otworzył drzwiczki, zanim jeszcze Cole zdążył się ruszyć z

miejsca, choć stangret odczekał chwilę, żeby mu dać czas na wyjście.

Ścieżka ozdobiona treliazem prowadziła do prywatnego mieszkania właścicielki. Cole zastanawiał się dobrą chwilę, zanim wysiadł z powozu. Olie zamknął za nim drzwiczki i zapytał ściszym głosem:

- Podjechać o tej porze co zwykle?

- Co? - Cole spojrzał na niego jak zbudzony z transu.

- Czy mam po pana przyjechać jak zwykle? - pytał cierpliwie Olie. - Czy zostanie pan na noc?

- Nie! - krzyknął Cole tak gwałtownie, że Olie był już nie tylko zaskoczony, ale i dezorientowany. Nie spodziewał się przecież, że pan doktor będzie odwiedzał swą przyjaciółkę tak szybko po ślubie. - Jak zwykle, jak zwykle. - Cole westchnął ciężko.

Olie kiwnął głową i wdrapał się na kozioł. Po chwili powóz odjechał wąską alejką. Cole podszedł do kuchennych drzwi powoli, powłócząc nogami, choć dziś nawet nic go nie bolało. Bardzo ciężko znosił cielesną separację z Alaina, a tego rana, gdy patrzył na nią siedzącą w całkowitej nieświadomości po drugiej stronie stołu, poczuł, że już dłużej nie wytrzyma. Musi się natychmiast pozbyć tego, co się w nim nagromadziło. Prócz użycia siły pozostawało mu tylko jedno - Xanthia Morgan.

Uniósł do góry rączkę laski, by zapukać do drzwi, lecz opanowała go nagle myśl o Alainie i poczuł się jak sparaliżowany. Zamknął oczy i ujrzał ją jeszcze wyraźniej, ale po chwili wizja zniknęła i nie potrafił jej zatrzymać. Poczul niepewność, czy to, co robi, rozwiąże jego problem, i opuścił laskę. Nie pukał jeszcze. Próbował zebrać myśli. Tymczasem drzwi otworzyły się i stanęła w nich długonoga, wyjątkowo zgrabna, rudowłosa Xanthia Morgan, rozwiewając tym samym wszelkie wątpliwości.

- Cole! - wykrzyknęła z ulgą. - Zauważyłam twój cień i przestraszyłam się, że to jakiś opryszek o złych zamiarach. - Uniosła rękę, w której znajdował się mały dwulufowy pistolet, i nieco zmieszana ukryła go z powrotem w fałdach spódnicy. - Wejdz! Wielkie nieba, ależ długo cię nie widziałam! Już myślałam, że nigdy więcej nie przyjedziesz. - Uśmiechając się ciepło, wzięła go za rękę i pociągnęła do środka. W domu natychmiast zabrała od niego kapelusz i rękawiczki, położyła je na stole w holu i zaprowadziła gościa do salonu. Tam naleła mu coś mocniejszego do picia i podając, zachęcała:

- Siadaj, kochanie, pomogę ci zdjąć buty.

- Nie... to znaczy... - zobaczył w jej oczach ciekawość i zatroskanie. Nieprzekonującym tonem dokończył: - Za chwilę, Thia.

- Twoja noga jest znowu sztywna - zauważyła rzeczowo. - Nic dziwnego, skoro tyle chodzisz. Powinieneś ją bardziej oszczędzać albo zrobić z tym wreszcie porządek. - Widząc obojętne wzruszenie ramion, zmieniła temat. - Zjesz ze mną kolację i zostaniesz na noc?

- Nie, będę musiał niedługo wracać. - Wyczytał w jej oczach zawód i spuścił wzrok na bursztynowy płyn w kieliszku. - Olie na mnie czeka.

- Olie zawsze czeka, kochanie - przypomniała mu łagodnie. - Czasem mi się zdaje, że lubi to swoje stanowisko w gospodarstwie.

- Niewątpliwie... - Nie mając nic do dodania, pociągnął mały łyk brandy.

Próbując poprawić mu nastrój, Xanthia pogładziła czule wyłogi jego koszuli i spytała:

- Załatwiłeś już swoje sprawy osobiste?

Cole spojrzał na nią pobieżnie, marszcząc czoło.

- Przeprowadzono je przez pełnomocnika, zanim tu przyjechała.

- Tak też słyszałam - przyznała Xanthia, odwracając się, by ukryć rozczarowanie.

- Plotkarze nigdy ci nie wybaczyli małżeństwa z Roberta, a o twojej nowej żonie miasto aż huczy od plotek. Chyba trzymasz ją dobrze ukrytą, bo ci nieliczni, którzy ją widzieli, chętnie się przed tymi, co nie widzieli. A tych po prostu zżera ciekawość.

Czekała, lecz on nie kwapił się, by zaspokoić jej ciekawość. Spróbowała więc jeszcze raz, wiedząc, że i to pewnie na nic się nie zda. Jednak nie mogła sobie odmówić.

- Panna Beatrice pokazała mi suknie, które u niej zamówiłeś dla swojej żony. - Spojrzał na nią surowo, lecz pospieszyła z wyjaśnieniem. - Ach, kochanie, nie martw się. Panna Beatrice nic nie wie o nas. Akurat miałam u niej przymiarke i sama zaczęła opowiadać o zamówionych przez ciebie strojach. - Xanthia przerwała, by uspokoić drżący głos. - Takie bogate prezenty musiały z pewnością rozgrzać jej serce.

- Alaina... jest inna - mruknął.

- W jakim sensie?

Jego milczenie było najdobitniejszą odpowiedzią. Xanthia wyczuła, że lepiej zrobi, nie wypytując więcej o jego nową żonę, Alainę. Wspięła się na palce, by go pocałować w usta i zaskoczona jego chłodem, spytała:

- Cole'u? - Gdy spojrzał jej w oczy, pogładziła wypielegnowanym paluszkiem jego ucho. - Czy mam aż taką konkurencję?

Z westchnieniem popatrzył na trzaskający w kominku ogień.

- Wyjaśniłem jej od razu warunki i powody zawarcia tego małżeństwa. Ona nic pod tym względem nie zmieniła.

- Cole'u, ja chyba znam cię lepiej niż ktokolwiek - powiedziała cichym głosem - ale czasem nie jestem pewna, czy w ogóle cię znam. Mówisz, że ona uratowała ci życie, że robisz to wszystko z wdzięczności, skąd więc tyle rozterek?

- Nie chcę o tym mówić, Thia.

Pogłaskała go po rękę, mówiąc:

- Dokończ pić, kochanie. Zaraz wrócę.

Nim zdążył ją zatrzymać, już wyszła. Cole zrozumiał, że przychodząc tutaj, popełnił błąd. Miał tu dobrą przystań za czasów Roberty, lecz teraz jakoś przestało go to pociągać. Nie stanowiła miejsca ucieczki, a stała się jakby miejscem przestępstwa. Poczuł nagle, że jest w złym miejscu, w nieodpowiednim czasie i z nieodpowiednią kobietą. Żle to znosił i pragnął się natychmiast znaleźć gdziekolwiek, byle nie tu.

Odstawił kieliszek i poszedł korytarzem do dobrze znanej sypialni. Drzwi były otwarte, kołdra na łóżku zachęcająco odwinęta. Xanthia siedziała na taborecie przed szerokim lustrem, czesząc długie włosy. Ujrawszy odbicie Cole'a w lustrze, uśmiechnęła się i zaczęła rozpinać stanik sukni.

- Thia... - zaczął. Kobieta przerwała i znalazła w lustrze jego wzrok. - Pójdę już.

Obejrzała się i spojrzała mu w twarz.

- Przecież dopiero przyszedłeś.

- Tak - przyznał - ale popełniłem błąd.

Kompletnie zdruzgotana, spytała zachrypniętym głosem:

- Czy chcesz ze mną porozmawiać?

- Nie.

- Przyjdiesz jeszcze?

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie wiem.

Xanthia patrzyła na niego przez długą chwilę, starając się nie dopuścić, żeby się jej zaszkliły oczy.

- Miło, że przyszedłeś mi to powiedzieć, Cole'u - wydusiła z siebie. - Doceniam to. Gdybyś zmienił zdanie, wiesz, że jesteś zawsze mile widziany.

Pokiwał głową.

- Byłaś ze mną, gdy potrzebowałem twojej przyjaźni, Thia. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, nie wahaj się do mnie przyjechać.

Wyprostowała się i uśmiechnęła, najpromienniej jak potrafiła.

- Obawiam się, że to, czego najbardziej potrzebuję, ma już kto inny.

- Przepraszam cię, Thia. Jeszcze nie wszystko w sobie uporządkowałem.

Wyjął z surduta portfel i wrzucił plik banknotów do wazonu przy drzwiach.

- Do widzenia, Thia.

Słuchała, jak odchodzi korytarzem, stukając laską, a potem cicho zamyka tylne drzwi domu. Choć uparcie twierdził, że jego drugie małżeństwo to tylko formalne porozumienie, musiał w nim znaleźć coś intrygującego. Powinna postarać się, by zobaczyć tę Alainę Latimer i przekonać się na własne oczy, co wywołało w Cole'u ten nagły przyływ małżeńskiej wierności.

Tymczasem podniosły się wieczorne mgły. Chłód i wilgoć dawały się we znaki bolącej nodze Cole'a. Najpierw trochę pochodził, potem zatrzymał się i dał jej odpocząć. I znów ruszył ostrożnie wzdłuż alejki, z całej siły podpierając się laską. W wieczornej ciszy dolatywały do niego dźwięki pianina. Wiedział, że bar znajduje się przy tej samej ulicy, niedaleko sklepu Xanthii z kapeluszami i upominkami. Dla zdrowego człowieka to zaledwie jeden krok. Zwykle gospodę zamykano, zanim on opuścił ramiona swej przyjaciółki, i Olie czekał na niego z powozem w cieniu drzew. Teraz Cole przeklinał się za to, że tu przyjechał. To był beznadziejny pomysł!

Olie usadowił swoje zwaliste kształty za stołem w kącie. Zazwyczaj stał przy barze i wesoło gawędził z przygodnymi kompanami, ale tego wieczoru musiał posiedzieć i poukładać sobie w głowie ostatnie wydarzenia. Żona oberżysty przyniosła mu kufel dobrze spienionego, bursztynowego trunku i bez słowa postawiła na stole. Pewnie jeszcze się dąsała z powodu drobnego uszkodzenia kilku barowych krzeseł podczas jego poprzedniej wizyty, choć przecież pokrył wyrządzone szkody.

Wychylił znaczną część zawartości kufla, nim zaspokoił pierwsze pragnienie i postawił go na stole. Teraz siedział i wpatrywał się w kufel tępym wzrokiem, usiłując znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Doktora Latimera znał od wielu lat i dziwiło go, że właśnie teraz ciągnie go do rozpusty. Wprawdzie o domu Latimerów krążyły obecnie setki plotek, a jego własny syn, Peter, potwierdzał, że pan i pani mają oddzielne sypialnie, tak jak to było z pierwszą żoną, lecz Olie nie tak łatwo dawał wiarę gadkom służących. Sam pilnie obserwował swych państwa. Na przykład, gdy siedzieli w kościele, z dzieckiem pośrodku, a wokół pochylały się w ich stronę ciekawskie głowy, czy po mszy, przed kościołem, gdzie aż huczało od komentarzy. Doktor Latimer nie był w kościele od czasu przyjazdu z wojny, a teraz nagle pokazuje się z nową żoną i dzieckiem, i to tuż po ślubie! To, że pani Latimer

pochodziła z Południa, nie nurtowało ich tak bardzo jak spekulacje na temat tego, ile może mieć lat, dlaczego doktor Latimer się z nią ożenił i czyje jest to dziecko. Każdy widzi - myślał Olie - że jest za młoda, by mieć takie duże dziecko, a doktor Latimer mógł się z nią ożenić po prostu dlatego, że jest atrakcyjną młodą damą. Mimo pogłosek o oddzielnych łóżach pan doktor wyglądał na bardzo przejętego swą młodą żoną, a nawet zazdrosnego o spojrzenie każdego młodziana. Któregoś wyjątkowo upalnego dnia wybrali się na wycieczkę wzdłuż rzeki. Rozpakowali przygotowany przez Annie kosz piknikowy. Mindy promieniowała z nie spotykanej u niej dotąd radości. Olie także z nimi jadł i cieszył się pięknym dniem. Widział na własne oczy, jacy byli wobec siebie grzeczni, ale nie było między nimi prawdziwej bliskości jak między mężem i żoną. Zauważył też, jakim wyglodniałym wzrokiem pan doktor spogląda na swą żonę bawiącą się z Mindy. W pewnej chwili rozłożyła szeroko ramiona, ciasny stanik uwypuklił jej miękkie kształty, a doktor Latimer zaczerwienił się, zauważywszy, że Olie go przyłapał na podglądaniu własnej żony.

Olie zaczynał właśnie sprawdzać jakość drugiego kufła piwa, gdy nagle zamarł ze zdumienia. Bez słowa wyjaśnienia podszedł i usiadł naprzeciwko niego za stołem jego własny pracodawca. Choć w barze panował hałas - grało pianino, głośno zaśmiewali się drwale i co chwila wybuchał chichot barowych dziewcząt - Cole usłyszał wyraźnie komentarz Oliego:

- Myślałem, że pan chyba zwariował, ale teraz wiem. Nie może pan dojść do ładu z żadną z nich.

- Jak będę potrzebował twej norweskiej logiki, to się zgłoszę - odparł Cole lakonicznie.

- Taa! - Blondyn pokiwał głową, jakby uzalając się nad ciężkim losem swego rozmówcy. - Tym razem zawiązał pan sobie parę supłów. - Nim Cole zdołał odpowiedzieć, Olie walnął w stół muskularną pięścią i rozkazał barmanowi: - Sweyn! Przynieś butelkę i dwa małe kieliszki. - Po chwili postawiono przed nimi ćwiartkę whisky o nie całkiem sprawdzonym wieku i posunięto po stole kieliszki. Olie poczekał, aż barman odejdzie, by podzielić się z Cole'em kolejną porcją mądrości. - Gdy u mnie wszystko w porządku, piję piwo; gdy mam problem z kobietą, potrzebuję odrobinę czegoś mocniejszego, żeby się odprężyć.

Cole spojrział zdziwiony.

- Ale to nie ty masz problem!

Stangret uniósł do góry potężne ramiona i rozłożył ręce.

- Pan ma problem, to i ja mam problem. - Upił łyk alkoholu i popił piwem. Cole poszedł w jego ślady i poczuł straszliwe palenie od gardła aż po żołądek, a oczy prawie wyszły mu na wierzch. Czym prędzej sięgnął po kufel piwa, by ugasić ogień.

- Wystarczy mi! - sapnął i odsunął kieliszek.

- Nie, nie! Dwie kobiety to zbyt duży problem na jeden kieliszek. - Olie napełnił znów kieliszki po brzegi. Gdy Cole w końcu nakrył swój ręką, by przerwać wlewanie w siebie ciemnego płynu, butelka była już do połowy opróżniona.

- Kobiety i tak potrafią otrzeźwić! - mamrotał z irytacją. - Zwłaszcza ta mała, z którą się ożeniłem. Szkoda tylko dobrej whisky.

Wstał, ledwo trzymając się na nogach, a świat wokół się zakręcił. Olie skrętnie schował butelkę z resztą trunku pod pachę i ruszył w stronę drzwi. Po drodze krzyknął do barmana, żeby policzył wszystko na rachunek doktora Latimera. Do Cole'a zaczynało docierać, że chyba nie docenił mocy serwowanej przez Oliego whisky. Jakoś jednak udało mu się zachować godność i podążyć o własnych siłach za stangretem.

Do domu było daleko i jechali chyba dłużej niż zwykle, bo Olie włókł się przez miasto jak ślimak. Dało to Cole'owi trochę czasu, by chłodny powiew wiatru nieco go otrzeźwił. Jednak gdzieś z tyłu za oczami przyczaił się tępy ból, który w niezbyt miły sposób przypominał mu o niedawnej konsumpcji mocnego trunku. Co gorsza, w drzwiach Miles oznajmił mu jeszcze mniej przyjemną wiadomość.

- Proszę pana, przyjechał doktor Darvey. Nie wiedzieliśmy, kiedy pan wróci, i w końcu pani zaczęła kolację bez pana.

Jeszcze bardziej zirytowało Cole'a to, że Braegar usiadł tuż obok Alainy, po jej prawej stronie, a on musiał zająć swoje miejsce na drugim końcu stołu.

- Powiedz Annie, żeby zabrała ze stołu te cholerne kartofle! - Cole odreagował swoją wściekłość na pierwszej rzeczy, która mu się nie spodobała.

- Tacy jak pan tylko obrażają dobre irlandzkie jedzenie! - pisnęła oburzona Annie, która usłyszała jego polecenie w kuchni i błyskawicznie przybiegła zaczerwieniona ze złości jak burak. - Mogę tylko to wziąć pod uwagę, że sam pan nie jest niczym więcej niż tylko biednym niemieckim emigrantem.

- Austriackim! - ponuro sprostował Cole.

Annie wytrzymała jego złowrogie spojrzenie i wyzywającym ruchem przysunęła ziemniaki jeszcze bliżej.

- Gdyby pan wiedział, co dla pana dobre, zjadłby pan odrobinę mięsa i cały talerz tego.

Cole patrzył nieufnie, przekonany, że kobieta postradała zmysły. Alaina знаła go już na tyle, żeby się domyślić, iż taka kłótnia może się źle skończyć. Szybko wstała z krzesła i osobiście zabrała miskę z ziemniakami ze strefy zagrożenia, podała kucharce i delikatnie poprowadziła ją z powrotem do kuchni.

- Lepiej mu dziś dać spokój, Annie. Najwyraźniej noga znowu mu dokucza. - Nie wiedziała, czy rzeczywiście tak było, ale przynajmniej złagodziła nieco gniew kucharki.

Uspokoiwszy kobietę, Alaina wróciła do jadalni, by tam ujrzeć panią Garth ustawiającą na stole duże kieliszki i karafkę brandy. Zauważyła już zbyt wielką szczodrość tej kobiety w serwowaniu alkoholu i tym razem pospieszyła, by ją powstrzymać. Cole Latimer i tak już dziś nadużył trunków, nie potrzeba dolewać więcej oliwy do ognia.

- Ja to zrobię, pani Garth. Proszę pomóc Annie w kuchni.

Gospodyni kiwnęła głową i posłusznie zostawiła swej pani napełnianie kieliszków. W porównaniu z hojnością tamtej Alaina okazała się zdecydowanie skąpa. Gdy postawiła kieliszek przed mężem, napotkała jego pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Annie odgrzewa ci zupę - powiedziała łagodnie. - Nalać ci kawy?

Przytaknął tylko dlatego, żeby ją dłużej zatrzymać przy swoim końcu stołu. Pachniała słodką świeżością, a fluid, który rozsiewała, zawsze pobudzał mu krew w żyłach. Włosy związane na karku spływały kaskadą loków, a w blasku świec nawet zapięta wysoko pod szyją muślinowa suknia koloru wina wyglądała na niej uroczo.

- Gdzie Mindy? - spytał półgłosem.

- Spóźniałeś się, więc pozwoliłam jej zjeść i położyć się spać.

Ku jego niezadowoleniu wróciła na swoje miejsce. Ciepłe uczucia opuściły Cole'a, gdy zobaczył ją siedzącą obok Braegara.

Alaina widziała pogłębiający się w miarę trwania posiłku zły nastrój męża i modliła się w duchu, żeby nie wywołał awantury. Braegar również przyglądał się gospodarzowi z zadumą, nie wiedząc, czy powinien poruszyć

temat, który poprzednio wywołał tak zawziętą kłótnię, i dowiedzieć się wreszcie, co gryzie Cole'a. Lecz przy tak złym humorze przyjaciela wołał tego nie robić.

- Czy nikt ci nigdy nie mówił, że niegrzecznie jest gapić się na kalekę? - przyciął mu Cole, sięgając po kolejny kieliszek brandy.

Urażony Braegar do końca już jadł w milczeniu; prawie nie tknął alkoholu, wypił tylko kawę. Gdy tylko wstali od stołu, przeprosił i wyszedł. Alaina też tylko obrzuciła męża niechętnym wzrokiem i dumnie wyprostowana udała się na górę do swej sypialni. Cole poszedł do swojej i zatrzasnął drzwi, złorzecząc, że ma na głowie dom pełen gderliwych kobiet. Prawie natychmiast otworzyły się drzwi z łazienki do jego pokoju. Odwrócił się i z rozdrażnieniem rzucił na fotel zdjęty surdut. W drzwiach stała jego młoda żona, patrząc na niego gniewnie i ze złością rozpinając długie rękawy sukni.

- Okazałeś się, mój panie, absolutnym gburem. Nieraz miałam co do tego wątpliwości, ale w tej chwili jestem pewna. Jesteś najtrudniejszym do zniesienia człowiekiem, jakiego miałam nieprzyjemność spotkać! - Odkręciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do siebie.

Jednak Cole nie zamierzał jej podarować zniewagi. Pokuśtykał za nią z groźnym wyrazem twarzy.

- Nazywasz mnie gburem, a sama, gdy tylko wyjdę, zapraszasz do mojego domu tego prostaka i zabawiasz go! - Ściągnął krawat i zaczął rozpinąć guziki kamizelki, wykrzykując dalej: - Sadasz go przy moim stole i częstujesz go moim jedzeniem! Wykazujesz się, droga pani, kiepską znajomością charakterów! Ten fircyk wykorzystuje każdy moment, gdy mnie nie ma w domu, żeby tu buszować. A ty go zapraszasz, wiedząc, co do niego czuję! - Parsknął ze złością i zniknął w swoim pokoju, pozostawiając Alainę znieruchomiałą z wrażenia.

- Kiepską znajomością charakterów! - jęknęła, ściągając przez głowę suknię. Powiesiła ją na drzwiach szafy i wróciła tą samą trasą przez łazienkę do pokoju męża, po drodze rozwiązując pasek halki.

- Zapraszam go? Co chcesz przez to powiedzieć? - zawołała.

Cole miotał się po sypialni, odpinając kołnierzyk i rozpinając koszulę.

- Przecież wiedział, że mnie nie ma.

- Przyjechał odwiedzić ciebie, mój panie! - padło wyjaśnienie. - I czekał, aż wrócisz do domu! Gdy stało się dla niego oczywiste, że nie jesteś w nastroju do jakiegokolwiek rozmowy, poszedł. Czy możesz mu coś zarzucić lub podejrzewać go o romansowanie ze mną? Chcesz znowu twierdzić, że ci przyprawia rogi?

Wyplątała się z halki i przrzuciła ją przez ramię, po czym oddaliła się do siebie i wyciągnęła z szafy pocerowaną nocną koszulę i narzutkę. Cole pomaszerał za nią, wyciągając koszulę ze spodni. Gdy opadła luźno, stanął w drzwiach z ręką opartą wysoko na gzymsie. Alaina milczała i nie zwracała na niego uwagi.

Cole czuł, że postępuje nierozsądnie, lecz z talentem godnym lekkomyślnego dumnia brnął w to bezsensowne szaleństwo.

- Masz, pani, licznych wielbicieli, lecz w tym przypadku nie wyczuwasz, z jakim łobuzem masz do czynienia.

Alaina rzuciła nocną bieliznę na łóżko do cna urażona. Stała przed nim w bojowej pozycji, chwyciwszy się rękami pod boki, gotowa walczyć przeciwko tak śmiesznym zarzutom i zapominając o tym, iż jest już tylko w spodniej bieliznie i gorsecie. Gdyby o tym pomyślała, sama doszłaby do wniosku, że tak skąpy strój byłby raczej stosowny do zupełnie innych zmaganiań.

- Byłam w licznym towarzystwie, mój panie! Pół tuzina twych służących może potwierdzić moje właściwe zachowanie. Zapytaj Annie, Milese, Petera lub panią Garth! Jeśli masz wątpliwości, przepytaj ich wszystkich.

- Właściwe zachowanie! Ha! Siedzieć koło niego przy stole i pozwalać mu, żeby cię pożerał wzrokiem. A co do służących, zaczynam podejrzewać, że większość z nich byłaby w stanie klamać jak z nut, żeby tylko cię chronić. - Ściągnął koszulę i zmiął ją w rękach, wracając do swego pokoju.

Alaina szła za nim tuż o krok.

- Klamać, żeby bronić mnie? Ty zakuta głowo! To twoi zaufani służący! Właśnie przez całe popołudnie tak pokornie cię tłumaczyli, że aż nabrałam podejrzeń, czy przypadkiem nie wymknąłeś się szukać przyjemności w ramionach jakiejś ladacznicy!

Cole cisnął koszulę przez cały pokój, podszedł do chłopaka do ściągania butów i zaczął ostrożnie zdejmować but z prawej nogi.

- A nawet jeśli? - wycedził przez zęby. - Czy w tym domu spotykam się z przychylnością? Czy mogę zaspokoić swe wciąż przez ciebie podsycane i jak najuczciwiej traktowane przeze mnie pragnienia?

Usiadł na łóżku, by zdjąć drugi but, a ona spojrzała wściekle.

- Cóż, doktorze Latimer, przysłałeś swego pełnomocnika szybciotko, ale dopiero po ustaleniu warunków! Teraz radź sobie sam! - Wycofała się do siebie i zrzuciła pantofle. Niemal kipiała ze złości. Śmiała ją oskarżać o skąpiecstwo przychylności, podczas gdy on sam... - Obawiała się, majorze, że to Al do ciebie przyjedzie?! - zawołała przez otwarte na przestrzał drzwi. Usiadła na taborecie przy toalecie i zdjęła pończochy. Rzuciła je nie dbale na podłogę. - Teraz tak głośno narzekasz na swoje ograniczenia, ale sam przecież postanowiłeś, że nie jestem godna twych względów.

- Och, cały czas dobrze wiedziałem, że jesteś ich godna! - odpowiedział podniesionym głosem przez całą łazienkę. - To twoje gierki wpędziły mnie w pułapkę. Gdyby nie ty, nigdy nie ożeniłbym się z Robertą.

Alaina wstała i przeszła bosą przez oddzielające ich pomieszczenie. Musiała z siebie wyrzucić narosłe oburzenie.

- A tobie nawet nie przyszło do głowy, że to mógł być ktoś inny!

Cole uniósł ręce z irytacją.

- A skąd, do licha, miałem wiedzieć? Byłem pewien, że w domu są tylko dwie kobiety. - Stał wysoki, szczupły i muskularny, w obcisłej bieliźnie, podkreślającej jego męskie kształty, i unosząc brwi, szydził: - Czy miałem, moja droga, podejrzewać twoją ciotkę?

- Oooch! Ty łajdaku! - krzyknęła i pobiegła do siebie dobrze już wydeptaną ścieżką.

- A może miałem przypuszczać, że to ten usmolony Al? - Szedł za nią, szydząc dalej. Machnął ręką, odrzucając taką możliwość. - Toż to bzdura! Nie mogłem się domyślić, że pod jego łachmanami kryje się kobieta. Ani też nie spodziewałem się, żeby porządna młoda dama mogła udawać ulicznicę i grać jej rolę z takim autentyzmem.

Alaina syknęła ze wzburzenia i teraz ona poszła za nim, gdy butnie nadęty wracał do swej sypialni. Jeżeli myśli, że będzie miał ostatnie słowo, na pewno się myli, bo ona ma mu jeszcze dużo do powiedzenia. Nie zrażona widokiem jego nagiego od pasa w górę ciała, złapała go za łokieć i odwróciła tak, żeby musiał spojrzeć jej w twarz.

- Dla pańskiej informacji, wcale nie zrobiłam tego umyślnie!

- Sama przyszedłaś do mojego pokoju.

- Byłeś pijany i hałasowałeś. Bałam się, że pobudzisz resztę domowników i zastrzelą cię jak intruza.

- Aha! Więc powinienem ci być wdzięczny? - zauważył sarkastycznie. Patrzył, jak stoi z zaciśniętymi ze

złości pięściami. - Wybacz, ale pozostawienie mnie pod opieką Roberty nie sprawiło mi wielkiej radości.

Alaina obróciła się na bosych stopach i poszła z powrotem do swego pokoju.

- Bardzo chętnie obsypywałeś ją swymi względami. Jak mogłam cię powstrzymać od ślubu? Gdybym coś powiedziała, groziłaby mi śmierć w ohydny jankeskim więzieniu.

- Więc ratowałaś swoją skórę - zadrwił.

Ta uwaga zakłula ją tak, że potrzęsnęła wiszącymi w szafie sukniami i wykrzyknęła w jego stronę:

- A ty usiłujesz mnie przekupić eleganckimi strojami i biżuterią! - Podeszła do drzwi, chcąc zobaczyć jego reakcję na tak mocny zarzut.

Cole powiesił spodnie i energicznie zamknął drzwi szafy. To mała prowokatorka! Już on się postara, żeby zrozumiała całą powagę sytuacji.

Spotkali się przy wannie. Stanęli twarzą w twarz, oboje pałający gniewem.

- Może pan zna kobiety, które można tak tanio kupić, ale ja nie jestem na sprzedaż!

Roześmiał się z irytacją w głosie.

- Jeśli mówimy o kosztach, o pani, to jak ci się wydaje, ile jest wart ten medalion, który nosisz na szyi?

Tego już było za wiele! Odda mu z powrotem ten przeklęty wisiołek! Ściągnęła łańcuszek przez głowę, niechcący uderzając nim Cole'a w twarz. Widząc jej uniesione ręce, spodziewał się, że zaraz przystąpi do fizycznego ataku. Chwycił jej kibić i przycisnął do siebie, by uniemożliwić uderzenie.

Alainie nagle zabrakło tchu. Dopiero teraz zauważyła jego nagi tors i poczuła przyciskające ją do siebie silne, zwinne ciało. On też w pełni uprzytomnił sobie, że trzyma na wpół rozebraną kobietę. Przez chwilę, która wydawała im się wiecznością, zastygli w bezruchu, patrząc tylko na siebie. Potem powoli, z namaszczaniem, Cole pochylił się do jej ust.

Zawirowało jej w głowie. Delikatny dotyk jego warg wzniecił płomień palącej namiętności. Wściekłość przeistoczyła się w gwałtowne pragnienie. W ogniu rozgrzanych do białości wzajemnym pożądaniem ciał spłonęły wszelkie kontrakty i porozumienia. Spadło to na nich jak grom, rozpętało burzę uczuć i żądz, tak długo powstrzymywanych. Cole poczuł to samo gibkie ciało, co owej pamiętnej nocy, która już prawie wydawała mu się snem. Kobiece ciepło i miękkość odurzyły jego zmysły do nieprzytomności.

Alaina przywarła do niego mocno. Wiedziała już, czego od niej pragnie, i czekała, aż odezwie się w niej ten sam co zwykle protest. Tym razem była nawet gotowa na jego odparcie. Ale w jej sercu i umyśle panował dziwny spokój, świadomość zmieniła się w dobrotliwego obserwatora.

Cole wyprostował się nieco i płonącymi oczami pytał niemo:

Czy odmówisz mi i tym razem? Czy kolejny raz uciekniesz, zostawiając mnie z tym nabrzmiałym aż do bólu pragnieniem?

Wisiołek zsunął się na ziemię, gdy Alaina wspięła się na palcach, objęła go za szyję i podsunęła rozchylone wargi do jego ust. Podała mu się z żarliwością, która zaskoczyła jego samego. Nie stawiała oporu, nie protestowała. Spotkali się wreszcie Cole mężczyzna z Alaina kobietą. Nie pozostał już między nimi żaden ślad Ala. Czekali na tę chwilę całe wieki. Ich wargi stopiły się ze sobą gwałtownie. Spleceni w uścisku, oddali się całkowicie dzikiej namiętności.

Obsypując gorączkowymi pocałunkami jej białe jak kość słoniowa szyję i piersi. Cole mruczał niewyraźnie jakieś miłosne zaklęcia. Jedną ręką przytrzymał jej plecy, drugą gładził krągłość pośladka i foremne udo.

Spieszno mu było dotknąć i poznać każdy fragment jej ciała, zagarnąć je dla siebie, błaznić wargami po jej delikatnej skórze. Jego zręczne palce szybko uporały się z zapięciem koszulki, która rozchylając się, odsłoniła jego oczom i zachłannym ręką wspaniałe, pełne piersi. Fale rozkoszy przesywały całe ciało Alaina, gdy pieścił te jedwabiste krągłości. Pochylił się i przygarnął ją do siebie. Ich oczy spotkały się i Alaina poczuła, że traci oddech. Potem jego wzrok pobiegł niżej, chłonąc widok jej kremowego ciała. Schylił głowę i pieszcząc wargami mały, różowy pagórek, wy dobył z jej ust jęk. Dotknięcia jego języka paliły ją żywym ogniem, całe jej gibkie ciało drżało z rosnącego podniecenia. Musnęła wargami jego policzek i brzeg ucha. Cole odwrócił twarz i błyskawicznie znalazł ustami jej usta, rzucając się na nie jak zagłodzony.

Jakby przez mgłę Alaina poczuła, że ramiona Cole'a unoszą ją w kierunku wielkiego łóżka w jego sypialni. Byli zupełnie sami na świecie, odcięci nawet od światła płonących lamp olejowych, nagich gałęzi ocierających się o szyby i trzasku ognia w kominku. Nawet kontuzja Cole'a przestała być bolesna, gdy niośł ją z niezwykłą siłą i lekkością.

Cole zatrzymał się tuż przy zwisającym baldachimie łóżka i puścił Alainę. Zanim jednak jej stopy dotknęły ziemi, leżał tam już jej gorset. Błękit jego oczu rozjarzył się jeszcze większym blaskiem, gdy ujrzał swą żonę obnażoną do pasa. Jeszcze raz pochylił się do jej ust, spijając z nich słodki, odurzający nektar. Językiem poszukał jej języka i zapraszał go do tańca w pocałunku. Zsunął ramiączka jej rozpiętej koszulki i znów przyprawił Alainę o dreszcz ekstazy, błaząc dłońmi po nabrzmiałych piersiach. Potem zszedł nimi niżej, na biodra. Rozwiązał luźne majtki i one poszły w ślad koszulki. Jeszcze tylko uwolnił z bielizny siebie samego i oczom Alaina ponownie ukazało się jego silne, męskie ciało, tak samo zachwycające jak wówczas, tamtej pamiętnej nocy.

Jak dwa piórka dmuchane wiatrem ku sobie opadli lekko na miękkie posłanie łóżka, złączeni pocałunkiem, oddychający jednym, wspólnym oddechem. Dłoń Cole'a długo gładziła jej ciało, by wreszcie śmiało zapędzić się w bardziej intymne rejony i całkiem odebrać jej dech. Pod jego dotykiem drzące uda zaczęły się rozchyłać, a oczy przymykały się z rozkoszy. Oddychała szybko i płytko, serce waliło jej jak młot.

- Och, Cole'u - westchnęła, cała drżąca. - Co ty wyprawiasz? Gzy szykujesz dla mnie jakieś tortury?

- Żadne tortury - wyszeptał chrapliwie tuż przy jej ustach. - Po prostu kochamy się.

- No to kochaj mnie jeszcze bardziej - prosiła. - I pozwól mi kochać ciebie. - Nieśmiało pogłaskała jego udo z blizną. - Czy można... cię dotykać?

Cole wstrzymał oddech, gdy nakierował jej rękę do nabrzmiałego pulsującą krwią, rozpalonego dziką, samczą chucią przyrodzenia. Roztopiał się cały pod delikatnym dotykiem jej chłodnych palców, odkrywających zakamarki męskiego ciała. Pożar, który w nim szalał, był już nie do ugaszenia. Rozdygotany, pochylił się nad nią i przesunął biodra w przestrzeń między jej udami, a potem wdarł się do miejsca swego przeznaczenia i twardym podbrzuszem spoił się z jej miękkim łonem.

Stopili się w jedno. Miętkość wciągnęła w siebie twardość i nagle stał się cud. Byli wreszcie razem. Mężczyzną i kobietą, mężem i żoną. Ich naprężone ciała przylgnęły do siebie, ich jestestwa zlały się w niebiańskiej rozkoszy. W gwałtownym zatraceniu oddali się sobie w pełni, by w zamian dostać wszystko, a może jeszcze więcej.

I przyszło to tak jak wtedy, czymkolwiek było, by zjednoczyć ich kompletnie. Czując przelewające się przez nią fale czystej, fizycznej rozkoszy, Alaina rozumiała, że dane im jest poznać wyjątkowy smak miłości. Cole też to czuł. To, co siłą woli powstrzymywał przez tyle miesięcy, teraz wlał w nią, oddając jej całego siebie i czując, że

i on ma ją naprawdę. Sięgał do głębi jej duszy, aż cała drżała i jęczała. Dwa spragnione ciała złączyły się, by ostatecznie przypieczętować swą duchową unię.

Ich skóra lśniła od potu, gdy leżeli nadal w uścisku, czując jeszcze dogasające iskry wielkiej pożogi. Ciała uspokajały się, mięśnie słodko omdlewały. Cole zanurzył twarz w jej pachnących włosach, które rozrzucone w nieładzie przykrywały jego ramię. Wdychając cudowną woń swej kobiety, wspominał te wszystkie pełne meczami noce, gdy nie mógł wyrzucić z siebie natrętnych myśli o niej. Już od dawna wiedział, że to ona jest jego oczyszczeniem, ona posiada moc pobudzania jego pragnień i ich gaszenia. Był mężczyzną i pałał namiętnością, ale zawsze tylko do niej. Zaspokoiwszy pragnienie, rozkoszował się wreszcie spokojem nasycenia.

Gęsta mgła i mróz pokryły nagie gałęzie drzew białą szadzią. Bajkowy krajobraz połyskiwał i lśnił krystalicznie w tańczących promieniach porannego słońca, które wdarły się do sypialni, by zbudzić śpiącą tam kobietę. Alaina przeciągnęła się słodko i leniwie pod ciepłą, puchową kołdrą. Dopiero po chwili zauważyła, że leży sama w ogromnym łożu. Usiadła, owijając się kołdrą, i rozejrzała po pokoju. W kominku miło trzaskał ogień, wyganiając z pomieszczenia resztki chłodu. Jednak to ciepło było niczym w porównaniu z ciepłem, jakie czuła w objęciach Cole'a. Z otwartych drzwi do łazienki dobiegł jego głos i poczuła się znów bezpiecznie. Owinęła się prześcieradłem i przebiegła po zimnej, dębowej podłodze do sąsiedniego pokoju, gdzie Cole już relaksował się w wannie parującej wody. Wesoło, niemal nonszalancko skoczyła do niego i złożyła mu na wargach długi pocałunek na dzień dobry. Aż zawirowało mu w głowie, gdy przypomniał sobie jej nieśmiałe, lecz odważne poczynania minionej nocy. Poczul się wzmocniony jej radosną, niepohamowaną żywotnością. W jego życie weszła prawdziwa kobieta. Nie chłodna i wyrachowana jak Roberta, lecz pełna prostoty i naturalności, budząca w nim nowe siły. Smakował cudowne ciepło jej chętnych, czułych ust i pożegnał je westchnieniem, gdy się oddaliły. Oczy Alainy załśniły, z figlarnym uśmiechem obrzuciła go wzrokiem, od którego zakręciło mu się w głowie.

- Pomóc ci w czymś, Jankesie?

- W zasadzie - sapnął i objął ją za szyję, przyciągając, by dalej całować - najpilniej potrzeba mi tylko towarzystwa kobiety.

Zerwał z niej prześcieradło i wciągnął ją na siebie do wanny, obsypując chciwie pocałunkami jej usta i piersi.

- Nareszcie - mruzczał, całując jej szyję - mogę spełnić swą groźbę. Ale gdy ją kiedyś wypowiadałem, nie miałem pojęcia, że wykąpanie ciebie może się okazać takie przyjemne.

37

Z pomocą stangreta Xanthia Morgan wysiadła ze swego skromnego powozu i zatrzymała się przed frontowymi schodami domu Latimerów. Nad dachem wisiało ciemne, ołowianoszare niebo. Lodowate powietrze mroziło oddech kobiety, a po twarzy smagał ją ostry, północny wiatr. Musi szybko załatwić sprawę i wracać, jeśli chce zdążyć do St. Cloud przed nadejściem burzy.

Kamerdyner poprosił ją do salonu. Usiadła na sofie i czekała na Alainę. Tego dnia rano zauważyła Cole'a, gdy przejeżdżał powozem koło sklepu, i postanowiła, że skorzysta z okazji i odwiedzi jego żonę. To, że dziewczyna się niczego nie spodziewa, da Xanthii znaczną przewagę. Zrobi jej więc niespodziankę.

Zdejmując rękawiczki, Xanthia rozejrzała się krytycznym wzrokiem po salonie. Roberta gustowała zawsze w jaskrawych kolorach. Przeładowany meblami i ozdobami pokój odzwierciedlał jej osobowość. Nowa gospodyni

zapewne nie miała jeszcze czasu zmienić jego wystroju, a może miała podobny gust? Ciekawość rozsadzała Xanthię. Słyszała od ludzi, że Alaina to jeszcze prawie dziecko, a Rebel Cummings opisywała ją jako małą, niepozorną myszkę. Wprawdzie mężczyźni miewają czasem przedziwne gusta, nie mogła jednak polegać wyłącznie na opinii Rebel.

Roberta była częstym gościem w sklepie z kapeluszami, a podczas tych wizyt wychodziła na jaw jej wyniosła arogancja. Kiedy miała akurat jakiś humor czy zachciankę, potrafiła oderwać od oglądanego kapelusza welon, kwiat, pióro lub inną ozdobę, a po przymierzeniu go kupić coś zupełnie innego.

W korytarzu rozległy się bardzo szybkie kroki i zdyszany głos powiedział do kamerdynera:

- Och, Milesie, czy mógłbyś poprosić Annie, żeby zrobiła herbatę?

Na dźwięk bicia zegara niewidoczna jeszcze kobieta westchnęła i z rozpaczą szepnęła tak głośno, że dosłyszała to i Xanthia:

- Druga! Pół dnia zmarnowane! Dlaczego nikt mnie wcześniej nie obudził?

Xanthia nie mogła skojarzyć przyczyny tak późnego wstania dziewczyny z łóżka z miłosnymi igraszkami, które trwały przez całą noc i poranek. Pomyślała, że nowa żona Cole'a jest tak samo leniwa jak poprzednia.

- Doktor Latimer dał nam wyraźne polecenie, żeby pani dziś nie przeszkadzać - poinformował ją ściszym głosem Miles. - Kazał też pani powiedzieć, że jedzie w interesach do St. Cloud i postara się wrócić jak najszybciej.

Xanthia niecierpliwie wbiła wzrok w drzwi, którymi weszła w końcu Alaina. Policzki z pośpiechu miała zaróżowione, dzięki czemu szare oczy wydawały się jeszcze bardziej błyszczące i przejrzyste. Na jej widok dojrzała kobieta postradała wszelką nadzieję, Alaina bowiem najwyraźniej była tym kimś, kogo się najbardziej obawiała. Żadna przeciętna gąska, jak twierdziła Rebel, lecz młoda, energiczna i tryskająca radością życia, fascynująca kobieta. Co prawda Xanthia oczekiwała, że żona Cole'a będzie zamożniej odziana, lecz śliwkowa muslinowa suknia z wysoką stójką, długimi, wąskimi rękawami i dopasowanym gorsem była twarzowa i całkiem kokietyjna. Już pierwszy rzut oka na Alainę Latimer pozwolił Xanthii zrozumieć zauroczenie Cole'a. Przeraziło ją to bardziej, niż się spodziewała.

- Przepraszam za spóźnienie, panno, ee... - Alaina uśmiechnęła się, czekając na odpowiedź.

- Właściwie pani. Xanthia Morgan. - Przełożyła torebkę i przyniesiony ze sobą pakunek na sofę obok. - Po mieście krąży tyle plotek, Alaino, że postanowiłam przyjechać i poznać panią osobiście.

Nie zdając sobie sprawy, jak dokładnym oględzinom jest poddawana, Alaina spytała cicho:

- I cóż, pani Morgan, czy spotykam się z pani aprobatą?

Xanthia kiwnęła głową potakująco.

- Jest pani naprawdę bardzo piękna.

- To samo mogę powiedzieć o pani, pani Morgan.

Xanthia nie bardzo wiedziała, jak pokierować dalej rozmową.

- Domyślam się, że jest pani ciekawa, kim ja jestem.

Alaina przytaknęła, mówiąc:

- Jest pani znajomą mego męża?

Xanthia w panice szukała w głowie stosownej odpowiedzi. Poczula się zbita z tropu i zareagowała spontanicznie.

- Mam sklep w St. Cloud. Kupił mi go Cole.

Xanthia przerwała, gdy kamerdyner wniósł herbatę. Lecz jeśli się spodziewała jakichkolwiek objawów emocji na twarzy Alainy, doznała rozczarowania.

- Mój mąż zajmuje się wieloma rzeczami, o których dopiero muszę się dowiedzieć - odparła łagodnie pani domu. - Proszę mi wybaczyć, że nie znam jeszcze tych spraw. Cole tak rzadko mówi o swych interesach.

Xanthia milczała wymownie, dopóki Miles, ociągając się, nie wyszedł z salonu.

Dziękując za cukier i śmietankę, Xanthia wzięła od Alainy filiżankę.

- Znam Cole'a już od dłuższego czasu. Co najmniej od siedmiu lat.

Pod przenikliwym spojrzeniem kobiety Alaina spuściła oczy i popijała herbatę. Nagle pożałowała, że nie ma na sobie którejś z sukni kupionych dla niej przez Cole'a i że tak mało czasu poświęciła na uczesanie włosów, odgarniając je jedynie z twarzy i puszczając luzem na ramiona. Rude włosy przybyłej ułożone były w wyszukaną fryzurę, jej suknia była droga i w dobrym guście, z brązowego jedwabiu, do tego nosiła kapelusz i mufkę z czarnego pluszu. Alaina z trudem tłumiała w sobie niechęć, jaką poczuła od razu do tej kobiety.

- Pani Morgan... - zaczęła pytającym tonem.

- Jestem Xanthia. Nikt nie nazywał mnie panią Morgan od czasu śmierci mego męża. Zapewniam, że mam po nim wyłącznie niedobre wspomnienia.

Alaina uniosła brwi ze zdziwienia, ale dobre wychowanie nie pozwoliło jej zadawać osobistych pytań dopiero co poznanej osobie.

- Ach, to żadna tajemnica - zapewniła ją Xanthia, wzruszając ramionami. Mówiła głosem cichym i nieco chrapliwym. - Każdy w mieście wie, kim był mój mąż, Patrick Morgan. Pijakiem, hazardzistą i łazęgą. - Niedbale wodziła długim paznokciem wokół brzegu filiżanki. - Pochodzę z dobrej rodziny i nigdy przedtem nie spotkałam kogoś takiego jak Patrick Morgan. Zakochałam się w nim bez pamięci, wyszłam za niego wbrew woli rodziców i przyjechałam z nim tutaj. Przez pierwszy miesiąc naszego małżeństwa gotowa byłam pójść za nim wszędzie. - Westchnęła głęboko, wspominając późniejsze czasy, gdy Patrick bił ją i zostawiał zapłakaną i zdesperowaną. - W pierwszych miesiącach małżeństwa poczęłam dziecko, lecz mój mąż nie życzył sobie takiej odpowiedzialności. - Musiała chwilę odczekać, by opanować drżenie głosu. - Gdy mój stan był już dobrze widoczny, zaczął się zadawać z różnymi kobietami. Po którejś szczególnie szalonej nocy w mieście wpadł w złość i brutalnie mnie pobił. Straciłam dziecko. Byłabym umarła, gdyby przyjaciółka nie zabrała mnie do pewnego młodego i dobrego lekarza. - Tu nastąpiła długa pauza, zanim wymamrotała: - Tak poznałam Cole'a. Kilka godzin później mego męża wyciągnięto z rzeki. Świadkowie mówili, że rzucił się do wody razem z koniem w pościg za promem, który już płynął na drugą stronę. Był jednak zbyt pijany, by dać radę silnemu prądowi rzeki.

Alaina złożyła dłonie statecznie na kolanach.

- Dlaczego mi to pani mówi, pani Morgan?

Xanthia postawiła filiżankę na spodku i zrzuciła na dziewczynę ciężki balast słów:

- Znam Cole'a tak, jak może znać kobieta.

- Ach tak? - spytała zaskoczona Alaina, stawiając swoją filiżankę i spodek na stole. - Była pani jego żoną?

Xanthia z niechęcią musiała odpowiedzieć przecząco.

Alaina pytała dalej, niepewnie i z wahaniem.

- Znała go pani przed Roberta?

Xanthia odparła śmiało:

- Tak.

Nie patrząc jej w oczy, Alaina oglądała grzbiet ręki i bawiła się swym pierścionkiem z dużym kamieniem.

- Więc znając panią, poślubił dwie kobiety?

Xanthia nie odpowiedziała na to pytanie, lecz oznajmiła wprost:

- Ja kocham Cole'a.

Alaina stłumiła wewnętrzne wrzenie i z łagodnym uśmiechem wzięła znów filiżankę z herbatą. Po chwili uniosła wzrok i ich oczy spotkały się.

- W takim razie nie różnimy się zbyt od siebie, pani Morgan, bo ja też go kocham.

- Jak to możliwe? Przecież pani go prawie nie zna! - obruszyła się Xanthia.

Młodsza kobieta wzruszyła ramionami.

- Znam go równie dobrze jak pani, pani Morgan. Może nie tak długo, ale z pewnością tak samo dobrze.

Serce Xanthii ścisnęło się z rozpaczy. Pożałowała w duchu zbyt otwartości. Czuła jednak, że musi wszelkimi środkami walczyć o swe prawo do szczęścia. Wystudowanym gestem otworzyła torebkę i wyjęła zwitek banknotów.

- Jeżeli to sprawa pieniędzy, jestem w stanie pani pomóc. Biorąc po uwagę pani porozumienie z Cole'em, potrafię panią odpowiednio wynagrodzić, jeśli wyjedzie pani stąd dokądkolwiek.

- Proszę zabrać pieniądze, pani Morgan - powiedziała spokojnie Alaina. - Nie zamierzam wyrzec się męża tylko dlatego, że inna kobieta jest w nim zadurzona. Już raz przez to przesłam i będę walczyła ze wszystkich sił, żeby się nie powtórzyło.

Xanthia z nadmiernym impetem wrzuciła pieniądze z powrotem do torby. To się stawało trudniejsze, niż sobie wyobrażała.

- Cole mówił mi, że pani uratowała mu życie. Oczywiście więc, że ma wobec pani dług wdzięczności.

- Za uratowanie życia? - Alaina upiła łyk herbaty, prawie nie czując jej smaku. - Mam nadzieję, że jest to coś znacznie bardziej osobistego i intymnego.

Xanthia nie umiała ukryć rozdrażnienia.

- Trzyma pani przy sobie mężczyznę, wykorzystując jego zobowiązania względem siebie?

Alaina przyjęła ten wybuch irytacji ze stoickim spokojem.

- Jest moim mężem, mam do tego prawo, czyż nie tak?

Xanthia poczuła, jak płoną jej policzki. Przegrywała. Powoli, głęboko odetchnęła, by zebrać siły na kolejny atak.

- Alaino, jest pani inteligentną dziewczyną. Wyczuwam u pani silne poczucie dumy. Tutejsze towarzystwo niechętnie patrzy na małżeństwo Cole'a z kobietą z Południa. Nie zaakceptują ani pani, ani jego.

- Spotkałam wystarczającą liczbę zwykłych ludzi, którzy cenią Cole'a bez względu na to, z kim się ożenił - odparła spokojnie Alaina. - I są bardzo sympatyczni.

Xanthia wstała, wyprostowała się sztywno i wzięła do ręki pakunek.

- Czy może pani to oddać Cole'owi? Zostawił te rzeczy wczoraj u mnie. - Rozdarła papier, by pokazać białą jedwabną koszulę. - Uprałam ją i wyprasowałam tak jak lubi.

- Mój mąż jest zawsze taki roztargniony, jeśli chodzi o ubranie. - Alaina skwitowała to wesołym śmiechem. - Raz nawet zgubił cały mundur, i to mając go na sobie! Został w samej bieliźnie i w takim stanie musiałam go

niepostrzeżenie przemycić do domu mego wuja. Ale zwrócę mu uwagę, by bardziej pilnował swych rzeczy. Cos takiego może nadwerek pani reputację. Mnie się to o mały włos nie przydarzyło.

Xanthia z pobladłymi ustami założyła rękawiczki i sztywno wyprostowana poszła do drzwi.

- Czy odwiedzi nas pani znów, pani Morgan? - zapytała grzecznie Alaina.

- Wątpię - odrzekła Xanthia bezbarwnym głosem. - Żegnam panią, Alaino.

Zaraz po jej wyjściu zegar wybił trzecią. Tuż po czwartej do salonu zajrzała Mindy, lecz nie odważyła się przeszkadzać Alainie, najwyraźniej pogrążonej w głębokich rozmyślaniach. Kiedy mały kurant zegara wydzwonił kolejne pół godziny, Alaina nadal siedziała bez ruchu i pozostała tak kilka minut później, gdy przed domem zatrzymał się powóz i Cole zawołał Petera, by odprowadził go do szopy. Nie ruszyła się nawet, gdy trzasnęły drzwi wejściowe i Cole zapytał Milesa, gdzie jest żona. Dopiero gdy utykając, wszedł do salonu, wstała z fotela. Chwyła ze stołu pakunek i postąpiła w kierunku męża. Rzuciła mu w twarz na wpół rozpakowaną koszulę, gasząc uśmiech i słowa, jakimi zamierzał ją powitać.

- Twoja kochanka ci to przywiozła - rzuciła z furią, cała czerwona. Zrobiła jeszcze jeden krok do przodu i małą dłonią zwiniętą w pięść uderzyła go w brzuch tam, gdzie się kończyło zapięcie kamizelki. Cole był tak zaskoczony, że zupełnie stracił oddech. - A to ode mnie, Jankesie!

Po czym w mgnieniu oka, łapiąc po drodze szal, wybiegła na ganek, mijając po drodze zdumionego Milesa.

- Alaino! - Cole, widząc, że ucieka z domu, odzyskał głos. - Alaino, wracaj!

Lecz ona zbiegła na oślep po schodkach i mknęła podjazdem. Gdy znalazła się poza terenem zabudowań, z całą siłą natarł na nią zimny, północny wiatr, miotający lodowaty deszcz ze śniegiem. Poryw wiatru odebrał jej dech w płucach. Gdzieś na dnie świadomości słyszała ostrzeżenie, że źle robi, że nie jest odpowiednio ubrana na taką pogodę. Lecz wściekłość stłumiła wszelki rozsądek. Nie wróci, o nie! Wszędzie, tylko nie tam!

Zobaczyła znikającą za pagórkami głowę Petera. Musi biec w tamtą stronę. Pobiegnęła za nim jak tylko mogła najszybciej przez zmarzniętą dań.

Poczuła ból w boku i zwolniła nieco szaleńczy pęd. Daleko przed nią Peter skręcił w drogę do stajni i zniknął jej z oczu. Alaina przyspieszyła znów kroku na stromym zboczu wzgórza. Z tyłu usłyszała gwałtowne uderzenia dzwonu. Raz! Dwa! Pobiegnęła jeszcze szybciej. Dzwon odezwał się następne dwa razy, szybciej i bardziej niecierpliwie. Przed sobą usłyszała gwizd Petera poganiającego konia do galopu. Ogarnął ją strach. Musi się schować! Inaczej Cole ją zaraz złapie. Zeszła z drogi w kępę krzaków i przycupnęła tam niezauważalna. Powóz wyłonił się zza wzgórza i przemknął obok z powrotem do domu. Pochylony do przodu Peter smagał lejcami pędzącego konia.

Gdy tylko przejechał, Alaina znów wróciła na drogę. Po chwili przyciągnął jej wzrok jakiś ciemny budynek wśród drzew. Domek! Da jej schronienie choć przed zimnem, jeśli nie przed pościgiem. Była już przemarznięta i cała się trzęsła. W krzakach przez chwilę była osłonięta przed wiatrem, ale nie przed lodowatym powietrzem. Marzyła już o tym, by się choć odrobinę ogrzać.

Drzwi były na szczęście otwarte. Wśliznęła się do środka i zamknęła je za sobą dokładnie. W holu było ciemno i niesamowicie. Korytarz, pełen drzwi do pomieszczeń, biegł przez cały dom, a w tle dużego okna na jego końcu rysowała się surowa, prosta poręcz schodów. Panowała tu grobowa cisza, przerywana tylko żalonym zawodzeniem coraz silniejszego wiatru i jej własnym, dyszącym oddechem. Zajrzała do kilku pokoi. Wszędzie ten sam ponury widok przykrytych białymi pokrowcami mebli. Nic nie wskazywało, że znajdzie tu choć odrobinę

ciepła. Wróciła do szerokich, podwójnych drzwi po lewej stronie od wejścia. Drżącymi z zimna palcami otworzyła zasuwkę i jednym pchnięciem rozwarła szeroko drzwi. Było tu trochę widniej, wpadało jeszcze nieco bladego światła gasnącego zimowego dnia, ale pokój wyglądał, jakby przeszedł przezeń tajfun. Poprzewracane krzesła, rozrzucone wszędzie papiery, oprawione w skórę książki wygarnięte z półek. Wśród tej bezładnej masy przedmiotów Alaina z radością zauważyła ogromny, kamienny kominek. Miała świadomość, że ma do wyboru albo natychmiast się rozgrzać, albo wrócić ze skrucą do domu na wzgórzu. Duma nakazywała jej zrobić to pierwsze.

W skrzynce znalazła drewno i gałązki na rozpalkę. Sztywnymi, zmarzniętymi rękami poszukała na gzymsie zapalek lub czegoś, czym dałoby się zapalić ogień. Wymacała jakiś zimny przedmiot i przyjrzała mu się z bliska. Było to małe, metalowe pudełko. Udało jej się niezgrabnymi dłońmi wysunąć przykrywkę i odetchnęła z ulgą. Znalazła hubkę z krzesiwem.

Niebawem suche drewno ułożone przez nią na gałązkach zajęło się skaczącymi żwawo żółtopomarańczowymi płomieniami. Alaina wyciągnęła skostniałe dłonie do ciepła i skrzywiła się, gdy zimno zaczynało z nich ustępować, kłując tysiącem igiełek. Na dworze szybko zapadała zimowa noc, a ciemności domu rozpraszał tylko blask ognia z kominka. By rozjaśnić trochę najdalsze kąty, Alaina odważyła się zapalić lampę. Była pewna, że gęste krzaki i krzewy iglaste obrastające dom wokół zasłaniają okna przed niepowołanymi obserwatorami.

Powoli przestawała się trząść i wraz z tym rosła jej ciekawość. Obok długiego, wysokiego stołu stało tu kilka dużych, oszklonych szafek, takich jakie widziała w szpitalu. W jednej leżały nieco zmatowiałe narzędzia lekarskie, drugą wypełniały butelki i fiołki, pudełka i pojemniki, wszystkie wyraźnie podpisane. W następnej ujrzała sterty bandaży i innych materiałów opatrunkowych. Pokój wyglądał na gabinet lekarski. Zapewne tutaj Cole i jego ojciec przyjmowali pacjentów.

Nad kominkiem wisiał portret kobiety, bardzo podobnej do Cole'a. Musiała to być jego matka. A gdzie macocha? Alaina rozejrzała się zaciekawiona. Nie było tu podobizny żadnej innej kobiety, a w domu na wzgórzu nie było w ogóle żadnych portretów.

W zamyśleniu Alaina podniosła ciężki fotel przy kominku i leżący obok stolik. Postawiła też przewrócony wysoki, szeroki, wytarty fotel skórzany i przysunęła go do wielkiego biurka przy oknie. Gdy to robiła, zwróciła jej uwagę pogięta miniaturka w złożonych ramkach. Leżała na biurku, częściowo zasłonięta rozrzuconą stertą papierów i przewróconą mosiężną wagą. Podniosła ją, strzepując rozbite szkło, i przesunęła się z nią bliżej światła.

Była to fotografia, przycięta tak, że główną postać na niej stanowiła jakaś kobieta w ciemnej sukni i białym, wykrochmalonym fartuchu. Nagle zaczęła coś podejrzewać. Ostrożnie usunęła z ramki resztki szkła i przybliżyła zdjęcie do lampy. Z zaskoczenia aż głośno westchnęła, gdyż poznała siebie. Patrzyła i wszystko jej się przypominało. W ostatnich dniach rekonwalescencji Cole'a do szpitala przyszedł fotograf. Zrobił zdjęcie grupce rannych i poprosił, żeby się z nimi ustawiła. Widocznie Cole to zobaczył i jakoś postarał się o odbitkę.

Przez środek fotografii biegła rysa, jakby ktoś wiele razy gwałcił ramkę, próbując przedrzeć całość na pół. Musiał to robić ze straszliwą złością. Cały pokój wyglądał tak, jakby ktoś na nim wyładował swą furję, i teraz zastanawiała się, czy to miało jakiś związek z jej osobą.

- Ty mały głuptasie! - rozległo się nagle w pokoju i Alaina odwróciła się z okrzykiem przerażenia. Kolana się pod nią ugięły, gdy w ciemnych drzwiach poznała wysoką sylwetkę męża. Z trudem opanowując drżenie, które groziło lada chwila wybuchem płaczu, oparła się o biurko i przycisnęła rękę do walącego mocno serca.

- Wielkie nieba, Cole'u! - powiedziała żałośnie. - Czy ty zawsze musisz mnie tak straszyć? Nie mogłeś jakoś

delikatniej zapowiedzieć, że wchodzisz?

- Tak?! Żebyś znowu przede mną uciekła?! - rzucił gniewnie. - Nie obchodzi cię, że ja się obawiam o twoje bezpieczeństwo.

- Już ci mówiłam. Sama sobie dam radę.

Cole rzucił na fotel futrzaną czapkę.

- To nie jest łagodna, południowa zima, moja kochana, i lepiej naucz się ją doceniać. - Przeszedł przez pokój i Alaina zauważyła, że nie ma laski i bardzo kuleje. Stał przed nią i ściągając rękawiczki, kontynuował wykład: - Utrata palców nóg lub rąk to może być tylko mała nauczka, Alaino. Na mrozie w tym klimacie można stracić życie. Takiego śmiałka, który wychodzi na dwór w wicher czy burzę bez odpowiedniego ubrania, można nazwać jedynie głupcem.

Alaina była już dziś po południu wystawiana na tyle prób, że jej odporność na krytykę zbliżała się do granic wytrzymałości.

- Jak mnie tu znalazłeś?

- Przejeżdżałem powozem i zobaczyłem iskry wylatujące z komina. Nie wychodziłaś teraz na dwór i pewnie nie wiesz, że pada marzący deszcz i pokrywa wszystko lodem. Miałem już wrócić i skrzyknąć całą służbę, żeby cię szukali, gdy przypadkiem spojrzałem w tę stronę.

- Czuję się wystarczająco skarcona, milordzie - powiedziała z nutką poddańczości w głosie. - Czy mam wrócić do domu, czy tutaj oczekiwać... wyroku?

Cole zignorował tę przesadną skrucę, a Alaina nie podnosiła wzroku, więc nie mogła dostrzec błakającego się na jego ustach uśmiechu. Spoważniał dopiero, gdy zauważył trzymaną przez nią zniszczoną fotografię. Wziął ją do ręki.

- Pamiętka z wycieczki do Nowego Orleanu - mruknął cicho. - Roberta powiedziała, że wyrzuciła ją do rzeki, ale jak zwykle kłamała.

Położył zdjęcie na biurku, podszedł do kominka i dorzucił drewno do ognia, po czym ogrzał sobie przy nim ręce.

- Tu był gabinet mego ojca. - Splótł ręce za plecami i z zadumą patrzył w ogień. Gdy mówił, wypełniał mocnym głosem całą przestrzeń pokoju. - Czasem tu przychodziłem, żeby znaleźć nieco spokoju, pomyśleć czy odpocząć od... różnych kłopotów. Odwrócił się i rozpiął paltot, rozglądając się po pomieszczeniu. - Roberta dotarła tu, by mnie poszukać jakiś tydzień przed swą śmiercią, ale ja byłem wtedy w mieście. Znalazła twoją fotografię i wpadła we wściekłość. - Pokazał ręką na zdemolowane wnętrza. - A znałaś ją na tyle dobrze, by mi uwierzyć, że gdy wróciłem następnego dnia, dalej szalała - zaśmiał się lekko. - Miles tego dnia miał wolne, Annie ukryła się w piwnicy, pokojówki chowały się ze strachu po pokojach. Tylko pani Garth miała odwagę pokazać się w domu. Roberta oskarżyła mnie, a zarazem i ciebie, o spisek przeciwko niej. - Skrzywił usta w pełnym gorzkości uśmiechu. - Domagała się, bym zdradził, gdzie cię ukrywam.

Alaina zapytała ze zmieszaniem:

- Ale dlaczego trzymałeś moje zdjęcie?

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Alaino, nie wiesz?

W to, co chciałyby uwierzyć, uwierzyć nie mogła, mając jeszcze świeżo w pamięci wizytę Xanthii Morgan. Wyprostowała głowę i odwróciwszy się od niego, zaczęła składać rozrzucone papiery.

- Czy Roberta wiedziała o pani Morgan? - zapytała z przekąsem.

- Nie - odparł stanowczo Cole. - I ty też nie wiesz wszystkiego.

Odwróciła się gwałtownie, gotowa do starcia z tym łajdakiem.

- Wiem, że byłeś tam wczoraj, przed naszym czułym spotkaniem.

- To prawda. - Cole wyciągnął ramiona w tył, jakby go coś zakłuło w piersiach. - Poszedłem do niej rzeczywiście w całkiem niegodziwych zamiarach, ale nic z tego nie wyszło. Zanim przekroczyłem próg jej domu, wiedziałem, że popełniam błąd. Nie byłem w stanie się do niej zbliżyć... ani dotknąć... ani nie miałem chęci tego zrobić. Nic między nami nie zaszło, Alaino. Olie może zaświadczyć. Zostawił mnie przed jej drzwiami. Przyszedłem do niego parę minut potem. Wypiłem razem z nim kieliszek... czy dwa... może trzy, nie pamiętam. Jeśli chcesz, możesz mnie potępić za zdrożne myśli, ale nie zrobiłem nic złego.

Alaina poczuła ogarniające ją ciepło, które nie płynęło z kominka. Słabym, niepewnym głosem spytała:

- Dlaczego trzymałeś tę fotografię?

Cole wydał z siebie długie westchnienie i biorąc ją za rękę, usadowił się na dużym, miękkim fotelu naprzeciwko ognia. Alainę posadził na swym lewym kolanie.

- Czy to tak trudno zrozumieć? - zapytał, marszcząc się i jednocześnie uśmiechając. Patrzyli sobie w oczy. Ściągnął z jej nóg przemoczone buty i umieścił lodowate stopy na siedzeniu fotela, obejmując je udami. Przytrzymał ją opiekuńczym gestem. - Już od dłuższego czasu byłem w tobie zakochany. Będąc jeszcze w Nowym Orleanie, próbowałem to uczucie bagatelizować i wmówić sobie, że to tylko zadurzenie, ale w końcu musiałem sam sobie powiedzieć prawdę.

- To niemożliwe! - Alaina gwałtownie machnęła ręką w proteście. - Przeczy temu nasze małżeństwo! Gdybyś mnie kochał, nie żądałbyś takiego porozumienia.

- Pani, chyba raczysz żartować! - roześmiał się ze zdumieniem. - Nigdy niczego takiego nie żądałem.

- Wujek Angus powiedział, że tak było!

- A więc kłamał i usiłował nas ze sobą skłócić. Mam list od twego wujka, mówiący, że ty pragniesz małżeństwa tytularnego. I że nie przyjedziesz tutaj, jeśli się na takie porozumienie nie zgodzę. - Otoczył ją mocniej ramieniem. - Prawdopodobnie Angus postanowił pomieszać nam szyki, bo napisałem do doktora Brooksa i pani Hawthorne, prosząc ich o pośrednictwo w swych oświadczeniach.

- Ty napisałeś pierwszy? - Alaina badała nieprzeniknioną głębię niebieskich oczu.

- Pani Hawthorne napisała do mnie o twych kłopotach z Jacques'em. Stwierdziła, że jeśli twój los nie jest mi obojętny, powinienem zapomnieć o urazach i jakoś ci pomóc. Skorzystałem z jej rady i zaproponowałem małżeństwo. Gdyby do mnie nie napisała, straciłbym pewnie sporo czasu na szukanie jakiegoś pretekstu, by cię poprosić o rękę.

- Takie to było dla ciebie trudne? - spytała.

- W Nowym Orleanie tak zdecydowanie odpychałaś moje zabiegi. Bałem się, że mnie nie przyjmiesz, chciałem mieć większą pewność.

- Naprawdę chciałeś się ze mną ożenić? - spytała zdumiona.

- Droga pani, chciałem cię zdobyć w każdy dostępny mi sposób. To szczerą prawdą.

Oczy Alainy wypełniły się łzami, a złość roztopiła się w ciepłe uczucie, jakie ją ogarnęło. Czy to możliwe, po tylu stoczonych bojach, że jemu na niej zależało? Czy o tym właśnie marzył przez całe miesiące życia z Roberta,

żeby ją, Alainę, objąć ramionami? Czy może już pozbyć się nieufności i być dobrą, czułą kobietą, taką jaką zawsze chciała być dla niego?

Nieśmiałym ruchem objęła go za szyję i skwapliwie pozwoliła jego ustom spocząć na swoich wargach. Powoli rozchyliła je i poddała się żarowi pocałunku.

Potem cofnęła się delikatnie i opierając czoło o jego policzek, próbowała zebrać skołatane myśli. Musiała je sobie poukładać. Wszystko działo się w takim szybkim tempie, a ona zawsze wolała być ostrożna w obnażaniu swych najskrytszych uczuć. Tak długo je ukrywała, że trudno było naraz wszystko zmienić.

Jej mocno bijące serce powoli się uspokajało i chcąc zyskać na czasie, zmieniła temat.

- Ten dom... opowiedz mi o nim. O swojej rodzinie.

Cole odchylił głowę na oparcie fotela i spojrzął na obraz nad kominkiem.

- Niewiele jest do opowiadania. Dom zbudował mój ojciec dla mojej matki tuż po przyjeździe z Pensylwanii. Matka umarła, gdy miałem rok. Ojciec ożenił się powtórnie. Myślę, że chciał im zapewnić drugą matkę. Macocha zażądała wybudowania dla siebie lepszego domu. To ona zaprojektowała i wyposażyła ten, w którym teraz mieszkamy. Ojciec był zbyt zajęty pacjentami, by wtrącać się do budowy, dopóki jej nie ukończono. Ona jednak też musiała być nieszczególnie zadowolona z nowego domu, bo w pół roku po jego zbudowaniu uciekła z jakimś hazardzistą. Więcej jej mój ojciec nie widział. Można powiedzieć, że był raczej zawiedziony. Wyjeżdżając, zabrała wszystkie pieniądze i kosztowności, do których miała dostęp. Ojciec wtedy przysiągł, że więcej nie dostanie od niego ani grosza. Wydiedział ją i wszelkie potomstwo, które mogła urodzić, twierdząc, że to jego.

Cole zanurzył twarz w miękko opadających, rdzawych włosach Alainy, a ona przytuliła się do jego szyi, mówiąc:

- Coś mi się zdaje, że panowie Latimerowie nie mieli szczęścia do kobiet... w każdym razie do tej pory.

Stoczyli już ze sobą tyle bitew, że Alaina pragnęła tylko rozkoszować się łagodnymi, tkliwymi uczuciami. Nie spieszyli się z powrotem do domu. Alaina, owinięta na tę krótką podróż futrem z bizona, nie zdawała sobie sprawy z mroźnego wichru i lodowatego deszczu. Do szczęścia i zadowolenia z życia wystarczała jej bliskość ukochanego mężczyzny.

Cole zatrzymał powóz przed domem i wniósł ją do środka owiniętą w futro. Zebrana w holu służba przywitała ich ze zmartwionymi twarzami. Jednak niepokój zaraz ustąpił miejsca radości, gdy Cole odwinął futro i ukazała im się cała i zdrowa Alaina. Mindy podeszła nieśmiało i złapała się jej spódnicy. Nie chciała puścić, dopóki Alaina nie zaprowadziła jej do łóżka, obiecując, że już nigdy nie będzie uciekała.

W jakiś czas później poszła do swojej sypialni i stanęła jak wryta. W pierwszej chwili pomyślała, że znowu ktoś płała jej figle. Z pokoju zniknęła szafa, szezlong i dywanik. Nie było nawet zegara nad kominkiem. Pokój wyglądał tak, jak go zobaczyła po raz pierwszy. Tylko przy kominku dostawiono parę wygodnych foteli.

Krążyła po pokoju, nie wierząc oczom. Już miała pełna oburzenia zbiec na dół, ale usłyszała Cole'a chodzącego w swojej sypialni. Coś jej w głowie zaświtało. Wiedziona przecuciem, przeszła przez łazienkę. Drzwi do Cole'a były otwarte na oścież. Zatrzymała się w nich. Wszystko było tutaj: szezlong stał przy oknie, lustro w rogu, jej szafa obok szafy Cole'a, a zegar na półce nad kominkiem, tak jakby był tam od zawsze. Podłogę, jeszcze rano gołą i zimną, teraz przykrywał miękki dywan przeniesiony z jej dotychczasowej sypialni.

Cole siedział przy wesoło trzaskającym kominku z kolanem zgiętym, by złagodzić ból w nodze. Podniósł oczy, gdy podeszła i stanęła obok, posyłając mu czułe, pełne blasku spojrzenie.

- Milordzie, gra pan ze mną w szachy, przenosząc moje figury na swoje pola.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- A jest lepszy sposób, żeby cię zwabić do mojej sypialni?

- Więc jesteśmy normalnym małżeństwem?

Udając zdziwienie, rzekł:

- Oczywiście, kochana. Czy miałaś kiedyś wątpliwości?

- Czasem tak. Ale to, co wydawało się kiedyś jedynie paskudnym interesem, zmieniło się w coś zbyt pięknego, żeby było prawdziwe.

- Pani Latimer, czy od tej pory będziesz ze mną dzieliła łóżko i sypialnię? - spytał.

- Poczekasz na mnie? - odpowiedziała nieśmiałym pytaniem.

- Nie siedź tam długo.

Alaina przez chwilę wybierała z szafy nocną koszulę, a potem przeszła do łazienki wyszykować się na tę noc z mężem. Wkładała właśnie szaroniebieską koszulę, gdy usłyszała, że Cole podchodzi do drzwi, jakby nie mógł się doczekać, kiedy skończy toaletę. Po dłuższej chwili odszedł, a ona jeszcze szybko wyszczotkowała swe jedwabiste i lśniące włosy.

Nie upłynęło wiele czasu, a znów podszedł do drzwi i czekał. Otworzyła, kończąc czesać włosy. Stał po drugiej stronie, wysoki i szczupły w długim aksamitnym szlafroku. Obrzucił ją od stóp do głów gorącym spojrzeniem. Patrzył długo, z podziwem, zatrzymując wzrok na piersiach prześwitujących zalotnie przez koronkę i z uwielbieniem chłonąc głodnymi oczami jej kobiece kształty dostrzegalne przez koszulę. Jedną z tych kupionych przez niego.

- Jesteś piękna - szepnął z zachwytem.

Uśmiechając się nieśmiało, Alaina wyciągnęła rękę i jednym pociągnięciem rozwiązała mu pasek szlafroka. Rozchyliła szeroko jego poły i przybliżyła się do nagiego ciała Cole'a, zarzucając mu ręce na szyję. Stopili się w gorącym uścisku i odnaleźli swe spragnione pocałunków wargi. Potem Cole wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, a w jego puchowych miękkościach znów połączyli się ze sobą jak mąż i żona. Dla Alainy było to jak powrót do domu po całych wiekach wygnania. On był teraz jej domem i w jego ramionach czuła się bezpiecznie.

38

Bezlitosna dłoń czasu błyskawicznie wymiatała z życia dzień po dniu poprzez kolejne miesiące, choć teraz żal było każdej nazbyt szybko minionej godziny. Na szczęście te, które dopiero miały nadejść, obiecywały coraz większe i głębsze uniesienia.

Tego ranka Alaina długo ociągała się z opuszczeniem ciepłego, wygodnego łóżka. Wspominała spędzone w nim w ciągu całego ostatniego miesiąca cudowne chwile w ramionach Cole'a i robiło jej się ciepło na sercu. Co wieczór ogień miło trząskał w kominku, a oni przytuleni do siebie zapominali się całkowicie w pocałunkach i pieszczotach lub rozmawiali cichutko o sprawach bliskich sercu lub o wspólnych przeżyciach. Z uśmiechem dotknęła wiszącego znów na jej szyi medalionu. Po dodaniu paru szlachetnych kamieni był jeszcze piękniejszy, a napis pozostał ten sam: WŁASNOŚĆ C. R. LATIMERA. Teraz, gdy byli prawdziwym małżeństwem, Alaina czuła do Cole'a jeszcze większą miłość. Choć trudno jej było się do tego przyznać, bo na przeszkodzie stały duma i uprzedzenie, już dawno miłość wyparła z jej serca wszelką nienawiść i nietolerancję.

W końcu jednak podniosła z ziemi koszulę nocną, założyła ją przez głowę i zarzuciła szlafrok. Przypomniała sobie, że tej nocy Cole był niespokojny. Bardzo bolała go noga po poślizgnięciu się na obluzowanym kawałku chodnika na schodach. Gdyby nie to, że upadł na poręcz i zdołał się jej złapać, pewnie z całym impetem spadłby na dół. Gdy się rozbierał, widziała na jego chorym udzie podłużny czarny siniak. Zapomniała o tym, gdy podszedł i zaczął zdejmować z niej koszulę, którą tuż przedtem założyła. Na wspomnienie tego, co nastąpiło potem, jeszcze teraz z rozkoszy spłonęła rumieńcem. Nie tak dawno wydrapałaby oczy każdemu, kto śmiałby sugerować, że niebieskobruchy Janke stanie się jej oczkiem w głowie. Dziś przesłaniał jej cały świat.

Lekko stąpała w dół po schodach stopami odzianymi w ranne pantofle. W połowie drogi zatrzymała się zaskoczona. Przed zamkniętymi drzwiami gabinetu znów jak kiedyś stał na straży Miles i nikogo nie wpuszczał do środka. Służący niepewnie i przeprasząc spojrział w jej zmartwione oczy. Tak samo jak przedtem nie wolno jej było zakłócać prywatności męża.

- Proszę pani, doktor Latimer bardzo przeprasza - rzekł skrzepowanym i zbolalym tonem - i błaga panią o przebaczenie. Nie będzie mógł zjeść razem z panią śniadania.

Alaina wypełniała sobie dzień najlepiej jak potrafiła. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Cole nadal zamyka się przed nią w gabinecie i ustawia na zewnątrz wartowników. Wkrótce kamerdynera zastąpił Olie. Na widok stangreta męża z rękami podpartymi pod boki Alaina poczuła rozdrażnienie i rzuciła mu gniewne spojrzenie. Mężczyzna kręcił się niespokojnie na fotelu, gwizdał coś prawie bezgłośnie i wpatrywał się we własne stopy.

Przez cztery dni z rzędu służący strzegli niestrudzenie drzwi gabinetu. Mijał już piąty, gdy Alaina straciła cierpliwość. Zza pilnie strzeżonych, wciąż zabarykadowanych drzwi dochodził słaby, łamiący się głos męża. Jej zdaniem Cole przesadzał już z tym picciem w samotności, podczas gdy ona umierała z tęsknoty w pustym małżeńskim łóżku.

To właśnie Peter miał nieszczęście pełnić wartę przy drzwiach po południu, gdy urażona duma Alainy sięgnęła zenitu. Zeszła do holu zdecydowana położyć kres niemądrym kaprysom męża. Młodzieniec bał się bardzo pierwszej pani, ale tę nową wprost stawiał na piedestale. Traktował ją jak małą, delikatną i kruchą porcelanową figurkę. Był od niej młodszy zaledwie o kilka miesięcy, lecz jego życie przebiegało w izolacji od świata i nie znał jeszcze druzgocącej potęgi kobiecych sztuczek.

Serce mu waliło, gdy podeszła do niego z uśmiechem mogącym roztopić lód na Grenlandii. Zerwał się na równe nogi, nie zważając na upuszczoną książkę.

- Siedź, Peterze - przykazała mu słodkim tonem. - Chciałam tylko zamienić słówko z doktorem.

Peter odruchowo posłuchał, lecz po chwili przypomniał sobie powód, dla którego pilnuje drzwi.

- Och, proszę pani. - Pospieszył zasłonić jej wejście. - Doktor Latimer rozkazał... och... nie wpuszczać pani.

- Naprawdę, Peterze? - Alaina delikatnie dotknęła klapy surduta młodzieńca i zauważyła, że ma on trudności z oddychaniem. - Wiesz przecież o tym, że mąż nie może mieć przed żoną żadnych sekretów. Ja rozumiem, że doktor lubi od czasu do czasu napić się dobrej brandy, i nie mam o to pretensji. Ale takie picie kompletnie nie ma sensu. Muszę z nim o tym pomówić!

- Och, nie, proszę pani! Nie chodzi o picie... to znaczy... częściowo, jak sądzę, ale chodzi bardziej o...

- Peterze! - zabrzmiało w ciszy korytarza z ust nadchodzącego z tyłów domu Milesa. - Wiesz, co przykazał doktor Latimer.

Choć Miles powiedział to z naganą w głosie, Peter był w gruncie rzeczy zadowolony, że ktoś przyszedł mu na

odsiecz. Miles stanął obok młodzieńca w przesadnie sztywnej pozie gorliwego kamerdynera.

- Naprawdę macie zamiar nie wpuścić mnie do męża? - spytała Alaina z niedowierzaniem.

- Tak, proszę pani - odparł stanowczo Miles. - Na jego własny rozkaz mamy mu zapewnić spokój. - Miles spoglądał na boki, jakby szukając jakiejś odpowiedniej przeciwko niej broni.

Alaina spokojnie wzięła fotel Petera, przesunęła go spory kawałek przez korytarz i ustawiła w rogu, przodem do wyjścia. Wróciła i stanęła przed dwoma mężczyznami, którzy zaczęli drżeć pod jej groźnym spojrzeniem.

Wskazała ręką na fotel.

- Peterze, usiądź tam.

Choć mówiła łagodnie, w jej głosie wyczuwali coś, co nie dopuszczało żadnego sprzeciwu. Peter posłuchał jej z ochotą i na posterunku został sam Miles. Patrzył w dal przed siebie, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Milesie - zaczęła delikatnym, jedwabistym głosem.

- Tak, proszę pani? - Prawa ręka zaczęła mu drżeć nerwowo.

- Czy uważasz się za dżentelmena? - Alaina chodziła przed nim tam i z powrotem.

- Oczywiście, proszę pani - obruszył się. - Z jednej z najlepszych szkół w Anglii i z jednej z najlepszych rodzin. Uczyłem w kilku szkołach na kontynencie.

- Ach, doprawdy, jesteś profesorem! - ucieszyła się Alaina. - Sztuk męskich, czy tak?

- Tak, proszę pani. Można tak powiedzieć.

- I jesteś dżentelmenem starej daty?

- Tak, proszę pani.

Alaina zatrzymała się dokładnie naprzeciwko kamerdynera i oparła ręce na biodrach. Patrzył na ścianę ponad jej głową i pot płynął mu po twarzy.

- Czy kiedykolwiek uderzyłeś niewiastę? - Głos jej przybrał surowy odcień.

- Nie, proszę pani! Oczywiście, że nie! - Był przerażony.

- Czy kiedykolwiek używałeś siły wobec niewiasty?

- Nie, proszę pani!

- Czy uważasz mnie za damę?

- O tak, proszę pani. Stanowczo tak. - Głos mu się załamał, bo wyczuł pułapkę. Nastąpiła długa przerwa, w której słychać było jedynie stukanie czubka buta Alainy o podłogę.

- Więc proszę, odsuń się, Milesie - rozkazała. - Albo zaraz zrujnuję twoją dobrą reputację.

Mrugając nerwowo, spojrzął jej prosto w oczy, lecz nie dostrzegł w nich litości. Były stalowoszare. Chcąc nie chcąc, odsunął się na bok od drzwi.

- Tato! - rozległo się w korytarzu żalosne wołanie Petera.

W momencie, gdy Alaina kładła dłoń na gałce drzwi, z kuchni wparował Olie. Pod brodą miał serwetkę, a usta pełne jedzenia.

Chwytną zasuwkę, Alaina odwróciła się do niego i zapytała zdziwionym wzrokiem, o co chodzi. Możliwość interwencji Oliego była mniej więcej taka sama jak dwóch pozostałych mężczyzn. Cała trójka stanęła bezradnie, patrząc, jak otwiera drzwi i wchodzi do gabinetu.

Zasłony były szczelnie zasunięte, a w środku panował przyprawiający o mdłości zaduch, w którym zapach whisky mieszał się ze stęchłym smrodem cygar. Alaina zaczęła się dusić od kaszlu. Cole chodził w kółko po

brzegu okrągłego dywanika przed kominkiem. Na dźwięk kaszlu rozejrzał się i dostrzegł ją w mroku pokoju.

- Do licha, Alaino - warknął na nią. - Wyjdź stąd!

Alaina dokładnie zamknęła drzwi i oparła się o nie, wpatrując się w męża z odrazą. Trudno było w nim poznać tego schludnego, zadbanego mężczyznę, jakiego zawsze dotąd widziała. Twarz pokrywał kilkudniowy zarost; na sobie miał długi do kostek, luźny szlafrok. Oczy zapuchnięte, przekrwione, o czerwonych obwódkach. Usta wykrzywione grymasem cierpienia. Podpierał się czarną laską.

- Czy nie czas już, byś się ocknął, doktorze Latimer?!

- Kobieto, zostaw mnie w spokoju! - zażądał z agresją w głosie. Przejechał laską po stojącym między nimi stole i rzucił z niego wszystko na podłogę. - Wynoś się, bo rozkażę służącym, żeby cię wyrzucili!

- To się na nic nie zda - odpowiedziała ze spokojem. - Bardziej się boją mnie niż ciebie.

- Właśnie widzę! Ta cała banda nie potrafi utrzymać jednej baby z dala od tego pokoju! Jeśli nie mogę polegać na służbie, sam się tym zajmę! - począł się odgrażać. Lecz gdy ruszył w jej stronę, Alaina z przerażeniem zobaczyła, z jakim trudem chodzi. Ciągnął za sobą bezwładnie prawą nogę i posuwał się z trudem, zaciskając zęby z bólu.

- Cole'u! - Z obawy o niego ruszyła mu naprzeciw. - Pomogę ci.

- Nie! - krzyknął, nie pozwalając się przytrzymać. Zawstydzony swym okropnym wyglądem, chciał zrobić unik, lecz laska pośliznęła się na gołej podłodze i Cole przewrócił się na żonę. Ta nie była w stanie go utrzymać i upadła razem z nim. Uderzywszy o podłogę, Cole przeturlał się dalej od niej. Skręcał się z bólu i z całej siły zaciskał zęby, żeby nie krzyzczeć. Alaina podniosła się na kolana i uklękła obok niego na piętach. Z przerażeniem patrzyła na odsłoniętą przez rozchylony szlafrok prawą nogę. Cole był pod spodem nagi, gdyż żadne spodnie nie dałyby się wcisnąć na spuchnięte udo. Było dwa razy grubsze niż lewe i całe purpurowosine. Wyglądało strasznie i palce Alainy trzęsły się, gdy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć nabrzmiałej skóry.

- O Boże, Alaino - wykrztusił Cole, rozpaczliwie usiłując się zasłonić. - Pozbawiasz mnie godności.

- Czy dlatego tu się zamykasz? - pytała z niedowierzaniem. - Z powodu wyglądu nogi?

- Muszę cały czas chodzić, żeby pobudzać krew w nodze do krążenia. I modłę się, by jej nie stracić.

Alainę ogarnęły mieszane uczucia. Czuła ulgę, a zarazem gniew, że tak bezsensownie się od niej izolował.

- I sądziłeś, że z tego powodu źle o tobie pomyślę? - Niedowierzająco wskazała na chorą nogę.

- Nie byłabyś pierwsza.

- Mówiłam ci już, Jankesie, ja nie jestem Roberta! - To mówiąc, wstała i podeszła do drzwi, otwierając je raptownie. - Olie! Miles! Peter! Chodźcie tu, szybko!

- Alaino! - protestował Cole, usiłując wstać. - Zamknij te drzwi!

Alaina dostrzegła panią Garth idącą przez korytarz ze świeżą dostawą brandy. Pokazała jej głowę na schody.

- Proszę to zanieść do sypialni.

- Do licha, kobieto! - krzyczał Cole. - Potrzebuję tego dla zabicia bólu!

Jednak żona zignorowała jego krzyki i odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla trzech wchodzących mężczyzn.

- Proszę natychmiast zanieść doktora na górę i położyć go na łóżku.

- Tylko spróbujcie! - zagrzmiał. - Wszystkich was zwolnię, jeśli tylko do mnie podejście!

Olie spojrział z z troskaniem na Alainę, która śmiało zripostowała:

- Ja was przyjmę z powrotem. - I machnęła ręką na męża. - A teraz już dość tego zastanawiania, proszę go

zabrać na górę. Na miłość boską, nie bójcie się! Jest was trzech na jednego!

Cole wymachiwał laską jak szablą, rzucając przekleństwa, od których Peterowi czerwieniły się uszy. Miles i Olie przenosili niepewny wzrok z pana domu na panią, w nadziei, że gniew, którego będą musieli zaraz dostąpić, nie będzie trwał wiecznie. Tak czy inaczej, spodziewali się najgorszego.

Olie postąpił do przodu, nerwowo pocierając palcem czubek nosa, i spojrzął z góry na swego pracodawcę.

- Pani mówi: wziąć na górę, to bierzemy na górę!

Wiązanka bluźnierstw leciała na głowy Oliego i Petera, którzy podnieśli Cole'a, oraz na Milesa podtrzymującego mu nogę. Gdy tylko ułożono go bezpiecznie na łóżku. Cole uświadomił sobie kolejne zagrożenie. Był całkowicie zdany na łaskę żony. Ona teraz rozkazywała, i to z taką łatwością, jakby się do tego urodziła.

- Pani Garth, proszę wywietrzyć w gabinecie i przypilnować, żeby tam dokładnie sprzątnięto. Peterze, przynieś gorącej wody do kąpieli i postaw jeden jej kociołek tutaj na kominku. Potrzebuję też trochę płóciennych ręczników. Miles i Olie niech przyniosą na górę fotel doktora z gabinetu. Przyda mu się tutaj. Przynieście mi również wiadro świeżego śniegu z lodem.

Cole nawet nie zdążył zaprotestować, a służący już popędzili wykonać jej polecenia. Zapytał z obawą:

- Teraz, gdy masz mnie już na górze, co zamierzasz zrobić?

Alaina odwinęła kołdrę i podłożyła mu pod kolano kilka poduszek.

- Nie chciałabym cię pouczać, kochanie, ale wydaje mi się, że lekarz powinien się lepiej troszczyć o swoje zdrowie, niż ty to robisz.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - nalegał.

- Czy mógłbyś zdjąć szlafrok, zanim zacznę robić okłady? Jak chcesz, mogę ci podać czystą nocną koszulę.

- Okłady? - Cole podniósł się z wrażenia.

- Gorące i zimne na zmianę, żeby spędzić opuchliznę. Tyle wiem na temat domowych sposobów. - Wyciągnęła rękę. - Poproszę szlafrok. Chcę cię obejrzeć całego. Po zrobieniu porządku z nogą ogolę cię i wykąpie.

- Nie jestem inwalidą, droga pani - zapewnił. - Mogę się sam wykapać.

- Miałbyś trudności z wejściem do wanny. Będzie prościej, gdy wymyję cię tutaj.

Zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Całego?

Alaina popatrzyła mu w oczy.

- Z kilkoma miejscami sam sobie poradzisz.

- Zburzyłaś moje nadzieje.

- Należy ci się - besztła go, uśmiechając się ukradkiem. - Ktoś, kto tak zaniedbał chorą nogę, zasługuje wyłącznie na solidne zmycie głowy.

Cole ponownie zwątpił w jej dobroczynne intencje, gdy przyłożyła mu do nogi grudę śniegu. O mało nie zerwał się z łóżka. Jakby to nie wystarczało, po chwili omal go nie poparzyła, tym razem parującym ręcznikiem wyjętym prosto z gorącej wody.

- Uważaj z tym! - wykrzyknął. - Możesz zniszczyć nasze szanse na powiększenie rodziny.

- Będę uważała - przyrzekła Alaina ze skrucą. - Ale o to nie musisz się martwić, kochanie.

Olie i Miles wtaszczyli wielki fotel Cole'a, gdy Alaina kończyła zmieniać kompresy. Cole okrył swą nagość i przyglądał się. Przemeblowanie to zapowiadało zmianę jego własnych zwyczajów. Nie będzie już mógł zamykać

się w samotności, ale w końcu już mu to wcale niepotrzebne. Rysowała się przed nim znacznie przyjemniejsza perspektywa, jaką było zamknięcie się w sypialni z ponętą młodą kobietą.

Choć nie miała żadnego wykształcenia pielęgniarckiego, ze swą odrobiną wiedzy medycznej Alaina spisła się na medal. Do wieczoru nie było śladu po opuchliznie i Cole mógł wreszcie leżeć spokojnie z nogą ułożoną wysoko. Żeby udobruchać Alainę, pozostał w łóżku cały następny dzień. Kolejnego ranka jednak żadna siła już nie zmusiła go do leżenia.

39

Grudzień zawitał w całej pełni do Minnesoty. Północny wiatr powiał śnieżnym oddechem i przykrył wszystko białym płaszczem. Mindy, która jak dotąd nie poznała jeszcze radosnych wydarzeń związanych z zimą, z zachwytem słuchała opowieści Alainy o nadchodzących świętach. Zawczasu powiesiła w salonie pończochę i niecierpliwie oczekiwała dnia, w którym wypełni się prezentami. Tymczasem Alaina starannie przerobiła resztki nadpalonej czarno-żółtej sukni wieczorowej na małą sukienkę dla nowej porcelanowej lalki, którą dziewczynka otrzymała od Cole'a. On zaś zbudował drewnianą kołyskę dla starej lalki szmacianej. Prezenty schowali na strychu, gdzie czekały na swój dzień.

Pewnego dnia odwiedził ich ponownie Horace Burr i od tej pory Cole nie mógł się doczekać Bożego Narodzenia, kiedy to postanowił wręczyć swej żonie wyjątkowy prezent. Alaina, oprócz smokingu uszytego dla męża, też przygotowywała niespodziankę. W związku z tym wysłała służącego do Braegara Darveya z prośbą, by zajrzał do niej na chwilę w czasie, gdy Cole będzie załatwiał interesy w St. Cloud.

Nie przewidziała jednak, że mąż tego dnia skończy w mieście wcześniej i niespodziewanie wróci do domu. Już sam widok konia Braegara wystarczył, by zepsuć mu humor, a gdy zobaczył, że drzwi do salonu są zamknięte, ożyła w nim dawna zazdrość. Jeśli łącząca ich przyjaźń nie była w stanie go powstrzymać od uwiedzenia Roberty - myślał - to tym bardziej będzie próbował zalecać się do znacznie atrakcyjniejszej Alainy. Cole był zdecydowany do czegoś takiego nie dopuścić.

Szybko wyminął kamerdynera i szarpnął rozsuwane drzwi do salonu, otwierając je szeroko. Braegar siedział na fotelu i pochylał się w stronę Alainy tak, że prawie dotykał głową jej głowy, wymachując trzymanym w ręce kieliszkiem. Gdy Cole stanął w drzwiach, wyprostował się i obojętnie popijał trunek.

Cole wręczył kapelusz Milesowi i zrzucił z ramion palto. Patrząc szyderczo, oparł łaskę o nogę i zaczął zdejmować rękawiczki. Alaina wstała niepewnie i odruchowo wygładzając suknię, ruszyła w jego stronę ze spuszczonej oczami i zaróżowionymi ze wstydu policzkami.

- Na Boga! - wykrzyknął Cole chrapliwie. Jej widocznego zmieszania nie umiał sobie wytłumaczyć inaczej niż poczuciem winy. Spojrzał na Braegara z wyrzutem. - Ile razy wyjdę z domu, po powrocie zastaję cię flirtującego z moją żoną. Po twoim nachalnym uwodzeniu widać, że od dawna nie miałeś kobiety.

Alaina zrobiła wielkie oczy i oburzyła się.

- Cole'u! Jak możesz coś takiego mówić?

- Bo znam tego łobuza!

- To ja go tu zaprosiłam - oświadczyła kategorycznie Alaina.

Cole dyszał emocją wywołaną nagłym i ostrym ukłuciem zazdrości w sercu. Z przekąsem rzucił:

- Chętnie usłyszę coś więcej na ten temat, moja pani, bo wiem, że ty nie potrzebujesz takich zalotów.

Insynuacje Cole'a, akurat w tym momencie, szczególnie ubodły Alainę.

- Ty dumy ośle! - wykrzyknęła i wybuchając płaczem, wybiegła z pokoju przez korytarz. Zarzuciła na ramiona pelerynę i trzaskając drzwiami, wyskoczyła z domu.

Cole chciał za nią pobiec, lecz Braegar dopadł go przy wyjściu i, mając przewagę co najmniej czterdziestu kilogramów, przycisnął go z całej siły twarzą do drzwi.

- Twoja żona prosiła mnie o poradę lekarską, doktorze Latimer - wycedził Irlandczyk. - Chciała być pewna co do odczuwanych objawów, zanim poruszy ten temat z tobą. Czy ci się podoba, czy nie, w lecie, chłopie, zostaniesz ojcem.

Cole wytrzeszczył oczy i w nagłym przypływie siły odepchnął potężniejszego od siebie mężczyznę. Otworzył drzwi i wybiegł na ganek. Sanie z uciekinierką były już daleko od domu. Pejczem ponaglała klacz, ignorując wołanie męża.

- Alaino! Zaczekaj!

Przy domu pozostał jedynie wierzchowiec Braegara, lecz fakt ten bynajmniej Cole'a nie zniechęcił. Jak na kontuzjowanego mężczyznę zbiegł ze schodów w okamgnieniu, chwycił cugle i wskoczył na konia. Rumak ślizgał się na zamarznętym śniegu, zataczając szerokie koło, i z trudem pozwalał się utrzymać obcemu jeźdźcowi. Cole dźgał obcasami boki zwierzęcia, które wreszcie zrozumiało powagę sytuacji, wyrwało do przodu i pognało za uciekającymi saniami. Wkrótce Cole zrównał się z żoną i zawołał, by się zatrzymała, lecz ta tylko jeszcze mocniej świsnęła pejczem. Ścigali się na złamanie karku po pochyłej i śliskiej drodze. Cole poganiał konia, chcąc zmusić klacz Alainy do zjechania z drogi na bok, tam gdzie był głęboki śnieg i krzaki. Wreszcie mu się to udało i klacz zwolniła, a po chwili sanie, zaczepiając o pokryte śniegiem niskie krzaki, zmusiły ją do postoju. Rumak Braegara zrobił jeszcze kilka zamaszystych kroków, wyginając szyję w łuk. Cole z trudem zatrzymał rozpędzonego konia i zeskoczył na ziemię.

Alaina wylądowała z saniami w śnieżnej zaspie. Wstała i zgarniając biały puch z twarzy i ubrania, dyszała ciężko. Prawie bez tchu, szlochała.

- Ty niebieskobrzechy, wstrętny rzezimieszku, ty jankeski rzeźniku!

Chwyciła lejce, by zmusić klacz do wyciągnięcia sań ze śniegu, lecz Cole podbiegł do niej, wołając:

- Alaino, uspokój się, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Podbiegł do pyska wystraszonego zwierzęcia i sięgnął, by złapać za uzdę. Ale robiąc to, pośliznął się i uderzył w koński bark. Klacz cofnęła się, wrywając mu uzdę, a Cole przewrócił się na plecy tuż pod jej kopyta. Alaina zerwała się z krzykiem. Zwierzę opadło kopytami w dół, lądując jednym z nich na prawym udzie Cole'a. Rozległ się trzask łamanej kości, po czym mroźne powietrze zatrzęsło się od straszliwego krzyku bólu, jaki dobył się z ust Cole'a.

Alaina w panice wyskoczyła z sań i zapominając o swym własnym bezpieczeństwie, wybiegła przed konia i krzycząc oraz wymachując rękami, zmusiła zwierzę do cofnięcia się. Gdy klacz znalazła się z powrotem na drodze, stanęła tam, parszkając i drżąc, lecz powoli się uspokajała. Cole zaś leżał na śniegu, wijąc się i szczękając zębami z bólu. Alaina ukłękła przy nim i chwyciła go za ramiona.

- Och, Cole'u, ukochany, nie ruszaj się - szeptała żarliwie. - Jeszcze sobie pogorszysz.

Złapał ją za kołnierz peleryny i przyciągnął do siebie, przyciskając twarz do jej piersi, jakby czerpał stamtąd siłę woli.

- To bestia! - wycedził przez zgrzytające zęby. - To przeklęta bestia! Pewnie przez nią stracę nogę.

- Cicho, najdroższy - prosiła Alaina. Wsunęła poję swęj grubej peleryny pod jego lekko odziane plecy, resztę owinęła go szczelnie, a kaptur zrolowała i podłożyła pod głowę. Sama zatrzęsa się z zimna, pozostając tylko w sukni z aksamitu. - Nie próbuj się ruszać. Jadę z powrotem po pomoc.

- Czekaj! - jęknął Cole w nagłym przypiływie paraliżującego strachu.

Alaina pochyliła się nad nim, trzymając go za rękę.

- Jadę sprowadzić pomoc - zapewniła go spokojnie. - Za chwilę będę z powrotem.

- Alaino - wykrzywił się, przeszyty nagłą falą bólu, ale mężnie starał się go opanować. - Przepraszam... za to, co powiedziałem. To dlatego, że... już raz cię straciłem... i nie chcę cię stracić znowu. Nie mogę ufać Braegarowi. On uwiódł Robertę... i ona zaszła z nim w ciążę... a on potem wysłał ją do jakiejś pokątnej akuszerki, żeby się tego pozbyła.

Nareszcie wszystko zrozumiała i natychmiast przestała czuć do niego urazę o to, co uprzednio mówił. Nie wierzyła wprawdzie w to, że Braegar mógł postąpić tak podle - uwieść żonę najlepszego przyjaciela i doprowadzić do jej śmierci, ale pojęła, że Cole wierzy w prawdziwość swoich oskarżeń.

Ze łzami w oczach podciągnęła mężowi okrycie pod brodę.

- Mówiłam ci już, Jankesie, że ja nie jestem Roberta, i nie robię tego samego, co ona.

- Już nigdy nie będę cię z nią porównywał - stęknął, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Myśl o tym i czekaj tu na mnie - wyszeptala, gładząc go po policzku i patrząc w przejrzyste niebieskie oczy.

- Niedługo będziemy mieli dziecko i wtedy przestaniesz wąpić w moją wierność, bo ono będzie miało najwspanialsze, o najczystszy bękicie oczy na ziemi.

- Ona! - poprawił Cole. Przerwał na chwilę, zmagając się ze spazmem bólu rozsadzającym mu nogę, lecz zdołał dokończyć: - Mam ochotę na małą córeczkę z noskiem i ustami swojej mamy.

Alaina uśmiechnęła się z rozczuleniem i musnęła jego zsiniałe wargi. Wstała. Buciki jej ślizgały się na stwardniałym śniegu, gdy szła do wierzchowca. Chwyciła zwisające cugle i przerzuciła je przez grzywę konia; potem złapała się za róg wysokiego siodła i włożyła stopę w strzemię, żeby się podciągnąć. Nie było to łatwe do wykonania w oblekającej ją obfitej spódnicy. Wreszcie dosiadła konia i dźgnęła go mocno pod żebra obcasami swych lekkich pantofli, a ten wyrwał przed siebie zlodowaciałą drogą. Dojeżdżając do domu, machała rozpaczliwie rękami do Braegara, stojącego na ganku w oczekiwaniu na powrót swego wierzchowca.

- Zadzwoń trzy razy! - krzyczała. - Cole jest ranny!

Gdy w zimowym powietrzu dzwon zadzwonił na alarm, zawróciła konia i pognęła jak burza z powrotem. Kiedy zdyszany Braegar zbiegał z pochyłości wzgórza, trzymała już głowę Cole'a na kolanach. Irlandczyk szybko zdjął paltot i okrył nim Alainę, a potem zajął się złamaną nogą.

W chwilę później drogą od zabudowań gospodarczych nadjechał wóz pełen mężczyzn. Braegar kazał im przenieść Cole'a na wóz ostrożnie, żeby nie urazić nogi. Jednak kosztowało to rannego utratę przytomności. Zapadł w ciemną otchłań zapomnienia.

- To trudno - oznajmił Braegar. - Zawieźmy go do domu, zanim jeszcze bardziej ucierpi od zimna.

Braegar i Alaina pojechali z Cole'em na wozie, a Olive i Saul usiedli razem na koźle. Pozostali robotnicy wrócili pieszo na farmę. Gdy wóz podjechał pod dom, trzech mężczyzn wnieśli Cole'a do sypialni na piętrze. Miles przyniósł czarną torbę Braegara z kompletem narzędzi chirurgicznych, a Annie zagotowała parę kociołków wody. Pani Garth dostarczyła kilka butelek brandy i tak, jak jej polecono, zostawiła je obok łózka.

Braegar zdecydowanie wyprosił Alainę z pokoju, ale kazał pozostać Saulowi. Wiedział, że Murzyn ma więcej wiedzy na temat leczenia i uzdrawiania niż ktokolwiek z otoczenia, i zdecydował się skorzystać z jego pomocy.

Alaina czekała w swej dawnej sypialni, chodząc po niej niespokojnie i nerwowo wykręcając ręce. Minuty wydawały jej się godzinami, a godziny wiecznością. Za oknem już zapadał zmrok, gdy drzwi od łazienki skrzypnęły i wszedł Braegar ze złożonym kawałkiem płótna w dłoniach.

- To było czyste złamanie, łatwe do złożenia - powiedział.

- A dlaczego tak długo to trwało? - zapytała z obawą w głosie.

Braegar obracał płótno w dłoniach i uśmiechał się szeroko.

- Być może to było najszcześniejsze złamanie, jakie spotkało tego małpoluda. - Ostrożnie rozłożył płótno i pokazał jej wyszczerbiony i nieco zgięty kawałek szerniałego metalu. - Podjąłem sam decyzję, poszukałem trochę i znalazłem. Był obluzowany dzięki złamaniu. Boję się wprowadzić, że Cole'owi może go brakować, ale bez niego będzie się chyba jednak czuł lepiej.

- Czy on wróci do zdrowia? - nalegała.

Braegar ściągnął usta i powoli skinął głową.

- Jeśli nie wda się w to żadna infekcja, noga będzie sprawniejsza niż przedtem. - Wyjął z torby małą brązową fiolkę i włożył jej do ręki. - To jest laudanum. Jeśli będzie go bardzo bolało lub nie będzie mógł spać, wystarczy mała łyżeczka. Wiem, że tego nie znosi, ale to mu umożliwi odpoczynek, którego bardzo potrzebuje jego noga.

Alaina odprowadziła Darveya na dół.

- Przyjdzie pan jutro?

Braegar kiwnął głową i ubrał się w palto i kapelusz.

- Oczywiście. Za nic w świecie nie ominę takiej okazji. Nareszcie mam w ręku tego chuderlaka.

Zauważył jej uniesione brwi i roześmiał się serdecznie.

- Nie może mnie wyrzucić ani sam wyjść. Tym razem zamierzam wyjaśnić, co go gnębi, i raz na zawsze to z nim załatwić.

Chciała go ostrzec, że w oczach Cole'a sprawy wyglądają bardzo poważnie, lecz widząc Milesa oczekującego przy drzwiach na wyjście gościa, zrezygnowała. Nie chciała poruszać tak osobistych spraw przy służących, choć miała wątpliwości, czy i tak o wszystkim nie wiedzą.

Alaina zapadła w płytką drzemkę, z której wyrwało ją lekkie poruszenie w sypialni pana domu. Natychmiast oprzytomniała i wyskoczyła z łóżka w swej dawnej sypialni. Założyła pantofle, bo podłoga była bardzo zimna, i pobiegła do Cole'a przez łazienkę. Leżał w łóżku nieruchomo, choć w migotliwym świetle ognia z kominka widać było, że oczy ma otwarte. Alaina przeszła koło łóżka i dołożyła do ognia nowe polano. W swej dziewczęcej jeszcze naiwności zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak doskonale w blasku ognia jej naga sylwetka prześwituje przez cienką tkaninę koszuli. Nawet ból w nodze nie powstrzymał nagłego uderzenia krwi do łądźwi i przyspieszonego bicia serca u jej męża.

W milczeniu patrzył na swą żonę krzątającą się po pokoju, zafascynowany odcinającym się ostro przez materiał zarysem jej sztywno sterczących z zimna sutków. Zatrzymała się na chwilę przy łóżku i zobaczył w jej oczach ciepło i współczucie. Lecz jej ciałem w samej tylko cienkiej koszulce wstrząsały dreszcze. Cole wyciągnął rękę i odwinął kołdrę obok siebie. Alaina chętnie przyjęła zaproszenie. Gdy znalazła się tuż przy jego boku, oparła głowę na jego ramieniu i popatrzyła w twarz. Położyła dłoń na owłosionej klatce piersiowej i poczuła, jak mocno

bije mu serce.

- Kocham cię - szepnęła i westchnęła. - Chociaż tak trudno było mi się do tego przyznać, myślę, że kochałam cię już wcześniej, zanim pozbawiłeś mnie dziewictwa.

Cole uniósł brwi i w milczeniu spojrzał pytająco.

- Gdy wyjechałeś z Nowego Orleanu, coś we mnie umarło - przyznała nieśmiało. - Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Oboje zazналиśmy podobnej samotności - powiedział cicho.

- Nie musisz się obawiać o Braegara. Nigdy nie interesował mnie nikt poza tobą.

Powędrował dłonią w dół jej gładkich, smukłych pleców.

- Pewnie chcesz, żebym mu podziękował za wyreperowanie nogi.

- Nie zaszkodziłoby. - Sięgnęła za siebie do stolika i pokazała mu kawałek metalu, trzymając go pod światło ognia z kominka. - Braegar doszedł do wniosku, że możesz żyć bez tego. Powiedział, że złamanie obluzowało odłamek i wyjął go na własną odpowiedzialność.

- Zawsze robił wszystko po swojemu - stwierdził Cole lakonicznie.

- Dziwne, ale on powiedział to samo o tobie. - Alaina przejechała palcami po szorstkiej gęstwinie włosów na jego piersi. - Nie jesteś zadowolony, że go wyjął?

- Będę zadowolony, jeśli z tego nie wywiąże się nic gorszego.

- I powiesz mu, że jesteś wdzięczny? - badała delikatnie.

- Może.

- I wyjaśnisz, dlaczego się na niego gniewasz?

- Nie mogę zrobić obu tych rzeczy jednego dnia. Musiałbym naraz wyzbyć się i dumy, i gniewu.

- Spróbuj. - Ucałowała namiętnie jego wargi, przytulając się do niego tak mocno, że zdawało mu się, jakby jej małe, twarde sutki miały zaraz przebić jego skórę, mimo oddzielającego je materiału. Jęczał z rozkosznych meczami i wgrzyzał się dziko w jej usta, zapominając o wszystkim, nawet o przeszywającym bólu w udzie.

Potem Alaina znów krzątała się po sypialni, gdzie lampa rozświetlała już mroczną godzinę przedświt. Poprawiała ogień w kominku, ubierała się, czesała włosy. Siegały prawie do połowy pleców, opadając swobodnie gęstymi falami. Był to dla Cole'a widok tak miły, że czuł jednocześnie i pożądanie, i satysfakcję. Zanim zeszła na dół, by uzgodnić codzienne sprawy domu, pochyliła się jeszcze raz do jego ust. Ledwo Cole zdążył zatęsknić za jej radosną obecnością, już była z powrotem, niosąc śniadanie. Ustawiła przed nim wygodnie tacę, a sama usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok na łóżku i podjadała z jego talerza. Ożywione oczy żony i promienny uśmiech rozjaśniały Cole'owi poranek.

Gdy zabrała tacę i wyszła na jakiś czas, zajął się dotychczas ignorowaną przez siebie stertą medycznych publikacji. Pochłonęło go czytanie o nowych metodach leczenia. Po jakimś czasie zauważył kątem oka, że coś się dzieje przy drzwiach. Podniósł wzrok i zobaczył Alainę. Stała ze złożonymi rękami, z dziwnie niepewnym wyrazem twarzy. Bez słowa odsunęła się, przepuszczając kogoś do środka.

- Dzień dobry, doktorze Latimer! - Dźwięczny głos Braegara Darveya wypełnił nagle cały pokój.

- W każdym razie przez pewien czas był dobry - mruknął Cole pod nosem, choć zaraz zauważył kosę spojrzenie żony. Podciągnął się do siedzenia na tyle, na ile pozwalała mu niewygodna szyna, a Alaina podłożyła mu pod plecy kilka poduszek.

Przemierzając pokój, Braegar był w niezwykle pogodnym nastroju. Postawił czarną torbę na fotelu i podszedł się ogrzać do kominka, najpierw z przodu, później z tyłu. Następnie zgarbił się, spojrzął na Cole'a i unosząc poły surduta, zapytał wesoło:

- A jak się ma w ten jasny poranek mój szanowny pacjent?

- Obawiam się, że mój nastrój raptownie się pogorszył - bąknął Cole, unikając wzroku żony.

- Ech, chłopie, i o to właśnie chodzi. - Braegar demonstracyjnie ustawił fotel przodem do swego pacjenta, ale na bezpieczną odległość, przed fotelem postawił podnózek i dopiero zasiadł wygodnie. - Jestem głęboko przekonany, że to ja spowodowałem ostatnimi czasy ochłodzenie naszych stosunków. Ponieważ dobry Bóg pozwolił mi uwolnić twoją nogę od nieznośnego kawałka stali, wydaje mi się rzeczą słuszną, bym spróbował uwolnić nas obu od tej nieznośnej atmosfery, jaka między nami panuje.

- I właśnie zrobiłeś pierwszy krok? - wycedził Cole.

Braegar przytaknął i wyjął fajkę, by napełnić ją tytoniem. Kolejny krok należał do gospodarza.

Cole wziął Alainę za rękę.

- Kochanie, poproś Annie, by przygotowała dla nas kawę, może z odrobiną brandy. - Nie chciał, by była świadkiem jakiejś nowej sceny, gdyby przypadkiem znów zdenerwował się na Braegara.

- Powiedziałam już pani Garth, żeby przyniosła kawę i ciastka, a brandy stoi koło łóżka - odparła słodkim głosem.

- No więc może zajęłabyś się przez ten czas czymś ciekawszym - nalegał. - To będzie z pewnością długa i nudna rozmowa.

- Nie mam nic pilnego do roboty - zapewniła go uroczo niewinnym tonem. - Wolalabym raczej tu pozostać.

Braegar udał, że zakrztusił się dymem.

- Cóż, doktorze, zdecyduj się raz wreszcie, by to z siebie wyrzucić, bo uciec stąd nie możesz, a i żadne z nas nie kwapi się do wyjścia.

Cole złożył ramiona i oparł się o poduszki, a na jego twarzy odmalował się upór.

- Wobec tego wybieram milczenie.

- Przyszedłem do ciebie, żeby raz na zawsze to wyjaśnić - nie poddawał się Braegar. - Możemy o tym nie rozmawiać, jak chcesz, ale jeśli nie załatwię tej sprawy, będę tu jutro i pojutrze, i tak będzie dotąd, aż się zdecydujesz.

- Do cholery, człowieku! - wybuchnął Cole. - Czy spodziewasz się, że będę w obecności kobiety rozmawiał o szczegółach dotyczących twojej reputacji?

- Moja reputacja, jak sam dobrze wiesz, jest w dużej mierze wytworem plotek i czczych mrzonek. - Braegar ponownie przypalił fajkę i po chwili jego głowę otaczały pierścienie wonnego dymu.

- Chodzi nie tyle o reputację, co o zwykłą etykę. Mogę ci wybaczyć zdradę naszej przyjaźni i romans z Roberta, ale wysłanie jej do obskurnej akuszerki, gdy zaszła w ciążę, było z twojej strony doprawdy niegodziwym czynem.

Braegar znów zaczął się dusić dymem i kasłać nad fajką, aż zdmuchnięte iskry poleciały mu na spodnie. Gdy niebezpieczeństwo podpalenia zostało zażegnane, przeniósł z powrotem na Cole'a wzrok, wyrażający krańcowe zaskoczenie.

- Roberta?! - wykrztusił. - I ja?!

- Tak mi powiedziała - oznajmił Cole. - Na łożu śmierci przysięgała, że to ty byłeś ojcem.

- Ohydne kłamstwo! - stanowczo zaprzeczył Braegar. - Roberta mnie uwodziła, prawdopodobnie dlatego, że chciała cię zranić, ale przysięgam, Cole'u, że ja nie poświęcałem jej żadnej uwagi i nie robiłem z tego tajemnicy. Dwa razy wyprosiłem ją ze swego gabinetu, za co mnie szczerze znienawdziła. - Odłożył fajkę na bok i oparł łokcie na kolanach. - A z tamtą sprawą nie odważyłaby się przyjść do mnie, jak sugerujesz, bo wiedziała, że nie przyłożyłbym do tego ręki, nawet gdyby dziecko było moje.

- Cole'u - odezwał się łagodny i proszący głos Alaina. - Ja mu wierzę. Wiesz sam, że Roberta potrafiła kłamać, i to nawet na łożu śmierci. Mogła ci tak powiedzieć, żeby się zemścić za fotografię, którą znalazła w domku.

- Zemsta bywa okrutna - skomentował gorzko Braegar.

Gniew Cole'a powoli mijał.

- Masz rację co do Roberty. Nigdy nic nie robiła bezinteresownie. Do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale rzeczywiście ona nie przepadała za Braegarem... podobnie jak za mną.

- Lecz jeśli żaden z was nie był ojcem - myślała na głos Alaina - to kto mógł nim być?

- Tutaj, moja kochana, masz zupełną swobodę wyboru - odparł Cole. - Ja nie mam pojęcia i pewnie nigdy się nie dowiem.

- Zresztą to już nie ma znaczenia, skoro wyjaśniło się, że nie był nim Braegar. - Alaina pogładziła rękę Cole'a i spojrzała na niego znacząco. - Kochanie, czy nie miałeś przypadkiem porozmawiać z nim o jeszcze jednej sprawie?

Cole zmarszczył brwi, widząc, jak bez wysiłku nim manewruje. A on miękł coraz bardziej i wcale mu to nie przeszkadzało, bo najbardziej zaintrygowany był myślą o jej piersiach przyciśniętych mocno do jego ciała. Żeby nie pokazać po sobie, jak łatwo daje sobą rządzić, udał złość.

- Alaina mówi, że powinienem ci być wdzięczny za wyjęcie mi z nogi odłamka.

Braegar wzruszył ramionami.

- Byłem ciekaw. Saul powiedział, że metal zaklinował się w kości i nie można go wyjąć. Ale gdy go dotknąłem, ruszał się i byłem pewien, że się obluźował. Podjąłem ryzyko całkowitej utraty twojej przyjaźni, zrobiłem małe nacięcie i spróbowałem go wyjąć.

- Masz zręczne ręce, doktorze Darveyu - zauważył Cole całkiem szczerze. - Nie pamiętam, żebym czuł ból przy tej operacji. Mój własny ojciec nie zrobiłby tego lepiej.

Irlandczyk oblał się rumieńcem zadowolenia. Takie porównanie z ust Cole'a było nie byle jakim komplementem, bo ojciec cieszył się jego wielkim szacunkiem.

- Cole'u, tutejsza społeczność nie obraziłaby się za pojawienie się jeszcze jednego lekarza, gdybyś przypadkiem miał ochotę znów podjąć praktykę.

I pragnąc go przekonać, że jest taka potrzeba, Braegar zaczął obrazowo opisywać ostatnie przypadki chorób i nieprawidłowości, ran i zakażeń, pytając Cole'a o radę i pomoc. Wkrótce obaj mężczyźni pograżyli się w dyskusji i Alaina spostrzegła wielkie zainteresowanie na twarzy męża. Opisy Braegara były natomiast zbyt szczegółowe jak na jej wrażliwe uszy. Mężczyźni nawet nie zauważyli, kiedy wymknęła się z pokoju. Wyszła na chłodny korytarz i uśmiechnęła się sama do siebie. Była pewna, że Cole niebawem wróci do ukochanego zawodu.

W dzień Bożego Narodzenia w domu Latimerów od samego świtania zaczęło się wręczanie prezentów. Jeszcze światło dnia nie rozjaśniło nieba, a Cole pochylił się nad śpiącą żoną i obudził ją czułym pocałunkiem.

- Wesółych świąt, najmilsza - szepnął.

Przeciagnęła się leniwie i zamruczała jak kot, tuląc się do niego, gdy ją objął ramieniem.

- I ja tobie życzę wesółych świąt, kochanie - powiedziała jeszcze trochę przez sen.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Czy zgadniesz, co to może być?

- Czegóż jeszcze mogę chcieć, gdy mam ciebie, a w sobie noszę twoje dziecko? - Schowała nos w zagłębieniu jego szyi. - Czego jeszcze może pragnąć kobieta?

Cole sięgnął pod poduszkę, wyjął paczkę dokumentów i wręczył je Alainie. Zaskoczona, popatrzyła mu w oczy pytająco.

- A co powiesz na tytuł własności do Briar Hill?

Alaina westchnęła i błyskawicznie podniosła się na kolana. W podnieceniu mocowała się ze sznurkiem związującym dokumenty, jak dziecko żywiłowo rozpakowywała swój prezent. Wreszcie rozłożyła pergamin i przeczytała dokument. Informował on, że Alaina Latimer jest jedyną właścicielką majątku Briar Hill.

- Och, Cole'u - zatkała i łzy radości popłynęły jej po policzkach. Zarzuciła mężowi ręce na szyję i jeszcze płacząc, uściśnęła go gorąco. - Myślałam, że straciłam je na zawsze. Dziękuję ci, kochanie.

Nie kończąca się w północnej krainie zima zaczynała już wszystkim doskwierać. Potworne zimno utrzymywało się przez cały styczeń. Trzeszczący mróz zatykał gardło i napinał skórę. Po kilku minutach na dworze wargi sztywniały, a palce rąk i nóg zaczynały boleć. Toteż gdy wieczorem czwartego dnia drugiego miesiąca roku Cole oznajmił, że następnego ranka jedzie na północ na farmę Prochavskich, Alaina poważnie się zaniepokoiła.

- Za tydzień mija termin porodu Gretchen - wyjaśnił Cole. - Będzie spokojniejsza, mając przy sobie lekarza. Jak wszystko dobrze pójdzie, najwyżej za dwa tygodnie będę z powrotem.

Alaina milczała wymownie, a jej wyobraźnia już formowała tuzin różnych wizji dotyczących Cole'a, jak utkwiał w zamieci, cały pokryty soplami. Przypominała sobie wszystkie jego ostrzeżenia na temat niebezpieczeństw podróży w tym surowym klimacie.

- Wydałem odpowiednie polecenia co do opieki nad tobą. Olive lub Saul będą zawsze spali w domu, żebyś się nie musiała bać.

Przerwał, widząc w jej bystrych szarych oczach przebłyśki buntu.

- A kto się będzie opiekował tobą, milordzie Jankesie? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale na dworze jest trochę mroźno. Chyba nie pozwolę ci jechać beze mnie.

Na wargach Cole'a błąkał się lekki uśmiech, choć starał się być poważny.

- Kochanie, naprawdę tutaj będzie ci lepiej, no i bezpieczniej. W twoim stanie musisz o siebie dbać.

Zadarty nos Alainy powędrował jeszcze wyżej, wyrażając niezwykłą pewność.

- Mam całkowite zaufanie do twojej opieki nade mną.

- Ale bylibyśmy tylko sami we dwoje pośród dzikich ostępów przez całe dwa dni w jedną stronę i dwa dni z powrotem.

- Tym bardziej będziesz potrzebował towarzystwa, a Gretchen na pewno przyda się kobieca dusza pośród tych wszystkich drwali, czy jak ich tam nazywasz.

Cole wyczuł nieugięty upór w jej wysuniętej brodzie i mocne postanowienie w spojrzeniu.

- Widzę, że nie masz zamiaru ustąpić.

- Otóż to, drogi panie. Dokładnie tak, jak powiedziałaś. Już raz cię straciłam. Drugi raz nie chcę. Poza tym udowodnił mi już, że lepiej troszczymy się o siebie nawzajem niż każde z osobna. To powinno cię przekonać, że nie wolno nam się rozdzielać.

Uniósł brwi z rozbawieniem.

- Bardzo sprytnie wykorzystałaś moje własne argumenty. Pozostaje mi tylko spełnić twoje żądanie.

Twarz Alainy rozpromieniła się łagodnym ciepłem i czułością. Wstała ze swego fotela i podeszła do niego, półleżącego na bocznym oparciu kanapy. Objęła go za szyję, a on otoczył ją ramionami.

- Postaram się nie być ci zbyt ciężarem, Cole'u - zamruczała mu w ucho. - Gdybym tu została, niczego bym nie robiła, tylko martwiła się o ciebie.

- Muszę przyznać, że perspektywa tego sam na sam na pustkowiu wydaje mi się nader pociągająca - rzekł z uśmiechem.

Alaina zaśmiała się nerwowo, gdy odchyliwszy się, spostrzegła, jak lubieżnie penetruje wzrokiem jej dekolt.

- Jesteś pewien, że nie planowałaś tego od samego początku?

Pochylił głowę i dotknął językiem warg Alainy, a jej biodra przycisnął mocno do swoich.

- Owszem, ten pomysł przychodził mi do głowy, gdy pomyślałem, że mam cię tu zostawić. Dwa tygodnie to szmat czasu.

- To wieczność - westchnęła i z pasją oddała mu pocałunek.

Następnego dnia rano załadowano większe sanie i Alaina z Cole'em zeszli do nich po schodkach domu na skale. Ciemności przed brzaskiem nie oświetlał nawet księżyc. Było bezwietrznie, ale mroźno. Nagie gałęzie drzew wyraźnie rysowały się w przejmująco ostrym powietrzu, od którego sztywniały palce i lodowaty dotyk szczypał w policzki. Cole usadził swą po chłopięcemu ubraną żonę na stercie futer wyściełających siedzenie. Z tyłu zatknął śrutówkę zamkniętą w futerale i zagwizdał na Wiarusa, wskazując mu miejsce na związanych sznurkami i ułożonych za siedzeniem tobołkach z bagażem. Usiadł obok Alainy, skinął głową, słuchając ostatnich przypomnień i rad służących, by zachował ostrożność, po czym chwycił za lejce.

Dzwoneczki sań rozbrzmiewały pośród ciszy, gdy Cole skręcał saniami na drogę. Alaina siedziała wygodnie, opatulona w ciepłe futro z kapturem, takie samo jakie miał na sobie Cole. Jazda ta wydawała jej się bajkowym snem. Krajobraz wokół nich trwał cichy i nieporuszony, zaklęty w zimowym śnie, jakby czekał na wiosnę, która zdejmie z niego lodowato śnieżny czar. Alaina przytuliła się do Cole'a. Nie umiała znaleźć słów, by opisać rozpieszczające ją ukontentowanie i miłość do niego.

Pierwsze światło brzasku podnosiło się na wschodniej stronie nieba, całego w różach i czerwieniach, gdy przejeżdżali przez St. Cloud. Jechali drogą na północ wzdłuż Missisipi. Późnym popołudniem dotarli do podłużnego budynku z bali. Opadający z tyłu dach dał schronienie koniom, a oni zatrzymali się na noc w małej chatynce kilka kroków dalej. Do południa następnego dnia powinni dojechać do celu.

Kochali się w blasku ognia w ciepłych zawojach futer, a o świcie wstali, by kontynuować podróż. Wiarus przez jakiś czas biegł obok sań, ale nie mógł upolować żadnej zwierzyny, więc wrócił na tył sań i zapadł w drzemkę.

Gdy sanie ze szczekającym głośno psem podjeżdżały do małej farmy, Franz Prochavski właśnie rąbał drzewo przed domem. Na ich widok przerwał pracę i z daleka zawołał radośnie na przywitanie, a potem podbiegł do zajeżdżających przed dom sań. Po chwili w drzwiach ukazała się ożywiona twarz Gretchen. Z uśmiechem machała, by szybko przyprowadził ich do środka.

- Wiedziała, że przyjedziecie - powiedział Franz, gdy Cole pomagał Alainie wysiąść, i przyznał szczerze: - Ogromnie mi ulżyło, gdy was zobaczyłem.

Pospiesznie wprowadził ich do ciepłego wnętrza chaty, gdzie Gretchen już wstawiała czajnik wody na herbatę, szykowała i słodkie bułeczki i mięso na zimno. Cole uklęknął i pomógł Alainie zdjąć buty, a gdy wyłuskał ją także z futra, Gretchen natychmiast wprawnym wzrokiem zauważyła jej zaokrąglony brzuch. Kiwnęła głową z zadowoleniem i z rozpromienioną twarzą podeszła, by serdecznie ją uściskać.

- Dobrze, że będziecie mieć z Cole'em dziecko. To was bardziej ze sobą zwiąże.

Alaina z przyjemnością poddawała się atmosferze tego domu na odludziu, do którego Gretchen nieustannie wносиła radość i energię, ożywiającą wszystkich wokół niej.

Cole obejrzał swe posiadłości i był bardzo zadowolony z postępów na wyрубie. Podjął to przedsięwzięcie z nadzieją, że Alaina postara się o dziedziców dla jego majątku. Za czasów małżeństwa z Roberta nie miał wcale chęci go powiększać. Teraz, gdy wszystko się zmieniło, każdy interes robił z myślą o Alainie i dziecku.

Ze względu na znacznie już ograniczoną zwinność Gretchen gospodarze spali w rogu pokoju na dole chaty. Na strychu pod spadzistym dachem, w pobliżu zawsze ciepłego komina, przygotowane było drugie łóżko. Choć zwykle, zbite z desek, połączonych siatką z grubego sznura, wysłane grubymi pierzynami, było wręcz niebiańskim łóżem dla kochanków. Goście spędzili tutaj wiele upojnych chwil.

Wieczorem piątego dnia ich pobytu cała czwórka siedziała przy stole, a Franz próbował ich nauczyć nowej gry w karty, która, jak zapewniał, dotarła tu ostatnio z Niemiec. Był to wyjątkowo chaotyczny gąszcz zasad, zwany wistem. Już szósty raz tłumaczył im szczegóły tej gry, kiedy Gretchen nagle jęknęła i odłożyła swoje karty. Gdy ból minął, uśmiechnęła się do obecnych, jakby chciała im dodać otuchy, i powiedziała spokojnie:

- Chyba się zaczyna.

Nierówne i nieregularne bóle trwały przez całą noc i wszyscy pół spali, pół czuwali. Na jakąś godzinę przed wschodem słońca skurcze się wyrównały i wkrótce słońce powitało nowy dzień i nowy głos w chacie. Poród był normalny. Na świat przyszedł silny i zdrowy chłopiec. Moc jego płuc zapowiadała, że nigdy nie będzie mówił ściszonego głosem, a piersi swej matki szukał żarłocznie i ssał zapamiętale.

Sama obecność Cole'a dodała Gretchen pewności i choć Franz protestował, już na trzeci dzień wstała i krzątała się po domu. Kiedy nadeszła pora odjazdu Latimerów, Alainie aż trudno było oddać trzymane na rękach dzieciątko jego matce. Potem zapakowała swoje rzeczy do nieśmiertelnego wiklinowego kuferka.

Następnego dnia było mroźno i pochmurno. Po zjedzeniu obfitego śniadania goście musieli się pożegnać. Cole przywołał Wiarusa na tył sań i skierował konie na południe. Zaledwie dojechali do rzeki, gdy zaczął sypać biały puch i przykrył cały świat tak dokładnie, że ledwo widzieli zarysy sosen wzdłuż brzegu rzeki. Otulili się szczelniej futrami, lecz i tak odczuwali smaganie zimnego wiatru.

Po kilku godzinach śnieg sięgał koniom do pęcin i zasypywał płozy sań. Wiatr hulał i skowyczał w wysokich koronach drzew jak zgryja opętanych duchów, zrzucając na nich całe płachty śniegu. Podkowy końskie potykały się i ślizgały na niewidocznym, zlodowaciałym podłożu.

Gdy tylko minęło południe. Cole odbił od rzeki i wjechał w kręty wąwóz, wcinający się w brzeg od północy.

- Jest tu chata traperska! - usiłował przekrzyknąć łoskot wichru. - Schronimy się tam, dopóki się nie skończy śnieżycy.

Niska chata z bali, pokryta darnią, stała na swoim miejscu, przytulona do skarpy. W rogu między chatą a stromizną znajdowała się prowizoryczna, zadaszona zagroda. Wiarus pobiegł, by powęszyć po okolicy, a Cole z Alainą obejrzelili chatę. Kamienny kominek był trochę zniszczony, ale nadawał się do użytku i wkrótce zapłonął w nim ogień. Cole odszedł, by wprowadzić konie do zagrody. Wrócił z koszem jedzenia i strzelbą. Czarne psisko też weszło do środka i obwąchało każdy kąt, po czym legło przy kominku.

Ich pomieszczenie, choć nie do końca bezpieczne, okazało się przynajmniej wygodne. Do worka ziarna z tyłu sań doszła znaleziona tu wiązka dobrze wysuszonego siana. Pod ręką był spory zapas drewna do palenia, a gdyby ich zabrakło, na krokwiach leżała umyślnie tu pozostawiona, pokryta rdzą siekiera. Jedzenia mieli na kilka dni, a w razie czego mogli coś upolować za pomocą strzelby lub pistoletu. Pozostało im jeszcze ułożyć spanie dla siebie i wypełnić mijający czas.

To pierwsze zapewniły im futra wyściełające sanie, a o drugie, sądząc z radosnego błysku w oczach Alainy, nie musieli się martwić. Nad nimi szalała okrutna zawieja, i mała, ale solidna chata była teraz całym ich światem. Wiarus wypuścił się na wieczorną włóczęgę, a podczas jego nieobecności w chacie dokonał się pełny małżeński rytuał.

Później leżeli zwróceni do siebie twarzami, splótnięty uścisk. Ich oddechy mieszały się w jeden, gdy łączyli usta w rozleniwionych pocałunkach. Cole dotykał swym płaskim, twardym brzuchem nabrzmiałego łona żony i czuł w nim ruchy swego dziecka. Wydawało mu się to cudem. Nawet dla niego, lekarza, niedawno obecnego przy narodzinach, stanowiło to wyjątkowe zjawisko. Tam, w środku, był owoc ich miłości. Modlił się, żeby wszystko poszło jak najlepiej, i żeby w nadchodzących latach mieli przy sobie żywy dowód wzajemnego uczucia.

- Zaczarowałaś mnie, Alaino Latimer - westchnął tuż przy jej wargach.

Alaina potarła jego nos swoim małym noskiem i szepnęła cichutko, jakby ktoś mógł podsłuchać:

- Jak to, najdroższy?

- Od naszej pierwszej wspólnej nocy byłem pod twoim urokiem i tęskniłem za tobą. Można to nazwać miłością, choć kochałem kobietę, nie znając ani jej twarzy, ani imienia.

- Ale czy nie mówiłeś sam, że miłość musi dojrzewać z czasem? - zapytała ciepło. - I że jesteś podejrzliwy wobec ekscytacji, która między dwojgiem wybucha nagle, z dnia na dzień?

- No tak, mówiłem - przyznał. - Ale było to wtedy, gdy zachowywałem wobec swej miłości wielką ostrożność i bardzo niechętnie się do niej przyznawałem.

Alaina zaśmiała się cicho i ucałowała jego usta.

- Był taki okres, kochany, kiedy byłeś ludojadem.

Uśmiechnął się szeroko, a oczy mu zabłyśły w świetle ognia z kominka.

- Nadal nim jestem, tylko lepiej się maskuję. - Odgarnął jej włosy z policzka i wyszeptał: - Ale zarzuciłem wiele dawnych zwyczajów na rzecz czegoś nowego, jasnego i słonecznego. I z każdym dniem moja miłość do ciebie rośnie niewypowiedzianie.

- Czy naprawdę kochałeś mnie od tamtej pierwszej nocy? - spytała nieśmiało.

- Tak, moja słodka. Marzyłem o tobie. Nie miałaś jeszcze twarzy, ale przychodziłaś do mnie jak zjawą. W

nadziei, że to ty, zgodziłem się poślubić Robertę. Ale marzenie prysło i stało się złym snem, kiedy poznałem prawdę. Odłamek tkwiący w nodze zadawał mi męczarnie, ale jeszcze większe przychodziły z rozpalonego do białości żelaza tkwiącego w moim sercu.

- A teraz o czym marzysz?

Cole roześmiał się i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie jej ciepłe, nagie ciało.

- Zmieniłem się, o pani. Nie mam już w sobie żelaza ani w nodze, ani w sercu. Moje marzenie widzę teraz, gdy otwieram szeroko oczy, a gdy je zamykam we śnie, szukam odpoczynku, a nie ulotnych zjaw.

Ciała ich zadrżały, usta się odnalazły i znów oddali się namiętności.

Następnego dnia przestało padać, słońce niewyraźnie przeświecało przez chmury, a wiatr nie ucichł wcale, tylko przewalał wszędzie tumany śniegu. Zostali więc w chacie na jeszcze jedną noc, podczas której do chaty wtargnął przenikliwy chłód. Na zewnątrz zerwała się prawdziwa wichura.

Cole przygarnął Alainę mocno i ogrzewali się własnymi ciałami. Zimna w izbie nie był już w stanie rozprościć nawet płonący nieustannie ogień. Wiarus znalazł starą skórę przed kominkiem i obróciwszy się parę razy w kółko, ułożył się na niej wygodnie. Cisza zapadła w chacie, tylko gdzieś ponad nią wicher zawodził wśród drzew.

W jakiś czas potem Cole otworzył oczy i natychmiast się całkowicie przebudził. Wiarus biegał po izbie, od czasu do czasu zatrzymywał się i węszył pod drzwiami. Sierść na grzbiecie mu się zjeżyła. Konie w zagrodzie też parskały i grzebały nerwowo kopytami. Wtedy usłyszał ponownie to, co go obudziło. Wycie głośniejsze niż jęk wichury. Wiarus zaczął warczeć, a na zewnątrz konie rżały w popłochu.

Alaina podniosła się, gdy Cole wstał z posłania. Nieruchoma, wpatrywała się w milczeniu, jak szybko wciąga skórzane spodnie i wełnianą koszulę, nawet jej nie zapinając. Wyjął pistolet z kabury i sprawdził spłonki, a potem podniósł wzrok i zobaczył, że Alaina nie śpi.

- Wilki - odpowiedział na jej pytające spojrzenie, zapalając zapałką knot lampy. - Konie się przestraszyły.

Alaina owinęła się futrem, a Cole podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Gdy pomachał lampą, kilka szarych cieni oderwało się od zagrody, ale ich oczy nadal świeciły nie dalej niż na skraju lasu. Tam się przyczaiły, wciąż dla nich niebezpieczne. Cole wyszedł na zewnątrz i wypalił w otaczającą ciemność cały magazynek. Płonące oczy zniknęły, lecz po chwili były już z powrotem, może tylko w nieco mniejszej liczbie.

Kiedy Cole ponownie załadowywał broń. Wiarus wyskoczył w kierunku wilków. Widząc godnego siebie przeciwnika, stado wyszło mu naprzeciw, z wściekłym warczeniem szykując się do ataku. Na pierwszego napastnika Wiarus natarł bokiem, potem zanurkował głową do jego gardła i rozerwał je potężnymi szczękami, a na koniec rzucił pokonanego wilka wysoko za siebie. Gdy łapał za gardło drugiego. Cole zauważył za sobą cień Alainy. W moment potem ogłuszył go huk wystrzału z obu luf śrutówki. Jeden z nabojów powalił skutecznie jednego zwierza. Po chwili Cole ustrzelił z pistoletu następnego, który szykował się właśnie do skoku na Wiarusa. Brocząc krwią z pyska, zwałił się do tyłu w śnieg. Cole wystrzelił jeszcze dwa razy do ostatniego widocznego intruza, podczas gdy Wiarus rozprawiał się ze swą kolejną ofiarą. Pies machnął zwłokami wilka na boki, zanim rzucił go z odrazą. Potem sprawdził, czy wszystkie powalone bestie są martwe, i wolnym krokiem wrócił do chaty.

Cole spojrział na trzymany w dłoni pistolet. Ostatnich jego strzałów nie słyszał. Czuł broń w ręku, widział błysk i padające dzikie zwierzęta. Jeszcze teraz w uszach mu huczało. Zawołał mastiffa i ze zdumieniem stwierdził,

że nie słyszy własnego głosu, chociaż pies zareagował i przybiegł z wywieszonym jęzorem. Minawszy swego pana, zadowolony z siebie legł z powrotem przed kominkiem.

Cole podniósł wzrok na żonę. Masowała prawe ramię, a jeszcze dymiąca śrutówka leżała na podłodze wypuszczona z jej zgrabiałych rąk. Objął ją ramieniem i przytulił mocno. Drżała na całym ciele, kręciła głową z przerażeniem, a po jej policzkach płynęły łzy. Z wolna uspokoiła się i pociągając nosem, kazała mu obejrzeć Wiarusa.

Pies miał dość głęboką, długą ranę na piersi, kilka skaleczeń na głowie i łapach, ale poza tym nic mu się nie stało. Rozpalili na nowo ogień, załadowali broń i zgasili lampę.

Alaina usiadła na futrach w oczekiwaniu na męża i z płonącej miłością oczami śledziła każdy jego ruch. Cole schował pistolet do futerału i ukląkł obok żony, żeby obejrzeć jej ramię. Był tam ciemniejszy w błyskawicznym tempie siniec. Czułymi dłońmi posmarował jej gładkie ramię maścią łagodzącą ból. Powoli odwróciła ku niemu głowę i zobaczył w jej oczach zaproszenie. Nagle znów miał ją w ramionach i zatracił się w niej, zapomniał o wszystkim...

Później trzymał ją śpiącą w zagłębieniu ramienia i patrząc na cienie tańczące na belkach sufitu, czuł w sobie spokój, jaki może dać swemu mężczyźnie tylko kochająca kobieta. Wiatr też szumił już spokojnie w czubkach sosen.

40

W marcu wiatr przyniósł powoli ocieplenie, a do końca tego miesiąca na rzece ukazały się już duże połacie wody. Łód zszarżał, a w ostatnim tygodniu marca pokropił odświeżający deszcz. Niestety, przyszła noc i przykryła znów wszystko dywanem białego puchu.

Kwiecień miał już więcej ciepłych i prawie bezchmurnych dni. Woda wymywała stopniowo resztki lodu, aż całkiem je roztopiła. Pozostały tylko wąskie paski przy brzegu.

Pokazały się też skrawki ziemi, a wzgórza wyglądały teraz brudnoszare. Kwietniowego księżyca przybyło, a potem ubyło, aż wreszcie pewnej nocy przyleciały z krzykiem gęsi i łabędzie. Wzdłuż brzegów kręciły się w wodzie kaczki, szukając bajorek i zagłębień odpowiednich do założenia gniazd.

Błysk i grzmot pioruna zerwały Alainę w samym środku nocy. Wstała i podeszła do okna. Potężna burza szła prosto na dom na urwisku. Już po chwili deszcz strumieniami siekł szyby okien. Kolejna błyskawica zmusiła Alainę do odsunięcia się od okna.

Wtedy otoczyły ją ramiona Cole'a. Przytulił ją i ucałował delikatne białe ramię, a ręką pogłaskał coraz większą krągłość jej brzucha. Odwróciła się do niego i podała mu usta, a on podniósł ją i zaniósł do łóżka. Pierwsza wiosenna burza przetoczyła się nad domem, a po niej nastąpiła lekka i łagodna cisza spokojnej, ciepłej nocy, którą dwoje kochanków spędziło już do końca w swych czułych objęciach.

W maju zakwitły wiosenne kwiaty. Ponieważ nie udało się znaleźć ogrodnika, kazano Peterowi skopać ogródek różany. Cole właśnie skończył przyjmować pacjenta, jednego z wielu, którzy zgłosili się w ostatnich miesiącach do jego gabinetu, a Alaina była z Mindy w salonie, gdy zobaczyła Petera biegnącego w popłochu od wejścia w poszukiwaniu Cole'a. Wyszła na korytarz, a oni obaj biegli już z powrotem na dwór, o mały włos na nią nie wpadając. Z ciekawości wyszła za nimi na ganek i zobaczyła, że kopią w ogrodzie jakiś dół. Zamierzała zejść do nich po schodkach, ale ktoś gwałtownie złapał ją z tyłu za suknię. Obejrzała się ze zdziwieniem. Mindy trzymała fałdy materiału w obydwu mocno zaciśniętych rączkach, jakby nie chciała jej puścić.

- Co się stało, Mindy? - zapytała, lecz dziewczynka tylko rozpaczliwie potrząsała głową. Ciemne oczy rozszerzał strach. Wyglądała jak osaczone zwierzątko. Alaina zrozumiała, że dziewczynka przeżywa coś strasznego. Nie poszła więc do mężczyzn, lecz została z dzieckiem. Mała trzęsła się cała, nadal kurczowo trzymając suknię i chowając w niej twarz.

Cole odłożył łopatę i miał właśnie uklęknąć nad dołem, gdy zobaczył żonę stojącą z Mindy na ganku. Pomachał ręką, by wróciły do domu.

- Alaino, zabierz dziecko i wejdź do środka - nakazał.

Posłuchała i weszła, bardzo tym wszystkim zakłopotana. Po jakimś czasie Peter pobiegł w dół z boczna na farmę, a Cole przyszedł do nich do salonu. Gdy tylko wszedł, Mindy zerwała się z sofy i podbiegła do niego. Objęła go za nogi, płacząc żałośnie. Twarz Cole'a była pełna współczucia. Podniósł małą dziewczynkę na ręce i przytulił, a ona schowała twarz w jego ramieniu.

- Mindy, czy wiesz, co znaleźliśmy? - zapytał łagodnie, a ona kiwnęła głową. Wiedziała.

- Co to jest, Cole'u? - pytała coraz bardziej zaniepokojona Alaina. - Co znaleźliście?

- Znaleźliśmy wuja Mindy zakopanego pod krzakiem róży. Musiał tam leżeć od dłuższego czasu, pewnie odtąd, gdy zniknął.

Alaina szybko usiadła, bo wiadomość ta odebrała jej na chwilę władzę w nogach. Aż wstrząsnęło nią na wspomnienie, jak sama jesienią spulchniała ziemię w tamtym miejscu.

- Peter pojechał po szeryfa - oznajmił Cole. - Zanim przyjedzie, zaniosę Mindy na górę i niech tam posiedzi z Gildą. Może trochę się zdrzemnie. Szeryf na pewno będzie chciał od niej uzyskać jakieś informacje.

Małe ramiona zacisnęły się na jego szyi. Dla podtrzymania na duchu poklepał ją po plecach i powiedział łagodnym tonem:

- Wszystko będzie dobrze. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Już zawsze będziemy się tobą opiekować.

Na marmurowej posadzce korytarza dał się słyszeć odgłos jego kroków, a Alaina pozostała sama w martwej ciszy salonu. Wstrząs pozbawił ją sił, ale umysł pracował gorączkowo, by zrozumieć, co właściwie zaszło. Co spowodowało tak nieszczęsny koniec ogrodnika? Kto go tam zakopał? Jakim cudem i ile z tego widziała Mindy?

- Został zamordowany - powiedział Cole, gdy wrócił. - Ma zmiażdżony tył czaszki, jakby ktoś go uderzył od tyłu. Wygląda tak, jakby zaraz po uderzeniu wpadł do dołu.

- Myślisz, że mógł sam go kopać?

- Bardzo możliwe, ale po co? Krzaki róż nie wymagają przy sadzeniu tak głębokich dołów, a nie wydaje mi się, żeby świadomie kopał sobie grób.

- Więc może chciał zakopać coś innego.

Cole wzdygnął się.

- Jeśli Mindy nie zdoła nam powiedzieć czegoś więcej na ten temat, możemy tylko zgadywać, jak to się stało. Nic więcej w grobie nie było, żadnego skarbu.

Skarbu? To słowo zadźwięczało w głowie Alainy echem jakiegoś wspomnienia. Czy Roberta w swym pamiętniku nie wspominała o jakimś skarbie? I o tym, że wyjedzie z domu Latimera bogata? Tak, to wszystko było w pamiętniku, ale gdzie on jest? Kto go zabrał? Morderca ogrodnika?

Sypialnia po drugiej stronie łazienki została ostatnio odnowiona i umeblowana tak, by mogła być pokojem dziecinym dla ich już niedługo spodziewanego pierwszego potomka. Wśród rzeczy wynoszonych z pokoju nie

było jednak pamiętnika.

Alaina myślała, przygryzając wargę. Czy można było wierzyć pisemnym wynurzeniom kuzynki? Może to były jej kolejne kłamstwa i byłoby nierozsądnie dawać im wiarę.

Na ich wezwanie zjawił się zastępca szeryfa Martin Holvag, który znał rodzinę. Przywiózł ze sobą dwóch mężczyzn. Kiedy ci wyjmowali ciało z ziemi i układali na płóciennym całunie, Martin stał z Cole'em na ganku i słuchał uważnie relacji doktora o tym, jak doszło do odkrycia.

- Alaina chciała uratować róże w ogrodzie - wyjaśniał Cole - więc poprosiłem Petera o przekopanie ziemi z nawozem. Przypadkowo odkopał kapelusz ogrodnika i wtedy zaczął kopać głębiej, aż znalazł ciało.

Ludzie szeryfa ostrożnie przeszukali kieszenie ogrodnika i znaleźli w nich prymkę tytoniu, nóż i kilka monet, a z portfela schowanego w kieszeni marynarki wyjęli trzy zupełnie nowe banknoty dziesięciodolarowe. Nie stwierdzając w nich nic istotnego, Martin oddał wszystkie te przedmioty Cole'owi dla Mindy, jako jedynej krewnej.

- Ponieważ był wujem dziecka i moim pracownikiem, jedyne, co mogę zrobić, to opłacić mu porządny grób - mówił Cole, gdy mężczyźni układali ciało na wozie.

Ale na pytania Martina o różne szczegóły mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce.

- Przykro mi, ale nic więcej nie mogę dodać, by wyjaśnić tę sprawę. Ogrodnik zniknął na kilka tygodni przed śmiercią Roberta. Myśleliśmy, że uciekł, zostawiając Mindy, bo była dla niego ciężarem.

- A służący? Jak dobrze ich wszystkich znasz, Cole'u?

- Panią Garth i obie pokojówki zatrudnił pan James tuż przed moim powrotem do domu z Roberta. Poza tym ogrodnikiem, którego sam przyjąłem, gdy dowiedziałem się, że jego poprzednik zginął na wojnie, cała reszta służby była tu od lat, najęta jeszcze przez mego ojca.

- Twoja obecna żona przyjechała już po zniknięciu ogrodnika, ale jeśli chodzi o pierwszą - dopytywał się Martin - czy mogła o tym wiedzieć?

- Roberta nie znosiła tego mężczyzny, nazywała go bezużytecznym trutniem. Ale ona przecież nie ceniła nikogo ze służby.

- Czy mógłbym porozmawiać z Mindy? Może ona nam rzuci jakieś światło na tę sprawę?

Cole pokazał na dom.

- Jest w salonie z Alainą. Bardzo się przejęła tym wydarzeniem. Odkąd ją znam, nie słyszałem, żeby powiedziała choć słowo, nie wiem zatem, jak można będzie coś z niej wydobyć.

- Czy to znaczy, że ona nie mówi?

- Nie. I jak sądzę, nie dlatego, żeby nie mogła. Ale nie chce.

Martin wytarł buty i wszedł do domu, nieśmiało zdjął kapelusz i ukłonił się Alainie. W wielkim napięciu czekała z Mindy na sofie. Kiedy do nich podszedł, dziewczynka cofnęła się i kurczowo przyłgnęła do Alainy. Martin przykucnął obok nich, żeby popatrzeć Mindy w oczy, ale ona nawet nie podniosła wzroku.

- Doktor Latimer powiedział mi, że ty wiedziałaś o tym, że twój wujek był pochowany w ogródku różanym. Czy wiesz, kto go tam zakopał?

Mindy zbladła i poruszała ustami jak w konwulsjach, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Wyglądała, jakby ją ogarnął paniczny strach.

Alaina spojrzała na Cole'a błagalnie, przygarnęła do siebie dziewczynkę i przytuliła jej małą czarną główkę

do piersi.

- Martinie, może poczekajmy z tym jeszcze. - Cole wtrącił się jako opiekun. - Jak widzisz, mała jest śmiertelnie przestraszona.

- Jeśli pozwolicie, zabiorę ją do jej pokoju - zasugerowała Alaina i z ulgą przyjęła zgodę zastępcy szeryfa.

Gdy Alaina z dziewczynką opuściły salon, Martin poruszył jeszcze jedną nurtującą go sprawę.

- Ciekaw jestem, Cole'u, czy nie widziałeś przypadkiem przepływającego rzeką małego statku. Był to nieduży tylnokołowiec, biały z czerwonym paskiem, o nazwie „Thatcher”.

Cole nalał brandy i podał Martinowi kieliszek, kręcąc głową.

- Nie, ostatnio nie. Był jeden jakiś tydzień temu.

Martin zmarszczył czoło.

- Ten powinien płynąć dwa, trzy dni temu. Bez pasażerów, tylko z ładunkiem pługów, drutu i sznurka. Ale naprawdę wartościowym ładunkiem było kilka skrzyń winczesterów. Wypłynął od wodospadu w ubiegły czwartek i popłynął w górę rzeki. Widziano go jeszcze około dziesięciu kilometrów na południe stąd, a potem zniknął bez śladu.

Cole upił brandy.

- Mógł uderzyć w jakąś przeszkodę. Z całym tym żelastwem na pokładzie musiał pójść na dno jak kamień.

- Na wszelki wypadek pytam wszystkich w okolicy - myślał na głos Martin, wychylając jednym haustem zawartość swego kieliszka. Wyrzął przez okno. - Widzę, że już załadowali nieboszczyka i czekają na mnie. Trzeba go zawieźć do grabarza.

Cole odprowadził go do drzwi.

- Podobno ogrodnik wynajmował gdzieś w mieście pokój i jest jakaś stara szkapka, na której tam jeździł razem z dzieckiem. Gdybyś się czegoś dowiedział, daj mi znać.

Gdy wóz zastępcy szeryfa odjechał z turkotem drogą, Cole w zamyśleniu wziął do ręki przedmioty należące do ogrodnika. Jego szczególną uwagę przyciągnęły banknoty. Były gładkie i zupełnie nie pogniecione, choć wydane jeszcze w 1863 roku. Ich nowość świadczyła, że musiały gdzieś jakiś czas przeleżeć, zanim trafiły do tego mężczyzny. Przyjrzał im się z bliska i zauważył, że miały kolejne numery serii, różniące się tylko ostatnią cyfrą. Skąd mężczyzna zajmujący się jako ogrodnik za sześć dolarów tygodniowo mógł mieć pieniądze z banku?

Cała ta sprawa wydawała się kryć za sobą jakąś głębszą tajemnicę, lecz nie był w stanie dojść, jaką. Z westchnieniem zawiązał rzeczy i banknoty w chusteczkę i związał dokładnie, po czym schował do jednej z szuflad swego biurka.

Na temat znalezienia ogrodnika Latimerów pod krzakami róż plotki urosły do niesamowitych rozmiarów. Niektórzy twierdzili wręcz, że to sam doktor rzucił się na niego w ataku zazdrości, ale nie byli pewni, czy chodziło o pierwszą żonę, czy o drugą. Fakt, że ogrodnik był niechlujnym i zaniedbanym mężczyzną w średnim wieku, przez co nie stanowił żadnej konkurencji dla przystojnego doktora, wydawał się bez znaczenia. Pewna tęga matrona o długim języku przysięgała, że widziała, jak obecna pani Latimer tuż po swym przyjeździe kręci się z ogrodnikiem po okolicy. Powiedziała to Xanthii Morgan podczas przymierzania kapeluszy w jej sklepie. Pomimo że Xanthia nie żywiła żadnych przyjaznych uczuć wobec Alainy, musiała zaprzeczyć, by doktor Latimer mógł uciec się do takich metod, nawet z zazdrości. Poza tym, oświadczyła, wzruszając ramionami, słyszała z

wiarygodnego źródła, że małżeństwo Latimerów jest tylko porozumieniem, a doktor przygarnął tę młodą kobietę jedynie z litości, podobnie jak Mindy.

Matrona o trzech podbródkach uniosła do góry resztki swych brwi i rozbawiona, popatrzyła protekcyjnie na rudą właścicielkę sklepu.

- Moja droga, najwidoczniej nie widziała pani ostatnio obecnej pani Latimer.

Zadowolona ze swej przewagi, nie chciała nic więcej powiedzieć, pozwalając tamtej zadreć się z ciekawości. W końcu Xanthia wyszydziła jej sensacyjne nowiny. Zasłużyła więc na to, żeby być ostatnią osobą w mieście, która dowie się o błogosławionym stanie Alainy Latimer. Aha! Porozumienie!

Jeszcze tego samego dnia po południu, stojąc w drzwiach swego sklepu, Xanthia spostrzegła, że do miasta przyjechał duży czarny powóz. Poznałaby go wszędzie, a tym bardziej wysoką, barczystą sylwetkę jego właściciela. W mieście był Cole Latimer. Błyskawicznie przeleciała jej przez głowę myśl: „A może, może choć raz jeszcze do mnie przyjdzie?”

Powóz zatrzymał się przed kancelarią pana Jamesa, a Xanthia poczuła nagle przyspieszenie pulsu. Nie szkodzi, że nie podjechał na tył jej domu. Wpatrywała się z przejęciem w wysiadającą ciemno ubraną sylwetkę. Dobrze wygląda - pomyślała z radością. Naprawdę dobrze. Ale też coś się w nim zmieniło. I wtedy dotarło do niej, że jest bez laski i nie kuleje.

Lecz on odwrócił się z powrotem do powozu i całe jej nadzieje przysły, bo w drzwiach pojazdu ukazała się kobieta. Cole podał jej rękę i ostrożnie przytrzymał przy wysiadaniu. Dopiero wówczas, widząc wyraźnie młodą kobietę, Xanthia zrozumiała, o co chodziło tamtej matronie. Nawet koronkowy szal narzucony na suknię nie mógł ukryć jej zaawansowanej ciąży.

Patrząc na nią, Xanthia poczuła przyływ szaleńczej zazdrości. Ona zawsze tak pragnęła dać Cole'owi dziecko, ale nie mogła, choćby nie wiem jak chciała w ten sposób go do siebie przywiązać.

Potem z pomocą Cole'a wysiadła jeszcze Carolyn Darvey i cała trójka naradzała się przez chwilę. Cole wyciągnął z kieszeni zegarek, sprawdził czas, potem skinął głową Carolyn i coś do niej powiedział. Dziewczyna ruszyła, ale zatrzymała się i czekała na Alainę, która jeszcze żegnała się z mężem. Xanthia patrzyła z niechęcią, jak Cole całuje ją w same usta, znacznie namiętniej, niż wypada to robić w miejscu publicznym. Coś jeszcze szepnęła do niej bardzo czule i na koniec uściśnął jej dłoń. Przez dłuższą chwilę z uśmiechem patrzył, jak dołącza do swej towarzyszkii, i dopiero wówczas odwrócił się, by wejść do biura prawnika.

Minęła prawie godzina. Xanthia właśnie wyszła z zaplecza, gdy ujrzała obie panie wchodzące do jej zakładu. Xanthia i Alaina na swój widok przez moment nie potrafiły ukryć zmieszania, lecz Carolyn była tak pochłonięta oglądaniem towaru, iż nie zauważyła rumieńca na twarzy Alainy.

Xanthia przywitała je sztywno i starała się nie schodzić wzrokiem niżej niż na marszczony kołnierz jasnoniebieskiej sukni Alainy. Ten niezwykle kobiecy i drogi dodatek do sukni rzucał się od razu w oczy, a przystrojony wstążkami kapelusz mógł się mierzyć z najlepszymi w jej sklepie. Xanthia siłą woli zdławiła w sobie bestię, wzięła głęboki oddech i wczuła się w rolę uprzejmej właścicielki sklepu.

- W czym mogę paniom pomóc? - zapytała skwapliwie.

- Pani Latimer chciałaby zobaczyć te prześliczne małe czepeczki dziecinne, które kiedyś u pani widziałam - szczebiotała radośnie Carolyn, zupełnie nieświadoma, jakim nietaktem było przyprowadzenie Alainy do tego sklepu. - Ma je pani jeszcze?

- Oczywiście. - Xanthia przeszła do szafy, z której wyjęła kosz małych, bufiastych czepeczków obszytych koronkami lub falbankami.

- O, ten jest ładny dla chłopca, Alaino. - Carolyn uniosła jeden w górę. - Spójrz. Widziałaś kiedyś coś tak cudownego?

- Cole chciałby mieć córeczkę - wyjaśniła cicho Alaina. Najchętniej wyszłaby już z tego sklepu i poszła dalej.

Carolyn była rozczarowana tym jej raptownym spadkiem zainteresowania zakupami dla dziecka, ale czując, że coś się z nią dzieje, nie należała, by Xanthia pokazała im więcej towaru. Gdy wychodziły ze sklepu, zapytała:

- Alaino, czy nie czujesz się dobrze?

- Dobrze, Carolyn, tylko dziś tak gorąco - odparła Alaina słabiutkim uśmiechem.

Wyszła na chodnik i nagle stanęła jak wryta, niemal się zderzając z niskim, bogato odzianym mężczyzną mijającym właśnie sklep. Chciała powiedzieć: przepraszam, ale gdy podniosła oczy i poznała go, całe jej jestestwo przeszył potworny dreszcz grozy. Choć miał teraz włosy z jednej strony dłuższe, żeby przykryć ucho, nie było wątpliwości. To był Jacques DuBonné.

W prawej dłoni, ubranej w rękawiczkę, trzymał trzcinkę oficerską ze srebrnym uchwytem i drugą rękawiczkę. Kiedy sam otrząsnął się ze zdziwienia, sięgnął lewą ręką do kapelusza, jednocześnie mierząc Alainę czarnymi oczkami. Zauważywszy jej stan, ściągnął twarz w napięciu i otworzył usta, by coś powiedzieć, wykrzywając je przy tym szyderczo.

Błada i drżąca Alaina odwróciła się i weszła z powrotem do sklepu Xanthii, nie słysząc w ogóle pytań zadawanych w popłochu przez zmieszaną Carolyn. Alaina oparła się o niski stolik z kapeluszami, kolana się pod nią ugięły i świat zawirował. Zobaczyła najpierw czarne punkty, a potem zlały się one w jedną ciemność. Tego już nie widziała, jak Xanthia Morgan podbiega, by przytrzymać i powoli opuścić jej bezwładne ciało na podłogę.

- Alaino! - krzyknęła przerażona Carolyn, podbiegając, by pomóc Xanthii.

Kłęcząc na ziemi, z głową Alainy na kolanach, Xanthia podniosła oczy i stwierdziła ze zdumieniem:

- Ona zemdląca.

- Lepiej pójde po Cole'a - orzekła Carolyn. Od drzwi obejrzała się jeszcze i spytała: - Zaopiekuje się nią pani?

- Tak, naturalnie. - Xanthia popatrzyła na delikatne rysy zwycięzcy w ich pojedynku serc, a Carolyn wybiegła ze sklepu. Xanthia niemal automatycznie rozwiązała tasiemki kapelusza i ostrożnie unosząc głowę zemdlonej, zdjęła kapelusz i odłożyła na bok.

Jacques DuBonné zatrzymał się przy wejściu do sklepu ogólnego i obserwował, jak wiotka blondynka biegnie chodnikiem, wbiega do małej kancelarii parę domów dalej i zaraz wychodzi z powrotem z mężczyzną, w którym rozpoznał kochanego doktora Latimera. Jacques parsknął z obrzydzeniem. A więc jednak to major zerwał owoc i zasiał nowe nasienie.

Xanthia podniosła wzrok, gdy drzwi sklepu rozwarły się z impetem i do środka z wielkim przejęciem na twarzy wpadł Cole Latimer. Ku rozczarowaniu Xanthii nawet na nią nie spojrział, tylko szybko uklęknął przy Alainie i wziął ją w ramiona.

Carolyn podeszła, a Xanthia wstała i niepewnym gestem pokazała na zaplecze.

- Z tyłu jest sypialnia, jeśli państwo chcecie skorzystać.

Cole kiwnął głową w podziękę i poniósł żonę dobrze znanym korytarzem, a Carolyn postępowała tuż za nim. Gdy Xanthia weszła do pokoju, rozpiął już częściowo gors sukni Alainy i siedząc na brzegu łóżka, przecierał jej

twarz i szyję zmoczoną chusteczką. Alaina powoli odzyskiwała przytomność.

Zatrzepotała gęstymi rzęsami i otworzyła oczy. Przez chwilę rozglądała się zmieszana, lecz gdy Cole pochylił się nad nią i odnalazła go wzrokiem, nagle znalazła się tuż przy nim, obejmując go kurczowo za szyję. Xanthia z ciężkim sercem odwróciła oczy, gdy Cole całował ciemne włosy i z czułością odgarniał je z policzka żony.

- Już lepiej? - zamruczał, uśmiechając się czule.

- Cole'u, to był Jacques! - szepnęła rozpaczliwie. - Jest tu, w St. Cloud. Widziałam go!

Zdumiony Cole odsunął się i popatrzył na nią badawczo. W przejrzystych oczach dojrzał strach i rozpacz. Wargi jej się trzęsły, gdy potakująco kiwała głową, a przerażone szare oczy zaszyły łzami. Była naprawdę w panice.

Cole odwrócił się do Xanthii i spytał:

- Czy moja żona może tu chwilę zostać? Mam coś do załatwienia u szeryfa. To nie potrwa długo.

- Cole'u, nie! - krzyknęła Alaina, chwytając go za rękaw. - Pomyśl, co on może nam zrobić.

- Wszystko będzie dobrze, Alaino - uspokoił ją. - Zaufaj mi.

Spojrzała mu w oczy i choć jeszcze drżała, puściła go. Pocałował ją lekko w czoło i wstał, patrząc pytająco na Xanthię.

Rudowłosa kobieta pokiwała głową i zrozumiała, że jeśli chodzi o Cole'a, dla niej wszystko stracone.

Po wyjściu ze sklepu Cole udał się od razu do biura szeryfa. Martin Holvag był na służbie. Cole doniósł mu, że w mieście przebywa mężczyzna ścigany przez prawo, i zaproponował, żeby razem poszli go poszukać. Sprawdzili najpierw wszystkie hotele w mieście. W recepcji Stearns House ze zdumieniem zastali wiadomość adresowaną do Cole'a. To Jacques prosił go o przyjście do pokoju. Cole nie tracił ani chwili. Z bojowo wysuniętą szczęką i gniewnie zmarszczonym czołem zapukał pięścią w drzwi. Otworzył je natychmiast Jacques we własnej osobie.

- Ach, dohby wieczóh, doktorze Latimeh - odezwał się Francuz poprawną angielszczyzną, zaledwie ze śladem dialektu Cajunów. - Z pańskiej obecności wnoszę, że żona powiedziała panu o naszym spotkaniu. Przephaszam, że stało się to tak niespodziewanie. Zapewniam, że zamierzałem się z panem skontaktować i przedstawić panu moje listy uwierzytelniające, aby hozwiać pańskie obawy. Gdyby pan nie przyszedł, wysłałbym je panu.

- Zaiste? - spytał Cole z ironią i niedowierzaniem.

Jacques rzucił okiem na oznakę Martina.

- Oczywiście, jest i przedstawiciel phawa. Tak jak się spodziewałem, i bahdzo dobrze. Phoszę, niech panowie wejda. Chciałbym wam tylko coś pokazać.

Zamknął za nimi drzwi i z kieszeni surduta leżącego na fotelu wyjął oprawny w skórę portfel. Robił to niezdarne, lewą ręką. Cole przyjrzał mu się dokładnie i zauważył, że z drugiej ręki nie zdejmował rękawiczki, a gdy włosy się odchyliły, widać było dziurę zamiast lewego ucha. Jacques odruchowo poprawił kosmyk, otworzył portfel i wyjął z niego kilka urzędowych pism. Pomachał nimi przed nosem Cole'a i podał je zastępcy szeryfa, po czym wyjaśnił, ilustrując to kwiecistym gestem ręki.

- Chcę panów zapewnić, że nie jestem już ścigany przez phawo. Oto pełne ulaskawienie od gubernatora Luizjany i urzędu fedehalnego tego stanu. A tu - pokazał inne pismo - moje upoważnienie od fihmy z Pahyża do działania jako ich agent w dziedzinie badania hynków na nasze towahy w tym hejonie. - Przerwał, by przedstawione informacje w pełni do nich dotarły, niezbyt uprzejmie zajmwszy się oglądaniem własnych paznokci.

- Zapewniam obu panów, że jestem w najlepszym porządku ze wszystkimi zaintehesowanymi sthonami, i

wszystko, co tutaj hobię, jest zgodne z prawem. Czy macie jakieś pytania?

Cole nie był przekonany i wcale nie ukrywał podejrzliwego wzroku.

Jacques spojrzął mu na moment w oczy.

- Monsieur *docteur* Latimeh, za dzień czy dwa stąd wyjadę. Nie mam zamiaru whacać do tego miasta w najbliższej przyszłości.

Cole postawił sprawę jasno.

- Nie obchodzi mnie, jakiego rodzaju ma pan ułaskawienie, może być nawet od samego Pana Boga, ale jeśli pana złapię na moim terenie lub w pobliżu mojej żony, grozi panu następny sąd, i to o wiele wyższej instancji.

- Ghozi mi pan?

- Nie, tylko uprzedzam, czego się pan może spodziewać.

Jacques popatrzył na jego zawziętą twarz i kiwnął głową, ściągając usta.

- Myślę, że hożumiem. I zważywszy na to, co się zdarzyło, nie mogę pana winić. Chciałbym tylko spokojnie pshawadzić swe inteheesy i dlatego właśnie pophosiłem pana o spotkanie.

Cole uśmiechnął się, choć sytuacja nie nastrajała wcale do śmiechu.

- Dobrze, i byłbym zadowolony z jak najszybszego zakończenia przez pana interesów w tym stanie.

- Będę to miał na uwadze, monsieur *docteur* Latimeh. Do widzenia panu, szehyfie. - Jacques otworzył drzwi, dając im do zrozumienia, żeby już wyszli.

- Jestem zastępcą, proszę pana - poprawił go Martin, idąc pierwszy do drzwi. - Ale może powiedział pan to tylko odrobinę przedwcześnie.

Jacques wyciągnął do niego na pożegnanie lewą rękę. Cole zaś nie wykazał najmniejszej chęci na wymianę grzeczności. Włożył kapelusz, skłonił głowę i wyszedł za Martinem.

W pełnym napięcia milczeniu wracali do domu Darveyów, gdzie musieli podrzucić Carolyn. Dziewczyna przez całą drogę siedziała naprzeciwko z zasznurowanymi ustami, jakby oczekiwała od nich wyjaśnień na temat tego, co zaszło. Dopiero przy podjeździe do jej domu Cole uznał za stosowne powiedzieć, starając się, by zabrzmiało to żartobliwie:

- Ten mały człowiek, którego widziałś przed sklepem z kapeluszami, był draniem i przestępcą podczas wojny. Nazywa się Jacques DuBonné i to głównie przez niego Alaina musiała wyjechać z Nowego Orleanu. - Objął ramieniem swą żonę. - Za to akurat jestem mu bardzo wdzięczny.

Alaina posłała mu słaby, nerwowy uśmiech. Dopóki naprzeciwko siedziała Carolyn, trzymała swe emocje na wodzy. Ale gdy powóz ruszył ponownie, nie wytrzymała.

- Dlaczego Jacques musiał się znów pojawić? A jeśli powie komuś, że jestem złodziejką, morderczynią, a nawet zdrajczynią? - pytała z przerażeniem. - Wtrąci mnie do więzienia. Och, dlaczego on nie może się ode mnie trzymać z daleka? - Głos jej się załamał i wyciągnęła zza stanika chusteczkę, by otrzeć łzy.

Przez całą tę tyradę Cole wydobywał z surduta gruby plik papierów. Rozwinął je i położył żonie na kolanach.

- To powinno cię uspokoić, kochanie.

Alaina w zdumieniu podniosła dokumenty i usiłowała czytać przez cisnące się do oczu łzy.

- Właśnie je odebrałem od pana Jamesa - powiedział Cole, a Alaina obrzuciła go zdziwionym, zapłakany wzrokiem. Uśmiechnął się. - Wygląda na to, że Horace Burr doskonale się spisał. Skontaktował się z moimi prawnikami z Luizjany i skorzystał ze swych wpływów w sądzie federalnym. - Cole przerzucił pierwsze strony

zbyt szybko, by mogła coś przeczytać, mówiąc: - To są zeznania złożone pod przysięgą przeze mnie, Saula, doktora Brooksa, panią Hawthorne i parę innych osób. Najważniejsze jest na końcu. - Cole zatrzymał się na ostatnich kilku stronach, napisanych ozdobnym pismem, opatrzonych pieczętkami urzędowymi i wielką pieczęcią: „Dokument Gubernatora Luizjany”. Czytał, wodząc palcem po tekście. - *Zwalnia się niejako Alainę MacGaren z wszelkich oskarżeń skierowanych przeciwko niej w czasie, gdy stan Luizjana był członkiem Konfederacji...* et cetera. - Cole przerzucił kartkę i czytał dalej dźwięcznym głosem: - *Od Dowódcy Unii w Okręgu Południowo-Środkowym. Ponieważ udowodniono, iż oskarżenia te były niesłuszne i bezpodstawne, oraz nie istnieją żadne inne dowody przestępstwa, oskarżenia te niniejszym cofa się i uważa za niebyłe. Dokument niniejszy zostanie potwierdzony przez odpowiednie instancje w Waszyngtonie. A oto potwierdzenia...* - wskazał palcem na pieczęcie i podpisy na dole. - A to dla twojej własnej satysfakcji. - Przerzucił kartki na ostatnią stronę. - List od generała Taylora, napisany jeszcze w trakcie sprawowania przez niego funkcji w Konfederacji. Stwierdza w nim, że nie byłaś szpiegiem, lecz tylko od czasu do czasu przekazywałaś mu osobiste rzeczy poległych żołnierzy.

Cole odchylił się, wyjął cygaro i przez chwilę delektował się nim, obracając w ustach.

- A zatem nie jesteś już aż taka straszna, jak opowiadałaś.

Alaina powoli kartkowała listy i jeszcze załzawionymi oczami niewyraźnie odczytywała podpisy.

GENERAL RICHARD TAYLOR, SKONFEDEROWANE STANY AMERYKI

MAJOR C. R. LATIMER, EMERYTOWANY CHIRURG USA

DOKTOR THADDEUS BROOKS

GENERAL CLAY MITCHELL, CHIRURG USA

WIELEBNY P. LYMAN

I słowa nieznanego sędziego:

Niniejszym oświadczamy, iż po dokładnym zbadaniu sprawy i podpisaniu pisemnych oświadczeń przez świadków o niepodważalnej uczciwości stwierdzono, że Alaina MacGaren nie jest winna zarzucanych jej przestępstw oraz te wszystkie nagrody wyznaczone za jej ujęcie zostają anulowane. Załącza się oświadczenia świadków, dokonane pod przysięgą na Boga, a stwierdzające, że niesłusznie zarzucano jej szpiegostwo, a także niemożliwy był jej udział w rabunku pieniędzy federalnych w określonym dniu, gdyż w owym czasie przebywała w towarzystwie oficera federalnego.

Alaina wzdrygnęła się.

- Ale te listy od generała Taylora... i od Saula... są datowane bardzo dawno.

- Uhm... - Cole nie posiadał się z radości. - Niektóre zostały napisane, zanim jeszcze wyjechałem z Nowego Orleanu. Zatrudniłem najlepszych adwokatów z całej Luizjany, by prowadzili twoją sprawę, a Horace Burr to najbardziej wpływowy prawnik na wschodzie kraju. Powiedziałem mu dokładnie, co się wydarzyło, i upoważniłem go do wyjawienia twych przebrań ewentualnym świadkom, a także podałem mu miejsca, w których mogłaś przebywać.

- Powiedziałeś mu wszystko? - zapytała Alaina z wahaniem.

- Musiałem, moja pani, ale dałem mu do zrozumienia, że to moja wina, a ty jedynie chciałaś mnie wyratować z niebezpieczeństwa. Doktor Brooks potwierdził, iż słyszał podobną historię z ust Roberty. Ale nie martw się, Horace Burr nie rozpowszechni, jest bardzo dyskretny. Tak więc możesz się już nie martwić, że nasze dziecko urodzi się w więzieniu. Z wyjątkiem więzów małżeńskich jesteś absolutnie wolną kobietą.

Alaina oparła się o tył siedzenia i zaśmiała przez łzy.

- Co się tyczy tych więzów, kochanie, chciałabym być do ciebie przykuta na zawsze. - Śmiała się i łkała jednocześnie.

Rzuciła mu się w objęcia i ogarnął ją niepohamowany płacz, tym razem z ulgi. Cole czule obejmował żonę i do samego domu czuł się w roli męża wprost wspaniale.

41

Czerwiec był już ósmym miesiącem odmiennego stanu Alainy MacGaren Latimer, co potwierdzały wciąż powiększające się rozmiary jej brzucha. Dawno musiała odłożyć do szafy piękne kreacje i nosiła teraz suknie z podwyższonym stanem, bardziej pasujące do jej sylwetki.

Robiło się coraz cieplej, świat wokół bujnie się zielenił, a w powietrzu unosił się słodki, świeży zapach kwitnącego bzu i jabłoni. W ocienionych zakamarkach lasu ścieliły się dywany fiołków, poprzecinane gdzieśgdzie żółtymi smugami i upstrzone białymi dzwoneczkami trillium.

Upływał już prawie rok od przyjazdu Alainy na północ, a listy od Craighughów jakoś nie nadchodziły. Kiedy więc przyszła krótka notatka, w której Leala pytała, czy mogliby odwiedzić państwa Latimerów pewni goście z Nowego Orleanu, Alaina była równie zaskoczona, co uradowana. Natychmiast wysłała depezę do ciotki, że oboje z Cole'em będą zachwyceni przyjazdem gości z Południa. Czekali na dalsze wiadomości od Leali.

Tego dnia, a był to trzeci poniedziałek miesiąca, Alaina zajęta była właśnie w salonie szyciem małej sukieneczki, gdy szczekanie Wiarusa poderwało ją na równe nogi. Podeszła do frontowego okna i patrzyła oniemiała. Podjazdem zmierzała w kierunku domu dziwna procesja. Na przedzie jechał wóz Martina Holvaga, a za nim olbrzymi czarny powóz z bordowymi i złotymi lamówkami, jakiego nie powstydziliby się mąż stanu. Z tyłu stało dwóch strażników, a obok stangreta, powożącego czwórką doborowych koni, siedział lokaj.

Alaina przeszła ostrożnie do drzwi i stanęła za Milesem, gdy ów lokaj w nie zapukał. Zastępca szeryfa, nie ruszając się ze swego wozu, przyglądał się wszystkiemu z pobłażliwym uśmiechem.

Miles otworzył drzwi i patrzył z wyższością, jak lokaj pyta oficjalnym tonem:

- Czy to jest rezydencja doktora Latimera i jego małżonki?

- Owszem - równie oficjalnie odparł Miles.

Tamten odwrócił się bez słowa i podszedł do powozu. Rozłożył schodki, otworzył drzwi i stanął z boku. Niska, korpulentna kobieta zgarnęła fałdy sukni i z gracją zeszła po schodkach.

- Ciocia Leala! - rozległ się w holu okrzyk Alainy i ledwie Miles zdążył się odsunąć, rzuciła się na ganek. Nie poruszała się jednak tak żwawo, jak by tego chciała, i spotkały się, gdy ciotka weszła już na schody.

Alaina chwyciła ją w objęcia i mimo woli do jej oczu cisnęły się łzy radości. Za chwilę poczuła na ramieniu jeszcze czyjąś dłoń i podniosła wzrok.

- Pani Hawthorne! - krzyknęła. - Wielkie, łaskawe nieba! Nigdy nie marzyłam o takiej niespodziance!

- Musiałyśmy przyjechać. - Tally wysunęła się z uścisku Alainy i przyjrzała jej się dokładnie. - Bałyśmy się bardzo, ale - spojrzała wymownie na pokaźny brzuch Alainy - warto było trochę odczekać i zaryzykować tę

podróż. Zastanawiałam się już, czy przypadkiem nie myliłam się co do całej tej sprawy. Ale bardzo się cieszę, że pogodziliście się jakoś z Cole'em. I widzę, że nie marnowaliście czasu.

Leala wyglądała na nieco tym wszystkim zmieszana.

- Więc chyba nie będzie już żadnego unieważnienia.

Alaina roześmiała się i uściśniła ciotkę serdecznie.

- Nie sędzę, ciociu. Już dawno zarzuciliśmy ten pomysł.

Leala pogładziła delikatnie falujące włosy siostrzenicy.

- Alaino, mam nadzieję, że się nie gniewasz. Pisałaś, że wszystko w porządku, ale ja musiałam się upewnić. Roberta zawsze skarżyła się na tutejsze życie, więc się o ciebie martwiłam.

Alaina jeszcze raz ją uściśniła.

- Dawno nie byłam taka szczęśliwa, ciociu. Tak się cieszę, że przyjechałyście. Mam ochotę chichotać z radości.

Nagle uświadomiła sobie, że Cole pewnie jeszcze nic nie wie o przybyciu gości. Odwróciła się, żeby poprosić Milesa o zawiadomienie męża, ale Cole właśnie podchodził.

- Cole'u! - zawołała w podnieceniu. - Przyjechały!

- Domyśliłem się - odparł Cole wesoło. Radość Alainy była zaraźliwa. - Nie sposób było nie słyszeć tych wszystkich okrzyków. - Ciepło i serdecznie uściśnił dłonie obu pań. - Czy Angus też przyjechał?

- Nie! - odparła Leala szybko i zdecydowanie, po czym jakby nieco się zachnęła. - Nie, on... jest zajęty w sklepie. - Głęboko wciągnęła powietrze i widać było, że na siłę stara się utrzymać wesoły ton. - Wszystko doskonale idzie, naprawdę. Powodzi nam się jeszcze lepiej niż przed wojną.

- Miłe panie... - Na górnym stopniu powozu ukazał się wysoki i przystojny starszy mężczyzna, który zdołał w końcu zwrócić na siebie uwagę. - Będę już jechał. Wspaniale było panie poznać i byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy się znów kiedyś spotkali.

Alaina spojrzała ze zdziwieniem na obie kobiety, gdy wielka karoca oddalała się drogą.

- Podróżowałyście z nieznajomym? No, no!

- To był pomysł Tally - wyznała Leala, płonąca ze wstydu.

- Oczywiście, że mój! - potwierdziła z dumą Tally. - Zaproponował nam jazdę w swoim powozie, bo zmierzał właśnie w tę stronę, a ja nie widziałam powodu, żeby mu odmówić. Zresztą już dawno przekroczyłam wiek, kiedy czegoś nie wypada. Wszystko, co teraz robię, jest legalne, moralne i zdecydowanie nudne.

- Ale gdzie go spotkałyście? - pytała ze śmiechem Alaina.

- W hotelu w St. Anthony, po zejściu ze statku - pospieszyła z wyjaśnieniami Leala.

- Jest hrabią, lordem czy kimś takim. - Wydawało się, że na pani Hawthorne nie wywarło to specjalnego wrażenia. - W każdym razie jest dżentelmenem.

Cole popatrzył z uśmiechem, jak Alaina prowadzi przybyłe panie do domu, a sam zszedł ze schodów do Martina. Uściśnuli sobie dłonie i zastępca szeryfa oparł się łokciem o tył ławki, nie kryjąc rozbawienia.

- Panie przyjechały do miasta dziś po południu i od razu przyszły do nas, żeby spytać, gdzie mieszkacie. I tak musiałem do ciebie zajrzeć, więc szeryf zaproponował, żebym pojechał razem z nimi. Wyglądają na dwie urocze i dystyngowane damy z Południa.

- I są - potwierdził Cole i uśmiechnął się szeroko do Martina. - Ta starsza, energiczna, można powiedzieć,

zaaranżowała lub co najmniej wielce się przyczyniła do naszego małżeństwa.

Zastępca szeryfa spoważniał, przechodząc do właściwego powodu swej wizyty.

- Cole'u, na rzece zaginął kolejny statek. Tym razem „Carey Downs”. Niemal w tym samym miejscu.

To dziwna sprawa - zastanawiał się na głos Cole. - Z takim trudem holuje się te statki w górę wodospadu, a potem nagle wpadają na coś na rzece.

- W zeszłym roku też dwa zginęły - dodał Martin. - Gdyby nie wchodził w grę handel wozami i futrami, statki przestałyby pływać powyżej St. Anthony. Nie znaleźliśmy po nim śladu, żadnych szczątków ani przedmiotów na wodzie. Nic.

Cole gubił się w domysłach.

- Jeśli są na dnie, kiedyś wypłyną i znajdziecie na wszystko potwierdzenie. Mam nadzieję, że wyjaśniliście coś w sprawie wuja Mindy.

- Znaleźliśmy jego mieszkanie, ale nic tam nie było prócz kilku listów. Wynika z nich, że zanim wziął do siebie Mindy, przyjechał skądś w Missouri. Tutaj kręcił się w poszukiwaniu pracy na wyrębach. Nie miał krewnych, z wyjątkiem tej dziewczynki, ani żadnych przyjaciół w okolicy. Ale chciałbym to zbadać do końca.

- Zajrzę do ciebie, gdy będę w mieście, Martinie. Tymczasem życzę ci powodzenia.

Martin zasalutował, chwycił lejce i zawrócił konie na drogę. Cole stał jeszcze przez chwilę, obserwując, jak odjeżdża. Martin był inteligentny i rzeczowy, podobnie jak Carolyn Darvey. Nigdy nie przejmował się plotkami krążącymi po mieście, które teraz były już zresztą wszystkim obojętne, jak popiół w wystygłym piecu. Ale też Martin nigdy nie ustawał w dociekaniu prawdy. Taki już był, solidny i uparty, nie kierujący się kaprysem. Nadałaby się na męża dla Carolyn.

Po kolacji obie podróżniczki udały się dość wcześnie na spoczynek do swych pokojów. Cole i Alaina też, nie spiesząc się, ramię w ramię poszli do swej sypialni. Dom ucichł i tylko jak zwykle skrzypiał i pojękiwał, do czego Alaina już się jakoś przyzwyczała. Po przeniesieniu się do sypialni Cole'a, dalej od pokoju Roberty, nie narzekała już na żadne odgłosy w nocy. Latem Wiarus często zostawał na dworze i biegał swobodnie. Jeśli nawet coś się działo w czerwonym pokoju, Alaina tego nie słyszała.

Cole z wciąż rosnącą fascynacją przyglądał się, jak żona rozbiera się i szykuje do spania. Potem Alaina weszła do łóżka i czekała, aż on się rozbierze. Rozpinając koszulę, delektował się delikatną, promienną urodą swej żony, która siedząc oparta o poduszki, czesała swe długie włosy, otoczona miękkim blaskiem światła olejowej lampy. Cole po raz kolejny zauważył w duchu, że jest anielsko piękna.

Położył koszulę na fotelu i zaczął zdejmować spodnie, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Sięgnął po szlafrok. Otworzył drzwi i ujrzał na korytarzu Lealę. Stała w ciemności, wykręcając ręce ze zdenerwowania i wstydu.

- Lealo! Co się stało? W czymś ci pomóc?

- Cole'u, nie chciałam was niepokoić, ale czy mogłabym wejść na chwilę i porozmawiać z tobą i Alaina? - pytała niepewnie, z wahaniem.

- Naturalnie! - Wpuścił ją do środka, a Alaina tymczasem włożyła pantofle i leżący w nogach łóżka szlafrok. Przsunęła Leali swój ulubiony bujany fotel i gdy ciotka siedziała już wygodnie, naląła jej nieco sherry z kryształowej karafki stojącej na stoliku.

- Pamiętam, że ciocia lubi napić się trochę wina. - Z ciepłym uśmiechem podała jej kieliszek.

- Och, Alaino, dziecko, nawet nie wiesz, jak mnie przeraziłaś, przyjeżdżając wtedy do Nowego Orleanu w tym ohydny ubraniu, wstrętnie ostrzyżona, pozbawiona swych pięknych włosów. I jeszcze ten jankeski oficer w moim salonie! - Leala z przepaszającym uśmiechem położyła rękę na ramieniu Cole'a. - To był wówczas skandal. Ale widzę, że obłaskawiłaś Jankesa, włosy masz piękniejsze niż kiedykolwiek i lepiej się ubierasz. Czyli że wygrałaś swoją część wojny.

- To miło, że tak sądzisz, ciociu - Alaina przytuliła się do męża - lecz obawiam się, że większa w tym zasługa Cole'a. On nawet spowodował cofnięcie oskarżeń wobec Alainy MacGaren i odzyskał dla nas Briar Hill. Pojedziemy tam późną jesienią i dopilnujemy wszystkiego. Cole zaproponował, żeby wybudować dom, w którym moglibyśmy spędzać część zimy. Ciociu, on wyprostował moje życie.

Cole otoczył ramieniem wcale już nie szczupłą kibić żony.

- Ja uważam, że to twój hart ducha nigdy nie pozwolił ci się poddać, moja kochana, i...

- Wystarczy! - Leala śmiała się i machała rękami, udając przerażenie. - Nie chciałam wierzyć Tally, gdy twierdziła, że wy oboje jesteście w sobie bez pamięci zakochani, ale teraz widzę, że miała rację. Broń Boże, nie chciałabym wywoływać między wami sporu o to, kto jest lepszy. Oszczędźcie mi tego, kochani - wyciągnęła serdecznie dłoń do Alainy. - Jeśli wam to nie przeszkodzi, chciałobyśmy tu zostać z Tally, aż urodzi się dziecko. Może wybaczyłabyś nawet starej, sentymentalnej kobiecie, jeśli potraktowałaby je jako swoje własne wnuczę.

W oczach Leali zabłyśły łzy, gdy Alaina zapewniła ją, że ta propozycja bynajmniej nikogo nie urazi i że są mile widziane w ich domu tak długo, jak tylko chcą. Kobieta odetchnęła z ulgą.

- Obawiam się, że Angus miał coś wspólnego z tym wstrętnym porozumieniem. Czy tak?

- Żadne z nas go nie chciało, ani ja, ani Alaina - przyznał Cole, widząc ogromne przygnębienie Leali.

- Przepraszam cię, Cole'u, za to, co ci zrobiła moja rodzina - wyrzuciła z siebie. - Proszę cię, wybaczyć Angusowi. I Robercie, jeśli możesz.

- Jesteśmy już razem z Alaina i tylko to się teraz dla mnie liczy. Reszta to już historia i nie ma znaczenia - odparł uprzejmie.

- Dziękuję ci, Cole'u. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Gdyby moja córka mniej zajmowała się swoimi zachciankami i kaprysami, może zauważyłaby, jakiego wspaniałego mężczyznę poślubiła. - Leala zrobiła się znów niespokojna. - Ale ja nie z tym do was przyszedłam. - Mam pewną sprawę, która mnie bardzo niepokoi. - Próbowала mówić dalej, ale tylko uniosła drżącymi rękami kieliszek sherry i wychyliła go, kaszląc przy tym, jakby to łagodne wino paliło jej gardło. - *Sacre bleu!* - westchnęła. - O rety!

Gdy odzyskała normalny oddech, zacisnęła ręce na podolku, usiadła sztywno wyprostowana, wzięła głęboki oddech i zaczęła z determinacją:

- Kilka tygodni temu poczułam się w domu tak samotna, że postanowiłam pójść i pomóc mężowi w sklepie. Bóg świadkiem, że wymagał porządnego sprzątnięcia. W czasie porządkowania starych blaszanych pudełek, zgromadzonych pod biurkiem Angusa, w jednym coś znalazłam. Właśnie to.

Zagłębiła rękę w fałdach szlafroka i wyjęła grubą brązową paczkę, którą wręczyła Cole'owi. Ten otworzył ją i zajrzał, po czym wysypał całą zawartość na łóżko. Posypały się nowiutkie zielone banknoty. Była ich spora sterta.

Cole skonstatował ze zdumieniem:

- Tu musi być ponad dziesięć, może piętnaście tysięcy dolarów.

- Prawie dwadzieścia - poprawiła Leala. - Znalazłam je razem z listami, które Roberta przysyłała Angusowi

bezpośrednio do sklepu. Prosiła ojca, żeby trzymał dla niej te pieniądze do jej powrotu w jakimś bezpiecznym miejscu, ale nie w banku. Pisała, że zarobiła je wszystkie co do centa i że przydadzą jej się, gdy wróci do Nowego Orleanu. Pokazałam to Angusowi i okropnie się pokłóciliśmy. On się wściekał i oskarżał cię, że jesteś jakimś złodziejem. Mówił, że Roberta miała wszelkie prawo do wszystkiego, co od ciebie wzięła. Przysięgał, że ma zamiar użyć tych pieniędzy, by w jakiś sposób pomścić jej śmierć. Nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi. - Leala z zakłopotaniem studiowała własne ręce. - Potem spakowałam swoje rzeczy, wzięłam ze sklepu trochę pieniędzy, to zawiniątko i pojechałam do Tally. Czułam się zobowiązana ci to oddać, Cole'u. Nie mogłam się pogodzić z myślą, że Roberta jak złodziejka okradała własnego męża. Wiem, że ona nie spełniła twych nadziei, ale była moim dzieckiem i ja też się czuję winna za te kłopoty, które ona sprawiła wam obojgu.

Przemowa Leali zakończyła się łkaniem. Alaina ukłękła przy niej i objęła ją za szyję, sama bliska łez.

- Ciociu Lealo - powiedziała cicho. - Nie powinnaś tak siebie winić. Wojna wyrządziła wielu ludziom okrutne krzywdy. Robertę zaskoczyła w samym kwiecie młodości, wtedy kiedy ona oczekiwała od życia lepszych rzeczy. Po prostu nie umiała sobie z tym dać rady.

Leala uniosła na nią oczy pełne łez i pogładziła ją ciepło po policzku.

- Dziękuję ci, Alaino. Nie jesteś już dzieckiem. Tak bardzo dorosłaś.

Leala wyciągnęła chusteczkę, otarła oczy i odetchnęła głęboko.

- To mnie strasznie przygniatało - z uśmiechem wyprostowała ramiona - ale teraz czuję się znacznie lepiej. Myślę, że już spokojnie zasnę.

Alaina odprowadziła ciotkę do drzwi. Wychodząc, Leala jeszcze raz się zatrzymała i pocałowała ją w policzek, mówiąc:

- Dobranoc, moja droga. Będę się modliła o wszelkie błogosławieństwa dla ciebie i twych najbliższych.

Gdy wyszła, Alaina wróciła do łóżka, nad którym Cole stał ze zmarszczonym czołem i pocierał brodę grzbietem dłoni.

- Niemożliwe, żeby Roberta zabrała tyle pieniędzy bez mojej wiedzy! - Złożył ich część do kupki i przejrzał. - To całkiem nowe pieniądze. Nie widziałem takich od... - Przerwał i nagle coś sobie przypomniał. Rzucił trzymane banknoty na stertę i wyszedł z sypialni.

Zaskoczona Alaina wśliznęła się pod kołdrę. Usłyszała jego kroki na schodach, a potem skrzyknięcie drzwi do gabinetu. Po chwili był z powrotem, pokazując jej trzy banknoty dziesięciodolarowe.

- Te znalezione przy ogrodniku - oznajmił i położył pieniądze obok poduszki. Przysunął stołeczek, usiadł na nim i przystąpił do porządkowania banknotów. Układał je w rzędach i przekładał, jakby według tajemniczego schematu. Wreszcie ułożył je w kilka stosów, wszystkie nowiutkie i nienaruszone, oprócz ostatniego, który wyglądał, jakby był już składany na pół. Cole pokazał jej z bliska. - Te były złożone, jakby trzymane w kieszeni lub portfelu. Widzisz tu ślad zagięcia? - Cole spojrział na nią, a ona potwierdziła skinieniem, choć jeszcze nic nie rozumiała. - A zobacz tu - sięgnął po trzy dziesięciodolarówki i porównał je z tym samym stosem. Były identycznie zagięte. - Także ich numery pasują do pozostałych. To są kolejne liczby.

- Cole'u, co to wszystko oznacza?

- Oznacza, że korzystał z tych pieniędzy i ogrodnik, i Roberta.

- Ale skąd je wzięli, jeśli nie od ciebie?

- To, moja miła, jest właśnie pytanie. Mogę jedynie próbować się domyślać. - Pozbierał pieniądze, wstał i

odłożył je na półkę nad kominkiem. Potem rozebrał się, położył do łóżka i założywszy ręce za głowę, w zamyśleniu śledził wzrokiem cienie na suficie. - Martin mówił, że on pochodził z Missouri - myślał na głos. - Gdyby należał do jednego z tych gangów napadających na pociągi, mógłby przywozić jakieś łupy.

- Ale jak Roberta zdołała to od niego wydobyć? Czy myślisz, że to on był jej kochankiem?

- Nie potrafię sobie wprost wyobrazić, że Roberta mogłaby zadawać się z prostym ogrodnikiem. Poza tym był brudny, stary i zaniedbany, na pewno nie był typem mężczyzny, z którym by flirtowała. I nienawidziła go!

Ciepłe ciało żony przyłgnęło do niego, a jej drobna ręka przesunęła się po jego torsie i brzuchu.

- Milordzie Jankesie? - Jej oddech muskał mu ramię. - Czy przez całą noc będziesz rozmyślał o Robercie i tych pieniądzach? Czy uspokoisz trochę moją zazdrość, przytulisz i pocałujesz, i upewnisz mnie, że nawet z wielkim brzuchem jestem światłem i miłością twego życia?

Cole roześmiał się, zdmuchnął lampę i przygarnął żonę do siebie. Ucałował jej zadarty nos.

- Jesteś dla mnie wszystkim, Alaino MacGaren Latimer. A żeby udowodnić, że jesteś dla mnie zawsze piękna, zwłaszcza gdy nosisz moje dziecko, będę ci wypełniał brzuch jeszcze przez wiele lat.

Alaina odchyliła głowę i popatrzyła na męża błyszczącymi oczami.

- Co roku, milordzie Jankesie?

Cole przez chwilę ważył w myślach odpowiedź, po czym spojrzął w ukochane oczy:

- No, prawie co roku.

Następnego dnia skoro świt Cole zawiózł pieniądze do szeryfa i opowiedział wszystko Martinowi. Banknoty stały się kolejnym fragmentem zagadki i niewiele więcej wyjaśniły niż pozostałe przedmioty, tak że wkrótce o nich zapomniano. Koniec czerwca mijał dla Alainy jak piękny sen. Pani Hawthorne i Leala dotrzymywały jej bez przerwy towarzystwa i pilnowały, żeby wszystko, co robi, było najlepsze dla dziecka.

W końcu brzuch obniżył się, chodziła ciężko i z wysiłkiem. Z rosnącym przejęciem czekała na rozwiązanie i codziennie sprawdzała, czy w pokoju dziecinnym wszystko jest przygotowane. Natomiast Cole zlecił robotnikom uprzątnięcie zarośniętego otoczenia domku, gdzie zaczął przyjmować chorych w dawnym gabinecie ojca. Braegar złożył im wizytę i narzekał, że Cole odebrał mu część pacjentów. Obejrzał pobieżnie Alainę i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Całkowicie zawojował starsze panie swoją odważną retoryką i ostrymi poglądami politycznymi.

Dla Alainy był to wyjątkowo miły okres. Każdy dzień przeżywała z niespożytym zapałem i entuzjazmem. Na krótko przyjechała też do nich z północnych lasów rodzina Prochavskich. Po dokonaniu wszystkich obliczeń przedsięwzięcie wyřębu okazało się dochodowe i postanowiono je kontynuować w następnym roku.

Darveyowie w komplecie zawitali na kolację, z przyjemnością korzystając z okazji poznania gości z Południa. Po tygodniach siedzenia przy stole blisko siebie Cole posadził wówczas Alainę na jej końcu stołu, a sam, choć odrobinę niechętnie, przeszedł na drugi koniec. Musiał wszakże przyznać, że stamtąd miał na nią najlepszy widok. A Braegar w końcu wybrał sobie miejsce bliżej Cole'a.

Odjeżdżając tego wieczoru, Carolyn była pod wrażeniem zmian, jakie zaszły w Cole'u. Był znów taki jak kiedyś, swobodny, miły i spokojny, i coś jeszcze. To, że nadzwyczaj troszczył się o Alainę, było widoczne dla każdego, ale to nie wszystko. Był teraz naprawdę mężczyzną, mężczyzną w każdym calu, pewnym siebie, bez ograniczeń. Sprawiała to piękna kobieta, z którą obecnie dzielił życie. Zniknęła gdzieś jego szorstkość i

wybuchowość, bo nagle życie stało się dla niego cudowne i radosne. Nie wątpił w lojalność Alainy, bo ona nie dawała mu po temu najmniejszego powodu. Stał się znów mężczyzną doskonałym, a Alaina u jego boku, nawet w tak zaawansowanym stanie, była również ideałem kobiecości.

Następnego dnia podczas kolacji w jadalni rozległo się warczenie psa. Wszystkie oczy zwróciły się na Wiarusa, który dotąd drzemał pod drzwiami. Teraz podniósł łeb i nastawił uszy.

- Ktoś tu podąża - stwierdził Cole.

Chwilę później stukot podków końskich potwierdził te słowa. Gospodarze i obie goszczące u nich panie ucichli w oczekiwaniu. Ktoś, głośno stąpając, przeszedł przez ganek i równie głośno zapukał do drzwi. Gdy Miles odpowiedział na to natarczywe pukanie, do środka wtargnął Angus Craighugh, oznajmiając ostrym tonem:

- Skierowano mnie tutaj i powiedziano, że tu mieszka major Latimer. Czy to prawda?

- Tak, proszę pana, mieszka tu doktor Latimer z żoną. - Miles spojrzał z lekką odrazą na mężczyznę o zaczerwienionej twarzy, w wymiętym ubraniu. Ktoś, kto tak bezceremonialnie wkracza do domu jego pracodawcy, z pewnością nie jest dżentelmenem. - Czy życzy pan sobie zobaczyć się z doktorem Latimerem?

Leala, słysząc głos męża, zerwała się zaskoczona, lecz po chwili opadła z powrotem na krzesło i siedziała cichutko ze złożonymi rękami. Wyczuwając przerażenie ciotki, Alaina szybko wstała i podeszła do szerokich drzwi jadalni.

- Wujek Angus? - zapytała spokojnie, zdumiona jego zaniedbanym wyglądem. Był chudszy niż kiedykolwiek, wyglądał na zmęczonego i wymizerowanego. Musiał mieć ciężką podróż. Włosy jego były w takim nieładzie, jakby ich nie czesał od miesięcy. Kapelusza nie miał w ogóle. Fular wisiał byle jak na rozpiętym kołnierzyku koszuli, buty były brudne i zdarte. Jak na schludnie zazwyczaj ubranego mężczyznę przedstawiał sobą okropny widok.

Na dźwięk jej głosu odwrócił się i stanął jak wryty, widząc jej zaokrąglone kształty. Twarz jeszcze bardziej mu się zaczerwieniła, rozwścieczone oczy o mało nie wyszły z orbit. Postąpił kilka kroków w jej stronę i z zaciśniętymi wargami usiłował coś powiedzieć. Gdy znalazł się tuż przy niej, nastąpił wybuch przerażającej furii.

- Ty mała rozpustnico! Nie zabrało ci dużo czasu, by wpakować mu się do łóżka, co?!

Był w amoku i nie zwracał uwagi na okrzyki zgrozy dochodzące od stołu. Ale kiedy podniósł rękę i zamierzył się na dziewczynę, by w swoim mniemaniu wymierzyć jej sprawiedliwość, nagle rozległy się szybkie kroki i dwie silne ręce chwyciły go i odciągnęły od Alainy. Zobaczył nad sobą płonące gniewem niebieskie oczy. Nie było w nich cienia litości.

- Nigdy więcej nie podnoś ręki na moją żonę! - Cole wycedził przez zęby ostrzeżenie. - Gdybyś był kimś więcej niż zwykłym, zaślepionym głupcem, od razu bym cię stąd wyrzucił. Przekroczyłeś uprawnienia gościa. Może w twoich oczach sprawiedliwe jest takie odwrócenie sytuacji, ale ja to uważam za godne potępienia, bo ten, którego obrażono w twoim domu, wcale na coś takiego nie zasługiwał. W swojej bezdennej głupocie pozwoliłem ci przeprowadzić coś, czego potem wszyscy gorzko żalowali. Ostrzegam cię, drogi panie, dla dobra tu obecnych, że odtąd, jeśli przekroczysz próg tego domu lub znajdziesz się na mojej ziemi, staraj się z całego serca być uprzejmy w swej mowie i manierach. Ze szczególnym zaś szacunkiem odnoś się do mojej żony.

- Nie będę szanował złodziejki i ładacznicy! - wykrzyknął Angus.

Oczy Cole'a niebezpiecznie się zwięzły.

- Uważaj, człowieku. Obrażasz to, co jest mi najdroższe. Była dziewicą, gdy ją posiadałem, i nigdy nie wzięła

centa, który do niej nie należał!

- Więc to ty jesteś złodziejem! - wrzeszczał Angus.

- O, Angusie, przestań już! - Leala wykręcała ręce z rozpacz. - To Roberta była złodziejką. Ukradła te pieniądze Cole'owi.

- Te pieniądze ukradziono znacznie wcześniej! To część żołdu jankeskiego zrabowanego ze statku w Nowym Orleanie. Nie słyszycie, co mówię?

- Trzeba o tym wszystkim spokojnie porozmawiać, Angusie - powiedział Cole, ujmując go za ramię.

- Z daleka ode mnie! - ryknął Angus i wyciągnął zza pasa mały rewolwer.

Cole jeszcze szybciej złapał rękę trzymającą broń i skierował ją do góry, tak by wycelować w sufit. Drugą ręką chwycił Angusa za klapy ubrania.

- Angusie! Posłuchaj! - rzucił ostro. - Już raz mierzyłeś we mnie z karabinu, a potem bardzo wiele wycierpiałem, dlatego, że nie zabrałem ci go od razu i nie wyjaśniłem, jaka jest prawda. Zrozum, że pieniądze, które ci przysłała Roberta, nie były moje. Tej wiosny znaleźliśmy zakopane w ogródku ciało mężczyzny, który miał przy sobie takie same banknoty. Podejrzewam, że Roberta dostała pieniądze od niego, ale nie wiem, skąd on je miał.

Sądząc z wykrzywionej drwiną twarzy Angusa, jego gorycz nie zelżała ani trochę.

- Teraz kała się imię mojej córki.

- Angusie, wyładowałeś już swój gniew i więcej tego nie znoś. - Cole wyrwał mu z ręki pistolet i położył nad kominkiem.

Wtedy podniosła się z krzesła Leala.

- I ja też nie znoś dłużej! - Wyprowadzona z równowagi kobieta wyszła zza stołu i skierowała się w stronę męża. Angus zapadł się w pusty fotel obok drzwi. Zrobił się nagle malutki i potulny. - Jechałeś za mną przez cały kraj, wściekły, że zabrałam pieniądze, których miałeś zamiar użyć przeciwko Cole'owi. Wpadłeś tu jak burza, pełen nienawiści, i ośmieliłeś się napaść na Alainę za to, że jest z mężczyzną, którego kocha. Roberta była także i moim dzieckiem, Angusie. Była bardzo piękna. Ale musisz to zrozumieć, że nie była dobrym człowiekiem. Wszystkie nasze wygórowane opinie o naszej córce są nieprawdziwe. Ona zwiodła Cole'a. Oszukała i wykorzystwała Alainę. A także i nas. A czy ty w ogóle jeszcze jesteś moim mężem? Czy przez ostatni rok w ogóle miałam męża? Mężczyzna zataczający się po drodze do domu od jednej gospody do drugiej i próbujący z każdej nadarzającej się butelki? Wtaczający się do naszej sypialni, prawie każdej nocy cuchnąc whisky? To był mój mąż? Chyba nie - potrząsnęła głową. - To był jakiś obcy, nieznajomy człowiek. - Łzy wypełniły jej oczy i z trudem chwytła oddech. - Może gdybym nie okazała się tak pobłażliwa wówczas, gdy Roberta... oddała się... jednemu ze swych wielbicieli...

Angus spojrział zaskoczony.

- O tak, wiedziałam, że nie była... dziewicą tamtej nocy z Cole'em. Mówiła mi o tym wielbicielu i obiecała, że to się nie powtórzy, więc nie powiedziałam o tym tobie. Wiem o niej dużo innych rzeczy, które sprawiają mi tylko ból. Lecz, Angusie... - Przerwała i popatrzyła mu w oczy. - Ja bym chciała ją zapamiętać jako śliczne, słodkie dziecko i robię wszystko, by zapomnieć o reszcie.

Pani Hawthorne zbliżyła się do Leali i przygarnęła do siebie szlochającą już otwarcie kobietę. Wyczuwając na sobie jej wzrok, Angus uniósł na chwilę głowę.

- I ty tu jesteś. Tally? - mruknął.

- Uważam, że zgryzota zamroczyła ci umysł, Angusie - oświadczyła dobitnie pani Hawthorne. - Moim zdaniem, im szybciej wydobędziesz się z tego bagna rozczulania się nad sobą, tym szybciej zaczniesz znów cieszyć się życiem. Leala ma rację. Zapomnij o krzywdach. Nie da się zmienić przeszłości. Wyjdź ze swojej jaskini i żyj normalnie, z sensem.

- Jak mogę to zrobić, kiedy samo życie jest bez sensu?!

Tally przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego z góry.

- To już twój wybór, Angusie. Tylko nie obwiniaj nas wszystkich wyłącznie dlatego, że się z tobą nie zgadzamy.

- Cole'u? - prawie nikt nie dosłyszał jęklivego głosu Alainy, lecz Cole natychmiast był przy niej. Patrzył z przerażeniem na trzymającą się za brzuch żonę. - Cole'u, chyba się zaczęło.

W pokoju zapanował przez chwilę popłoch. Cole schylił się i wziął Alainę na ręce. Pospiesznie zwrócił się do pani Hawthorne:

- Tally, czy mogłaby pani mi pomóc i zawiadomić służbę, że nadszedł czas pani Latimer? Będą wiedzieli, co robić.

Przemieszczając się po dwa stopnie naraz, wniósł swój ukochany ciężar po schodach i ramieniem otworzył drzwi do sypialni. Ktoś biegł za nimi, a gdy się odrobinę odwrócił, zobaczył, że do pokoju wchodzi Leala, ocierając resztki łez.

- Odwiń kołdrę - polecił i czekał, aż Leala to zrobi, by położyć Alainę na chłodnym prześcieradle. Sam zdjął surdut i kamizelkę, rzucił je na bok, rozwiązał fular i rozpiął koszulę.

- Cole'u, będą potrzebne czyste ręczniki - powiedziała Leala, przejmując dowodzenie od strony organizacyjnej. - Gdzie je znaleźć?

- Tam w środku. - Cole wskazał na łazienkę i zaczął zdejmować Alainie pończochy i pantofle.

Alaina to przygryzała usta w czasie silnych skurczów, to oddychała z ulgą, gdy ból odpuszczał. Uśmiechnęła się, patrząc na przejętego swą rolą męża, i pogłaskała go po policzku.

- Kocham cię - szepnęła.

Cole ucałował jej palce.

- Alaino, ja się trzęsę ze strachu. Przyjąłem już na ten świat całe tuziny dzieci, ale to jest wyjątkowe.

- Dasz sobie radę, milordzie Jankesie - zapewniła go z wielką czułością w oczach. - Byłam przy porodzie Gretchen, więc gdybyś coś źle zrobił - droczyła się z przekornym uśmiechem na ustach - poprawię cię. Doktorze Latimer, na świat przychodzi nasze dziecko i razem je przyjmujemy - popatrzyła na niego ciepło. - Ufam ci... ponad wszystko.

Cole, podbudowany, przywołał całą swą wiedzę i doświadczenie, a jednocześnie całym sercem i emocjami był z tą szczupłą dziewczyną, która ciężko pracowała, w milczeniu zaciskała zęby z bólu, a po każdym skurczu uśmiechem podtrzymywała go na duchu. Pani Hawthorne i Leala krzątały się po pokoju, przygotowując wszystko co trzeba dla dziecka, a on trzymał szczupłe dłonie żony, zupełnie nieświadom tego, że niebo na dworze przechodzi już w błady błękit, a zegar na kominku wybija wczesną godzinę poranka.

Kiedy złapał ją kolejny spazm bólu, Alaina chwyciła za wygięte drążki łóżka i parła tak, jak kazał Cole. Wreszcie jej wysiłek został uwieńczony sukcesem i poczuła, że wysuwa się z niej główka dziecka. Odprężyła się,

dyszac, w oczekiwaniu na następny skurcz, w którym wypchnie je z siebie całe. Usłyszała słaby, stłumiony płacz i zachwyciła ją myśl, że to jej własna dziecina.

Cole jedną ręką naciskał jej brzuch, drugą przytrzymywał główkę noworodka.

- Świetnie nam idzie, Alaino. Teraz przyj. Wychodzi.

Wraz z wyjściem dziecka skończył się ból i usłyszała radosny okrzyk cioci Leali:

- Dziewczynka!

- Jaka śliczna! - wykrzyknęła w zachwycie pani Hawthorne.

Cole kołysał córeczkę w obu dłoniach, uśmiechając się promiennie, a potem ułożył ją na matczynym brzuchu.

Pytająco spojrzął na żonę.

- Glynis Lynn Latimer?

Alaina nieśmiało dotknęła ręką głósko już płaczącego maleństwa, powstrzymując łzy.

- Po mojej matce?

Cole przytaknął.

- Myślę, że pasuje.

- Glynis Lynn Latimer - powtórzyła miękko. - Jak to miło brzmi!

42

Cała rodzina straciła nagle jakiekolwiek zainteresowanie Angusem Craighughem. Kamerdyner wskazał mu drogę do pokoju gościnnego i ze stoicką miną podał wypożyczoną mu na noc garderobę, a Peterowi kazał przygotować dla niego kąpiel. Gdy został sam w ciszy i ciemności pokoju, miał o czym rozmyślać. On, który nigdy w życiu nie uderzył kobiety, kilka godzin temu nieomal uderzył własną siostrzenicę, i to noszącą w łonie dziecko. Wprawdzie, gdy z obawą spytał kamerdynera, czy u Alainy nic się nie przyspieszyło, ten zapewnił go, że nie, ale mimo wszystko czuł się tak, jakby to on wywołał nagle rozpoczęcie porodu. Okrutnie gryzł się tym faktem i z nadzieją czekał na jakieś wieści z sypialni Latimerów. Myślał też, że w porównaniu z tym, na co zasługuje, został potraktowany przez Cole'a dość łagodnie, a nawet pozwolono mu zostać w jego domu.

Rano Angus czekał w salonie, aż wszyscy się obudzą po nie przespanej nocy. Słyszał tylko podniecone szepty służby:

- Dziewczynka! Mała! Zdrowa! Pani Latimer dobrze się czuje. Śpi.

Dzięki Bogu - pomyślał, składając dłonie na kolanach. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby stało się coś złego.

Wyczuwając czyjąś obecność w otwartych drzwiach salonu, Angus powoli uniósł wzrok. Oparta o framugę, patrząc na niego bojaźliwie błyszczącymi, ciemnymi oczami, stała drobna, szczupła, ciemnowłosa dziewczynka, ubrana w powiewną sukienkę z muślinu. Nie miała więcej niż siedem lat.

Angus poprawił się w fotelu i przyglądał się dziecku. Była taka podobna do Roberty z dzieciństwa, że Angus aż się zdumiał. Dziewczynka chyłkiem przemknęła przez róg pokoju, usiadła w fotelu naprzeciwko, grzecznie ułożyła ręce i wpatrywała się w niego swymi wielkimi, pięknymi oczami.

Angus odchrząknął i bezwiednie pocierając spodnie dłońmi o krótkich, grubych palcach, odezwał się:

- Nie widziałem cię tutaj przedtem.

Mindy przechyliła główkę i uśmiechnęła się. Ona mogła to samo powiedzieć o nim.

- Jestem wujkiem pani Latimer - objaśnił. - Mindy spojrzała w kierunku schodów, drapiąc się po małym nosku. Angus wychylił się z fotela, pytając z ciekawością: - A ty czyja jesteś?

Na okrągłym stoliku obok fotela dziewczynki stała mała fotografia w owalnej ramce i na nią wskazało dziecko, niepewnie się uśmiechając. Angus wstał i podszedł, by się przyjrzeć z bliska, a wtedy ze zdziwieniem uniósł brwi. Było to wspólne zdjęcie Alainy i Cole'a. Wrócił na swoje miejsce i obserwował dziewczynkę, nadal nic nie rozumiejąc. Kilka minut później usłyszał w drzwiach dyskretne chrząknięcie Milesa.

- Proszę pana, Annie pyta, czy zechciałby pan zjeść śniadanie. Wszyscy jeszcze śpią, oprócz pana i dziewczynki.

Angus popatrzył na dziecko.

- Czy zjesz razem ze mną śniadanie, panno... ee? - zawiesił głos w oczekiwaniu, ale Mindy wydała z siebie jedynie bezgłośny śmiech, zasłaniając usta ręką.

- Mindy, proszę pana - poinformował go Miles. - Z niej pan raczej nic nie wydobędzie. Nie odezwała się jeszcze nigdy, od czasu jak ją tu ze sobą przywiózł ogrodnik.

- Ogródnik?

- Jej wuj, proszę pana, niestety już nie żyje. Pan doktor i pani Latimer przygarnęli dziecko. To sierota.

Angus wstał i zapraszająco wyciągnął rękę do dziewczynki.

- Ja też miałem kiedyś córkę. - Gdy to mówił, oczy ożyły mu ciepłem, zaśnił w nich promyk od dawna przygaszonego życia. - Była śliczna tak jak ty.

Mindy podała mu ufnie rączkę i pozwoliła się zaprowadzić do jadalni. Trochę niepewnie uśmiechała się, gdy na nią spoglądał, lecz dla Angusa był to dobry początek.

Glynis Lynn spędziła pierwsze popołudnie życia pod zafascynowanym okiem swego ojca. Przez całe lata praktyki lekarskiej nie widział tak pięknego niemowlęcia. Oczywiście, fakt, że była to jego córka, w dużym stopniu wpływał na ocenę Cole'a, ale gotów był bronić swego zdania przed każdym.

Na łóżku obok kołyski poruszyła się Alaina. Powoli otworzyły się szare oczy, znajdując przy sobie rozradowany wzrok męża.

- Ma twój nos i usta - oświadczył z satysfakcją.

Alaina skwitowała to czułym uśmiechem.

- Skąd możesz już to wiedzieć?

Cole obszedł kołyskę i usiadł na brzegu łóżka żony.

- Bo takie jest moje najgłębsze życzenie.

- Zawsze dostajesz wszystko, czego sobie życzysz?

- Dostałem ciebie - podsumował sporną kwestię - a to było moje największe pragnienie.

Usłyszeli nieśmiałe pukanie do drzwi i Cole poszedł otworzyć. W korytarzu stał potulny jak owieczka Angus.

- Kapitanie Latimer... och... majorze... doktorze Latimer...

- Może Cole'u? - zasugerował gospodarz.

- Cole'u - podchwycił Angus i zaczął mówić nieco pewniej. - Myślałem długo w nocy i przez cały dzień, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Chodzi mi o te pieniądze i wszystko, co się wydarzyło z Roberta. Więc zacząłem się modlić... - zadławiło go w gardle. - Nie robiłem tego od lat, ale rozjaśniło mi się trochę w głowie. Teraz już wiem, jakim byłem głupcem. Chciałbym przeprosić za swoją głupotę i za skrzywdzenie Alainy. Proszę was o

wybaczenie.

Cole uśmiechnął się z nutką goryczy, lecz wyciągnął rękę. Nigdy nie przypuszczał, że usłyszy coś takiego od Angusa. Uściśli sobie dłonie i po raz pierwszy poczuli do siebie coś na kształt przyjaźni.

- To ludzka słabość postępować czasem niemądrze. Sam z tego powodu bardzo cierpiałem. Ale jakże inaczej nauczyłyby się być mądrzejszym?

Angus pocierał dłonią zarośnięty policzek i jakby znów stracił pewność siebie.

- Myślę... - Przerwał, a potem dokończył: - Myślę, że spróbuję porozmawiać trochę z Lealą.

Cole kiwnął głową z aprobatą.

- O, to jest mądre posunięcie!

Craighughowie i pani Hawthorne wyjechali w tydzień po urodzinach dziecka. Angus zostawił sklep i wszystkie swoje interesy, by podążyć za żoną. Leala uśmiechała się w duchu, gdyż w całej historii ich małżeństwa było to coś zupełnie wyjątkowego, żeby mąż odłożył na później sprawy materialne. Angus poczuł wielką sympatię do Mindy. Na odjeźdźnym wymógł na Latimerach obietnicę, że wkrótce przyjadą i zabiorą ją ze sobą.

Po ich wizycie i narodzinach córki sam dom także nabrał dla Alainy weselszych barw. Lecz gdy nastały upalne dni sierpnia, słońce oraz gorące i suche wiatry uczyniły z rezydencji na skale istny piekarnik. Nawet zawsze wytrzymały Miles oblewał się potem. Alaina najlepiej ze wszystkich znosiła upał. Rozpinała tylko górę sukni i podwijiała rękawy. Kolejne dni wypełniały jej obowiązki matki i żony.

W przeciwieństwie do nowego budynku schowany w cieniu potężnych wiązków stary domek był chłodny. Toteż Alaina coraz częściej zabierała tam na wiele godzin Mindy i Glynis, i spędzały czas w zacienionych pokojach w pobliżu Cole'a. Alaina Czadziła w domku generalny remont i razem ze służbą wносиła nowe meble. Doprowadziła jego wnętrza niemal do dawnej świetności. Domek był piękny i solidnie zbudowany. Miał grube dębowe podłogi, a w kuchni kamienną posadzkę. Podczas gdy w domu na wzgórzu przy najłżejszym wietrze stukały okna wszystko jęczało i skrzypiało, domek był mocny i bezpieczny. Można w nim było zapomnieć o wichurze, burzy czy ulewie na dworze. W środku nie odczuwało się ani strasznego upału, ani trzaskającego mrozu. Zbudowano go z sercem, by służył wielu pokoleniom. Alaina bardzo polubiła emanujący z niego spokój. Coraz lepiej się czuła w jego miłych, skromnych i eleganckich pomieszczeniach, tak bardzo odmiennych od przeładowanych wnętrz nowego domu.

W czasie któregoś wieczornego posiłku Cole sam zaczął rozważać na głos możliwość całkowitego przeniesienia się do domku, w którym Alaina zdążyła się już dobrze zagospodarować. Zauważył, że wciąż przybywa tam ubranek dziecinnych, pieluch i ręczników, nie mówiąc o kilku zmianach ubrań dla Alainy w szafie głównej sypialni na górze.

Ta propozycja skłoniła Alainę do podejrzeń, że mąż czyta w jej myślach. Woląla jednak nie okazywać rozsadzającego ją entuzjazmu, więc oględnie wyraziła akceptację.

- Milordzie Jankesie, myślę, że to dobry pomysł.

W tym momencie Cole musiał przypomnieć pani Garth, że czeka na swoją poobiednią porcję brandy. Gospodyni wyglądała na bardziej zaskoczoną jego pomysłem niż Alaina.

- Przepraszam, proszę pana - przywołała się szybko do porządku i nalała do kieliszka odrobinę trunku. Sam doktor coraz częściej ganił ją za zbyt hojne nalewanie mu alkoholu, a często w ogóle go nie pił, tylko delectował

się samą kawą.

- A czy myślałaś, co zrobisz z tym domem? - zapytała Alaina, siedząca teraz przy stole obok męża.

- Mam pomysł, żeby go przerobić na mały szpital, lepiej urządzony niż wiele z tych domów zarazy, które znam.

Ręka nalewająca brandy zadrżała i płyn rozlał się na stół. Pani Garth szybko wytarła go szmatką i bąkając przeprosiny, wyszła z jadalni. Cole odprowadził ją zdziwionym wzrokiem. Zaraz jednak zapomniał o tym incydencie, bo gdy zostali sami, Alaina wsunęła mu się na kolana i zwróciła całą jego uwagę na siebie.

- Ach, Cole'u, to wspaniały pomysł! - wykrzyknęła z zapalem obejmując go za szyję. - I Braegar może ci pomóc. Od rana zacznę razem ze służbą przenosić rzeczy i ubrania do domu i pod koniec tygodnia czy parę dni później będziemy już prowadzeni. Wtedy możesz tu zawołać cieśli, żeby wyburzyli ściany i powiększyli część pokoi na oddziały szpitalne. Ani się obejrzysz, jak zaczniesz przyjmować pierwszych pacjentów.

Jednak Cole gwałtownie stracił zainteresowanie tym tematem. Skąpa warstwa bielizny i muślinowa suknia, które Alaina założyła w ten upalny dzień, pozwoliły mu łatwo wyczuć kryjące się pod nimi kobiece krągłości. Od urodzenia się córeczki powstrzymywał swe pragnienia do czasu, aż żona będzie mogła znów stać się jego czułą kochanką. Zbliżał się już wrzesień, więc od tamtego wydarzenia minęło dobre półtora miesiąca, i musiał przyznać, że było mu już ciężko wytrzymać. Czując jej pośladki na swych udach, rozgrzewał się mimo woli i krew krążyła w nim coraz szybciej.

- Czy wiesz, droga pani, jak dawno już nie kochaliśmy się ze sobą? - zmarszczył brwi, a ona odwróciła się i spojrzała zaskoczona i zbита z tropu tak kompletną zmianą tematu. Cole już gmerał przy guzikach jej sukni. - Mam jeszcze inny wspaniały pomysł, jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Alaina pochyliła się i włożyła rękę pod jego cienką koszulę. Pogładziła umięśniony tors i gęstwinę włosów. Serce uderzyło jej mocniej. Muskając mu ucho swym oddechem, szepnęła:

- Czy moglibyśmy to omówić w zaciszu naszej sypialni, milordzie Jankesie?

W następnych dniach zyskali pacjentkę do szpitala, jeszcze zanim Cole oznajmił swą decyzję służbie. Przyjechała Rebel Cummings z Braegarem. W czasie kolacji z niewielkim zainteresowaniem słuchała dyskusji obu panów na temat ewentualnego połączenia ich sił w nowym przedsięwzięciu. Ale gdy mieli już odjeżdżać, nagle, bez uprzedzenia, osunęła się prosto w ramiona Cole'a. Żadne zabiegi medyczne nie były w stanie jej ocucić. Od soli trzeźwiących tylko się rozkaszała i znów zemdląła.

Alaina obserwowała całe zajście trzeźwym okiem, widząc, jak kobieta zawsze opada na Cole'a. Miała ochotę dać Rebel porządnego kuksańca, przekonana, że po nim zaraz się ocknie. Nie mogła jednak tego zrobić jako żona szacownego lekarza. Stała więc z tyłu i spokojnie patrzyła na całe zamieszanie. Zdenerwowany Braegar upierał się, żeby nie ruszać Rebel, więc naszykowano dla niej pokój gościnny. Nie znaczyło to, żeby Alaina była niewrażliwa na słabości czy choroby innych, ale o wiele lepsze przedstawienie widziała już kiedyś na niedzielnej herbatce u pewnych starszych dam. Nie znała gry tej kobiety, ale jeśli była ona obliczona na Cole'a, Alaina była zdecydowana ukrocić ją najszybciej i najlepiej, jak to możliwe. Gdyby zaszła taka potrzeba, gotowa była odbyć z nią szczerą rozmowę w cztery oczy.

Rebel została u nich przez trzy dni i wyjechała dopiero po ostrej interwencji Cole'a. Dziewczyna miała tendencję do błąkania się po domu nad ranem, jeszcze przed świtem. W trakcie tych wycieczek zdarzyło jej się

przez pomyłkę wejść do sypialni gospodarzy. Cole właśnie gorącymi pocałunkami obudził Alainę ze snu. Jeśli Rebel zgubiła się rzeczywiście w obcym domu, to szybko uświadomiła sobie, gdzie się aktualnie znajduje, widząc w świetle księżycy splecione w łóżku ciała. Nagie plecy mężczyzny i obejmujące go nogi kobiety nie pozostawiały wątpliwości, iż przeszkodziła im w najbardziej intymnym momencie.

Na wściekłe warknięcie Cole'a wyskoczyła z pokoju jak oparzona, a potem żadne przeprosiny i tłumaczenia, jak bardzo czuła się chora i zagubiona, nie były w stanie złagodzić gniewu gospodarza. Zaraz rano kazał Oliemu zaprzęgać powóz. Dziękując za śniadanie i unikając spotkania z marsowym spojrzeniem Cole'a, Rebel wsiadła i odjechała.

W drugi wtorek września słońce weszło na bezchmurnym niebie, lecz zanim dzień na dobre wykaraskał się z pościeli, wysoko na firmamencie ciągnęły się już długie smugi chmur pierzastych. Alaina nie pojechała jeszcze jak zwykle do Cole'a do domku, ponieważ dziecko jakoś dłużej dziś spało po porannym karmieniu.

Wykąpała się, ubrała i szykowała się do krótkiej podróży w dół pagórka. Do końca tygodnia zamierzali przeprowadzić się do domku na stałe, a na początku następnego rozpocząć przebudowę wewnątrz domu na wzgórzu.

Czesząc włosy, Alaina wyczuła czyjaś obecność w drzwiach łazienki. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła panią Garth trzymającą na rękach Glynis. Po raz pierwszy się zdarzyło, by gospodyni dotknęła dziecka. Nie wiedzieć czemu, Alaina poczuła się tym zaniepokojona.

- Proszę pani, chcę pani coś pokazać - oznajmiła sucho kobieta. - Czy zechce pani pójść ze mną?

Pani Garth odwróciła się gwałtownie, przeszła przez łazienkę, pokój dziecienny i wyszła na korytarz. Alaina poczuła, że ma nogi jak z ołowiu. Jej reakcja była też jakby zwolniona.

- No, proszę iść - nakazała jej pani Garth szorstkim głosem, stojąc w drzwiach i czekając. - Nie mamy dużo czasu.

- Proszę mi dać Glynis - domagała się Alaina. - Zaraz z panią pójde, tylko sprawdzę jej pieluszki.

- To nie może czekać. Proszę iść.

Alaina zrozumiała, że nie ma wyboru, bo gospodyni już niosła dziecko przez korytarz. Ze zdumieniem stwierdziła, że pani Garth wchodzi do pokoju Roberta, bez wahania podchodzi do lustra w alkowie i jedną ręką naciska jego górny róg. Wtedy zaszokowana zobaczyła, jak lustro się odsuwa, a za nim otwiera się ciemne przejście, w które pani Garth wchodzi z dzieckiem. Machnęła do Alainy, by szła za nią, a ona, choć z wahaniem, też musiała to zrobić. Zatrzymała się w przejściu. Lustro kryło za sobą ciemny, kwadratowy szyb, w którym ciasno przylegające do ścian schodki zakreślały bez końca w dół. W dole widziała tylko czarną otchłań bez dna, pełną nieprzeniknionych dla wzroku cieni. Spojrzała w górę. Tu schody sięgały do wysokości strychu, a wyżej drabina prowadziła do małych drzwiczek, mogących wychodzić jedynie na górny taras. Na samej górze jedno małe okienko dawało nikielne światło na schodkach.

Pani Garth zeszła jedną kondygnację w dół i stanęła, przytrzymując się wolną ręką drewnianej poręczy przymocowanej do ściany.

- Idzie pani, pani Latimer? - niecierpliwe pytanie rozniosło Me echem w pustej wieży.

- Czy nie powinnyśmy zawołać Cole'a lub kogoś z mężczyzn? - zapytała nagle bardzo zaniepokojona Alaina. Z drżącymi ustami patrzyła na śpiącą córeczkę, rozpaczliwie pragnąc mieć ją z powrotem w ramionach.

- Ma pani wiele do zobaczenia tam na dole, a nie mamy czasu do stracenia. Chodźmy już!

To ostatnie zabrzmiało jak rozkaz. Poszła potulnie, bo wąskie schodki nie stanowiły dobrego miejsca do wrywania z jej rąk dziecka. Gdy tylko minęła wejście, pani Garth przekreśliła drewniany dźwignię i cała ściana zamknęła się za nimi ze zgrzytem łańcuchów i bloczków. Nagle zrobiło się ciemno. Błysnęła zapalka i płomyk lampki rozproszył nieco ciemności. Pani Garth schodziła szybko po krętych schodkach, jedną ręką trzymając wysoko lampę, a drugą obejmując dziecko. Z dołu do góry unosił się prąd powietrza, niosąc ze sobą jakieś odległe, stłumione głosy. Alaina nie miała wyjścia, musiała za nią iść. Schodziły bez końca w dół, aż drewniane ściany szybu przeszły w kamienne, a potem zrobiły się nierówne i chropowate, jakby stanowiły naturalny tunel w skale. Oprócz coraz głośniejszych hałasów dochodził teraz jeszcze zapach wilgoci. Alaina spojrzała w górę. Okienko na górze było już tylko małą jasną kropką. Domyślała się, że muszą się już znajdować poniżej piwnicy domu, zapewne blisko poziomowi wody.

Niżej ściany były wilgotne, a z ciemnej czeluści dobiegały od czasu do czasu cienie popiskiwania. Alaina zamarła ze zgrozy, gdy do jej świadomości dotarło, że to nietoperze wiszące w szczelinach skalnej ściany.

Na samym dole szybu znajdowały się grube, drewniane drzwi. Pani Garth przechyliła na jedną stronę pionową dźwignię i drzwi zaczęły się otwierać z łoskotem i szcękaniem łańcuchów. Gdy się odchyliły, przecisnęła się przez nie i zaczekała, aż to samo zrobi Alaina. Po drugiej stronie pani Garth nacisnęła inną dźwignię, lecz ku jej widocznej irytacji drzwi nie chciały się całkiem domknąć, pozostawiając szparę szerokości dłoni mężczyzny.

- Przekłęte urządzenie! Nigdy nie działało jak trzeba! - utyskiwała. Zostawiła je tak, jak były, wzięła z powrotem lampę i pospieszyła dalej. Podłoga schodziła teraz gwałtownie w dół, a z przodu sączyło się jakieś światło.

Alaina rozejrzała się i nogi się pod nią ugięły. Były w jaskini, gdzie tylko kilka lamp rozpraszało mrok, a wokół ścian stały całe stopy różnych towarów, skrzyń i drewnianych beczek. W małej, bocznej wnęcie, odgródzonej kratą, stały beczułki prochu strzelniczego i kilka warstw długich skrzyń z namalowanymi z boku wizerunkami strzelb.

- Strzelby? Karabiny? - odezwała się Alaina z lękiem. Nagle przypomniało jej się, co Cole opowiadał o zaginionym na rzece statku. Miał właśnie taki ładunek. Czyżby w ich własnej piwnicy mieszkali rzeczni piraci?

- Tędy proszę, pani Latimer. - Gospodyni mówiła teraz głosem rozkazującym i niegrzecznym. - Jeszcze troszkę dalej.

Pani Garth zaprowadziła ją do mniejszej jaskini, jakby sztucznie wydrążonej w miękkim piaskowcu i tworzącej rodzaj izby. Weszła do środka i położyła niemowlę na wąskim łóżku przy ścianie. Alaina natychmiast podbiegła i wzięła dziecko na ręce. Odwróciła się, gdy usłyszała za sobą głośny szcęk metalu. Pani Garth zamykała właśnie sztabę ozdobnie kutej bramy, która zamieniała wąską izbę w celę więzienną.

- Co pani robi?! - krzyknęła przerażona Alaina. - Proszę mnie stąd wypuścić!

Pani Garth spoglądała na uwięzioną i powoli rozpiniała guziki swej ciasnej sukni, która dotąd spłaszczała jej wydatny biust. Potem wyjęła spinki ze skromnego koczka i rozpuściła włosy na ramiona. Szara, nijaka pani Garth nagle przeistoczyła się w zupełnie inną kobietę - kobietę rozpaloną nienawiścią i żądzą zemsty.

- Dostyc już chylenia karku i szorowania cudzych brudów, pani Latimer - syknęła. - Teraz wezmę wszystko, co mi się od początku należało.

Mała rączka Mindy naciskała gorączkowo taflę lustra. Widziała w nim siebie, ale nie widziała tych, które zniknęły w jego czeluściach, i to napawało ją wielkim lękiem. Ubierała się właśnie w swoim pokoju, gdy usłyszała szorstkie komendy pani Garth i zaniepokojony głos Alainy. Wiedzona dziecięcą ciekawością, podążyła za ich głosami w stronę znienawidzonego czerwonego pokoju Roberty. Gdy tam dobiegła, pani Garth z dzieckiem zniknęła właśnie po drugiej stronie dziwnego otworu w ścianie. Niepokój dziecka przerodził się w paniczny strach, gdy jej uwielbiana Alaina również pogрузzyła się w ciemnej szczelinie, i zanim Mindy tam dotarła, zatrzasnęły się za nią lustrzane wrota. Zatrwożone dziecko popychało i wczepiało się rękami w gładkie szkło, lecz przed nią nie chciało się ono otworzyć. Bezradna dziewczynka przyciągnęła krzesło pod otwarte drzwi pokoju i usiadła, gotowa w każdej chwili zerwać się i ukryć, gdyby lustro znów się otworzyło. Ze strachem liczyła rozlegające się w całym domu uderzenia wielkiego zegara w sieni. Z każdą upływającą godziną czuła coraz większy niepokój. Zegar wybił dwunastą, czas, kiedy zawsze razem z panem Latimerem wracali do domu na posiłek. Mindy miała nadzieję, że Cole niedługo przyjdzie do domu. On będzie wiedział, co zrobić. Uratuje Alainę i Glynis.

Było to dla małej dziewczynki bardzo długie oczekiwanie, ale wreszcie zobaczyła przez okno sympatyczną twarz nadjeżdżającego Cole'a. Jej drobne nóżki obute w pantofelki migiem zbiegły po schodach i gdy doktor mijął Petera, wciąż bezskutecznie czekającego przed domem na Alainę, żeby ją zawieźć do domku, zdyszana i niecierpliwa Mindy wypadła na ganek.

Na pytanie doktora Peter wzruszył ramionami. Kazano mu przyjechać po panią o dziewiątej, ale jak widać, jeszcze nie zeszła.

Zajęty własnymi myślami. Cole pospieszył do domu, nie zwracając w ogóle uwagi na ciągnącą go za ubranie Mindy. To było zupełnie niepodobne do Alainy, by trzymać Petera tyle czasu w oczekiwaniu. Nagle zaczął się obawiać, czy coś jej się nie stało. Wbiegał po dwa stopnie naraz, ale sypialnia i pokój dziecka były puste.

- Alaino! - Szedł korytarzem, sprawdzając we wszystkich pokojach. - Alaino, gdzie jesteś?

Jego wyczyszczone na glans buty tylko śmignęły po schodach, gdy zbiegał z powrotem na dół, wymijając wchodzącą na górę Mindy. Z impetem wpadł do kuchni zapytać Annie, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

- Nie widziałam pani od śniadania, proszę pana.

Mindy, która usiłowała dogonić wciąż umykającego jej Cole'a, zatrzymała się na schodach, trzęsąc się z rozpacz i zaciskając drobne dłonie. Cole znów wbiegł na górę, a ona za nim. Zauważył ją dopiero, wychodząc z pokoju dziecinnego, po ponownym dokładnym sprawdzeniu obu sypialń i łazienki.

- Mindy! - przyklęknął obok niej. - Widziałas Alainę?

Dziewczynka uśmiechnęła się i gorliwie pokiwała głową. Wzięła go za rękę i zaprowadziła prosto do pokoju Roberty, a w nim do lustra. Nacisnęła środek tafli i popatrzyła, czy Cole ją zrozumiał.

Cole kiwnął głową ze zniecierpliwieniem.

- Tak, Mindy. To ładne lustro, ale teraz muszę znaleźć Alainę i Glynis.

Mindy rozpaczliwie pokazywała na swe odbicie, ale Cole, nic nie rozumiejąc, odwrócił się i odszedł. Oczy dziecka zalały się łzami lęku i zawodu. Zacisnęła ręce w pięści. Przypomniały jej się opowieści ukochanej Alainy o bohaterskich i odważnych mężach. Alaina mówiła, że każdy potrafi robić rzeczy łatwe, ale tylko bohaterowie i mędracy robią rzeczy trudne, których nie podejmują się inni.

Dobrze więc! Mindy nie jest wprawdzie mędrcem, ale może zrobić coś bohaterskiego, jeśli ten miły Cole nie chce jej słuchać! Słuchać jej! Słuchać! Słuchaj mnie, Cole'u! Proszę!

Łzy płynęły jej po policzkach, ale jej szlochanie było bezgłośnie. Ze złością wytarła twarz i znów pobiegła go szukać. Rozmawiał z Peterem.

- Nie, proszę pana! - Peter kręcił głową. - Jak już mówiłem, pani prosiła, żeby wóz był gotowy dziś rano około dziewiątej. Czekam od tamtej pory.

- Pani nie wychodziła w ogóle z domu? - pytał Cole coraz bardziej zdenerwowanym głosem. A jeśli wyszła tylnymi drzwiami, poszła wzdłuż stromej skały? Mogła spaść. A może jest gdzieś w lesie ze skręconą kostką lub złamaną nogą, nie mogąc unieść dziecka? Mogła nawet stracić przytomność! W przerażonym umyśle rodziły się straszne wizje niebezpieczeństw czyhających na Alainę i dziecko. Odepchnął wyciągającą się do niego rączkę Mindy i popędził do Milesa.

- Nie, proszę pana. Ostatni raz widziałem panią, gdy weszła na górę po śniadaniu. I nie schodziła już na dół.

Cole wiedział, że przed czujnym okiem Milesa nie umknie nic, co dzieje się w domu. Nie było sensu dalej go wypytywać. Odsunął ręce Mindy, ale one znów uporczywie chwyciły go za tył kamizelki.

- Nie teraz, Mindy! - Odczepił jej palce, nie zauważając, jak rozpaczliwie porusza ustami, błagając go, żeby z nią szedł. - Muszę znaleźć Alainę! Nie rozumiesz? Alaina i maleństwo zginęły!

Odepchnął dziewczynkę i ruszył w stronę jadalni. W głowie wirowało mu od złych przeczuć.

- Peter! - krzyknął nagle.

Chłopak błyskawicznie znalazł się przy drzwiach.

- Bierz wóz i jedź po Oliego i Saula. Po drodze rozglądajcie się uważnie, czy gdzieś nie ma pani Latimer. Przywieź tu obu mężczyzn jak najszybciej, a wracając, sprawdźcie, czy pani nie ma w domku.

Peter wybiegł i po chwili wóz turkotał w oddali, a popędzane przez chłopca konie gnały jak szalone.

Cole chodził tam i z powrotem, myślami wyprzedzając fakty. Stanął w oknie i patrzył na rzekę, szukając wzrokiem jakiegokolwiek poruszenia na brzegu skały.

Annie z łyżką w ręce stanęła obok Milesa w holu, zapomniawszy o jedzeniu. Kamerdyner skubał nerwowo swój fular, aż całkiem go przekrzywił.

- Coś złego się stało w domu. - Annie machnęła groźnie łyżką. - Czuję, jak włos mi się jeży na karku.

Miles nic nie mówił, tylko dalej skubał fular. Myśl o tym, że w tym domu czy też w starym domku mogłoby zabraknąć energicznej i wesołej pani Latimer i tego ślicznego dzieciątka, odbierała mu zmysły.

Od okna odciągnęła uwagę Cole'a seria uderzeń o stół. Odwrócił się. To Mindy z całej siły tłukła w blat małymi piąstkami. Gdy zobaczyła, że na nią patrzy, przestała. Szybko wykonała ruch kołysania dziecka w ramionach i pokazała palcem za siebie na schody. Potem skierowała palec do góry i zrobiła rękami gest popychania.

Cole potrząsnął głową i starał się zwrócić do dziecka cierpliwym, spokojnym tonem.

- Mindy, nie mogę się teraz z tobą bawić. Nie chcę znów oglądać lustra. Alaina i dzidzius zniknęły i nie wiemy, gdzie. Zrozum.

Dziewczynka przytaknęła gorliwie i wskazała na siebie, powtarzając wszystkie poprzednie ruchy. Cole odwrócił się do okna, żeby ukryć ogarniającą go irytację.

- Mindy, zostaw mnie.

Znów zaczęła bić pięściami i nie przestała, dopóki nie obrócił na nią już rozzłoszczonych oczu. Wtedy zobaczył łzy płynące strumieniem po policzkach dziewczynki i złagodniał nieco. Nie skrzyczał jej, choć już prawie

miał zamiar to zrobić.

Mindy stała z rękami rozłożonymi na stole, a jej myśli pobiegły raptownie w przeszłość. Przypomniało jej się wszystko. Jak ją zamknięto w schowku ze szczotkami, zabroniono cokolwiek mówić i płakać, żeby nie wiem co się działo. Jak jej zabity ojciec padał powoli pod gradem świszczących kul muszkietów. Jak krzyczała matka wywlekana z płonącego domu przez pomalowane twarze. Pamiętała też tępe uderzenie łopaty, po którym jej wujek zwałił się bez życia do dołu. Umysł dziecka nie chciał już przyjąć więcej. A teraz jej kochana Alaina i maleńka Glynis, patrząca na nią tak sympatycznie, gdy pochylała się nad kołyską... Koniec, koniec milczenia.

Mindy otworzyła usta, złożyła wargi i zrobiła straszliwy wysiłek, ale z jej płuc wydobyło się tylko dyszenie. Dyszenie przeszło w szloch i dziewczynka w rozpaczach znów zaczęła walić pięścią o stół. Szlochy robiły się coraz głośniejsze, aż wstrząsały jej szczupłym ciałem. Cole patrzył i nie wiedział, jak ma ją uspokoić. Wreszcie podszedł i wziął ją w ramiona. Pierwsze stłumione słowa zabrzmiały mu tuż przy uchu jak szept.

- Papa! Papa! Mama! Mama! - Nagle Mindy cofnęła się. Złapała Cole'a obiema rękami za włosy i wpatrywała się desperacko w jego oczy. Jej wargi pracowały, aż z wysiłkiem wyrzuciły z siebie:

- Na! Na! Ainja! Ainja!

- Alaina?

Główka żywo potaknęła.

- Nis! Nis! Inis!

- Glynis?

- Co! Cole! - Zacisnęła mocno oczy w rozpaczliwym wysiłku wyartykułowania słów. - Col! Chodź! - patrzyła błagalnie, a łzy lały się z oczu potokiem.

- Col! Chodź! Szybko! Szybko!

Puściła jego włosy, złapała go za rękę i pociągnęła gwałtownie.

- Col! Chodź szybko!

Świtało mu w głowie powoli, ale wreszcie dotarło. Ona wie, gdzie jest Alaina, i próbuje mu to powiedzieć. Wstał i pozwolił się zaprowadzić z powrotem na górę do pokoju Roberty. Mindy pobiegła do lustra i położyła na nim obie ręce. Odwróciła głowę do Cole'a.

- Wi! Wi!

- Wi? - powtórzył wolno Cole. - Drzwi!

Mindy pchnęła lustro ramieniem.

- Drzwi! Drzwi! Otwórz!

- Lustro to są drzwi i Alaina tędy wyszła?

Mindy kiwała głową energicznie.

- Inis! Inis! - Walila ręką w szkło.

Cole oglądał brzegi lustra.

- Ar... Ar... Arth! Pani Arth! - Mindy wyrzucała kolejne słowa.

- Pani Garth? - Cole nagle przypomniał sobie, że nie widział nigdzie kobiety, biegnąc w popłochu po domu. Przybliżył się jeszcze bardziej do lustra i obejrzał je dokładnie od góry do dołu. Miało nieco matową powierzchnię, ale nie dostrzegwał śladu żadnych zawiasów ani uchwytów. Odsunął okalającą je kotarę i wtedy zauważył w prawym górnym rogu nieco rozmazany fragment odcisku dłoni. Przyłożył w tym miejscu rękę i nacisnął. Lustro przesunęło

się o parę centymetrów, nie więcej. Nacisnął mocniej i wielkie lustro rozwarło się szeroko.

- Mindy! - Cole zwrócił się do dziewczynki. - Zaraz przyjadą Olie i Saul! Przyrowadź ich tutaj i pokaż im te drzwi.

Mindy pobiegła do wyjścia, ale zatrzymała się jeszcze.

- Col?

Zablokował właśnie lustro fotelem, lecz przerwał i słuchał.

- Minny kocha Ainja i Nis - powiedziała dziewczynka wolno i ostrożnie.

Cole spojrział na nią łagodnie.

- Ja też je kocham, Mindy. I, Mindy, wiesz, ciebie też kocham. Dziękuję ci.

Oczy dziecka rozbłysły. Odwróciła się i popędziła na dół.

Cole wziął lampę ze stolika przy łóżku, przeszedł przez otwór w ścianie i zaczął schodzić. Gdyby ktoś był zaczajony na dole, światło mogło go ostrzec, ale bez światła było jeszcze niebezpieczniej. Mógłby się potknąć i runąć głową w dół. Powoli schodził coraz niżej, niczym do samych piekielnych czeluści. Na samym dnie zobaczył nagle światło przez szparę w nie domkniętych wrotach do jaskini. Zdmuchnął swoją lampę. Znow ogarnęła go ciemność, rozproszona jedynie wąską, bladą smugą w przejściu. Ostrożnie podszedł i przecisnął się na drugą stronę. Niepewnie macał stopami pochyłość tunelu. Lampy sączyły mizerne światło, w którym dojrzał składowane tu towary, natychmiast wszystko sobie kojarząc. Wtem jego uwagę zwróciła mała celka w kącie jaskini. W środku ujrzał bliską swym oczom i sercu sylwetkę, teraz smutno przygarbioną.

- Alaina? - wyszeptał i wyszedł z tunelu. I oto znalazł się twarzą w twarz ze szczerzącym zęby w uśmiechu Murzynem, do którego pasowało tylko jedno imię: Gunn. Zobaczył wymierzoną w siebie pięść, poczuł ból i zapadł się w ciemność.

43

Krzyk Alainy rozlegał się w jaskini coraz ciszej, aż zamilkł całkowicie, a ona opadła bez sił na prycze obok śpiącego maleństwa. Była przerażona i zagubiona. Potem nagle w ciemnościach otaczających jaskinię usłyszała szept Cole'a i serce jej wypełniło się ulgą i nadzieją, by zaraz znowu ją stracić, gdy zobaczyła, jak Gunn powala jej męża na ziemię. Przywarła do krat swego więzienia, patrząc z lękiem, jak czarny podnosi go do góry. Nie miała wątpliwości co do tego, że Gunn potrafi zranić lub nawet zabić człowieka samym uderzeniem swych potężnych pięści.

Z przeciwnej strony jaskini przybiegła pani Garth, a za nią kilku mężczyzn, których skierowała tam, skąd przed chwilą przyszedł Cole. Alaina słyszała ich pospieszne kroki w tunelu, a potem stukanie ciężkich butów o schodki.

Pani Garth podeszła do żelaznej kraty, machając do Alainy, by się odsunęła. Wyciągnęła z kieszeni klucz. Zauważywszy niespokojny wzrok Alainy wbity w bezwładnego mężczyznę w rękach Gunna, gospodyni zaśmiała się szyderczo.

- Nic mu nie jest, pani Latimer. Tylko lekki wstrząs, nic poważnego. Gunn potrafi być delikatny, jeśli chce.

Otworzyła furtkę i Gunn wniósł swój bagaż. Zrzucił Cole'a beładnie na ziemię. Alaina natychmiast była przy mężu. Wzięła jego głowę na kolana i dokładnie obejrzała. Pół twarzy było paskudnie zsiniałe. Nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Odkąd ją zamknięto w tym wilgotnym, kamiennym więzieniu, nie dostała nic do jedzenia, nawet odrobiny wody. Mogła tylko być wdzięczna losowi, że Glynis nie cierpi. Nakarmiła dziecko piersią. Po

jedzeniu mała jeszcze trochę pobaraszkowała na kolanach matki i znów zasnęła.

Alaina nie odstępowała teraz Cole'a. Gładziła włosy i policzki, muskała palcami. Widząc, jaką troskę młoda kobieta okazuje swemu mężowi, pani Garth uśmiechnęła się protekcjonalnie.

- Dobrze, kochaniutka - szydziła. - Opiekuj się nim najlepiej jak potrafisz. Korzystaj, dopóki możesz. Bo to się już niedługo skończy.

Alaina trzymała swe emocje mocno na wodzy. Pojawienie się Gunna obudziło w niej przeraźliwy lęk. Nie miała już wątpliwości, że za tą bandą opryszków stoi Jacques DuBonné. Docinki tej kobiety jeszcze zwiększały jej niepokój. Obawiała się, że całkiem straci odwagę i opanowanie.

Czuąc się zupełnie bezradna, Alaina mogła jedynie z rozpaczą obserwować, jak pani Garth zamyka kratę za Gunnem. Gdy zaczynała przekręcać klucz. Murzyn popukał ją bezceremonialnie palcem w ramię.

- Zaczekaj!

Był to raczej rozkaz niż prośba i kobieta przerwała zamykanie, by spojrzeć na niego wyniośle. Kiedy oddalił się bez wyjaśnienia, rzuciła za nim ze złością:

- Ten brudny czarnuch nie zna swojego miejsca. Któregoś dnia sprowadzi na nas nieszczęście.

Gunn wrócił z drewnianym wiadrem wody i naręczem eleganckich, haftowanych ręczników z inicjałem L, z pewnością pochodzącym z odległych czasów. Otworzył łokciem bramę i złożył wniesione rzeczy na podłodze przed Alaina, a potem wyprostował się i stał nad nią, aż popatrzyła pytająco. Mierzył ją bardziej zaciekawionym niż groźnym wzrokiem, wreszcie wyciągnął rękę i pomacał jej ramię, które łatwo obejmował w palcach. Z jego piersi wyrwał się gardłowy śmiech.

- Mała chłopcodziewczyna dobra kobieta! Mocna! Dać najpierw dziewczynka! Dobrze! Dostać dużo kozy, kiedy zostać żoną. Następny być chłopak! Duży! Mocny! Jak Gunn!

Odwrócił się szybko i nic więcej nie mówiąc, wyszedł z celi i zniknął jej z oczu. Pani Garth zamknęła kratę i przekręciła klucz, komentując zjadliwie:

- Musiałaś zrobić wrażenie na tej wielkiej małpie.

Alaina zamoczyła ręcznik w wodzie, wycisnęła go i przyłożyła do brody męża, a dopiero potem zareagowała na uwagę kobiety.

- Dlaczego pani tak sądzi?

Tamta wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie słyszałam, żeby powiedział naraz więcej niż trzy słowa do kogokolwiek poza Jackiem.

Alaina usiadła na piętach i próbowała rozmawiać z kobietą, póki nie było Jacques'a.

- Doprawdy, pani Garth. Chyba pani sobie zdaje sprawę, że jeśli mój mąż tu trafił, to i inni przyjdą nam na pomoc.

Pani Garth ją wyśmiała.

- A mnie się wydaje, że gdyby byli inni, kochaniutka, to przyszliby razem z nim. Ale nie szkodzi. I z nimi sobie poradzimy, jeśli przyjdą.

- Czy naprawdę pani myśli, że możecie nas tu trzymać bez końca? - zapytała Alaina z niedowierzaniem. - Pani Garth, niech pani będzie rozsądna.

- Pani Garth! Pani Garth! - przedrzeźniała ją kobieta piszczącym głosem. - Jakżeż ja nienawidzę tego nazwiska! - Usta jej wykrzywił złośliwy uśmiech i z nieskrywaną wyższością oznajmiła: - Najwyższa pora, żebyś i

ty mnie tytułowała panią Latimer.

Na twarzy Alainy odmalowało się zaskoczenie, ale spojrzała na kobietę powątpiewająco i z lekkim sarkazmem spytała:

- O, i może jeszcze Roberta?

Ciemne oczy kobiety zapłonęły gniewem.

- Mylisz się, Alaino - odparła poufale. - Ja nie byłam żoną Cole'a Latimera, tylko jego macochą. Jestem Tamara Latimer, druga żona Fredericka Latimera.

Alaina nagle zrozumiała. Jej umysł skojarzył wszystko w jedną całość. Teraz stało się jasne, skąd się brały jej dziwne podejrzenia. Któż mógł lepiej znać sekrety domu niż ta, która go zbudowała? Żaden z Latimerów nie znał zapewne tajnego zejścia z sypialni Roberty. Kiedyś były tam pokoje Tamary.

Teraz, gdy wiedziała już, kim jest ta kobieta, myśli Alainy powracały do wszystkich dotąd nie wyjaśnionych zjawisk.

- To pani ciągle wchodziła i wychodziła z pokoju Roberty, strasząc mnie po nocach, tak? - zaśmiała się z wyrzutem. - Ale nie było mnie tak łatwo wystraszyć, co? Czy chciała pani w ten sposób zmusić mnie do wyjazdu? Pokłócić z Cole'em, podpalając moją suknię albo wrzucając uprząże do soli, żebyśmy się o to nawzajem obwiniali? Jakie to małostkowe i tchórzliwe, pani Garth - wyrzucała jej, z naciskiem używając tego nazwiska. - Nikogo pani nie przstraszyła, nawet Mindy. To zwykła fanfaronada. Jest pani tak samo bezmyślna jak pani przyjaciel Jacques.

- To ty jesteś bezmyślna - odcięła się szyderczo Tamara. - Powinnaś stąd uciekać, póki mogłaś, a najlepiej w ogóle nie przyjeżdżać. Miałam już Cole'a prawie w garści, z jego piciem i depresją, które wspomagałam, jak mogłam. Niedługo spotkałby go nieszczęśliwy wypadek i przy jego pijaństwie nikt by niczego nie podejrzewał. Wtedy dom przeszedłby na mnie i znów byłabym jego panią. Mam do tego pełne prawo. Ale ty przyjechałaś i zmieniłaś Cole'a. Namówiłaś go z powrotem do pracy i obmyśliłaś z nim plan zrobienia z mej rezydencji przytułku dla chorych i inwalidów. - Oczy jej płonęły nienawiścią. - Czy myślisz, że ja bym na to pozwoliła? Żeby robotnicy burzyli ściany w moim domu? - mówiła coraz bardziej podniesionym tonem. - To absurdalny pomysł.

- Ale tak naprawdę - wtrąciła Alaina spokojnie, z opanowaniem - bała się pani przede wszystkim o to, by nikt nie odkrył kryjówek rabusiów, bo wtedy by panią złapano albo musiałyby pani stąd uciekać. Przypuszczam, że proceder okradania statków z tego miejsca uprawia pani od czasu, gdy zaczęła tu pracować. - Alaina spojrzała wymownie na stopy beczek i skrzynie karabinów. - Ta jaskinia to doskonała kryjówka na skradzione towary. Ale jak to wszystko robicie? Musicie podpływać statkami pod jaskinię i wylądowywać je w nocy, żeby nikt nie zobaczył. Ale co się potem dzieje z samymi statkami? Palicie je? Zatapiacie? Jak one znikają?

Tamara uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Trochę tego, trochę tego, moja droga Alaino. Uniosła brwi znacząco i dodała ze szczególnym naciskiem: - I nie pozostawiając żadnych świadków.

Nie pozostawiając świadków! Słowa te na wskroś przeszły Alainę. Ujrzała w wyobraźni ciała padające od kul karabinów i okrutnych ciosów sztyletów. Przypomniał jej się incydent ze statkiem w Nowym Orleanie, gdy podejrzewano żołnierzy konfederackich. Ale żaden z nich nie przeżył i całą winą za masakrę obciążono Alainę MacGaren. Roberta, mieszkając tutaj, miała jakiś dostęp do pieniędzy zrabowanych wtedy ze statku, tych samych, które były zakopane w Briar Hill, a które zabrał później zabójca porucznika Coxa. A więc trafiły tutaj, pewnie

przywiezione przez tego samego lub innego z bandytów.

Alaina przyjrzała się kobiecie i przeszły jej ciarki po plecach. Tamara była bardzo niska i drobna. W ciemności można było ją wziąć za znacznie młodszą kobietę. Gdyby założyła perukę z rudawymi włosami, mogła udawać nią samą, Alainę MacGaren. Czyżby to ona właśnie była tą słynną rozbójniczką i morderczynią, która przybrała jej imię? Czyżby to ona zabiła też Coxa?

- Pobudziła pani moją ciekawość, Tamaro. - Alaina postanowiła pogłaskać jej ambicję i wyciągnąć jeszcze trochę informacji na potwierdzenie swych podejrzeń. - Widzę, że my obie odgrywałyśmy w życiu wiele ról, żeby przetrwać lub coś zyskać. W pewnym sensie jesteśmy do siebie podobne. Wiele przeszłyśmy i całkiem dobrze sobie dałyśmy radę. Ze wszystkim. Ale Roberta była inna, prawda? Ona nas wykorzystywała, oszukiwała. Ja też miałam Cole'a w garści, a mimo to wykradła mi go. Ostatnio wyszło na jaw, że kradła również pieniądze. Tylko że nie były to pieniądze Cole'a. Podejrzewam, że kradła je pani. Czy mam rację?

- Ta suka - warknęła Tamara - odkryła przejście za lustrem i przychodziła tu plądrować, gdy nikt z nas nie wiedział! Ja wiozłam te pieniądze aż z Nowego Orleanu, a ta złodziejka wyważyła zamek, żeby się dostać do szkatułki. Byłam tu bezpieczna, dopóki ta wścibska dziewczyna nie przyjechała, by wsadzać nos w nie swoje sprawy. Zabrała je wszystkie! Pieniądze, na które ciężko zapracowałam! Zabiła nawet ogrodnika, gdy zorientował się, że ona chce je ukryć. - Tamara nie zwróciła uwagi na okrzyk przerażenia, jaki wyrwał się z ust Alainy, i ciągnęła jadownicę: - On też był ciekawski i zapłacił za to życiem. Roberta spoufaliła się z nim, gdy nalegał, żeby się z nim podzieliła bogactwem. Żeby uśpić jego podejrzania, nawet z nim spała. Wzięła tego brudasa do mojego łóżka, naprawdę! - Kobieta była tym faktem potwornie oburzona i pukając się palcem w pierś dla podkreślenia swych słów, opowiadała: - Do tego łóżka, które sama kupiłam, a które ona bezczelnie nazywała swoim. Stałam wtedy za lustrem, wszystko widziałam i słyszałam. Rozmawiali o moich pieniądzech. Później Roberta namówiła go do wykopania dołu w ogródku, przekonując go, że zakopią tam skarb razem. - Tamara zaśmiała się sardonicznie. - Nie wiedział, że kopie grób dla siebie. Obserwowałam to z tarasu na górze i widziałam dokładnie, co zrobiła. Pieniądze stały za nimi, a on wziął sobie kilka banknotów i włożył do kieszeni, żeby mu się lepiej pracowało. Potem Roberta zaszła go z tyłu z łopatą i rozwalila mu czaszkę. Wpadł do dołu, oszczędzając tej leniwej suce kłopotu z przenoszeniem ciała. Ale nie omieszkała wejść jeszcze do dołu na czworakach, żeby zabrać mu z powrotem pieniądze. Zasypała go ziemią i na wierzchu wkopała krzak róży. Potem śledziłam ją, gdy szła do starego domku. Musiała to robić kilka razy, żeby przenieść wszystkie moje pieniądze. Widziałas ten wielki piec w kuchni? Tam je ułożyła, na występie wewnątrz komina. Była to chyba najcięższa praca, jaką wykonała w całym swoim życiu. Kiedy sobie poszła, zabrałam pieniądze, ale i tak już zdążyła odebrać prawie dwadzieścia tysięcy. W kilka tygodni później odkryła, że jest w ciąży. Zwróciła się do mnie, jako do szacownej gospodyni, czy nie znam kogoś, kto by jej pomógł i zachował dyskrecję. Poleciłam jej osobę, która nie bardzo się znała na tym, co robiła. Jak przypuszczałam, kobieta zrobiła to byle jak i taki był koniec Roberty. Krzyżyk na drogę, można powiedzieć.

Alaina powoli zmoczyła znów ręcznik w wodzie i przyłożyła wilgotny kompres do brody Cole'a, jednocześnie ostrożnie pytając:

- A co będzie z nami?

- Ty, moja droga Alaino - odparła Tamara z mdłym uśmiechem - zostaniesz jedynie mamką i służącą swego dziecka, a ja zostanę jego prawowitą, choć może trochę dalej spokrewnioną babką. Ja będę rządziła tym domem, tak jak powinien być rządzony. I żadni cieśle nie będą niszczyć tego, co ja stworzyłam.

- A może Cole też ma coś na ten temat do powiedzenia. To jego dom.

- To jest mój dom! Ja go zaprojektowałam! Ja go umeblowałam! Jest mój! W każdym calu. Poza tym - Tamara zaśmiała się cicho - Cole Latimer przestanie istnieć. Zginie w wypadku. Och, już ja zadbam, żeby go rozpoznały odpowiednie osoby, a wtedy jego fortuna przejdzie na kolejnego spadkobiercę. Będę także mogła przejąć prawną opiekę nad dzieckiem, ponieważ ty zaginiesz.

Dreszcz przeszedł Alainę, lecz spuściła oczy, by ukryć trwogę, jaka ją nagle ogarnęła. Opanowała drżenie głosu, nim zadała następne pytanie.

- A ta jaskinia? Też ją pani sama zaprojektowała?

- Naturalnie! - Tamara nie posiadała się z dumy. - Frederick był zbyt zajęty pacjentami, żeby zwracać uwagę na to, co ja robię. Nawet nie wiedział o istnieniu tej jaskini. Mieszkając na tym dzikim pustkowiu, musiałam się jakoś zabezpieczyć przed napaścią żądnych krwi tubylców. To była droga ucieczki przez moją własną sypialnię. Frederick na szczęście nie żałował mi pieniędzy na przeprowadzenie budowy tak, jak chciałam. Ale gdy odeszłam, wydziedziczył mnie i nie mogłam się legalnie upomnieć o swoją własność. Do dziś. Oczywiście, wszystko będzie na dziecko, jako prawną dziedziczkę majątku Latimerów, ale Glynis pozostanie tylko pionkiem. To ja będę rządzić. Wszystko znów będzie moje. Ale niech ci się nie wydaje, że ty będziesz nam niezbędna, moja droga. Przydasz się przez jakiś czas, żeby pielęgnować dziecko, ale w razie potrzeby wynajmę kogo innego.

- Dokładnie pani to wszystko zaplanowała - skomentowała Alaina, starając się mówić opanowanym głosem, choć serce jej kołatało i oblewał ją zimny pot. Najbardziej przerażało ją to, co zamierzali zrobić z Cole'em. - Ale proszę mi powiedzieć, Tamara, dlaczego pani stąd wyjechała. Przecież to wszystko mogłoby być pani własnością nadal, bez całego tego zachodu i zabijania ludzi.

Tamara spojrzała na białe mankiety swej sukni. Oddarła je i podeptała z odrazą, bo przypominały jej niedawną służalczą pozycję.

- Frederick Latimer potrzebował mnie tylko jako matki dla swego dziecka. Ale ja pragnęłam czegoś więcej! Sławy i pieniędzy! Bogactwa! Miał je, oczywiście, ale nie dbał o wystawne życie czy przyjęcia. - Uniosła dumnie brodę. - Poznałam mężczyznę. Przystojnego, uroczego. Był hazardzistą. Zakochałam się. Och, trzeba było nas zobaczyć razem, moja droga Alaino. Na nasz widok rzeka występowała z brzegów. Ale przydarzyło się dziecko. Nie, nie jego! Pana Latimera! Nosilałam je już w łonie, kiedy stąd uciekłam. Jednak przekonałam Harry'ego, że to jego, i dziecku też nie powiedziałam prawdy. Pracowaliśmy z Harrym na statkach. Dawałam mu znak, kiedy ktoś wygrywał albo go doganiał w grze. Nie dlatego, żeby potrzebował mojej pomocy. Potrafił na zawołanie wyłożyć każdą kartę. Ale wolał się ubezpieczać. - Oparła się o bramę i przez chwilę patrzyła w zamyśleniu na czubek swego wąskiego czarnego pantofelka. - Potem jego klientom zachciało się kobiety... i zostałam panienką na usługi. Pocieszałam ogranych klientów i... - potrząsnęła głową buńczucznie - większość odchodziła szczęśliwa i zadowolona. Ale Harry był wybuchowy. Nie lubił też, gdy ktoś nazwał go oszustem. Strzelał dobrze, lecz którejs nocy zaczął nieodpowiedniego mężczyznę, kreolskiego byczka z Nowego Orleanu. Wyciągnęli Harry'ego z rzeki z dziurą od kuli pośrodku czoła - pokazała palcem na własne. - Zostałam z rocznym dzieckiem, ale sama też się znałam na kartach, a klienci całkiem chętnie grali z kobietą. Zawsze coś od nich wycygałam. Kiedy ten interes przestał się opłacać, znalazłam sobie inny. Potem trochę wygrałam i zamieszkałam z synkiem w małym, odludnym miasteczku Cajunów. Mój mały zawiadziak umiał żyć w luksusie, a ja wcześniej go nauczyłam, czego mogłam. Kiedy podrośł, zaczęliśmy snuć wspólne plany. - Tamara wzdygnęła się. - Dowiedzieliśmy się o śmierci

Fredericka, więc przyjechałam tutaj zobaczyć, jak mogłabym to wykorzystać dla siebie. Miałam nadzieję, że Cole nie wróci z wojny. To by mi oszczędziło wielu kłopotów. Bo wiesz, że Frederick nigdy się ze mną formalnie nie rozwiódł. Jako osamotniona wdowa mogłam się starać o zwrot praw do majątku i na pewno skruszyłabym serce jakiegoś sędziego. Wyglądam jeszcze nieźle i nikt nie potrafi odgadnąć mego wieku. Lecz teraz, gdy jest dziewczynka, mogę tylko przekonać urzędników, że uwielbiam dzieci i mam na względzie najlepsze interesy Glynis. Będzie znacznie łatwiej ustalić jej spadek niż odzyskać dla mnie prawo do majątku Latimerów. Ale... za dużo już mówię, a wkrótce będzie tu mój syn. Muszę cię na razie zostawić, Alaino. Nie odchodź za daleko, dobrze? - Śmiejąc się z własnego dowcipu, Tamara zostawiła swego gościa wbrew woli i poszła w tę samą stronę co Gunn.

Przybita jej knowaniami, Alaina zajęła się mężem. Nie mogła powstrzymać łez na myśl, że niedługo może leżeć martwy. Tłumiąc łkanie, głaskała go po twarzy i starała się odepchnąć od siebie straszne wizje. Cierpliwie przykładła mu kompresy, aż wreszcie się ocknął. Z jękiem zamrugał powiekami i otworzył oczy. Zobaczył tuż przy sobie czule uśmiechniętą żonę.

- Jak się masz, kochanie - szepnęła.

- Alaino! - Spróbował usiąść, lecz musiał się podeprzeć ręką, tak mu wirowało w głowie. Ostrożnie sprawdził stan szczęki. Potem spojrzał znacząco w stronę magazynu skradzionych towarów i stwierdził: - Przez cały czas siedzieliśmy na gnieździe złodziei.

- Niedawno to samo przyszło mi do głowy - potwierdziła bez entuzjazmu Alaina. - Ale to jeszcze nie wszystko, Cole'u. To są mordercy.

- Musimy się stąd wydostać. - Wstał niepewnie i obejrzał solidną kratę, po czym odwrócił się z przygnębioną miną. - Ale na razie zupełnie nie wiem, jak.

Na pryczy Glynis zaczęła się wiercić i kwilić. Alaina podniosła się momentalnie i usiadła przy niej. Wzięła dziecko na ręce i tuliła w ramionach, póki mogła. Wyciągnęła rękę do Cole'a, przyzywając go do siebie, a gdy usiadł obok i objął ją, przylgnęła doń mocno.

- Cole'u, oni chcą cię zamordować! - szepnęła mu do ucha z lękiem. Glynis płakała żałośnie. - Chcą przejąć dom...

Delikatnie zasłonił jej usta palcami, by nic nie mówiła.

- Zaraz powinna nadejść pomoc. Zawiadomiłem Saula i Oliego - powiedział jej do ucha, zanurzając nos w pachnących włosach. - Nie martw się, kochanie. Wyjdziemy z tego cało i zdrowo.

Strach jednak nie opuszczał Alainy.

- Cole'u, ale oni wysłali tam kilku mężczyzn do pilnowania schodów.

- Poczekamy i zobaczymy, co się będzie działo. Saul zawsze daje sobie radę, a razem z Oliem mogą im sprawić niespodziankę. - Uściskiem dodał jej ducha. - Nie mam zamiaru tak łatwo dać się zabić.

Wziął teraz na ręce zapłakaną córeczkę i stwierdził:

- Ma mokro.

- Czy nie masz teraz większych zmartwień? - Alaina uśmiechnęła się przez łzy. Otarła oczy i przelknęła łzy, postanawiając już nie okazywać lęku. Obecność Cole'a i jego uspokajające słowa jakoś ją wyciszyły. Odwinęła suknię i oddała następny kwadratowy kawałek halki. Złożyła go na kolanach i sięgnęła po maleństwo. Po przewinięciu podała dziecko z powrotem ojcu. Jednak Glynis nie chciała się uspokoić. Cole kołysał ją lekko, a

Alaina oparła brodę o jego ramię i ściszym głosem powierzyła mu kolejną informację.

- Zanosi się na to, że spotkamy dziś jeszcze jednego znajomego. Murzyn, który cię tu zamknął, to Gunn.

- Gunn! - Cole chwycił się za szczękę i odchylił głowę, czując jeszcze ból w karku. - Naturalnie! Jak mogłem zapomnieć o tym gorylu Jacques'a?

- Zupełnie tak samo wyskoczył do mnie wtedy w Nowym Orleanie - wspominała Alaina.

Cole pokręcił głową i pomacał delikatnie jej brodę.

- Gunn bije z precyzją chirurga. Nie zostawiając żadnych śladów.

- Jacques też powiedział coś takiego - przypomniała sobie Alaina.

- Ach, ciągle dziś powtarzam coś po kimś - powiedział, całując ją w usta.

- To ostatnie smakuje raczej jak oryginał - odparła czule, patrząc na niego oczami wypełnionymi po brzegi miłością.

Kwilenie Glynis przeszło już w głośny płacz, który ucichł dopiero, gdy znalazła się na rękach Alainy. Natychmiast zaczęła szukać piersi i rozczarowana znów uderzyła w płacz. Alaina rozejrzała się niepewnie po ciemnej jaskini i rozpięła stanik sukni. Glynis z zapalem chwyciła ustami sutek i ucichła, z wielkim ukontentowaniem ssąc białą pierś matki.

Cole patrzył jak zwykle zafascynowany, zapominając o ich niecodziennej sytuacji. Otoczył żonę ramieniem, żeby ją odgradzić od kamienia, o który się opierała.

- Dziwne, że nigdy nie odkryłem tej jaskini - zastanawiał się na głos. - No, ale przecież zawsze nienawidziłem czerwonego pokoju i rzadko tam wchodziłem, nawet, gdy zajmowała go Roberta.

- Cole'u, to Roberta zabiła ogrodnika i jego dziecko nosiła w sobie. Pani Garth wszystko widziała.

Cole przyjął to z lekkim zdziwieniem.

- Musiała więc mieć bardzo ważny powód.

- Przyłapał ją z ukradzionymi pieniędzmi i chciał, żeby się z nim podzieliła.

- W to mogę uwierzyć. Cechowało ją bardzo silne dążenie do bogactwa.

- Nie mówmy tego cioci Leali... ani wujkowi Angusowi - poprosiła Alaina.

- Nie. To byłby dla nich zbyt wielki wstrząs.

- Musisz wiedzieć jeszcze coś... o pani Garth.

- Interesująca kobieta - zauważył Cole filozoficznie, podczas gdy ta, o której mowa, właśnie przemknęła z jednego mrocznego krańca jaskini do drugiego i przecisnęła się przez ciężkie drewniane odrzwia, jak zwykle ze szczękiem łańcuchów. - I bardzo pracowita.

Alaina położyła mu rękę na szczupłym udzie, jakby prosząc o uwagę.

- To ma związek z tobą, Cole'u.

Nagle z gęstego mroku, z którego przed chwilą wyłoniła się Tamara, dał się słyszeć drwiący śmiech i zaskoczonym oczom obojga ukazał się niski, elegancko ubrany mężczyzna. Stanął na szeroko rozstawionych krótkich nogach. Był to Jacques!

Alaina szybko zasłoniła główkę Glynis i swoją nagą pierś rogiem kocyka dziecka. Francuz ruszył w stronę celi. Widząc Cole'a zamkniętego za kratą, pozwalał sobie na aroganckie zachowanie. Cole zeszywniał w napięciu. Alaina dostrzegła, jak chodzą mu mięśnie szczęki.

- A cóż my tu widzimy? - rzucił szyderczo Jacques i zatrzymał się przed kratą. - Doktoł Latimeh z małżonką,

czy nie tak? Miło mi, że złożyliście wizytę w mej skhonnej siedzibie. Ach, oczywiście, jest i słodka Glynis przyssana do piehsi mojej ślicznej Alainy. Och, być na jej miejscu, *ma chérie*, to by była hadość.

Błękit oczu Cole'a nabrał barwy stali, gdy patrzył na rozbawionego mężczyznę.

- Najwyraźniej nie wziął pan poważnie mego ostrzeżenia w hotelu.

- A cóż to było? - Jacques udał najwyższe skupienie. - Coś o sądeniu przez najwyższą instancję? - Roześmiał się, gdy Cole kiwnął głową. - Zobaczymy, kto kogo będzie sądził, monsieur *docteur*.

Oparł się ramieniem o pręty i demonstracyjnie ściągnął rękawiczkę z prawej ręki. Pokazał im pokrytą bliznami, bezwładną dłoń.

- Oto podahunek od pańskiej żony. A także to - zdjął kapelusz i odgarnął włosy, odsłaniając okaleczone lewe ucho.

- Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie w Nowym Ohleanie, phawda, Alaino? Powiedziałaś wtedy, że phędziej się zabijesz, zanim pozwolisz mi się dotknąć. Tym hazem mam lepszy sposób, by zmienić twoje zachowanie. Jeśli nie będziesz grzeczna, twego męża spotka powolna śmiech w męczahniach.

Alaina zdrząła na tę groźbę i przycisnęła się mocniej do Cole'a.

- Tylko tak pan umie postępować z kobietą? - szydził Cole. - Zastraszyć ją, by uległa? Zawsze pan je tak zdobywa?

Ta drwina zachwiała na moment pewność siebie Jacques'a, ale ciągnął dalej, jakby nic nie słyżał:

- Oczywiście, i tak planujemy pozbyć się kochanego doktoha. Ale jeśli będziesz z nami współphacowała, będzie miał dużo lżejszą śmiech, Alaino.

- A jak się do tego mają pańskie ułaskawienia - zauważył Cole z przekąsem. - Nadal jest pan łajdakiem.

- Chce pan jeszcze haz obejrzyć moje ułaskawienie, monsieur *docteur*? Phoszę! - Wyjął z marynarki pakiet dokumentów i wrzucił go za kraty. - Niech pan sobie czyta w wolnych chwilach. O, a tu inny zestaw - wyjął drugi pakiet. - Thochę inny, ale do przyjęcia przez przeciętnego phawnika. A tu ułaskawienia z Meksyku i Fhancji! Widzi pan? Khaje phęścigają się w dawaniu mi ułaskawień! - Jego śmiech wypełnił jaskinię. A gdy się już nacieszył, spojrział z satysfakcją. - W rzeczywistości, znalazłem kogoś z talentem do pióha i nienawiścią do świata. - Tu lekceważąco wzruszył ramionami. - Niestety, dałem mu szansę znienawidzenia hównież tamtego świata - bezradnie rozłożył ręce. - Cóż, muszę mieć we wszystkim pewność. Zbuduję tutaj impehium tak potężne, że nikt mnie nie huszy. Na szczątkach Latimehów i z ich fohtuny. Ale nie zapomnę o tym, że wy oboje dużo mi odebhaliście. Alaina hękę i ucho. A monsieur *docteur* kobietę, kótohej phagnałem dla siebie. Za to, panie Latimeh, chętnie bym pana wykasthował.

Widząc spokojny wzrok Cole'a, Jacques przerwał swoje wywody, które jakoś nie robiły wrażenia na przeciwniku. Chodził tam i z powrotem, pocierając brodę i myśląc.

- Pan też wydaje się bardzo pewny, monsieur Latimeh - zmierzył Cole'a gniewnym wzrokiem. - Ciekawe, czy spodziewa się pan nadejścia pomocy? Czy może wiąże pan swe nadzieje z przybyciem... - cofnął się i wskazał ręką - tego oto?

Jego wybuch śmiechu zagłuszył krzyk Alainy na widok czterech mężczyzn niosących związanego i zakneblowanego Saula. Przynieśli go pod celę i rzucili na ziemię. Otoczyło go pół tuzina opryszków z kijami w rękach. Byli posiniaczeni i pokaleczeni, lecz Saul był też ciężko pobity. Ze stłuczonej głowy z boku kapala krew, jedno oko miał zapuchnięte. Jeden z mężczyzn otworzył kratę, a dwaj inni wtoczyli skrupowaną ofiarę do celi.

Cole wstał, żeby obejrzeć rany Murzyna. Gdy ponownie zatrzaśnięto kratę, Jacques leniwie obserwował zabiegi doktora.

- Szkoda zachodu, monsieur. Hano już będzie nieżywy. Moi ludzie tego dopilnują.

- Rano to pan może być nieżywy, monsieur DuBonné - odparł Cole, rozwiązując Saula z pęt. Obmył mu ranę na głowie, a Saul wyciągnął sobie z ust knebel.

- Dalej jest pan pewny siebie, monsieur? - rzucił ironicznie Jacques.

Nachylony nad Murzynem Cole przestał na chwilę przemywać jego ranę i drwiąco odparował:

- Jeśli pomimo pańskiej armii opryszków młoda dziewczyna jest w stanie uszkodzić pana tak, jak pan tu demonstrował, czego mam się bać?

Szpila została wbita tak precyzyjnie, że niepokązny mężczyzna zastygł w oburzeniu. Machnął na obstawę, żeby sobie poszli, a na miejsce odchodzących z głośnym tupaniem pojawił się kto inny. Szelest tafty oznajmił powrót Tamary.

- Mamy już ich wszystkich, co? - chełpił się Jacques z triumfalnym gulgotem.

Tamara przeszła się wzdłuż celi.

- Poszło nam rzeczywiście bardzo dobrze. Już myślałam, że straciliśmy szansę, kiedy drogi doktor wy dostał się z rzeki i wrócił tu, by nas prześladować. Ale mamy go znów, dokładnie tak, jak chcieliśmy. I tym razem nic go nie uratuje.

Cole wstał i przechylił głowę, przypatrując się bacznie kobiecie.

- To wy wrzuciliście mnie do rzeki w Nowym Orleanie?

Tamara zrobiła gest bezradności.

- Chcieliśmy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Gdy odkryliśmy, że jesteś w Nowym Orleanie i zmarł twój ojciec, nie mogłam przeoczyć takiej możliwości. A twój mundur posłużył do wyprowadzenia więźniów ze szpitala. Sztuczka, którą wykorzystaliśmy do zszargania imienia Alainy MacGaren. Bardzo chcieliśmy przejąć jej majątek i byłoby nam się to udało, gdyby Jankesi zdobyli Shreveport, tak jak planowali.

Wszystko to następowało zbyt szybko po sobie, żeby Cole mógł zrozumieć. Był zupełnie zdezorientowany.

- Panią poinformowano o śmierci mego ojca? A dlaczego miałyby to panią interesować?

- Cole'u... - odezwała się za nim Alaina, lecz Tamara jej przerwała.

- Nie trzeba, pani Latimer. Sama mu powiem.

- Co mi pani powie? - Cole domagał się wyjaśnienia, patrząc pytająco na żonę.

- Nie pamiętasz mnie, Cole'u - mówiła dalej Tamara. - Byłeś mały i było to tak dawno, choć jak widzisz, nie zestarzałam się aż tak bardzo.

Cole był jeszcze bardziej zaskoczony.

- Czy ja panią znam?

- No cóż, jak mówię, było to tak dawno, że możesz nie pamiętać swej macochy.

- Tamara? - wyrzucił jej imię w szoku.

Pochyliła z lekka głowę.

- Zgadza się.

- I skumałaś się z tą zgrają bandytów? - pytał Cole z niedowierzaniem. Ze złością machnął ręką w kierunku wykrzywionego Jacques'a. - Z tym łajdakiem i nicponiem?

Tamara uniosła dumnie głowę.

- To mój syn.

Alaina wpatrywała się w Jacques'a, a Cole prychnął z odrazą.

- Mam nadzieję, że nie jest spokrewniony ze mną.

- Absolutnie, żaden khewny - gwałtownie zareagował Jacques.

- Zaczekaj, Jack... - Tamara musiała przygotować syna na dotyczącą go rewelację. - Otóż ty...

Ciemne oczy Jacques'a ciskały błyskawice.

- Moje imię brzmi Jacques, *m'mere*. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś go używała.

Tamara machęła ręką niecierpliwie.

- Och, Jack, robisz się pod tym względem gorszy niż Harry!

- Henri! - Jacques był już poważnie rozsierdzony. - Henri DuBonné! *Ma pere!* Henri DuBonné!

Oczy Tamary także płonęły.

- Harry nigdy spłodził potomka.

Jacques aż podskoczył z wrażenia.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że ja... i on... - spojrzał z obrzydzeniem na Cole'a, który odwdzieczył się tym samym.

- Jesteście przyrodnimi braćmi - wyjaśniła bez emocji Tamara. - Z tego samego ojca, a różnych matek.

- Aaaach! - Jacques z rozpaczą wyrzucił ręce w górę i złym okiem obrzucił Tamarę. - Dlaczego kazałaś mi wierzyć przez te wszystkie lata, że Henri był moim ojcem?

Kobieta wzruszyła ramionami, nieporuszona jego gwałtowną reakcją.

- Nie było sensu, by mówić ci o tym za życia Fredericka. Nigdy by cię nie uznał. Nie uwierzyłby ani mnie, ani tobie. Przecież ty nawet odrobinę go nie przypominasz. Odziedzyczyłeś urodę po mojej rodzinie. Uważałam, że to by ci jedynie sprawiło zawód, gdybyś wiedział, że jesteś jego synem, nie mogąc go o tym przekonać. Prościej będzie, jeśli zdobędziesz majątek Latimerów poprzez dziecko.

Jacques mamrotał coś, niezupelnie przekonany.

- Powinienem się domyślić, że coś jest nie tak, gdy kazałaś wrzucić monsieur doktoha do rzeki.

- Uwierz mi, Jack, tak jest lepiej - zapewniła go Tamara. - Przez dziecko zdobędziemy całą fortunę Latimerów, wszystko, co do nich należy. A z jego matką zrób, co chcesz. Jest twoja.

- Na pewno nie! - warknął Cole. - Przynajmniej dopóki ja żyję!

Ożywiony perspektywą zdobycia Alainy po tylu miesiącach chciwego wyczekiwania, a jednocześnie spragniony zemsty Jacques roześmiał się odrażająco.

- Z tym, monsieur *docteur*, szybko sobie pohadzimy. Pan będzie mahtwy, a ona będzie moja. - Pobiegł ciemnymi oczkami ku wpatrzonym w niego szarym oczom Alainy i kiwnął głową na potwierdzenie swych słów: - Będę cię miał, nim skończy się ten dzień, bądź pewna, *ma chérie*.

Alaina usiłowała trzęsącymi się palcami zapiąć suknię pod osłoną kocyka.

Jacques tymczasem rzekł do Tamary:

- Lepiej każ ludziom wyhuszać, jeśli mają złapać statek na zakhęcie. Wiezie dhogocenny ładunek, którego nie chciałbym sthacić, a zamówień mamy więcej, niż jesteśmy w stanie wypełnić. Im więcej zdobędziemy, tym więcej sprzedamy i tym hogatsi będziemy, *m'mere*.

- Musimy tu zostawić paru mężczyzn na wszelki wypadek, gdyby ten wielkolud chciał robić jakieś głupstwa - stwierdziła Tamara, pokazując głową w kierunku Saula.

- To zostaw - zgodził się Jacques. - Gunn też może zostać, ale heszta niech już idzie. Mają spohy kawał do przebycia, zanim dohą do zakhętu, a muszą zająć pozycje przed statkiem. Nasi ludzie na pokładzie spodziewają się ataku.

Kobieta odeszła, by wydać rozkazy, a Jacques odwrócił się i popatrzył na więźniów z wyższością i rozbawieniem. Jednak uśmiech zgasł mu zaraz na twarzy, gdy zobaczył, jak Cole siada obok Alainy i przytula ją do siebie. To było jak wyzwanie. Spojrzał szyderczo.

- Zostało wam hazem nieco czasu, dopóki po nią nie wrocław. W tych niefohtunnych czasach mężczyznę często wzywają obowiązki. Ale bądźcie pewni, że znajdę tu jakieś miejsce, gdzie będę mógł zostać z nią sam na sam.

Mężczyzna zniknął im z oczu, tylko jego śmiech rozlegał się jeszcze echem. Pełna lęku Alainy przylgnęła do męża, który szeptał jej ciepłe słowa pocieszenia i otuchy.

Saul uniósł głowę i tłumaczył się ze skrucą:

- Panie Cole, tak mi przykro, że dałem się złapać. Oni tam się na mnie zaczaili.

- Gdzie Olive? - zapytał Cole szeptem.

- Szedł tuż za mną, ale mógł usłyszeć harmider, gdy mnie łapali, i cofnął się spod tamtych drzwi. Może wrócił po więcej ludzi.

- Widzisz, Alaino - szepnął jej Cole do ucha. - Jest jeszcze nadzieja.

- Och, Cole'u - zatkała wtulona w jego koszulę. - Nie umiałabym żyć, gdyby tobie się coś stało.

- Cicho, moja najdroższa - szeptał, głaszcząc jej miękkie włosy. - Bądź dzielna. Zapewniam cię, że nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić tym rzezimieszkom na zrealizowanie ich planu.

W ciszy skalnego korytarza dały się słyszeć ciężkie kroki. Cole rozejrzał się bacznie. Z ciemności wyszedł Gunn, dzierżąc w ręce lśniący od mosiądzu winczester. Na nagim torsie miał tylko kamizelkę z brokatu, o kilka rozmiarów za małą. Jej widok ożywił pamięć Cole'a. W miejsce oddartego kawałka materiału, który Cole dobrze zapamiętał z owej nocy w Briar Hill przed podpaleniem domu, miała teraz wszytą jasnoczerwoną łatę. Wtedy kamizelkę nosił morderca porucznika Coxa, który musiał być o wiele mniejszy niż Gunn. Doskonale pasował do tej roli Jacques.

Gunn zatrzymał się przed celą i stał, obserwując Saula. Potem odłożył strzelbę na bezpieczną odległość i przysiadł na piętach naprzeciwko siedzącego blisko kraty Murzyna. Poklepał go po ramieniu i Saul się odwrócił.

- Ty, wielki! - Gunn kołysał głową, a na jego twarzy malował się widoczny wysiłek. Zmuszał swój umysł do pracy. - Wielki jak Gunn! - pokazał kciukiem na siebie. Potem sięgnął przez pręty i klepnął Saula w stopę, podniósł dłonie do góry i rozłożył palce. - Tyle ci dać radę - zgiął jeden palec i zostawił dziewięć. - Tyle może nie dać.

Gunn wstał i zmierzył Saula wzrokiem, jakby coś sam ze sobą rozważał. Nagle chwycił ciężkie pręty żelazne i spróbował je rozgiąć, naprężając swe ogromne mięśnie. Zadowolony, że nie dał rady, stanął trochę dalej i machnął do drugiego Murzyna.

- Gunn nie wyłamać. Saul spróbować!

Saul gorliwie chwycił kratę w tym samym miejscu i wysilił się najbardziej, jak umiał. Gdy dał sobie spokój i wrócił na miejsce, Gunn zaśmiał się do rozpuku i oddalił z absolutnym przekonaniem, że więźniowie nie wydadzą się z celi.

Jacques wrócił dopiero po zachodzie słońca. Alaina przez cały czas żyła nadzieją, że Olie sprowadzi pomoc i zdąży ich uratować z rąk złoczyńców. Jako że Gunn tkwił gdzieś w ciemnościach i miał na nich oko, nie mogła pójść śladem Roberty, by spróbować wyłamać zamek, nawet gdyby jej się trafiło odpowiednie narzędzie.

Wraz z Jacques'em do celi podeszli dwaj mężczyźni i Gunn, mierząc w uwięzionych z winczesterów. Cole i Alaina zamarli z przerażenia. Saul podniósł się szybko na nogi. Powiało grozą.

Zza grupy mężczyzn wyłoniła się Tamara i otworzyła kratę. Jacques odsunął się i obserwował ich z twarzą wykrzywioną uśmiechem. Tamara skinęła na Alainę.

- Przynieś tu dziecko.

Alaina przycisnęła Glynis tak mocno, że mała zaczęła popłakiwać. Odpowiedzią na rozkaz było tylko nienawistne spojrzenie jej matki.

Tamara cofnęła się i rozkazała Gunnowi:

- Jeśli pani Latimer nie zrobi dokładnie, co każę, strzelaj do niego - pokazała głową na Cole'a. - Najpierw w nogi. Nie chcemy go stracić zbyt szybko. - Tamara przerwała na chwilę, po czym dodała: - A gdyby pan Latimer wykonał niewłaściwy ruch, strzelaj do dziewczyny. To samo dotyczy Murzyna. Strzelaj do dziewczyny.

Dostrzegła w oczach Alainy groźną nienawiść i zauważyła kwaśno:

- Jak widzisz, moja droga, nie jesteś niezastąpiona. Ja potrzebuję tego dziecka, więc tylko o jego życie nie musicie się martwić. Teraz przynieś dziewczynkę tutaj.

Ociągając się, Alaina posłuchała i choć wargi jej się trzęsły z rozpacz, oddała Glynis w wyciągnięte po nią ręce. Kobieta zamknęła kratę i odeszła gdzieś dalej, a do celi zbliżył się Jacques.

- Ona już ma, co chciała - kiwnął głową w kierunku swej matki. - Tehaz ja wezmę to, co chcę.

Alaina, widząc jego jednoznaczne spojrzenie, schroniła się w ramionach Cole'a.

- Na tej samej zasadzie, *ma chérie* - rzucił z uśmiechem zadowolenia. - Nieposłuszeństwo wobec mnie może zagrozić twojemu mężowi.

- Niech pan idzie do diabła - odezwał się Cole. - Nie mam zamiaru oddać jej w pana ręce. Najpierw musi pan mnie zastrzelić.

Jacques wzruszył ramionami.

- Więc, dhoga Alaino, lepiej niech ten czahny go przytrzyma, jeśli pani chce, żeby mąż przeżył tę noc. A jeśli pani nie podejdzie z własnej woli, każę zastrzelić ich obu.

Alaina czuła już taki zamęt, że wydała z siebie tylko ciężki szloch. Wiedziała dobrze, że Jacques zrobi to, co mówi. Strzelby, wycelowane w obu mężczyzn w celi, czekały tylko na ich nieodpowiedni ruch. Ale jeśli poddanie się Jacques'owi oznaczało choć jeden więcej dzień życia dla Cole'a, warto było się poświęcić. Dodatkowe kilka godzin mogło mu dać szansę na ucieczkę.

Drżąc cała, oderwała się od męża, a gdy próbował ją z powrotem przyciągnąć, zrobiła unik i schowała się za Murzyna.

- Trzymaj go, Saul! - krzyknęła przez łyzy. - Jeśli nie chcesz, żeby go zabił, trzymaj go! Na miłość boską, trzymaj go!

Czarnoskóry chwycił Cole'a za rękę i choć ten próbował się wyrwać, został unieruchomiony w żelaznym uścisku.

- Przykro mi, panie Cole'u. - Saul też przeżywał gehennę, zmuszony do zrobienia czegoś wbrew sobie. -

Panienska Alaina mówi: trzymaj, muszę trzymać.

Jacques otworzył kratę i dał znak Alainie.

- Tehaz phoszę ze mną, pani Latimeh.

- Nie! - ryczał Cole, wijąc się i próbując rozpaczliwie wyrwać się z rąk Saula. - Zabiję cię, jeśli jej dotkniesz!

Przysięgam na Boga!

Alaina spojrzała na męża przez łyzy i poszła potulnie za Jacques'em, choć ryk Cole'a rozlegał się w całej jaskini.

- Alaino, nie idź!

Brama zamknęła się za nią i zgrzytnął przekreślony klucz. Saul puścił Cole'a, który podbiegł do kraty, złapał się metalowych prętów i szarpał je z całych sił.

- Alaino! Alaino! Mój Boże, Alaino!

Alaina uzbroidła się w cierpliwość. Oprócz błagań męża musiała jeszcze znieść widok swego wystraszonego, płaczącego dziecka na rękach Tamary. Ta ostatnia oglądała wszystko z wyraźnym rozbawieniem. Napotkawszy żalony wzrok Alainy, zachichotała złowrogo i zabrała dziecko w głąb jaskini - z oczu matki, lecz nie z serca.

Szczękała przeraźliwie krata szarpana przez Cole'a, który wykrzykiwał obelgi pod adresem Jacques'a. Jego przyrodni brat obejrzał się i kiwnął na strażników.

- Możecie odejść. Nie wyjdzie stamtąd, a was mogę szybko zawołać, gdy będzie potrzeba. Ale nie będzie Phawda, pani Latimeh?!

Alaina, do której skierował to pytanie, stała, patrząc w ziemię. Łzy spływały jej po policzkach na suknię, tworząc na niej mokre plamy. Słyszała straszliwe krzyki męża i łoskot szarpanej kraty. Jeśli ktoś byłby w stanie otworzyć ją siłą woli, to tylko właśnie on. Przypominał w tym momencie dziką, rozwścieczoną bestię.

Jacques złapał ją za rękę i brutalnie przyciągnął do siebie. Potem chwycił z tyłu za włosy i odchylił jej głowę, by spojrzeć w oczy.

- Nienawidzę pana, Jacques'u DuBonné - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Bez względu na to, co pan ze mną zrobi, ulegam panu wyłącznie dlatego, żeby ratować Cole'a. Nie zmieniłam swej opinii o panu. Nadal jest pan nędznym łajdakiem.

Z płonącymi gniewem oczami Jacques zamierzył się i uderzył ją w twarz z taką siłą, że upadłaby, gdyby jej nie przytrzymał drugą ręką.

- Ty przekłety draniu! - krzyczał Cole w najwyższej furii aż drżało powietrze.

Oszołomiona Alaina poczuła w ustach smak krwi. Wyprostowała się. Jacques zaciskał rękę na jej ramieniu, sprawiając jej ból, i ciągnął ją za sobą, aż doszli do małej komnaty utworzonej w ścianie jaskini. Ćmiła tam powieszona na kamiennej ścianie lampa, a na ziemi leżał siennik. Jacques rzucił tam Alainę, a sam zaczął rozluźniać fular, nakazując jej:

- Phoszę zdjąć ubhanie i służyć mi swym ciałem, pani Latimeh. Nadeszła godzina mojej zemsty.

Nadludzka moc w mięśniach Cole'a zdawała się rosnać wraz z szaleństwem, które go ogarniało. Saul patrzył zdumiony na ten dziki zryw i wydało mu się, że doktor Latimer za chwilę wyważy kratę. I oto nasunął mu się prosty wniosek. Jeśli jest właśnie świadkiem aktu poruszenia nieba i ziemi siłą ludzkiej woli, odrobina pomocy może ten proces znacznie przyspieszyć.

Murzyn z zapalą przyłączył się do Cole'a. Widział, że pręty drgnęły nieco już wówczas, gdy próbował je wyważyć Gunn. A więc była jakaś nadzieja, że im się uda.

Mięśnie na rękach Saula napięły się jak sęki na pniu drzewa. Metal jęknął i jakby trochę ustąpił. Obaj mężczyźni poczuli przypływ wiary w swoje siły. Jeszcze mocniej ścisnęli w rękach kraty i zrobili jeszcze większy wysiłek, naprężając mięśnie do granic i wykrzywiając twarze w napięciu. Pod ich wspólnym naporem pręt zgiął się ze zgrzytem i jękiem, a wreszcie niespodziewanie pękł, aż obaj się zatoczyli. Cole natychmiast rzucił się do wyjścia i przecisnął szczupłe ciało przez powstały wąski otwór. Jeśli Saul nie da rady, wróci po niego, ale najpierw znajdzie Alainę - postanowił.

Od strony drewnianych wrót usłyszał czujnym uchem jakby ciche syknięcie. Po chwili ujrzał drobną sylwetkę Mindy. Niosła jego własnego remingtona.

Cole błyskawicznie znalazł się przy niej, pytając szeptem:

- Gdzie jest Olive?

- Do rzeki. Pod skałą. Dużo panów z jaskini. Olive, Peter, wszyscy z domu, Brag, szeryf - biją z nimi.

Cole rzucił pistolet przez kraty Saulowi i pobiegł w zaciemniony kat, gdzie Jacques próbował wziąć siłą jego żonę. Jeśli dobrze zrozumiał niewyraźne słowa Mindy, Olive i wszyscy jego pracownicy, a także Braegar i szeryf zeszli na brzeg rzeki do wejścia jaskini, lecz po drodze spotkali się z ludźmi Jacques'a. Nie znał jeszcze wyniku tego starcia, ale tu w środku nikt zdawał się o nim nic nie wiedzieć.

Gnany potworną wizją Alainy szarpiącej się w objęciach Jacques'a, biegł przez ciemności, szybki i zwinny jak dziki kot.

Zobaczył mdłe światelko i ze zgrozą usłyszał odgłos rozdieranego ubrania oraz stłumiony płacz Alainy. Ogarnęła go na wskroś dzika, bezlitosna furia. Prawie po omacku, ledwo dostrzegając zarysy ich sylwetek, rzucił się na półnagiego mężczyznę, usiłującego pocałować wyrywającą mu się Alainę. Ten zobaczył go i krzyknął, cofając się szybko. Jednak nie zdołał uniknąć ataku rozwścieczonej bestii, która wyskoczyła nagle z mroku, wcielona w Cole'a.

Roztrzęsiona, szlochająca Alaina czym prędzej zgarnęła rozdartą bieliznę i zasłoniła się, po czym przywarła do kamiennej ściany, cofając się przed walczącymi ze sobą na śmierć i życie mężczyznami. Twarz Jacques'a przypominała straszliwą maskę pełną ślepej nienawiści, oddech cuchnął whisky, żółte zęby zgrzytały złowrogo. Choć niski i chudy, miał w sobie opętającą siłę furii połączonej ze strachem, że znów może zostać pokonany. Jednak gdy po pierwszym ciosie w szczękę osunął się bezwładnie na ziemię. Cole stracił ochotę do dalszej walki z tym przeciwnikiem. Cisnął go z odrazą na ziemię. Wtem rozległ się strzał w tej części jaskini, gdzie byli więzieni. Cole uprzytomnił sobie, że Saul jest w opałach. Złapał za rękę Alainę, która usiłowała w biegu włożyć rękaw sukni, i pociągnął ją za sobą. Popędzili z powrotem ciemnym tunelem. Alaina zdołała jakoś zapiąć stanik sukni.

Gdy zbliżali się do kraty, zatrzymali się jak wryci. Naprzeciwko Saula z dymiącym jeszcze remingtonem stało dwóch białych mężczyzn, Gunn oraz Tamara.

- Ty durniu! - piszczała Tamara. - Tu jest trzech ludzi z karabinami. Nigdy nie uciekniesz!

- Tak, ale ja mam ten tu pistolet i mogę zabrać paru z was ze sobą. Może panią na początek, jeśli nie odda pani zaraz dziecka matce.

Tamara zawahała się i rzuciła wściekle spojrzenie na Alainę.

- No, szybko. To dziecko panienki Alainy i ma do niej wrócić.

- To tylko na chwilę - odgrażała się Tamara, podając niemowlę Alainie. - Do wieczoru będę ją miała z powrotem.

- Po moim trupie - odparła z przekonaniem Alaina.

- Saul!

Okrzyk przeciął powietrze jak sztylet i wszyscy zwrócili oczy na potężną sylwetkę Gunna, który wystąpił do przodu z rękami uniesionymi w wyzwaniu, ale swój winczester zostawił oparty o beczkę.

- Saul! Gunn walczyć z Saul! Ty wygrać, ty iść wolno!

- Zabij go, ty durniu! - piszczała Tamara. - Zabij Saula! On nie może iść wolno!

- Nie! - rozległ się dźwięczny głos Gunna. Odwrócił się do swych towarzyszy i ostrzegł: - Gunn walczyć z Saul! Sam! Ktoś podejść, Gunn zabić! - Zilustrował to dobitnie ruchem rąk.

Saul rzucił pistolet Cole'owi. Dwaj mężczyźni, którzy już szli, by go pojmać, cofnęli się, zaskoczeni nagłą zmianą sytuacji. Cole też się cofnął, osłaniając Alainę z dzieckiem. Gdy stanęli przy ścianie, skinął na Saula.

Murzyn zdarł z siebie resztki roboczej bluzy bez rękawów i odrzucił na bok. Gunn przedarł brokatową kamizelkę na pół. Saul rozłożył szeroko ręce, dając sygnał. Mężczyźni starli się gwałtownie, pierś w pierś, w walce na gołe pięści. Przez chwilę szamotali się, ale żaden nie mógł zyskać przewagi. Rozłączyli się więc i zaczęli nawzajem okładać się razami, które przeciętnego mężczyznę zwałyby z nóg. Na nich nie robiło to większego wrażenia.

Jak dwaj czarnoskórzy tytani, wybałuszając nabiegłe krwią oczy, rozgrzani i opętani żądzą walki, starli się ponownie, tworząc jedną wielką masę splecionych ze sobą, wijących się, rozedrganych mięśni. Wczepieni w ziemię szeroko rozstawionymi nogami, spięli się ze sobą głowa przy głowie, ramię przy ramieniu. Napierali jeden na drugiego z wygiętymi w łuk plecami i dyszeli ciężko, łapiąc z trudem powietrze. Nagle Saul zrobił gwałtowny zwrot i wsunął prawą rękę pod lewe ramię Gunna. Splótł dłonie za jego plecami i podważył. Gunn zaczął się chwiać, ale nie upadł. Ramię wyginało się w tył i do góry, coraz bardziej i bardziej. Gunn jęknął z bólu i ciszej przeszył głośny trzask łamanej kości.

Gunn zwałił się na klepisko jaskini, a Saul klęczał nad nim, wsparty jedną ręką o ziemię, z głową zwieszoną, resztką sił łapiąc powietrze w płuca. Gunn przeczołgał się przez jaskinię i oparł o sterty ładunków, po czym powoli wstał. Ramię Murzyna zwisało dziwnie wygięte, a twarz wyrażała determinację.

W tym momencie Alaina usłyszała jakiś szmer z tyłu i krzyknęła ostrzegawczo do Cole'a. Odwrócił się akurat w momencie, gdy rozwścieczony Jacques z pistoletem w ręce wypadł z odnogi jaskini. Rzucił się z impetem na Cole'a, wytrącając mu z ręki remingtona. Pistolet potoczył się po ziemi. Złapał go Saul, który błyskawicznie odciągnął Alainę, widząc wymierzoną w nią broń Jacques'a. Ręka Cole'a wybiła mu broń do góry w tej samej chwili, gdy nacisnął na spust. W całej grocie rozległo się echo wystrzału. Cole złapał go za nadgarstek, gdy znów próbował wycelować lufę w Alainę. Obaj mężczyźni potoczyli się po ziemi, a Jacques ze ślepą zawziętością naciskał na spust. Kule świsnęły i huk wystrzału za wystrzałem rozdzierał powietrze. Z beczki przestrelonej jednym z pocisków trysnęła ropa. Inna kula strąciła z półki lampę, która rozbiła się o ziemię. Już po chwili po strużce płynącej ropy biegły z sykiem płomienie, prosto w kierunku stojącej nieopodal beczki prochu.

Pistolet Jacques'a wydawał już tylko suchy trzask. Cole puścił jego przegub i odwrócił się na plecy, pociągając za sobą przeciwnika. Zwolnioną ręką wymierzył mu ponownie cios w twarz, aż pirata rzecznego odrzuciło. Z jękiem złapał się za złamaną szczękę.

Wtem uniosło go do góry potężne czarne ramię. Było to jedyne już sprawne ramię Gunna, które chwyciło Jacques'a jak w imadło pomimo jego krzyku i wrywania się.

- Gunn mówi: Saul iść wolno! Gunn nigdy nie łamać obietnicy! Oni iść! My zostać!

Jacques krzyknął coś w odpowiedzi, co skończyło się jeszcze silniejszym zaciśnięciem rąk Gunna. Wtedy głowa Jacques'a zwisała bezwładnie, a gdy Murzyn go puścił, osunął się powoli na ziemię ze złamanym karkiem.

Gunn machnął do Saula.

- Idźcie!

- Tak jest! - Saul zgodził się skwapliwie.

Cole omiół wzrokiem jaskinię. Nie dojrzał nigdzie swej macochy, ale zauważył kolejne niebezpieczeństwo. Płomienie zdążające strużką ropy w stronę beczułki z prochem. Skoczył do Alainy i Saula z krzykiem, żeby uciekali. Gdy ich dogonił, wziął Glynis z rąk Alainy i pociągnął żonę za sobą w stronę tunelu. Za drzwiami czekała Mindy, żeby im otworzyć, gdy będą uciekali.

Panika Cole'a udzieliła się im wszystkim, lecz posiniaczony, obolały Saul ledwie mógł nadążyć za drobnymi kroczkami Alainy. Cole obejrzał się jeszcze raz i zobaczył, że ogień pali się już wokół beczułki prochu. Krzyknął do Saula, żeby zasłonił Mindy, podczas gdy on osłonił sobą żonę i dziecko. Nagle rozległ się ogłuszający huk i potężna fala ognia przeszła przez jaskinię. Beczki różnej wielkości, bele materiału i skrzynki wymiecione spod ścian spadały, rozbijając się, wysypując i wylewając swą zawartość. Wszystko zgarniały płomienie.

Cole, nie zważając na parzący popiół, który osiadał mu na plecach, poderwał wszystkich na nogi i popychał w kierunku tunelu wiodącego do pokoju Roberty. Wolał im na razie nie mówić, że w miarę nagrzewania się powietrza na dole szyb ze schodkami może się zamienić w komin, którym pójdzie w górę gorący powiew. I że powiew ten może zniszczyć wszystko po drodze, a i sam dom na górze może też stanąć w płomieniach.

W skrajnym popłochu wbiegali po schodkach. Saul niósł na rękach Mindy, Cole popychał przed sobą Alainę, a drugą ręką trzymał płaczące przeraźliwie maleństwo. Nie było jednak czasu, by je uspokajać. Usłyszeli w dole groźny pomruk wybuchu i do góry wzbil się snop iskier, a wraz z nim fala gorącego powietrza.

- Wyrwało drzwi! - krzyknął Cole. - Musimy szybko stąd wyjść albo upieczemy się żywcem!

Alainie brakło tchu i wszystko ją bolało, ale zmuszała nogi do pokonywania schodów. Znacznie trudniej było wchodzić niż schodzić, lecz Cole popychał ją od tyłu, nie pozwalając się zatrzymać ani na sekundę. Wkrótce szybem zaczął się wzbijać dym, dusząc i drażniąc oczy.

Drzwi z lustrem były zamknięte. Alaina wzięła od męża dziecko i pokazała mu drewniany drążek na półpiętrze. Cole skoczył w dół i przekręcił go, ale drzwi się nie ruszyły. Po chwili na ich oczach liny wysunęły się z prowadnic i zawisły bezużytecznie.

- To Tamara! - jej imię zabrzmiało w ustach Cole'a jak przekleństwo. Powinien się domyślić, że wymknęła się z jaskini, by uciec po schodach na górę.

- Jesteśmy w pułapce! - jęknęła Alaina.

Wtedy Saul postawił Mindy na ziemi, cofnął się krok i zaczął swą ciężką nogą kopać w uparte drzwi. Walił dotąd, aż ustąpiły. Wpadli do pokoju Roberty, chwytając rozpaczliwie powietrze, a po chwili już biegli z krzykiem przez dom.

Wybiegli na ganek. Tam właśnie podjeżdżał Olie z Braegarem, Peterem i szeryfem oraz pełnym wozem związanych piratów rzecznych i eskortujących ich ludzi z farmy.

Olie przybiegł, gdy tylko zobaczył Cole'a. Z przejęciem opowiadał, dlaczego nie dotarł na czas.

- Szedłem za Saulem i widziałem, że na nic się nie zda, by iść tamtędy. No to posłałem Petera po szeryfa i doktora Darveya. A ja poszedłem dołem nad rzeką, żeby znaleźć wejście do jaskini. Gdy obszedłem skałę, na rzekę spuszczano właśnie barcę pełną ludzi. Trochę się z nimi poszamotałem, zanim przyjechał szeryf.

- Dobrze, Olie - uspokoił go Cole. - Jesteśmy już bezpieczni i dzięki tobie piraci zostali złapani.

Patrzyli, jak ze skalnej ściany wysoko do góry strzelają smugi ognia, na całe mile wokół obwieszając pożar. Nagle przez huk płomieni przedarł się świst i ogień wzbił się do góry przez zachodnią wieżę. Jej daszek stanął w płomieniach i z gradem iskier zwałił się na jedną stronę domu. Niczym już nie skrepowane płomienie strzeliły w górę i trawiły z zapalem wszystko, co napotkały. Szyby w oknach, rozpalone do białości, pękały z hukiem, wypuszczając ze środka wygłodniałe języki ognia, które lizały cegły i rzucały się wściekle na okapy.

Gdy płomienie oświetliły dach, Braegar chwycił Cole'a za ramię, coś mu pokazując. Wysoko ponad nimi, na wąskim tarasie zwieńczającym dach jakaś dziwna postać płaśała w groteskowym tańcu. Wiatr rozwiewał długie, czarne, rozpuszczone włosy. Miała na sobie czerwoną suknię i kilka obserwujących osób wymówiło ze zgrozą imię Roberty. Ale trójka uciekinierów z jaskini znała już tę twarz i wiedziała, że nie jest to Roberta. Tamara wznosiła błagalnie ramiona do niebios i krzyczała przeraźliwie. Ujrzawszy w dole tłum wpatrzonych w nią twarzy, uniosła dłoń oskarżającą. Przez ryk ognia przebijał się jej piskliwy głos.

- Dom Latimerów jest mój na zawsze! Nie odbierzecie mi go! Nikt z was już nie będzie go miał!

- Ona postradała rozum! - usłyszał Cole obok siebie. Odwrócił się i zobaczył Martina Holvaga. Po chwili tuż przy nich znalazła się Rebel. Stała obok Braegara, wykręcając dłonie z rozpaczą i zawodząc:

- Wiem, że tam jest! Znalazłam pamiętnik Roberty, w którym napisała, że ukryła w domu skarb. Musi tam być, teraz się spali!

- Ty wzięłaś pamiętnik Roberty? - zapytała zdumiona Alaina.

- Leżał tam, sam się prosił o zabranie - jęczała Rebel.

- Z mojej sypialni!

- Skąd mogłam wiedzieć, że to twoja? W tym przeklętym domu było tyle pokoi, że nie mogłam się połapać!

- Dlatego weszłaś wtedy w nocy do naszej sypialni? - wtrącił ostro Cole. - Szukałaś pieniędzy, które nie należały do ciebie?

Twarz Rebel skrzywiła się jak do płaczu. Zaciskała ręce i żałośnie patrzyła na Braegara, który wyglądał na wielce zdegustowanego. Odwrócił się i odszedł, pozostawiając łkającą dziewczynę samą sobie.

Wtem dom załała prawdziwa ognista powódź, jeszcze bardziej rozpalona, aż do białości. Cały dach najpierw uniósł się do góry, jakby w ostatnim spazmie, a potem z łoskotem osunął się do środka domu. Towarzyszący temu upiorny, dziki śmiech mógł być tylko wytworem wyobraźni zebranych gapiów, a jednak ten przedziwny dźwięk rozniósł się na skrzydłach wiatru po całym wieczornym niebie.

Kiedy wreszcie zapadła cisza, Latimerowie udali się na spoczynek do starego domku. Z sypialni na drugim piętrze widać było jedynie lunę prześwitującą między czubkami drzew. Lecz i tak specjalnie już ich to nie obchodziło. Cole z radością patrzył, jak jego maleńka córeczka bawi się paluszkami własnych stóp. Alaina nieśmiało położyła na łóżku obok niego plik zwiniętych banknotów.

Cole spojrział ze zdziwieniem.

- Co to jest?

Policzki żony zaróżowiły się.

- Pamiętasz dwa tysiące, które chciałeś mi dać w Nowym Orleanie?

Pokiwał głową.

- No więc pani Hawthorne oddała mi tę pozostałość, gdy u nas była. Powiedziała, że trzymała je dla mnie.

- Pozostałość?

- Nie ma tu już całych dwóch tysięcy - wyjaśniła Alaina. - Okazało się, że za część tych pieniędzy kupiła dla mnie suknie, które nosiłam, gdy tu przyjechałam. Nie były to wcale suknie używane, tylko nowe, kupione za twoje pieniądze.

Cole roześmiał się z niedowierzaniem.

- To znaczy, że cały czas, odmawiając noszenia kupionych przeze mnie ubrań, nosiłaś inne, też przeze mnie kupione?

Alaina przytaknęła nieśmiało.

- Nie wiedziałam o tym, Cole'u. Czy wybaczysz mi moje zaślepienie i dumę?

- Moja ukochana - pociągnął ją za sobą na łóżko. - Ty dodałaś memu życiu smaku, jakiego nie zaznałbym z nikim innym. Czy mogę być zły na ciebie za cokolwiek? Mogę tylko uważać się za szczęśliwca, jeśli dalej zechcesz dzielić ze mną życie aż do późnej starości.

- Właśnie taki mam plan, milordzie - szepnęła tuż przy jego ustach - i pragnę tego całym sercem.

Epilog

Niecały miesiąc później któregoś wieczoru Cole został sam w salonie. Alaina była na gorze z córeczką, a w domu było cicho i spokojnie. Czasem tylko z góry dobiegały wesołe śmiechy.

Cole stanął przy oknie i ze zdziwieniem ujrzał na ścieżce przed domem majaczącą postać jakiegoś mężczyzny. Był wychudzony i odziany w łachmany. Na głowie miał znoszony szary kapelusz. Najpierw obejrzał dokładnie dom, potem zajrzał do trzymanej w ręce małej karteczki. Widać było, że z wielką ostrożnością, a nawet niechęcią podchodzi do drzwi. W ciemności trudno było dostrzec jego twarz, lecz Cole miał pewność, że nie zna tego człowieka. Wreszcie zwyciężyła ciekawość i wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, kim jest nieznajomy.

Na widok Cole'a mężczyzna wyprostował się i schował ręce do kieszeni zniszczonej kurtki.

- Czy ma pan do nas jakąś sprawę? Może przyszedł pan do lekarza? - zapytał Cole.

Mężczyzna był młody, nie więcej niż koło trzydziestki, a jego szare oczy miały w sobie coś wyzywającego.

- Może i mam sprawę, proszę pana. - W jego głosie wyczuwało się lekką irytację. - A może nie. Szukam niejakiego doktora Latimera i pokazano mi to miejsce.

- Właśnie pan z nim rozmawia - poinformował Cole, obserwując dokładnie przybysza. - Jest pan południowcem, jak się domyślam. I choć nie ma pan konia ani powozu, widzę, że przybywa pan do mnie z daleka, choć nie wiem, w jakim celu. Nie wygląda pan na chorego.

- Przyszedłem tu pieszo - padło lakoniczne wyjaśnienie.

- Był pan oficerem konfederackim. - Cole wskazał na niegdyś szarą kurtkę z wyblakłymi galonami oraz kapelusz. - I chyba jest pan świadom tego, że ja walczyłem za Unię. Czy przypadkiem nie szuka pan kogoś ze swych krewnych?

- Nie, do licha! - Wargi nieznajomego pobieleły, a głos dyszał nienawiścią. - Nie mam krewnych, dzięki wam,

Jankesom. Nie mam też domu. Kiedy do niego wróciłem, był całkiem spalony. I kupił go jakiś Jankes za bezcen.

- Przykro mi, że stracił pan dom i rodzinę, a jeszcze bardziej mnie boli, że winą zdaje się pan obciążać mnie. - Cole rozłożył ręce w geście niewinności. Przerwał, widząc nienawiść w szarych oczach. Przekrzywiając głowę, przyglądał się mężczyźnie z dziwnym błyskiem w źrenicach. - Jednak domyślam się celu pańskiej wizyty. Czy dom, o którym pan wspomniał, nazywał się Briar Hill?

- Tak! - wyrzucił z siebie mężczyzna i odwrócił wzrok, gdyż ogarnęła go wściekłość.

- A pan nazywa się MacGaren, czy tak? - dociekał Cole.

W odpowiedzi tamten tylko kiwnął głową.

- I mówi pan, że nie ma żadnej rodziny?

Teraz spojrział na Cole'a z bólem w oczach.

- Mój ojciec i brat zginęli na wojnie. Matka umarła z rozpacz. Moja siostra gdzieś zniknęła. Wy, niebieskobruchy, uznaliście, że jest szpiegiem, była poszukiwana. Mogę tylko zgadywać, jaki ją spotkał los w waszym cuchnącym jankeskim więzieniu.

- To doprawdy są wystarczające powody do nienawiści - zauważył Cole. - Czy pan jest przypadkiem Jasonem MacGarenem?

Znów tylko kiwnięcie głowy.

- No tak, ma pan rację! - przyznał lekkim tonem Cole. - Rzeczywiście, kupiłem Briar Hill za wartość nie spłaconych podatków i od tamtej pory płacę je regularnie. Zapewniam pana, że zrobiłem wszystko zgodnie z prawem.

- Zgodnie z prawem! - wykrzyknął Jason MacGaren. - Może zgodnie z prawem, ale nie z moralnością. Przyjechałem odzyskać swoją ziemię!

Cole wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że może pan mieć pewne trudności, kapitanie MacGaren. Widzi pan, kupiłem tę plantację dla mojej żony i zapisałem na jej nazwisko.

- To upokarzające, proszę pana! - wycodził Jason przez zaciśnięte zęby. Otrząsnął się i próbował opanować emocje. - Ale ostatnio doznałem wielu upokorzeń. Jeśli trzeba błagać, będę błagał. - Zmiał trzymaną kartkę i zgarbił się. Zrywał się już chłodny wiatr. Jason mówił: - Z domu został tylko popiół. Inne budynki są w ruinie. Pola zarosły chwastami, potrzebują uprawy. Czy może mi pan przynajmniej wydzierżawić tę ziemię za część plonów?

Latimer obserwował mężczyznę czekającego z nadzieją na odpowiedź, choć w jego oczach tkwił jeszcze gniew. Minęła długa chwila. Cole położył mu dłoń na ramieniu.

- Kapitanie MacGaren, o tym musi pan pomówić z moją żoną. - Odsunął się i gestem zachęcił go do wejścia. - Proszę wejść i zjeść coś z nami. Może ona zgodzi się na pana propozycję. - Widząc wahanie, zaśmiał się cicho. - Niech pan wejdzie przynajmniej na brandy. Na powrót jest za późno, do miasta szmat drogi, a myślę, że moja żona z przyjemnością pana zobaczy.

Jason uśmiechnął się kwaśno, ale w końcu uległ namowom i ruszył ścieżką do ganku. Cole zaprowadził go do salonu i nalewając dużą porcję brandy, przeprosił:

- Moja żona jest na górze. Za moment ją przyprowadzę. Proszę zaczekać.

Gdy tylko znalazł się poza salonem, pobiegł na górę, pokonując po trzy schodki naraz, ale przed sypialnią zatrzymał się i przybrał spokojną, uśmiechniętą minę. Jakby nigdy nic, oznajmił:

- Alaino, mamy niespodziewanego gościa, który chciałby z tobą coś omówić. - Wziął Glynis z jej kolan, a pytania żony skwitował wzruszeniem ramion. - Po prostu idź na dół i porozmawiaj z nim. Ja zejść z Glynis.

- Ale, Cole'u - protestowała, przyglądając włosy. - Kto to jest? Czego chce ode mnie?

- Sam ci to powie. Pospiesz się, zanim sobie pójdzie.

Cole schodził po schodach za żoną, patrząc na nią z błąkającym się na ustach uśmiechem. Gdy weszła do salonu, oparł się o framugę i czekał. Jason siedział zgarbiony na stołku, wpatrując się w trzymany w obu dłoniach kieliszek. Gdy usłyszał szelest sukni, wstał, zdjął kapelusz, odwrócił się i... zdębiał.

- Jason! - Krzyk Alainy rozbrzmiewał wszystkimi odcieniami radości. - Och, Jasonie!

W ułamku sekundy brat i siostra znaleźli się w swych ramionach. Jason zamknął oczy i przytulił twarz do jej włosów, a jego uścisk niemal pozbawił ją oddechu. Gdy otworzył oczy, łzy płynęły z nich niepowstrzymanie. Spojrzał na uśmiechniętego Cole'a.

- Cole'u Latimerze, jest pan przeklętym Jankesem - powiedział głosem zachrypniętym ze wzruszenia. - Nie wiem, czy zniosę pana jako szwagra.

Alaina przytuliła się do brata i głaskała go delikatnie po zarośniętej twarzy, też roniąc łzy szczęścia.

- W tej kwestii nie masz żadnego wyboru, Jasonie MacGarenie - oznajmiła drżącym i cichym, lecz radosnym głosem. - Żadnego.

Lament

O mój domu!

Mój skromny umysł
nie ogarnie twej mądrości.

Zwyciężyłam!

Po trzykroć błogosławiona!

Byłeś ze mną przez cały ten czas, trwając w uśpieniu,
czekając, aż żyzna gleba znów przyjmie twe korzenie
i wzbijesz się ku niebu.

Ty mnie nauczyłeś
nie obawiać się losu
ani tego, że wczoraj przemija.

Na twych osmalonych zgliszczach

zbuduję Dziś
i wzniosę fundamenty Jutra.

Bez żalu pożegnam
zapach popiołów
rozwiewanych przez wiatr.